HIPOKRYZJA
I WŁADZA
W WATYKANIE

SODOMA

FRÉDÉRIC MARTEL

A

HIPOKRYZJA
I WŁADZA
W WATYKANIE

SODOMA

FRÉDÉRIC MARTEL

PRZEŁOŻYŁY: ANASTAZJA DWULIT,
ELŻBIETA DERELKOWSKA, JAGNA WISZ

Tytuł oryginału: *SODOMA : Enquête au coeur du Vatican*

Redakcja: Paweł Goźliński
Konsultacja merytoryczna: Stanisław Obirek
Korekta: Teresa Kruszona, Agata Nastula
Projekt graficzny okładki: Tomek Majewski
Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska
Zdjęcia na okładce: © Peter Macdiarmid/Getty Images

WYDAWCA



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska
Redaktor naczelny: Paweł Goźliński
Koordynacja projektu: Magdalena Kosińska

Warszawa 2019

ISBN 978-83-268-2831-7 (epub), 978-83-268-2832-4 (mobi)

Spis treści

TEGO SAMEGO AUTORA

Smart, Enquête sur les internets, Stock, 2014

Global Gay, Comment la révolution gay change le monde, Flammarion, 2013

Mainstream, Enquête sur la guerre globale de la culture et des médias, Flammarion, 2010

De la culture en Amérique, Gallimard, 2006

Le Rose et le Noir, Les homosexuels en France depuis 1968, Le Seuil, 1996

Od autora i wydawców

Sodoma wychodzi równocześnie w dwudziestu krajach i w ośmiu językach. Publikują ją następujące wydawnictwa: Robert Laffont we Francji, Feltrinelli we Włoszech, Bloomsbury w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Australii, Roca Editorial w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej, Balans w Holandii i Rumunii, Porto Editora w Portugalii. Na poziomie międzynarodowym za wydanie odpowiada Jean-Luc Barré.

W książce wykorzystano wiele źródeł. Podczas dziennikarskiego śledztwa trwającego ponad cztery lata przeprowadzono wywiady z ponad tysiącem pięciuset osobami w Watykanie i w 30 krajach. Wśród nich było 41 kardynałów, 52 biskupów i monsiniorów, 45 nuncjuszy apostolskich i zagranicznych ambasadorów oraz ponad 200 księży i seminarzystów. Wszystkie rozmowy przeprowadzone zostały osobiście (nie przez telefon, nie za pomocą poczty elektronicznej). Do tych źródeł z pierwszej ręki dodajmy bibliografię składającą się z ponad tysiąca odniesień, książek i artykułów. Ponadto do przeprowadzenia badań w 30 krajach zaangażowano 80 researcherów, korespondentów, doradców, pomocników (fikserów) i tłumaczy.

Wszystkie te źródła, notatki, bibliografia, nazwiska researcherów oraz trzy dodatkowe rozdziały – zbyt długie, by je włączyć do tej książki – znalazły się w trzystustronicowym dokumencie dostępnym w internecie.

Zbiór dokumentów »Sodoma« znajdziemy pod adresem: www.sodoma.fr. Uaktualnienia – z hasztagiem #sodoma – będą

publikowane na stronie autora na Facebooku: @fredericmartel, na koncie Instagram: @martelfrederic i na Twitterze: @martelf

Prolog

– ON NALEŻY DO PARAFII – prałat konspiracyjnie szepcze mi do ucha.

Pierwszą osobą, która użyła tego zaszyfrowanego zwrotu w rozmowie ze mną, był pewien arcybiskup kurii rzymskiej.

– Ten zdecydowanie jest „czynny”. Jest „z parafii” – mówił cicho, lecz z naciskiem, zdradzając zwyczaje byłego „ministra” Jana Pawła II, słynnego watykańskiego kardynała, którego i on, i ja dobrze znamy.

Po czym dorzucił:

– Nie uwierzyłby pan, gdybym opowiedział to, co wiem!

I oczywiście opowiedział.

Jeszcze nieraz spotkamy w książce tego arcybiskupa, pierwszego z długiego szeregu księży odkrywających przede mną rzeczywistość, której istnienie przeczuwałem, lecz którą wiele osób może uznać za fikcję. „Czarodziejskie widowisko[1]”.

– Problem w tym, że ludzie, słysząc prawdę o „homoseksualistach w szafie”, o „szczególnych przyjaźniach”[2] w Watykanie, nie wierzą. Uważają to za wymysły. Nic dziwnego, skoro w tym wypadku rzeczywistość przerasta fikcję – zwierzał mi się ksiądz, franciszkanin, który od ponad trzydziestu lat pracuje i mieszka w Watykanie.

A jednak wiele osób opisało mi tę „szafę”. Niektórzy niepokoili się, że mam zamiar o niej pisać. Inni szeptem zdradzali mi sekrety, a potem, już na głos, ujawniali skandale. Jeszcze inni okazywali się gadatliwi, niewiarygodnie gadatliwi, jakby przez te wszystkie lata nie mogli się doczekać chwili, kiedy będą mogli przerwać milczenie.

Około czterdziestu kardynałów oraz setki biskupów, monsiniorów, księży i nuncjuszy (papieskich ambasadorów) zgodziło się ze mną spotkać. Wśród nich byli zdeklarowani homoseksualiści codziennie obecni w Watykanie – dzięki nim przeniknąłem do świata wtajemniczonych.

Tajemnica poliszynela? Plotki? Złe języki? Jestem jak święty Tomasz – muszę dotknąć, żeby uwierzyć. Dlatego musiałem długo prowadzić dziennikarskie śledztwo i żyć blisko Kościoła. Siedem dni każdego miesiąca spędzałem w Rzymie. Regularnie pomieszkiwałem w Watykanie, korzystając z gościnności kościelnych dostojników, którzy czasem, jak się okazywało, również „byli z parafii". Odwiedziłem też ponad trzydzieści krajów, gdzie zebrałem ponad tysiąc świadectw wśród duchownych z Ameryki Łacińskiej, Azji, Stanów Zjednoczonych i Bliskiego Wschodu. W czasie przygotowań do pisania tej reporterskiej książki każdego roku niemal sto pięćdziesiąt nocy spędzałem poza domem, poza Paryżem.

W ciągu trwających cztery lata poszukiwań, spotykając się z kardynałami i księżmi, w tym osobami, do których bardzo trudno uzyskać dostęp, nigdy nie ukrywałem mojej tożsamości – pisarza, dziennikarza i badacza. Wszystkie wywiady przeprowadziłem pod prawdziwym nazwiskiem, rozmówcy z łatwością mogli sprawdzić w Google'u, Wikipedii, na Facebooku lub Twitterze szczegóły mojej biografii. Nierzadko owi hierarchowie, mniej lub bardziej ważni, ostrożnie się do mnie zalecali. Ba, niektórzy z nich nie mogli oprzeć się pokusie, by robić to bardziej aktywnie czy zdecydowanie. Cóż, ryzyko zawodowe!

Jak to się stało, że osoby nawykłe do ciszy zdecydowały się złamać zmowę milczenia? To jedna z tajemnic tej książki i jeden z powodów, że w ogóle powstała.

Rzeczy, których się od nich dowiedziałem, bardzo długo były

niemożliwe do wypowiedzenia. Trudno wyobrazić sobie publikację takiej książki dwadzieścia czy nawet dziesięć lat temu. Dziś, kiedy rezygnacja Benedykta XVI i wola reform papieża Franciszka przyczyniły się do większej swobody wypowiedzi, sytuacja nieco się zmienia. Sieci społecznościowe, coraz odważniejsza prasa i niezliczone skandale „obyczajowe" w Kościele sprawiły, że odkrycie tego sekretu stało się możliwe – i konieczne. Książka ta nie krytykuje jednak całego Kościoła, lecz pewną bardzo szczególną formę gejowskiej wspólnoty; opowiada historię większości w watykańskim kolegium kardynałów.

Wielu spośród odprawiających nabożeństwa w kurii rzymskiej kardynałów i prałatów oraz większość tych, którzy gromadzą się na konklawe w Kaplicy Sykstyńskiej pod freskami Michała Anioła – jedną z najwspanialszych scen kultury gejowskiej, pełną ciał dorosłych mężczyzn w otoczeniu nagich, barczystych efebów zwanych ignudi – łączy ta sama „skłonność". Można w nich dostrzec pewne „rodzinne podobieństwo". Jeden z księży, odwołując się do przeboju disco queen, pewnego razu powiedział mi szeptem: „We are family!".

Większość hierarchów, którzy między pontyfikatami Pawła VI i Franciszka z balkonu bazyliki Świętego Piotra ze smutkiem ogłaszali śmierć papieża lub ze szczerą radością wykrzykiwali *Habemus papam!*, łączył ten sam sekret. *È bianca*!

Świat, jaki odkrywam, świat pięćdziesięciu twarzy geja – czy będzie on „praktykujący", „przejawiający skłonności", „wtajemniczony", „unstraight", „światowy", „uniwersalny", „questioning", czy „ukryty w szafie" – przekracza nasze wyobrażenia. Tajemne historie owych księży, którzy dla świata mają oblicze świętobliwych mężów, prywatnie wiodąc zupełnie inne, całkowicie odmienne od swojego wizerunku życie, stanowią trudną do rozsupłania plątaninę. Być

może nigdy żadna instytucja nie zbudowała tak złudnej fasady – za mamiącymi zapewnieniami o celibacie i ślubach czystości kryje się zgoła inna rzeczywistość.

NAJLEPIEJ STRZEŻONY SEKRET WATYKANU nie jest sekretem dla papieża Franciszka. Zna swoją „parafię". Od przybycia do Rzymu zdążył zrozumieć, że ma do czynienia z jedynym w swoim rodzaju stowarzyszeniem, które nie ogranicza się bynajmniej – jak długo uważano – do garstki zbłąkanych owieczek. Chodzi o pewien system. I o wielkie stado. Ilu ich jest? Nieważne. Wystarczy powiedzieć, że stanowią zdecydowaną większość.

Oczywiście na początku papieża zaskoczył rozmiar tej „plotkarskiej kolonii", jej „urocze przymioty" i „nieznośne wady"[3], o których czytamy w słynnej *Sodomie i Gomorze* Marcela Prousta. Jednak Franciszek nie może ścierpieć nie tyle powszechnej „homofilii", ile niewiarygodnej hipokryzji tych, którzy mając partnera, przygody, a czasem korzystając z usług żigolaków, głoszą surowe zasady moralne. Dlatego bezlitośnie piętnuje fałszywych pobożnisiów, nieszczerych bigotów, świętoszków. Do tej podwójności, tej schizofrenii Franciszek często odnosił się podczas swoich porannych homilii w Domu Świętej Marty. Jedno z wygłoszonych przez niego zdań mogłoby stać się mottem tej książki: „Za rygoryzmem zawsze jest coś ukrytego, w wielu przypadkach podwójne życie[4]".

Podwójne życie? Słowo padło i tym razem świadek jest bez wątpienia wiarygodny. Franciszek często wracał do krytyki kurii rzymskiej, wskazywał palcem „obłudników" wiodących „ukryte, często rozpustne życie", tych, którzy „upiększają duszę, żyją pozorem"; mówił o „kłamstwie", które stając się zasadą, „czyni wiele zła, obłuda wyrządza wiele zła – to jest sposób życia"[5]. Czyńcie to, co mówię, nie to, co czynię!

Nie muszę tłumaczyć, że Franciszek dobrze zna tych, do których się zwraca, choć nie nazywa ich po imieniu, zna wszystkich tych kardynałów, mistrzów papieskich ceremonii liturgicznych, byłych sekretarzy stanu, „substytutów”, „minutantes” [watykańskich zastępców i sekretarzy – przyp. red.] czy kamerlingów. W większości przypadków nie chodzi tylko o niesprecyzowaną skłonność, o coś płynnego, o jakąś „homofilię” czy „tendencję”, jak się kiedyś mówiło, ani nawet o seksualność wypartą czy poddaną sublimacji – choć wszystko to także spotykamy w rzymskim Kościele. Bardzo wielu spośród tych kardynałów, którzy „choć pełnokrwiści, nie kochali kobiet![6]” – jak to ujął Poeta, to czynni homoseksualiści. Jakich wybiegów używam, żeby powiedzieć rzeczy tak proste! Rzeczy wczoraj tak szokujące, a dziś tak banalne! Czynni, owszem, lecz ciągle „ukryci w szafie”. Nie ma sensu przedstawiać wam tego kardynała, który pokazywał się na Loggi, a potem został bohaterem szybko zatuszowanej afery związanej z prostytucją; ani innego francuskiego kardynała, który długo miał w Ameryce kochanka – anglikanina; ani tego, który w młodości nizał swoje przygody miłosne jak siostrzyczka koraliki różańca; ani tych poznanych w pałacach Watykanu, którzy przedstawiali mi swoich partnerów jako asystentów, „minutantes”, zastępców, szoferów, pokojowych, zarządców, a nawet ochroniarzy!

Homoseksualna wspólnota w Watykanie należy do największych na świecie, sądzę, że nawet w Castro, słynnej gejowskiej – dziś już bardziej mieszanej – dzielnicy San Francisco nie jest aż tak liczna!

Jeśli chodzi o starszych kardynałów, tajemnica kryje się w przeszłości. Fakt, że okres burzliwej młodości i zabaw przypadł na czasy przed wyzwoleniem gejów, tłumaczy ich podwójne życie i homofobię w starym stylu. Zbierając materiały do tej książki, często miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie i znalazłem w latach trzydziestych lub pięćdziesiątych XX wieku – których nie mogłem

poznać – w czasach podwójnej moralności, czasach podziału na naród wybrany i naród przeklęty. Dlatego jeden z księży, z którym często się widywałem, powiedział mi kiedyś: „Witamy w Sodomie!”.

Nie ja pierwszy mówię o tym zjawisku. Wielu dziennikarzy ujawniało już skandale i afery w kurii rzymskiej. Nie to jest moim zamiarem. Uważam – w przeciwieństwie do watykanistów piętnujących jednostkowe „ekscesy”, a jednocześnie ukrywających „system” – że w mniejszym stopniu trzeba koncentrować się na brudnych sprawkach, w większym na zupełnie banalnym podwójnym życiu większości kościelnych dygnitarzy. Nie na wyjątkach, lecz na systemie i wzorcu, na „patternie” – jak to określają amerykańscy socjologowie. Nie bardzo interesują mnie indywidualne sytuacje, chodzi o ogólny typ, o psychologię kolektywną, o homospołeczność w ogóle. Detale są oczywiście istotne, lecz ważne są też prawa rządzące całością – dlatego w książce tej sformułujemy czternaście ogólnych reguł. Przedmiotem naszej analizy będzie zamknięta społeczność księży, ich słabość i cierpienie związane z przymusowym celibatem, które zmieniły się w system. Nie chodzi więc o osądzanie homoseksualistów, nawet tych ukrytych – osobiście bardzo ich lubię! – lecz o zrozumienie ich tajemnicy i wspólnego stylu życia. Rzecz nie w tym, by ich oskarżać ani outować – ujawniać za życia ich orientację. Nie planuję stosowania amerykańskiej praktyki „name and shame”, polegającej na demaskowaniu osób poprzez upublicznianie nazwisk. Chciałbym podkreślić, że moim zdaniem żaden ksiądz czy kardynał nie powinien wstydzić się swego homoseksualizmu, sądzę, że powinna to być po prostu jedna z wielu możliwych ról społecznych.

Konieczne jest jednak ujawnienie systemu, który – od najmłodszego seminarzysty aż po święte kolegium kardynalskie – opiera się na dwóch filarach: ukrytym życiu homoseksualnym

i najbardziej przerażającej homofobii. Pięćdziesiąt lat po Stonewall – gejowskiej rewolcie w Stanach Zjednoczonych – Watykan pozostaje ostatnim bastionem do zdobycia. Wielu katolików wyczuwa to kłamstwo, choć jeszcze nie mogli poznać faktów opisanych w tej książce.

BEZ TEGO KLUCZA INTERPRETACYJNEGO najnowsza historia Watykanu i Kościoła rzymskiego pozostanie niezrozumiała. Nie mając świadomości, jak ważny jest w niej wątek homoseksualizmu, rezygnujemy z podstawowego klucza, który pozwala zrozumieć większość faktów. Od dziesięcioleci plamiły one historię Watykanu, na przykład ukryte motywacje skłaniające Pawła VI do utrzymania zakazu sztucznej kontroli płodności, odrzucenie prezerwatyw i zachowanie ścisłego celibatu księży; wojna z teologią wyzwolenia; skandale w Banku Watykańskim za czasów sławnego arcybiskupa Marcinkusa (też homoseksualisty), decyzja o zakazaniu prezerwatyw jako środka do walki z AIDS (w czasie, gdy pandemia pochłonęła 35 milionów ofiar); afery Vatileaks I i II; niezmierzona, wciąż nawracająca mizoginia licznych kardynałów i biskupów żyjących w świecie bez kobiet; dymisja Benedykta XVI; obserwowany dziś bunt przeciw Franciszkowi… W każdym z tych przypadków homoseksualizm odegrał główną rolę, co wiele osób odgaduje, lecz o czym nikt tak naprawdę nie mówi.

Nadreprezentacja gejów nie tłumaczy oczywiście wszystkiego, jest jednak jednym z najważniejszych interpretacyjnych tropów pozwalających zrozumieć Watykan i jego moralne fundamenty. Można by również postawić tezę, choć nie to jest tematem tej książki, że lesbianizm stanowi klucz do zrozumienia życia zakonów żeńskich, zarówno mniszek klauzurowych, jak i zakonnic ze zgromadzeń czynnych. W końcu – niestety – homoseksualizm jest jednym z wyjaśnień instytucjonalnego ukrywania i tuszowania seksualnych

przestępstw i zbrodni, które liczy się już w dziesiątkach tysięcy. Dlaczego? Jak do tego doszło? Otóż „kultura tajemnicy”, niezbędna, by zachować milczenie na temat znaczącej obecności homoseksualizmu w Kościele, pozwala na ukrywanie nadużyć seksualnych, pozwala seksualnym drapieżnikom bez wiedzy instytucji korzystać z jej systemu ochrony – przy czym pedofilia też nie jest głównym tematem tej książki.

„Ile brudu jest w Kościele”[7] – powiedział kardynał Ratzinger, gdy dzięki tajnemu raportowi trzech kardynałów (którego treść poznałem) odkrył rozmiary „homoseksualnej szafy”. Było to jedną z głównych przyczyn jego dymisji. Raport dotyczył nie tyle istnienia „lobby gejowskiego” (jak mówiono), ile wszechobecności homoseksualistów w Watykanie, szantaży i molestowania, które nabrały systemowego charakteru. Źle się dzieje w Watykanie – powiedziałby Hamlet.

Homoseksualna socjologia katolicyzmu pomaga wyjaśnić również inne zjawisko – kres powołań. Przez długi czas – jak zobaczymy – młodzi Włosi odkrywający swój homoseksualizm lub mający wątpliwości co do swojej orientacji uciekali przed nią, wybierając zawód księdza. W ten sposób pariasi stawali się wtajemniczonymi, a słabość zmieniali w siłę. Wraz z homoseksualnym wyzwoleniem lat siedemdziesiątych i socjalizacją gejów z lat osiemdziesiątych XX wieku źródło katolickich powołań w naturalny sposób wyschło. Nastoletni gej ma dzisiaj, nawet we Włoszech, inne możliwości niż pójście do seminarium albo zakonu. Koniec powołań ma różne przyczyny, jednak paradoksalnie rewolucja homoseksualna jest jedną z najistotniejszych.

Ten schemat tłumaczy wreszcie wojnę przeciw Franciszkowi. Tyle że, aby ją zrozumieć, trzeba pójść wbrew intuicji. Latynoski papież jako pierwszy używa słowa „gej”, a nie tylko „homoseksualista”, i –

gdy porównamy go z poprzednikami – zdaje się najbardziej gay-friendly spośród współczesnych głów Kościoła katolickiego. Z jego ust padły magiczne, a jednocześnie przebiegłe słowa: „Kim jestem, by osądzać?”. Można też założyć, że obecny papież nie ma skłonności czy inklinacji, jakie przypisywano czterem jego poprzednikom. A jednak przeciw Franciszkowi, właśnie z powodu jego rzekomego liberalizmu w kwestiach etyki seksualnej, toczą brutalną kampanię konserwatywni kardynałowie – bardzo homofobiczni i w większości przypadków skrycie homofilni.

W pewnym sensie to świat na opak! Można nawet powiedzieć, że jedna niepisana reguła sprawdza się w *Sodomie* prawie zawsze: im bardziej homofobiczny duchowny, tym większa szansa, że sam jest homoseksualistą. Ci tradycjonaliści, te „konserwy”, ci „wątpiący kardynałowie” [w oryginale „dubia”, od słowa oznaczającego list do papieża z wątpliwościami odnośnie do niektórych punktów adhortacji *Amoris laetitia* – przyp. red.] to właśnie słynni duchowni „za sztywnością kryjący podwójne życie”, o których często wspomina Franciszek.

„Karnawał się skończył” – tak ponoć powiedział do mistrza ceremonii papieskich nowo wybrany suweren Watykanu. Od tego czasu Argentyńczyk niszczy sieć homoseksualnej zmowy i braterstwa, która rozsnuła się po kryjomu za czasów Pawła VI, rozrosła za Jana Pawła II, a pod rządami Benedykta XVI stała się nie do opanowania i przyspieszyła jego upadek. Franciszek, ze swoim nieprzerośniętym ego i nienerwowym stosunkiem do seksualności, wybucha. Nie jest „z naszej parafii”!

Czy papież i jego liberalni teologowie zdali sobie sprawę z tego, że celibat księży to porażka? Że jest fikcją w rzeczywistości prawie nigdy niewystępującą? Czy domyślili się, że wojna wypowiedziana gejom przez Jana Pawła II i Benedykta XVI była z góry przegrana?

Że obracała się przeciw Kościołowi tym bardziej, im wyraźniej dostrzegano, co ją naprawdę napędza, im wyraźniej widziano, że tę wojnę ukryci homoseksualiści wytoczyli zdeklarowanym gejom.

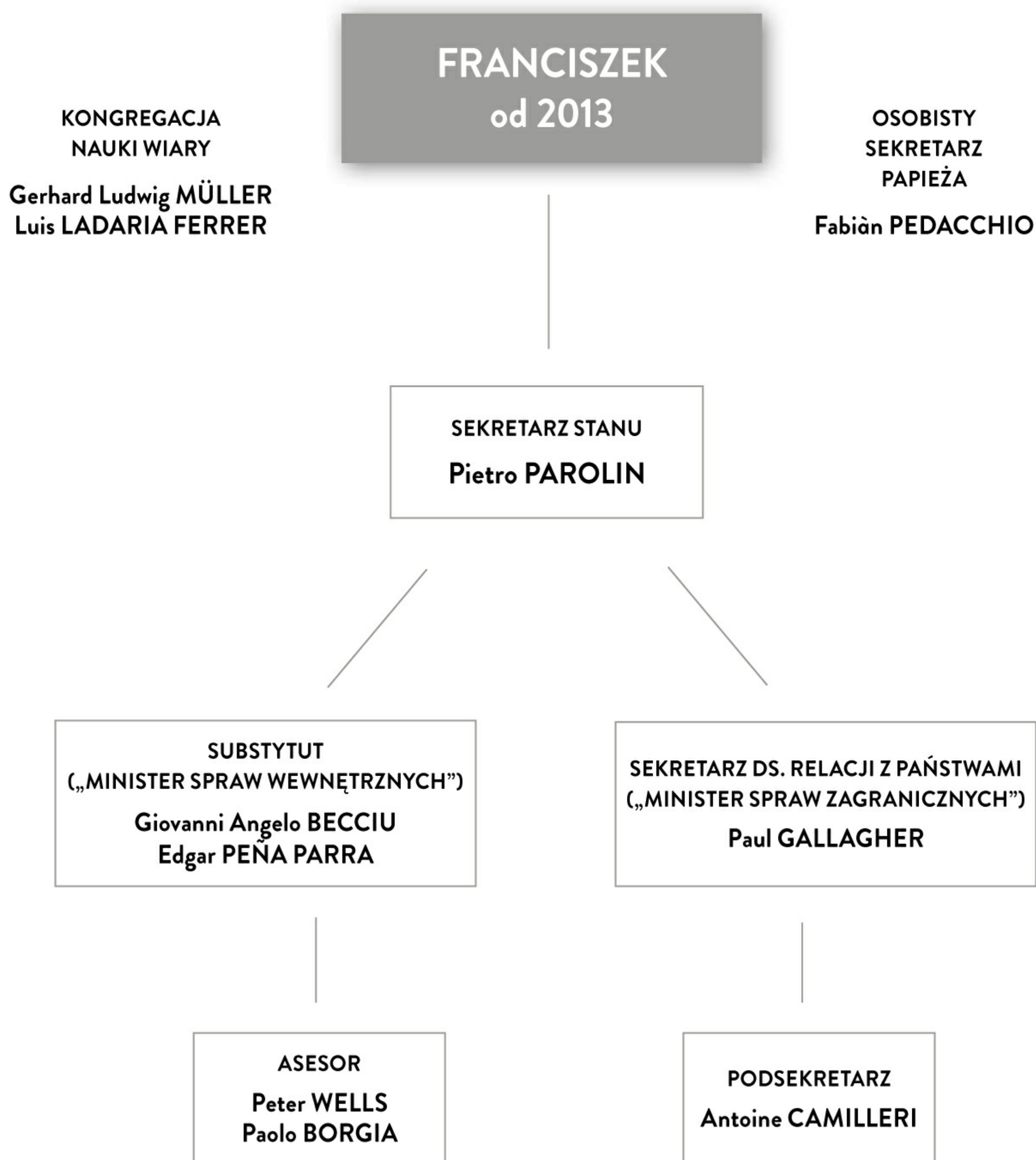
Zagubiony w tym plotkarskim towarzystwie Franciszek jest jednak dobrze poinformowany. Jego asystenci, najbliższi współpracownicy, mistrzowie ceremonii i inni eksperci od liturgii, teologowie i kardynałowie, pośród których czynnych homoseksualistów także jest legion, wiedzą, że homoseksualizm w Watykanie to wielu powołanych i wielu wybranych. Sugerują nawet – gdy ich o to zapytać – że zakazując księżom wchodzenia w związki małżeńskie, Kościół – z socjologicznego punktu widzenia – stał się homoseksualny; że narzucając nienaturalną wstrzemięźliwość i kulturę tajemnicy, częściowo stał się odpowiedzialny za dziesiątki tysięcy nadużyć seksualnych, które rozsadzają go od środka. Wiedzą też, że seksualne pożądanie, a przede wszystkim pożądanie homoseksualne, to jeden z najsilniejszych motorów napędzających życie Watykanu.

Franciszek ma świadomość, że musi doprowadzić do zmiany stanowiska Kościoła, co oznacza bezlitosną walkę z tymi, którzy używają seksualnej moralności i homofobii do ukrycia własnej hipokryzji i podwójnego życia. Jednak ukryci homoseksualiści stanowią potężną i wpływową większość, a „najsztywniejsi” z nich bardzo hałaśliwie demonstrują swoją homofobię.

Mamy więc papieża, który mieszka w Sodomie. Straszony, atakowany z każdej strony, krytykowany Franciszek znalazł się, jak powiedziano, „pośród wilków”.

Czy może raczej – jest otoczony księżniczkami.

CZĘŚĆ PIERWSZA
FRANCISZEK



*Cztery umieszczone w tej książce schematy zostały uproszczone – niektóre stanowiska, tytuły i daty dla większej czytelności zostały pominięte. W 2017 roku stworzono sekcję trzecią sekretariatu stanu.

1.

Dom Świętej Marty

– DOBRY WIECZÓR – słyszę głos w słuchawce. – Chciałbym podziękować.

Francesco Lepore z kciukiem przy uchu i z małym palcem przy ustach odgrywa przede mną rozmowę telefoniczną. Właśnie odłożył słuchawkę i mowa jego ciała zdaje się równie ważna jak wypowiadane przez jego tajemniczego interlokutora słowa – włoskie, lecz z silnym akcentem. Lepore przypomina sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– To było 15 października 2015 roku, koło godziny szesnastej czterdzieści pięć, dobrze to pamiętam. Kilka dni wcześniej umarł mój ojciec, czułem się samotny i opuszczony. Nagle zadzwoniła moja komórka. Numer nieznany. Odebrałem machinalnie.

– Pronto.

Usłyszałem głos:

– Buona sera! Tu papież Franciszek. Dostałem pański list, przekazał mi go kardynał Farina. Chcę powiedzieć, że jestem poruszony pana odwagą, że przemawia do mnie uczciwość i szczerość tego listu.

– Ojcze święty, jestem bardzo wzruszony tym telefonem, tym, że ojciec święty postanowił do mnie zadzwonić – odpowiedział Lepore drżącym głosem, zadziwiony tą nieoczekiwaną rozmową. – To nie było konieczne. Po prostu czułem potrzebę, żeby to napisać.

– Nie, to ja jestem wzruszony pana szczerością i odwagą. Nie wiem, w jaki sposób mógłbym teraz pomóc, ale chciałbym coś zrobić.

Francesco Lepore się zawahał. Po chwili milczenia papież

powiedział:

– Mogę mieć prośbę?

– Jaką?

– O modlitwę za mnie?

Francesco Lepore dalej milczał.

– W końcu odpowiedziałem, że przestałem się modlić. Ale gdyby on zechciał, mógłby pomodlić się za mnie.

Franciszek powiedział, że „już się za niego modlił”, i zapytał:

– Mogę pana pobłogosławić?

– Oczywiście na to pytanie papieża Franciszka odpowiedziałem twierdząco. Znów zapadła cisza, potem jeszcze raz mi podziękował i tak rozmowa się skończyła.

Po chwili Francesco Lepore dodał:

– Wie pan, nie sprzyjam szczególnie temu papieżowi. Nieczęsto zdarza mi się bronić Franciszka, ale ten gest naprawdę mnie wzruszył. Nigdy o tym nie mówiłem, zachowałem to dla siebie jako prywatny sekret, jako coś dobrego. Pierwszy raz komuś o tym opowiadam. (Kardynał Farina, którego dwa razy odwiedziłem w jego watykańskim mieszkaniu, potwierdził przekazanie listu Leporego papieżowi i to, że Franciszek faktycznie do niego zadzwonił).

PAPIEŻ ZADZWONIŁ NIEDŁUGO PO TYM, JAK Francesco Lepore zerwał z Kościołem. Złożył dymisję i został, jak mówi oficjalna formuła, „przeniesiony do stanu świeckiego”. Ksiądz intelektualista, duma watykańskich kardynałów zrzucił sutannę. Po czym napisał list do Franciszka – jakby ból kazał mu wrzucić do morza butelkę z zapisaną kartką – list, w którym opowiedział swoją historię, historię księdza homoseksualisty, który został papieskim łacińskim tłumaczem. Napisał go, żeby z tym wszystkim skończyć. Żeby żyć w zgodzie z samym sobą i zerwać z hipokryzją. Tym gestem Lepore spalił za sobą mosty.

Jednak ten święty nakaz zwrócił go nieubłaganie ku przeszłości, o której chciał zapomnieć. Kazał raz jeszcze spojrzeć na rozdział, który już zamknął – na swoją miłość do łaciny i stanu duchownego; religijne początki, wyświęcenie na księdza; życie w Domu Świętej Marty, przyjaźnie z wieloma biskupami i kardynałami, niekończące się rozmowy o Chrystusie i homoseksualizmie, potajemne, czasem po łacinie.

Stracone złudzenia? Tak, zapewne. Szybko piął się w górę – młody ksiądz pracujący u boku najznamienitszych kardynałów, a wkrótce bezpośrednio w służbie trzech papieży. Wiązano z nim wielkie nadzieje, obiecywano mu karierę w Pałacu Apostolskim, może nawet we włoskim episkopacie, albo – kto wie? – purpurowy habit i czerwony kapelusz!

To było, zanim dokonał wyboru. Francesco musiał zdecydować – Watykan czy homoseksualizm. I, inaczej niż wielu księży i kardynałów, którzy wolą prowadzić podwójne życie, wybrał wolność i życie w zgodzie ze sobą. To uczciwość księdza Leporego sprawiła, że papież Franciszek osobiście do niego zadzwonił – chociaż w rozmowie nie poruszył bezpośrednio kwestii homoseksualizmu.

– Wydawał się poruszony moją historią, może również tym, że odkryłem przed nim niektóre watykańskie praktyki, może tym, jak nieludzko potraktowali mnie moi przełożeni – w Watykanie jest wielu opiekunów i obowiązuje *ius primae noctis*. I jak mnie porzucili, gdy tylko przestałem być księdzem.

Jednak, co bardziej znaczące, papież Franciszek otwarcie podziękował Francesco Leporemu za to, że w sprawie swojej seksualnej orientacji wybrał „dyskrecję", „pokorę", „sekret" i nie zdecydował się na hałaśliwy, publiczny coming out (papież był zresztą na tyle przebiegły, by znaleźć mu pracę).

Jakiś czas później Watykan ostro zareagował na głośny, medialny

coming out prałata z otoczenia kardynała Ratzingera, monsiniora Krzysztofa Charamsy. Do niego papież nie zadzwonił!

Widzimy tutaj, jak działa niepisana zasada Sodomy: by pozostać częścią Watykanu, trzeba przestrzegać kodeksu „ukrywania się w szafie” polegającego na tolerancji dla homoseksualizmu księży i biskupów, nawet dla tego, że niektórzy czerpią z niego radość, pod warunkiem że we wszystkich przypadkach jest on trzymany w sekrecie. Tolerancja łączy się z dyskrecją. I – jak mówił Al Pacino w *Ojcu chrzestnym* – nigdy nie wolno krytykować ani opuszczać „rodziny”, „Don’t ever take sides against the family”.

Zgłębiając przez długi czas ten temat, odkryłem, że wśród kleru bycie gejem oznacza dopasowanie się do pewnej normy. Jedyna granica, której nie wolno przekroczyć, to ujawnienie się w mediach lub aktywizm. Bycie homoseksualistą w Kościele jest możliwe, łatwe, banalne, niekiedy nawet wspierane. Zakazane jest tylko mówienie o tym, ujawnianie swojej orientacji. Homoseksualista dyskretny jest „z parafii”. Ten, który wywołuje skandal, sam się wyklucza z rodziny.

W świetle tego „kodeksu” telefon papieża Franciszka do Francesco Leporego wreszcie nabiera sensu.

PO RAZ PIERWSZY SPOTKAŁEM LEPOREGO, gdy zaczynałem zbierać materiały do tej książki. Kilka miesięcy przed jego listem i telefonem od papieża. Ten człowiek, z racji wykonywanego zawodu zobowiązany do milczenia, dyskretny tłumacz ojca świętego, zgodził się rozmawiać ze mną z odsłoniętą przyłbicą. Dopiero zaczynałem pracę nad książką i niewiele jeszcze zdobyłem kontaktów. Potem poznałem w Watykanie dziesiątki księży gejów, ale Francesco Lepore był jednym z pierwszych. Nigdy nie przypuszczałem, że po nim znajdę w stolicy apostolskiej aż tak wielu duchownych gotowych mi się wyspowiadać.

Dlaczego mówią? W Rzymie wszyscy się zwierzają – księża,

gwardia szwajcarska, biskupi, niezliczeni monsiniorzy, a jeszcze chętniej kardynałowie. Same gaduły! Każdy z tych eminencji i ekscelencji okazuje się bardzo rozmowny, wystarczy odpowiednio do niego podejść. Czasem jest to istny słowotok, w wielu przypadkach co najmniej brak ostrożności. Każdy ma swój powód. Jedni mówią, bo chcą zająć stanowisko w toczącej się wewnątrz Watykanu zażartej wojnie ideologicznej między tradycjonalistami a liberałami. U innych wynika to z chęci wpłynięcia na rzeczywistość, można powiedzieć, że z próżności. Niektórzy mówią, bo są homoseksualistami, a nie mogąc mówić o sobie, chcą przynajmniej opowiedzieć wszystko o innych. Bywają i tacy, którzy robią to z goryczy, przez upodobanie do plotek i obmowy. Starzy kardynałowie często żywią się pogłoskami i oczernianiem bliźnich. Przywodzą mi na myśl bywalców podejrzanych męskich klubów z lat pięćdziesiątych XX wieku, złośliwych światowców, którzy okrutnie ze wszystkich szydzili, bo nie akceptowali swojej własnej natury. „Szafa" jest miejscem pełnym niewyobrażalnego okrucieństwa.

Francesco Lepore chciał z niej wyjść. Od razu podał mi swoje prawdziwe nazwisko, godząc się na nagranie i upublicznienie naszych rozmów.

Na pierwsze spotkanie zorganizowane przez wspólnego znajomego Pasquale Quarantę, dziennikarza gazety „La Repubblica", na drugim piętrze restauracji Eataly przy rzymskiej Piazza della Repubblica Lepore spóźnił się nieco z powodu strajku komunikacji miejskiej. Wybrałem Eataly, stawiającą na modny „slow food", jedzenie ekologiczne i „made in Italy", bo to lokal względnie dyskretny, oddalony od Watykanu – można tam spokojnie porozmawiać. W karcie dziesięć rodzajów makaronów – dość rozczarowujących – i siedemdziesiąt trzy typy pizzy, nieszczególnie współgrające z moją dietą „low carb". Spotykałem się tam z Leporem często, prawie

co miesiąc, na długie nasiadówki nad talerzem mojego ulubionego spaghetti all'amatriciana. Za każdym razem były ksiądz, siadając za stołem, nagle się ożywiał.

NA NIECO POŻÓŁKŁYM ZDJĘCIU Z DAWNYCH CZASÓW, które mi pokazuje, koloratka odcina się nieskazitelną, kredową bielą od czarnej sutanny – Francesco Lepore właśnie przyjął święcenia kapłańskie. Ma krótkie, starannie przyczesane włosy i gładko wygoloną twarz – zupełnie inaczej niż dziś, gdy nad bujną brodą świeci zupełnie łysa czaszka. Czy to ten sam człowiek? Sfrustrowany seksualnie ksiądz i homoseksualista akceptujący swoją orientację to dwa oblicza tej samej rzeczywistości.

– Urodziłem się w Benewencie, mieście w Kampanii, trochę na północ od Neapolu – opowiada Lepore. – Moi rodzice byli katolikami, ale niepraktykującymi. Ja zaś bardzo wcześnie poczułem głęboki pociąg do religii. Kochałem kościoły.

Wielu księży homoseksualistów, z którymi rozmawiałem, mówiło mi o tym „pociągu". O tajemnym poszukiwaniu łaski. O fascynacji sakramentami, splendorem ukrytego za zasłoną tabernakulum cyborium i monstrancji. O magii konfesjonałów, tych odosobnionych zakątków, fantasmagorycznych przez wiązane z nimi obietnice. O procesjach, rekolekcjach, chorągwiach. Także o zdobnych strojach: sukniach, sutannach, albach, stułach. O pragnieniu przeniknięcia sekretów zakrystii. I jeszcze o muzyce – o pieśniach na nieszpory, o męskich głosach i dźwięczności organów. Nie można zapomnieć też o klęcznikach!

Wielu opowiadało, że Kościół stał się dla nich „jakby drugą matką", a wiemy przecież, jak bardzo charakterystyczny dla tego bractwa jest irracjonalny i samozwańczy kult świętej dziewicy. Mama! Jak wielu pisarzy homoseksualistów, od Marcela Prousta po Pasoliniego, poprzez Juliena Greena i Rolanda Barthesa, a nawet

Jacques'a Maritaina, śpiewało z głębi serca pieśń miłosną do swojej matki, swoją najważniejszą pieśń, będącą jednocześnie jednym z kluczy do zrozumienia ich autocenzury (zarówno wśród pisarzy, jak i wśród księży wielu znajdziemy takich, którzy pogodzili się ze swoim homoseksualizmem dopiero po śmierci matki). Mama – zawsze wierna swojemu chłopczykowi, mama, która odwzajemniała miłość i troszczyła się o starego już synka jak o największy skarb – i która często wszystko rozumiała.

Francesco Lepore chciał podążyć tą samą drogą co jego ojciec.

– Ojciec uczył łaciny i ja też chciałem nauczyć się tego języka, wejść w ten świat – ciągnie Lepore. – Chciałem opanować łacinę do perfekcji. A w wieku dziesięciu czy jedenastu lat zapragnąłem wstąpić do seminarium.

Co wbrew woli rodziców zrobił i jako piętnastolatek myślał już o podążeniu ścieżką – jak to mówią – kariery duchownej.

Typowa droga młodych księży wygląda na ogół tak: niższe seminarium duchowne, pięć lat studiów filozoficznych i teologicznych, którym towarzyszą „posługi" – lektoraty i akolitaty, potem diakonat i wyświęcenie.

– Zostałem księdzem w wieku dwudziestu czterech lat 13 maja 2000 roku, w roku świętym i zarazem roku World Gay Pride – zgrabnie posumował Francesco Lepore.

Młody człowiek szybko pojął, że bycie duchownym i homoseksualistą – wbrew temu, co myślał wcześniej – nie wyklucza się ani nawet nie jest przypadkowym połączeniem.

– Zawsze wiedziałem, że jestem homoseksualistą. Odczuwałem wobec tych pragnień zarazem pociąg i obrzydzenie. Dojrzewałem w środowisku, które uważało homoseksualizm za coś z gruntu złego, czytałem książki teologiczne, w których był on nazywany grzechem. Dlatego długo żyłem w poczuciu winy. Aby się z nim uporać,

wybrałem drogę zanegowania seksualnego pociągu i zastąpienia go pociągiem do religii – wybrałem czystość i seminarium. Zostanie księdzem było dla mnie sposobem odpokutowania grzechu, którego nie popełniłem. Przez lata nauki na Uniwersytecie Opus Dei w Rzymie bardzo intensywnie oddawałem się modlitwie, żyłem w ascezie, posuwałem się do pokuty cielesnej, próbowałem zostać franciszkaninem, by jeszcze silniej doświadczać religii. Przez pięć lat udało mi się zachować czystość, nawet bez masturbacji.

Droga Francesco Leporego, życie między grzechem a umartwieniem, rozdzierająca chęć ucieczki od pragnień za cenę najstraszliwszych ograniczeń to we Włoszech XX wieku rzecz w zasadzie normalna. Od dawna kariera duchownego była idealnym rozwiązaniem dla tych, którym trudno było przyznać się do własnej orientacji. Dziesiątki tysięcy włoskich księży szczerze wierzyło, że religijne powołanie było „rozwiązaniem" ich „problemu". To właśnie pierwsza reguła Sodomy: s t a n d u c h o w n y d ł u g o s t a n o w i ł i d e a l n e s c h r o n i e n i e d l a m ł o d y c h h o m o s e k s u a l i s t ó w. H o m o s e k s u a l i z m j e s t j e d n y m z k l u c z y d o i c h p o w o ł a n i a.

ZATRZYMAJMY SIĘ NA CHWILĘ PRZY TYM MODELU. By zrozumieć życiową drogę większości kardynałów i niezliczonych księży, których spotkamy na kartach tej książki, trzeba zacząć od niemal darwinowskiego procesu selekcji, który ma swoje socjologiczne wyjaśnienie. We Włoszech przez długi czas była to wręcz reguła. Młodzi, zniewieściali mężczyźni, którzy bali się własnych pragnień; chłopcy czujący pociąg do najlepszego przyjaciela, z których szydzono, bo mówili afektowanym tonem; homoseksualiści, którzy poszukiwali własnej natury, choć bali się do niej przyznać; seminarzyści, którzy nie poszli właściwą ścieżką – wszyscy oni nie mieli zbyt wielkiego wyboru we Włoszech lat

trzydziestych, czterdziestych czy pięćdziesiątych XX wieku. Niektórzy jednak, kierowani jakimś atawizmem, wcześnie pojęli, jak z bolesnego doświadczenia homoseksualizmu można uczynić siłę, jak przekuć słabość w atut – i zostawali księżmi. Mogli z powrotem przejąć władzę nad własnym życiem, wierząc, że odpowiadają na podwójne wezwanie, Chrystusa i swego pożądania.

Czy mieli innym wybór? We włoskim miasteczku w Lombardii czy w piemonckiej wiosce, skąd pochodzi wielu kardynałów, homoseksualizm w tamtych czasach wciąż uważano za zło absolutne. Ledwo rozumiano to „mroczne nieszczęście”[8]; lękano się tej „obietnicy wielokształtnej i złożonej miłości”, bano się „niewymownego i nieznośnego nawet szczęścia”[9]. Poddać się temu, nawet pozostając dyskretnym, znaczyło wybrać życie w kłamstwie lub banicję; zostanie księdzem zdawało się skuteczną ucieczką. Wstąpienie do stanu duchownego upraszczało życie niepogodzonego ze swoją orientacją homoseksualisty – żyje wśród chłopców i nosi sukienki, nie pytają go już o dziewczyny; koledzy ze szkoły, którzy wcześniej z niego drwili, są pod wrażeniem; on, dotąd wyszydzany, ma dostęp do zaszczytów, a mama, która – powtórzę to raz jeszcze – choć nic nie mówi, wszystko rozumie, pochwala to cudowne powołanie. A co najważniejsze, czystość w relacjach z kobietami i obietnica celibatu nie przerażają przyszłego księdza, przeciwnie – przyjmuje to ograniczenie z radością! We Włoszech od lat trzydziestych do sześćdziesiątych XX wieku porządek rzeczy wyglądał tak (lub działo się tak siłą rzeczy), że młody homoseksualista wybierał wyświęcenie i ten właśnie rodzaj „ślubów czystości pomiędzy mężczyznami”.

Włoski mnich, benedyktyn pracujący na jednym z rzymskich uniwersytetów, tak mi streszczał ten tok rozumowania:

– Wybór kapłaństwa był u mnie przede wszystkim wynikiem

głębokiej i żarliwej wiary. Jednak patrząc wstecz, widzę, że był to również sposób na kontrolowanie własnej seksualności. Zawsze wiedziałem, że jestem gejem, jednak dopiero dużo później, po czterdziestce, zaakceptowałem to jako fundamentalny aspekt mojej osobowości.

Oczywiście każdy przypadek jest jedyny w swoim rodzaju. Od wielu włoskich księży wiem, że odkryli swój homoseksualizm już po wyświęceniu lub po przybyciu do Watykanu. Sporo z nich przekroczyło tę granicę dużo później, po czterdziestym roku życia lub w latach siedemdziesiątych.

Do tej socjologicznej selekcji księży dochodzi selekcja episkopalna, co jeszcze zwiększa rozmiary zjawiska. Homofilni kardynałowie faworyzują duchownych, którzy mają „skłonności”, ci zaś wybierają księży gejów. Nuncjusze, papiescy ambasadorzy, wśród których procent homoseksualistów jest rekordowy, również dokonują „naturalnej” selekcji. Według wszystkich zebranych przeze mnie świadectw księża, którzy podzielają ten gust – o ile zostanie to dostrzeżone – znajdują się w uprzywilejowanej sytuacji. Ujmując rzecz bardziej prozaicznie, nierzadko nuncjusz lub biskup mianuje księdza, który jest „z parafii”, bo oczekuje w zamian pewnych względów.

Oto druga reguła Sodomy: im bliżej *sancta sanctorum*, tym więcej homoseksualizmu; im wyżej w katolickiej hierarchii, tym więcej homoseksualistów. W kolegium kardynalskim i w Watykanie preferencyjny dobór przyniósł owoce – homoseksualizm stał się zasadą, heteroseksualizm wyjątkiem.

NA POWAŻNIE ZABRAŁEM SIĘ DO PISANIA TEJ KSIĄŻKI

W KWIETNIU 2015. Pewnego wieczora mój włoski wydawca, Carlo Feltrinelli, zaprosił mnie na kolację do restauracji Rovelli przy via Tivoli w Mediolanie. Znaliśmy się, opublikował trzy moje książki, chciałem porozmawiać z nim o *Sodomie*. Już od roku badałem sprawę homoseksualizmu w Kościele katolickim, sporo na ten temat przeczytałem, przeprowadziłem wiele wywiadów we Włoszech i w kilku innych krajach, jednak projekt wciąż był dość mglisty. Miałem temat, ale nie wiedziałem, jak go opisać.

Chyba w tym samym roku podczas publicznych wystąpień w Neapolu i w Rzymie, mówiąc o katolikach gejach, rzuciłem: „Warto by pewnego dnia pokazać, jak to wygląda w Watykanie". Po pewnym czasie przypomniał mi to zdanie młody pisarz z Neapolu, wrócił do niego także dziennikarz „La Repubbliki", Pasquale Quaranta, przyjaciel, który potem towarzyszył mi w przygotowaniu tej książki. Jednak temat wciąż nie mógł nabrać kształtu.

Szedłem na kolację, przypuszczając, że Carlo Feltrinelli nie będzie zainteresowany tym pomysłem – w takim razie zrezygnowałbym i *Sodoma* nie ujrzałaby światła dziennego. Jednak stało się inaczej. Wydawca Borysa Pasternaka, Günthera Grassa, a ze współczesnych autorów Roberto Saviana, wypytał mnie dokładnie, jak sobie to wszystko wyobrażam, po czym, chcąc mnie zachęcić do pracy, a zarazem ostrzec, powiedział:

– By nadać tej książce odpowiednią wagę, dobrze byłoby wydać ją jednocześnie we Włoszech, Francji i w Stanach Zjednoczonych. Ma pan zdjęcia? Będzie pan też musiał pokazać mi, że wie więcej, niż mówi.

Pociągnął łyk rocznikowego wina i dalej myślał na głos. Nagle wykrzyknął, przeciągając głoskę „r".

– Będą chcieli pana zamorrrdować!

Dał mi zielone światło. Rzuciłem się w wir tej przygody i odtąd co miesiąc przyjeżdżałem do Rzymu. Lecz nie wiedziałem jeszcze, że moje śledztwo obejmie ponad trzydzieści krajów i potrwa cztery lata. Praca nad *Sodomą* zaczęła się na dobre. Kości zostały rzucone!

PRZY VIA OSTIENSE 178, W POŁUDNIOWEJ CZĘŚCI RZYMU, mieści się tradycyjna trattoria Al Biondo Tevere. Tyber przepływa tuż pod restauracyjnym ogródkiem – stąd jej nazwa. Lokal jest banalny, pustawy, daleko od centrum, na domiar złego teraz, w styczniu, jest tu diablo zimno. Po jaką cholerę Francesco Gnerre umówił się ze mną w tej knajpie na końcu świata?

Gnerre, emerytowany profesor literatury, dużą część swego życia poświęcił włoskiej literaturze gejowskiej. Napisał też w ciągu ponad czterdziestu lat setki recenzji książek dla różnych homoseksualnych pism.

– Tysiące gejów, takich jak ja, stworzyło swoją bibliotekę, czytając artykuły Francesco Gnerrego w „Babilonii" i „Pride" – tłumaczy mi Pasquale Quaranta, dziennikarz, który zorganizował tę kolację.

Gnerre nie przypadkiem wybrał to miejsce. Wieczorem 1 listopada 1975 roku w Al Biondo Tevere Pier Paolo Pasolini jadł kolację w towarzystwie Pelosiego, młodego mężczyzny, homoseksualnej prostytutki. To on kilka godzin później najprawdopodobniej zamordował reżysera na plaży w Ostii. Ta „ostatnia wieczerza" tuż przed jedną z najbardziej przerażających i najsłynniejszych zbrodni we włoskiej historii została w dziwny sposób upamiętniona na ścianach restauracji. Wycinki prasowe, fotosy z planu, sceny z filmów – cały świat Pasoliniego ożył na murach pokrytych farbą emaliową.

– Największe włoskie stowarzyszenie gejów to Watykan – rzuca na przystawkę Francesco Gnerre.

Po czym zaczyna snuć długą opowieść o zagmatwanych dziejach

uwikłania włoskich księży w homoseksualizm, odkrywa przy okazji homoseksualizm różnych katolickich pisarzy. Mówi również o Dantem.

– Dante nie był homofobem. W *Boskiej komedii* są cztery odniesienia do homoseksualizmu, w *Piekle* i *Czyśćcu*, choć nie ma żadnego w *Raju!* Widać sympatię Dantego do bohatera geja, Brunetto Latiniego, który był jego dawnym nauczycielem retoryki. Mimo że umieszcza go w trzecim kole siódmego kręgu piekła, z szacunkiem odnosi się do jego homoseksualnej natury.

Chcąc rozwiązać swój własny dylemat przez zgłębianie nauk humanistycznych, łaciny, kultury, ksiądz Francesco Lepore też spędził całe lata, próbując odszyfrować to, co niewypowiedziane w literaturze i kinie – studiował poematy Pasoliniego, Leopardiego, Carla Cocciolego, *Pamiętniki Hadriana* Marguerite Yourcenar, filmy Viscontiego; nie umknęły jego uwadze także homoseksualne postaci z *Boskiej komedii* Dantego. Jak dla wielu źle czujących się w swojej skórze włoskich księży i homoseksualistów literatura była dla niego czymś niezwykle ważnym, była „najpewniejszym schronieniem".

– Dzięki literaturze zrozumiałem wiele rzeczy – dodaje Lepore. – Poszukiwałem kodów i haseł dostępu.

Odszyfrowując te informacje, warto się zainteresować inną ważną w tym kontekście osobą, o której rozmawiamy z profesorem Francesco Gnerrem – Marco Bisceglią. Bisceglia to człowiek o trzech żywotach. Był współzałożycielem Arcigay, od czterdziestu lat najważniejszej włoskiej organizacji homoseksualistów. Arcigay liczy kilkaset tysięcy członków zgromadzonych w lokalnych komitetach w ponad pięćdziesięciu miastach półwyspu. Ale przedtem Bisceglia był księdzem.

– Marco poszedł do seminarium przekonany, że wzywa go głos Boga. Opowiadał mi, że najszczerzej wierzył w swoje religijne

powołanie. Aż do chwili, kiedy mając ponad pięćdziesiąt lat, odkrył, że jego prawdziwym powołaniem jest homoseksualizm. Długo wypierał swoją orientację. Myślę, że we Włoszech to bardzo typowa droga. Chłopak, który woli czytać, niż grać w futbol, którego nie pociągają dziewczyny, który nie za dobrze rozumie naturę swojego pożądania; który nie chce wyznać rodzinie i matce swoich niepokojących pragnień – to wszystko w sposób niemal naturalny prowadzi młodych włoskich homoseksualistów do seminarium. Tyle że Marco Bisceglia w najmniejszym stopniu nie był hipokrytą. Przez te dziesięciolecia, kiedy był w Kościele, nie eksperymentował z gejowskim stylem życia. Dopiero potem zaczął przeżywać swoją homoseksualność z żarliwością konwertyty.

Ten ciepły portret zarysowany mi przez Gnerrego, który dobrze znał Bisceglię, maskuje zapewne jego udręki i psychologiczne kryzysy jako księdza. W pewnym momencie przeszedł na stronę teologii wyzwolenia, miał też, jak się zdaje, zatargi z hierarchią kościelną, co przyczyniło się być może do decyzji o zostaniu gejowskim aktywistą. Jednak pod koniec życia, po latach walki o prawa gejów, wrócił do kapłaństwa. Zmarł w 2001 roku na AIDS.

A więc trzy drogi życiowe: ksiądz, przeciwstawiający się księżom bojownik o prawa gejów, a na koniec człowiek pogodzony z Kościołem, chory na AIDS. Autora jego biografii, Rocca Pezzana, z którym też rozmawiałem, zadziwia to „życie loosera”; jego zdaniem Marco Bisceglia szedł od porażki do porażki i nigdy nie odnalazł własnej drogi. Francesco Gnerre jest łaskawszy, podkreśla jego „konsekwentną postawę”, uważa, że jego życie było „pełne bólu, lecz wspaniałe”.

Księża i homoseksualiści – czy to dwie strony jednego medalu? Inny przedstawiciel włoskiego ruchu gejowskiego, Gianni Delle Foglie, założyciel pierwszej „branżowej” księgarni w Mediolanie,

który interesował się homoseksualnymi pisarzami katolickimi, wypowiedział to słynne zdanie: „Gejów zostawiono prawie samych w starciu z Watykanem. Może to i lepiej, zostawicie nas samych! Walka gejów z Watykanem to wojna między gejami [*una guerra tra froci*]”!

SWOJE PIERWSZE SEKSUALNE PRZYGODY Francesco Lepore przeżył w Rzymie. Stolica, miasto Hadriana i Michała Anioła, pozwoliła mu odkryć – podobnie jak wielu włoskim księżom – jego szczególne upodobania. Tutaj zobaczył, że śluby czystości nie są zbyt skrupulatnie przestrzegane i że homoseksualiści stanowią wśród księży większość.

– Znalazłem się w Rzymie sam i odkryłem pewien sekret – ten, że księża często wiodą rozpustne życie. Dla mnie to był zupełnie nowy świat. Nawiązałem relację z pewnym księdzem, trwała pięć miesięcy. Po rozstaniu przeszedłem głęboki kryzys. Mój pierwszy duchowy kryzys. Jakże mógłbym być księdzem, a jednocześnie żyć jak homoseksualista?

Lepore poruszył ten temat ze swoimi spowiednikami, z pewnym księdzem jezuitą (któremu opowiedział wszystkie detale), a następnie ze swoim biskupem (któremu ich oszczędził). Wszyscy oni zachęcali go, by pozostał w stanie duchownym, nie mówił więcej o homoseksualizmie i nie czuł się winny. Bez ogródek dali mu do zrozumienia, że może znajdować spełnienie swojej seksualności, pod warunkiem że będzie dyskretny i że nie będzie walczył o prawa homoseksualistów.

W tym właśnie czasie jego nazwisko pojawiło się w kontekście stanowiska w prestiżowym sekretariacie stanu w Pałacu Apostolskim w Watykanie, co oznacza służbę u boku papieskiego „szefa rządu”.

– Szukali księdza znakomicie mówiącego po łacinie, a że chodziły plotki o moim kryzysie, ktoś wysunął moją kandydaturę. Monsinior

Leonardo Sandri, który potem został kardynałem, skontaktował się z moim biskupem i zaprosił mnie na spotkanie z ludźmi z sekcji łacińskiej. Zdałem test z łaciny i zostałem przyjęty. Choć pamiętam, że dostałem pewną przestrogę, co dowodzi, że wiedzieli o mojej orientacji – używając sformułowań pełnych podtekstów, powiedzieli mi, że „choć mam odpowiednie kwalifikacje do objęcia stanowiska", powinienem „poświęcić życie papieżowi i zapomnieć o wszystkim innym".

Trzydziestego listopada 2003 roku ksiądz z Neapolu wprowadził się do Domu Świętej Marty, hotelu dla kardynałów w Watykanie, a dziś miejsca zamieszkania papieża Franciszka.

BY ZWIEDZIĆ DOMUS SANCTÆ MARTHÆ, potrzeba specjalnego zezwolenia. Możliwe jest to jedynie w środę i czwartek rano między dziesiątą a dwunastą, gdy papież przebywa w bazylice Świętego Piotra. Monsinior Battista Ricca, słynny dyrektor rezydencji, który ma tu swoje biuro, udzielił mi niezbędnego zezwolenia. Poinformował mnie szczegółowo, jak przejść przez kontrolę żandarmów, a potem gwardii szwajcarskiej. Często spotykałem tego prałata o wodnistych oczach, bliskiego Franciszkowi wolnego strzelca, który doświadczył w życiu wzlotów i upadków. To dzięki niemu – jak zobaczymy – zamieszkam później w jednym z watykańskich hoteli.

Pięciopiętrowy, liczący sto dwadzieścia pokoi Dom Świętej Marty mógłby być jakimś podmiejskim motelem w Atlancie czy Houston – gdyby nie mieszkał tu papież. Ta nowoczesna, bezosobowa i pozbawiona wyrazu budowla razi na tle piękna Pałacu Apostolskiego.

Gdy wraz z dyplomatą Fabrico Rivetem zwiedzałem słynne trzecie piętro imponującego pałacu, zachwyciłem się malowanymi na ścianach mappae mundi, dzikimi bestiami Rafaela, artystycznymi plafonami korespondującymi ze strojami szwajcarskiej gwardii. Nic

podobnego nie znajdziemy u Świętej Marty.

– Trochę tu zimno, fakt – przyznaje Harmony, młoda Sycylijka, która ma nas oprowadzić.

Na tabliczce przy wejściu zauważam napis: „Obowiązuje odpowiedni strój”. Kawałek dalej: „Nie wchodzimy w szortach i spódnicach”. Odnotowuję też na recepcji kilka toreb od Gammarellego, luksusowego krawca szyjącego dla papieży. Sala audiencji i sale prasowe w amfiladzie też są nijakie, wszystko na jedno kopyto – triumf złego gustu.

W papieskiej sali przyjęć trafiam na gigantyczne dzieło przedstawiające dziewicę z Guadalupe, symbol religijności całej Ameryki Łacińskiej – prezent dla papieża od kardynała i arcybiskupa Meksyku Norberto Rivery Carrery, który być może w ten sposób chciał zyskać przebaczenie za kontakty, jakie utrzymywał. (Kardynał, krytykowany za to, że nie zadziałał w sprawie słynnego księdza pedofila Marciala Maciela Degollada, został wysłany przez Franciszka na emeryturę).

Kilka metrów dalej kaplica zarezerwowana do użytku papieża – co dzień o siódmej rano odprawia tam mszę w wąskim gronie. Kaplica jest brzydka, podobnie jak jadalnia, która, choć dużo obszerniejsza, przypomina stołówki zakładowe. Harmony pokazuje stół, trochę oddalony od pozostałych, przy którym Franciszek je posiłki w towarzystwie co najwyżej sześciu osób.

Na drugim piętrze znajduje się prywatna siedziba ojca świętego. Nie można jej zwiedzić, oglądam za to jej dokładną replikę w przeciwległym skrzydle – skromne mieszkanie w amfiladzie z małym salonem i sypialnią z jednoosobowym łóżkiem. Jeden z chroniących papieża gwardzistów, który często spędza noce przed drzwiami papieskiej sypialni, potwierdza te informacje. Odbędę z nim potem w Rzymie niejedną rozmowę, będziemy nawet mieli

swoją stałą winiarnię, Masakar w dzielnicy Borgo, daleko od Watykanu, gdzie umawiałem się z tymi, którzy cenili dyskrecję. Po paru miesiącach ten młody człowiek stanie się – jak zobaczymy – jednym z informatorów, dzięki którym poznam gejowskie życie Watykanu.

Tymczasem jesteśmy już w pralni. Anna to łagodna, usłużna kobieta, Harmony przedstawia mi ją jako „papieską praczkę". W dwóch pomieszczeniach na lewo od papieskiej kaplicy zakonnica ta z absolutnym poświęceniem zajmuje się strojami Franciszka. Z pieczołowitością godną Całunu Turyńskiego rozkłada przede mną ornaty i alby (Franciszek, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie nosi rokiety ani karmazynowego mucetu).

– Proszę spojrzeć na różne habity, jakie nosi jego świątobliwość. Normalnie biały, na zwykłą mszę zielony, czerwony i fioletowy na specjalne okazje. Jest jeszcze złoty, ale tego ojciec święty nie używa – tłumaczy Anna.

Zbliża się koniec mojej wizyty w Domu Świętej Marty. Spotykam jeszcze Gilberto Bianchiego, papieskiego ogrodnika, jowialnego Włocha, oddanego sługę Santo Padre, wyraźnie przejętego losem cytrusów jego świątobliwości posadzonych na zewnątrz, tuż przed papieską kaplicą.

– Rzym to nie Buenos Aires! – oświadcza Gilberto z miną znawcy.

I dorzuca, podlewając orchidee:

– Dziś w nocy było za zimno. Nie wiem, czy pomarańcze, cytryny i mandarynki to przeżyją.

Ja też przyglądam się zaniepokojony wspartym o mur drzewkom. Mam nadzieję, że uda im się przetrwać zimę. Co tu kryć, nie jesteśmy w Buenos Aires!

– Mur, który pan tu widzi, obok kaplicy, gdzie rosną pomarańcze, stanowi granicę – wyjaśnia mi znienacka Harmony.

– Jaką granicę?

– Watykanu! Z drugiej strony są Włochy.

OPUSZCZAJĄC DOM ŚWIĘTEJ MARTY, przy samym wejściu do budynku wpadam na stojak, w którym tkwi wielki parasol w tęczowych barwach – rainbow flag!

– To nie jest parasol papieża – wyjaśnia natychmiast Harmony, jakby bała się jakiejś gafy.

Gwardziści mnie pozdrowili, żandarmi, widząc, że się oddalam, przestali się mną interesować, ja zaś puściłem wodze fantazji. Do kogo może należeć ten piękny parasol zdobny w kolory przeciwne naturze? Może do monsiniora Battista Riccy, *direttore* Świętej Marty, który tak miło mnie zapraszał do zwiedzania kierowanej przez siebie rezydencji? Czy został zapomniany przez jednego z asystentów papieża? Albo przez kardynała, którego cappa magna tak pięknie by do tęczowego parasola pasowała?

Wyobrażałem sobie taką scenę – jego szczęśliwy posiadacz, kardynał czy monsinior, spaceruje po ogrodach Watykanu z tęczową flagą w dłoni! Kim jest? Jak się ośmielił? Może jest niezorientowany? Oczyma duszy widzę go idącego pod tym parasolem Via delle Fondamenta, potem Rampa dell’Archeologia, by złożyć wizytę Benedyktowi XVI żyjącemu w klasztornym odosobnieniu w Mater Ecclesiae. A może nawet przechadza się z tą wielobarwną flagą koło siedziby świętego oficjum, Kongregacji Nauki Wiary, dawnej Inkwizycji? Niewykluczone zresztą, że tęczowy parasol nie ma żadnego znanego właściciela, że też jest „ukryty w szafie”. Włóczy się. Służy temu i owemu, ktoś go pożycza, oddaje, potem bierze ktoś inny. Wyobrażam sobie, że duchowni przekazują go sobie, wymieniają się nim w zależności od okoliczności i pogody. Ten, żeby pomodlić się pod tęczą; tamten, by się powłóczyć wokół fontanny muszli czy Wieży św. Jana; inny jeszcze, żeby oddać cześć postaci

z najbardziej wielbionego posągu watykańskich ogrodów, świętemu Bernardowi z Clairvaux, wielkiemu reformatorowi, doktorowi Kościoła, znanemu z homofilnych tekstów oraz z czułej przyjaźni łączącej go z irlandzkim arcybiskupem Malachiaszem z Armagh. Czy postawienie w samym jądrze rzymskiego katolicyzmu pomnika podwójnego życia nie jest pięknym symbolem?

Ach, jakże bym chciał być dyskretnym obserwatorem, członkiem gwardii szwajcarskiej na warcie, recepcjonistą u Świętej Marty, by śledzić losy tego wielobarwnego parasola, tego „statku pijanego”, lżejszego od korka, tańczącego po alejkach watykańskich ogrodów. Ta „potępiona przez tęczę”[10] rainbow flag – czy to sekretny kod „dzikiej parady”[11], o której mówi Poeta? Chyba że tak naprawdę służy wyłącznie ochronie przed deszczem!

– PRZYBYŁEM DO DOMU ŚWIĘTEJ MARTY z końcem roku 2003 – ciągnie podczas innego obiadu Francesco Lepore.

Będąc najmłodszym księdzem w stolicy apostolskiej, uczył się życia pośród watykańskich kardynałów, biskupów i starych nuncjuszy. Znał ich wszystkich, był asystentem wielu z nich, wiedział, jakie mają talenty i jakie manie, domyślał się ich sekretów.

– Mieszkali tam wszyscy, z którymi pracowałem. Nawet monsinior Georg Gänswein, który miał zostać osobistym sekretarzem papieża Benedykta XVI, też żył tam razem z nami.

Lepore przez rok mieszkał w słynnym watykańskim hotelu, który okazał się zadziwiającą sceną homoerotycznego spektaklu.

– Dom Świętej Marty to miejsce władzy – uściśla. – To wielkie targowisko ambicji i intryg, dużo tu rywalizacji i zazdrości. Faktem jest, że znaczna liczba żyjących tu księży to homoseksualiści i przypominam sobie, że podczas posiłków ciągle się na ten temat żartowało. Wymyślało się kardynałom gejom kobiece przezwiska – cały stół śmiał się z tego. Wiedzieliśmy, kto ma partnera, kto

sprowadza sobie do Świętej Marty chłopców na noc. Wielu prowadziło podwójne życie: za dnia ksiądz w Watykanie, nocą homoseksualista w barach i nocnych klubach. Tacy hierarchowie mieli często zwyczaj czynić awanse młodszym księżom, takim jak ja, seminarzystom, gwardzistom czy świeckim pracownikom Watykanu.

Wielu opowiadało mi o „plotkarskich posiłkach”, w czasie których księża na głos opowiadali historie z papieskiego dworu, a szeptem historie o chłopcach – a często były to te same opowieści. Ach, te żarty w Domu Świętej Marty! Ach, te obmowy, jakie słyszałem w Domus Internationalis Paulus VI, w Domus Romana Sacerdotalis i w watykańskich mieszkaniach, kiedy i ja tam mieszkałem i jadałem obiady.

Francesco Lepore ciągnie dalej:

– Jeden z hierarchów ze Świętej Marty pracował w sekretariacie stanu. Był blisko kardynała Giovanniego Battisty Re. W tamtych czasach miał młodego przyjaciela, Słowianina, który często wieczorami zjawiał się w hotelu. Przedstawiał nam go jako swojego krewnego – siostrzeńca czy bratanka. Oczywiście nikt nie dał się nabrać! Gdy ksiądz awansował, plotki się nasiliły. Wtedy kardynał Giovanni Battista Re i biskup Fernando Filoni rozwiązali problem, publicznie oświadczając, że młody Słowianin jest członkiem rodziny księdza, i sprawa była zamknięta!

Albowiem wszechobecność homoseksualistów w Watykanie to nie wypaczenie, to nie kwestia jakiejś „czarnej owcy”, „zgniłego jabłka” czy „zepsutej ryby zaplątanej w sieci”, jak przekonywał Joseph Ratzinger. Nie chodzi o „lobby”, o odszczepieńców, nie ma żadnej sekty ani masonerii w łonie stolicy apostolskiej – to system. Homoseksualiści nie są nieznaczącą mniejszością, są zdecydowaną większością.

Gdy nasza rozmowa doszła do tego etapu, zapytałem Francesco

Leporego, jak dużą jego zdaniem grupę stanowią w Watykanie wszelkiego rodzaju homoseksualne osoby.

– Myślę, że to bardzo wysoki procent. Powiedziałbym, około osiemdziesięciu – zapewnił.

Z kolei pewien arcybiskup niebędący Włochem, z którym spotkałem się kilka razy, wyjaśniał:

– Mówi się, że trzech z pięciu ostatnich papieży miało skłonności homofilne, podobnie jak część ich asystentów i sekretarzy stanu. To samo w przypadku większości kardynałów i biskupów kurii. Nie pytamy jednak, czy ci księża z Watykanu mają ten typ skłonności. Bo mają. Chodzi o to – i to jest przedmiot sporu – czy są to czynni homoseksualiści? Tu sprawy się komplikują. Niektórzy prałaci mający takie inklinacje nie ulegają im. Ich styl życia, ich kulturę można nazwać homofilną, lecz nie żyją jak homoseksualiści.

PRZEPROWADZIŁEM OKOŁO DZIESIĘCIU ROZMÓW z Francesco Leporem, opowiedział mi o gejowskim szaleństwie Watykanu. Jego świadectwo jest niepodważalne. Miał wielu kochanków wśród arcybiskupów i prałatów; zalecali się do niego kardynałowie. Skrupulatnie sprawdziłem każdą historię, osobiście kontaktując się z tymi kardynałami, arcybiskupami, monsiniorami, nuncjuszami, minutantes, asystentami, zwykłymi księżmi i spowiednikami z bazyliki Świętego Piotra – okazało się, że wszyscy byli „z parafii”.

Lepore długo pozostawał na zewnątrz tej machiny. Jednak tak łatwo jest, gdy jakiś kardynał dyskretnie cię podrywa albo monsinior bezwstydnie robi ci awanse, rozpoznawać tych „ukrytych w szafie” i tych „czynnych”. Ja też tego doświadczyłem. To taka łatwa gra! Nawet gdy jesteś zamknięty na kłódkę, gdy jesteś zatwardziałym kawalerem, „schowanym w szafie” mocnej niż sejf, nawet gdy ślubowałeś heteroseksualny celibat – i tak w końcu przyjdzie chwila, kiedy się zdradzisz.

Dzięki Leporemu, a wkrótce – na zasadzie naczyń połączonych – dzięki dwudziestu ośmiu innym informatorom, księżom i osobom świeckim pełniącym różne funkcje w Watykanie, w rozmowach ze mną otwarcie występującym jako geje, dzięki tym wszystkim ludziom, z którymi spotykałem się przez cztery lata, od początku mojego dochodzenia wiedziałem, dokąd zmierzam. Rozpoznałem kardynałów „z parafii", jeszcze zanim ich spotkałem, wiedziałem, do których asystentów się zbliżyć, z którymi monsiniorami warto się zaprzyjaźnić. Wielu z nich „w to weszło".

Długo będę pamiętał te niekończące się rozmowy z Leporem w rzymskie noce, te chwile, kiedy wymieniałem nazwisko jakiegoś kardynała czy arcybiskupa, a on nagle się ożywiał, wybuchał radością, a w końcu, machając rękami, wykrzykiwał: „gayissimo!".

PRZEZ DŁUGI CZAS FRANCESCO LEPORE należał do ulubionych księży Watykanu. Młody i atrakcyjny – wręcz sexy – przy tym wykształcony intelektualista pociągał i fizycznością, i umysłem. Przez całe dnie tłumaczył oficjalne dokumenty papieskie na łacinę i odpowiadał na listy do ojca świętego. Pisał także artykuły o kulturze do „L'Osservatore Romano", oficjalnego watykańskiego dziennika.

Kardynał Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI, wówczas prefekt Kongregacji Nauki Wiary, zgodził się nawet napisać przedmowę do zbioru uczonych tekstów młodego księdza i bardzo go chwalił.

– Zachowałem miłe wspomnienia z tamtego okresu – mówi mi Lepore – jednak mój homoseksualizm stawał się dla mnie coraz dotkliwszym problemem. Miałem wrażenie, że moje życie nie należy już do mnie. Poza tym bardzo szybko wciągnęła mnie gejowska kultura Rzymu – zacząłem bywać w sportowych klubach, najpierw heteroseksualnych, ale to się widziało. Coraz rzadziej odprawiałem

msze, wychodziłem w cywilnych ubraniach, bez sutanny i koloratki, niebawem przestałem nocować w Domu Świętej Marty. Dowiedzieli się o tym moi przełożeni. Chcieli znaleźć mi inną funkcję, pewnie odesłać mnie z Watykanu. Wstawili się za mną osobisty sekretarz papieża Jana Pawła II monsinior Stanisław Dziwisz i redaktor naczelny „L'Osservatore Romano", do którego pisałem. Udało się, zostałem w Watykanie.

Nieraz jeszcze spotkamy w tej książce Stanisława Dziwisza – dziś jest emerytowanym kardynałem, mieszka w Krakowie, gdzie spotkałem się z nim dwukrotnie i przeprowadziłem wywiad. Przez długi czas był jedną z najpotężniejszych osób w Watykanie, praktycznie rządził nim w duecie z kardynałem sekretarzem stanu Angelo Sodanem w czasie, gdy pogarszał się stan zdrowia Jana Pawła II. Powiedzieć, że tego pełnego energii Polaka otacza czarna legenda, to eufemizm. Nie idźmy jednak zbyt szybko, niech czytelnicy mają czas, by zrozumieć, jak działa system.

Tak więc dzięki Dziwiszowi Francesco Lepore został mianowany osobistym sekretarzem kardynała Jeana-Louisa Taurana, bardzo wpływowego Francuza, wytrawnego dyplomaty, „ministra spraw zagranicznych" Jana Pawła II. Spotkałem się z Tauranem cztery razy, kontaktowałem się z nim w Watykanie regularnie, został moim kolejnym informatorem. Żywiłem bezgraniczną sympatię do tego kardynała, człowieka niebanalnego, wewnętrznie rozdwojonego, któremu straszna choroba Parkinsona na długo odebrała sprawność, aby w końcu – latem 2018 roku, właśnie wtedy, gdy czytałem ostateczną wersję tej książki – zabrać go na zawsze.

Dzięki świetnie znającemu jego obyczaje Tauranowi Lepore kontynuował życie intelektualisty w Watykanie. Pracował kolejno dla włoskiego kardynała Raffaele Fariny, kierującego biblioteką i tajnymi archiwami stolicy apostolskiej, potem dla jego zastępcy,

arcybiskupa Jeana-Louisa Bruguèsa, także świadomego jego inklinacji. Powierzono mu wydanie rzadkich rękopisów; publikował wybory teologicznych rozpraw w oficjalnych wydawnictwach stolicy apostolskiej.

– Wiodłem podwójne życie. Ta rozdzierająca hipokryzja potwornie mi ciążyła – ciągnie Lepore. – Nie miałem dość odwagi, by po prostu wszystko rzucić, przestać być duchownym.

Zaczął starannie przygotowywać swoje odejście, starając się jednak uniknąć skandalu.

– Nie mogłem złożyć dymisji, byłem zbyt tchórzliwy. Ze słabości zdecydowałem się na taki manewr, żeby decyzja nie wyszła ode mnie.

Zgodnie z wersją, jaką mi podał (a którą potwierdzili kardynałowie Jean-Louis Tauran i Farina), postanowił wejść na gejowskie portale w swoim komputerze w Watykanie i „specjalnie” zostawić je otwarte na kompromitujących artykułach i stronach.

– Świetnie wiedziałem, że wszystkie komputery są pod ścisłą kontrolą i że zaraz zostanę namierzony. Tak właśnie było. Wezwano mnie i sprawy potoczyły się bardzo szybko. Nie było ani procesu, ani kary. Zaproponowano mi powrót do mojej starej diecezji i zajęcie tam ważnego stanowiska. Odmówiłem.

Incydent potraktowano poważnie, zasługiwał na uwagę Watykanu. Francesco Lepore został przyjęty przez kardynała Taurana, który „był bardzo smutny z powodu tego, co się wydarzyło”.

– Tauran zarzucał mi łagodnie naiwność – przecież powinienem wiedzieć, że „Watykan widzi wszystko”, że trzeba być ostrożnym. Nie winił mnie za to, że jestem gejem, lecz za to, że dałem się złapać! I tak się to wszystko skończyło. Kilka dni później opuściłem Watykan i ostatecznie przestałem być księdzem.

2.

Teoria genderu

HALL? GABINET? BUDUAR? Jestem w salonie – poczekalni prywatnego mieszkania amerykańskiego kardynała Raymonda Leo Burke'a, w oficjalnej watykańskiej rezydencji przy Via Rusticucci w Rzymie. Przyglądam się starannie temu dziwnemu i tajemniczemu wnętrzu. Jestem tu sam. Kardynał jeszcze się nie zjawił.

– Coś zatrzymało jego eminencję. Niedługo powinien być – mówi Adriano, ksiądz z Kanady, elegancki i trochę spięty asystent Burke'a.

– Wie pan, co się dzieje?

W dzień mojej wizyty papież Franciszek wezwał amerykańskiego kardynała na dywanik. Trzeba przyznać, że Burke nie żałował sobie prowokacji i dekretów wymierzonych w ojca świętego do tego stopnia, że uznano go za wroga numer jeden papieża. Dla Franciszka Burke jest faryzeuszem, a w ustach jezuity naprawdę nie jest to komplement.

Wypytywanych przeze mnie kardynałów i innych hierarchów z otoczenia papieża cała sytuacja bawi.

– Jego eminencja Burke jest szalona! – rzuca jeden z nich, Francuz, który przyjmując gramatyczną logikę, łączy eminencję z żeńskim przymiotnikiem.

Ta feminizacja męskich tytułów jest zaskakująca, dużo czasu zajęło mi przywyknięcie w Watykanie do tego sposobu mówienia o kardynałach i biskupach. O ile Paweł VI miał zwyczaj mówić o sobie w liczbie mnogiej („Uważamy…”), o tyle, jak konstatuję, Burke lubi, by o nim mówiono w rodzaju żeńskim: „Wasza

eminencja może być dumna", „Wasza eminencja jest wspaniała", „Wasza eminencja jest zbyt łaskawa".

Bliski Franciszkowi kardynał Walter Kasper jest ostrożniejszy, gdy wspominam o Burke'u, ogranicza się do kiwania głową na znak zdziwienia i niedowierzania, choć przymiotnik „szalony" (tym razem w rodzaju męskim) też mu się wymyka.

Ojciec Antonio Spadaro (z którym regularnie umawiałem się na rozmowy w siedzibie pisma „La Civiltà Cattolica"), jezuita uważany za szarą eminencję papieża, podchodzi do sprawy rozsądnie i tłumaczy:

– Kardynał Burke stanął na czele przeciwników papieża. Opozycjoniści działają popędliwie i często są bardzo zamożni, ale nie są zbyt liczni.

Pewien watykanista zdradził mi przezwisko, jakim amerykańskiego kardynała, krępego i niewysokiego, nazywają w jego kurii „The Wicked Witch of the Midwest" [Zła Czarownica ze Środkowego Zachodu – to imię na podobieństwo złej wiedźmy z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz" – przyp. red.]. Ale sam Franciszek w walce ze zbuntowanym eminencją, który chce bronić tradycji, nie bawi się w gry słowne. Bo pod maską człowieka uśmiechniętego i jowialnego ukrywa się twardziel. „Sekciarz" – mówią jego krytycy, których w Watykanie dziś nie brakuje.

Ojciec święty ukarał kardynała Burke'a, zwalniając go bez uprzedzenia z funkcji prefekta Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, najważniejszej instancji sądowniczej Kościoła katolickiego. W ramach nagrody pocieszenia – *promoveatur ut amoveatur* (degradacja przez promocję) – został mianowany przedstawicielem papieża przy zakonie maltańskim. Nosząc górnolotny tytuł „Cardinalis Patronus", kardynała patrona zakonu, Burke dalej przeciwstawiał się następcy Piotrowemu, czym zasłużył

na kolejne ostrzeżenie z jego strony – właśnie w dniu mojej wizyty.

Powodem nowego starcia – tego nikt by nie wymyślił – była kwestia dystrybucji prezerwatyw! Suwerenny zakon maltański prowadzi w wielu krajach działalność charytatywną. Niektórzy jego członkowie rozdawali w Birmie prezerwatywy osobom seropozytywnym, by zapobiec dalszym zarażeniom. Po przeprowadzeniu wewnętrznego śledztwa „wielki mistrz" oskarżył osobę „numer dwa" w zakonie, „wielkiego kanclerza", o tak zwaną promocję kondomów. Upokorzenie to chleb powszedni w katolicyzmie, choć rzadko sięga poziomu *Salo, czyli 120 dni Sodomy* Pasoliniego. Pierwszy odwołał drugiego z jego funkcji w obecności przedstawiciela papieża, kardynała Burke'a.

Idźcie w pokoju, ofiara spełniona? Raczej nie. Sprawa nabrała rumieńców, kiedy papież dowiedział się, jaką rolę mogły tu odegrać porachunki między homoseksualnymi klanami, oraz pojął finansowe kulisy sporu.

Franciszek, bardzo niezadowolony, wezwał Burke'a, zażądał od niego wyjaśnień i postanowił przywrócić wielkiego kanclerza na jego stanowisko. Wbrew frontalnemu sprzeciwowi wielkiego mistrza, który powołał się na suwerenność swojej organizacji i na wsparcie Burke'a. Ta trzymająca całą kurię w napięciu próba sił zakończyła się dymisją wielkiego mistrza i objęciem zakonu nadzorem. Burke też został potraktowany surowo, bo choć zachował tytuł, to wiążąca się z tym władza została przekazana papieskiemu substytutowi. „Ojciec święty zostawił mi tytuł Cardinalis Patronus, ale nie pełnię już żadnej funkcji. Nie jestem nawet o niczym informowany ani przez zakon maltański, ani przez papieża" – będzie się skarżył Burke.

Moje spotkanie z Burke'em wypadło właśnie w tym odcinku zadziwiającej telenoweli, w którym został wezwany przez kogoś

z otoczenia papieża. Tak więc, kiedy kardynał dostawał burę, ja siedziałem sam w poczekalni.

TAK NAPRAWDĘ NIE BYŁEM JUŻ SAM. Dołączył do mnie Daniele Particelli. Ten młody włoski dziennikarz, polecony mi kilka miesięcy wcześniej przez doświadczonych kolegów po fachu, często towarzyszył mi podczas wywiadów. Jako researcher, tłumacz i uparty fikser będzie przez cztery lata moim głównym współpracownikiem w Rzymie. Ciągle pamiętam naszą pierwszą rozmowę:

– Nie jestem wierzący – powiedział – dzięki temu mam otwarty umysł i swobodę myślenia. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy tutejszej, rzymskiej, wspólnoty LGBTQ – jej imprezy, aplikacje, undergroundowa scena gejowska. Fascynuję się też technologią cyfrową, jestem geekiem. Chciałbym stać się lepszym dziennikarzem, chciałbym nauczyć się opowiadać historie.

Tak zaczęła się nasza zawodowa współpraca. Chłopak Danielego uprawiał egzotyczne rośliny, on sam co wieczór zajmował się Argo, psem rasy welsh corgi pembroke, wymagającym szczególnej troski. Przez resztę czasu był wolny i mógł wraz ze mną przeprowadzać wywiady.

Przed Danielem pomagali mi w zbieraniu materiałów inni włoscy dziennikarze, okazywali się jednak niesolidni lub roztargnieni, za bardzo lub za mało zaangażowani. Danielemu podobał się mój temat. Nie chciał się mścić na Kościele, ale nie był wobec niego pobłażliwy, chciał po prostu wykonywać swoją dziennikarską robotę z obiektywizmem, według modelu – jak mi tłumaczył – dobrych artykułów z „New Yorkera”, czyli tego, co nazywamy „narrative non fiction”. To wszystko pasowało do moich planów. Miał ambicje uprawiać „straight journalism”, jak to nazywają Amerykanie – dziennikarstwo faktów, fakty i tylko fakty, plus fact-checking. Nie wyobrażał sobie, że świat, jaki u mego boku odkryje, będzie aż tak

bardzo nieprawdopodobny i tak mało „straight”.

– Przepraszam, ale jego eminencja przekazała mi, że będzie jeszcze później – poinformował nas wyraźnie zawstydzony asystent Burke’a Don Adriano.

By uniknąć krępującej ciszy, zapytałem, czy jesteśmy w mieszkaniu kardynała, czy w jego biurze.

– Jego eminencja nie ma biura – odpowiedział młody ksiądz – Pracuje u siebie. Możecie panowie dalej tu czekać.

Hall kardynała Burke’a – miejsce, które zapadło mi w pamięć na zawsze – to obszerna garsoniera czy raczej salon, klasyczny, luksusowy, a jednocześnie bez wyrazu. Amerykanie nazywają to „bland” – nijaki. Pośrodku ciemny drewniany stół, współczesna kopia starego modelu, stojący na dobranym do niego dywanie. Wokół kilka okazałych foteli, czerwonych, żółtych i beżowych z rzeźbionego drewna, z kształtnymi poręczami zdobnymi w głowy sfinksów czy grzywiastych lwów. Na komodzie leży otwarta na pulpicie Biblia, na stole kompozycja z suchych sosnowych szyszek przyklejonych do siebie w splotach – ornamentalna sztuka starego dandysa. Skomplikowany abażur. Parę okropnych ozdób z cennych kamieni i religijnych figurek. I serwetki! Na ścianach biblioteka na uporządkowanych regałach i ogromny portret duchownego. Czy to Burke? Nie, lecz przemknęła mi przez głowę taka myśl.

Domyślam się, że dla młodego asystenta Burke jest bohaterem, zapewne go ubóstwia (Amerykanie mają ładniejsze słowo, „lionize”). Odważyłem się zagaić rozmowę o płci aniołów, lecz Don Adriano okazuje się nieśmiały i małomówny, a w końcu znów zostawia nas samych.

Czekanie staje się tak nieznośne, że wymykam się z salonu i snuję po mieszkaniu kardynała. Nagle natykam się na prywatny ołtarz z dekoracją w postaci fałszywej góry lodowej, z retabulum –

barwnym tryptykiem przypominającym otwartą kapliczkę ozdobionym migającą świetlną girlandą, ze słynnym kardynalskim czerwonym kapeluszem pośrodku. Kapeluszem? Powiedziałbym raczej, że to czepiec!

Przypominają mi się tak często wyszydzane w internecie ekstrawaganckie fotografie Raymonda Leo Burke'a: kardynał diwa, kardynał dandys, kardynał drama queen. Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. A patrząc na to, zaczynamy wyobrażać sobie Watykan w innym świetle. Śmiać się z Burke'a to łatwizna!

Moje ulubione zdjęcie amerykańskiego hierarchy nie jest wcale najbardziej spektakularne. Widzimy na nim sześćdziesięcioletniego kardynała na dwa razy większym od niego trawiastozielonym tronie, otoczonego złotymi flagami. Ma na sobie odblaskową mitrę w kształcie wieży w Pizie i długie turkusowe rękawice – jakby żelazne dłonie. Jego mucet jest zielony jak kapusta, haftowany na żółto, kapa też zielona, lecz jak liść pora, odsłania koronkową liliowoczerwoną komżę. Kolory zadziwiają, strój jest niesamowity, zdjęcie dziwaczne i „kampowe". Łatwo zrobić karykaturę karykatury.

Don Adriano przyłapał mnie na medytacji przed czerwonym kardynalskim kapeluszem i z łagodnością szambelana wskazał mi drogę do toalety, której przecież szukam.

– To tędy – mruczy, spoglądając na mnie.

Tak więc w czasie, gdy jego eminencja Burke dostaje burę od Franciszka, ja znajduję się w jego łazience, miejscu, gdzie dokonuje ablucji. Dziwna łaźnia, godna luksusowego resort-spa, nagrzana jak sauna. Markowe mydła, subtelne perfumy ułożone są w stylu japońskim, małe ręczniczki złożone na średnich, te na wielkich, wielkie zaś na bardzo wielkich. Papier toaletowy jest nowy, zamknięty w opakowaniu gwarantującym niepokalaną czystość. Po wyjściu odkrywam w korytarzu dziesiątki butelek

szampana. Markowego szampana! Po jakie licho kardynałowi tyle alkoholu? Czy ewangelie nie wspominają o umiarkowaniu?

Parę kroków dalej odkrywam coś zachwycającego – mebel z lustrami, rodzaj „psyche”, wielkiego przechylnego lustra pozwalającego oglądać się w całości. Gdybym otworzył wszystkie trzy skrzydła jednocześnie, zobaczyłbym się tak, jak kardynał widzi się co rano – otoczonego, oplecionego własnym obrazem.

Przed szafą widzę wspaniałe czerwone torby przybyłe prosto ze sklepu – czyżby to znów Gammarelli, papieski krawiec? W środku pudeł na kapelusze: kardynalskie czepce, płaszcze ze sztucznego futra i stroje w rozmiarze maksi. Czuję się jak na planie *Rzymu* Felliniego, w czasie przygotowań do sceny ekstrawaganckiego pokazu kościelnej mody. Zaraz wyłonią się zakochani księża na wrotkach (by szybciej dotrzeć do Raju); siostrzyczki w kornetach, księża w sukniach ślubnych, biskupi w migocących światełkach, kardynałowie przebrani za lampy oraz – gwóźdź programu – Król Słońce w całym swym przepychu, pośród luster i świateł. (Watykan w 1972 roku domagał się ocenzurowania filmu, a jednak – jak mnie zapewniano – do dziś krąży on po progejowskich dormitoriach niektórych seminariów).

Nie odkryłem wszystkich tajemnic szafy amerykańskiego eminencji. Don Adriano, nadintendent zajmujący się kardynalską garderobą, grzecznie skierował mnie z powrotem do salonu, kładąc kres moim eksploracjom i pozbawiając mnie możliwości ujrzenia słynnej kardynalskiej cappa magna.

Burke znany jest z noszenia śmiesznych strojów z innej epoki. Sławę zyskały jego zdjęcia w przeznaczonym do ceremonii wielkim ornacie. To wielki człowiek, a w cappa magna staje się gigantem – nie przymierzając kobieta-wiking! Performance. Happening. Burke paraduje w swojej długiej, dziwnej sukni (jakby uszytej z kotary),

demonstrując godowe upierzenie.

Ornat ten to migotliwie czerwona jedwabna kapa z kapturem zapinanym na guziki za szyją, zamknięta z przodu (ręce wychodzą przez pęknięcia) i z trenem tym dłuższym, im wyższa – powiedzmy – godność. „Ogon" Burke'a miewa, w zależności od okazji, nawet dwanaście metrów długości. Czy kardynał „larger than life" próbuje w ten sposób, w miarę, jak papież go umniejsza, przydać sobie ważności?

Franciszek, który nie boi się stawiać czoła watykańskiej „noblesse de robe", dał do zrozumienia Burke'owi, że w Rzymie cappy magny już się nie nosi. „Karnawał się skończył!" – miał powiedzieć, jak przytaczają media, choć niestety, to zdanie, jak wiele pięknych bon motów, może być apokryfem. Lecz, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, papież naprawdę nie gustuje w fatałaszkach i ozdobach tradycyjnych kardynałów. Chce skrócić ich sukienki. Szczerze mówiąc, byłoby szkoda, gdyby Burke się podporządkował – jego portrety są tak heterodoksyjne.

W internecie jego stroje robią furorę. Widujemy go na przykład w zdobnym w chwosty kardynalskim szerokoskrzydłym czerwonym kapeluszu galero. Prałaci niemal całkowicie zrezygnowali z tego nakrycia głowy po 1965 roku, lecz prawie siedemdziesięcioletni Burke wciąż w nim paraduje, nie dbając, że wygląda jak mściwa starucha. W zakonie maltańskim, który także ma swoje kapy, swoje krzyże i swoje własne regalia, może stroić się tak, jak przystoi człowiekowi średniowiecza, nie budząc żadnej sensacji.

Na jednej z fotografii „jej eminencja" nosi suknię na fortugale dodającą mu rozpiętości i kryjącą wałki tłuszczu. Na innej zadziwia kapą z puszystym białym gronostajem wokół szyi, podkreślającym trzy podbródki. Na kolejnej uśmiecha się, demonstrując podwiązki nad kolanami, i pończochy poniżej – przypominające te, w których

król Francji zaprezentował się na gilotynie. Często widzimy go w otoczeniu całujących go w rękę młodych seminarzystów – nad wyraz zresztą urodziwych, nasz Hadrian zdaje się żywić kult greckiego piękna, które, jak dobrze wiemy, było raczej męskie niż kobiece. Będący w Rzymie przedmiotem podziwu i szyderstw Burke pojawia się zawsze w towarzystwie służalczych przyzwoitek klęczących przed nim antinousów czy ministrantów niosących czerwony tren, jak drużbowie welon za panną młodą. Co za teatr! Kardynał w spódnicy policzkuje swoich efebów, zaś paziowie obciągają jego podwiniętą suknię! Przywodzi to na myśl infantkę Małgorzatę z *Panien dworskich* Velázqueza!

Szczerze mówiąc, to najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem. W obliczu tego mężczyzny przebranego dla podkreślenia męskości tracimy grunt pod nogami i przestajemy rozumieć, o co chodzi. Girly? Tomboy? Sissy? Brak słów, także w angielskim, by opisać tego wyśmiewanego za damskie ciuszki kardynała. Teoria genderowa, ot co! Którą Burke oczywiście atakował. „Teoria gender to wymysł, sztuczny twór. To szaleństwo ściągające wielkie nieszczęścia na społeczeństwo i na życie tych, którzy tę teorię podtrzymują… Niektórzy mężczyźni upierają się [w USA], żeby chodzić do damskich toalet. Tak się nie godzi” – tłumaczył kardynał w jednym z wywiadów.

Burke nie przejmuje się sprzecznościami. W tej kwestii wysoko zawiesił poprzeczkę. Potrafi pojawić się pod pełnymi żaglami, w cappa magna, w najdłuższej sukni, w chmurze białych koronek lub w długim płaszczu podobnym do szlafroka i przez cały wywiad w imię tradycji oskarżać Kościół, że „stał się zbyt kobiecy”.

– Kardynał Burke jest tym, co sam krytykuje – podsumowuje surowo jedna z osób z kręgu Franciszka. Uważa też, że papież prawdopodobnie właśnie jego miał na myśli, kiedy mówił

o „hipokryzji” prałatów, o tych, którzy „upiększają duszę”.

– Faktem jest, że Burke czuje się dziś w Watykanie odosobniony. Ale jest raczej wyjątkowy niż samotny – koryguje jeden ze zwolenników Burke’a, Anglik Benjamin Harnwell, z którym przeprowadziłem pięć rozmów.

Albowiem prałat może wciąż liczyć na kilku przyjaciół, którzy usiłują dorównać mu, nosząc stroje w kolorach żywej czerwieni, żółtej ptasiej kupy czy mrożonego kasztana. W konkursie cappa magna biorą udział: hiszpański kardynał Antonio Cañizares, kardynał włoski Angelo Bagnasco, kardynał ze Sri Lanki Albert Patabendige, patriarcha i arcybiskup Wenecji Francesco Moraglia, arcybiskup z Argentyny Héctor Aguer, biskup amerykański Robert Morlino oraz biskup ze Szwajcarii Vitus Huonder. Jednak to już ginący gatunek. Ci księża będący „karykaturami samych siebie” mogliby jeszcze próbować swoich szans w *Drag Race,* amerykańskim reality show, w którym wybiera się najpiękniejszą drag queen w USA, lecz w Rzymie zostali zmarginalizowani lub dymisjonowani przez papieża.

Zwolennicy Burke’a ze stolicy apostolskiej zapewniają, że „przywraca on naszym czasom duchowy wymiar”, lecz sami unikają afiszowania się w jego towarzystwie. Papież Benedykt XVI, który sprowadził go do Rzymu jako dobrego specjalistę od prawa kanonicznego, milczał, gdy karał go Franciszek. Krytycy Burke’a, którzy nie chcą być cytowani, sugerowali mi, że „jest coś na rzeczy”, i puszczali parę plotek. Jednak jak dotąd nie pojawił się najmniejszy dowód na to, że Burke coś ukrywa. Ograniczmy się więc do tego, że jest on, jak wszyscy ludzie Kościoła, „unstraight” (ten ładny neologizm ukuł amerykański pisarz Beat Génération Neal Cassady i używał go w listach do swojego przyjaciela Jacka Kerouaca na określenie osoby nieheteroseksualnej lub zachowującej seksualną

wstrzemięźliwość).

Burke'owi jego wygląd dodaje blasku. W przeciwieństwie do większości współwyznawców, przekonanych, że ukryją swój homoseksualizm, mnożąc homofobiczne deklaracje, on na swój sposób jest szczery. Otwarcie walczy z gejami. Nie ukrywa swoich upodobań, demonstruje je prowokacyjnie i z afektacją. Burke nie jest zniewieściały, chodzi przecież – powiada – o szacunek dla tradycji. A jednak trudno, patrząc na te dziwaczne stroje i niezwykły chód, nie mieć skojarzenia z drag queen!

Julian Fricker, niemiecki artysta drag starający się tworzyć transformistyczne spektakle na wysokim poziomie artystycznym, tłumaczy mi podczas naszego spotkania w Berlinie:

– Gdy oglądam cappa magna, suknie czy kapelusze pełne kwiatowych ornamentów noszone przez kardynałów takich jak Burke, uderza mnie przede wszystkim przesada. Jak największe, jak najdłuższe, jak najwyższe – taka teatralność charakterystyczna jest właśnie dla drag queens. Jest w tym „extravaganza", przesadzona sztuczność, odrzucenie realness (rzeczywistości) – rzeczy, o których mówimy w żargonie drag, by opisać osoby pragnące parodiować siebie samych. Jest pewna „kampowa" ironia w tym, że kardynał wybiera stroje, jakie mogłaby nosić androginiczna Grace Jones lub Lady Gaga. Można mieć wrażenie, że ci duchowni bawią się teorią genderową, tożsamościami, które nie są stałe, są płynne, są queer.

Burke nie jest zwyczajny. Nie jest pospolity, nie jest przeciętny. Jest złożony i wyjątkowy – a zatem fascynujący. Jest w nim ekstrawagancja. Jest jak dzieło sztuki. Oscar Wilde byłby nim zachwycony.

KARDYNAŁ BURKE jest rzecznikiem „tradycjonalistów" i przywódcą homofobów w łonie kurii rzymskiej. Ma na swoim koncie mnóstwo głośnych deklaracji, wśród nich prawdziwe perły

antygejowskiego różańca. „Nie należy – napominał w 2014 roku – zapraszać par gejowskich do rodzinnego stołu, gdy obecne są tam dzieci”. Rok później porównał homoseksualistów żyjących w stałych związkach do „zbrodniarzy, którzy kogoś zamordowali, a teraz starają się być mili dla innych ludzi”. Krytykował papieża, gdyż ten „nie ma prawa zmieniać nauki Kościoła odnośnie do niedopuszczalności aktów homoseksualnych i nierozerwalności więzi małżeńskich”.

W książce-wywiadzie rozważał nawet niemożność miłości między osobami tej samej płci. „Nie sposób mówić o miłości homoseksualnej jak o miłości małżeńskiej, bo przecież dwóch mężczyzn czy dwie kobiety nie mogą przeżyć tego, co stanowi o jedności małżeńskiej”. Homoseksualizm jest dla niego „grzechem ciężkim”, bowiem, zgodnie z klasyczną formułą katechizmu, oznacza wewnętrzny chaos.

– Burke wpisuje się w tradycjonalistyczną linię papieża Benedykta XVI – mówi były ksiądz Francesco Lepore. – Bardzo nie podobają mi się jego poglądy, muszę jednak przyznać, że doceniam jego szczerość. Nie lubię dwulicowych kardynałów. Burke należy do tych nielicznych, którzy mają odwagę mieć własne zdanie. Jest radykalnym przeciwnikiem papieża Franciszka i Franciszek sam go na przeciwnika namaścił.

Opętany przez ideę „homoseksualnej agendy” i teorię gender kardynał Burke atakował w Stanach Zjednoczonych „gay days” w Disneylandzie i mężczyzn tańczących ze sobą w Disney World. Małżeństwa jednopłciowe są jego zdaniem „wyzwaniem rzuconym Bogu”. W jednym z wywiadów uściśla, że gejowskie małżeństwo to „taki rodzaj kłamstwa, jaki może zjawić się tylko z diabelskiego poduszczenia, z namowy Szatana”.

Kardynał prowadzi swoją własną krucjatę. Jego wypowiedzi podczas debaty przed referendum w Irlandii w 2015 roku w sprawie małżeństw jednopłciowych (zakończyło się

sześćdziesięciodwuprocentowym poparciem, trzydzieści osiem procent powiedziało „nie”) były tak brutalne, że przewodniczący konferencji episkopatu Irlandii musiał zdystansować się wobec Burke’a.

W Rzymie Burke jest jak słoń w składzie porcelany, jego homofobia razi nawet najbardziej homofobicznych włoskich kardynałów. Jego legendarna już „heteropanika” – sposób zachowania charakterystyczny dla osób heteroseksualnych, które tak przesadzają z lękiem przed homoseksualizmem, że rodzą się podejrzenia co do ich własnej orientacji – stanowi pretekst do drwin. Jego mizoginia drażni. Włoska prasa szydzi z jego strojów barwy krokusa i katolicyzmu w koronkach.

Podczas wizyty Franciszka w Fatimie, w Portugalii, kardynał Burke posunął się do prowokowania papieża – w trakcie jego homilii bezwstydnie odmawiał różaniec, przesuwając paciorki w dłoni, kartkował Wulgatę – zdjęcie z tym lekceważącym gestem znalazło się na pierwszych stronach portugalskich gazet.

– Przy papieżu bez czerwonych trzewików i ekscentrycznych habitów Burke dosłownie wariuje – ironizuje pewien ksiądz.

DLACZEGO JEST TYLU HOMOSEKSUALISTÓW tu, w Watykanie, pośród najbardziej tradycjonalnych i konserwatywnych kardynałów?

Takie pytanie zadałem znienacka, po prawie godzinie rozmowy, związanemu z kardynałem Burke’em Benjaminowi Harnwellowi. Tłumaczył mi właśnie różnicę między kardynałami „tradycjonalistami” a „konserwatystami” w prawym skrzydle Kościoła. Dla niego Burke, podobnie jak kardynał Sarah, to tradycjonaliści, podczas gdy Müller i Pell są konserwatystami. Pierwsi odrzucają Sobór Watykański II, ci drudzy go akceptują.

Zaskoczony Harnwell spojrzał na mnie badawczo. W końcu rzucił:

– Dobre pytanie.

Harnwell ma koło pięćdziesiątki, jest Anglikiem i mówi z mocnym akcentem. Egzaltowany kawaler, trochę ezoteryczny, raczej mizogin, związany ze skrajną prawicą, ma skomplikowane Curriculum Vitae. Stykając się z takim konserwatyzmem, mam wrażenie, że obcuję nie z poddanym Elżbiety II, lecz królowej Wiktorii – istna podróż w czasie. W tej książce to bohater drugoplanowy, nie jest nawet księdzem, szybko jednak nauczyłem się interesować tymi mniej ważnymi postaciami, dzięki którym jednak czytelnik ma szansę przyjrzeć się skomplikowanym sprawom pod innym kątem. A przede wszystkim nauczyłem się lubić tego katolika – konwertytę, radykała, delikatnego człowieka.

– Jestem po stronie Burke'a, będę go bronił – z góry zastrzega Harnwell, będący, o czym wiedziałem, jedną z zaufanych osób i tajnych doradców „tradycjonalistycznego" kardynała (a nie „konserwatywnego", co podkreśla).

Pewnego wieczora w 2017 roku spędziłem z Harnwellem prawie cztery godziny, najpierw na piętrze smętnego bistro na dworcu Roma Termini, gdzie ostrożnie wyznaczył mi spotkanie, potem w modnej restauracji w centrum Rzymu.

Benjamin Harnwell (z kapeluszem panizza w dłoni) stoi na czele Dignitatis Humanæ Institute, skrajnie konserwatywnego stowarzyszenia i lobby politycznego, któremu, pośród dwunastu innych kardynałów, przewodniczy Burke. W zarządzie tej tradycjonalistycznej grupy znajdziemy najbardziej ekstremistycznych watykańskich prałatów i najbardziej ezoteryczne katolickie zrzeszenia: legitymistycznych monarchistów, ultrasów z zakonu maltańskiego i Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego, zwolenników starego obrządku czy niektórych unijnych parlamentarzystów będących katolickimi integrystami (Harnwell przez długi czas był asystentem parlamentarnym jednego z angielskich europosłów).

Lobby to, szpica watykańskich konserwatystów, jest otwarcie homofobiczne i żarliwie sprzeciwia się gejowskim małżeństwom. Według moich źródeł (oraz według „testimonianzy” monsiniora Viganò, do której wrócimy niebawem) część członków Dignitatis Humanæ Institute w Rzymie i w Stanach Zjednoczonych to osoby homofilne lub czynni homoseksualiści. Dlatego bez ogródek zadałem to pytanie Benjaminowi Harnwellowi.

– Dlaczego jest tylu homoseksualistów tu, w Watykanie, pośród najbardziej tradycjonalnych i konserwatywnych kardynałów?

Dzięki temu nasza rozmowa się rozwidliła i trwała dłużej. Bowiem, o dziwo, pytanie to wyzwoliło mojego rozmówcę. Dotąd toczyliśmy nudną i konwencjonalną konwersację, teraz spojrzał na mnie innym wzrokiem. O czym myśli ten żołnierz kardynała Burke'a? Wystarczyło kliknąć dwa razy w internecie, żeby wiedzieć, że napisałem już trzy książki o sprawie gejów, że jestem żarliwym zwolennikiem związków partnerskich i małżeństw jednopłciowych. Czy to możliwe, że te detale mu umknęły? A może właśnie urok zakazanego owocu, pewien paradoksalny dandyzm skłoniły go do spotkania ze mną? Albo – zgubne na ogół – poczucie, że jest ponad to.

Anglik wprowadza hierarchię grzechów, stara się odróżnić homoseksualistów „czynnych” od tych, którzy się powstrzymują.

– Jeśli nie ma czynu, nie ma grzechu. Zresztą, jeśli nie ma wyboru, też nie ma grzechu.

Benjamin Harnwell, który najpierw się spieszył i miał mi poświęcić tylko chwilę pomiędzy dwoma pociągami, już nie chce się ze mną rozstawać. Teraz on zaprasza na szklaneczkę. Chce mówić o Marine Le Pen, francuskiej polityczce ze skrajnej prawicy, dla której ma wiele sympatii, oraz o Donaldzie Trumpie, którego politykę popiera. A także o problemie gejów. W ten sposób przystąpiliśmy

do omawiania mojego tematu, którego Harnwell już nie odpuszcza. Proponuje wspólną kolację.

„THE LADY DOTH PROTEST TOO MUCH, METHINKS”. Głęboki sens tego Szekspirowskiego zdania, które mogłoby być mottem mojej książki, zrozumiałem dopiero później, już po pierwszej rozmowie z Benjaminem Harnwellem i po wizycie u kardynała Burke’a. Nie mogłem więc, niestety, zapytać tych Anglosasów o słynną replikę z *Hamleta*, którą można przełożyć na przykład tak: „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele”[12].

Nawiedzany przez ducha ojca Hamlet jest przekonany, że jego wuj zamordował króla i poślubił królową, jego matkę; ojczym zajął więc tron w miejsce ojca. Czy syn ma się mścić? Jak zdobyć pewność, że doszło do zbrodni? Hamlet się waha. Jak się dowiedzieć?

Szekspir wymyśla więc słynną pantomimę, sztukę w sztuce (akt III, scena 2) – Hamlet zwabi w pułapkę króla uzurpatora. W tym celu wykorzysta teatr, poprosi przejezdnych aktorów, by odegrali scenę przed prawdziwymi osobami dramatu. Ten teatr cieni z komediowym Królem i Królową w samym środku tragedii pozwala Hamletowi odkryć prawdę. Występujący pod przybranymi imionami aktorzy psychologicznie przenikają realne postaci, ujawniając najgłębiej ukryte aspekty ich osobowości. I kiedy Hamlet pyta siedzącą na scenie matkę: „Jak ci się, pani, podoba ta sztuka?”, ta odpowiada, mówiąc o sobie samej: „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele”.

Odsłaniające hipokryzję zdanie znaczy tyle, że im gwałtowniej przeciw czemuś protestujemy, tym bardziej prawdopodobne, że jesteśmy nieszczerzy. Zdradza nas przesada. Z reakcji królowej i króla, odbijających się w Królowej i Królu z komedii, Hamlet wnioskuje, że ta para zapewne otruła jego ojca.

Oto nowa, trzecia reguła tej książki: I m z a p a l c z y w i e j j a k i ś d u c h o w n y w y s t ę p u j e p r z e c i w g e j o m, i m

silniejsza jest jego homofobiczna obsesja, tym większe prawdopodobieństwo, że jest nieszczery i że za jego zapałem coś się kryje.

W ten sposób rozwiązałem problem moich poszukiwań – skonstruowałem je na wzór pantomimy z *Hamleta*. Celem nie jest ujawnianie, *outing*, żyjących homoseksualistów, nawet jeśli są homofobami. Nie chcę nikogo „zdradzać", w żadnym razie nie chcę przyczyniać się do nieszczęścia księży, braci czy kardynałów, dla których już i tak ich homoseksualizm (prawie stu mi się z niego zwierzyło) jest źródłem cierpienia i strachu. Moje podejście jest „non-judgmental", że pozwolę sobie użyć pięknego angielskiego wyrażenia, nie jestem sędzią! Nie ma więc mowy o osądzaniu księży gejów. Dla wielu czytelników ich liczba okaże się szokująca, lecz ten fakt sam w sobie nie jest moim zdaniem żadnym skandalem.

O ile mamy prawo piętnować hipokryzję – co jest tematem tej książki – o tyle nie chodzi o wypominanie im homoseksualizmu, nie ma też sensu przytaczać zbyt wielu nazwisk. Należy za to, jak mówi Poeta, „oglądać niewidzialne i słyszeć niesłyszalne[13]". Wiele wyjaśnia teatr tych, co „przyrzekają za wiele", i „czarodziejskie widowisko" systemu niemalże całkowicie opartego na sekrecie. Jednak na tym etapie, jak powiedział Poeta, „Ja jeden znam klucz do tej dzikiej parady"[14]!

NIESPEŁNA ROK PO PIERWSZYM SPOTKANIU z Benjaminem Harnwellem, po którym nastąpiły kolejne obiady i kolacje, zostałem zaproszony przez niego na weekend do klasztoru Kartuzji Trisulti w Collepardo, bo właśnie tam, daleko od Rzymu, obecnie mieszka.

Rząd włoski powierzył zarządzanie tym opactwem, uznanym za obiekt dziedzictwa narodowego, stowarzyszeniu Dignitatis Humanæ Institute (którym Harnwell kieruje wraz z Burke'em), pod warunkiem że będzie go utrzymywać. Wciąż mieszka tu dwóch

mnichów. Kiedy przybyłem do klasztoru, zaskoczył mnie ich widok – siedzieli wieczorem na krańcach stołu w kształcie litery U i w milczeniu jedli.

– To ostatni bracia ze wspólnoty religijnej, której reszta członków już nie żyje. Każdy miał swoje miejsce przy stole, ci dwaj ostatni pozostali tam, gdzie zawsze, choć krzesła między nimi stopniowo pustoszały – tłumaczy Harnwell.

Co sprawia, że ci dwaj starcy tkwią osamotnieni w klasztorze, odprawiając każdego dnia o świcie mszę dla nielicznych wiernych? Zastanawiam się nad niesamowitą, wspaniałą drogą życia tych zakonników. Osoba niewierząca – taka jak ja – nie mogłaby odnaleźć w sobie tego oddania, pobożności, ascetyzmu, tej zachwycającej pokory. Ci dwaj braciszkowie, do których czuję najgłębszy szacunek, są dla mnie uosobieniem tajemnicy wiary.

Pod koniec posiłku, układając naczynia w surowej, lecz przestronnej kuchni, zauważam kalendarz ścienny na cześć Duce. Każdy kolejny miesiąc to inna fotografia Mussoliniego.

– Tutaj, na południu Włoch, często można się natknąć na zdjęcia Mussoliniego – próbuje wyjaśnić Harnwell, wyraźnie zawstydzony moim odkryciem.

Harnwell i Burke mają w planach wykorzystanie klasztoru jako swojej włoskiej kwatery głównej i stworzenie tu placówki kształcącej ultrakonserwatywnych katolików. Projekt, o którym Harnwell długo mi opowiadał, zakłada zaoferowanie „schronienia” setkom amerykańskich seminarzystów i wiernych. Ci misjonarze nowego typu będą spędzać tu kilka tygodni lub miesięcy, słuchając wykładów, ucząc się łaciny, wracając do religijnych źródeł, wspólnie się modląc. Ostatecznym celem jest stworzenie wielkiego ruchu i mobilizacja pozwalająca pchnąć Kościół „we właściwym kierunku”. Jak zrozumiałem, chodzi o walkę z pomysłami papieża Franciszka.

W tej batalii Donald Trump i jego słynny były doradca ze skrajnej prawicy, Steve Bannon, wsparli stowarzyszenie Burke'a Dignitatis Humanæ Institute. To dzięki Harnwellowi – co wiem od niego samego – Burke i Bannon (będący katolikiem) spotkali się w tym samym saloniku w Rzymie, gdzie oczekiwałem kardynała. Mężczyźni w mig się dogadali, a w czasie kolejnych spotkań i rozmów ta komitywa jeszcze się pogłębiała. Harnwell nazywa Bannona swoim „intelektualnym guru" i zawsze staje u boku amerykańskiego stratega, gdy ten akurat knuje coś w Watykanie.

Motorem wojny jest „fundraising", Harnwell również pozyskuje fundusze na realizację swojego ultrakonserwatywnego projektu. Zwrócił się z prośbą o pomoc do Bannona i do amerykańskich fundacji. Aby udać się samodzielnie do pustelni w Trisulti, musiał też zrobić prawo jazdy! Podczas jednego z naszych rzymskich obiadów ogłosił, bardzo uradowany, dobrą nowinę:

– Udało się! W końcu, jako czterdziestotrzylatek, zrobiłem prawo jazdy!

Tymczasem Trump wysłał do stolicy apostolskiej kolejnego emisariusza w osobie Callisty Gingrich, trzeciej żony byłego przewodniczącego Izby Reprezentantów, która została ambasadorką USA w Watykanie. Od kiedy przybyła do Rzymu, Harnwell i Burke chuchają na nią i dmuchają. Albowiem jej obecność świadczy o realnym sojuszu amerykańskiej skrajnej prawicy ze skrajną prawicą watykańską (poza tym Burke czyni liczne uprzejmości Europejczykom, przyjmując u siebie włoskiego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego czy ministra rodziny związanego z radykalną prawicą homofoba Lorenzo Fontanę).

A ja, korzystając z czasu, jaki poświęca mi Harnwell w klasztorze, wracam do mojej *idée fixe* i znów pytam go o homoseksualizm w Kościele. Fakt, że w otoczeniu Jana Pawła II, Benedykta XVI

i Franciszka znajdziemy mnóstwo homoseksualistów, to tajemnica poliszynela. Lecz w to, żeby kardynał sekretarz stanu był gejem, Anglik nie może uwierzyć.

Powtarza w kółko: „Kardynał sekretarz stanu gejem?! Kardynał sekretarz stanu gejem?! Kardynał sekretarz stanu gejem?!”. I asystent jednego z papieży, także gej! Harnwell zdaje się zafascynowany naszą rozmową.

Później, podczas wspólnego obiadu w Rzymie, powie mi, że w międzyczasie przeprowadził własne małe śledztwo. I potwierdzi, że wedle jego źródeł byłem dobrze poinformowany.

– Tak, miał pan rację, kardynał sekretarz stanu faktycznie był gejem!

Benjamin Harnwell milknie na chwilę. W środku świątyni pasibrzuchów przed posiłkiem robi znak krzyża i głośno odmawia modlitwę. Anachroniczny, nieco dziwaczny w tej laickiej dzielnicy Rzymu gest przechodzi jednak niezauważony i Harnwell spokojnie może zabrać się do swojej lazanii, popijając ją kieliszkiem (bardzo dobrego) białego włoskiego wina.

Nasza rozmowa przybiera dziwny obrót. Jednak przy każdej okazji broni on „swojego” kardynała Burke’a. „Nie jest politykiem”, „jest bardzo pokorny”, nawet jeśli nosi cappa magna.

Harnwell jest dobroduszny i uparcie twierdzi, że cappa magna to tradycja, a nie przebranie. Jednak gdy pojawia się temat innych postaci związanych z Kościołem, odkrywa się i ryzykuje. Wypowiada się teraz bardzo otwarcie.

Mógłbym dalej streszczać rozmowy, jakie odbyliśmy w czasie tych pięciu obiadów i kolacji, zdać sprawozdanie z plotek krążących wśród konserwatystów. Zachowajmy to jednak na potem, czytelnik na pewno miałby mi za złe, gdybym zdradził teraz wszystko. Na tym etapie przyznam tylko, że i mnie trudno było uwierzyć w tę

niezwykłą opowieść, którą później przytoczę ze wszystkimi detalami. Rzeczywistość, to pewne, przewyższa fikcję. The lady doth protest too much!

SIEDZĄC W SALONIE KARDYNAŁA BURKE'A, który wciąż nie wracał, pocieszając się myślą, że mieszkanie często mówi więcej o człowieku niż długi z nim wywiad, zacząłem dostrzegać powagę problemu. Czyżby faktycznie Raymond Burke i Benjamin Harnwell nie wiedzieli, że Watykan pełen jest duchownych gejów? Amerykański kardynał, będąc przemyślnym łowcą homoseksualistów, jest też erudytą zafascynowanym historią starożytną. Lepiej niż ktokolwiek inny zna mroczne oblicze Sodomy. A to długie dzieje.

Już w średniowieczu papieże Jan XII i Benedykt IX popełnili „obrzydliwość", wszyscy w Watykanie znali imię przyjaciela Hadriana IV (słynnego Jana z Salisbury) i kochanków papieża Bonifacego VIII. Słynne jest też cudownie skandaliczne życie papieża Pawła II – mówi się, że umarł na atak serca w ramionach pewnego pazia. Jeśli chodzi o Sykstusa IV, to wielu swoich kochanków uczynił kardynałami, przy czym swego „siostrzeńca" Raffaele już jako siedemnastolatka (określenie „kardynał-siostrzeniec" zrobiło karierę). Juliusz II i Leon X, dwaj opiekunowie Michała Anioła, a także Juliusz, znani są jako papieże biseksualni. Jak zauważył Oscar Wilde, imię Innocenty w wypadku niektórych papieży było antyfrazą!

Współczesny nam kardynał Burke jak wszyscy zna opowieści o obyczajach papieży Piusa XII, Jana XXIII i Pawła VI. Nietrudno natrafić na różne pamflety i paszkwile, na przykład reżyser Pasolini zadedykował Piusowi XII wiersz, w którym odnosi się do jego przypuszczalnego kochanka (*A un Papa*). Nie można oczywiście wykluczyć, że wszystkie te stare pogłoski to zemsta kurii trzymana przez Watykan i jego plotkarskich kardynałów w sekrecie.

Jednak Burke nie musi sięgać tak daleko. Jeśli chce bliżej poznać ten „szczególny rodzaj przyjaźni”[15], wystarczy, że przyjrzy się dziś własnej ojczyźnie, Stanom Zjednoczonym. Przebywał tam na tyle długo, że na pamięć zna swoich współwyznawców i niekończącą się listę skandali kojarzonych z wieloma amerykańskimi kardynałami i biskupami. Zresztą, wbrew wszelkim oczekiwaniom, w USA to ci najbardziej konserwatywni, homofobiczni bywali wyoutowani, ujawniani przez mszczących się molestowanych seminarzystów, zbyt gadatliwe męskie prostytutki czy dlatego, że wypłynęły jakieś kompromitujące zdjęcia.

Podwójne standardy moralne? W Ameryce, gdzie wszystko jest większe, bardziej ekstremalne, bardziej obłudne, odkryłem, że standardy moralne można mnożyć. Mieszkałem w Bostonie w okresie, kiedy pojawiły się pierwsze informacje na temat gigantycznego pedofilskiego skandalu „Spotlight” i jak wszyscy byłem wstrząśnięty tym, co zostało ujawnione. Dzięki dziennikarskiemu śledztwu dziennika „Boston Globe” w całym kraju wyszedł na jaw wielki system seksualnych nadużyć – oskarżono osiem tysięcy dziewięciuset czterdziestu ośmiu księży i spisano zeznania ponad piętnastu tysięcy ofiar (z czego osiemdziesiąt pięć procent stanowili chłopcy między jedenastym a siedemnastym rokiem życia). Arcybiskup Bostonu, kardynał Bernard Francis Law, stał się symbolem tego skandalu – tuszował przypadki pedofilii i chronił wielu dopuszczających się jej księży. W końcu został zmuszony do dymisji (po czym kardynał sekretarz stanu Angelo Sodano zorganizował jego ewakuację do Rzymu, co pozwoliło mu skorzystać z dyplomatycznego immunitetu i umknąć przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości).

Znający znakomicie amerykański episkopat Burke nie może nie wiedzieć, że katolicka hierarchia jego kraju, kardynałowie, biskupi,

w większości są homoseksualistami. Słynny i potężny arcybiskup Nowego Jorku, Francis Spellman – jeśli wierzyć jego biografom, świadectwu pisarza Gore'a Vidala oraz zwierzeniom byłego szefa FBI Edgara Hoovera – był homoseksualistą „seksualnie niespożytym". Niedawno zmarły kardynał Wakefield Baum z Waszyngtonu od wielu lat żył ze swoim osobistym asystentem – klasyka gatunku.

Kardynał Theodore McCarrick, były arcybiskup Waszyngtonu, także jest zdecydowanie czynnym homoseksualistą – znano go z jego „sleeping arrangements" z seminarzystami i młodymi księżmi, których nazywał swoimi „siostrzeńcami" (w końcu oskarżono go o molestowanie i w 2018 roku papież zakazał mu dalszego publicznego sprawowania posługi). Arcybiskupa Remberta Weaklanda „ujawnił" były partner (potem Weakland opisał we wspomnieniach swoją homofilną drogę życiową). Inny amerykański kardynał został z kolei wyrzucony z Watykanu i odesłany do Stanów Zjednoczonych za niestosowne zachowanie wobec gwardzisty z gwardii szwajcarskiej.

Jeszcze inny kardynał z USA, biskup wielkiego amerykańskiego miasta, „od lat żyje ze swoim boyfriendem, byłym księdzem", zaś arcybiskup innego miasta, zwolennik starego obrządku i zatwardziały uwodziciel, „żyje otoczony wianuszkiem seminarzystów" – jak zapewnia mnie Robert Carl Mickens, amerykański watykanista obeznany z gejowskim życiem katolickich hierarchów w Stanach. Arcybiskup St. Paul i Minneapolis, John Clayton Nienstedt, być może także homoseksualista, który był obiektem dochodzenia w związku z „sexual misconduct with men" (wszystkiemu zaprzeczał), ze względu na tuszowanie seksualnych nadużyć złożył dymisję, która została przyjęta przez papieża Franciszka.

W Ameryce Północnej, gdzie katolicyzm jest mniejszościowy i od dawna ma złą prasę, prywatne życie kardynałów często bywa

dogłębnie analizowane w mediach. Widać mniej skrupułów w ujawnianiu podwójnego życia duchownych niż we Włoszech, w Hiszpanii lub we Francji. Czasami – przypadek Baltimore – to otoczenie biskupa jest wytykane palcami za swoje złe obyczaje i zachowania. Kardynał, o którego tu chodzi, Edwin Frederick O'Brien, były arcybiskup, nie chciał odpowiedzieć na moje pytania o „szczególne przyjaźnie" w jego diecezji. Mieszka teraz w Rzymie, nosi tytuł i atrybuty wielkiego mistrza Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie – tego nikt by nie wymyślił! Kazał mnie przyjąć swojemu zastępcy, Agostinowi Borromeo, potem swojemu rzecznikowi, François Vayne'owi, sympatycznemu Francuzowi, który w czasie trzech naszych spotkań starał się zdementować wszystkie pogłoski.

Jednak według informacji, jakie moi researcherzy zebrali w dziesięciu krajach, spora liczba „wielkich oficerów", „wielkich przeorów" i „kanclerzy" tego zakonu to „ukryci" albo „czynni" homoseksualiści.

– Obecność wielu czynnych homoseksualistów w strukturach organizacyjnych zakonu bożogrobców dla nikogo nie jest tajemnicą – zapewnia mnie „wielki oficer" zakonu, sam zdeklarowany homoseksualista.

Amerykański kardynał James M. Harvey, który pełnił niełatwą funkcję prefekta domu papieskiego w Watykanie, został usunięty ze stanowiska w trybie przyspieszonym („promoveatur ut amoveatur") przez Benedykta XVI. Ten ostatni obarczał go winą za zatrudnienie Paolo Gabrielego, papieskiego kamerdynera, przez którego wyciekły tajne dokumenty (afera Vatileaks). Czy Harvey odegrał jakąś rolę w tym skandalu, który bywa czasem wiązany z „lobby gejowskim"?

Przedmiotem anegdot stał się słynny kardynał Levada, także

Amerykanin, za pontyfikatu Benedykta XVI prefekt Kongregacji Nauki Wiary, którego pewnej nocy w 2015 roku hawajska policja zatrzymała w stanie alkoholowego upojenia. Prasie nie umknęło, że miejsce, w którym dokonano tego spektakularnego aresztowania, ulica Hina Lani, znajduje się w pobliżu gejowskiej dzielnicy Big Island. (Kardynał Levada nie zaprzeczał faktom, w oficjalnym komunikacie powiedział, że był na urlopie z „przyjaciółmi księżmi").

Co myśli kardynał Burke o tych powtarzających się wciąż skandalach, o dziwnych koincydencjach i tak licznych kardynałach należących „do parafii"? Jak może przedstawiać się jako obrońca moralności w sytuacji, gdy amerykański episkopat jest do tego stopnia skompromitowany?

Przypomnijmy także, choć to zupełnie inny temat, że dziesięciu spośród tych amerykańskich kardynałów było zamieszanych w sprawy związane z seksualnymi nadużyciami – jako ich sprawcy (zdymisjonowany Theodore McCarrick), jako osoby kryjące księży drapieżników przez przenoszenie ich z parafii do parafii (Bernard Law i Donald Wuerl – też zdymisjonowani) albo po prostu nie wykazując się wrażliwością na los ofiar, umniejszając ich cierpienia, by chronić instytucję. Kardynałowie Roger Mahony z Los Angeles, Timothy Dolan z Nowego Jorku, William Levada z San Francisco, Justin Rigali z Filadelfii, Edwin Frederick O'Brien z Baltimore i Kevin Farrell z Dallas byli krytykowani przez prasę, podejrzewani przez stowarzyszenia ofiar lub „ujawnieni" w „testimonianzie" monsiniora Viganò. Amerykańska organizacja Bishop Accountability (Odpowiedzialność Biskupów) zarzuciła kardynałowi Burke'owi skłonność do umniejszania wagi faktów i małą wrażliwość na los ofiar w sprawach, które toczyły się w diecezjach Wisconsin i Missouri w czasie, gdy był tam biskupem, a potem arcybiskupem (Burke nie przyznaje się do błędu).

Papież Franciszek, wracając samolotem z podróży do Stanów Zjednoczonych we wrześniu 2015 roku, surowo ocenił amerykańskich kardynałów: „Ci, którzy tuszują sprawy [nadużyć seksualnych], są tak samo winni, łącznie z niektórymi biskupami”.

Franciszek, wzburzony z powodu sytuacji w Stanach Zjednoczonych, mianował tam w 2016 roku trzech nowych kardynałów: Blase’a Cupicha w Chicago, Josepha Tobina w Newark i Kevina Farrella, który został w Rzymie prefektem dykasterii do spraw osób świeckich i rodziny. Nowi kardynałowie, w przeciwieństwie do wstecznika i homofoba Burke’a, to pasterze raczej wrażliwi na los imigrantów i osób LGBT, a jednocześnie zwolennicy strategii „zero tolerancji” dla seksualnych nadużyć. Niewykluczone, że jeden z nich może być homoseksualistą (monsinior Viganò oskarża całą trójkę o szerzenie „gejowskiej ideologii”), jednak zdaje się, że nie jest tak w przypadku dwóch pozostałych – co potwierdzałoby czwartą regułę Sodomy: *im duchowny jest bardziej progejowski, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że jest gejem; im większym jest homofobem, tym bardziej prawdopodobne, że jest homoseksualistą.*

BYŁ TEŻ MYCHAL JUDGE. Amerykański franciszkanin, dokładne przeciwieństwo Burke’a. Jego życie, w prostocie i ubóstwie, blisko wykluczonych, może być przykładem dla każdego. Judge’owi udało się pokonać problem alkoholowy, życie zakonnika poświęcił pomaganiu biednym, narkomanom, bezdomnym i chorym na AIDS, których – obraz na początku lat osiemdziesiątych rzadki – serdecznie przytulał. Mianowany kapelanem New York City Fire Department towarzyszył strażakom w miejscach pożarów, więc rano 11 września 2001 roku w oczywisty sposób znalazł się jako jeden z pierwszych

w tłumie wokół wież World Trade Center. Tam zmarł o godzinie 9.59 w wyniku urazu czaszki.

Zdjęcie agencji Reutera, na którym Shannon Stapleton uwiecznił jego ciało niesione przez czterech strażaków, jedno z najsłynniejszych zdjęć z 11 września, to prawdziwa „współczesna Pieta". W szpitalu ksiądz Mychal Judge został natychmiast zidentyfikowany i uznany za pierwszą oficjalną ofiarę 11 września – nr 0001.

Odtąd Mychal Judge stał się jednym z bohaterów historii zamachów. W jego pogrzebie w kościele Świętego Franciszka z Asyżu na Manhattanie uczestniczyło trzy tysiące osób, w tym Bill i Hillary Clintonowie oraz republikański mer Nowego Jorku Rudolph Giuliani, który mówił, że jego przyjaciel był „świętym". Odcinek jednej z nowojorskich ulic nazwano jego imieniem, jego strażacki hełm podarowano w Rzymie Janowi Pawłowi II, Francja pośmiertnie odznaczyła go Legią Honorową. Kiedy w 2018 roku, zbierając w Nowym Jorku materiały do książki, rozmawiałem z wieloma strażakami i kontaktowałem się z rzecznikiem prasowym miejskiej straży pożarnej, zauważyłem, że pamięć o nim jest wciąż żywa.

Niedługo po jego śmierci przyjaciele i koledzy z pracy ujawnili, że Mychal Judge był księdzem gejem. Informację o jego orientacji seksualnej potwierdzili jego biografowie i były komendant straży pożarnej Nowego Jorku. Judge był członkiem stowarzyszenia Dignity gromadzącego gejów katolików. W 2002 roku przegłosowano ustawę przyznającą prawa socjalne homoseksualnym partnerom strażaków i policjantów, którzy zginęli 11 września. Nazwano ją The Mychal Judge Act.

Homofob kardynał Raymond Burke i przyjazny gejom kapelan Mychal Judge – oto dwa, jakże różne, oblicza Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych. Dwie strony tego samego medalu.

AMERYKAŃSKI KARDYNAŁ JAMES FRANCIS STAFFORD jest

zdumiony, gdy podczas dwóch spotkań w jego prywatnym mieszkaniu w Rzymie przedstawiam mu pierwsze rezultaty mojego śledztwa, same suche fakty. Słucha mnie w religijnym skupieniu i przyjmuje wszystkie ciosy. Od pierwszej chwili wiedziałem. Pierwsze wrażenie (Amerykanie mówią „blink”) prawie zawsze jest słuszne. Mój „gejdar” – jak to nazywają – działa dość skutecznie, jego szczerość i sposób bycia przekonują mnie, że raczej nie jest homoseksualistą – rzadkość w kurii rzymskiej. Niemniej jego reakcja jest zdecydowana:

– Nie, Frédéricu, to nieprawda. Tak nie jest. Pan się myli.

Podałem nazwisko ważnego amerykańskiego kardynała, dobrze mu znanego. Stafford stwierdza zdecydowanie, że tamten nie jest homoseksualistą. Zraniłem go. A jednak wiem, że się nie mylę, mam informacje z pierwszej ręki, potem jeszcze raz potwierdzone. Widzę, że kardynałowi nigdy nie postała w głowie myśl o podwójnym życiu jego przyjaciela.

Teraz się zastanawia, waha. Ciekawość przeważa nad jego legendarną ostrożnością. A ja myślę sobie, że kardynał „ma oczy, ale nie widzi”. Zresztą Stafford uprzejmie przyzna później, że „bywa nieco naiwny” i z opóźnieniem zauważa rzeczy, o których wszyscy wiedzą.

Dla rozluźnienia atmosfery trochę zbaczam z tematu, przywołuję inne nazwiska, wspominam o konkretnych sprawach, a Stafford przyznaje, że dotarły do niego niektóre plotki. Dość otwarcie rozmawiamy o homoseksualizmie, o niezliczonych aferach psujących wizerunek Kościoła w Stanach Zjednoczonych i w Rzymie. Stafford wydaje się naprawdę przygnębiony, wręcz zrozpaczony z powodu tego, co ode mnie słyszy i czemu nie jest już w stanie zaprzeczyć.

Opowiadam o kilku ważnych katolickich pisarzach, takich jak François Mauriac, który mocno wpłynął na niego w młodości. Dobrze udokumentowana biografia pióra Jean-Luca

Barré’a ostatecznie potwierdziła homoseksualizm pisarza.

– Tak to jest, zdarza się, że z opóźnieniem rozumiemy prawdziwe motywacje ludzi, ich głęboko skrywane sekrety – mówię.

Stafford jest zdruzgotany. „Nawet Mauriac” – zdaje się mówić, jakbym dokonał Bóg wie jakiego odkrycia, choć przecież homoseksualizm pisarza od dawna nie jest żadną tajemnicą. Kardynał wydaje się zagubiony. Już niczego nie jest pewien. Widzę w jego spojrzeniu bezbrzeżną rozpacz, lęk i smutek. Ma zamglone, lśniące, pełne łez oczy.

– Nie płaczę często – mówi Stafford. – Ani łatwo.

Spośród kardynałów, których poznałem, zbierając materiały do tej książki, James Francis Stafford (obok Francuza Jean-Louisa Taurana) bez wątpienia jest moim najulubieńszym. Jest wcieloną łagodnością – ten wiekowy, wrażliwy człowiek budzi najlepsze uczucia już przez samą swoją delikatność. Wiem, że jego wiara nie jest fałszywa.

– Mam nadzieję, że pan się myli, Frédéricu. Mam głęboką nadzieję.

Rozmawiamy o naszej wspólnej fascynacji Ameryką, miłości do apple pies i ice creams, które, jak w *On the Road*, im dalej na zachód, tym robią się lepsze, bardziej śmietankowe.

Mam opory przed opowiedzeniem mu mojej podróży po Kolorado (był arcybiskupem Denver) i moich wizyt w najbardziej tradycyjnych kościołach Colorado Springs, bastionie amerykańskiej ewangelikalnej prawicy. Chętnie porozmawiałbym z nim o tych radykalnie homofobicznych księżach i pastorach, z którymi przeprowadzałem wywiady w Focus on the Family lub New Life Church. Założyciel tego ostatniego Kościoła, Ted Haggard, w końcu okazał się homoseksualistą, co zdradził jakiś zdumiony jego hipokryzją żigolak. Ale po co znów wytrącać Stafforda z równowagi? Nie jest odpowiedzialny za tych szaleńców bożych.

Wiem dobrze, że jest konserwatystą, pro-liferem, przeciwnikiem

Obamy, lecz choć wychodzi z niego rygorysta i purytanin, to nigdy sekciarz. Nie lubi sporów i wcale nie popiera kardynałów, którzy kierują skrajnie konserwatywnym instytutem Dignitatis Humanæ. Wiem, że po Burke'u niczego się już nie spodziewa. A jednak znalazł dla niego życzliwe słowo.

– To miły człowiek – powiedział.

Czy nasza rozmowa, prowadzona w jesieni jego życia (ma osiemdziesiąt sześć lat), oznaczała dla niego utratę złudzeń?

– Niebawem mam zamiar wrócić do Stanów Zjednoczonych, już na dobre – zwierzył mi się Stafford, gdy przemierzaliśmy kolejne, umieszczone w amfiladzie biblioteki w jego ogromnym mieszkaniu przy Piazza di San Calisto.

Obiecałem wysłać mu skromny podarunek, książkę, którą bardzo lubię. Zresztą, jak zobaczymy, ta biała książeczka[16] stanie się na czas dziennikarskiego śledztwa moim kodem, szyfrem, do którego klucz wolę zachować dla siebie. Uznałem, że to dobry pomysł, i co miesiąc dawałem ją w prezencie kolejnym kardynałom – w sumie było ich około dwudziestu, w tym Paul Poupard, Camillo Ruini, Leonardo Sandri, Tarcisio Bertone, Robert Sarah, Giovanni Battista Re, Jean-Louis Tauran, Christoph Schönborn, Gerhard Ludwig Müller, Achille Silvestrini, oczywiście Stanisław Dziwisz i Angelo Sodano. Nie zapomniałem też o arcybiskupach, takich jak Rino Fisichella czy Jean-Louis Bruguès, ani o monsiniorze Battiście Ricce. Podarowałem ją też innym eminencjom i ekscelencjom, którzy muszą pozostać anonimowi.

Większość hierarchów doceniła ten schizofreniczny prezent. I wielu potem mi o niej mówiło – jedni nią upojeni, inni bardziej ostrożni. Niektórzy listownie podziękowali mi za tę książkę dla grzeszników. Jedyny – być może – który ją naprawdę przeczytał, Jean-Louis Tauran, jeden z nielicznych dobrze wykształconych kardynałów

w Watykanie, wyznał, że była dla niego natchnieniem. I że często cytował ją w swoich homiliach.

Jeśli chodzi o starego kardynała Francisa Stafforda, to przy naszym kolejnym spotkaniu, kilka miesięcy później, z uczuciem mówił mi o książeczce w kolorze alabastru. I dorzucił, uważnie się we mnie wpatrując:

– Będę się za pana modlił, Frédéricu.

ODBIEGŁEM JUŻ MYŚLAMI BARDZO DALEKO, gdy nagle z rozmarzenia wyrywa mnie głos Don Adriano. Asystent kardynała Burke'a znów zagląda do salonu. I znowu przeprasza, jeszcze nim poda ostatnie doniesienia. Kardynał nie dotrze na spotkanie.

– Jego eminencja przeprasza. Naprawdę przeprasza. Bardzo mi przykro – powtarza skonfundowany Adriano, a mówiąc do mnie, poci się i spuszcza wzrok.

Niedługo później dowiedziałem się z gazet, że Franciszek po raz kolejny ukarał Burke'a. Czyżby surowy kardynał wiódł podwójne życie? Nic tego nie dowodzi. Jednak papież wie z doświadczenia oraz z grubego raportu na ten temat, jaki zostawił mu jego poprzednik (do czego wrócimy niebawem), że uznanie człowieka za pełnego cnót, bo prawi umoralniające kazania, jest takim samym absurdem jak wiara w czystość kardynała epatującego homofobicznymi wypowiedziami – zwłaszcza jeśli „przyrzeka za wiele".

Z żalem opuszczam salon Burke'a, nie uścisnąwszy dłoni jego eminencji. Adriano obiecuje, że ustalimy nową datę spotkania. *Urbi* lub *Orbi*.

W SIERPNIU 2018 ROKU, kiedy to już przemieszkałem wiele tygodni w samym Watykanie i właśnie w chwili, gdy kończyłem tę książkę, arcybiskup Carlo Maria Viganò niespodziewanie opublikował swoją *Testimonianzę.* W kurii rzymskiej zawrzało.

Powiedzieć, że ten skoncentrowany na Stanach Zjednoczonych dokument był jak wybuch bomby, to użyć eufemizmu skrzyżowanego z litotą! Od razu zaczęto podejrzewać, że to kardynał Raymond Burke ze swoimi amerykańskimi poplecznikami (między innymi Stevem Bannonem, kiedyś twórcą strategii politycznej Donalda Trumpa) siedzi za sterami i knuje spisek. Nawet w najgorszych koszmarach stary kardynał Stafford nie mógłby sobie wyobrazić podobnego listu. Jeśli chodzi o Benjamina Harnwella i członków jego Dignitatis Humanæ Institute, mieli chwilę radości. I zaraz potem przeżyli zawód.

– Pan jako pierwszy powiedział mi, że sekretarz stanu i ci kardynałowie są homoseksualistami, i miał pan rację – mówi Harnwell podczas naszego piątego obiadu w Rzymie, nazajutrz po tym, jak rozpętała się ta burza.

W jedenastostronicowym liście, czy raczej jadowitym pamflecie, opublikowanym w dwóch językach przez ultrakonserwatywne dzienniki i portale internetowe były nuncjusz w Waszyngtonie Carlo Maria Viganò zaatakował papieża Franciszka. Tekst ukazał się specjalnie w dzień papieskiej podróży do Irlandii, gdzie pedofilskie afery mocno osłabiły pozycję Kościoła. Prałat oskarża papieża, że osobiście tuszował homoseksualne nadużycia byłego amerykańskiego kardynała, osiemdziesięcioośmioletniego dziś Theodore’a McCarricka. Tego ostatniego, byłego przewodniczącego amerykańskiej konferencji episkopatu, mającego wielką władzę i obdarzonego ogromnym talentem do zdobywania pieniędzy – oraz kochanków – papież Franciszek pozbawił tytułu kardynała i zdymisjonował. Niemniej Viganò bez najmniejszych skrupułów wykorzystuje sprawę McCarricka do załatwienia własnych porachunków. Wsparłszy swoją tezę masą informacji, notatek i dat, nuncjusz nieelegancko sugeruje ojcu świętemu dymisję. Wskazuje

palcem kardynałów i biskupów kurii rzymskiej amerykańskiego episkopatu uczestniczących jego zdaniem w gigantycznym „cover-upie” – to niekończąca się lista nazwisk hierarchów wybranych spośród tych najważniejszych w Watykanie, którzy w ten sposób zostali, słusznie lub niesłusznie, lecz bardzo przebiegle wyoutowani. (Ludzie z otoczenia papieża mówią mi – świadcząc na jego korzyść – że „Viganò najpierw doniósł Franciszkowi tylko o homoseksualnych stosunkach McCarricka z pełnoletnimi seminarzystami, co nie było w oczach papieża wystarczającym powodem, by go skazywać”). W 2018 roku, dowiedziawszy się z całą pewnością, że poza relacjami homoseksualnymi, dochodziło także do nadużyć seksualnych wobec nieletnich, „natychmiast ukarał kardynała”. Ta sama, będąca moim źródłem informacji, osoba wątpi, żeby papież Benedykt XVI podejmował jakieś poważniejsze działania przeciwko McCarrickowi, a jeśli tak było, to nie zostały one ostatecznie przeprowadzone.

Pod koniec lata 2018 roku *Testimonianza* monsiniora Viganò odbiła się głośnym echem w całym świecie – pojawiło się tysiące artykułów, wierni poczuli się skonsternowani, a wizerunek Franciszka doznał uszczerbku. Świadomie czy nie, Viganò dostarczył argumentów wszystkim, którzy od dawna podejrzewali, że w samym Watykanie istnieje aktywne przyzwolenie na seksualne przestępstwa i nadużycia. I choć „L’Osservatore Romano” poświęcił raportowi ledwie jedną linijkę („kolejne działania wewnętrznej opozycji” – do tego ograniczył się oficjalny organ stolicy apostolskiej), spuszczona z łańcucha konserwatywna i ultraprawicowa prasa domagała się wewnętrznego śledztwa, a nawet dymisji papieża.

Kardynał Raymond Burke, który kilka dni wcześniej oświadczył: „Najwyższy czas przyznać, że mamy bardzo poważny problem z homoseksualizmem w Kościele”, jako jeden z pierwszych bił na alarm. „Trzeba wyrwać z korzeniami zepsucie i bezeceństwo, które

zagnieździły się w Kościele" – grzmiał duchowny. I, biorąc pod uwagę poważną pozycję oskarżyciela, którego „autorytet" nie budzi jego zdaniem żadnych wątpliwości, domagał się „dochodzenia" w związku z *Testimonianzą*.

– Kardynał Burke jest przyjacielem monsiniora Viganò – potwierdził Benjamin Harnwell tuż po publikacji fatalnego listu (Harnwell powiedział mi zresztą, że tego dnia był umówiony z Burke'em „żeby pogadać").

Wielu ultrakonserwatywnych hierarchów, korzystając z tego, że wyłom został zrobiony, starało się osłabić Franciszka. Chociażby reakcyjny arcybiskup San Francisco Salvatore Cordileone, który, jak tylko mógł, uwierzytelniał i legitymizował „poważny" i „bezinteresowny" tekst Viganò oraz brutalnie atakował „homoseksualizację" Kościoła – co brzmi dość zabawnie.

Prawe skrzydło kurii wypowiedziało wojnę Franciszkowi. Nic jednak nie przeszkadza myśleć, że to atak jednej frakcji gejowskiej na drugą frakcję gejowską w łonie kurii, atak skrajnie prawicowych antyfranciszkanów na bardziej liberalnych zwolenników Franciszka. Niepojęta schizofrenia, którą ksiądz i teolog James Alison tak podsumował podczas naszej rozmowy w Madrycie:

– It's an intra-closet war! Afera Viganò to wojna starej szafy z nową szafą!

Choć arcybiskup Carlo Maria Viganò jest profesjonalistą, którego powagi nikt nie kwestionuje, nie pozostaje on bynajmniej poza podejrzeniami. Ten drażliwy człowiek, zapewne należący do kategorii „closeted", na pewno nie jest sygnalistą! Sytuację Kościoła w Stanach Zjednoczonych zna jak własną kieszeń, przez pięć lat był tam nuncjuszem apostolskim, wcześniej zaś pełnił funkcję sekretarza Gubernatoratu Państwa Watykańskiego, co oznaczało dostęp do niezliczonych dokumentów i orientację we wszystkich sprawach

wewnętrznych, w tym także tych dotyczących schizofrenicznych obyczajów dostojników kościelnych. Niewykluczone nawet, że zachował różne dokumenty dotyczące drażliwych kwestii. (Poprzednikiem Viganò na tym stanowisku był Renato Boccardo, dziś arcybiskup Spoleto, który przekazał mi w rozmowie parę interesujących informacji).

Zajmujący się ponadto powoływaniem watykańskich dyplomatów, elitarnego korpusu, z którego pochodzi wielu kardynałów kurii rzymskiej, Viganò jako autor rzeczonego listu zdaje się bardzo wiarygodny.

Jest on jednak ściśle związany ze środowiskami katolickiej skrajnej prawicy, mówiło się więc często, że *Testimonianza* była operacją przeprowadzoną przez prawe skrzydło Kościoła w celu osłabienia pozycji Franciszka. Według moich informatorów nie jest to prawda. Był to nie tyle „spisek" czy próba „puczu", ile jednostkowe, może trochę egzaltowane wystąpienie. Viganò, będąc „sztywnym" konserwatystą, jest jednak przede wszystkim człowiekiem kurii, czystym produktem Watykanu. Zdaniem osoby, którą dobrze znam, to „typ człowieka z zasady lojalnego wobec papieża – sprzyjał Wojtyle za pontyfikatu Jana Pawła II, był zwolennikiem Ratzingera w czasach Benedykta XVI i jest za Bergogliem w epoce Franciszka".

– Monsinior Viganò jest konserwatystą w stylu, powiedzmy, Benedykta XVI, jednak przede wszystkim jest profesjonalistą. Jego oskarżenia wsparte są dokładnymi datami i faktami, precyzyjnie uderza w cel – tłumaczy mi podczas obiadu w Rzymie słynny watykanista Marco Politi.

Kardynał Giovanni Battista Re, z którym rozmawiam w październiku 2018 roku w jego mieszkaniu w Watykanie, bardzo surowo ocenia ten dokument, choć jego nazwisko jako jedno z nielicznych pojawia się tam w pozytywnym kontekście.

– Smutne! To bardzo smutne! Jak Viganò mógł zrobić coś podobnego? Coś nie tak z jego głową… [*robi gest wskazujący, że jest wariatem*]. To niewiarygodne!

Z kolei ojciec Federico Lombardi, były rzecznik Benedykta XVI i Franciszka, podsuwa mi po ukazaniu się listu, podczas jednego z naszych stałych spotkań, taką interpretację:

– Monsinior Viganò zawsze był człowiekiem twardych zasad, bardzo odważnym. Jednak wszędzie tam, gdzie piastował kolejne stanowiska, doprowadzał do rozłamu. Zawsze prowadził jakąś wojnę. Oddając się w ręce znanych reakcyjnych dziennikarzy, posłużył jako narzędzie w walce przeciw Franciszkowi.

Nie ulega wątpliwości, że afera Viganò byłaby niemożliwa bez skrajnie konserwatywnych mediów i dziennikarzy niechętnych linii Franciszka (Włosi Marco Tosatti i Aldo Maria Valli, „National Catholic Register", LifeSiteNews.com czy amerykański bogacz Timothy Busch z katolickiej telewizyjnej sieci EWTN).

– Ten tekst natychmiast został wykorzystany przez katolicką reakcyjną prasę – tłumaczy mi podczas wywiadu w Londynie benedyktyński mnich, wybitny znawca instytucji Kościoła Luigi Giola. – Konserwatyści zaciekle negują fakt, że przyczyną nadużyć seksualnych i prób ich tuszowania przez Kościół jest klerykalizm. Czyli oligarchiczny, arogancki system, którego jedynym celem jest utrzymanie władzy – za wszelką cenę. Żeby nie uznać, że powodem jest sama struktura Kościoła, szuka się kozłów ofiarnych – gejów, którzy przeniknęli do instytucji i kompromitują ją, nie będąc z natury w stanie pohamować swojej seksualności. To teza Viganò. A prawica bez wahania skorzystała z tej nieoczekiwanej okazji, żeby realizować swoje homofobiczne plany.

Kampania przeciw Franciszkowi jest niezaprzeczalnym faktem, a jednak myślę, że gest Viganò jest bardziej irracjonalny i prywatny,

niż się wydaje. To akt desperacji, osobista zemsta osoby głęboko zranionej. Viganò jest wilkiem, ale wilkiem samotnym.

Jak doszło do nagłego zerwania z papieżem? Wpływowy monsinior z najbliższego otoczenia kardynała Becciu, który wówczas był „substytutem", czyli papieskim ministrem spraw wewnętrznych, niedługo po publikacji listu przedstawił mi taką oto hipotezę (ten przeprowadzony w Watykanie wywiad, podobnie jak większość moich rozmów, za zgodą rozmówcy nagrałem):

– Arcybiskup Carlo Maria Viganò, człowiek próżny i nieco megalomański, pragnął być kardynałem. To było jego największe, właściwie jedyne marzenie. Marzenie życia. Faktem jest, że jego poprzednicy na ogół zostawali purpuratami. Ale nie on! Franciszek najpierw odesłał go do Waszyngtonu, potem pozbawił wspaniałego mieszkania w Watykanie – Viganò musiał zamieszkać pośród emerytowanych nuncjuszy. Przez cały ten czas hamował swoje zapędy. Jednak ciągle miał nadzieję! Gdy po kolejnym konsystorzu, w czerwcu 2018 roku, znów nie został kardynałem, jej resztka uleciała. Kończył siedemdziesiąt osiem lat, zrozumiał, że wszystko stracone. Był zrozpaczony, więc postanowił się zemścić. I tyle. W jego liście nie chodzi o nadużycia seksualne, lecz o jego życiowe rozczarowanie.

Od dawna Viganò krytykowany jest za swoje zadufanie, plotkarstwo, paranoję, podejrzewano nawet, że przekazuje informacje prasie, za co został odesłany z Rzymu do Waszyngtonu na polecenie Tarcisio Bertonego, kardynała sekretarza stanu za pontyfikatu Benedykta XVI (dokumenty Vatileaks w tych kwestiach są bardzo jednoznaczne). Krążą też plotki na temat jego skłonności – czy za aż tak irracjonalną antygejowską obsesją nie może się kryć tłumiona i „uwewnętrzniona homofobia"? Taką właśnie tezę postawił amerykański katolicki dziennikarz Michael Sean Winters

(który wyoutował Viganò) – to „nienawiść do siebie samego” każe mu nienawidzić homoseksualistów; sam jest taki, jak ci, których oskarża.

Papież, który odmówił komentowania pamfletu na gorąco, sugerował jednak podobną analizę. W niosącej zaszyfrowane treści homilii z 11 września 2018 przekazał wiernym, że byłoby lepiej, gdyby „wielki oskarżyciel” – który „rozbestwił się i uwziął na biskupów”, który usiłuje „odsłonić grzechy”[17] – zamiast oskarżać innych, spojrzał na siebie samego.

Kilka dni później Franciszek znowu atakuje Viganò, nie wymieniając go z nazwiska, w homilii poświęconej „obłudnikom” – słowo to powtarza z dziesięć razy. „Obłudni w środku i na zewnątrz” – podkreśla. I dodaje: „Diabeł posługuje się [obłudnikami], żeby niszczyć (…) Kościół”[18]. The lady doth protest too much!

Nie ma jednak wielkiego znaczenia, czy *Testimonianza* została napisana przez zdradzającą uwewnętrznioną homofobię „drama queen”, czy też nie. Ani nawet to, jakie – a zapewne różne – ukryte motywacje kierowały monsiniorem Viganò. Najciekawsze jest to, że ujawnione fakty są prawdziwe. Dlatego list ten staje się wyjątkowym dokumentem, ważnym i po części niepodważalnym świadectwem „kultury tajemnicy”, „zmowy milczenia” i „homoseksualizacji” Kościoła.

W swoim tekście, choć mętnym, choć mieszającym fakty z insynuacjami, Viganò wystrzega się jednak pustosłowia. Przekonuje, że należy „publicznie wyznać prawdy, które były trzymane w ukryciu”; uważa, że „siatki homoseksualne wśród duchowieństwa” należy „wyplenić”[19]. W tym celu nuncjusz atakuje, wymieniając z nazwiska, trzech kardynałów, którzy pełnili funkcję sekretarzy stanu: Angelo Sodana za Jana Pawła II, Tarcisio Bertonego za Benedykta XVI, Pietro Parolina za Franciszka. Wszyscy trzej – jak

pisze – podejrzani są o krycie nadużyć seksualnych lub o przynależność do „corrento filo omossessuale”, „nurtu prohomoseksualnego”, w Watykanie.

Na Boga! Po raz pierwszy ważny watykański dyplomata odsłania tajemnice pedofilskich afer i wyjątkowego znaczenia homoseksualizmu w Watykanie. Ja jednak, biorąc pod uwagę analizy doświadczonych watykanistów, przyjmuję hipotezę, że monsinior Viganò interesuje się nie tyle nadużyciami seksualnymi (są podejrzenia, że też je tuszował w sekretariacie generalnym w Watykanie oraz w Waszyngtonie), ile kwestią gejów – jedynym i prawdziwym powodem napisania tego listu byłby outing – ujawnienie orientacji seksualnej wielu duchownych. (Ostatecznie potwierdził to jego kolejny „list” z października 2018 roku[20]).

Czyniąc to, nuncjusz popełnia dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze, miesza różne kategorie duchownych, niewiele mające ze sobą wspólnego – księży podejrzewanych o nadużycia seksualne (kardynał z Waszyngtonu Theodore McCarrick), duchownych, którzy kryli drapieżców (na przykład, według jego listu, kardynałowie Angelo Sodano czy Donald Wuerl), duchownych, którzy „należą do nurtu homoseksualnego” (wskazuje, nie podając dowodu, kardynała amerykańskiego Edwina Fredericka O’Briena i włoskiego Renato Raffaele Martina), oraz duchownych „zaślepionych swoją prohomoseksualną ideologią” (amerykańscy kardynałowie Blase Cupich i Joseph Tobin). W sumie wskazał palcem czy wyoutował prawie czterdziestu kardynałów i biskupów. (Monsiniorzy Cupich i Tobin zdecydowanie zaprzeczyli zarzutom nuncjusza; Donald Wuerl złożył na ręce papieża dymisję, która została przyjęta, reszta nie skomentowała listu).

W świadectwie Viganò szokujące jest wrzucenie księży odpowiedzialnych za przestępstwa czy za tuszowanie przestępstw

seksualnych do jednego worka z księżmi homoseksualistami lub nawet po prostu przyjaznymi gejom. Ta poważna intelektualna nieuczciwość, mieszanie osób dopuszczających się nadużyć i współwinnych tego procederu z Bogu ducha winnymi homoseksualistami, musi być wytworem naprawdę skomplikowanego umysłu. Viganò zatrzymał się na etapie homofilii i homofobii lat sześćdziesiątych, kiedy sam był dwudziestolatkiem. Nie dostrzegł, że czasy się zmieniły, że od lat osiemdziesiątych udało się nam w Europie i Ameryce przejść od kryminalizacji homoseksualizmu do karania homofobii! Jego niedzisiejsze poglądy przypominają zresztą to, co pisali typowi homoseksualiści homofobi, tacy jak francuski ksiądz Tony Anatrella lub kolumbijski kardynał Alfonso López Trujillo, o których niebawem będzie jeszcze mowa. To niedopuszczalne mieszanie winnych z ofiarami znajdziemy w samym jądrze problemu seksualnych nadużyć. Viganò jest karykaturalną ilustracją tego, co sam demaskuje.

Poza ogólnym intelektualnym bałaganem drugim błędem Viganò, w kontekście trwałości jego „testamentu" strategicznie poważniejszym, było wyoutowanie ważnych kardynałów bliskich Franciszkowi (Parolin, Becciu), ale także tych aktywnych za pontyfikatu Jak Pawła II (Sodano, Sandri, Martino) i Benedykta XVI (Bertone, Mamberti). Oczywiście każdy znawca historii Watykanu wie, że sprawa McCarricka wiąże się z różnymi aberracjami jeszcze z czasów Jana Pawła II, jednak pisząc o tym, nuncjusz sam pozbawił się sporej liczby konserwatywnych sprzymierzeńców. Viganò, raczej nerwus niż strateg, mści się, na ślepo outując bez planu i taktyki każdego, kogo nie lubi, sądząc przy tym, że samo jego słowo będzie wystarczającym dowodem na homoseksualizm kolegów. Jezuitów jako takich w dużej części podejrzewa o bycie „dewiantami" (czytaj: homoseksualistami)!

Oskarżając wszystkich prócz siebie, Viganò daje – choć wbrew własnej woli – piękny dowód na to, że integrystyczna teologia także może być sublimacją homoseksualizmu. W ten sposób pozbył się sojuszników – watykańska prawica, przy całym swoim krytycznym stosunku do Franciszka, nie zgodzi się siać zwątpienia wobec pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI. Atakując Angelo Sodana i Leonardo Sandriego (choć, co dziwne, oszczędził Giovanniego Battistę Re, Jeana-Louisa Taurana, a przede wszystkim Stanisława Dziwisza), Viganò – bez względu na to, czy mówi prawdę, czy nie – popełnia wielki strategiczny błąd.

Kościelna skrajna prawica, która najpierw wspierała nuncjusza i broniła jego wiarygodności, szybko zrozumiała, że to pułapka. Kardynał Burke po pierwszej hałaśliwej reakcji umilkł, oburzony, że w liście znalazło się nazwisko jego ultrakonserwatywnego przyjaciela, Renato Raffaele Martina (Burke firmował napisany przez Benjamina Harnwella komunikat prasowy, zdecydowanie zaprzeczający, jakoby Martino należał do „nurtu homoseksualnego" – bez żadnych dowodów, oczywiście). Także Georg Gänswein, najbliższy współpracownik emerytowanego papieża Benedykta XVI, nie potwierdził wiarygodności listu, choć sporo go to kosztowało. Jednak przyznając rację Viganò, konserwatyści strzeliliby sobie w stopę i ryzykowali wybuch wojny domowej, w której wszystkie chwyty są dozwolone. A wtedy prawa strona Kościoła, zważywszy na to, że ukryci homoseksualiści występują tam być może liczniej niż na lewicy, mogłaby boleśnie oberwać rykoszetem.

Związany z Franciszkiem arcybiskup kurii, którego spotkałem tuż po ukazaniu się listu, tak tłumaczył ostrożność papieża:

– A co niby papież miałby odpowiedzieć na list, w którym zarzuca się wielu byłym watykańskim sekretarzom stanu i dziesiątkom kardynałów, że są zamieszani w nadużycia seksualne albo że są

homoseksualistami? Ma potwierdzić? Zaprzeczyć? Zanegować nadużycia seksualne? Zanegować homoseksualizm w Watykanie? Widzi pan chyba, jak małe ma pole manewru? Benedykt XVI też wciąż nie zareagował, z tych samych powodów. Ani jeden, ani drugi nie może się wypowiedzieć po tak perwersyjnym tekście.

Kłamstwo, podwójne życie, tuszowanie przestępstw – *Testimonianza* monsiniora Viganò pokazuje przynajmniej jedną rzecz, jaką mamy zrozumieć dzięki niniejszej książce – w Watykanie wszyscy są ze sobą powiązani i wszyscy zdają się kłamać. Warto odwołać się tutaj do analiz kłamstwa przeprowadzonych przez Hannah Arendt w *Korzeniach totalitaryzmu* i w słynnym artykule *Prawda a polityka*. Zdaniem filozofki rezultatem opanowania sfery publicznej przez „kłamstwo zorganizowane", sytuacji, w której każdy ciągle „kłamie o wszystkim, co jest ważne", w której wygrywa „tendencja do przekształcania faktu w opinię", jest nie tyle wiara w kłamstwo, ile zniszczenie rzeczywistości „wspólnego świata"[21].

Arcybiskup kurii kończy:

– Viganò nie obchodzi kwestia nadużyć seksualnych i pod tym względem jego notatki są niezbyt użyteczne. Chciał zrobić coś innego – stworzyć listę homoseksualistów w Watykanie, potępić infiltrację stolicy apostolskiej przez gejów. To jego cel. Teraz ukrył się gdzieś, nie dlatego, że obnażył system seksualnych nadużyć – czym bardzo by się zasłużył – lecz dlatego, że wszystkich wyoutował. Powiedzmy, że w tym drugim punkcie jego list jest dużo bliższy prawdy niż w pierwszym. (W książce ostrożnie używam *Testimonianzy* Viganò, bo miesza ona to, co rzeczywiste lub prawdopodobne, z czystymi kalumniami. Dziesiątki ultrakonserwatywnych kardynałów i biskupów uznało ten dokument za wiarygodny, moim zdaniem nie należy ani go przeceniać, ani lekceważyć).

Jesteśmy więc w Sodomie. Zasłużony nuncjusz, doświadczony

arcybiskup bez ogródek mówi o gigantycznym znaczeniu homoseksualistów w Watykanie. To niepodważalne świadectwo, nawet jeśli świadek dopuszcza się nadużyć. Zdradza nam dobrze strzeżony sekret. Otwiera puszkę Pandory. Franciszka otaczają cioty!

3.

Kim jestem, by osądzać?

„CHI SONO IO PER GIUDICARE?" – Giovanni Maria Vian powtarza to zdanie, jakby szukał w nim głębszego sensu. „Kim jestem, by osądzać?" – czy to nowa doktryna? Czy trochę przypadkowa, spontaniczna wypowiedź? Vian nie bardzo wie, co o tym myśleć? Kim jest, by osądzać?

To retoryczne pytanie papież Franciszek zadał nocą 28 lipca 2013 roku w samolocie wiozącym go z Brazylii. Nagłośnione w mediach na całym świecie stało się najsłynniejszą wypowiedzią pontyfikatu. Pełne empatii, pasuje do Franciszka, papieża „gay-friendly", chcącego zerwać z „homofobicznym" językiem poprzedników.

Giovanni Maria Vian, którego zadanie polega nie tyle na komentowaniu, ile na przekazywaniu słów papieża, jest ostrożny. Udostępnia mi oficjalny zapis zaimprowizowanej konferencji, podczas której padł bon mot Franciszka. Jeśli spojrzymy na odpowiedź papieża w kontekście całości, przestaje być takie pewne – mówi mi Vian – że mamy dać jej progejowską wykładnię.

Vian, osoba świecka, wykładowca akademicki (każe się nazywać „profesorem"), jest redaktorem naczelnym dziennika „L'Osservatore Romano" [pod koniec 2018 roku został odwołany z tego stanowiska – przyp. red.]. Ten oficjalny organ stolicy apostolskiej wydawany jest w ośmiu językach, a jego siedziba mieści się w samym Watykanie.

– Papież dużo mówił dziś rano – wyjaśnia mi Vian.

Gazeta publikuje wszystkie wypowiedzi ojca świętego, jego komunikaty, jego dokumenty. To watykańska „Prawda".

– Jesteśmy oficjalnym organem Watykanu, to oczywiste, mamy jednak pewną wolność, mamy część poświęconą opiniom, artykuły o kulturze, bardziej samodzielne teksty – dorzuca Vian, który ma świadomość, jak niewielkim dysponuje polem manewru.

By oderwać się od watykańskich ograniczeń, może wręcz trochę poswawolić, otacza się figurkami Tintina. Biuro pełne jest komiksów, widzimy tu *Czarną wyspę*, *Berło Ottokara*, laleczki wyobrażające postaci Tintina, Milusia i kapitana Baryłki. Dziwna inwazja pogańskich przedmiotów w samym sercu stolicy apostolskiej! Szkoda, że Hergé nie wpadł na pomysł *Tintina w Watykanie*!

Trochę się zagalopowałem. Vian gani mnie i streszcza długi artykuł w „L'Osservatore Romano" poświęcony Tintinowi, dowodzący, że choć w komiksie występują bezbożne postaci i pamiętne przekleństwa, sam młody belgijski reporter był „bohaterem katolickim", ożywionym duchem „chrześcijańskiego humanizmu".

– „L'Osservatore Romano" jest tak samo bergogliańskie za Franciszka, jak było ratzingerowskie za Benedykta XVI – relatywizuje jeden z pełniących swą funkcję w Watykanie dyplomatów.

Inny współpracownik „L'Osservatore Romano" przyznaje, że gazeta służy „rozminowywaniu skandali i trzymaniu w watykańskich szafach tego, co ma pozostać w szafach".

– Milczenie „L'Osservatore Romano" też jest wymowne – dodaje dość dowcipnie Vian.

Zbierając materiały do książki, często wpadałem do redakcji. Doktor Vian pięć razy zgodził się udzielić wywiadu „on the record", a jeszcze częściej rozmawiał ze mną „off the record", podobnie jak sześciu jego współpracowników zajmujących się hiszpańską, angielską i francuską edycją gazety.

TO BRAZYLIJSKA DZIENNIKARKA Ilze Scamparini,

korespondentka kanału TV Globo w Watykanie, ośmieliła się zapytać papieża wprost o „gejowskie lobby". Wydarzenie ma miejsce w drodze powrotnej z Rio do Rzymu. Kończy się zaimprowizowana konferencja prasowa, papież jest już zmęczony, jego rzecznik, Federico Lombardi, siedzi tuż przy nim. „Ostatnie pytanie?" – rzuca Lombardi, który chciałby już zamknąć spotkanie. Ilze Scamparini podnosi rękę. Zacytuję teraz długi fragment rozmowy, korzystając z oryginalnego zapisu udostępnionego mi przez Giovanniego Marię Viana:

– Chciałabym prosić o pozwolenie na zadanie pytania dość delikatnego: świat obiegł także nieco inny obraz, wizerunek księdza prałata Ricca i wiadomości o jego życiu. Chciałabym wiedzieć, co wasza świątobliwość ma zamiar zrobić w tej sprawie? Jak podjeść do tej kwestii? I jak wasza świątobliwość zamierza rozwiązać cały problem lobby gejowskiego?

– W przypadku księdza prałata Ricca zrobiłem to, co nakazuje czynić prawo kanoniczne, to znaczy *investigatio previa* [dochodzenie wstępne]. Z tego dochodzenia nie wynika nic, o co jest oskarżany, nie znaleźliśmy nic z tego. Taka jest odpowiedź. Ale chciałbym dodać jeszcze jedno na ten temat: widzę, że często w Kościele poza tym przypadkiem, ale także i w tym przypadku, szuka się na przykład „grzechów młodości", i to jest publikowane. Nie chodzi o przestępstwa. Przestępstwa to inna sprawa: wykorzystywanie nieletnich jest przestępstwem. Nie, chodzi o grzechy. Ale jeśli jakaś osoba – człowiek świecki, ksiądz lub zakonnica – popełniła grzech, a potem się nawróciła, to Pan przebacza (…). A wracając do pani bardziej konkretnego pytania (…), mówiła pani o lobby gejowskim. Cóż, tak dużo się o tym pisze. Jak dotąd nie spotkałem w Watykanie nikogo, kto by miał w dowodzie tożsamości zapisane: „gej". Mówią, że tacy są. Sądzę, że jeśli ktoś ma do czynienia z osobą o takiej orientacji, musi odróżnić fakt homoseksualizmu od uprawiania

lobbingu, bo wszelkie lobbowanie jest niedobre. To jest złem. Jeśli ktoś jest homoseksualistą, a poszukuje Pana Boga i ma dobrą wolę, kimże ja jestem, aby go osądzać? (…) Problemem nie jest posiadanie tej skłonności. (…) To jedna kwestia, inną jest natomiast lobbing. (…) To jest moim zdaniem najpoważniejszy problem. Dziękuję pani za to pytanie, bardzo dziękuję![22].

OJCIEC FEDERIC LOMBARDI (na pierwszym naszym spotkaniu ubrany na czarno, trochę zakatarzony) doskonale pamięta tamtą konferencję prasową. Jako rasowy jezuita potrafił docenić kunszt, z jakim nowy papież sformułował to zdanie. Kim jestem, by osądzać? Chyba żadna inna wypowiedź Franciszka nie była takim arcydziełem jezuickiej dialektyki. Na pytanie papież odpowiedział… pytaniem!

Jesteśmy w siedzibie fundacji Ratzingera, której prezesem jest Lombardi, na parterze jednej z watykańskich kamienic przy via della Conciliazione w Rzymie. W tych biurach odbyłem z nim pięć długich (nagrywanych za jego zgodą) rozmów na temat trzech papieży, którym służył: Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Był dyrektorem biura prasowego tego pierwszego i rzecznikiem prasowym dwóch następnych.

Lombardi jest miłym, prostolinijnym człowiekiem, odrzucającym światowy, glamourowy styl wielu watykańskich duchownych. Jego pokora mnie zadziwia, podobnie jak wiele osób, które z nim pracowały. Podczas gdy na przykład Giovanni Maria Vian mieszka sam we wspaniałej małej wieży w ogrodach Watykanu, Lombardi woli żyć wraz ze swoimi towarzyszami jezuitami w skromnym pokoju w ich wspólnocie. W niczym nie przypomina to kardynalskich apartamentów liczących kilkaset metrów kwadratowych, jakie tak często w Rzymie odwiedzałem – mieszkań Raymonda Burke’a, Camillo Ruiniego, Paula Pouparda, Giovanniego Battisty Re, Rogera Etchegaraya, Renato Raffaele Martina i tylu

innych. Nie wspominając już nawet o rezydencji kardynała Betoriego, którą zwiedziłem we Florencji, kardynała Carlo Caffarry w Bolonii czy kardynała Carlosa Osoro w Madrycie. Nie ma też nic wspólnego z rezydencjami, których ja sam nie widziałem – należącymi do byłych sekretarzy stanu Angelo Sodana i Tarcisio Bertonego – lecz wiem, że ich przesadny luksus i zadziwiające rozmiary uznano za skandaliczne.

– Kiedy papież Franciszek wypowiadał słowa „kim jestem, by osądzać?", stałem u jego boku. Moje wrażenia były mieszane, powiedzmy trochę niejednorodne. Wie pan, Franciszek jest bardzo spontaniczny, mówi bardzo swobodnie. Zgodził się odpowiadać na pytania, nie znając ich uprzednio, bez przygotowania. Franciszek – wtedy w samolocie – mówił bez hamulców przez dziewięćdziesiąt minut, nie używając żadnych notatek, do siedemdziesięciu dziennikarzy. Wszystko było spontaniczne i bardzo szczere. Jednak to, co powiedział, niekoniecznie stanowi element papieskiej doktryny – to była rozmowa i tak trzeba to traktować. To problem hermeneutyczny.

Odnoszę wrażenie, że słowem „hermeneutyczny" ojciec Lombardi – jezuita, rzecznik prasowy, którego zadaniem zawsze było interpretowanie tekstów papieża, układanie jego zdań według ich hierarchii ważności i nadawanie im sensu – chce osłabić progejowski wymiar wypowiedzi Franciszka. Dodaje jeszcze:

– Chcę powiedzieć, że to zdanie nie poświadcza wyboru czy zmiany doktryny. Ma jednak bardzo pozytywny aspekt – wynika ze względów osobistych. To postawa bliskości, towarzyszenia, bycia pasterzem. Ale to nie znaczy, że bycie gejem jest dobre. Znaczy tylko, że papież nie czuje się tutaj sędzią.

– Czy to zdanie jezuity? Zdanie jezuickie?

– Tak, można powiedzieć, że to język jezuicki. To wybór

miłosierdzia, duszpasterstwa, dostrzeganie osobistych sytuacji. To wnikliwy język. [Franciszek] szuka drogi. Mówi coś w rodzaju: „Jestem przy tobie na tej drodze”. Lecz Franciszek odnosi się tu jako duszpasterz do pewnej jednostkowej sytuacji [księdza Ricci]; jeśli chodzi o doktrynę, pozostaje jej wierny.

Innego dnia, podczas jednego z regularnych domowych spotkań z kardynałem Paulem Poupardem, specjalistą od kurii rzymskiej, związanym (jak sam mawia) „z pięcioma papieżami”, wróciłem do tego samego semantycznego tropu.

– Nie zapominajmy – skomentował – że papież Franciszek jest argentyńskim jezuitą. Podkreślam: i jezuitą, i Argentyńczykiem. Obie składowe są ważne. To znaczy, że kiedy mówi „kim jestem, by osądzać?”, niekoniecznie liczy się to, co powiedział. Ważne, jak to odbieramy. Trochę jak w teorii rozumienia Akwinaty – każda rzecz jest odbierana w taki czy inny sposób, w zależności od tego, co chcemy zrozumieć!

FRANCESCO LEPOREGO wyjaśnienia papieża Franciszka bynajmniej nie przekonały. Nie podziela również „hermeneutyki” jego egzegetów.

Dla tego ekssiędza, który dobrze znał monsiniora Riccę, odpowiedź papieża jest typowym przykładem pustosłowia.

– Prześledźmy rozumowanie papieża: sugeruje, że monsinior Ricca był gejem w młodości, lecz nie jest nim, odkąd został wyświęcony na księdza. Tak więc byłby to grzech młodości, który Pan mu wybaczył. A przecież papież powinien wiedzieć, że w tej sprawie mowa była o zupełnie świeżych faktach.

Kłamstwo? Półprawda? Dla jezuity, jak mówią, skłamać w połowie to wciąż w połowie powiedzieć prawdę! Lepore dorzuca:

– Istnieje w Watykanie niepisana zasada wspierania duchownych bez względu na okoliczności. Franciszek chronił Battista Riccę wobec

wszystkich i przeciw wszystkim, nie kazał mu ustąpić ze stanowiska, podobnie jak Jan Paweł II krył Stanisława Dziwisza i Angelo Sodana, jak Benedykt XVI do końca, mimo silnej krytyki, bronił Georga Gänsweina i Tarcisio Bertonego. Papież jest monarchą. Może chronić tych, których kocha, bez względu na okoliczności, i nikt nie zdoła mu w tym przeszkodzić.

Początkiem całej sprawy było wnikliwe śledztwo dziennikarskie przeprowadzone w lipcu 2013 roku przez włoski dziennik „L'Espresso". Na pierwszej stronie ukazał się reportaż pod śmiałym tytułem *Lobby gejowskie*, w całości poświęcony Watykanowi. Dowiadujemy się z niego, że monsinior Ricca (wymieniony z nazwiska), pełniąc służbę w ambasadzie stolicy apostolskiej w Szwajcarii, a potem w Urugwaju, utrzymywał stosunki z pewnym szwajcarskim wojskowym.

Odkryto wiele szczegółów nocnego życia Battista Ricci w Montevideo. Pewnego wieczora został pobity w publicznym lokalu i wrócił do nuncjatury ze spuchniętą twarzą, w towarzystwie księży, których wezwał na pomoc. Innym razem w środku nocy utknął w windzie, która niefortunnie właśnie wtedy się zepsuła, w budynku ambasady stolicy apostolskiej. Dopiero o świcie strażacy uwolnili Riccę oraz towarzyszącego mu „pięknego młodzieńca". Pech!

Tygodnik, powołując się na informacje uzyskane od pewnego nuncjusza, wspomina też o walizkach szwajcarskiego wojskowego, domniemanego kochanka Ricci, w których znaleziono podobno „pistolet, całą masę prezerwatyw i materiały pornograficzne". Rzecznik papieża Franciszka, Federico Lombardi, jak zawsze zaprzeczył doniesieniom – jego zdaniem nie były „wiarygodne".

– Sposób załatwienia tej sprawy przez Watykan był dość komiczny. Odpowiedź papieża również. Grzech wybaczalny! Z dawnych czasów! To jak z wymówkami oskarżonego o używanie narkotyków Billa

Clintona. Owszem, palił marihuanę, ale się nie zaciągał! – ironizuje jeden z pracujących w Rzymie dyplomatów, znawca Watykanu.

Prasa szydziła okrutnie z utrapień prałata, z jego domniemanego podwójnego życia i z przygody w windzie. Warto jednak pamiętać, że za atakiem stał siedemdziesięciopięcioletni niebezpieczny ratzingerowski watykanista Sandro Magister. Dlaczego nagle, po dwunastu latach od przedstawianych wydarzeń, oskarża monsiniora Riccę, a nie jednego z wielu słynnych konserwatywnych kardynałów, którzy też mają swoich „szczególnych przyjaciół", a Magister zapewne nawet ich zna?

Sprawa Ricci to w istocie porachunki między konserwatywnym, powiedzmy ratzingerowskim, skrzydłem Watykanu a reprezentowanym przez Franciszka skrzydłem umiarkowanym, a zwłaszcza między dwoma homoseksualnymi klanami. Battista Ricca, dyplomata niebędący nuncjuszem, i Prelato d'Onore di Sua Santità (honorowy prałat papieski), który nie został biskupem, jest jednym z najbliższych współpracowników ojca świętego. Kieruje Domem Świętej Marty, oficjalną rezydencją papieża, oraz dwoma innymi papieskimi rezydencjami. Jest także jednym z przedstawicieli głowy Kościoła w bardzo kontrowersyjnym banku watykańskim (IOR). Widzimy, w jak bardzo eksponowanym miejscu się znalazł.

Jego przypuszczalny homoseksualizm był więc tylko pretekstem do osłabienia pozycji Franciszka. Fakt, że Ricca padł ofiarą agresji, wykorzystano do ujawnienia jego orientacji. Czy bronienie go przed napastnikami nie byłoby bardziej katolicką postawą? Jeśli chodzi o młodego człowieka, z którym utknął w zepsutej windzie, przypomnijmy, że był on dorosły i znalazł się tam dobrowolnie. Dodajmy, że jeden z oskarżycieli Ricci jest – wedle moich informatorów – homofobem i homoseksualistą jednocześnie! Podwójna gra, dość typowa dla watykańskiej obyczajowości.

Tak więc sprawa Ricci wpisuje się w długą serię porachunków między różnymi gejowskim frakcjami kurii rzymskiej, których ofiarą padli Dino Boffo, Cesare Burgazzi, Francesco Camaldo, a nawet były sekretarz generalny państwa watykańskiego Carlo Maria Viganò – będziemy jeszcze mieli okazję do tego wrócić. Za każdym razem osoby te – duchowne czy świeckie – były oskarżane przez duchownych, którzy sami najczęściej zamieszani byli w afery finansowe lub mieli problemy ze swoją ukrywaną seksualnością. Duchowni dawali pożywkę prasie, żeby ukryć własne sekrety, rzadko po to, by przysłużyć się Kościołowi. To kolejna, piąta reguła Sodomy: plotki, oszczerstwa, porachunki, zemsta, molestowanie seksualne są w stolicy apostolskiej na porządku dziennym. Jednym z głównych motorów tych intryg jest kwestia gejowska.

– NIE WIEDZIAŁ PAN, ŻE PAPIEŻ BYŁ OTOCZONY HOMOSEKSUALISTAMI? – pyta mnie niby to przebiegle pewien arcybiskup kurii rzymskiej. Nosi w Watykanie przydomek La Païva, na cześć słynnej markizy kurtyzany. Tak będę go nazywał w tej książce.

Jego ekscelencja La Païva, z którym regularnie jadałem obiady i kolacje, zna wszystkie sekrety Watykanu. Gram naiwnego:

– W Watykanie z zasady nie ma żadnych heteroseksualistów?

– Jest wielu gejów – przyznaje La Païva – bardzo wielu.

– Wiem, że homoseksualiści byli w otoczeniu Jana Pawła II i Benedykta XVI, ale o Franciszku nie wiedziałem.

– Owszem, u Świętej Marty wielu należy do „parafii” – powtarza La Païva, który używa i nadużywa tej pięknej peryfrazy.

„Być z parafii”. La Païva się śmieje. Jest dumny z tego wyrażenia, jakby wymyślił proch. Zgaduję, że w czasie swojej długiej kariery

używał go setki razy – a jednak na nowicjuszach wciąż robi wrażenie.

„Być z parafii" – tak mógłby brzmieć podtytuł tej książki. Wyrażenie to po francusku i po włosku istnieje już od pewnego czasu, znalazłem je w homoseksualnym żargonie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Może jest nawet starsze, znakomicie pasowałoby do *Sodomy i Gomory* Marcela Prousta lub do *Matki Boskiej Kwietnej* Jean'a Geneta – chociaż, o ile wiem, nie znajdziemy go w tych książkach. Może jest raczej plebejskie, wywodzi się z szemranych knajpek z lat dwudziestych czy trzydziestych? Niewykluczone. Tak czy inaczej, heroicznie łączy świat duchownych ze światem homoseksualistów.

– Wie pan, że pana lubię – oświadcza nagle La Païva. – Ale trochę się gniewam, że nie chce mi pan powiedzieć, czy woli mężczyzn czy kobiety? Dlaczego nie chce pan tego powiedzieć? Czy jest pan chociaż sympatykiem?

Fascynuje mnie ta niepowściągliwość La Païvy. Arcybiskup myśli na głos, nie może się oprzeć przyjemności, jaką daje mu pokazanie mi swojego świata. Sądzi, że zdobędzie tym moją przyjaźń. Odkrywa przede mną tajemnice Watykanu Franciszka, gdzie homoseksualność jest cudownie nieprzeniknionym sekretem. Barwny La Païva dzieli się swoimi sekretami – o, ciekawski człowieku! Dwa razy bardziej ciekawski niż inni – jak się dziś mawia „bi-curious". Wymienia nazwiska i tytuły tych „czynnych" i tych „nieaktywnych", przyznając, że jeśli policzyć razem osoby homofilne i homoseksualistów, to stanowią one zdecydowaną większość kolegium kardynalskiego!

Oczywiście najbardziej interesujący jest system. Zdaniem La Païvy wielkie znaczenie homoseksualistów w kurii jest stałe, nie zmienia się wraz ze zmianą papieża. Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła I, Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka otaczały i otaczają głównie osoby „z parafii".

PAPIEŻ FRANCISZEK, SKAZANY NA ŻYCIE wśród tej szczególnej fauny, robi, co może. Zdaniem „kim jestem, by osądzać?" próbował coś zmienić. Jeden krok dalej oznaczałby naruszenie doktryny i natychmiastowy wybuch wojny w kolegium kardynałów. Lepsza jest więc ambiwalencja, to pasuje do papieża jezuity, który potrafi w jednym zdaniu coś powiedzieć, a jednocześnie wyrazić coś przeciwnego. Być gay-friendly i anti-gay jednocześnie – co za talent!

Jego publiczne wypowiedzi nierzadko bywają sprzeczne z prywatnymi działaniami. Franciszek wciąż staje w obronie migrantów, jednak przeciwstawiając się małżeństwom gejowskim, nie pozwala nielegalnym imigrantom, będącym homoseksualistami żyjącymi w stałych związkach, uregulować ich statusu. Nazywa się „feministą", lecz pozbawia wyboru kobiety niemogące mieć dzieci, odmawiając im prawa do stosowania technik wspomaganego rozrodu. W 2018 roku monsinior Viganò w swojej *Testimonianzie* oskarżył Franciszka, że otacza się homoseksualistami i jest zbyt progejowski; w tym samym czasie papież radził młodym homoseksualistom, żeby szukali porady „psychiatry" (choć słów tych, jak potem mówił, żałuje).

W mowie wygłoszonej przed zakończonym wybraniem go na papieża konklawe Jorge Bergoglio za swój priorytet uznał „peryferia". Szczytny plan, wiodący ku świetlanej przyszłości, dotyczy w jego rozumieniu zarówno peryferii „geograficznych", tych oddalonych od rzymskiego zachodniego katolicyzmu chrześcijan z Azji, Ameryki Południowej i Afryki, jak i peryferii „egzystencjalnych", obejmujących osoby pozostawione przez Kościół na uboczu. A wśród nich – jak powiedział w wywiadzie udzielonym jezuicie Antonio Spadarowi – trzeba zwrócić uwagę zwłaszcza na rozwodników, mniejszości i homoseksualistów.

Poza planami są też symbole. Dlatego Franciszek spotkał się

publicznie, w ambasadzie Watykanu w Waszyngtonie, ze swoim byłym studentem, sześćdziesięciosiedmioletnim gejem Yayo Grassim. Grassi przyszedł ze swoim partnerem Iwanem, Indonezyjczykiem. Zdjęcia i film wideo pokazują parę witającą się serdecznie z ojcem świętym.

Według wielu źródeł medialny szum wokół spotkania papieża z gejowską parą nie był przypadkowy. Najpierw przedstawiane przez rzecznika papieża Federico Lombardiego jako niemal spontaniczne i „całkowicie prywatne", nieco później zostało przez tego samego Lombardiego nagłośnione jako prawdziwa „audiencja".

Trzeba bowiem wiedzieć, że w międzyczasie rozgorzała dyskusja związana ze spotkaniem papieża w trakcie tej samej podróży po Stanach Zjednoczonych (po naleganiach znanego homofoba, monsiniora Carlo Marii Viganò, nuncjusza apostolskiego w Waszyngtonie) z lokalną polityczką z Kentucky, Kim Davis. Odmówiła ona uznania ślubów homoseksualnych w swoim hrabstwie (choć sama jest dwa razy rozwiedziona). Widząc oburzenie, jakie wywołała ta uprzejmość wobec pierwszoplanowej homofobki, papież zrobił krok w tył, zaprzeczając, jakoby wspierał postawę pani Davis (urzędniczka za odmowę podporządkowania się amerykańskiemu prawu została aresztowana i spędziła pięć dni w więzieniu). Aby pokazać, że nie ma zamiaru zapętlić się w tej dyskusji i że żałuje sabotażu dokonanego za jego plecami przez Viganò (który niebawem wycofa się z Waszyngtonu), papież zrównoważył swój pierwszy homofobiczny gest, publicznie przyjmując byłego ucznia, geja, razem z jego partnerem. Wykonał podwójny ruch, demonstrując iście jezuicki irenizm [w teologii opisuje się w ten sposób drogę przywracania jedności chrześcijan poprzez szukanie kompromisów i możliwych ustępstw w doktrynie wiary – przyp. red.].

ZAMIESZANIE W ZWIĄZKU Z NOMINACJĄ AMBASADORA Francji przy stolicy apostolskiej jest przykładem tej samej ambiwalencji, jeśli nie swego rodzaju makiawelizmu, papieża Franciszka. Chodziło o Laurenta Stéfaniniego – dyplomatę wysokiej rangi, praktykującego katolika, związanego raczej z prawicą, świeckiego członka zakonu maltańskiego. Jako ceniony profesjonalista był za czasów Nicolasa Sarkozy'ego szefem protokołu w Pałacu Elizejskim, w przeszłości był też drugą osobą po ambasadorze we francuskim przedstawicielstwie w stolicy apostolskiej. Prezydent François Hollande mianował go ambasadorem Francji w lutym 2015 roku i oficjalnie przedstawił papieżowi tę nominację. Czyżby oficjalny komunikat, który wyciekł w gazecie „Le Canard enchaîné", był przedwczesny? Papież wciąż nie mógł podjąć decyzji. Powód? Dyplomata jest gejem!

Papież Benedykt XVI przez rok nie zaakceptował nominacji, wymuszając zmianę kandydata. Warto jednak przypomnieć, że w przeszłości kilku francuskich ambasadorów przy stolicy apostolskiej było zdeklarowanymi homoseksualistami, co oznacza, że zasada nie jest nienaruszalna.

Zamieszanie przybrało rozmiary ostrego kryzysu dyplomatycznego między „dwoma Franciszkami", bo prezydent Hollande za wszelką cenę chciał utrzymać kandydaturę Stéfaniniego, choć ta znów została odrzucona przez papieża. Jeśli nie chcą Stéfaniniego, nie będzie ambasadora Francji w Watykanie! – upierał się Hollande.

Żadna ze stron tego sporu nie dbała o konsekwencje, jakie miało dla samego zainteresowanego, którego prywatne życie wywleczono na forum publiczne. Obie, pod pozorem obrony Kościoła, osłabiały go, a papieża stawiały w niezręcznym położeniu. Franciszek był zmuszony przyjąć Stéfaniniego ze wszystkimi honorami, przeprosić go i przekonać – jak to nieco świętoszkowaty jezuita – że osobiście nic

do niego nie ma!

Ważnego świadectwa dostarcza blisko związany z papieżem Argentyńczyk Eduardo Valdés, w czasie sprawy Stéfaniniego ambasador przy Watykanie.

– Jestem przekonany – tłumaczy mi podczas rozmowy w Buenos Aires nagranej za jego zgodą – że wszyscy, którzy przeciwstawiali się nominacji Stéfaniniego na ambasadora, tak samo jak on byli homoseksualistami. Wciąż ta sama hipokryzja! Wciąż te same podwójne standardy! To najbardziej czynni homoseksualiści potępiają inne osoby tej samej orientacji.

Przez ponad czternaście miesięcy stanowisko było nieobsadzone. W końcu François Hollande skapitulował i mianował ugodowego dyplomatę, kończącego już swoją karierę, żonatego, porządnego ojca rodziny. Stéfanini oświadczył, nie bez poczucia humoru, że nie miał wpływu na tę dyplomatyczną nominację, podobnie jak nie wybrał sobie bycia homoseksualistą! (Moje źródła w „sprawie Stéfaniniego" to, poza wymienionymi już nazwiskami: kardynał Tauran, arcybiskup François Bacqué i dziesięciu innych watykańskich dyplomatów, czterech ambasadorów Francji przy stolicy apostolskiej: Jean Guéguinou, Pierre Morel, Bruno Joubert i Philippe Zeller, a także, rzecz jasna, ambasadorzy Bertrand Besancenot i Laurent Stéfanini).

CZY FRANCISZEK FAKTYCZNIE JEST TAK PROGEJOWSKI, JAK SIĘ UWAŻA? Ci, którzy tak myślą, na potwierdzenie swojej tezy opowiedzieli mi pewną historię. Niemiecki kardynał Gerhard Müller, prefekt potężnej Kongregacji Nauki Wiary, przybył na audiencję do papieża z dokumentami dowodzącymi homofilii pewnego starego teologa, chcąc ustalić, jakie należy nałożyć na niego sankcje. Na co papież miał odpowiedzieć (co wiadomo z ust dwóch członków Kongregacji, którzy usłyszeli to od Müllera): „Czy nie lepiej zaprosić go na piwo, porozmawiać z nim jak z bratem i poszukać rozwiązania

tego problemu?”.

Kardynała Müllera, który publicznie nie czyni sekretu ze swojej wrogości wobec gejów, odpowiedź Franciszka dosłownie zdruzgotała. Wrócił wściekły do swojego biura (jak donosi osoba obecna przy tej scenie) i natychmiast opowiedział o wszystkim współpracownikom i osobistemu asystentowi, z którym byli nierozłączni. Wygłosił przy tym ostrą krytykę papieża – jego nieznajomości Watykanu, błędnego osądu homoseksualizmu i sposobu załatwiania spraw. Krytyka ta dotarła do uszu papieża, który ukarał Müllera, najpierw pozbawiając go współpracowników, jednego po drugim, potem poniżając go publicznie, a w końcu, kilka lat później, wysyłając na wcześniejszą emeryturę, zamiast zatrzymać na stanowisku. (Dwa razy spotkałem się z Müllerem u niego w domu i pytałem go o relacje z papieżem, więc częściowo opieram się tu na jego słowach).

Czy papież, oskarżając kurię o plotkarstwo, myśli o takich konserwatywnych kardynała jak Müller lub Burke? W czasie uroczystej mszy w Watykanie 22 grudnia 2014 roku, nieco ponad rok po tym, jak został wybrany, ojciec święty przeszedł do ofensywy. Tego dnia w obecności oczekujących bożonarodzeniowych życzeń kardynałów i biskupów przedstawił katalog piętnastu „chorób” kurii rzymskiej, wśród których znalazł się „duchowy alzheimer” i „egzystencjalna schizofrenia”. Piętnował przede wszystkim obłudę kardynałów i biskupów wiodących „ukryte, często rozwiązłe życie”, krytykował „obgadywanie”, „terror plotek”.

Szarża była ostra, jednak papież wciąż jeszcze nie znalazł swojej wielkiej formuły. Uda mu się to w 2016 roku, 24 października w porannej homilii w Domu Świętej Marty (ten długi ze względu na wagę wypowiedzi cytat podaję za oficjalnym zapisem Radia Watykańskiego): „Za rygoryzmem zawsze jest coś innego. Rygoryzm nie jest darem Boga. Łagodność tak, dobroć tak, życzliwość tak;

przebaczenie tak, ale rygoryzm nie! Za rygoryzmem zawsze coś się ukrywa, w wielu przypadkach podwójne życie”[23].

Franciszek wreszcie znalazł swoją formułę: „Za rygoryzmem zawsze jest coś ukrytego, w wielu przypadkach podwójne życie”. Zdanie to, skrócone dla większego efektu, będzie często powtarzane przez jego otoczenie: „Rygoryści wiodą podwójne życie”. I choć nigdy nie wymienił żadnych nazwisk, nietrudno odgadnąć, o których kardynałów i prałatów chodzi.

Kilka miesięcy później, 5 maja 2017 roku, papież ponawia atak w tych samych prawie słowach: „Istnieją ludzie surowi o podwójnym życiu – pokazują się jako piękni, uczciwi, ale kiedy nikt ich nie widzi, robią rzeczy niegodziwe. (…) Inni stosują surowość, aby przykryć słabości, grzechy, choroby osobowości (…) rygorystyczni obłudnicy prowadzący podwójne życie”[24].

Dwudziestego października 2017 roku Franciszek po raz kolejny ostro krytykuje kardynałów z kurii będących „obłudnikami” żyjącymi „na pokaz”. Są jak „bańki mydlane”, skrywają prawdę przed Bogiem, przed innymi i przed sobą, umieją robić właśnie „minę jak z obrazka, właśnie jakby byli święci. (…) Na zewnątrz pokazują się jako sprawiedliwi, jako dobrzy: lubią (…) ostentacyjnie pokazywać się, kiedy się modlą i kiedy poszczą, kiedy dają jałmużnę. [Ale] wszystko jest pokazywaniem się, pozorem, a w środku, w sercu, nie ma nic (…), ci ludzie upiększają duszę, żyją pozorem: świętość dla nich jest pozorem (…). Fałsz czyni wiele zła, obłuda wyrządza wiele zła – to jest sposób życia”[25].

Podobne słowa Franciszek powtarza po raz kolejny w październiku 2018 roku: „Byli rygorystyczni. A Jezus znał ich duszę. (…) Pod rygoryzmem lub w nim zawsze kryją się problemy. Poważne problemy. (…) Miejcie się na baczności przed chrześcijanami – czy to świeckimi, księżmi, biskupami – którzy jawią się jako »doskonali«,

rygorystyczni. Miejcie się na baczności (…) nie ma [w nich] Ducha Bożego”[26].

Te surowe, wręcz oskarżycielskie zdania, tak często powtarzane przez Franciszka od początku jego pontyfikatu, niosą pewne przesłanie i stanowią ostrzeżenie. Czy w ten sposób, wskazując podwójne standardy w kwestii moralności seksualnej i pieniędzy, atakuje swoją konserwatywną opozycję? Na pewno. Lecz możemy chyba pójść krok dalej – papież wysyła ostrzeżenie niektórym konserwatywnym i tradycjonalnym kardynałom, dając do zrozumienia, że wie o ich podwójnym życiu. (Wielu bergogliańskich kardynałów, arcybiskupów, nuncjuszy i księży potwierdzało, że taka właśnie jest strategia papieża).

W TYM CZASIE krotochwilny papież nadal wypowiadał się w sprawie gejów na swój – czyli jezuicki – sposób. Dwa kroki do przodu, dwa kroki do tyłu. Ta polityka małych kroczków jest dwuznaczna, często wręcz wewnętrznie sprzeczna. Franciszek nie wydaje się szczególnie konsekwentny.

Czy chodzi tu o strategię komunikacji? Czy to perwersyjna gra z oponentami, których raz podburza, raz ugłaskuje, wiedząc, że akceptacja homoseksualizmu to dla nich problem najwyższej wagi i kwestia bardzo intymna? Czy mamy do czynienia – jak twierdzą jego krytycy – z papieżem kapryśnym, który z powodu intelektualnych deficytów i braku pewności siebie jest zmienny jak pogoda? Gubią się w tym nawet najlepiej poinformowani watykaniści. Progejowski czy antygejowski – nie wiadomo.

„Dlaczego nie napić się z gejem piwa?” – zaproponował Franciszek. I w rzeczy samej to właśnie wiele razy robił w swoim prywatnym mieszkaniu w Domu Świętej Marty lub w trakcie podróży. Przyjął oficjalnie Diego Nerię Lejarragę, transseksualistę urodzonego jako kobieta, w towarzystwie jego dziewczyny. Przy innej okazji, w 2017

roku, gościł oficjalnie w Watykanie Xaviera Bettela, premiera Luksemburga, wraz z mężem, belgijskim architektem Gauthierem Destenayem.

Większość tych wizyt organizowali Fabián Pedacchio, osobisty sekretarz papieża, i Georg Gänswein, prefekt domu papieskiego. Fotografiom Georga serdecznie witającego osoby LGBT pikanterii dodają ciągłe krytyczne wypowiedzi tegoż pod adresem homoseksualistów.

Jeśli chodzi o Argentyńczyka Pedacchia, mniej znanego szerokiej publiczności, od 2013 roku jest bliskim współpracownikiem papieża, mieszka w Domu Świętej Marty na drugim piętrze, w pokoju numer 201, niedaleko Franciszka (co powiedział mi w czasie wywiadu jeden z gwardzistów). Pedacchio to tajemnicza postać – rzadko udziela wywiadów lub usunięto je ze stron internetowych, mówi mało, jego oficjalna biografia jest bardzo skąpa. On także padł ofiarą ataków poniżej pasa ze strony prawego skrzydła kurii rzymskiej i monsiniora Viganò w jego *Testimonianzie.*

– To twardy typ. Jest trochę jak ten czarny charakter, który musi stać u boku dobrego i szlachetnego człowieka – zdradza mi Eduardo Valdés, były ambasador Argentyny przy stolicy apostolskiej.

A skoro w klasycznym przeciwstawieniu „dobrego policjanta" „złemu" on jest tym drugim, krytykują go ci, którzy nie mają odwagi bezpośrednio zaatakować papieża. Kardynałowie i biskupi z kurii wypominają prałatowi nieuporządkowane życie, dokopali się też do konta, jakie otworzył w randkowym serwisie społecznościowym Badoo „poszukując przyjaciół" (strona została zamknięta po ujawnieniu jej przez włoską prasę, jest jednak dostępna w pamięci Web i w tym, co nazywamy głęboką siecią, „deep Web"). Na swoim koncie w Badoo i w nielicznych wywiadach, jakie można znaleźć, monsinior Pedacchio wyznaje, że lubi operę i „uwielbia" kino

hiszpańskiego reżysera Almodóvara. Widział „wszystkie jego filmy”, w których, jak przyznaje, są „gorące sceny seksualne”. Swoje powołanie odkrył dzięki pewnemu „dość wyjątkowemu” księdzu, który zmienił jego życie. Jeśli chodzi o Badoo, Pedacchio utrzymuje, że to spisek przeciwko niemu, że konto było fałszywe.

Głuchy na słowa krytyki wobec jego najbliższego otoczenia papież Franciszek kontynuuje politykę małych kroczków. Po masakrze w gejowskim klubie w Orlando na Florydzie, gdzie zginęło czterdzieści dziewięć osób, papież z oczami zamkniętymi na znak bólu mówi:

– Myślę, że Kościół powinien przeprosić osoby homoseksualne, które obrażał, [podobnie jak powinien] przeprosić ubogich, gwałcone kobiety, dzieci zmuszane do pracy. Powinien przeprosić, że tak często błogosławił broń.

Franciszek mówił te miłosierne słowa, a jednocześnie wykazywał zupełnie nieelastyczną postawę wobec „teorii gender”. W okresie od 2015 do 2017 roku pięć razy wypowiadał się przeciw „ideologii”, którą określił jako „demoniczną”. Czasami robił to zupełnie powierzchownie, bez znajomości tematu, jak w 2016 roku, kiedy zarzucił francuskim podręcznikom „indoktrynowanie kłamliwą teorią gender”. Niedługo potem francuscy wydawcy i ministerstwo edukacji narodowej stwierdzili, że „podręczniki nie zawierają żadnej wzmianki ani żadnego odwołania do tej teorii”. Błąd papieża wynika zapewne z tego, że przyjął na wiarę fake newsy rozpowszechniane przez związane ze skrajną prawicą francuskie organizacje katolickie.

JEDNYM ZE „SKRYBÓW” FRANCISZKA jest dyskretny monsinior odpowiadający co tydzień na blisko pięćdziesiąt listów do papieża, wśród których wiele dotyczy spraw bardzo delikatnych. Zgodził się ze mną spotkać – pod warunkiem że pozostanie anonimowy.

– Ojciec święty nie wie, że jednym z jego skrybów jest ksiądz gej! –

wyjawił mi z dumą.

Prałat ten, zważywszy na funkcję, jaką pełni przy papieżu, ma dojścia w całym Watykanie. Przez ostatnie lata spotykałem się z nim regularnie. Podczas jednego ze wspólnych posiłków w restauracji Corso przy via in Lucina zdradził mi sekret, o którym nikt nie wie, sekret odsłaniający kolejne oblicze Franciszka.

Po słynnym zdaniu „kim jestem, by osądzać?" do papieża zaczęła napływać ogromna liczba listów od osób homoseksualnych z podziękowaniami za te słowa i prośbami o radę. Tą obfitą korespondencją zajmują się w Watykanie wydziały sekretariatu stanu stolicy apostolskiej, a dokładniej sekcja monsiniora Cesare Burgazziego, odpowiedzialnego za listy ojca świętego. Zdaniem ludzi z otoczenia Burgazziego, z którymi rozmawiałem, listy te często są „pełne rozpaczy", ich autorami są seminarzyści lub księża „bliscy samobójstwa", bo niebędący w stanie pogodzić swojego homoseksualizmu z wiarą.

– Przez długi czas bardzo sumiennie odpowiadaliśmy na te listy, a odpowiedzi nosiły podpis ojca świętego – opowiada mój informator. – Listy od homoseksualistów zawsze traktowaliśmy ze szczególną atencją i taktem, przecież w sekretariacie stanu tak wielu mamy monsiniorów gejów.

Jednakże pewnego dnia papież Franciszek uznał, że sposób prowadzenia korespondencji nie satysfakcjonuje go, i zażądał reorganizacji wydziału. Dodając do tego – zdaniem mojego informatora skryby – niepokojące zalecenie.

– Z dnia na dzień papież zażyczył sobie, żeby już nie odpowiadać osobom homoseksualnym. Mamy nie podejmować żadnych kroków. Zdumiała nas ta niespodziewana decyzja.

I dodał jeszcze:

– W przeciwieństwie do tego, co może się wydawać, ten papież

wcale nie jest progejowski. Jest tak samo homofobiczny jak jego poprzednicy. (Dwaj inni księża z sekretariatu stanu potwierdzili, że pojawiło się takie zalecenie, nie byli jednak pewni, czy wyszło od samego papieża, mógł je wydać któryś z jego współpracowników).

Według informacji, jakie uzyskałem, monsiniorzy z sekretariatu stanu stworzyli jednak swego rodzaju „ruch oporu” (jak to nazwał jeden z nich) – kiedy dostają list, w którym homoseksualista czy ksiądz gej zwierza się z zamiarów samobójczych, organizują to tak, by podsunąć papieżowi do podpisu odpowiedź – pełną zrozumienia, choć subtelnie omowną. W ten sposób papież jezuita bez własnej wiedzy wciąż śle homoseksualistom miłosierne listy.

4.

Buenos Aires

„ZDJĘCIE TRZECH JORGÓW” – tak się mówi o tej czarno-białej fotografii. Przyszły papież, Jorge Bergoglio, po lewej, ubrany jak pastor, ma minę, jakby był w siódmym niebie. Po prawej Jorge Luis Borges, najwybitniejszy argentyński pisarz, niewidomy, w grubych okularach, z poważną miną. Między dwoma mężczyznami stoi młody seminarzysta w koloratce, smukły, niepokojąco piękny – spuszcza wzrok, jakby uciekał przed obiektywem aparatu. Jest sierpień 1965 roku.

Fotografia, odkryta w ostatnich latach, była pretekstem do paru plotek. Seminarzysta, o którego chodzi, ma dziś ponad osiemdziesiąt lat, tyle samo, co Franciszek, nazywa się Jorge González Manent. Mieszka w mieście leżącym trzydzieści kilometrów na zachód od stolicy Argentyny, niedaleko kolegium jezuickiego, w którym studiował wraz z przyszłym papieżem. Jako dwudziestotrzylatkowie razem składali pierwsze śluby zakonne. Przyjaźnili się przez dziesięć lat, przemierzyli Argentynę i inne kraje Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza Chile, gdzie studiowali w Valparaiso. Kilka lat wcześniej podobną trasę przebył ich słynny rodak Che Guevara.

W roku 1965 Jorge Bergoglio i Jorge González Manent, w wieku dwudziestu dziewięciu lat wciąż nierozdzielni, pracują w szkole, w kolegium Maryi Niepokalanej. Zapraszają tam na swoje zajęcia z literatury Borgesa. Słynne zdjęcie zostało zrobione po tym spotkaniu.

W latach 1968-1969 drogi dwóch Jorgów się rozchodzą: Bergoglio

zostaje wyświęcony na księdza, a González Manent opuszcza Towarzystwo Jezusowe. Zrzuca sukienkę, nim ją założył. „Zacząwszy studia teologiczne, z bliska widziałem duchowieństwo i nie czułem się z tym dobrze. Po odejściu powiedziałem matce, że wolę być dobrym człowiekiem jako osoba świecka niż złym księdzem” – powie później. Wbrew pogłoskom González Manent raczej nie opuścił stanu duchownego z powodu swoich skłonności; odszedł, by poślubić kobietę. Niedawno spisał swoje prywatne wspomnienia dotyczące papieża w książeczce zatytułowanej *Yo y Bergoglio: Jesuitas en formación* [Ja i Bergoglio. Jezuici w formacji – przyp. red.]. Czy kryje ona jakiś sekret?

Co dziwne, książka została wycofana z księgarni, nie można znaleźć jej nawet w magazynach wydawnictwa, które ją opublikowało i gdzie – sprawdziłem na miejscu – odnotowano, że „została wycofana na żądanie autora”. Egzemplarz *Yo y Bergoglio* nie został przekazany przez mającego ten obowiązek wydawcę do biblioteki narodowej w Argentynie, gdzie też szukałem tej pozycji. Tajemnicza sprawa!

Na temat Franciszka krąży sporo plotek. Niektóre są prawdziwe: papież faktycznie pracował w fabryce pończoch, był też wykidajłą w nocnym klubie. Jego oponenci rozsiewają też fałszywe pogłoski, chociażby tę o jego rzekomej chorobie i o tym, że „nie ma płuca” (naprawdę wycięto mu jedynie małą część prawego płata).

Godzinę drogi na zachód od Buenos Aires znajduje się jezuickie seminarium Colegio Máximo w San Miguel. Zobaczę się tam z księdzem i teologiem Juanem Carlosem Scannonem, jednym z najbliższych przyjaciół papieża. Spotkanie zorganizował (i towarzyszy mi w nim) Andrès Herrera, Argentyńczyk, mój główny researcher w Ameryce Łacińskiej.

Scannone przyjmuje nas w niedużym salonie. Choć ma ponad

osiemdziesiąt sześć lat na karku, znakomicie przypomina sobie czas spędzony z Bergogliem i Manentem. Zupełnie za to nie pamięta fotografii trzech Jorgów i zaginionej książki.

– Jorge żył tu przez siedemnaście lat, najpierw jako student filozofii i teologii, potem jako prowincjał jezuitów, w końcu jako rektor kolegium – opowiada Scannone.

Teolog jest człowiekiem bezpośrednim, szczerym, nie boi się żadnych pytań. Swobodnie rozmawiamy o homoseksualizmie wielu wpływowych argentyńskich prałatów, z którymi Bergoglio wszedł w otwarty konflikt. Scannone potwierdza lub zaprzecza, zależnie od nazwiska. Jasno mówi też o ślubach gejowskich.

– Sądzę, że Jorge [Bergoglio] chciałby praw dla par homoseksualnych, to naprawdę było jego życzenie. Jednak małżeństwom gejowskim nie sprzyjał, bo małżeństwo to sakrament. Tymczasem kuria rzymska odnosiła się wrogo także wobec legalizacji związków partnerskich, szczególnie sztywną postawę wykazywał kardynał Sodano. I nuncjusz, który urzędował wówczas w Argentynie, też przeciwstawiał się związkom partnerskim. (Nuncjuszem był wtedy Adriano Bernardini, towarzysz Angelo Sodana będący w fatalnych stosunkach z Bergogliem).

Tworzymy intelektualny i psychologiczny profil Franciszka, w czym szczególną rolę odgrywa jego przeszłość jezuicka oraz fakt bycia synem włoskich imigrantów. Przesąd twierdzący, że „Argentyńczycy to Włosi mówiący po hiszpańsku”, w jego wypadku nie jest fałszywy!

Gdy pytam o teologię wyzwolenia, Scannone nieco machinalnie powtarza to, co pojawia się w wielu jego tekstach:

– Papież zawsze sprzyjał temu, co nazywamy opcją preferencyjną na rzecz ubogich. Nie odrzuca więc teologii wyzwolenia jako takiej, jest jednak przeciwny jej marksistowskiej wersji i każdej formie

przemocy. Woli to, co tutaj, w Argentynie, nazywamy „teología del pueblo”.

TEOLOGIA WYZWOLENIA to ważny nurt myślenia w Kościele katolickim, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, oraz, jak zobaczymy, jedno z istotnych zagadnień w kontekście poruszanej tu problematyki. Przyjrzyjmy się jej bliżej, stanie się bowiem centralną kwestią w wielkiej batalii watykańskich homoseksualnych klanów za rządów Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka.

Ta postmarksistowska ideologia broni postaci Chrystusa w jej zradykalizowanej wersji, walczy o Kościół ubogich i wykluczonych, o Kościół solidarności. Rozwijała się począwszy od międzynarodowej konferencji episkopatów krajów Ameryki Łacińskiej w Medellin w Kolumbii w 1968 roku, choć nazwę zyskała później dzięki pismom peruwiańskiego teologa Gustavo Gutiérreza, niestrudzenie wzywającego do zaprowadzenia ładu opartego na sprawiedliwości społecznej.

W latach siedemdziesiątych XX wieku ten złożony nurt myślenia, obejmujący wielu filozofów i korpus różnorodnych tekstów, rozpowszechnił się w całej Ameryce Łacińskiej. Ponad dzielącymi ich różnicami teologów wyzwolenia łączy przekonanie, że przyczyny biedy są ekonomiczne i społeczne (nie mówili jeszcze o czynnikach rasowych, tożsamościowych i genderowych). Walczą też o „opcję preferencyjną dla ubogich”, wbrew klasycznym kościelnym pojęciom dobroczynności i współczucia – ubogi nie jest dla nich „kimś wymagającym pomocy”, lecz „podmiotem”, panem własnego losu z prawem do wyzwolenia. I w końcu jest to ruch z istoty wspólnotowy, zaczyna się w terenie, u podstaw, zwłaszcza w kościelnych wspólnotach, w kościele ludowym, w fawelach – w ten sposób zrywa z „europocentryzmem” i centralizmem kurii rzymskiej.

– Pierwotnie teologia wyzwolenia bierze się z ulic, z faweli, ze wspólnot podstawowych. Nie stworzono jej na uniwersytetach, tylko w łonie kościelnych wspólnot podstawowych, słynnych CEB[27]. Potem teolodzy, tacy jak Gustavo Gutiérrez czy Leonardo Boff, usystematyzowali te idee – po pierwsze, myśl, że grzech nie jest kwestią jednostkową, tylko społeczną. Krótko mówiąc, zamiast pilnować masturbujących się jednostek, zatroszczmy się o wyzyskiwane masy! Dla Jezusa Chrystusa wzorem działania byli ubodzy – tłumaczy mi podczas spotkania w Rio de Janeiro brazylijski dominikanin Frei Betto, jedna z ważniejszych postaci tego ruchu.

Niektórzy teolodzy wyzwolenia byli komunistami, guewarystami, sympatyzowali z guerillas lub z Fidelem Castro. Po upadku muru berlińskiego ruch przeszedł przemianę i zajął się ochroną środowiska, tożsamością autochtonów, kobiet i czarnych w Ameryce Łacińskiej, otworzył się też na problemy genderowe. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku i na początku wieku XXI najsłynniejsi teolodzy wyzwolenia, Leonardo Boff i Gustavo Gutiérrez, zaczęli interesować się kwestiami tożsamości seksualnej i genderowej, występując tym samym wbrew oficjalnemu stanowisku papieży Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Czy Jorge Bergoglio był związany z teologią wyzwolenia? Pytanie to wywołało burzliwe dyskusje – pamiętajmy, że w latach osiemdziesiątych stolica apostolska toczyła przeciw niej brutalną kampanię i zamknęła usta wielu związanym z nią myślicielom. „Wyzwolicielska" przeszłość Franciszka i jego sympatia dla niesfornych duszpasterzy podkreślana jest przez jego wrogów i podawana w wątpliwość przez osoby mu życzliwe. W napisanej na zamówienie propagandowej książce *François, le pape américain* dwóch dziennikarzy „L'Osservatore Romano" zdecydowanie odrzuca jakikolwiek związek papieża z tym nurtem myślenia.

Bliskie Franciszkowi osoby, z którymi rozmawiałem w Argentynie, są mniej kategoryczne. Pamiętają, że na jezuitów w ogóle i na Franciszka w szczególności te lewicowe idee wywarły spory wpływ.

– Wyodrębniłbym w ramach teologii wyzwolenia cztery nurty. Jeden z nich, teologia ludu, dobrze odzwierciedla myśl Jorge Bergoglia. Nie używamy w nim wziętej z marksizmu kategorii walki klas i zdecydowanie odrzucamy przemoc – tłumaczy Juan Carlos Scannone.

Ten przyjaciel papieża przekonuje mnie jednak, że Franciszek utrzymywał w Argentynie i utrzymuje wciąż dziś, w Rzymie, dobre stosunki z dwoma głównymi teologami wyzwolenia, Gustavo Gutiérrezem i Leonardo Boffem, choć Joseph Ratzinger na obu nałożył kościelne sankcje.

By dowiedzieć się więcej, udałem się do Urugwaju przez Rio de la Plata – droga z Buenos Aires trwa trzy godziny, a jeden z kursujących tam statków nosi imię „Papa Francisco”. W Montevideo mam spotkanie z kardynałem Danielem Sturlą, młodym, ciepłym i przyjacielskim duchownym, przedstawicielem współczesnej linii Kościoła papieża Franciszka. Sturla wita nas, mnie i Andrèsa, w czarnej koszuli z krótkimi rękawami, mogę więc dostrzec na jego przegubie zwykłego swatcha – duży kontrast z luksusowymi zegarkami, jakie widziałem u wielu włoskich kardynałów. Wywiad, przewidziany na dwadzieścia minut, trwa ponad godzinę.

– Papież wpisuje się w to, co nazywamy tu, u nas, „teología del pueblo”. To teologia ludzi, biedaków – wyjaśnia mi Sturla, pociągając kolejny łyk mate.

Na wzór Che Guevary, który dzielił się nią ze swoimi żołnierzami, Sturla daje mi skosztować ze swojej tykwy tego tradycyjnego napoju – gorzkawego i pobudzającego. Pociągam trochę płynu przez

specjalną rurkę, bombillę.

Zdaniem kardynała Sturli zasadnicza różnica między teologią wyzwolenia a teologią ludu polega na stosunku do przemocy. Uważa nawet, że Kościół miał prawo odrzucić księży zwolenników Guevary, którzy chwycili za broń i dołączyli do guerillas w Ameryce Łacińskiej.

W Buenos Aires luterański pastor Lisandro Orlov z powątpiewaniem patrzy na te subtelne rozróżnienia.

– Teologia wyzwolenia i teologia ludu są bardzo podobne. Powiedziałbym, że ta druga jest argentyńską wersją pierwszej. Jest bardzo populistyczna, czy raczej peronistyczna [od nazwiska dawnego prezydenta Argentyny Juana Peróna]. To bardzo charakterystyczne dla Bergoglia, który nigdy nie był lewicowy, za to był peronistą!

W końcu Marcelo Figueroa (rozmawiałem z nim w słynnej kawiarni Tortoni w Buenos Aires), protestant, który przez wiele lat współprowadził z Bergogliem słynny program telewizyjny na temat międzyreligijnej tolerancji, komentuje:

– Można powiedzieć, że Bergoglio jest lewicowy, choć jeśli chodzi o teologię, jest dość konserwatywny. Peronista? Nie sądzę. Tak naprawdę wcale nie jest też teologiem wyzwolenia. Guevarysta? Mógłby odnaleźć się w ideach Che Guevary, lecz nie w jego działaniach. Nie sposób go zamknąć w żadnym z tych określeń. Przede wszystkim jest jezuitą.

Figueroa jako pierwszy poważył się na porównanie z Che Guevarą, ale kolejni argentyńscy księża, z którymi rozmawiałem, też tworzyli ten obraz. Obraz interesujący. Nie chodzi oczywiście o wojowniczego i zbrodniczego Che z Hawany, sekciarskiego rewolucyjnego compañero z krwią na rękach, ani o zindoktrynowanego partyzanta z Boliwii. Praktyczna i teoretyczna przemoc Che nie pasuje do Franciszka. Jednak przyszły papież dał się porwać mitowi Che – jak tylu Argentyńczyków, jak tylu młodych buntowników na całym

świecie (gdy wygrała rewolucja kubańska Bergoglio miał 23 lata). Zresztą, jak oprzeć się urokowi młodego lekarza z Buenos Aires, który opuścił kraj i na motocyklu ruszył w stronę „peryferii” Ameryki Łacińskiej; odkrywając po drodze nieszczęście, wyzyskiwanych pracowników, Indian i wszystkich „przeklętych tej ziemi”? Taki właśnie „wczesny” Guevara podoba się papieżowi – jeszcze współczujący, wielkoduszny i mało ideologiczny, jeszcze nie tak dogłębnie zbuntowany, społeczny asceta, zawsze z książką w dłoni, czytający wiersze. Jeśli mentalność Franciszka skłania się w pewien sposób ku guevaryzmowi, to nie dla jego leninowskiego katechizmu, lecz z powodu tego nieco naiwnego romantyzmu, legendy, całkiem zresztą oderwanej od rzeczywistości.

Widzimy więc, że bardzo jest to dalekie od przyklejanych Franciszkowi przez katolicką skrajną prawicę etykiet „papieża komunisty” czy „marksisty” – bo tak właśnie bez ogródek nazywali go w rozmowach ze mną w Rzymie różni biskupi czy nuncjusze. Wypominają mu – wrzucając wszystko do jednego worka – że sprowadził muzułmańskich (a nie chrześcijańskich) imigrantów na wyspę Lesbos, że staje po stronie bezdomnych, że chce sprzedać kościoły, by pomóc ubogim, no i oczywiście to, że wypowiada się pozytywnie o gejach. To krytyka z pozycji politycznej, nie katolickiej.

Franciszek komunistą? Przecież słowa mają jakieś znaczenia! Figueroę szokuje zła wiara antybergogliańskiej opozycji, która ze swoimi ultraprawicowymi kardynałami, takimi jak Raymond Burke czy Robert Sarah, zdaje się repliką amerykańskiej Tea Party!

DZIŚ NAJWIĘKSZYCH WROGÓW PAPIEŻ FRANCISZEK ma w Rzymie. Kiedyś miał ich w Argentynie. Dotarcie do źródeł antybergogliańskiej opozycji może ze względu na poruszany tu temat okazać się istotne. Przyjrzyjmy się więc trzem postaciom, bardzo ważnym w szczególnym kontekście argentyńskiej dyktatury:

nuncjuszowi Pio Laghiemu, arcybiskupowi La Plata Héctorowi Aguerowi i Leonardo Sandriemu.

Pierwszy z nich, nuncjusz w Buenos Aires w latach 1974-1980, wszedł w konflikt z Jorge Bergogliem dużo później – gdy został kardynałem i objął kierownictwo Kongregacji do spraw Edukacji Katolickiej. Jednak w swoich argentyńskich czasach był blisko junty wojskowej, która miała na sumieniu co najmniej piętnaście tysięcy rozstrzelanych, trzydzieści tysięcy „desaparecidos" (zaginionych) i milion wygnanych z kraju. Postawa Pio Laghiego od dawna jest krytykowana, zwłaszcza że, jak wiadomo, nuncjusz lubił grać w tenisa z jednym z dyktatorów. Jednak wiele osób, z którymi rozmawiałem – chociażby teolog i przyjaciel papieża Juan Carlos Scannone lub były ambasador Argentyny w Watykanie Eduardo Valdés – sceptycznie odnosi się do informacji o przyjaźni Laghiego z dyktatorem i o współpracy z wojskowymi władzami.

Z kolei arcybiskup Claudio Maria Celli, który pod koniec lat osiemdziesiątych był zastępcą Pio Laghiego w Argentynie, powiedział mi podczas wywiadu w Rzymie:

– Prawdą jest, że Laghi prowadził dialog z Videlą [jednym z dyktatorów], jednak była to strategia bardziej subtelna, niż się dziś wydaje. Próbował wpłynąć na zmianę jego linii politycznej.

Odtajnione przez rząd USA archiwa oraz wiele świadectw, jakie zebrałem w Buenos Aires i w Rzymie, pokazują jednak, że Pio Laghi był wspólnikiem wojskowych, informatorem CIA i homoseksualistą. Z kolei informacje z archiwów Watykanu, również częściowo odtajnionych, wskazują raczej – co nie dziwi – na niewinność Laghiego.

Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy po lekturze czterech tysięcy sześciuset odtajnionych notatek i dokumentów CIA i Departamentu Stanu (z którymi mogliśmy się bardzo starannie zapoznać) są bliskie

kontakty nuncjusza z ambasadą Stanów Zjednoczonych. W zbiorze służbowych notatek z 1975 i 1976 roku, którymi dysponuję, Laghi opowiada wszystko amerykańskiemu ambasadorowi i jego współpracownikom. Ustawicznie broni tam Videli i Violi jako „porządnych ludzi" chcących „korygować nadużycia" dyktatury. Zwalnia wojskowych z odpowiedzialności za zbrodnie, twierdząc, że przemocy winien jest tak samo rząd, jak i „marksistowska" opozycja. Zaprzecza też w doniesieniach dla amerykańskich agentów, jakoby księża w Argentynie mogli być prześladowani. (Tymczasem co najmniej dziesięciu zostało zamordowanych).

Według moich źródeł homoseksualizm Pio Laghiego mógłby wyjaśniać jego postawę i w pewnym stopniu przyczynić się do jego związków z juntą – to przecież schemat, który często się powtarza. Nie zmuszało go to oczywiście do współpracy, jednak fakt, że wojskowi znali jego skłonności, jego słaby punkt, mógł go skłonić do milczenia. Tyle że Laghi posunął się dalej – zdecydował się aktywnie uczestniczyć w życiu powiązanej z reżimem faszyzującej gejowskiej mafii.

– Pio Laghi był sprzymierzeńcem dyktatury – ucina dyskusję Lisandro Orlov, jeden z najwybitniejszych znawców argentyńskiego Kościoła katolickiego, pastor luterański, który rzeczywiście przeciwstawiał się wojskowej juncie (i z którym wielokrotnie rozmawiałem w jego domu w Buenos Aires, a potem w Paryżu).

Jedną ze słynnych „madres de la Plaza de Mayo", matek ofiar, których publiczne demonstracje organizowane są w każdy czwartek o godzinie 15.30 na placu de Mayo w Buenos Aires, miałem okazję zobaczyć. Także świadczyła w sądzie przeciwko Laghiemu.

Poza tym związki nuncjusza Laghiego z dyktaturą oraz jego podwójne życie bada obecnie kilku dziennikarzy śledczych, z którymi się spotykałem. Opowiadali mi głównie o jego „taxi-boys" – jak

w Argentynie eufemistycznie nazywa się żigolaków. Nowe odkrycia powinny zostać upublicznione w najbliższych latach.

W CZASACH DYKTATURY HÉCTOR AGUER I LEONARDO SANDRI byli młodymi argentyńskimi księżmi, z pewnością już wpływowymi, ale niezbyt jeszcze wysoko stojącymi w kościelnej hierarchii. Pierwszy dużo później będzie arcybiskupem La Platy, drugi, przyszły nuncjusz i kardynał, zostanie w 2000 roku mianowany „substytutem" sekretariatu stanu, czyli ministrem spraw wewnętrznych stolicy apostolskiej, i stanie się jednym z najbardziej wpływowych hierarchów Kościoła katolickiego za Jana Pawła II i Benedykta XVI. Obaj zawsze byli wrogami Jorge Bergoglia, który, gdy został papieżem, wysłał Aguera na emeryturę już tydzień po jego siedemdziesiątych piątych urodzinach, Sandriego zaś trzyma na dystans.

Wiele wskazuje na to, że ci dwaj zaprzyjaźnieni Argentyńczycy traktowali dyktaturę z dużą „wyrozumiałością". Związani z najbardziej reakcyjnymi nurtami katolicyzmu (Aguer z Opus Dei, Sandri z Legionistami Chrystusa) byli zajadłymi wrogami teologii wyzwolenia. Podobało im się za to hasło reżimu „Dios y Patria" łączące rewolucję narodową z wiarą katolicką.

Prasa uważa Héctora Aguera za „ultrakonserwatystę", „prawicowego faszystę" [la derecha fascista], „krzyżowca", „wspólnika dyktatury" i „fundamentalistę". Mimo afektowanego głosu – w czasie naszego spotkania cytuje po włosku z pamięci fragmenty *Madame Butterfly* – ma reputację skrajnego homofoba. Przyznaje zresztą, że stał na czele walki z małżeństwami homoseksualnymi w Argentynie. Choć zaprzecza swoim ideologicznym związkom z dyktaturą, to teologia wyzwolenia, „która zawsze miała w sobie wirus marksistowski", jest mu nienawistna.

– Aguer to skrajna prawica argentyńskiego Kościoła – wyjaśnia mi

Miriam Lewin, więziona w czasach dyktatury dziennikarka argentyńskiej stacji telewizyjnej Canal 13. Nie udało mi się osobiście spotkać z Aguerem w czasie moich podróży do Buenos Aires, lecz Andrés Herrera, który robił dla mnie research w Argentynie i w Chile, przeprowadził z nim wywiad w jego letniej rezydencji, w oddalonym 360 kilometrów od Buenos Aires mieście Tandil, gdzie ten spędzał wakacje w towarzystwie trzydziestki seminarzystów. Na obiedzie, na który zaproszono Andrésa, stary arcybiskup otoczony był grupą „los muchachos" (chłopaków) – jak sam ich nazywa. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że wielu z nich „powiela wszystkie stereotypy na temat homoseksualistów".

Jeśli zaś chodzi o Sandriego – z którym przeprowadziłem wywiad w Rzymie i z którym będę miał okazję porozmawiać ponownie, gdy okaże się „niezastąpiony" w Watykanie – już w tamtym okresie mieścił się na prawym krańcu katolickiej szachownicy politycznej. Zadziwia zachowanie tego przyjaciela nuncjusza Pio Laghiego i wroga Jorge Bergoglia w czasach dyktatury, mnożą się pogłoski o jego umiejętnościach wykorzystywania znajomości, o jego „bromance'ach" i politycznej bezwzględności. Według świadectwa pewnego jezuity, który był z nim w niższym seminarium duchownym, miał burzliwą młodość i już wtedy znany był z „podłego charakteru". Jako nastolatek „zaskakiwał nas swoim pragnieniem intelektualnego uwodzenia przełożonych. Przekazywał im wszystkie plotki, jakie krążyły o seminarzystach" – zdradził mi mój informator.

O argentyńskich latach Sandriego mam informacje z pierwszej ręki od kilku innych osób, takich jak teolog Juan Carlos Scannone lub biblista Lisandro Orlov. Świadectwa są zgodne. Czy to z powodu wizerunku nonkonformisty Sandri po upadku dyktatury zmuszony był do opuszczenia Argentyny? Czy uciekł, bo stracił grunt pod nogami? To jedna z hipotez. Tak czy inaczej jako zausznik Juana

Carlosa Aramburu, arcybiskupa Buenos Aires, pojechał do Rzymu, by zostać dyplomatą. Nigdy już nie zamieszkał w swoim kraju. Oddelegowano go na Madagaskar, a następnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie został zastępcą Pio Laghiego w Waszyngtonie i zbliżył się do amerykańskich chrześcijańskich ultrakonserwatystów; następnie mianowano go nuncjuszem apostolskim kolejno w Wenezueli i Meksyku, gdzie – według informacji, jakie zebrałem w Caracas i Mexico City – miał opinię twardo stąpającego po ziemi ekstremisty. W 2000 roku przeniósł się do Rzymu, gdzie został „ministrem spraw wewnętrznych" Jana Pawła II. (W swojej *Testimonianzie* arcybiskup Viganò wysuwa podejrzenie – nie podając żadnego dowodu – że Sandri, pełniąc swoje obowiązki w Wenezueli i w Rzymie, ukrywał seksualne nadużycia innych i „był gotów współpracować przy tuszowaniu sprawy"[28]).

W TYM KONTEKŚCIE postawa, jaką przyjął pod dyktaturą Jorge Bergoglio wydaje się odważniejsza, niż się zwykle sądzi. W porównaniu z Pio Laghim, Hectorem Aguerem, Leonardo Sandrim i biskupami, których przezorność wyrażała się w cichym przyzwoleniu, oraz wielu księżmi, którzy zaangażowali się w faszyzm, przyszły papież niezaprzeczalnie wykazał hart ducha. Z pewnością nie był bohaterem, lecz z reżimem nie współpracował.

Adwokat Eduardo Valdés, po 2010 roku ambasador Argentyny przy stolicy apostolskiej, który przyjaźni się z prezydent Cristiną Kirchner, gości mnie i Andrèsa w swojej „peronistycznej" kawiarni w centrum Buenos Aires. Jest bardzo rozmowny – to wspaniale, daję mu się wygadać, dyktafon stoi na widoku. Streszcza mi swoją wizję ideologii Franciszka (teologia wyzwolenia w argentyńskim i peronistycznym sosie) i opowiada o współpracy Kościoła z juntą wojskową. Mówimy także o nuncjuszu Pio Laghim, o arcybiskupie La Platy Héctorze Aguerze, kardynale Leonardo Sandrim i o innych

duchownych, otwarcie niechętnych wobec kardynała Bergoglia. Ambasador przywołuje wśród gromkich wybuchów śmiechu (teraz nie ma się już czego obawiać) eskapady w poszukiwaniu chłopców i w ogóle rozpustny styl życia niektórych biskupów z argentyńskiej konferencji episkopatu lub z jej otoczenia. Jeśli mu wierzyć, wśród duchowieństwa znajdujemy niezliczonych rygorystów, tych „sztywnych", którzy prowadzą w istocie podwójne życie. (Informacje te potwierdzają inni biskupi i księża, których spotykam w Buenos Aires, oraz działacz LGBT Marcelo Ferreyra, dysponujący kompletną, sporządzoną z pomocą prawników dokumentacją na temat argentyńskich duchownych – tych najbardziej homofobicznych i ukrytych na samym dnie „szafy").

Wkrótce odkryję w Chile, Meksyku, Kolumbii, Peru, na Kubie i w jedenastu krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie zbierałem materiały do tej książki, podobne zachowania. Wszędzie działa ta zasada Sodomy, teraz dobrze ugruntowana, którą przyszły papież zrozumiał już w swoim argentyńskim okresie: duchowny najbardziej homofobiczny często jest czynnym homoseksualistą.

BY ZROZUMIEĆ STANOWISKO, jakie zajął kardynał Bergoglio, zostając papieżem, musimy przyjrzeć się jeszcze jednej rzeczy – dyskusji na temat związków partnerskich (2002-2007) i małżeństw jednopłciowych (2009-2010). Albowiem wbrew wszelkim oczekiwaniom Argentyna była pierwszym krajem Ameryki Łacińskiej, który uznał – w lipcu 2010 roku – małżeństwa osób tej samej płci.

Wiele już zostało powiedziane o niejednoznacznej postawie przyszłego papieża, który w Buenos Aires nigdy nie wypowiedział się jasno na ten temat. Rekonstruując jego stanowisko, można uznać, że do związków partnerskich miał stosunek raczej umiarkowany, odmawiał podburzania do wyjścia na ulice, jednak małżeństwom

jednopłciowym sprzeciwiał się ze wszystkich sił. Warto podkreślić, że sprawa związków partnerskich toczyła się w Argentynie powoli, rejestrowane były na podstawie decyzji lokalnych władz, co utrudniało mobilizację na wielką skalę. Tymczasem temat małżeństw jednopłciowych – o którym dyskutowano w parlamencie i który wspierała prezydent Kirchner – wywołał ogólnokrajową debatę.

Przeciwnicy Bergoglia zwracają uwagę, że w kwestii związków partnerskich też nie zajął wyraźnego stanowiska. Gdy wprowadzano je w dystrykcie Buenos Aires, wypowiadał się raz tak, raz całkiem inaczej – zresztą ogólnie mówił niewiele. Jesteśmy zmuszeni interpretować jego milczenie!

– Sądzę, że Jorge [Bergoglio] sprzyjał związkom partnerskim, dla niego jest to uprawnienie wynikające z praw obywatelskich. Zaakceptowałby je, gdyby [Watykan] nie był im tak wrogi – komentuje Marcelo Figueroa.

Przyjaciele przyszłego papieża, z którymi rozmawiałem, podkreślają, że ze względu na postawę Rzymu Bergoglio miał problemy z działaniem na rzecz praw homoseksualistów w Argentynie. Prywatnie poparłby projekt ustawy jako kompromis pozwalający uniknąć homoseksualnych małżeństw. Jednak, na co zwracają uwagę jego przyjaciele, był w tym „bardzo odosobniony”. Ich zdaniem toczyła się bardzo ostra walka Watykanu z przyszłym papieżem, przeniesiona na lokalny grunt przez część księży, co zakończyło się rezygnacją Franciszka z bardziej otwartych idei.

Największą przeszkodą w Argentynie był arcybiskup La Platy Héctor Aguer. Ten zapiekły homofob jest przyjacielem Benedykta XVI i gdy trzeba przeciwstawić się zbyt „brutalnie umiarkowanym” pomysłom Bergoglia, były papież może na nim polegać. Podobno

Benedykt, chcąc jak najszybciej pozbyć się kardynała Buenos Aires, obiecał Aguerowi, że obsadzi go na tym stanowisku, gdy tylko tamten skończy siedemdziesiąt pięć lat (o czym Aguer lubił niekiedy napomknąć). Wiedząc, że ma wsparcie z góry, hierarcha, zazwyczaj niezbyt męski, przybrał pozę macho. Otoczony gromadką uroczych seminarzystów efebów zainicjował przeciwko związkom partnerskim i małżeństwom jednopłciowym brutalną kampanię – taką, jaką potrafią przeprowadzić tylko „sztywni" duchowni w jego stylu.

– Kardynałowie Sodano i Sandri, a następnie Bertone zarządzali Argentyną z Rzymu, działając przeciwko Bergogliowi, a ich zausznikami na miejscu byli arcybiskup Héctor Aguer i nuncjusz Adriano Bernardini – wyjaśnia Lisandro Orlov. (W dniu wyboru Franciszka Aguer był tak rozzłoszczony, że nie dał polecenia bicia w dzwony arcybiskupstwa La Plata – jak nakazuje tradycja. Z kolei nuncjusz Bernardini, też w szoku, rozchoruje się...).

Tak więc przyszły papież w rozgrywkach z Watykanem nie miał pola manewru. Świadkowie potwierdzają na przykład, że Rzym odrzucał wszystkich kandydatów kardynała Bergoglia na biskupów – a zwykle byli to księża postępowi – powołując na ich miejsce konserwatywnych duchownych.

– Héctor Aguer chciał usidlić Bergoglia. Specjalnie radykalizował stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie małżeństw jednopłciowych, aby zmusić go do mówienia. Kto chce zrozumieć Bergoglia, musi wsłuchać się w jego milczenie na temat związków partnerskich i w jego słowa przeciw jednopłciowym małżeństwom! – wyjaśnia mi dalej Lisandro Orlov.

Tę informację potwierdza ojciec Guillermo Marcó, wówczas osobisty asystent i rzecznik kardynała Bergoglia, który przyjmuje nas, Andrèsa i mnie, w swoim biurze w centrum Buenos Aires, w starej nuncjaturze, która stała się potem siedzibą duszpasterstwa

akademickiego.

– Skoro Watykan jest wrogi związkom partnerskim, Bergoglio jako arcybiskup powinien był trzymać się tej linii. Jako rzecznik radziłem mu jak najmniej o tym mówić, w ogóle omijać ten temat, żeby uniknąć krytyki. Bo przecież nie chodzi tu o związki sakramentalne, nie chodzi o małżeństwo, więc po co tego dotykać? Jorge zgodził się na taką strategię. Poinformowałem organizacje homoseksualne w Buenos Aires, że nie będziemy wypowiadać się na ten temat, i poprosiliśmy je, by nie mieszały nas w tę batalię, to był nasz cel – opowiada Marcó.

Ojciec Marcó to młody, sympatyczny ksiądz, bardzo profesjonalny. Rozmawiamy dość długo, przed nami stoi w widocznym miejscu włączona Nagra, dyktafon ulubionej marki dziennikarzy radiowych. Ksiądz odsłania kulisy tej klasycznej wojny, odwiecznego konfliktu między miejskimi i wiejskimi proboszczami:

– Kardynał Bergoglio, w przeciwieństwie do innych biskupów, którzy pełnili posługę na prowincji lub na obszarach wiejskich, mieszkał w metropolii, w Buenos Aires. A żyjąc w wielkim mieście, bardzo się zmienił. Rozumiał kwestie związane z narkotykami i prostytucją, problemy faweli, zagadnienia, jakie pojawiają się w kontekście homoseksualizmu. Stał się biskupem wielkomiejskim.

Według dwóch różnych źródeł kardynał Bergoglio okazywał zrozumienie argentyńskim księżom, którzy pobłogosławili związki homoseksualne.

Jednak w 2009 roku, kiedy rozgorzała debata na temat małżeństw osób tej samej płci, nastawienie arcybiskupa Jorge Bergoglia się zmieniło. Miał za sobą porażkę na konklawe, kiedy to Joseph Ratzinger okazał się bardziej przekonujący i został papieżem. Czy chciał pokazać, jak jest zaangażowany, by zwiększyć swoje szanse w przyszłości?

Tak czy inaczej, Bergoglio ruszył do natarcia. O jednopłciowych małżeństwach wypowiadał się bardzo ostro („atak na boży plan”), posuwał się nawet do wzywania na dywanik urzędników, w tym burmistrza Buenos Aires. Publicznie sprzeciwiał się pani prezydent Argentyny Cristinie Kirchner – początkowa zabawa „w przeciąganie liny” niebawem zamieniła się w ostry pojedynek zakończony zresztą jego przegraną. Księży opowiadających się za małżeństwami gejowskimi przyszły papież próbował uciszać i stosował wobec nich kościelne sankcje, zachęcał też katolickie szkoły do ulicznych protestów. Ta twarda postawa nie pasuje do wizerunku papieża mówiącego słynne zdanie „kim jestem, by osądzać?”.

– Bergoglio to nie Franciszek – kwaśno komentuje dziennikarka Miriam Lewin.

Z kolei argentyński pastor luterański Lisandro Orlov dodaje:

– Dlatego w Buenos Aires wszyscy byli antybergogliańscy! Nawet jeśli wszyscy staliśmy się profranciszkańscy, odkąd jest papieżem!

Osoby działające na rzecz praw homoseksualistów, które toczyły z Bergogliem batalię w sprawie małżeństw, przyznają jednak, że trzeba wziąć pod uwagę kontekst. Tak jest w przypadku Osvaldo Bazana, autora książki o historii homoseksualizmu, który mówi:

– Pamiętajmy, że kardynał Antonio Quarracino, arcybiskup Buenos Aires, chciał zsyłać homoseksualistów na jakąś wyspę! Jeśli chodzi o Héctora Aguera, to postać tak karykaturalna, że szkoda słów! Bergoglio musiał znaleźć swoje miejsce w tym dogłębnie homofobicznym otoczeniu.

Kardynał Bergoglio okazał się wyrozumiały dla piętnowanego za homoseksualizm biskupa Santiago del Estero, Juana Carlosa Maccarone. Ten szanowany prałat, kojarzony z teologią wyzwolenia, musiał złożyć dymisję, gdy w Watykanie, a potem w mediach wypłynęło nagranie wideo pokazujące go z młodym,

dwudziestotrzyletnim mężczyzną. Bergoglio, przekonany, że chodzi o szantaż i polityczny rewanż, zlecił swojemu rzecznikowi, Guillermo Marcó, by wystąpił w obronie prałata oraz przekazał mu wyrazy „sympatii i zrozumienia”. Papież Benedykt XVI zażądał jednak usunięcia go z pełnionej funkcji. Nie będę się tutaj odnosił do sprawy księdza Julio Grassiego, bo wykracza to poza ramy tej książki. Według doniesień niektórych argentyńskich mediów kardynał Bergoglio krył podejrzewanego o molestowanie seksualne siedemnastu nieletnich Grassiego, a nawet domagał się od konferencji episkopatu, której przewodniczył, sfinansowania jego obrony. Miał też wszcząć dochodzenie w celu jego uniewinnienia. W 2009 roku ojciec Grassi został skazany na piętnaście lat więzienia, w 2017 roku sąd najwyższy Argentyny zatwierdził wyrok.

Jeden z argentyńskich specjalistów od katolicyzmu, wpływowy doradca obecnego rządu, tak podsumowuje te dyskusje:

– Czego oczekujecie od Franciszka? To osiemdziesięciodwuletni ksiądz, peronista. Jakim cudem miałby być nowoczesny i postępowy? Jest dość lewicowy w kwestiach społecznych i prawicowy w kwestiach moralności i seksualności. Trochę naiwne jest myślenie, że stary peronista będzie postępowcem!

W takim właśnie kontekście należy widzieć stanowisko kardynała Bergoglia. Według jednej z osób z jego otoczenia był „konserwatywny, jeśli chodzi o małżeństwa jednopłciowe, ale nie był homofobem”. Osoba ta dodaje jeszcze, mówiąc głośno to, co wszyscy myślą:

– Gdyby Jorge Bergoglio wspierał małżeństwa homoseksualistów, nigdy nie wybrano by go na papieża.

5.

Synod

NASTĄPIŁA REAKCJA.

Kardynał Lorenzo Baldisseri to człowiek zgodny i spokojny. Na tym etapie rozmowy dobiera słowa jeszcze wolniej niż do tej pory, niezwykle ostrożnie. Długo się namyśla, nim powie à propos synodu poświęconego rodzinie:

– Nastąpiła reakcja.

Słucham, jak Baldisseri gra na fortepianie. Z tym także się nie spieszy, inaczej niż ci wszyscy pianiści pędzący po klawiszach jak szaleni. Refleksyjnie gra utwory swoich ulubionych kompozytorów: Vittorio Montiego, Erika Satie, Claude'a Debussy'ego czy Fryderyka Chopina. Podoba mi się jego rytm, szczególnie w tych kawałkach, które wychodzą mu najlepiej, jak *Danza Española* Enrique'a Granadosa czy *Ave Maria* Giulio Cacciniego.

Do swego ogromnego biura w Watykanie kardynał sprowadził salonowy fortepian. Nie rozstaje się z nim, odkąd kupił go w Miami, kiedy był nuncjuszem na Haiti. To fortepian-podróżnik, odwiedził Paragwaj, Indie, Nepal, dziewięć lat mieszkał w Brazylii.

– Gram na fortepianie co wieczór od ósmej do jedenastej. Nie mogę bez tego żyć. Tu, w Watykanie, nazywają mnie pianistą pana Boga! – śmieje się Baldisseri.

Urzeka mnie wizja kardynała, który w nocy w opustoszałym watykańskim pałacu gra sam dla siebie na fortepianie. Baldisseri daje mi w prezencie zestaw trzech płyt wydany przez Libreria Editrice Vaticana. To jego nagrania.

– Daję też koncerty. Grałem dla papieża Benedykta XVI w jego letniej rezydencji w Castel Gandolfo. Ale on jest Niemcem, kocha Mozarta, ja zaś jako Włoch jestem romantykiem!

Siedemdziesięcioośmioletni kardynał muzyk, by zachować dobre uderzenie i zręczne palce, gra codziennie, wszędzie, gdzie się da – w biurze, w domu, na wakacjach.

– Grałem nawet dla papieża Franciszka. To było wyzwanie. On wcale nie lubi muzyki!

BALDISSERI JEST JEDNYM Z ZAUFANYCH LUDZI FRANCISZKA. Nowy papież – do wyboru którego Baldisseri przyczynił się jako sekretarz konklawe – powierzył włoskiemu biskupowi zadanie przygotowania nadzwyczajnego synodu biskupów poświęconego rodzinie, który odbył się w latach 2014-2015. Następnie, w 2018 roku, organizował synod o młodzieży. Aby wyposażyć go w niezbędną do tego władzę, uczynił go kardynałem.

Zwoływany przez papieża synod jest ważnym wydarzeniem w życiu Kościoła. Spotkanie kardynałów i licznych biskupów jest okazją do dyskusji nad fundamentalnymi problemami i kwestiami doktrynalnymi. Rodzina to jeden z trudniejszych tematów.

Franciszek od początku wiedział, że aby zyskać akceptację dla swoich pomysłów, aby „sztywni" kardynałowie, w większości nominowani przez Jana Pawła II i Benedykta XVI, nie czuli się przynaglani, musi być szczwanym dyplomatą. Baldisseri to nuncjusz ukształtowany w starej, wielkiej szkole dyplomatów Casarolego i Silvestriniego, a nie wedle nowszych, bardzo dziś krytykowanych wzorców Sodana i Bertonego.

– Pracowałem w duchu otwartości. Naszym modelem był Sobór Watykański II – chodzi o prowokowanie dyskusji, zapraszanie do niej osób świeckich i intelektualistów, szukanie nowego podejścia, nowej metody. Taki był zresztą styl Franciszka: latynoamerykański papież,

otwarty i przystępny, który zachowuje się jak zwykły biskup.

Czy był wystarczająco doświadczony? Czy nie był nieostrożny?

– Fakt, to było dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Przygotowując pierwszy synod, uczyłem się na bieżąco. Nie mieliśmy żadnych tabu, żadnych ograniczeń. Wszystkie pytania były otwarte. I palące! Zajęliśmy się wszystkim: celibatem księży, homoseksualizmem, komunią osób rozwiedzionych, kapłaństwem kobiet... Otworzyliśmy te wszystkie dyskusje jednocześnie.

Wraz ze swoim małym zespołem złożonym z wrażliwych, pogodnych i uśmiechniętych arcybiskupów nominowanych już za czasów nowego papieża – Brunem Fortem, Péterem Erdö i Fabiem Fabene (niektórych spotykam w lokalu sekretariatu synodu) – Lorenzo Baldisseri budował na użytek Franciszka prawdziwą machinę wojenną.

Ekipa Baldisseriego od początku współpracowała z najbardziej otwartymi i przyjaznymi homoseksualistom kardynałami: będącym przywódcą liberałów w Watykanie niemieckim duchownym Walterem Kasperem, któremu powierzono przygotowanie wstępnego raportu, z Austriakiem Christophem Schönbornem i Óscarem Maradiagą z Hondurasu, osobistym przyjacielem papieża.

– Generalnie szliśmy w kierunku wyznaczonym przez Kaspera. Jednak równie ważna była metoda działania. Papież chciał otworzyć wszystkie drzwi na oścież. Dyskusje miały toczyć się wszędzie – w łonie konferencji episkopatu, w diecezjach, wśród wiernych. To lud boży powinien wybierać – opowiada Baldisseri.

A więc zupełnie nowa metoda. I co za różnica w porównaniu z Janem Pawłem II będącym archetypem „control-freaka” czy z Benedyktem XVI, który z zasady – i ze strachu – w ogóle nie dopuszczał do takich dyskusji! Zlecając przygotowanie synodu od podstaw, przeprowadzając na całym świecie konsultacje dotyczące

trzydziestu ośmiu kwestii, Franciszek wierzył, że może zmienić sytuację. Chce wprawić Kościół w ruch. A czyniąc to, starannie omijał kurię rzymską i tamtejszych kardynałów. Ci jednak, przyzwyczajeni do absolutnej teokracji i papieskiej nieomylności, natychmiast zwietrzyli podstęp.

– Faktycznie zmieniliśmy obyczaje. To metoda okazała się zaskakująca – ostrożnie wyjaśnia kardynał.

Zespół Baldisseriego szedł jak burza, to na pewno. Walter Kasper, pewny siebie, może lekkomyślny, jeszcze przed synodem podał do publicznej wiadomości, że „pary homoseksualne, jeśli żyją odpowiedzialnie, w stabilnym związku, są godne szacunku". Godne szacunku? Już samo to słowo jest objawieniem.

Uwzględniając wyniki owych szerokich konsultacji, sekretariat synodu przygotował wstępny tekst, który został następnie przedyskutowany przez kardynałów.

Wezwanie do dyskusji przyniosło skutek. Zewsząd masowo napływały odpowiedzi we wszystkich językach. Zareagowały konferencje episkopatu, odpowiadali eksperci, był też odzew wielu prywatnych osób – cieszy się Baldisseri.

Około piętnastu księży zatrudniono do natychmiastowego czytania tych notatek, listów napływających tysiącami, ogromną, nieoczekiwaną falą. Trzeba było przeanalizować pisane w niezliczonych językach odpowiedzi stu czternastu konferencji episkopatów i prawie ośmiuset organizacji katolickich. Jednocześnie wiele osób (w tym co najmniej jeden homoseksualista, z którym się spotkałem) zabrało się do pisania pierwszej wersji tekstu, który rok później stanie się słynną adhortacją apostolską: *Amoris laetitia*.

W projekcie tym z rozmysłem umieszczono zdanie: „Homoseksualiści mają dary i cechy, które mogą zaoferować wspólnocie chrześcijańskiej". Pojawiło się też wyraźne odniesienie

do AIDS: „Nie negując problemów moralnych, jakie nastręczają związki homoseksualne, zauważamy, że w niektórych przypadkach pomoc, jakiej sobie partnerzy czasem z wielkim poświęceniem udzielają, bywa w ich życiu cennym wsparciem”.

– Franciszek przyjeżdżał tu co tydzień – ciągnie Baldisseri. – Osobiście przewodniczył sesjom, podczas których debatowaliśmy nad różnymi propozycjami.

DLACZEGO FRANCISZEK ZDECYDOWAŁ SIĘ PORUSZYĆ kwestie rodziny i etyki seksualnej? Pytałem o to, oprócz kardynała Baldisseriego i kilku jego współpracowników, dziesiątki kardynałów, biskupów i nuncjuszy w Rzymie i w około trzydziestu krajach, pytałem o to zarówno przeciwników, jak i zwolenników Franciszka, duchownych sprzyjających synodowi i tych, którzy byli mu niechętni. Wywiady te pozwoliły mi prześledzić tajny plan papieża i odtworzyć przebieg tej niezwykłej bitwy, w jakiej starły się potem dwie homoseksualne frakcje Kościoła.

Od początku swego pontyfikatu papież przestrzega kurię, odnosząc się do spraw finansowych i seksualnych: „Wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale nie ludźmi zepsutymi. Należy akceptować grzeszników, ale nie ludzi zepsutych”[29]. W ten sposób potępia podwójne życie i popiera praktykę „zero tolerancji”.

Jak widzimy, Franciszek najbardziej nienawidzi sztywnych hipokrytów – bardziej nawet niż tradycjonalistów i konserwatystów. Dlaczego nadal odmawiać sakramentu rozwodnikom będącym w kolejnym związku, skoro w Ameryce Łacińskiej i Afryce tylu księży żyje w konkubinacie z kobietą? Dlaczego nadal nienawidzić homoseksualistów, jeśli w Watykanie stanowią oni większość kardynałów i ich otoczenia? Jak zreformować kurię, plączącą się w swoich zaprzeczeniach i kłamstwach, kiedy ogromna liczba kardynałów i większość sekretarzy stanu od 1980 roku żyje wbrew

własnym słowom (trzech na czterech wedle mojej wiedzy)? Mówi się, że najwyższy czas posprzątać. Ale od czego zacząć, kiedy Kościół znalazł się na skraju przepaści, na skraju najpoważniejszego w swych dziejach kryzysu?

Franciszek w osłupieniu słuchał swoich przeciwników – tych rygorystycznych kardynałów wygłaszających konserwatywne, mizoginiczne i homofobiczne przemówienia, publikujących teksty atakujące go za seksualny liberalizm – takich jak: Raymond Burke, Carlo Caffarra, Joachim Meisner, Gerhard Ludwig Müller, Walter Brandmüller, Mauro Piacenza, Velasio De Paolis, Tarcisio Bertone, George Pell, Angelo Bagnasco, Antonio Cañizares, Kurt Koch, Paul Josef Cordes, Willem Eijk, Joseph Levada, Marc Ouellet, Antonio Rouco Varela, Juan Luis Cipriani, Juan Sandoval Íñiguez, Norberto Rivera, Javier Errázuriz, Angelo Scola, Camillo Ruini, Robert Sarah i tylu innych. Jak oni śmią? – myśli ojciec święty, któremu bliskie osoby opisały tę niesamowitą „parafię”.

Oczywiście najbardziej oburzają Franciszka przypadki molestowania seksualnego, liczone w całym świecie w tysiącach, a właściwie w dziesiątkach tysięcy, będące jak gangrena tocząca Kościół katolicki. Co tydzień wpływają nowe skargi, kolejni biskupi są obwiniani lub oskarżani, księża skazywani, skandal goni skandal. W ponad osiemdziesięciu procentach sprawy dotyczą nadużyć homoseksualnych; bardzo rzadko heteroseksualnych.

Episkopat w Ameryce Łacińskiej jest skompromitowany, często podejrzewany o bagatelizowanie faktów – dotyczy to zarówno Meksyku (Norberto Rivera i Juan Sandoval Íñiguez), jak i Peru (Juan Luis Cipriani). W Chile wybuchł skandal tak ogromny, że wszyscy biskupi w kraju musieli złożyć dymisje, a wielu nuncjuszom i hierarchom, poczynając od kardynałów Javiera Errázuriza i Ricardo Ezzatiego, wytoczono proces (w sprawie dwóch wspomnianych

kardynałów toczy się śledztwo). Gdziekolwiek spojrzeć, Kościół jest krytykowany, i dotyczy to duchownych na najwyższych szczeblach – tak jest w Austrii (Hans Hermann Groër), Szkocji i Irlandii (Keith O'Brien, Sean Brady), Francji (Philippe Barbarin), Belgii (Godfried Danneels), w Stanach Zjednoczonych, Niemczech itd. W Australii, w Melbourne, watykański „minister gospodarki" George Pell został osądzony i skazany. Prasa wskazuje z nazwiska dziesiątki kardynałów, a wielu tych, którym osobiście nie zarzuca się seksualnych wykroczeń, trafia przed sąd za krycie – przez zaniechanie lub hipokryzję – seksualnych wykroczeń popełnionych przez księży. We Włoszech takie sprawy są na porządku dziennym, dotyczą dziesiątek biskupów i kilku kardynałów, chociaż prasa na półwyspie wciąż – o dziwo! – ma pewne opory przed ich ujawnianiem. Jednak papież i jego najbliższe otoczenie wiedzą, że w końcu tama puści, nawet we Włoszech.

Podczas nieformalnego spotkania w Rzymie kardynał Marc Ouellet, prefekt Kongregacji do spraw Biskupów, opowiadał mi o masowym rozprzestrzenianiu się przypadków wykorzystywania seksualnego. Kardynał ten jest specjalistą od podwójnych standardów; ratzingerystą udającym obrońcę Franciszka. Niemniej przytaczane przez niego liczby są przerażające. Maluje obraz Kościoła w kompletnym rozpadzie. Jego zdaniem wszystkie parafie świata, wszystkie konferencje episkopatu, wszystkie diecezje zostały splugawione. Obraz rysowany przede mną przez Ouelleta jest przerażający – Kościół jest jak „Titanic", który tonie do wtóru grającej wciąż orkiestry. „Tego się nie da zatrzymać" – powie mi przerażony jeden ze współpracowników Ouelleta, gej, z którym również przeprowadziłem wywiad. (W swoim drugim „świadectwie" monsinior Viganò potępi homoseksualne otoczenie Marca Ouelleta).

Franciszek nie ma zamiaru przymykać oczu na wykorzystywanie

seksualne, jak to przez długi czas robił Jan Paweł II i jego najbliżsi współpracownicy, Angelo Sodano i Stanisław Dziwisz, ani pobłażać sprawcom, do czego miał skłonność Benedykt XVI. W każdym razie publicznie o tym zapewnia.

Co ważne, sytuację ocenia zupełnie inaczej niż Joseph Ratzinger i jego zastępca kardynał Tarcisio Bertone przekonani, że to wewnętrzny problem homoseksualistów. Według specjalistów od Watykanu oraz według relacji dwóch bliskich współpracowników obecnego papieża, z którymi rozmawiałem, Franciszek głęboką przyczynę wykorzystywania seksualnego widzi w „sztywności" fasady, która kryje podwójne życie kleru, oraz – niestety – w celibacie. Zdaniem ojca świętego kardynałowie i biskupi tuszują seksualne nadużycia najczęściej nie po to, by wspierać pedofilów, lecz ze strachu. Obawiają się, że przy okazji jakiegoś skandalu czy procesu mogłyby wyjść na jaw ich homoseksualne skłonności. Możemy więc sformułować kolejną regułę Sodomy, szóstą i jedną z najważniejszych w tej książce: *za większością spraw związanych z molestowaniem seksualnym kryją się księża i biskupi, którzy z obawy, że w przypadku skandalu zostanie ujawniony ich homoseksualizm, chronili sprawców tych przestępstw. Kultura tajemnicy, dzięki której milczy się o wszechobecności homoseksualizmu w Kościele, pozwalała też ukrywać wykorzystywanie seksualne i ułatwiała drapieżnikom seksualnym ich działania.*

Dlatego Franciszek zrozumiał, że wykorzystywanie seksualne nie jest jakimś nieistotnym epifenomenem, to nie są żadne „chwilowe drobne plotki", o których mówił kardynał Angelo Sodano, lecz

najpoważniejszy kryzys, jaki zagraża tej instytucji od czasów wielkiej schizmy. Papież przewiduje zresztą, że to dopiero początek – w dobie sieci społecznościowych i Vatileaks, wolności słowa i jurysdyzacji współczesnych społeczeństw (nie wspominając już o efekcie „Spotlight") Kościół zaczyna przechylać się jak wieża w Pizie. Albo wszystko odbudujemy, wszystko zmienimy, albo ryzykujemy, że ta religia zniknie. Taka niewypowiedziana głośno myśl przyświecała synodowi z 2014 roku.

ZATEM FRANCISZEK POSTANOWIŁ MÓWIĆ. Podczas porannych mszy w Domu Świętej Marty, podczas zaimprowizowanych konferencji prasowych w samolocie lub przy okazji różnych znaczących spotkań zaczął piętnować – z wielką regularnością! – obłudę „ukrytego i często rozpustnego życia" członków kurii rzymskiej.

Wspomniał już o piętnastu „chorobach kurii", wskazał (bez nazwisk) rzymskich kardynałów i biskupów cierpiących na „duchowego alzheimera", krytykował „egzystencjalną schizofrenię", „plotkarstwo", „zepsucie", cały styl życia tych „biskupów z lotniska". Po raz pierwszy w historii Kościoła krytyka nie płynie ze strony wrogów katolicyzmu, wolteriańskich pamflecistów czy innych „katofobów", lecz z ust samego ojca świętego. Na tym polega istota „rewolucji" Franciszka.

Papież chce też działać. Chce „zburzyć mur", jak to ujął jeden z jego współpracowników. Wykorzysta do tego symbole, czyny oraz narzędzie, jakim jest konklawe. Zaczął od wykreślenia z listy przyszłych kardynałów wszystkich arcybiskupów, nuncjuszy i biskupów skompromitowanych za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI. Pałac w Castel Gandolfo, letnia rezydencja papieża, w którym podobno – jak mówi plotka – za czasów Jana Pawła II odbywały się wesołe przyjęcia, został otwarty dla turystów,

a ostatecznie ma być sprzedany.

Jeśli chodzi o homoseksualizm, podejmuje się żmudnej, pedagogicznej pracy. Chodzi tutaj o odróżnienie w nowy, fundamentalny dla Kościoła sposób przestępstw, jakimi są pedofilia, molestowanie lub agresja wobec nieletnich poniżej piętnastego roku życia oraz akty seksualne bez zgody lub z wykorzystaniem stosunku zależności (katechizm, spowiedź, seminaria itp.), od legalnych praktyk homoseksualnych wyrażających na to zgodę dorosłych osób. Przechodzi też do następnego etapu w dyskusji na temat prezerwatyw, kładąc akcent na „obowiązek uzdrawiania”[30].

Jednak co zrobić w obliczu kryzysu powołań, nie wspominając już o setkach księży porzucających każdego roku kapłaństwo, by móc się ożenić? Czy nie czas pomyśleć o wyzwaniach przyszłości, o problemach zbyt długo pozostawionych w zawieszeniu; czy nie czas porzucić teorie i odpowiedzieć na konkretne sytuacje? O to chodziło w synodzie. Jednak papież wie, że stąpa po kruchym lodzie.

– Franciszek dobrze widzi przeszkody. Musi brać na siebie odpowiedzialność, taką pełni funkcję. To on rządzi. Więc nie spieszył się, wysłuchał opinii wszystkich stron – wyjaśnia mi kardynał Lorenzo Baldisseri.

Głosy płynące z biskupstw były zaskoczeniem. Pierwsze wypowiedzi, upublicznione w Niemczech, Szwajcarii, Austrii, są dla Kościoła bezlitosne. Katolicyzm jawi się w ich świetle jako oderwany od życia. Dla milionów nowych związków jego doktryna straciła sens, wierni zupełnie nie rozumieją postawy Rzymu wobec antykoncepcji, prezerwatyw, wolnych związków, celibatu księży i – po części – homoseksualizmu.

„Mózg” synodu, kardynał Walter Kasper, który z bliska śledził niemiecką debatę, był zachwycony, że jego teorie potwierdzają się w terenie. Czy był zbyt pewny siebie? Czy papież zbytnio mu zaufał?

W każdym razie wstępny tekst adhortacji był zgodny z kierunkiem wytyczonym przez Kaspera i proponował ponowne przemyślenie stanowiska Kościoła w dwóch kwestiach – sakramentów dla osób rozwiedzionych oraz homoseksualizmu. Zdawało się, że Watykan jest gotów uznać „pozytywne wartości” w konkubinatach młodych ludzi, w powtórnych, cywilnych małżeństwach rozwodników i w homoseksualnych związkach partnerskich.

W tym właśnie momencie „nastąpiła reakcja” – jak to ostrożnie ujął Baldisseri. Upubliczniony tekst natychmiast znalazł się pod ostrzałem konserwatywnego skrzydła kolegium kardynałów, z Amerykaninem Raymondem Burke’em na czele.

Tradycjonaliści ostro wystąpili przeciw rozpowszechnianym dokumentom, a niektórzy – na przykład południowoafrykański kardynał Wilfrid Napier – bez wahania oświadczyli, że zaakceptowanie przez Kościół ludzi w „nieregularnych sytuacjach”, nieuchronnie doprowadziłoby do legitymizacji poligamii. Inni afrykańscy lub brazylijscy kardynałowie ostrzegali papieża przed jakimkolwiek złagodzeniem postawy Kościoła, powołując się na względy strategiczne – mianowicie na konkurencję, jaką stanowi protestancki ewangelikalizm rosnący dziś w siłę, a przecież bardzo konserwatywny.

Wszyscy ci hierarchowie wierzą chyba, że są otwarci na dyskusję – przecież dodają przypisy i kodycyle tylko tam, gdzie to niezbędne. Lecz ich sekretną mantrą wydaje się to słynne, tak często cytowane zdanie księcia Lampedusy z *Lamparta*: „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić”[31]. Franciszek potępia zresztą, nie wymieniając nazwisk, „skamieniałe serca”, które „chcą, aby wszystko pozostało tak, jak było”.

Pięciu ultrakonserwatywnych kardynałów („usual suspects”, czyli Raymond Burke, Gerhard Ludwig Müller, Carlo Caffarra, Walter

Brandmüller i Velasio De Paolis) razem dyskretnie pracowało nad tekstem broniącym tradycyjnego małżeństwa. Opublikowali go w Stanach Zjednoczonych w katolickim wydawnictwie Ignatius i zamierzali rozdać wszystkim uczestnikom synodu. Jednak Baldisseri zdołał wcześniej przechwycić broszurę. Konserwatywne skrzydło zaczęło więc krzyczeć, że to cenzura. Synod stawał się farsą.

Od pierwszych jego obrad kwestie związane z homoseksualizmem i z komunią rozwodników będących w nowych związkach stały się przedmiotem zażartych dyskusji. Papież zmuszony był przyjrzeć się dokładniej swojej kopii wstępnego dokumentu. Po kilku dniach tekst został zmodyfikowany, rozwodniony, zaś postawa wobec homoseksualizmu mocno usztywniona. Jednak nawet tę nową wersję „light" w końcowym głosowaniu ojcowie synodalni odrzucili.

Przypuszczono na ten tekst atak tak ostry i zdecydowany, że prawdziwym celem mógł być sam papież. Część kolegium kardynałów odrzuciła jego metodę, jego styl i jego pomysły. Zbuntowali się ci „najsztywniejsi", najbardziej tradycyjni i mizoginiczni. Czyżby to byli zarazem ci, którzy wykazują najsilniejsze „skłonności"? To znaczące, że tłem wojny między konserwatystami a liberałami jest kwestia homoseksualizmu. Dlatego żeby zrozumieć, o co naprawdę chodzi, trzeba myśleć wbrew intuicji. Jeszcze bardziej znaczący jest fakt, że wielu przywódców antyfranciszkańskiej rebelii prowadzi podwójne życie. Czy ci ukryci, sparaliżowani przez wewnętrzne sprzeczności i zinternalizowaną homofobię homoseksualiści zbuntowali się z nienawiści do samych siebie, czy ze strachu przed zdemaskowaniem? Irytacja ojca świętego była tak wielka, że uderzył kardynałów w ich piętę achillesową – schowane za przesadnie konserwatywnym gorsetem prywatne życie.

James Alison, angielski ksiądz, z którym rozmawiałem kilka razy w Madrycie, zdeklarowany homoseksualista, bardzo szanowany

za teologiczne pisma na ten temat, podsumowuje subtelniej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje:

– To odwet „szafy”! Zemsta „szafy”!

Ksiądz Alison rozumie tę sytuację na swój sposób: „schowani w szafie” homoseksualni kardynałowie wypowiedzieli wojnę Franciszkowi, co ośmieliło innych gejów do wyjścia „z szafy”!

Luigi Gioia, włoski benedyktyn, jeden z przełożonych benedyktyńskiego Papieskiego Instytutu Liturgicznego Świętego Anzelma w Rzymie, daje mi inny klucz do interpretacji tego, co się dzieje w Watykanie:

– Homoseksualiście Kościół wydaje się stabilną strukturą. Moim zdaniem to jeden z powodów, dla których wielu z nich wybrało kapłaństwo. Ale kiedy musisz się ukrywać, potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa, stałego kontekstu, chcesz, aby struktura, w której się schroniłeś, była stabilna, by cię chroniła – tylko w ten sposób możesz w jej obrębie poruszać się swobodnie. Tymczasem Franciszek, chcąc zreformować instytucję Kościoła, sprawił, że stała się dla ukrywających swój homoseksualizm księży niestabilna. To wyjaśnia ich gwałtowną reakcję, ich nienawiść do niego. Boją się.

Główny architekt i świadek synodu, kardynał Baldisseri, po swojemu opisuje, jak naprawdę wyglądał krajobraz po bitwie:

– Generalnie panowała zgoda. Z wyjątkiem trzech trudnych kwestii.

Albowiem w istocie większość synodu była „liberalna”, lecz do przyjęcia kontrowersyjnych artykułów konieczne było dwie trzecie głosów – i tego zabrakło. Z sześćdziesięciu dwóch artykułów odrzucono trzy – te o najbardziej symbolicznym znaczeniu. Papież nie uzyskał kworum. Rewolucyjny projekt Franciszka dotyczący rodziny i homoseksualizmu przepadł.

FRANCISZEK PRZEGRAŁ BITWĘ, lecz nie wojnę. Powiedzieć,

że był niezadowolony ze swojej porażki na synodzie, to eufemizm. Konserwatywni kardynałowie kurii, blokując zmiany, obrazili tego autorytarnego, lecz szczerego (gdy uzna to za konieczne) człowieka. Brzydzi go ich hipokryzja, ich podwójna gra, ich niewdzięczność. Te zakulisowe gierki, spiski, ta metoda wyraźnie sprzeczna z prawami kurii – to dla niego za wiele. Za zamkniętymi drzwiami dał swoim współpracownikom do zrozumienia, że nie zamierza się poddać. Będzie walczył. Przygotuje kontrofensywę.

– Jest uparty. Uparty jak osioł – mówi mi znający go dobrze duchowny.

Odpowiedź papieża była kilkuetapowa. Po pierwsze, miał w zanadrzu drugą część synodu, zaplanowaną na następny rok, co dawało mu czas na przygotowania. Następnie, by wygrać walkę o idee, postanawia od końca 2014 roku prowadzić wielką kampanię promującą jego propozycje. Chce przekuć porażkę w zwycięstwo.

Ta wojna, w przeciwieństwie do poprzedniej opierającej się na partycypacji i konsultacjach, była w dużej mierze tajna. Franciszek, który wpadł w pułapkę demokratyzacji, chciał teraz pokazać przeciwnikom, jak wygląda absolutny monarcha w cesarskiej teokracji!

– Franciszek jest pamiętliwy. Mściwy. Autorytarny. Jest jezuitą – nie znosi przegrywać! – podsumowuje jeden z wrogich mu nuncjuszy.

Franciszek mógł w tej sytuacji zareagować na trzy sposoby. Na krótką metę – wspierać nowocześniejszą dyskusję poprzez oddziaływanie na episkopat i katolicką opinię publiczną na całym świecie (tę nową misję powierza Baldisseriemu i jego zespołowi). W perspektywie średnioterminowej – ukarać kardynałów, którzy go upokorzyli, zaczynając od Gerharda Ludwiga Müllera, odpowiedzialnego za doktrynę Kościoła. W dłuższej perspektywie – zmienić skład kolegium kardynałów, mianując na biskupów osoby

sprzyjające jego reformom i wykorzystując limit wieku, w naturalny sposób stopniowo pozbywać się oponentów. To broń, której może użyć jedynie suweren państwa watykańskiego.

Przebiegły i uparty Franciszek przeszedł do ofensywy, stosując wszystkie trzy techniki jednocześnie. Zrobił to szybko i – jak twierdzą jego przeciwnicy – bardzo brutalnie.

Rozpoczęto prace nad „przygotowaniem" drugiego synodu zaplanowanego na październik 2015 roku. To istna machina wojenna puszczana w ruch na pięciu kontynentach. Zaangażowali się nuncjusze, sojusznicy, sprzyjający papieżowi kardynałowie. Franciszek był jak Henryk V w przededniu bitwy pod Azincourt. „Przemienia teatr ten w królestwo": „Nie jako tyran, lecz król chrześcijański, trzymamy nasze wzburzenie na wodzy"[32]. Ale wzburzenie to, nawet trzymane na wodzy, jest potężne.

PRZEŚLEDZIŁEM PRZEBIEG TEJ OFENSYWY w wielu krajach, widziałem, jak episkopaty dzieliły się na nieprzejednane obozy – tak było na przykład w Argentynie, Urugwaju, Brazylii czy Stanach Zjednoczonych. Rozgorzała bitwa.

Najpierw w Argentynie – tam, na tyłach, papież mobilizował przyjaciół. Teolog Víctor Manuel Fernández, osoba bliska Franciszkowi, jeden z jego papieskich pisarzy awansowany niedawno na biskupa, nagle zrezygnował z charakterystycznej dla siebie rezerwy. W długim wywiadzie dla „Corriere della Sera" (maj 2015 roku) ostro zaatakował konserwatywne skrzydło kurii oraz bez podawania nazwiska kardynała Müllera: „Papież działa powoli, bo chce być pewien, że już się nie cofniemy. Chce przeprowadzić nieodwracalne reformy (…). W żadnym razie nie jest sam. Ludzie [wierni] są z nim. Jego przeciwnicy są słabsi, niż im się wydaje (…). Zresztą papież nie może podobać się wszystkim. Czy wszyscy lubili Benedykta XVI?". To „akt wypowiedzenia wojny" ratzingerowskiemu

skrzydłu kurii.

Nie tak daleko od Buenos Aires, w Urugwaju, „bergogliański” arcybiskup Montevideo Daniel Sturla też niespodziewanie nadstawił karku i zaczął mówić o problemie homoseksualizmu. Nie wahał się upublicznić swojego wkładu w tę sprawę na synodzie.

– Wtedy jeszcze nie znałem papieża Franciszka. Włączyłem się w to spontanicznie, bo czasy się zmieniły i tutaj, w Montevideo, już nie sposób nie współczuć homoseksualistom. I wie pan co? Moje progejowskie stanowisko nie wzbudziło tu żadnych sprzeciwów. Myślę, że społeczeństwo się zmienia, wszędzie, a to pomaga Kościołowi iść naprzód. I wszyscy dostrzegają, że homoseksualizm jest bardzo szerokim zjawiskiem, także w Kościele – mówi Sturla podczas długiego wywiadu w jego biurze w Montevideo. (Papież Franciszek uczynił go kardynałem w 2015 roku).

Nie oszczędzał się także inny przyjaciel ojca świętego kardynał Oscar Maradiaga z Hondurasu, koordynator „C-9”, stworzonej przez Franciszka rady kardynałów. Arcybiskup objechał wszystkie stolice Ameryki Łacińskiej, gromadząc „mile” na swojej karcie Platinum. W miejscach publicznych ten „biskup z lotniska” mówił o ideach Franciszka, w małych grupach przedstawiał jego strategię, szukał wsparcia dla papieża, informował go o działaniach opozycji i przygotowywał plany wojenne. (W 2017 roku Oscar Maradiaga będzie zamieszany w aferę finansową. Jeden z beneficjentów, jego zastępca i przyjaciel, biskup pomocniczy, oskarżany przez prasę także o „złe prowadzenie się i relacje homoseksualne”, złoży w 2018 roku dymisję. Monsinior Viganò w *Testimonianzie* także surowo osądza Maradiagę i zarzuca mu „wykorzystywanie homoseksualne”[33]. Na razie sprawa jest ciągle w toku i obowiązuje domniemanie niewinności).

W Brazylii, wielkim kraju katolickim – największym na świecie,

jego wspólnota wiernych liczy 135 milionów, a dziesięciu brazylijskich kardynałów ma poważny wpływ na synod – papież polega na przyjaciołach: kardynale Cláudio Hummesie, emerytowanym arcybiskupie São Paulo; kardynale João Brázie z Aviz, byłym arcybiskupie Brasilii; oraz na nowym arcybiskupie brazylijskiej stolicy, Sergiu da Rosze, którego wkład w synod okazał się kluczowy i który niedługo po nim został kardynałem. Jego zadaniem było zmarginalizowanie konserwatywnego skrzydła reprezentowanego przede wszystkim przez antygejowskiego kardynała arcybiskupa Odilo Scherera z São Paulo, związanego z Benedyktem XVI. Przy tej okazji na nowo z werwą rozgorzała stara walka Hummesa ze Schererem, od dawna określająca relacje sił w łonie brazylijskiego episkopatu. Franciszek nałożył zresztą sankcje na Scherera, usuwając go bez uprzedzenia z kurii właśnie wtedy, gdy Sérgia da Rochę uczynił purpuratem.

O konflikcie opowiedział mi Frei Betto, brazylijski dominikanin, znany intelektualista, bliski byłemu prezydentowi Luli, jedna z ważniejszych postaci teologii wyzwolenia.

– Hummes to kardynał postępowy, od zawsze zainteresowany kwestiami społecznymi. Jest przyjacielem papieża Franciszka, może na niego liczyć. Z kolei kardynał Scherer jest człowiekiem ograniczonym i konserwatystą, kwestie społeczne w ogóle go nie obchodzą. Jest wielkim tradycjonalistą – potwierdza Betto podczas rozmowy w Rio de Janeiro.

Na żywo, podczas wywiadu, kardynał Odilo Scherer robi na mnie o wiele lepsze wrażenie, niż się spodziewałem. Sympatyczny spryciarz, przyjmuje mnie w swoim wspaniałym biurze w arcybiskupstwie São Paulo ubrany w błękitną koszulę, z kieszeni wystaje kawałek czarno-białego pióra Montblanc. Spotkanie przebiega w miłej atmosferze, a kardynał stara się w mniej

dramatycznym świetle przedstawić napięcia w brazylijskim Kościele.

– Mamy jednego papieża, jednego jedynego, Franciszka. Nie mamy dwóch, nawet jeśli żyje emerytowany papież. Czasami ludziom nie podoba się to, co mówi Franciszek, więc zwracają się ku Benedyktowi XVI, inni nie lubią Benedykta, więc są za Franciszkiem. Każdy z papieży jest charyzmatyczny na swój sposób, ma swoją osobowość. Jeden uzupełnia drugiego. Razem pomagają tworzyć harmonijną wizję Kościoła. Nie wolno podburzać jednego papieża przeciwko drugiemu.

Stany Zjednoczone to kolejny ważny dla katolicyzmu kraj – ma siedemnastu kardynałów, w tym dziesięciu elektorów. Tworzą dość dziwny, obcy Franciszkowi świat, w którym liczni są kardynałowie rygorystyczni, „sztywni", a jednocześnie prowadzący podwójne życie. Nie mając zaufania do przewodniczącego konferencji episkopatu Stanów Zjednoczonych Daniela DiNardo – samozwańczego liberała, ratzingerowskiego oportunisty za Ratzingera, teraz rzekomo profranciszkańskiego – skonsternowany papież odkrył, że niewielu ma w USA sojuszników. Dlatego zdecydował się postawić na trzech mało znanych, progejowskich biskupów: na sprzyjającego homoseksualnym parom Blase'a Cupicha, właśnie ustanowionego przez niego arcybiskupem Chicago; na „uniwersalnego" Josepha Tobina, wcześniej arcybiskupa Indianapolis, dzisiaj Newark, który przyjmował małżeństwa homoseksualne oraz katolickich aktywistów LGBT; oraz na Roberta McElroya, liberalnego, progejowskiego księdza z San Francisco. Ci trzej sprzymierzeńcy Franciszka bez wytchnienia pracowali na synodzie, za co dwaj pierwsi zostali wynagrodzeni w 2016 roku kardynalską purpurą, zaś McElroy został biskupem San Diego.

W Hiszpanii, Francji, Niemczech, Austrii, Holandii, Szwajcarii i Belgii Franciszek też szukał poparcia i sprzymierzał się z najbardziej

liberalnymi kardynałami, takimi jak: Reinhard Marx z Niemiec, przyjazny gejom Austriak Christoph Schönborn czy Hiszpan Juan José Omella (którego niebawem uczynił arcybiskupem Barcelony, a niedługo potem kardynałem). W wywiadzie dla niemieckiej gazety „Die Zeit” papież przedstawia pomysł na świetlaną przyszłość: wyświęcanie *viri probati*. Zamiast zaproponować święcenia kobiet lub koniec celibatu seminarzystów – co dla konserwatystów stanowiłoby casus belli – Franciszek chce dopuścić do kapłaństwa żonatych katolików w średnim wieku. Miałaby to być odpowiedź na kryzys powołań, sposób na ograniczenie homoseksualizmu w Kościele i metoda walki z nadużyciami seksualnymi.

Wszczynając w wielu miejscach publiczne debaty, papież zepchnął konserwatystów do defensywy. „Przyparł ich do muru” – jak to ujął jeden z księży pracujących na synodzie – i pokazał, że są mniejszością we własnym kraju.

Od 2014 roku papież wyrażał się jasno: „Dla większości ludzi rodzina [taka, jak ją sobie wyobrażał Jan Paweł II we wczesnych latach osiemdziesiątych] już nie istnieje. Mamy rozwody, rodziny tęczowe, rodziny niepełne, matki zastępcze, pary bezdzietne, związki jednopłciowe. (…) Tradycyjna doktryna na pewno pozostanie, jednak duszpasterze stają przed wyzwaniami wymagającymi współczesnych odpowiedzi, które nie mogą już dłużej być autorytarne czy moralizatorskie”. (Te odważne – i niezdementowane – stwierdzenia papieża zanotował jego przyjaciel, kardynał z Hondurasu, Oscar Maradiaga).

Między synodem z 2014 roku a tym w 2015 wojna liberałów z konserwatystami rozgorzała na dobre i ogarnęła wszystkie episkopaty. Tymczasem Franciszek dalej prowadził politykę małych kroków.

– Nie można tego upraszczać – przekonuje Romilda Ferrauto,

dziennikarka Radia Watykańskiego, która towarzyszyła obu synodom. – Odbyły się poważne debaty, które wstrząsnęły stolicą apostolską. Lecz wcale nie wyglądało to tak, że po jednej stronie stali liberałowie, po drugiej konserwatyści. Nie było wyraźnej przepaści między lewym a prawym skrzydłem, pojawiało się mnóstwo niuansów, był dialog. Na przykład kardynałowie nieidący za ojcem świętym w kwestiach związanych z moralnością mogą wspierać go w sprawie reformy finansowej. Jeśli chodzi o papieża Franciszka, media zrobiły z niego postępowca. To nie tak. Papież jest miłosierny. Ma podejście duszpasterskie – wyciąga rękę do grzesznika. To zupełnie co innego.

Zespół papieża interesował się nie tylko zmobilizowanymi na całym świecie kardynałami i działającą nieco chaotycznie kurią, ale również intelektualistami. Zdaniem grupy Baldisseriego ci „influenserzy" będą mieli kluczowe znaczenie dla sukcesu synodu. I dlatego powstała wielka tajna strategia komunikacji.

Jedną z osób zakulisowo działających w tej sprawie jest wpływowy jezuita ojciec Antonio Spadaro, naczelny „La Civiltà Cattolica".

– Nie jesteśmy oficjalnym pismem Watykanu, ale wszystkie nasze artykuły są przed publikacją czytane w sekretariacie stanu i mają „certyfikat" papieża. Można to ująć tak: jesteśmy pismem autoryzowanym, powiedzmy półoficjalnym – wyjaśnia Spadaro. Rozmawiamy w jego biurze w Rzymie. Co za biuro! Villa Malta, via di Porta Pinciana, gdzie mieści się redakcja, to wspaniałe miejsce, w okolicy Villa Medici i Palazzo Borghese.

Antonio Spadaro – z którym przeprowadziłem sześć wywiadów i zjadłem sześć kolacji – wciąż na kofeinie, wciąż z jet lagiem, pełni funkcję „pacemakera" na czele papieskiego peletonu. Teolog, a jednocześnie intelektualista – niewiele spotkamy dziś w Watykanie

takich osób. Jego bliski związek z Franciszkiem budzi zazdrość, mówi się o nim jako o jednej z szarych eminencji Watykanu – w każdym razie jest oficjalnym doradcą papieża. Młody, dynamiczny, czarujący jezuita robi na mnie duże wrażenie. Jest nieprzeciętnie inteligentny i myśli bardzo szybko. Interesuje się różnymi kulturami, znakomicie zna się na literaturze. Ma już na koncie kilka książek, w tym esej – przestrogę przed cyberteologią i dwie biograficzne książki o włoskim katolickim pisarzu Pier Vittorio Tondellim, homoseksualiście, który w wieku trzydziestu sześciu lat umarł na AIDS.

– Interesuję się wszystkim, nawet rockiem – mówi mi Spadaro podczas kolacji w Paryżu.

Za czasów Franciszka jezuickie pismo stało się przestrzenią eksperymentów, w której testuje się pomysły i rozpoczyna debaty. W 2013 roku Spadaro opublikował pierwszy długi wywiad z nowo wybranym papieżem Franciszkiem. Ten tekst okazał się kamieniem milowym.

– Nasza rozmowa trwała trzy popołudnia. Byłem zaskoczony jego otwartością umysłu, umiejętnością wchodzenia w dialog.

Słynny wywiad stał się w pewnym sensie mapą drogową przyszłego synodu. Franciszek przedstawia w nim swoje nowatorskie pomysły i swoje metody. W delikatnych kwestiach moralności seksualnej i sakramentu dla osób rozwiedzionych opowiada się za kolegialną i zdecentralizowaną dyskusją. W tej właśnie rozmowie po raz pierwszy Franciszek rozwija też swoje poglądy na temat homoseksualizmu.

Spadaro nie odpuszcza kwestii homoseksualizmu – naciska na Franciszka, zmusza go do nakreślenia prawdziwej chrześcijańskiej wizji problemu. Papież prosi, abyśmy „z miłosierdziem” towarzyszyli homoseksualistom, snuje wizje duszpasterskiej troski o osoby „w sytuacjach nieregularnych”, osoby „zranione społecznie”, które

„mają wrażenie, że Kościół je zawsze potępia”. Nigdy żaden papież nie przejawił takiej empatii i – nie bójmy się tego słowa – braterstwa z homoseksualistami. To istny przewrót kopernikański! A tym razem jego słowa z pewnością nie były improwizacją, jaką mogło być słynne zdanie „kim jestem, by osądzać?”. Wywiad został starannie przeczytany, każde jego słowo zostało dokładnie zważone (o czym zapewnił mnie Spadaro).

Jednak dla Franciszka są istotniejsze sprawy – nadszedł czas, by Kościół, zamiast zajmować się kontrowersjami, tym, co dzieli wiernych, skupił się na najpoważniejszych wyzwaniach: na ubogich, na migrantach, na nędzy. „Nie możemy zatrzymywać się tylko nad kwestiami związanymi z aborcją, małżeństwami homoseksualnymi i używaniem środków antykoncepcyjnych. To nie jest możliwe. (…) Nie ma potrzeby mówić o tym bez przerwy”[34] – oświadcza papież.

By wesprzeć stanowisko papieża w kwestii rodziny, Antonio Spadaro nie ograniczył się do przeprowadzenia tego ważnego wywiadu – uruchomił też szerokie międzynarodowe kontakty. Tak więc przez cały rok 2015 na łamach „La Civiltà Cattolica” znajdziemy mnóstwo wypowiedzi i wywiadów sprzyjających ideom Franciszka. Spadaro i sekretariat synodu pozyskali też dla swojej sprawy ekspertów, takich jak teologowie włoscy Maurizio Gronchi i Paolo Gamberini czy francuscy, jak Jean-Miguel Garrigues (bliski przyjaciel kardynała Schönborna) i Antoine Guggenheim. Ten ostatni na łamach francuskiego katolickiego dziennika „La Croix” niespodziewanie zaczął bronić związków jednopłciowych. „Uznanie wiernej i trwałej miłości łączącej dwie osoby homoseksualne – pisze – niezależnie od stopnia ich czystości wydaje mi się hipotezą godną zbadania. Mogłoby to przybrać formę, jaką Kościół zwykle nadaje modlitwie – formę błogosławieństwa”.

W tym samym okresie, przy okazji podróży do Brazylii, Spadaro

spotkał się z progejowskim księdzem, podobnie jak on sam jezuitą, Luisem Correą Limą. W siedzibie Towarzystwa Jezusowego Katolickiego Uniwersytetu w Rio de Janeiro odbyli długą rozmowę o organizowanym przez ojca Limę „duszpasterstwie homoseksualistów”. Zachwycony ideą Spadaro zamówił u Limy artykuł na ten temat dla „La Civiltà Cattolica”, który ostatecznie nie został opublikowany.

(Przeprowadziłem także – oprócz wywiadów z monsiniorem Baldisserim, Kasperem i Spadaro – rozmowy z Antoinem Guggenheimem i Jean-Miguelem Garriguesem, którzy potwierdzili, że tak właśnie wyglądała ogólna strategia. Odwiedziłem również, wraz z ojcem Limą, fawelę Rocinha w Rio de Janeiro, gdzie co niedzielę odprawia mszę i gdzie odbywają się spotkania duszpasterskie LGBT).

Poprzedzające synod dyskusje śledził z uwagą inny jeszcze intelektualista z wyższej półki. Włoski dominikanin, również teolog, człowiek dyskretny i lojalny, mieszka w paryskim klasztorze Saint-Jacques sąsiadującym ze słynną biblioteką Saulchoir.

Brat Adriano Oliva jest znanym mediewistą, doświadczonym łacinnikiem, doktorem teologii. Przede wszystkim jednak jest jednym z najwybitniejszych światowych specjalistów od świętego Tomasza z Akwinu, przewodniczącym słynnej komisji leonińskiej, odpowiedzialnej za krytyczne wydanie prac średniowiecznego myśliciela.

Dlaczego więc na początku 2015 roku Oliva niespodziewanie uaktywnił się i postanowił napisać ryzykowną książkę, w której przychylnie traktuje ponowne małżeństwa rozwodników i błogosławieństwa dla związków homoseksualnych? Czyżby włoskiego dominikanina zachęcił do reagowania na bieżąco na toczącą się debatę sekretariat synodu? A może nawet sam papież?

Jak wiadomo, święty Tomasz z Akwinu to ostateczna broń konserwatystów w walce z ideą sakramentów dla osób rozwiedzionych lub par homoseksualnych. Frontalne podejście mediewisty do tematu było strategiczne, choć ryzykowne, wręcz brawurowe. Tytuł opublikowanej niedługo potem książki brzmi *Amours* – Miłości.

Rzadko zdarza się w dzisiejszych czasach trafić na rzecz tak odważną. *Amours*, choć to praca erudycyjna, egzegetyczna i przeznaczona dla specjalistów, na zaledwie stu sześćdziesięciu stronach z drobiazgowością podważają moralizatorską ideologię Watykanu, od Jana Pawła II do Benedykta XVI. Brat Oliva zaczyna od podwójnej doktrynalnej porażki Kościoła – wewnętrznej sprzeczności jego dyskursu o rozwodnikach i impasu jego podejścia do homoseksualizmu. Autor jasno określa swój cel: „Niniejsze studium ma wykazać, że pożądana zmiana postawy magisterium Kościoła dotycząca homoseksualizmu i życia seksualnego par homoseksualnych nie tylko odpowiadałaby aktualnym badaniom antropologicznym, teologicznym i egzegetycznym, lecz przyczyniłaby się również do rozwoju tradycji teologicznej, w szczególności tomistycznej".

Dominikanin krytykuje obowiązującą wykładnię myśli świętego Tomasza z Akwinu i to nie na marginesach, lecz w samym jej jądrze. Pisze: „Przywykliśmy sądzić, że nie tylko sodomia, ale także skłonności homoseksualne są »wbrew naturze«. Tymczasem święty Tomasz uważa tę skłonność za »zgodną z naturą« osoby homoseksualnej ujętej w jej indywidualności". Teolog powołuje się na „genialną intuicję" anielskiego doktora – „naturalną nienaturalność", tłumaczącą źródła homoseksualizmu. Oliva zwraca uwagę, że Tomasz, w tym miejscu niemal darwinowski, „źródło homoseksualizmu umieszcza na poziomie naturalnych pryncypiów

gatunku”.

Tak więc dla świętego Tomasza człowiek, wraz ze swoimi anomaliami i osobliwościami, jest częścią boskiego planu. Skłonności homoseksualne nie są wbrew naturze, pochodzą z rozumnej duszy. Jak pisze Oliva: „homoseksualizm jako taki nie zawiera żadnej nieprawości; co do zasady, przynależy jednostce z natury i zakorzeniony jest w tym, co ożywia ją jako istotę ludzką; jeśli zaś chodzi o jego cel, to miłość do innej osoby jest dobrym celem”. W podsumowaniu dominikanin wzywa, by „przyjąć osoby homoseksualne do serca Kościoła, nie trzymać ich na jego obrzeżach”[35].

Kardynałowie, biskupi i wielu księży mówiło mi, że po lekturze *Amours* zupełnie inaczej spojrzeli na świętego Tomasza z Akwinu i że zakaz homoseksualizmu został ostatecznie zniesiony. Były też osoby, zarówno zwykli wierni, jak i hierarchowie, które wyznały, że książka zrobiła na nich wrażenie podobne do *Corydona* Andre Gide’a – zresztą Adriano Oliva kończy swój utwór aluzją do *Jeżeli nie umiera ziarno…* tegoż autora.

Brat Oliva odmówił odpowiedzi na pytania o genezę jego książki i o swoje związki z Rzymem. Jego wydawca, Jean-François Colosimo, szef Éditions du Cerf, był bardziej rozmowny, podobnie jak zespół kardynała Baldisseriego, który potwierdza, że złożył „zamówienie na eksperckie analizy” między innymi u brata Olivy. Dowiedziałem się też, że Adriano Oliva był przyjęty w Watykanie przez Baldisseriego, Bruna Forte i Fabio Fabenego, czyli głównych architektów synodu.

Jak można się było spodziewać, w kręgach tomistów książka nie przeszła bez echa, przeciwnie, to była istna bomba kasetowa. Środowiska katolickie ogarnął polemiczny żar, tym silniejszy, że atak nastąpił od środka, dzieło sygnował przecież ksiądz, którego trudno

zlekceważyć, tomista nad tomistami. Pięciu dominikanów z Angelicum, papieskiego Uniwersytetu Świętego Tomasza z Akwinu w Rzymie, wkrótce skleciło odpowiedź – surową i niechlujną, a także nieco schizofreniczną, zważywszy na to, że część autorów to osoby homofilne. Następnie pałeczkę przejęli identytaryści, którzy brutalnie zaatakowali śmiałego księdza za robienie z Akwinaty autora „gay-friendly". Katolicka skrajna prawica szalała na swoich stronach internetowych i blogach.

Brat Oliva, na szczęście wspierany przez mistrza zakonu dominikanów, któremu podlega, stał się też celem ataków akademickich w kilku przeglądach tomistycznych – jeden z polemicznych artykułów liczył czterdzieści siedem stron. W odpowiedzi powstał czterdziestoośmiostronicowy tekst broniący Olivy opublikowany w „Revue des Sciences philosophiques et théologiques", piśmie kierowanym przez dominikanina Camille'a de Belloy (z którym również rozmawiałem). Potem nastąpiły kolejne eksplozje…

Temat był, jak widać, drażliwy. Dla brata Olivy, mówiącego, że „działał z całkowitą swobodą", było to zapewne najbardziej ryzykowne zagadnienie w jego karierze. I jakkolwiek odważny był ten dominikanin, trudno sobie wyobrazić, aby badacz jego rangi poważył się na taką książkę o świętym Tomaszu z Akwinu i kwestii gejowskiej zupełnie sam, bez zachęty z góry. Czy dali mu ją kardynałowie Baldisseri i Kasper? To pewne. A może sam papież Franciszek?

Kardynał Walter Kasper potwierdza, że Franciszek interweniował osobiście.

– Adriano Oliva odwiedził mnie. Rozmawialiśmy. Potem dostałem od niego list, który pokazałem papieżowi – był pod wielkim wrażeniem. I poprosił Baldisseriego, żeby zamówił u Olivy tekst,

który miał być przesłany biskupom. Sądzę, że ten właśnie tekst przekształcił się w książkę *Amours*.

I dodaje:

– Adriano Oliva, nie będąc aktywistą, przysłużył się Kościołowi.

Zgodnie z sugestią papieża egzemplarze *Amours* zostały rozdystrybuowane podczas synodu. Nie była to kolejna z wielu broszur, nie było to też – jak mówiono – przedsięwzięcie odosobnione i wręcz samobójcze. To część większego planu realizującego się z woli suwerena państwa papieskiego.

PRZECIWNICY PAPIEŻA WIDZIELI oczywiście jego strategię, jego manewry, całą tę machinę wojenną wymierzoną przeciw kościelnym konserwatystom. Jednak pytani przeze mnie o to woleli – zarówno kardynałowie, jak i zwykli monsiniorzy – wypowiadać się „off the record”. Taka jest tradycja – kardynał poza Watykanem nigdy nie mówi źle o papieżu. Jezuici i członkowie Opus Dei są szczególnie powściągliwi w wyrażaniu swojej niezgody. Dominikanie są ostrożni i generalnie postępowi, podobnie jak franciszkanie. Jednak gdy tylko mikrofon jest wyłączony, moi rozmówcy nie żałują sobie ataków *ad hominem* na Franciszka. Czasem bywają to wręcz wybuchy nienawiści.

Jednym z tych złych języków jest bardzo ważny hierarcha kurii rzymskiej, z którym spotkałem się w Rzymie z dziesięć razy, umawiałem na lunche i kolacje. Zabawny i złośliwy Aguisel (imię zostało zmienione) to homoseksualista bez kompleksów, nieskrępowany, mimo kanonicznego wieku wielki uwodziciel. Sam jeden jest jak cała parada gejowska! Podrywa seminarzystów, zaprasza ich hordami na kolacje, w rzymskich restauracjach, gdzie jadamy, budzi sympatię kelnerów i barmanów, pamięta ich imiona. I, jak się zdaje, bardzo mnie lubi.

– Jestem postacią starotestamentową – takie zabawne,

autoironiczne i jakże prawdziwe zdanie wygłasza nasz prałat.

Aguisel nienawidzi Franciszka. Zarzuca mu skłonności „do komunizowania”, liberalne podejście do kwestii rodziny i oczywiście zbytnią przychylność wobec homoseksualistów.

– Papież jest bardzo gorliwy – mówi mi, a w jego ustach nie jest to pochwała.

Innego dnia, gdy jedliśmy w Campanie, typowej rzymskiej restauracji przy Vicolo della Campana (gdzie podobno często bywał Caravaggio), Aguisel wypunktował niespójności i zmiany kursu Franciszka. Jego zdaniem papież jest „niekonsekwentny w swoich ideach”. A jeśli chodzi o homoseksualizm, to robi krok do przodu, a potem dwa do tyłu. Widać, że idzie na żywioł.

– Jak Franciszek może atakować teorię gender, a jednocześnie oficjalnie przyjmować w Watykanie hiszpańskiego transseksualistę wraz z „jego” lub „jej” narzeczoną – widzi pan, nie wiadomo nawet, jak to powiedzieć! To wszystko jest niespójne i pokazuje, że on nie ma żadnej doktryny, to tylko chaotyczne działania pijarowe.

Prałat ciągnie dalej poufnym tonem, ściszając głos do szeptu:

– Wie pan, papież narobił sobie w kurii wielu wrogów. Jest złośliwy. Wszystkich się pozbywa. Nie znosi sprzeciwu. Wystarczy zobaczyć, co zrobił kardynałowi Müllerowi!

Sugeruję, że są inne powody niechęci Franciszka do Müllera (którego w 2017 roku papież bez uprzedzenia pozbawił stanowiska). Mówi się o złym zarządzaniu budżetem Kongregacji Nauki Wiary; a także, oczywiście, o przypadkach wykorzystywania seksualnego, które często bywały bagatelizowane, zwłaszcza w Niemczech. Mój rozmówca wie o tym wszystkim, przyznaje, że jestem dobrze poinformowany. A jednak obsesyjnie wraca do drobnych przykrości, jakich doznał Müller i osoby z jego otoczenia.

Papież osobiście interweniował, kazał przenieść asystentów

Müllera z Kongregacji Nauki Wiary. Z dnia na dzień kazał im wracać do ich krajów! Najwyraźniej mówili złe rzeczy o papieżu. Dopuścili się zdrady? To nieprawda. Po prostu byli w opozycji. Papież nie powinien osobiście zajmować się szeregowymi duchownymi!

Po chwili wahania dodaje:

– Franciszek ma szpiega w Kongregacji Nauki Wiary, który mu o wszystkim donosi. Wiedział pan o tym? Ma szpiega! To podsekretarz jest szpiegiem!

Tak mniej więcej wyglądały moje rozmowy przy posiłkach z owym hierarchą. Zna sekrety kurii i oczywiście nazwiska „czynnych" kardynałów i monsiniorów. Mówienie o tym sprawia mu przyjemność, choć za każdym razem, gdy wyoutowuje któregoś z kolegów, sam siebie napomina, zadziwiony własną śmiałością:

– Za dużo mówię. Za dużo. Nie powinienem. Pewnie pan myśli, że mam tupet!

Fascynowała mnie ta dobrze skalkulowana nieostrożność prałata w czasie naszych rozmów, które powtarzały się przez parę lat regularnie i trwały w sumie dziesiątki godzin. Jak wszyscy duchowni, których spotykam, wie doskonale, że jestem reporterem i autorem kilku książek o homoseksualistach. Więc podobnie jak inni będący przeciw Franciszkowi kardynałowie i biskupi rozmawia ze mną nie przypadkiem czy przez pomyłkę, lecz z powodu wyszydzanej przez papieża „choroby gadulstwa, szemrania i plotkarstwa"[36].

– Ojciec święty to dość wyjątkowa postać – dodaje prałat. – Ludzie, tłumy ludzi na całym świecie go kochają, ale nie wiedzą, kim jest. A on jest brutalny! Okrutny! Grubiański! Tutaj dobrze go znamy i jest znienawidzony.

PEWNEGO DNIA TUŻ PO OBIEDZIE, który zjedliśmy na rzymskiej Piazza Navona, monsinior Aguisel wziął mnie bez ostrzeżenia pod ramię i zaprowadził do kościoła San Luigi dei

Francesi.

– Są tu trzy dzieła Caravaggia, wejście za darmo. Grzechem byłoby ich nie zobaczyć.

Obrazy, oleje na płótnie, są wystawne, pełne mrocznej głębi i nieprzeniknionej ciemności. Wrzuciłem euro do otworu w małym urządzeniu przed kaplicą i nagle dzieła się rozświetliły.

Pozdrowiwszy „królową zakrystii", która go rozpoznała (pośród seminarzystów i księży tego francuskiego kościoła – podobnie jak innych – jest wielu gejów), Aguisel wdał się w pogawędkę z grupą młodych turystów, olśniewając ich prestiżowym tytułem monsiniora. Po tym przerywniku wróciliśmy do rozmowy o homoseksualizmie Caravaggia. Pełne erotyzmu *Męczeństwo świętego Mateusza*, obraz pokazujący starca ginącego z ręki pięknego nagiego wojownika przypomina jego *Świętego Mateusza i anioła*, którego pierwsza wersja, dziś zaginiona, została uznana za zbyt homoerotyczną, by zdobić kaplicę! Do obrazów *Lutnisty*, *Chłopca z koszem owoców* czy *Bachusa* pozował Caravaggiowi jego kochanek Mario Minniti. Dzieła takie jak *Narcyz*, *Koncert*, *Ścięcie świętego Jana Chrzciciela* czy niepokojący *Amor Vincit Omnia* (*Amor zwycięski*, którego widziałem w Gemäldegalerie w Berlinie) od dawna potwierdzają, że malarza pociągali chłopcy. Dominique Fernandez, członek Akademii Francuskiej, napisał: „Caravaggio jest dla mnie najwspanialszym homoseksualnym malarzem wszech czasów. To on z największą pasją wywyższył więź pożądania łączącą dwóch mężczyzn".

Czy to nie dziwne, że Caravaggio należy jednocześnie do ulubionych malarzy papieża Franciszka, „sztywnych" kardynałów kurii skrywających swoją orientację oraz działaczy gejowskich? Ci ostatni organizują w Rzymie „LGBT City Tours", w czasie których jedną z atrakcji jest złożenie hołdu „ich" malarzowi.

– Tu, do kościoła San Luigi dei Francesi, przyjeżdżają całe autokary odwiedzających. Coraz mniej jest parafian i coraz więcej niskobudżetowych turystów! Chcą tylko zobaczyć Caravaggia. Zachowują się po chamsku, w muzeum nigdy by się na to nie odważyli! Muszę ich wyganiać! – skarżył mi się monsinior François Bousquet, rektor Kościoła francuskiego, z którym dwukrotnie jadłem obiad.

Nagle monsinior Aguisel postanowił pokazać mi coś jeszcze. Zrobił małe okrążenie, zapalił światło w pięknej kaplicy – i oto stoimy przed *Świętym Sebastianem*! Płótno Numy Boucoirana powieszono w kościele w XIX wieku na prośbę ambasadora Francji w Watykanie („co najmniej pięciu od czasów wojny było homoseksualistami” – dodał Aguisel, który najwyraźniej starannie ich policzył). Obraz jest konwencjonalny, pozbawiony artystycznego geniuszu, można jednak uczyć się na jego przykładzie gejowskiej ikonografii. Stojący chłopiec jest olśniewający i dumny; zachwycające pięknem muskulatury nagie, atletyczne ciało przebijają strzały, strzały z dłoni oprawcy będącego być może jego kochankiem. Boucoiran jest wierny mitologicznej opowieści, choć brak mu talentu Botticellego, Bazziego zwanego Sodomą, Tycjana, Veronese’a, Guida Reniego, El Greca, Rubensa, którzy malowali Sebastiana, ikonę gejów, czy Leonarda da Vinci, który narysował go aż osiem razy.

W watykańskich muzeach widziałem wielu *Świętych Sebastianów*, chociażby tego pędzla Girolamo Siciolante da Sermonety, który jest tak otwarcie wabiący i libidinalny, że mógłby się znaleźć na okładce encyklopedii kultury LGBT. Nie wspominając już o bardziej prozaicznej mozaice *Świętego Sebastiana* z bazyliki Świętego Piotra w Rzymie, od której imię przejęła kaplica po prawej stronie od wejścia, zaraz za *Pietą* Michała Anioła. (Teraz znajduje się tam też grób Jana Pawła II).

Zaszyfrowane znaczenia legendy o świętym Sebastianie są dla mężczyzn z Watykanu bardzo ważne, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Rozłożenie jej na czynniki pierwsze, choć oferuje wiele odczytań, wiele też wyjaśnia. To postać dla wielbiciela efebów lub przeciwnie – figura sadomasochistyczna. Może reprezentować oddanie i bierność młodzieńca albo męską siłę wojownika do końca stawiającego opór. Ale najważniejsze jest to, że Sebastian, przywiązany do drzewa, absolutnie bezbronny, zdaje się kochać swojego oprawcę, wyciągać ku niemu ramiona. Ta „bolesna rozkosz" kata i jego ofiary zmieszana w jednym oddechu jest niezwykłą metaforą homoseksualizmu w Watykanie. W Sodomie świętego Sebastiana czcimy każdego dnia.

JEDNYM Z NIELICZNYCH PRZECIWNIKÓW FRANCISZKA, który zdecydował się wypowiedzieć pod własnym nazwiskiem, był australijski kardynał George Pell, papieski „minister gospodarki". Siedziałem w małej poczekalni w Loggii I watykańskiego Pałacu Apostolskiego, gdy Pell podszedł się ze mną przywitać. Gdy przede mną stanął, zobaczyłem olbrzyma. Jest trochę niezdarny, jakby nieznacznie się chwiał. Towarzyszy mu asystent, mężczyzna równie potężny, który porusza się nonszalancko i sumiennie robi notatki z naszej rozmowy. Nigdy w życiu nie czułem się taki malutki. Razem mieli co najmniej cztery metry wzrostu!

– Pracuję z papieżem, spotykam się z nim co dwa tygodnie – mówi Pell niezwykle uprzejmie. – Zapewne mamy inny kulturowy background, on pochodzi z Argentyny, ja z Australii. Miewamy odmienne poglądy, na przykład na temat zmian klimatycznych. Przecież jesteśmy organizacją religijną, a nie partią polityczną. Musimy być jednością w kwestiach wiary i moralności. Ale poza tym powiedziałbym, że jesteśmy wolni. Więc, jak to ujął Mao Zedong, niech rozkwita sto kwiatów…

George Pell odpowiada na moje pytania w anglosaskim stylu – profesjonalnie, zwięźle i dowcipnie. Jest skuteczny, zna swoje obowiązki i wie, o co chodzi. Nie ma mowy o plotkach „off the record”, wszystko, co mówi, mówi oficjalnie. Uderza mnie galanteria kardynała, zwłaszcza że jego koledzy opisali mi go jako osobę „grubiańską”, „konfrontacyjną”, wręcz przerażającą, istnego „buldoga”. W Watykanie nosi przydomek „Pell-Pot”.

Rozmawiamy o finansach stolicy apostolskiej, o jego pracy jako skarbnika Watykanu, o tym, że watykańskie finanse długo były nieprzejrzyste, lecz on dąży do transparencji.

– Po objęciu stanowiska odkryłem „uśpione pieniądze”, pominięte przez wszystkie bilanse – prawie 1,4 miliarda euro! Reforma finansów to jedna z niewielu spraw jednoczących w Watykanie prawicę, lewicę i centrum, zarówno politycznie, jak i socjologicznie.

– To w Watykanie jest prawica i lewica? – przerywam kardynałowi.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy czymś w rodzaju radykalnego centrum.

Na synodzie George Pell, ratzingerowiec, powszechnie uważany za przedstawiciela prawego, konserwatywnego skrzydła Watykanu, znalazł się pośród kardynałów krytycznych wobec Franciszka. Tak jak się spodziewałem, Pell bagatelizuje te spory – o których informacja wyciekła do prasy – dając pokaz kazuistyki czy raczej nowomowy:

– Nie jestem przeciwnikiem Franciszka. Jestem lojalnym sługą papieża. Franciszek zachęca do swobodnej i otwartej dyskusji, lubi słuchać ludzi, którzy nie myślą tak jak on.

George Pell kilka razy powołuje się na „autorytet moralny” Kościoła, który ma być racją jego bytu, głównym sposobem, w jaki może wpływać na świat. Jego zdaniem trzeba pozostać wiernym doktrynie i tradycji, nie można zmieniać prawa, nawet jeśli społeczeństwo się zmienia. Troskę Franciszka o „peryferia” i jego

empatię wobec homoseksualistów przedstawia nagle jako coś bezużytecznego, jeśli nie heretyckiego.

– Zainteresowanie się „peryferiami” jest słuszne. Ale przede wszystkim trzeba brać pod uwagę „masę krytyczną” wiernych. Należy, oczywiście, zatroszczyć się o zagubioną owieczkę, ale trzeba też dbać o te dziewięćdziesiąt dziewięć baranków, które pozostały w stadzie.

Jakiś czas po naszym wywiadzie Pell opuścił Rzym i wrócił do Australii, gdzie został oskarżony w starej sprawie o wykorzystywanie seksualne chłopców. Oskarżono go też o to, że przez długi czas jako biskup krył księży pedofilów, przenosząc ich z parafii do parafii. Ten szeroko nagłośniony proces, którego akta liczyły tysiące stron, skończył się w 2018 roku wyrokiem skazującym.

REZULTAT PRAWIE DWULETNIEJ DEBATY i sporów wokół synodu nosi piękne imię: *Amoris laetitia* (Radość miłości). W tej posynodalnej adhortacji apostolskiej widać osobiste i kulturowe wpływy Franciszka. Papież kładzie nacisk na to, że żadna rodzina nie jest rzeczywistością doskonałą i że każdą z nich należy otoczyć taką samą duszpasterską troską. To dalekie od wizji idealnej, patriarchalnej rodziny, do jakiej przywykli przeciwni małżeństwom gejowskim konserwatyści.

Niektórzy hierarchowie sądzą – nie bez powodu – że reformatorskie ambicje Franciszka osłabły i że w najbardziej drażliwych kwestiach przystał na status quo. Z kolei obrońcy papieża uważają *Amoris laetitia* za punkt zwrotny.

Według jednego ze współautorów tego tekstu na synodzie homoseksualiści przegrali bitwę, niemniej udało im się w odwecie umieścić w adhortacji trzy zaszyfrowane odniesienia do homoseksualizmu: ukryte zdanie o „miłosnej przyjaźni”[37] (§ 127); nawiązanie do radości z narodzin Jana Chrzciciela, którego

zniewieściałe wizerunki tworzyli Caravaggio i Leonardo da Vinci – modelem dla tego ostatniego miał być jego kochanek, Salai (§ 65); wreszcie nazwisko katolickiego myśliciela, który w końcu uznał swój homoseksualizm, Gabriela Marcela (§ 322)... Bardzo skromne zwycięstwo!

– *Amoris laetitia* to owoc dwóch lat synodu – wyjaśnia mi kardynał Baldisseri. – Po przeczytaniu rozdziałów czwartego i piątego przekona się pan, że jest to piękny tekst o miłosnym związku i o miłości. Choć przyznam, że rozdział ósmy, poruszający kontrowersyjne tematy, powstał w wyniku kompromisu.

Konserwatywnemu skrzydłu Watykanu nie spodobał się ten kompromis. Pięciu kardynałów, w tym dwóch papieskich „ministrów", Gerhard Ludwig Müller i Raymond Burke, już wcześniej, przed synodem, wyraziło swoje zdanie w książce zatytułowanej *Pozostać w prawdzie Chrystusa*[38] – rzadko słychać tak donośny głos sprzeciwu. Inny minister Franciszka, George Pell, oraz kardynał Angelo Scola dołączyli do nich, zasilając tym samym szeregi opozycji. Zagadkowe publiczne wypowiedzi Georga Gänsweina, słynnego prywatnego sekretarza Benedykta XVI, również idą w tym kierunku, choć formalnie nie wspiera on tamtych kardynałów.

Po zakończeniu obrad drugiej części synodu ta sama grupa znów pisemnie wyraziła swój sprzeciw. List wzywający do „wyjaśnienia wątpliwości", jakie budzi *Amoris laetitia*, podpisało czterech kardynałów: Amerykanin Raymond Burke, Włoch Carlo Caffarra oraz dwóch Niemców – Walter Brandmüller i Joachim Meisner. Wkrótce po tym nazwano ich czterema „dubiami", od łacińskiego „wątpienia". Ich list upubliczniono we wrześniu 2016 roku. Papież nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tych czterech „wątpiących kardynałach" (dwaj z nich już nie żyją). Jak podają różne źródła

w Niemczech, Szwajcarii, we Włoszech i w Stanach Zjednoczonych, dwóch z tych konserwatywnych kardynałów homofobów sprzeciwiających się papieżowi w kwestii moralności seksualnej to „closeted” – ukryci homoseksualiści. Wiele bywali w świecie, zawierali „szczególne przyjaźnie”. Niemiecka prasa kpiła z tego, że otoczenie jednego z dwóch wymienionych niemieckich hierarchów składało się głównie z pięknych, zniewieściałych chłopców; o jego homofilii piszą też zagraniczni dziennikarze. Z kolei Carlo Caffarra, były arcybiskup Bolonii, mianowany kardynałem przez Benedykta XVI, założyciel Instytutu Jana Pawła II „dla studiów nad małżeństwem i rodziną”, należał do tak zażartych wrogów małżeństw gejowskich, że ta niedzisiejsza obsesja może mieć tylko jedną przyczynę.

„Wątpiący kardynałowie” mają swój styl: pozorna pokora – i ekstrawagancka próżność; pochlebcze wybuchy śmiechu otaczających ich apollinów i efebów – i autodafes; królowe zakrystii, liturgiczne drag queens, mali chórzyści z klasztornej szkoły ze starannie przyczesanymi włosami i przedziałkiem po prawej stronie – i inkwizycja; pokrętny, dosłownie pokręcony język – i średniowieczne poglądy na moralność seksualną. A do tego jeszcze ten kompletny brak entuzjazmu dla płci pięknej! Co za mizoginia! Jaka boska gejowskość, jaka męska sztywność – lub też odwrotnie. „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele”.

Papieża, świadomego przecież homofilii części „wątpiących” kardynałów i innych paradoksów życia swoich przeciwników, tych wzorców moralnej bezkompromisowości i rygoryzmu, głęboko oburza taka hipokryzja.

Oto trzecia, najbardziej szatańska odsłona walki Franciszka z przeciwnikami. Papież metodycznie przystąpił do karania swoich wrogów, jednego kardynała za drugim – usuwając ich z pełnionych

funkcji (Gerhard Ludwig Müller przestał być prefektem Kongregacji Nauki Wiary, Mauro Piacenza stracił stanowisko, Raymond Burke nie stoi już na czele Trybunału Sygnatury Apostolskiej); pozbawiając pełnione przez nich funkcje jakiegokolwiek znaczenia (Robert Sarah, pozbawiony wszelkiego wsparcia, znalazł się na czele kongregacji-wydmuszki); zwalniając osoby z ich otoczenia (współpracowników Saraha i Müllera zastąpili ludzie Franciszka); czy wreszcie pozwalając, by sami się skompromitowali (George Pell oskarżony o wykorzystywanie seksualne, Gerhard Müller i Joachim Meisner podejrzani o pomoc w tuszowaniu takich spraw, Raymond Burke wplątany w wewnętrzne spory zakonu maltańskiego). Ktoś mówił o miłosierdziu Franciszka?

CZYŻBYM OBUDZIŁ KARDYNAŁA GERHARDA LUDWIGA MÜLLERA tego ranka, gdy odwiedziłem go w jego prywatnym domu na Piazza della Città Leonina, niedaleko Watykanu? Może przez całą noc odmawiał jutrznię? Wszechpotężny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, wróg numer jeden papieża Franciszka, sam otwiera drzwi... i jest w dezabilu. Pierwszy raz w życiu widzę kardynała w piżamie!

Stoi przede mną wysoki mężczyzna w wymiętym T-shircie, w długich, luźnych spodniach dresowych marki Vittorio Rossi i w domowych pantoflach. Zakłopotany wyjąkałem:

– Czy nie byliśmy umówieni na dziewiątą?

– Owszem. Ale nie zamierza pan robić zdjęć, prawda? – upewnia się emerytowany kardynał prefekt, który nagle zdał sobie sprawę z niestosowności swojego stroju.

– Nie, nie, żadnych zdjęć.

– Więc mogę tak [ubrany] zostać – decyduje Müller.

Siadamy w ogromnym gabinecie z imponującym zbiorem książek. Rozmowa okazuje się fascynująca, Müller wydaje mi się

osobowością dużo bardziej skomplikowaną, niż sugerowali jego przeciwnicy.

Długo rozmawiamy o dziełach Hansa Ursa von Balthasara i Jacques'a Maritaina, znanych doskonale temu intelektualiście, podobnie zresztą jak emerytowanemu papieżowi Benedyktowi XVI, z którym Müller jest związany. Pokazuje mi książki tych autorów wyjęte z nienagannie uporządkowanych półek.

Mieszkanie jest klasyczne i brzydkie w niekatolicki sposób. To zresztą wspólna cecha kardynalskich mieszkań, których z dziesięć widziałem: niby to luksusowe, niby światowe, jakaś mieszanka gryzących się stylów, raczej podróbka i blichtr niż głębia. Jednym słowem „middlebrow" – jak w Stanach Zjednoczonych nazywa się coś, co nie jest ani elitarne, ani plebejskie, coś przeciętnego, pospolitego, z kultury środka. Pękaty zegar, podróbka art déco, który przestał działać; przestylizowana barokowa komoda, istny miszmasz. To kultura „notesów Moleskine'a" udających te z apokryficznych anegdot o Brusie Chatwinie i Hemingwayu. Ten styl bez stylu, nijaki i mdły, łączy Müllera, Burke'a, Ruiniego, Dziwisza, Stafforda, Farinę, Etchegaraya, Herranza, Martina, Re, Sandovala i innych poszukujących „samowywyższenia" – self-aggrandizement kardynałów, których odwiedziłem.

Jednak Müller w czasie naszego spotkania wcale się nie wywyższa, wręcz przeciwnie. Papież bez ceregieli zwolnił go z funkcji prefekta Kongregacji Nauki Wiary, którą sprawował od czasów Benedykta XVI.

– Co sądzę o papieżu Franciszku? Powiedzmy, że Franciszek naprawdę ma swój styl. Ale zrozumie pan, że kwestia bycia „za" czy „przeciw" Franciszkowi nie ma dla mnie sensu. Czerwony habit, który nosimy, oznacza, że jesteśmy gotowi oddać naszą krew Chrystusowi, a służyć Chrystusowi znaczy dla każdego kardynała służyć

namiestnikowi Chrystusa. Niemniej Kościół nie jest wspólnotą robotów, a wolność bożych dzieci pozwala nam mieć poglądy, pomysły, uczucia inne niż papież. Ale powtarzam, i wyraźnie podkreślam, to nie oznacza, że nie chcemy być lojalni wobec papieża. Jesteśmy wierni papieżowi, bo chcemy być wierni Panu.

A jednak lojalny Müller dołączył do długiej judaszowej listy tych, którzy – jak Raymond Burke, Robert Sarah, Angelo Bagnasco czy Mauro Piacenza – podstępnie i złośliwie atakowali papieża. Kłótliwy z natury kardynał buntownik chciał dać nauczkę ojcu świętemu i z obłudną miną brutalnie krytykował wytyczoną przez niego linię synodu. Udzielał też wywiadów na temat moralności, mówiąc rzeczy przeczące Franciszkowi. Spór narastał, aż doszło do zerwania. Powiedzieć, że popadł w niełaskę, oznaczałoby, że kiedykolwiek był w łaskach u papieża. Tymczasem już kilka miesięcy wcześniej wyznaczono cenę za jego kardynalski kapelusz. I Franciszek bez wahania strącił mu go z głowy podczas rozmowy, która – według Müllera – „trwała minutę". I oto teraz kardynał siedzi przede mną w kalesonach!

Nagle pełna oddania siostrzyczka w nieokreślonym wieku delikatnie zapukała do drzwi i weszła z kardynalską herbatą przygotowaną z najwyższą troskliwością należną jego eminencji – nawet upadłemu. Kardynał, zirytowany, bo przeszkodziło mu to w perorach, ledwie spojrzawszy, jak stawia filiżankę, odprawił ją brutalnie bez słowa podziękowania. Usłużna zakonnica wycofała się wystraszona. Nawet najwięksi burżuje lepiej traktują swoje służące! Było mi jej żal, wychodząc miałem ochotę znaleźć ją i przeprosić za ten brak taktu.

Kardynał Müller to człowiek pełen sprzeczności. W Bawarii, gdzie był biskupem, pozostał w pamięci jako osoba „niejednoznaczna", a może wręcz „schizofreniczna" (jeśli mogę użyć słowa często

używanego przez Franciszka) – tak przynajmniej wynika z kilkunastu świadectw, które zebrałem w Monachium i Ratyzbonie. Księża i dziennikarze opowiadali mi o jego związkach z eleganckimi kręgami Regensburger Netzwerk. Zdawało się, że jest pod wpływem Josepha Ratzingera i Georga Gänsweina.

– Kiedy Müller był biskupem Ratyzbony, tutaj, w Bawarii, nie najlepiej go rozumiano. Jego związek ze słynnym niemieckim kardynałem Karlem Lehmannem, liberałem i postępowcem, wydawał się skomplikowany, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestię gejowską. Pisali do siebie bardzo ostre, bardzo gorzkie listy, bowiem Lehmann to heteroseksualny mężczyzna, który raczej sprzyja gejom, Müller zaś jest wobec nich wrogi. Jednocześnie Müller był stałym bywalcem przyjęć u księżnej Glorii von Thurn und Taxis w pałacu St. Emmeram – wyjaśnia mi w Monachium Matthias Drobinski, dziennikarz „Süddeutsche Zeitung", od dwudziestu pięciu lat zajmujący się niemieckim Kościołem.

PAŁAC W RATYZBONIE śmiało i nie bez powodzenia łączy ze sobą romański i gotycki klasztor (kiedyś było to opactwo benedyktynów), skrzydło barokowe, skrzydło rokokowe i neorokokowe sale balowe. Stanowiący połączenie różnych stylów i epok gmach należał przez pewien czas do siostry cesarzowej Sissi. Obecnie rezyduje tam księżna Gloria von Thurn und Taxis, wdowa po bogatym przemysłowcu, którego ród zdobył fortunę dzięki monopolowi na pocztę w czasach Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, zanim został wywłaszczony przez Napoleona. To miejsce jest siedzibą najbardziej konserwatywnego odłamu niemieckiego Kościoła katolickiego. Zapewne z przyczyny swego wybuchowego wręcz konserwatyzmu księżna zyskała przydomek Gloria TNT – Gloria Trotyl!

Kasztelanka udziela mi audiencji tuż po swojej codziennej lekcji

tenisa, odziana w różową koszulkę polo dopasowaną do owalnych ekscentrycznych okularów, demonstrując sportowego rolexa i pierścienie z krzyżami. Co za kobieta! Co za przedstawienie!

Spotykamy się w Café Antoinette – nazwanej tak na cześć skróconej o głowę królowej Francji – a Gloria von Thurn und Taxis, którą opisywano mi jako osobę rygorystyczną i zachowującą się w stylu „butch", okazuje się zaskakująco miła i przyjacielska. Znakomicie mówi po francusku.

Gloria TNT bez pośpiechu streszcza mi swoje „królewskie" życie. Opowiada o miliardowym dziedzictwie, o pięciuset pomieszczeniach w pałacu, które trzeba utrzymać, nie wspominając już o czterdziestu tysiącach metrów kwadratowych dachów („to bardzo, bardzo drogie" – skarży się, szeroko otwierając oczy), o politycznym zaangażowaniu w najbardziej reakcyjną prawicę, o swoim przywiązaniu do kapłanów, zwłaszcza do „drogiego przyjaciela" kardynała Müllera; o życiu na walizkach, krążeniu między Niemcami, Nowym Jorkiem i Rzymem (gdzie dzieli *pied-a-terre* z inną księżną, Alessandrą Borghese, co prowokuje dzikie plotki o jej rojalistycznych przekonaniach). Gloria TNT kładzie szczególny nacisk na swój żarliwy katolicyzm:

– Jestem katoliczką. Mam prywatną kaplicę, w której zaprzyjaźnieni księża mogą odprawiać mszę, kiedy tylko zechcą. Uwielbiam, kiedy używa się kaplic. Od ponad roku mam w domu księdza, kapelana. Był na emeryturze, sprowadziłam go tutaj, mieszka teraz z nami w jednym z pałacowych mieszkań. To mój prywatny kapelan – zwierza mi się Gloria.

Rzeczony ksiądz to niejaki Wilhelm Imkamp.

– To ultrakonserwatywny duchowny, dużo o nim wiadomo. Chciał zostać biskupem, ale nie udało mu się to z powodów osobistych. Jest blisko związany z radykalnym konserwatywnym skrzydłem

niemieckiego Kościoła, szczególnie z kardynałem Müllerem i Georgiem Gänsweinem – informuje mnie w Monachium Matthias Drobinski z „Süddeutsche Zeitung”.

Dziwna postać ten prałat Imkamp. Zdawał się nieźle sobie radzić w Watykanie, był tam „konsultantem” różnych kongregacji; a także asystentem jednego z niemieckich kardynałów, dość delikatnie homofobicznego Waltera Brandmüllera. Dlaczego mimo tych silnych związków i przyjaźni z osobami z kręgu Ratzingera nie został biskupem za poprzedniego pontyfikatu? Taka tajemnica zasługiwałaby na wyjaśnienie.

David Berger, który z seminarzysty i teologa przedzierzgnął się w gejowskiego aktywistę, wyjaśnia podczas wywiadu w Berlinie:

– Każdego ranka biskup Imkamp odprawia mszę po łacinie, według starego rytu, w kaplicy Glorii von Thurn und Taxis. On jest skrajnym konserwatystą związanym z Georgiem Gänsweinem, ona – Madonną gejów.

Dekadenckiej arystokratce Glorii TNT nie brakuje środków. Nie brak też w jej życiu paradoksów. Opisuje mi swoją kolekcję sztuki współczesnej z pracami Jeffa Koonsa, Jean-Michela Basquiata, Keitha Haringa, a także fotografa Roberta Mapplethorpe’a – jest w posiadaniu pięknego i sławnego portretu, do którego sama pozowała. O ile Koons ma się dobrze, to Haring i Mapplethorpe byli homoseksualistami i zmarli na AIDS. Basquiat był narkomanem, a Mapplethorpe’a amerykańska skrajna katolicka prawica lżyła za jego dzieła, ich zdaniem homoerotyczne i sadomasochistyczne. Schizofrenia?

Księżna wyjaśniła swoje poglądy na temat homoseksualizmu podczas debaty zorganizowanej przez bawarską Unię Chrześcijańsko-Społeczną (CSU) w obecności monsiniora Wilhelma Imkampa: „W swojej sypialni każdy może robić, co chce, lecz nie wolno robić

z tego politycznego programu”. Rozumiemy ukryty przekaz: tolerancja dla homoseksualistów „w szafie”; zerowa tolerancja dla gejów na widoku!

Faktycznie wybuchowy koktajl z tej Glorii Trotyl – dewotka i arystokratyczno-punkowa bogaczka; żarliwa katoliczka i zwariowana fundamentalistka otoczona chmarą gejów. Gloria von Thurn und Taxis – bohema jak się patrzy!

Dotąd związana była z konserwatywną bawarską CSU, jednak w ostatnich latach bliskie stały się jej niektóre idee reakcyjnej Alternatywy dla Niemiec. Choć formalnie tam nie należy, widziano ją u boku jej posłów na „Demo für Alle”, demonstracji przeciwko małżeństwom gejowskim. Mówiła też w wywiadzie o swojej sympatii dla księżnej Beatrix von Storch, wiceprzewodniczącej AfD, przyznając jednocześnie, że wystąpiły pewne rozbieżności między nią a jej własną partią.

– Pani von Thurn und Taxis jest typową reprezentantką szarej strefy rozciągającej się między Unią Chrześcijańsko-Społeczną a twardą prawicą AfD, które łączy nienawiść dla „teorii genderu”, walka z aborcją, małżeństwami gejowskimi oraz niechęć wobec polityki migracyjnej kanclerz Angeli Merkel – wyjaśnia mi podczas rozmowy w Monachium niemiecki teolog Michael Brinkschröder.

Jesteśmy w samym sercu tego, co nazywa się Regensburger Netzwerk, „siecią Ratyzbony”. Główną gwiazdą tej konstelacji jest Królowa Słońce Gloria TNT, wokół której „tysiąc modrych diablików tańczy[39]”. Prałaci Gerhard Ludwig Müller, Wilhelm Imkamp i Georg Gänswein zawsze zdawali się czuć komfortowo w tej przyjaznej koterii, gdzie lokaje odziani są w liberie, ciasta ozdobione „sześćdziesięcioma marcepanami w kształcie penisa” (jak donosi niemiecka prasa), a duchowni oczywiście homofobiczni. Książęca do szpiku kości Gloria TNT zapewnia nawet serwis posprzedażny –

uczestniczy w promocji antygejowskich dzieł zaprzyjaźnionych reakcyjnych kardynałów, chociażby Müllera, gwinejskiego ultrakonserwatysty Roberta Saraha lub Niemca Joachima Meisnera (wraz z którym wydała książkę – zapis ich rozmowy). Meisner to uosobienie katolickiej hipokryzji – wróg Franciszka (należy do grupy czterech „wątpiących kardynałów"); zapiekły homofob, który jednocześnie jako biskup świadomie wyświęcał w Berlinie i w Kolonii praktykujących gejów na księży; osoba o skłonnościach homofilnych, lecz od młodości zamknięta w „szafie" na cztery spusty; i esteta żyjący w zniewieściałym otoczeniu w większości składającym się z osób LGBT.

CZY MAMY BRAĆ NA POWAŻNIE przekonania kardynała Müllera? Ważni niemieccy kardynałowie i teolodzy krytycznie podchodzą do jego nieprzekonujących tekstów i niegodnych zaufania myśli. Złośliwie podkreślają fakt, że koordynował wydanie dzieł wszystkich Ratzingera, insynuując, że to wyjaśnia tytuł kardynała i jego obecność w Kongregacji Nauki Wiary!

Lecz tych surowych ocen też nie warto brać na wiarę – Müllera kardynałem uczynił nie Benedykt XVI, lecz Franciszek. Wcześniej był księdzem w Ameryce Łacińskiej i autorem głębokich książek dotyczących głównie teologii wyzwolenia – z Gustavo Gutiérrezem, „ojcem-założycielem" tego ruchu religijnego, zaprzyjaźnił się (co sam mi powiedział) i wspólnie z nim wydał pasjonującą książkę. Jeśli nie podaje to w wątpliwość jego konserwatyzmu, to przynajmniej pokazuje jego złożoność.

Nie zmienia to faktu, że jest mizoginem i homofobem. Gdy papież w prywatnej rozmowie z Juanem Carlosem Cruzem, homoseksualistą, ofiarą wykorzystywania seksualnego, wykazał się empatią (mówiąc: „Nie ma żadnego znaczenia, że jesteś gejem. Bóg uczynił cię takim, jakim jesteś, i takim cię kocha. Papież też cię kocha. Powinieneś być

szczęśliwy, będąc, kim jesteś”), kardynał Müller wielokrotnie zaprzeczał istnieniu czegoś takiego, jak dyskryminacja gejów, i podkreślał, że „homofobia jest wymysłem” (czy, jak mówił, „fałszywką”).

Taka surowość i kategoryczność kontrastują z pobłażliwością, jaką wykazywał kardynał Müller, gdy informowano go o przypadkach molestowania seksualnego. Jako biskup Ratyzbony, potem jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, miał być opieszały w sprawach związanych z pedofilią (którymi się w Watykanie zajmował) – czemu teraz zdecydowanie zaprzecza – a ofiarom okazał niewiele empatii. Był z tego powodu krytykowany przez prasę, a nawet powoływany przed niemieckie i francuskie sądy. Przyczynił się również do odejścia z komisji do spraw ochrony małoletnich (powołanej przez Watykan do walki z nadużyciami seksualnymi w Kościele) wpływowej irlandzkiej świeckiej działaczki Marie Collins, też ofiary księży pedofilów.

Na synodzie poświęconym rodzinie Müller wyraźnie opowiedział się przeciwko papieżowi Franciszkowi, chociaż dziś przekonuje mnie, trochę świętoszkowato, że nie chce „powiększać chaosu, goryczy i nienawiści”. Stanął obok „wątpiących kardynałów” na czele buntu; z odmowy komunii dla osób, które zawarły nowe związki, uczynił dogmat i był zdecydowanie wrogi wobec święceń kobiet, a nawet „viri probati”. Homoseksualiści zaś jego zdaniem – a zna na pamięć wszystkie wersety Starego Testamentu i listów apostolskich odnoszące się do tego „zła” – powinni być szanowani, lecz pod warunkiem, że zachowają czystość. W końcu kardynał wyraził stanowczy sprzeciw wobec „ideologii gender”, którą przedstawił w formie prostackiej karykatury, bez cienia tej subtelności, z jaką potrafił analizować teologię wyzwolenia.

Papież Franciszek zlekceważył jednak jego krytykę synodu

o rodzinie, a zwłaszcza krytykę *Amoris laetitia*. Składając kurii rzymskiej życzenia w Boże Narodzenie 2017 roku, odniósł się do Müllera (nie wymieniając go z nazwiska), kiedy mówił o „zdrajcach zaufania", o osobach, które „ulegają demoralizacji z powodu ambicji lub próżności, a gdy są w sposób delikatny usuwane, oświadczają błędnie, że są męczennikami systemu (…) zamiast powiedzieć mea culpa". Jeszcze surowiej potępił papież osoby „spiskujące", będące „rakiem (…) który przenika (…) do organizmów kościelnych". Jak widać, relacje Franciszka z Müllerem układają się świetnie.

Nagle przerwał nam sygnał telefonu. Prałat w japonkach, nie przepraszając, wstaje i odbiera. Przed chwilą opryskliwy, widząc numer wyświetlający się na ekranie, przybiera inną pozę – teraz ma maniery. Przechodzi na niemiecki, mówi słodkim głosem. Trwa to tylko kilka minut, lecz łatwo się domyślić, że to rozmowa na tematy osobiste. I gdyby nie chodziło o człowieka, który złożył śluby czystości, a przede wszystkim, gdybym nie dosłyszał z daleka, że głos rozmówcy to męski baryton, wyobrażałbym sobie miłosny dialog.

Kardynał siada znów koło mnie, jakby lekko zaniepokojony. I nagle pyta badawczym tonem:

– Rozumie pan niemiecki?

W RZYMIE CZASEM CZUJESZ SIĘ jak w filmie Hitchcocka. Kardynał Walter Kasper, wielki wróg Müllera, mieszka w tym samym budynku co on. Zostałem tam stałym bywalcem, zakolegowałem się nawet z portierem tej pozbawionej ducha budowli art déco, któremu powierzałem liściki do obu rywalizujących kardynałów i słynną białą książkę, *Livre blanc*, prezent dla Müllera.

Ci dwaj Niemcy od dawna krzyżują szpady, a ich teologiczne pojedynki przechodzą do historii. Ostatnia bitwa odbyła się w latach

2014-2015. Franciszek powierzył Kasperowi, swemu oficjalnemu teologowi i źródłu natchnienia, wygłoszenie wykładu otwierającego konferencję synodu na temat rodziny. A Müller to zniszczył!

– Papież Franciszek się wycofał, to fakt. Nie miał wyboru. Ale jego postawa zawsze była zrozumiała. Zgodził się na kompromis, starając się utrzymać swój kierunek – mówił mi Kasper podczas wywiadu w jego mieszkaniu.

Niemiecki kardynał, starannie ubrany w ciemny garnitur, mówi jasnym głosem, z nieskończoną słodyczą. Słucha rozmówcy, przez chwilę medytuje w ciszy, po czym ze znawstwem oddaje się długim, filozoficznym wyjaśnieniom. Przypomina mi to niekończące się rozmowy z katolikami z paryskiego pisma „Esprit".

Kasper ekscytuje się teraz świętym Tomaszem z Akwinu, odkrywa go na nowo. Jego zdaniem neotomiści jako egzegeci zradykalizowali i przekręcili myśl Tomasza, zdradzając go tym samym, tak jak marksiści zdradzili Marksa, a nietzscheaniści Nietzschego. Gdy mówi o Heglu i Arystotelesie, szukając jednocześnie książki Emmanuela Levinasa i innej jeszcze, Paula Ricoeura, dociera do mnie, że mam do czynienia z prawdziwym intelektualistą. Jego miłość do książek nie jest udawana.

Urodził się w Niemczech w roku dojścia Hitlera do władzy, studiował na uniwersytecie w Tybindze, którego rektorem jest szwajcarski teolog Hans Küng. Zbliżył się też wtedy do Josepha Ratzingera. Te dwie zadzierzgnięte w tamtych ważnych latach przyjaźnie przetrwały do dzisiaj, pomimo narastających nieporozumień między nim a przyszłym papieżem Benedyktem XVI.

– Idee Franciszka są mi bliższe. Mam dla niego wielki szacunek i wielką sympatię, choć w gruncie rzeczy dość rzadko się widujemy. Jednak z Ratzingerem, mimo dzielących nas różnic, także zachowałem bardzo dobre relacje.

„Różnice” pojawiły się w 1993 roku, chodziło o ponowne małżeństwa rozwodników – bo to temat najbardziej interesujący Kaspera, o wiele bardziej niż problem homoseksualizmu. Wraz z dwoma innymi biskupami, i zapewne zachęcony przez Hansa Künga, który zerwał z Ratzingerem, rozesłał do kościołów swojej diecezji list otwierający dyskusję na temat komunii dla osób rozwiedzionych. Mówił w nim – podobnie jak dzisiaj Franciszek – o miłosierdziu i o złożoności indywidualnych sytuacji.

Stojący wówczas na czele Kongregacji Nauki Wiary kardynał Ratzinger stłumił w zarodku to małe zarzewie buntu. W ostrym i surowym liście przywołał podwładnych do porządku. W ten sposób za sprawą zwykłego samizdatu Kasper znalazł się po stronie oponentów przyszłego Benedykta XVI. Z kolei jego sąsiad z kamienicy, Müller, został przeciwnikiem Franciszka.

Tak więc synod podzielił się na linii Kasper–Müller. Rozegrała się wtedy, w 2014 i 2015 roku, bitwa łudząco podobna do tej, która odbyła się dwadzieścia pięć lat wcześniej, w tych samych warunkach i między prawie tymi samymi osobami – między Kasperem i Ratzingerem! Watykan często sprawia wrażenie wielkiego liniowca, który utknął na mieliźnie.

– Jestem pragmatykiem – poprawia Kasper. – Wytyczona przez Franciszka droga jest słuszna, podobnie jak jego strategia małych kroków. Jeśli wyskoczymy za szybko do przodu, na przykład z wyświęceniem kobiet lub zniesieniem celibatu księży, wśród katolików nastąpi schizma. Nie tego chcę dla mojego Kościoła. Jednak w sprawie osób rozwiedzionych musimy pójść dalej. Już od dawna się za tym opowiadam. Uznanie par homoseksualnych to trudniejsza sprawa. Próbowałem na synodzie posunąć do przodu dyskusję na ten temat, lecz mnie nie wysłuchano. Franciszek znalazł pewien niebezpośredni sposób potraktowania tej sprawy – mówi

o ludziach, o jednostkach. A potem, krok po kroku, przesuwa granicę. Zrywa też z dotychczasową mizoginią – zaprasza kobiety wszędzie, do różnych komisji, do rad i kongregacji jako ekspertów. Idzie we własnym tempie, na swój sposób, ale ma wyznaczony kierunek.

Po zwycięstwie zwolenników „małżeństw jednopłciowych” w Irlandii Walter Kasper postulował, aby Kościół zaakceptował wynik referendum. Zdaniem kardynała trzeba wziąć pod uwagę to, że odbyło się ono między pierwszą a drugą częścią synodu o rodzinie. Jak wyjaśniał we włoskim dzienniku „Corriere della Sera”, kwestia ta, która przed pierwszym synodem była jeszcze „marginalna”, stała się „centralna” w chwili, gdy po raz pierwszy małżeństwo osób jednej płci zostało uznane „w powszechnym głosowaniu”. W tym samym wywiadzie dodał jeszcze: „Demokratyczne państwo musi szanować wolę ludu. Jeżeli większość [obywateli danego kraju] chce wprowadzenia tego rodzaju związków, obowiązkiem państwa jest uznanie takiego prawa”.

Omawiamy wszystkie te tematy podczas dwóch wywiadów, jakich udzielił mi w swoim mieszkaniu. Podziwiam jego szczerość i prawość. W bardzo swobodnym tonie rozmawiamy o kwestii homoseksualnej, Kasper okazuje się człowiekiem otwartym, słucha, zadaje pytania. Wiem z różnych źródeł – a potwierdza to moja intuicja i to, co się nazywa „gejdarem” – że prawdopodobnie to jeden z niewielu kardynałów kurii niebędący homoseksualistą. Jest to siódma reguła Sodomy, która niemal zawsze się sprawdza: *Najbardziej progejowscy kardynałowie, biskupi i księża oraz ci, którzy nie mówią zbyt wiele na temat homoseksualizmu, zazwyczaj są heteroseksualni.*

Przywołujemy nazwiska różnych kardynałów, Kasper dobrze wie, że niektórzy jego koledzy – kościelni hierarchowie – to

homoseksualiści. Okazuje się, że część z nich to jednocześnie jego przeciwnicy i najbardziej rygorystyczni hierarchowie kurii rzymskiej. Co do pewnych nazwisk obaj mamy wątpliwości, co do innych jesteśmy zgodni. Ta część naszej rozmowy była poufna, obiecałem, że szczegóły zabawy w „ujawnianie skrytych w szafie” zostaną między nami. Nagle mówi do mnie, jakby właśnie dokonał niepokojącego odkrycia:

– Ukrywają się. Udają. To jest klucz.

Potem rozmawiamy o jego przeciwnikach i po raz pierwszy czuję, że kardynał jest zirytowany. Osiemdziesięciopięcioletni teolog Franciszka nie ma już ochoty walczyć z hipokrytami, z ludźmi pokręconymi. Przerywa gestem rozmowę i kończy zdaniem, które zdawałoby się świadczyć o jego próżności, samozadowoleniu, lecz w istocie jest tylko ostrym protestem przeciwko bezużytecznym gierkom tych hierarchów odciętych od rzeczywistości, a co gorsza – od własnego życia.

– Wygramy.

A kiedy to mówi, na jego twarzy, zazwyczaj surowej, wykwita nagle piękny uśmiech.

Na stoliku do kawy leży „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, gazeta, którą czyta codziennie. Kasper opowiada o Bachu i Mozarcie, a ja słyszę brzmienie jego niemieckiej duszy. „Odczarowanie świata” to jego obsesja. Pytam go o wiejski pejzaż na ścianie.

– Widzi pan, to jest rzeczywistość. To moja wioska w Niemczech. Wracam w tamte okolice każdego lata. Są tam dzwonnice, są kościoły. Jednak ludzie niezbyt często przychodzą na mszę, wydają się szczęśliwi bez Boga. To wielkie pytanie, to właśnie coś, co mnie zajmuje. Jak znaleźć ścieżkę Boga? Mam poczucie, że to już się nie uda. Przegraliśmy bitwę.

6.

Roma Termini

MOHAMMED Z PIWEM W DŁONI rozmawia właśnie z jakąś „typiarą”, którą ma nadzieję „wypastelować” – jak wyjaśni mi potem w swoim żargonie. Późne popołudnie to w Twins „happy hour” – „With Your Cocktail, A Free Shot”, głosi po angielsku ulotka, którą ktoś mi podał.

Mohammed siedzi na motorze na ulicy przed barem. To nie jego motor, ale używa go, jak wszyscy w sąsiedztwie, żeby nie stać całą noc. Otacza go grupa imigrantów, jego banda. Hałaśliwie wołają się po imieniu, gwiżdżą, są agresywni, emocjonalni i nieprzyjemni dla siebie nawzajem, a ich krzyki mieszają się z hałasem Roma Termini.

Teraz Mohammed wchodzi do Twins, cudownej spelunki przy Via Giovanni Giolitti, naprzeciwko południowego wejścia do głównego dworca kolejowego w Rzymie. Korzystając z „happy hour”, chce kupić drinka dziewczynie, z którą gadał. Bar Twins przez całą noc gości najbardziej egzotyczną klientelę: imigrantów, narkomanów, transów, prostytutki – dziewczyny i chłopców. Wszyscy są mile widziani. Jeśli zgłodniejesz, możesz o czwartej nad ranem kupić tu kanapkę lub kawałek taniej pizzy; możesz też, gdy najdzie cię ochota, zatańczyć w tylnej salce w rytm staroświeckiego reggaetona. Na chodnikach wokół baru swobodnie krążą narkotyki.

Nagle Mohammed porzuca motor i dziewczynę. Odchodzi, jakby odpowiadając na jakieś tajemnicze wezwanie. Śledzę go wzrokiem. Doszedł do Piazza dei Cinquecento, na skrzyżowanie Via Manin i Via Giovanni Giolitti. Z boku zatrzymuje się samochód. Mohammed

rozmawia przez chwilę z kierowcą, wsiada. Auto odjeżdża. Dziewczyna gawędzi teraz przed barem z innym chłopakiem, młodym Rumunem, który też zrobił sobie krzesełko z motocykla. (Wszystkie imiona imigrantów w tym rozdziale zostały zmienione).

„JESTEM JEDNYM Z TYCH IMIGRANTÓW, których broni Franciszek" – zwierza mi się kilka dni później uśmiechnięty Mohammed. Znów jesteśmy w Twins – to kwatera główna tego młodego Tunezyjczyka, tutaj umawia się ze znajomymi. „Jak chcesz ze mną pogadać, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jestem tu co wieczór od szóstej" – powie mi przy innej okazji.

Mohammed jest muzułmaninem. Ryzykując życie, przybył do Włoch na małej rybackiej łodzi bez silnika. Pierwszy raz spotkałem go w Rzymie, gdy zaczynałem pracę nad tą książką. Śledziłem jego losy przez prawie dwa lata, po czym straciłem go z oczu. Po prostu pewnego dnia jego telefon przestał odpowiadać. „Nie ma takiego numeru" – oznajmił włoski operator. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje.

Wcześniej jednak przeprowadziłem z nim około dziesięciu rozmów, przegadaliśmy więc wiele godzin, na ogół przy obiedzie. Rozmawialiśmy po francusku, towarzyszył nam jeden z moich researcherów. Mohammed wiedział, że opowiem jego historię.

Wracając w 2016 roku z greckiej wyspy Lesbos, papież Franciszek zabrał ze sobą do samolotu trzy syryjskie muzułmańskie rodziny. Był to symbol jego postawy wobec uchodźców i liberalnej wizji imigracji.

Mohammed, należący do ogromnej fali uchodźców, ostatniej być może, która wierzyła w europejski sen, nie podróżował z papieżem. Przeciwnie, został wykorzystany w nieoczekiwany sposób, taki, jaki nawet nie postał mu w głowie, gdy opuszczał Tunis, by przez Sycylię dotrzeć do Neapolu. Otóż ten młody, dwudziestojednoletni, heteroseksualny mężczyzna, aby przeżyć, zmuszony był prostytuować

się każdego wieczoru w pobliżu głównego dworca włoskiej stolicy, Roma Termini. Mohammed to sex-worker, lub, jak sam mówi, bo to ponoć lepiej brzmi – eskort. Jeszcze dziwniejsze jest to, że większość klientów tego muzułmanina stanowią katoliccy księża i hierarchowie związani z rzymskimi i watykańskimi kościołami. „Jestem jednym z tych imigrantów, których broni Franciszek" – ironizuje Mohammed.

BY ZBADAĆ „NIENATURALNE" ZWIĄZKI łączące muzułmańskie męskie prostytutki z dworca Roma Termini z katolickimi księżmi z Watykanu, przeprowadziłem w Rzymie w ciągu trzech lat wywiady z sześćdziesięcioma prostytuującymi się imigrantami (w większości przypadków towarzyszył mi tłumacz lub researcher).

Muszę przyznać, że „harmonogramy" prostytutek bardzo mi odpowiadały – rano i w ciągu dnia spotykałem się w Watykanie z księżmi, biskupami i kardynałami, bo ci nigdy nie umawiają się po osiemnastej. Wieczorem przeprowadzałem wywiady z prostytutkami rzadko zaczynającymi pracę przed dziewiętnastą. Z prałatami widywałem się więc, gdy prostytutki wciąż spały, z eskortami zaś wtedy, kiedy księża już szykowali się do spoczynku. Dzięki temu znakomicie wykorzystywałem tygodnie spędzane w Rzymie: kardynałowie i prałaci za dnia, imigranci wieczorem. Stopniowo zaczynałem pojmować, że te dwa światy, te dwie seksualne niedole, były w istocie nierozerwalnie ze sobą splątane. Plany zajęć tych dwóch grup zachodziły na siebie.

By poznać nocne życie Roma Termini, trzeba porozumiewać się w wielu językach – władać nie tylko francuskim, angielskim i włoskim, ale też rumuńskim, arabskim, portugalskim i hiszpańskim. Dlatego prosiłem o pomoc przyjaciół, „zwiadowców", czasem zawodowych tłumaczy. Badałem ulice rzymskiej dzielnicy Termini z moimi researcherami: Brazylijczykiem Thalysonem, studentem architektury, z Antonio Martínezem Velázquezem, latynoskim

dziennikarzem z Mexico City, i Loïkiem Felem z Paryża, działaczem społecznym, który dobrze zna tutejszych pracowników seksualnych i narkomanów.

Oprócz tych bezcennych przyjaciół pomagała mi też grupka „zwiadowców", których namierzyłem, spędzając kolejne wieczory koło Roma Termini. Eskorci, tacy jak Mohammed, stali się moimi informatorami, robili rekonesans, godzili się za drinka lub lunch regularnie dostarczać mi nowych wieści o tym, co się dzieje w okolicznym świecie prostytucji. Miałem trzy ulubione miejsca spotkań gwarantujące im pewną dyskrecję: ogródek kawowy w hotelu Quirinale, bar w hotelu NH Collection przy Piazza dei Cinquecento i drugie piętro restauracji Eataly, która zaledwie kilka lat temu była zwykłym McDonaldem. To przed nią odbywały się płatne randki rzymskich gejów.

MOHAMMED OPOWIEDZIAŁ mi, jak przebył Morze Śródziemne.

– Kosztowało mnie to trzy tysiące tunezyjskich dinarów (tysiąc euro) – mówi. – Żeby uzbierać taką sumę, przez całe miesiące pracowałem jak szalony. Moja rodzina złożyła się, żeby mi pomóc. Byłem lekkomyślny, nie zdawałem sobie sprawy z ryzyka. Ta łódź rybacka nie była zbyt solidna, mogłem się utopić.

Dwaj jego przyjaciele, Billal i Sami, podobnie jak on wyjechali z Tunezji przez Sycylię i oni także są prostytutkami z Roma Termini. Rozmawiamy w pizzerii Halal przy Via Manin, nad niezbyt apetycznym kebabem za cztery euro. Billal, w koszulce polo Adidasa, z głową ogoloną po bokach, dotarł tu w 2011 roku. Podróżował czymś w rodzaju napędzanej motorem tratwy. Sami o kasztanowomiedzianych włosach wylądował tutaj w 2009 roku. On trafił na większą jednostkę pływającą, ze stu dziewięćdziesięcioma osobami na pokładzie. Kosztowało go to dwa tysiące dinarów, więcej niż podróż tanimi liniami lotniczymi.

Po co tu przybyli?

– Po szczęście – odpowiada w dziwny sposób Mohammed.

A Sami dodaje:

– Musieliśmy wyjechać, tam nie mieliśmy żadnych perspektyw.

Na dworcu Roma Termini oferują swoje nielegalne usługi księżom z rzymskich kościołów i prałatom z Watykanu. Czy ktoś ich chroni? Wygląda na to, że nie mają alfonsa, sutenera, albo zdarza się to bardzo rzadko.

Innego dnia jem obiad z Mohammedem w Pomodoro w San Lorenzo, w dzielnicy Via Tiburtina. Restauracja słynie z tego, że Pasolini był w niej ze swoim ulubionym aktorem, Ninetto Davolim, w wieczór swojej śmierci. Niedługo po tej kolacji pod arkadami tuż obok dworca Roma Termini miał spotkać siedemnastoletniego żigolaka Giuseppe Pelosiego – tego, który podobno go zabił. Tak samo jak w trattorii Al Biondo Tevere, dokąd dwaj mężczyźni, ofiara i kat – w pamięci zbiorowej złączeni w jedno – poszli później, tutaj też Włosi upamiętniają „ostatnią wieczerzę" Pasoliniego. Przy wejściu do restauracji można obejrzeć oryginalny – niezrealizowany – czek, którym reżyser zapłacił za kolację, z jego podpisem. Dziwne grobowe trofeum za szkłem. O ile Pelosi był wcieleniem „ragazzo di vita" w guście Pasoliniego – kurtka, obcisłe dżinsy, niskie czoło, kręcone włosy i tajemniczy sygnet ozdobiony czerwonym kamieniem z napisem „United States" – o tyle Mohammed to kwintesencja arabskiej urody. Jest twardszy, bardziej męski, bardziej smagły, z wysokim czołem i krótkimi włosami. Ma niebieskie oczy Berbera i prawie nigdy się nie uśmiecha. Nie nosi sygnetu, to zbyt kobiece. Na swój sposób uosabia arabski mit lubiany przez nękanych pożądaniem mężczyzny pisarzy orientalistów.

Ten arabski styl, który każe myśleć o Kartaginie i *Salambo*, jest dziś

w Watykanie bardzo modny. To fakt – homoseksualni kapłani wielbią Arabów i Orient. Kochają ten imigrancki lumpenproletariat, jak Pasolini kochał niegdyś biednych młodzieńców z „borgate”, rzymskich przedmieść nędzy. To samo życie na krawędzi, to samo czarodziejskie widowisko. Wkraczając do Roma Termini, każdy porzuca jakąś cząstkę siebie, „ragazzo” swój rzymski dialekt, imigrant – język ojczysty. Pod arkadami obaj muszą mówić po włosku. Arabski chłopiec, który właśnie zszedł z łodzi, to nowy bohater Pasoliniego.

Już sama relacja łącząca Mohammeda z księżmi, których odwiedza, to długa historia. Dziwna wymiana handlowa, poza normami, irracjonalna i dla obu stron – i katolickiej, i muzułmańskiej – nie tylko po prostu „wbrew naturze”, lecz świętokradcza. Szybko zrozumiałem, że poszukiwanie przez księży męskich prostytutek na dworcu Roma Termini to dobrze prosperujący biznes, niewielki dział przemysłu. Pojawia się tam wielu prałatów, a nawet biskupów i kardynałów kurii rzymskiej, których nazwiska znamy. Relacje te wiążą się z ważną socjologiczną regułą, ósmą zasadą Sodomy: prostytucja, płatna miłość łączącą w Rzymie księży z arabskimi żigolakami, to zespolenie dwóch niedoli – bezdenna frustracja seksualna księży katolickich znajduje odbicie w ograniczeniach narzucanych przez islam utrudniający młodym muzułmanom stosunki heteroseksualne poza małżeństwem.

Mohammed powiedział mi raz coś wyjątkowo poruszającego:

– To oczywiste, że dogadujemy się z księżmi.

MOHAMMED PRĘDKO ZROZUMIAŁ, że dla większości księży, u których bywał, seks stanowił „wielką sprawę” i „jedyną prawdziwą namiętność” w życiu doczesnym. Jakże poważnie traktują swój „występek”! To odkrycie zachwyciło go przez swą dziwność,

zwierzęcość, przez role, jakie sugerowało, lecz także dlatego, rzecz jasna, że pozwoliło mu wypracować własny model ekonomiczny. Mały biznes, któremu nie grozi kryzys.

Uparł się pracować samodzielnie. Jego start-up nie zależał od żadnego alfonsa.

– Byłoby mi wstyd, bo wszedłbym do systemu. Nie chcę zostać prostytutką – zapewnia z powagą.

Jak wszystkie prostytutki z Roma Termini Mohammed lubi stałych klientów. Lubi „budować relacje" – jak mówi – lubi mieć numer ich telefonu komórkowego, aby „tworzyć coś trwalszego". Jego zdaniem księża należą do „najwierniejszych" klientów – „instynktownie" trzymają się prostytutek, zależy im, chcą się znowu zobaczyć. Mohammed ceni tę regularność, sądząc, że nie tylko przynosi mu korzyści finansowe, lecz także poprawia jego status społeczny.

– Eskort to ktoś, kto ma stałych klientów. To nie prostytutka – upiera się młody Tunezyjczyk.

– BUNĂ ZIUA.

– Ce faci?

– Bine! Foarte bine!

Rozmawiam z Gaby w jego języku. Najpierw zdziwił się, słysząc, że mówię trochę po rumuńsku, teraz to wydaje się go uspokajać. W przeszłości przez rok mieszkałem w Bukareszcie i wciąż radzę sobie z prostymi zdaniami. Dwudziestopięcioletni Gaby pracuje w strefie „zarezerwowanej" dla Rumunów.

W przeciwieństwie do Mohammeda pochodzący z należącej do UE Rumunii Gaby przebywa we Włoszech legalnie. Znalazł się w Rzymie trochę przez przypadek – dwa główne szlaki migracyjne, tzw. szlak bałkański zaczynający się w Europie Środkowej, a wcześniej w Syrii i Iraku, oraz śródziemnomorski, którym zmierza większość migrantów z Afryki i Maghrebu, przechodzą przez Roma

Termini. To stacja końcowa, koniec – w dosłownym tego słowa znaczeniu – wielu szlaków migracyjnych. Wszyscy się tam zatrzymują.

Gaby, jak większość prostytutek ciągle w drodze, myśli o powrocie. Tymczasem szuka „normalnej” roboty w Rzymie. Oferta pracy dla chłopaka, który właściwie nie ma ani wykształcenia, ani zawodu, była marna, dlatego, choć z wielkimi oporami, zdecydował się sprzedawać swoje ciało.

Zaprzyjaźnieni dziennikarze z Bukaresztu już mi donosili o tym niepokojącym zjawisku: Rumunia wyeksportowała swoje prostytutki. Gazety, takie jak „Evenimentul Zilei”, przeprowadziwszy dziennikarskie śledztwo, chwaliły ironicznie nowy rumuński „rekord”: kraj został głównym europejskim eksporterem usług seksualnych. Według holenderskiej organizacji pozarządowej Tampep prawie połowa prostytutek pracujących w Europie – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – to imigranci. Wśród osób prostytuujących się jedna na osiem pochodzi z Rumunii.

Gaby jest z Jassów. Najpierw trafił do Niemiec, gdzie nie chciał zostać, bo nie rozumiał języka i nikogo nie znał. Po „bardzo rozczarowującym” pobycie w Holandii wylądował w Rzymie – bez pieniędzy, za to z adresem rumuńskiego kolegi, który, sam pracując na ulicy, dał mu dach nad głową i wprowadził w „tajniki zawodu”. Zdradził mu też sekret – najlepszymi klientami są księża!

Gaby zaczyna swoją nocną pracę na Roma Termini koło dwudziestej, kończy w zależności od tego, jaki danej nocy jest ruch, na ogół około szóstej rano.

– Najlepsze są godziny od ósmej do jedenastej. Popołudnie zostawiamy Afrykanom. Rumuni przychodzą wieczorem. Najlepsi klienci wolą białych – opowiada mi z nutką dumy w głosie. – Lato jest lepsze niż zima, kiedy mamy niewielu klientów, ale w sierpniu

też nie jest dobrze, bo księża są na wakacjach, Watykan jest prawie pusty.

Najlepsze – zdaniem Gaby'ego – są piątkowe wieczory. Księża wychodzą do miasta „po cywilnemu" – „rozumie pan, bez koloratki". Niedzielne popołudnie to także obiecująca pora, przynajmniej według Mohammeda, który nie może wtedy narzekać na bezrobocie. Żadnego wypoczynku siódmego dnia! Dzięki niedzielnej nudzie dzielnica wokół Roma Termini tętni życiem, przed nieszporami i po nich.

Początkowo nie zwracałem uwagi na te wszystkie dyskretne spojrzenia, na poruszenie w okolicy Via Giovanni Giolitti, Via Gioberti lub Via delle Terme di Diocleziano, ale dzięki Mohammedowi i Gaby'emu nauczyłem się czytać znaki.

– Przez większość czasu każę wierzyć klientom, że jestem Węgrem, bo nie bardzo lubią Rumunów. Mylą nas z Cyganami – zdradza mi Gaby, a ja wiem, ile go to kłamstwo kosztuje. Przecież, jak wielu Rumunów, nie znosi swoich węgierskich sąsiadów.

Wszystkie prostytutki z dzielnicy wymyślają sobie inne życie i snują fantazje. Jeden przedstawia się jako Hiszpan, choć domyślam się po akcencie, że jest z Ameryki Łacińskiej. Brodaty chłopiec z cygańską urodą, który każe mówić na siebie Pittbul, zwykle podaje się za Bułgara – naprawdę jest Rumunem z Krajowej. Kolejny, niskiego wzrostu (nie chce mi podać imienia, więc nazwijmy go Shorty), wyjaśnia, że jest tu, bo spóźnił się na pociąg. Nazajutrz widzę go w tym samym miejscu.

Klienci także kłamią i wymyślają sobie inne życie.

– Mówią, że są przejazdem albo w podróży służbowej, ale nie jesteśmy głupi, od razu wiemy, o co chodzi. A duchownych rozpoznajemy z daleka – opowiada Gaby.

Żeby zaczepić chłopca, księża używają formuły zużytej do cna, lecz

wciąż skutecznej:

– Proszą o papierosa, nawet jeśli nie palą! Nie czekają nawet na naszą odpowiedź. Wystarczy wymiana spojrzeń i wszystko jest jasne. Bardzo szybko mówią: „Andiamo".

Mohammed, Gaby, Pittbul i Shorty przyznają, że im też zdarza się zrobić pierwszy krok, zwłaszcza gdy jakiś ksiądz przechodzi kilka razy obok nich, nie ośmielając się zbliżyć.

– Wtedy mu pomagam – ciągnie Mohammed – i pytam, czy chce „zrobić kawę".

Ładnie brzmiący po francusku zwrot należy do uproszczonego słownika Arabów, którzy dopiero szukają swoich słów.

PRZEZ PIERWSZE DWA LATA mojego dziennikarskiego śledztwa mieszkałem w Rzymie w dzielnicy Termini. Mniej więcej co miesiąc wynajmowałem przez Airbnb małe mieszkanie na tydzień. Albo była to kawalerka, którą uwielbiałem, należąca do S., architekta, mieszcząca się w pobliżu bazyliki Santa Maria Maggiore, albo – kiedy była akurat zajęta – coś przy Via Marsala lub Via Montebello, na północ od dworca Termini.

Moi przyjaciele dziwili się, że tak lubię ten fragment Rzymu, ich zdaniem pozbawiony duszy. Fakt, że okolice Esquiline, jednego z siedmiu wzgórz, na których leży miasto, od dawna były mocno zapuszczone, jednak dziś Termini podlega temu, co miejscowi nazywają (używając anglicyzmu) „gentrificazione". Znajomi rzymianie radzili mi poszukać czegoś w Trastevere, w pobliżu Panteonu, w Borgo lub nawet w Prati, bym był bliżej Watykanu. Lecz ja zostałem wierny Termini, to kwestia przyzwyczajenia. W podróży szybko staramy się stworzyć nową rutynę, znaleźć jakieś stałe punkty odniesienia. Przy Roma Termini miałem pod nosem szybki pociąg, zwany Leonardo Express, na międzynarodowe lotnisko w Rzymie; zatrzymuje się tam metro, są autobusy. Jest pralnia

Lavasciuga przy ulicy Montebello, a przede wszystkim jest międzynarodowa księgarnia Feltrinelli, w pobliżu Piazza della Repubblica, gdzie zaopatruję się w książki i zeszyty do robienia notatek. Literatura jest najlepszym towarzyszem podróży. Zawsze uważałem, że na trzech rzeczach nie warto oszczędzać – na książkach, podróżach i kawiarniach, gdzie spotkasz przyjaciół. We Włoszech także stosowałem tę zasadę.

W końcu w 2017 roku „wyprowadziłem się" z Termini, bowiem dzięki ustosunkowanemu monsiniorowi Battiście Ricca i arcybiskupowi François Bacqué pozwolono mi przenieść się do watykańskich siedzib. Mieszkałem w oficjalnym domu kapłańskim, Casa del Clero, placówce „eksterytorialnej", niedaleko placu Navona, i w innych mieszkaniach należących do stolicy apostolskiej, aż wreszcie przez kilka miesięcy – dzięki interesownemu zaproszeniu wysokich hierarchów – w samym Watykanie, kilkadziesiąt metrów od apartamentu papieża. Jednak Termini opuszczałem z żalem.

POTRZEBOWAŁEM KILKU MIESIĘCY uważnej obserwacji i spotkań, aby zrozumieć subtelną nocną geografię chłopców z Roma Termini. Każda grupa prostytutek ma swoje ustalone miejsce, oznaczone terytorium. Podział ten odzwierciedla hierarchię rasową i zakres cen. I tak – Afrykanie siedzą na ogół na barierce przed południowo-zachodnim wejściem do stacji; przybysze z Maghrebu, czasem Egipcjanie, trzymają się raczej Via Giovanni Giolitti, skrzyżowania z ulicą Manin albo arkad na Piazza dei Cinquecento; Rumuni zbierają się w pobliżu Piazza della Repubblica, obok nagich nimf w fontannie delle Naiadi lub wokół Obelisco di Dogali; Latynosi zaś gromadzą się bardziej na północ od placu, na Viale Enrico de Nicola lub Via Marsala. Zdarzają się między grupami wojny o terytoria, wtedy w ruch idą pięści.

Granice tych obszarów nie są stałe, zmieniają się w zależności od roku, od pory roku, od fal migrantów. Była epoka „kurdyjska”, „jugosłowiańska”, „erytrejska”, nie tak dawno przeszła fala Syryjczyków i Irakijczyków, a dziś widzimy napływających do Roma Termini Nigeryjczyków, Argentyńczyków i Wenezuelczyków. Lecz jeden element jest dość stały: na Piazza dei Cinquecento spotkamy niewielu Włochów.

Depenalizacja homoseksualizmu, namnożenie się barów i saun, aplikacje mobilne, ustawodawstwo małżeńskie i socjalizacja gejów sprawiają, że męska uliczna prostytucja to w całej Europie zjawisko znikające. Lecz jest jeden wyjątek – Rzym. Nietrudno to wyjaśnić – księża pomagają utrzymać ten coraz bardziej anachroniczny w dobie internetu rynek. A chcąc zachować anonimowość, szukają głównie imigrantów.

„NUMEREK” NA ROMA TERMINI NIE MA STAŁEJ CENY. Stosunek seksualny to dziś marny towar na rynku dóbr i usług. Nie ma w tym zawodzie inflacji, bo jest zbyt wielu dostępnych Rumunów, zbyt wielu Afrykanów bez dokumentów, za dużo latynoskich transwestytów i włóczęgów. Mohammed dostaje średnio siedemdziesiąt euro, Shorty prosi o pięćdziesiąt, pod warunkiem że klient płaci za pokój; Gaby i Pittbul ze strachu przez funkcjonariuszem policji w cywilu rzadko negocjują wcześniej cenę – to oznaka nędzy i ekonomicznej zależności.

– Na koniec, jeśli klient nic nie proponuje, proszę o pięćdziesiąt euro. Jeśli oferuje mi czterdzieści, proszę o dziesięć więcej. Ale zdarza się klient kutwa i biorę dwadzieścia. Przede wszystkim nie chcę narobić sobie kłopotów, przecież wracam tu co wieczór – przyznaje Gaby.

Nie mówi, że dba o „reputację”, lecz tak to rozumiem.

– Każdy chciałby mieć stałego klienta, ale nie jest to łatwe – słyszę

od płynnie mówiącego po angielsku Florina, rumuńskiej męskiej prostytutki z Transylwanii.

Florina i Christiana spotkaliśmy (ja i mój researcher Thalyson) w Rzymie w sierpniu 2016 roku. Obaj mają po dwadzieścia siedem lat, mieszkają razem w malutkim, prowizorycznym lokum na odległych przedmieściach miasta.

– Dorastałem w Braszowie – streszcza swoje losy Christian – jestem żonaty i mam dziecko. Muszę je wyżywić! Rodzice i żona myślą, że w Rzymie pracuję jako bartender (barman).

Florin wmówił swoim rodzicom, że pracuje na budowie. Mnie zaś tłumaczy, że tutaj dostaje za kwadrans tyle, ile jako robotnik budowlany zarobiłby w dziesięć godzin.

– Pracujemy wokół Piazza della Repubblica. To miejsce dla mieszkańców Watykanu. Wszyscy tu o tym wiedzą. Księża zabierają nas samochodami. Jedziemy do nich albo, częściej, do hotelu – wyjaśnia Christian.

W przeciwieństwie do innych prostytutek, z którymi rozmawiałem, Christian mówi, że nie ma problemu z wynajmowaniem pokoju.

– Żaden kłopot. Przecież płacimy. Nie mogą nam odmówić. Mam dowód osobisty, nie łamię prawa. Nawet jeśli pracownicy hotelu nie są szczęśliwi, gdy dwóch mężczyzn bierze pokój na godzinę, to nie mogą nic zrobić.

– Kto płaci za hotel?

– Oni, oczywiście – Christian wydaje się zaskoczony moim pytaniem.

Opowiada mi o ciemnej stronie mrocznych nocy na Roma Termini. Niektórzy potwierdzają, że czasem lubieżność duchownych przekracza granice.

– Jeden ksiądz chciał, żebym oddał przy nim mocz. Niektórzy chcą, żeby się przebierać za kobiety, jak transwestyci. Inni uprawiają dość

wstrętne akty SM (opowiada mi szczegóły). Pewien ksiądz chciał nawet, żebym się z nim całkiem nagi boksował.

– Skąd wiesz, że to duchowni?

– Taki fach! Z miejsca ich rozpoznaję. Księża należą do najgorliwszych klientów. I można ich rozpoznać po krzyżu, kiedy się rozbiorą.

– Przecież wiele osób nosi na szyi krzyżyk, pamiątkę chrztu.

– Nie, to inny krzyżyk. Zresztą poznaję ich z daleka, nawet jak się przebiorą za zwykłych facetów. Inaczej się zachowują, są dużo bardziej spięci niż inni. Czujesz, że to nie ich życie...

– Są nieszczęśliwi – diagnozuje Christian. – Nie żyją tak naprawdę, nie lubią samych siebie. Sposób, w jaki do ciebie podchodzą, te gierki, telefon komórkowy przytknięty do ucha dla kurażu, udawane życie towarzyskie, choć z nikim nie rozmawiają. Znam to wszystko na pamięć. Poza tym mam stałych klientów. Znam ich. Dużo rozmawiamy. Zwierzają mi się. Ja też noszę krzyżyk na szyi, jestem chrześcijaninem. To tworzy więź! Z prawosławnym czują się bezpieczniej, to ich uspokaja! Mówię im o Janie Pawle II, którego jako Rumun naprawdę kocham, nikt nie lubi go tak jak ja. A poza tym Włoch prawie nigdy nie zabiera nas do hotelu. Do hotelu zabierają nas tylko księża, turyści i policjanci!

– Policjanci?

– Tak, mam stałych klientów policjantów. (…) Ale wolę księży. Kiedy jedziemy do Watykanu, to świetnie nam płacą, są bogaci...

Chłopcy z Roma Termini nie mówią niczego, co pozwoliłoby zidentyfikować klientów z „najwyższej półki", jednak cała dzielnica zdaje się pamiętać orgie w Watykanie. Wielu chłopców opowiadało mi o piątkowych wieczornych „czworokątach", kiedy szofer przyjeżdżał mercedesem, by zabrać prostytutki do Watykanu. Jednak żaden z nich osobiście nie odbył tej podróży „z szoferem", wszystkie

informacje są z drugiej ręki. Wszyscy powtarzają tę historię, żywą w zbiorowej pamięci chłopców z Termini, lecz nie sposób sprawdzić, czy faktycznie się wydarzyła.

Owszem, Christian trzy razy pojechał z księdzem do Watykanu, a jednemu z jego rumuńskich kolegów, Razvanowi (który przyłączył się do naszej rozmowy), zdarzyło się to raz.

– Ten, kto pojedzie do Watykanu i złapie tam grubą rybę, zarobi dużo więcej. To już nie pięćdziesiąt, sześćdziesiąt euro, ale raczej sto lub dwieście. Każdy ma apetyt na grubą rybę.

Christian kontynuuje:

– Większość księży, większość klientów z Watykanu woli regularne spotkania. To mniej się rzuca w oczy, jest mniej dla nich ryzykowne – nie muszą przychodzić czy przyjeżdżać po nas tu, na Piazza della Repubblica, po prostu wysyłają SMS!

Christian, szczwana sztuka, pokazuje mi kontakty w swojej komórce, przewija nazwiska i numery telefonów. Lista ciągnie się w nieskończoność. Mówi o nich „moi przyjaciele". Rozśmiesza to Florina.

– „Moi przyjaciele" o ludziach, których spotkałeś dwie godziny temu? To chyba jacyś fast friends! Tak jak fast food!

Zapewne wielu klientów Christiana podało mu fałszywe nazwiska, ale numery są prawdziwe. Myślę sobie, że wystrzelilibyśmy w kosmos włoską konferencję episkopatu, publikując tę długaśną listę telefonów komórkowych!

Ilu księży regularnie przybywa na Termini szukać „eskorta"? Ilu „nieujawnionych" prałatów i monsiniorów chce się ogrzać w promieniach tych słońc Orientu? Pracownicy socjalni i policjanci sugerują, że chodzi o „dziesiątki" każdej nocy i „setki" każdego miesiąca. Prostytutki przechwalają się, mówiąc o „tysiącach". Być może jest ich mniej lub więcej, nie sposób tego oszacować. Tak

naprawdę nikt nie wie.

Christian chce z tym skończyć.

– Należę tu do weteranów. Nie chcę powiedzieć, że jestem stary, mam dopiero dwadzieścia siedem lat, ale czuję, że jestem na wylocie. Często się zdarza, że przechodzący księża witają mnie – „buongiorno”... ale już mnie nie zahaczają. Jak ktoś młody zjawia się na Termini, to jest nowy i każdy go pragnie. To jackpot. Jest na niego popyt. Ma szansę zarobić naprawdę dużo pieniędzy. Ale dla mnie już za późno. Wracam we wrześniu. Kończę z tym.

WRAZ Z MOIMI RESEARCHERAMI, Thalysonem, Antoniem, Danielem i Loïkiem, przez kilka wieczorów robiliśmy obchód hoteli wokół Termini. To niesamowite okolice z bajecznymi widokami z góry.

Przy Roma Termini naliczyliśmy ponad sto hotelików mieszczących się przy Via Principe Amedeo, Via Giovanni Amendola, Via Milazzo lub Via Filippo Turati. Tutaj gwiazdki nie mają większego sensu – hotel dwugwiazdkowy może być mocno zapyziały, a jednogwiazdkowy, przedstawiający się jako komfortowy, ledwo mieszkalny. Czasem, jak odkryłem, hotele wynajmujące pokoje „na godziny” ogłaszają się na Airbnb, aby zapełnić miejsca, gdy brakuje im klientów – prywatyzacja na granicy legalności. Rozmawialiśmy z kilkoma administratorami i kierownikami tych placówek na temat prostytucji, próbowaliśmy też kilka razy wynająć pokój „na godzinę”, aby zobaczyć reakcję menedżerów.

Trzydziestoletni muzułmanin z Bangladeszu prowadzący mały hotel przy Via Principe Amedeo uważa, że prostytucja to „plaga tej dzielnicy”.

– Kiedy pytają o cenę za godzinę, odmawiam. Ale jeśli biorą pokój na noc, nie mogę ich wyrzucić. Prawo mi nie pozwala.

Menedżerowie hoteli przy Roma Termini, nawet tych

najpodlejszych, często prowadzą prawdziwą wojnę z męskimi prostytutkami, nie zdając sobie sprawy, że rezygnują w ten sposób z najszacowniejszej klienteli: księży! Mnożą zabezpieczenia, kody do drzwi, zatrudniają nieprzejednanych nocnych stróżów, instalują kamery przy drzwiach wejściowych i w korytarzach, a nawet przy wyjściach ewakuacyjnych i na podwórzach, „bo prostytutki czasami tą drogą, omijając recepcję, wprowadzają klienta" (jak twierdzi Fabio, rzymianin z krwi i kości, koło trzydziestki, trochę aspołeczny, który pracuje na czarno w jednym z hoteli). Napisy „Area Videosorvegliata", na które często natrafiałem w tych hotelikach, księży doprowadzają do szału.

Często zniechęca się prostytutki imigrantów, żądając od nich dokumentów lub podwajając cenę (Włochy wciąż należą do tych archaicznych krajów, gdzie ludzie czasami płacą za noc zależnie od liczby osób w pokoju). Gospodarzom, których zawiodły wszystkie sposoby, zostaje jeszcze wywrzaskiwanie obelg, takich jak „Fanculo i froci!", pod adresem osoby przemycającej klienta do swojej „jedynki".

– Wiele prostytutek to nielegalni imigranci, bez papierów – mówi Fabio. – Więc je sobie przekazują, pożyczają. Widziałem, jak biały wchodził na dokument czarnego. Nie, no tego się nie robi! Ale oczywiście przymykamy oko i ich wpuszczamy.

Zdaniem Fabio bywa tak, że menedżer zakazuje prostytucji w jednym ze swoich hoteli, ale zachęca do niej w innym. Z dwuznaczną miną polecając lepszy adres, wręcza przygodnym kochankom wizytówkę tego drugiego miejsca. Ba, czasem menedżer w trosce o klienta zatrzymuje dokument prostytutki w recepcji do czasu, gdy obaj zejdą na dół. W ten sposób upewnia się, że nie doszło do kradzieży lub przemocy. Zapewne ta czujność pozwoliła uniknąć paru dodatkowych skandali w Kościele!

Przechodzący koło Roma Termini turysta, zwiedzający, zwykły włoski obywatel, nieprzesadnie spostrzegawczy widzi tylko to, co na powierzchni – skutery Vespa do wynajęcia i zniżkowe oferty na wycieczki piętrowym autobusem „Hop On, Hop Off". Jednak za reklamami kuszącymi urokiem Wzgórza Palatyńskiego, na piętrach okolicznych hotelików istnieje inne życie, nie mniej kuszące.

Na Piazza dei Cinquecento przyglądam się paradom chłopców i klientów. Gry nie są nadto subtelne, klienci niezbyt wyrafinowani. Wielu przejeżdża samochodami z otwartym oknem, wahają się, odwracają, cofają i wreszcie zabierają swoich młodych eskortów w nieznanym kierunku. Inni, pozbawieni pewności siebie, przyszli na piechotę, by poznać kogoś – w biblijnym sensie tego słowa – w jednym z żałosnych hoteli w sąsiedztwie. Ale oto nadchodzi jeden odważniejszy i pewniejszy siebie, niczym misjonarz w Afryce! I drugi, który wypatruje zwierzyny, jakby był na safari!

Pytam Florina, Rumuna, którego imię przypomina starożytną monetę papieży z czasów Juliusza II, czy odwiedził jakieś muzea – Panteon, Koloseum.

– Nie, odwiedziłem tylko Watykan, z klientami. Nie stać mnie na bilet do muzeum za dwanaście euro... Normalnie.

Florin nosi trzydniowy zarost, o który bardzo dba, bo jest – jak powiada – elementem jego „siły przyciągania". Ma niebieskie oczy, włosy idealnie uczesane i wygładzone „żelem Garnier". Wyznaje, że chciałby „wytatuować sobie Watykan na ramieniu, taki jest piękny".

– Czasami księża opłacają nam wakacje – wyjaśnia mi Florin. – Wyjechałem z jednym na trzy dni. Płacił za wszystko. Normalnie. Są też klienci, którzy wynajmują nas regularnie, na przykład co tydzień. Taki jakby abonament. Dajemy im rabat!

Wypytuję Gaby'ego, podobnie jak innych, w jaki sposób poznaje,

że ma do czynienia z księdzem.

– Są bardziej dyskretni niż reszta. Jeśli chodzi o życie seksualne, to samotne wilki. Boją się. Nigdy nie używają brzydkich słów. I oczywiście zawsze chcą iść do hotelu, jakby nie mieli domu – to szczególnie ważne, po tym ich rozpoznajemy.

Dodaje jeszcze:

– Księża nie chcą Włochów. Swobodniej czują się z osobami, które nie mówią po włosku. Wybierają imigrantów, bo to łatwiejsze, dyskretniejsze. Słyszał pan, żeby imigrant poszedł donieść na kogoś na policję?

I ciągnie dalej:

– Niektórzy księża płacą mi po prostu za to, żeby spać koło mnie. Mówią o miłości, o miłosnych historiach. Są szalenie czuli. Jak panienki! Skarżą się, że źle ich całuję, te pocałunki są dla nich bardzo ważne. Są też tacy, którzy chcą mnie „uratować". Księża zawsze chcą nam pomóc, żebyśmy nie marnieli „na ulicy"...

Ten motyw wracał w opowieściach na tyle często, bym nie wątpił, że to prawdziwe i powtarzające się doświadczenie. Księża szybko zakochują się w swoich imigrantach, którym szepczą do ucha „I luv you", łamanym angielskim, a właściwie w amerykańskim slangu, by nie wypowiedzieć właściwego słowa – tak jak mówi się „Oh my Gosh" zamiast bluźnierczego „Oh my God"! Eskortów często zdumiewała nadmierna czułość księży, ich desperackie poszukiwanie miłości. No cóż, podróż za Morze Śródziemne musiała przynieść wiele niespodzianek!

Zastanawiam się wraz z nimi, czy księża częściej zakochują się w swoich „chłopcach" niż inni mężczyźni? Dlaczego próbują „uratować" prostytutki, z których usług korzystają? Czy to resztka chrześcijańskiej moralności czyni ich ludźmi w chwili, gdy łamią śluby czystości?

Florin pyta mnie, czy we Francji mężczyźni mogą się ze sobą żenić. Wyjaśniam, że tak, że małżeństwa osób tej samej płci są dozwolone. Nie zastanawiał się nad tym za wiele, ale wydaje mu się to w gruncie rzeczy „normalne".

– Tutaj, we Włoszech, to zakazane. Ze względu na Watykan i dlatego, że to kraj komunistyczny.

Florin kwituje każde zdanie słowem „normalnie", mimo że jego życie, co jak co, ale normalne na pewno nie jest.

We wszystkich rozmowach z Christianem, Florinem, Gabym, Mohammedem, Pittbulem, Shortym i wieloma innymi uderza mnie to, że nie osądzają księży, z którymi sypiają. Nie zawracają sobie głowy moralnością ani poczuciem winy. Imam będący gejem zaszokowałby muzułmanów, pop homoseksualista zadziwiłby Rumunów, ale ksiądz katolicki korzystający z prostytutek? „Normalne". Zresztą dla nich to gratka. Nie na nich spada odium grzechu. Mohammed podkreśla, że zawsze jest „aktywny", co jego zdaniem zmniejsza chyba jego winę wobec islamu.

– Czy muzułmanin ma prawo spać z katolickim księdzem? Zawsze można zadać pytanie, czy ktoś w ogóle ma wybór – rozważa Mohammed. – Bo ja wyboru nie mam.

PEWNEGO WIECZORA SPOTYKAM GABY'EGO w kawiarni internetowej przy ulicy Manina, Agenzia Viaggi (dziś już nie działa). Jakaś trzydziestka rumuńskich męskich prostytutek czatuje przez internet z przyjaciółmi i rodzinami w Bukareszcie, Konstancy, Timisoarze lub Klużu. Rozmawiają przez Skype'a lub WhatsAppa, aktualizują swój status na Facebooku. Gdy Gaby rozmawia z matką, zauważam jego internetowy opis: „Life lover", po angielsku. I jeszcze: „Mieszka w Nowym Jorku".

– Opowiadam jej, jak mi się tutaj żyje. Cieszy się, że zwiedzam Europę: Berlin, Rzym, wkrótce Londyn. Czuję, że troszkę mi zazdrości.

Zadaje mnóstwo pytań, jest naprawdę szczęśliwa. Dla niej to wygląda tak, jakbym grał w jakimś filmie. Oczywiście nie wie, co robię. Nigdy jej tego nie powiem. (Podobnie jak inni chłopcy Gaby w rozmowach ze mną unika jak ognia słów takich jak „prostytutka” czy „prostytuować się”. Wybiera eufemizmy lub obrazowe określenia).

Mohammed mówi mi mniej więcej to samo. On z kolei wpada do cyberkafejki o nazwie Internet Phone przy ulicy Giobertiego, gdzie tym razem mu towarzyszę. Rozmowa z matką przez internet, jaką odbywa kilka razy w tygodniu, kosztuje pięćdziesiąt centów za kwadrans lub dwa euro za godzinę. Dzwoni przy mnie do matki przez Facebook. Przez jakieś dziesięć minut opowiada jej coś po arabsku.

– Korzystam głównie z Facebooka, mama lepiej sobie z nim radzi niż ze Skype’em. Właśnie jej powiedziałem, że wszystko idzie dobrze, że pracuję. Była taka szczęśliwa! Czasami mówi mi, że chciałaby, bym wrócił. Żebym tam pobył, choćby kilka minut. Mówi: „Wróć na minutę, tylko na minutkę, żebym cię zobaczyła”. Powiedziała mi: „Jesteś całym moim życiem”.

Regularnie, jakby przepraszając za swoją nieobecność, Mohammed wysyła matce przez Western Union trochę pieniędzy (skarży się na złodziejską prowizję, doradzam mu Paypal, ale nie ma karty kredytowej).

Marzy, że „pewnego dnia” wróci. Wspomina staroświecką kolejkę TGM, linię łączącą Tunis Marine z La Marsa, z jej legendarnymi przystankami, które wymienia mi na głos, pamiętając wszystkie nazwy stacji we właściwej kolejności: Le Bac, La Goulette, lotnisko, Kram, Carthage-Salambo, Sidi Bousaïd, La Marsa.

– Tęsknię za Tunezją. Matka często pyta, czy nie marznę. Odpowiadam, że noszę czapkę i że mam kaptur. Bo tutaj zimą jest

naprawdę chłód. Ona to podejrzewa, ale nie ma pojęcia, jak bardzo jest zimno.

Niecałe arabskie otoczenie Mohammeda w Rzymie para się prostytucją. Wielu jego znajomych woli handlować haszyszem i kokainą (jak twierdzą wszystkie zapytane prostytutki, heroina jest zbyt droga, więc trudno ją znaleźć w tej dzielnicy, ecstasy też pojawia się tu tylko okazjonalnie).

Narkotyki? To nie dla Mohammeda. Jego argumentacja jest bez zarzutu:

– Narkotyki są nielegalne, to ogromne ryzyko. Gdybym trafił do więzienia, matka o wszystkim by się dowiedziała. I nigdy by mi nie wybaczyła. To, co robię we Włoszech, jest całkowicie legalne.

NA ŚCIANIE NAD BIURKIEM GIOVANNY PETROCCI wiszą dwa krucyfiksy. Na stole obok – jej zdjęcia w towarzystwie papieża Jana Pawła II.

– To mój papież – oświadcza Petrocca z uśmiechem.

Jestem na głównym posterunku policji Roma Termini, Giovanna Petrocca jest tutaj szefem. Ma rangę komisarza, nazwa jej stanowiska, wypisana po włosku na drzwiach biura, brzmi: „primo dyrektor, Commissariato di Polizia, Questura di Roma".

To oficjalne spotkanie, zorganizowane przez służby prasowe głównego kierownictwa włoskiej policji. Giovanna Petrocca odpowiada na wszystkie moje pytania, unikając drętwej nowomowy. Jest absolutną profesjonalistką, zna się na tym, co robi. To jasne, że prostytucja na Roma Termini nie umknęła oku policji, która wie wszystko, zna najdrobniejsze szczegóły. Petrocca zgadza się z większością moich hipotez, a przede wszystkim potwierdza to, co usłyszałem od męskich prostytutek. (W tym rozdziale korzystam również z informacji podpułkownika Stefano Chirica, który kieruje biurem antydyskryminacyjnym w Direzione Centrale della Polizia

Criminale, kwaterze głównej policji krajowej południowej części Rzymu, dokąd także się udałem).

– Prostytucja na Roma Termini to długie dzieje – mówi komisarz Giovanna Petrocca. – Działa falami, w zależności od migracji, od wojen, od ubóstwa. Ludzie grupują się według narodowości i języka, dość spontanicznie, trochę na dziko. Włoskie prawo nie karze indywidualnej prostytucji, ale próbujemy opanować to zjawisko, ograniczyć jego zasięg. I oczywiście czuwamy nad tym, żeby nie przekraczało pewnych ram: żadnej obsceniczności, żadnej obrazy moralności na ulicy; żadnej prostytucji nieletnich, żadnych narkotyków ani stręczycielstwa. To jest zakazane i surowo karane.

Petrocca, absolwentka prawa na Uniwersytecie La Sapienza, po latach pracy w terenie, w miejskim patrolu policji, dołączyła do nowej, utworzonej w 2001 roku jednostki policji sądowej specjalizującej się w walce z prostytucją, gdzie po trzynastu latach pracy awansowała na kierownicze stanowisko. W tym czasie mogła śledzić demograficzne przemiany prostytucji – Albanki zmuszane do prostytucji przez mafię, przybycie Mołdawianek i Rumunek oraz zorganizowane stręczycielstwo, fala nigeryjska, którą nazywa „średniowieczną”, bo kobiety prostytuują się w odpowiedzi na plemienne nakazy i straszone są rytuałami voodoo! Petrocca monitoruje salony masażu z „happy endem” – chińską specjalność, prostytucję trudniejszą do kontrolowania, bo uprawianą w domach prywatnych. Zna hotele – domy publiczne przy Roma Termini – i oczywiście wie wszystko o męskiej prostytucji w tej dzielnicy.

Pani komisarz, z którą rozmawiam przez tłumacza, mojego rzymskiego researchera Danielego Particellego, z naukową precyzją relacjonuje mi ostatnie przypadki, morderstwa. Wyjaśnia, gdzie transwestyci mają swoje miejsca podrywu, a gdzie – bo gdzie indziej – transseksualiści. Jednak Giovanna Petrocca nie lubi dramatyzować.

Jej zdaniem Roma Termini to miejsce prostytucji takie jak każde inne, jak wszystkie dzielnice wokół głównych dworców we Włoszech, choćby w Neapolu czy Mediolanie.

– Co można zrobić? Sprawdzamy, co się dzieje na drogach publicznych, i robimy niespodziewane naloty, mniej więcej dwa razy w tygodniu, na hotele w dzielnicy Roma Termini. Hotel, który oficjalnie akceptuje prostytutki, łamie prawo, ale wynajęcie pokoju na godziny jest we Włoszech legalne. Tak więc interweniujemy, jeśli odkryjemy zorganizowane sutenerstwo, narkotyki lub kiedy znajdziemy nieletnich.

Giovanna Petrocca nie spieszy się, więc rozmawiamy o rodzajach narkotyków, jakie krążą po okolicy; o hotelach, które namierzyłem, a które ona także zna. Rzadko zdarza mi się spotkać oficera policji tak kompetentnego, profesjonalnego i dobrze poinformowanego. Roma Termini jest „pod kontrolą".

Pani komisarz nie rozmawiała ze mną „on the record" o księżach korzystających z prostytutek na Roma Termini, jednak inni policjanci i żandarmi opowiadali mi o tym – poza komisariatem – szczegółowo i dogłębnie. W tym rozdziale – i w całej książce – korzystam też z licznych informacji pochodzących od stowarzyszenia Polis Aperta zrzeszającego około stu włoskich wojskowych, *carabinieri* i policjantów LGBT. Kilku jego członków z Rzymu, Castel Gandolfo, Mediolanu, Neapolu, Turynu, Padwy i Bolonii, w szczególności pewien podpułkownik *carabinieri*, opowiadali mi o prostytucji na Roma Termini i – szerzej – o płatnym życiu seksualnym duchownych. W niektórych przypadkach odwołuję się również do poddanych anonimizacji informacji i statystyk SDI, wspólnej bazy danych różnych włoskich organów ścigania dotyczących skarg, wykroczeń i przestępstw.

Policjanci i *carabinieri* przyznali, że dochodzi do wielu incydentów:

księża bywają okradani, oszukiwani lub pobici; bywają aresztowani; zdarzają się też morderstwa na „pikietach" – tajnych miejscach homoseksualnych spotkań. Dowiedziałem się wiele o szantażach, sekstaśmach, o katolickim „revenge-porn" i o niezliczonych aferach „obyczajowych" z udziałem kleru. Duchowni, nawet gdy są ofiarami, rzadko składają skargi. Cena za bycie odnotowanym pod własnym nazwiskiem na posterunku policji byłaby zbyt wysoka. Decydują się na to jedynie w najpoważniejszych przypadkach. Zazwyczaj milczą, chowają się i wracają do siebie bez słowa, z ciężarem swojego występku, ukrywając siniaki.

Zdarzają się również, choć rzadziej, zabójstwa, i tych nie da się ukryć. W książce *Omocidi* dziennikarz Andrea Pini ujawnił sporą liczbę homoseksualistów zabitych we Włoszech przez męskie prostytutki – na ogół do tragedii dochodziło podczas nocnych spotkań z nieznanymi osobami. Jak podają policyjne źródła, wysoki procent ofiar stanowią księża.

FRANCESCO MANGIACAPRA TO LUKSUSOWY ESKORT z Neapolu. Jego świadectwo jest szczególnie ważne, bowiem w przeciwieństwie do innych osób parających się prostytucją zgodził się wystąpić pod prawdziwym nazwiskiem. Ten nieco może paranoiczny, lecz mający dobrze poukładane w głowie absolwent prawa dysponuje długą listą księży gejów, którzy korzystali z jego usług w okolicach Neapolu i w Rzymie. Przez dobrych kilka lat do tej niezwykłej bazy danych dodawał zdjęcia, filmy, a przede wszystkim dane personalne swoich klientów. Podzielenie się ze mną tym ogromnym zbiorem poufnych informacji sprawiło, że to już nie anonimowy wywiad jakościowy – taki jak na ulicach przy Roma Termini – lecz badanie ilościowe. Zdobyłem namacalne dowody.

Mangiacaprę przedstawił mi Fabrizio Sorbara, jeden z szefów stowarzyszenia Arcigay w Neapolu. Rozmawiałem z nim kilka razy

w Neapolu i Rzymie w obecności Danielego oraz działacza i tłumacza René Buonocore'a.

Biała koszula rozchylona na torsie, delikatne włosy o pięknym kasztanowym kolorze, szczupła twarz, starannie nieogolona – to niewątpliwie atrakcyjny młody mężczyzna. Najpierw jesteśmy wobec siebie ostrożni, lecz Mangiacapra szybko przełamuje lody. Wie dobrze, kim jestem, bo kilka miesięcy wcześniej był na wykładzie, który wygłosiłem w Instytucie Francuskim w Neapolu przy okazji publikacji włoskiego przekładu mojej książki *Global Gay*.

– Zdecydowałem się na ten zawód nie dla pieniędzy, lecz żeby poznać swoją wartość. Ukończyłem studia prawnicze na słynnym Uniwersytecie Fryderyka II w Neapolu, lecz kiedy zacząłem szukać zatrudnienia, wszystkie drzwi okazały się zamknięte. Tu, w południowych Włoszech, nie ma pracy, nie ma perspektyw. Koledzy z roku godzili się na kolejne upokarzające staże w kancelariach prawniczych, gdzie wyzyskiwano ich za czterysta euro miesięcznie. Moim pierwszym klientem, jak pamiętam, był adwokat, który za dwadzieścia minut zapłacił mi tyle, ile swoim stażystom za dwa tygodnie pracy! Więc zamiast sprzedawać inteligencję za psi grosz, wolę drogo sprzedawać ciało.

Mangiacapra to nie byle żigolak. Jest uprawiającą prostytucję osobą publiczną, występującą, jak już wspomniałem, pod swoim nazwiskiem, z odkrytą twarzą, bez wstydu. Od pierwszej chwili uderzyła mnie moc tego świadectwa.

– Znam swoją wartość i znam wartość pieniądza. Wydaję niewiele, oszczędzam, ile się da. Często uważa się, że prostytucja to pieniądze zarobione szybko i łatwo. Nie. To ciężko zarobione pieniądze.

Po niedługim czasie Francesco Mangiacapra odkrył żyłę złota, o której wcześniej nie miał pojęcia – prostytucję z księżmi homoseksualistami.

– Od początku wszystko szło dość naturalnie. Miałem kilku klientów księży, którzy polecali mnie innym księżom, ci zaś zapraszali mnie na przyjęcia, na których poznawałem kolejnych. To nie jest żadna sieć, nie było żadnych orgii, jak się czasem uważa. To zupełnie zwykli księża, którzy po prostu polecili mnie innym zaprzyjaźnionym duchownym.

Szybko można zauważyć zalety klientów tego typu – lojalność, powtarzalność i bezpieczeństwo.

– Ksiądz to klient idealny. Jest lojalny i dobrze płaci. Gdybym mógł, pracowałbym tylko dla księży. Zawsze mają u mnie pierwszeństwo. Mam duże wzięcie, więc szczęśliwie sam wybieram klientów, w przeciwieństwie do innych prostytutek, które są wybierane. Nie powiedziałbym, że jestem zadowolony z tej pracy, ale gdy patrzę na inne osoby parające się prostytucją, na studentów, którzy nie mają pracy, to myślę, że jednak mam sporo szczęścia. Gdybym urodził się gdzie indziej lub w innym czasie, inaczej wykorzystałbym moje wykształcenie i inteligencję. Lecz teraz w Neapolu najbardziej dostępną pracą, jaką mogłem znaleźć, była prostytucja.

Młody mężczyzna zaczyna kaszleć. Wyczuwam w nim jakąś kruchość. Jest delikatny. Wrażliwy. Twierdzi, że ma teraz trzydziestu stałych klientów, którzy z pewnością są duchownymi, i wielu innych, co do których ma wątpliwości. Odkąd zaczął uprawiać prostytucję, był, jak mówi, „z setką księży”.

– Stali się moją specjalnością.

Zdaniem Mangiacapry duchowni decydują się na korzystanie z prostytutek, bo to zapewnia im poczucie bezpieczeństwa i anonimowość, to pasuje do ich podwójnego życia. Normalne uwodzenie, nawet w środowisku homoseksualnym, wymaga czasu, długich rozmów, trzeba się odsłonić, powiedzieć, kim się jest. Relacja

z prostytutką nie naraża cię, jest szybka i anonimowa.

– Ksiądz, który się ze mną kontaktuje, nie zna mnie, nic wcześniej między nami nie było. Wolą takie sytuacje, właśnie tego szukają. Często moi klienci księża są bardzo pięknymi mężczyznami. Chętnie przespałbym się z nimi za darmo! Bez trudu znaleźliby kochanka w barach lub gejowskich klubach. Ale to niegodne duchownego.

Młody eskort nie wychodzi na ulicę jak imigranci z Roma Termini. Nie żyje w rytm *Nocy Cabirii*. Klientów poznaje przez internet, na specjalnych stronach, na Grindrze. Regularnie kontaktuje się z nimi przez komunikatory, takie jak WhatsApp czy dyskretniejszy Telegram. Potem próbuje ich do siebie przywiązać.

– W Rzymie jest duża konkurencja, Neapol to spokojniejsze miejsce. A jednak są księża, którzy sprowadzają mnie do stolicy, płacą za pociąg i hotel.

Mangiacapra, mający doświadczenia seksualne z dziesiątkami, jeśli nie setkami księży, dzieli się ze mną swoimi socjologicznymi obserwacjami:

– Klienci księża dzielą się na dwa typy. Jedni czują się nieomylni, czują, że mają silną pozycję. Ci są aroganccy i skąpi. Tak bardzo stłumili swoje pożądanie, że tracą zmysł moralny, człowieczeństwo, myślą, że są ponad prawem. Nie boją się nawet AIDS! Często wcale nie ukrywają, że są księżmi. Są wymagający, surowi, nie pozwalają ci przejąć kontroli! Bez wahania mówią, że w razie problemów powiedzą policji, że jesteś prostytutką! Zapominają, że to ja mogę ujawnić, że są duchownymi!

Drugi rodzaj klientów Francesca to osoby o całkiem innym charakterze:

– To księża, którzy bardzo źle czują się w swojej skórze. Potrzebują dużo uczucia, pieszczot, cały czas chcą cię całować. Trudno uwierzyć, jak bardzo brak im czułości. Są jak dzieci.

Ci klienci, jak potwierdza Mangiacapra, często zakochują się w swoim gachu i chcą go „uratować”.

– Nigdy nie rozmawiają o cenie. Są pełni poczucia winy. Często pieniądze wręczają w przygotowanej wcześniej kopercie. Mówią, że to prezent, dzięki któremu będę mógł kupić sobie coś, czego potrzebuję. Próbują się usprawiedliwić.

Mangiacapra w rozmowie ze mną używa bardzo bezpośrednich wyrażeń. Mówi mi, że jest prostytutką, a nawet „marchettaro” – dosłownie „dziwką” (to slangowe słowo pochodzi od „marchetta”, „kwitu”, który pozwalał określić liczbę klientów prostytutki w domu publicznym). Eskort używa tego obraźliwego słowa celowo, aby odwrócić na drugą stronę uprzedzenie, tak jak się używa broni przeciw jej właścicielowi.

– Ci księża pragną znów zobaczyć swego „marchettaro”. Chcą być w związku. Chcą mieć kontakt. Wypierają rzeczywistość, nie rozumieją, dlaczego źle się ich osądza – przecież we własnym mniemaniu są dobrymi kapłanami. Myślą, że jesteś ich przyjacielem, bardzo się przy tym upierają. Przedstawiają cię krewnym, innym księżom. A przecież wiele przy tym ryzykują. Zapraszają cię do kościoła, prowadzą do sióstr w zakrystii. Bardzo szybko nabierają do ciebie zaufania, jakbyś był ich chłopakiem. Często dają napiwki w naturze – garnitur, który wcześniej kupili, butelkę perfum. Są bardzo opiekuńczy.

Opowieść Francesco Mangiacapry jest klarowna – i okropna. Surowa i brutalna, jak przedstawiony w niej świat.

– Cena? Oczywiście najwyższa, jaką klient jest gotów zapłacić. Właśnie po to stworzono marketing. Są eskorci przystojniejsi, bardziej uwodzicielscy niż ja, ale ja mam lepszy marketing. W zależności od witryny lub aplikacji, za pomocą której się ze mną kontaktują, w zależności od tego, co mi mówią, wstępnie szacuję

cenę, jaką będę mógł podać. Podczas spotkania koryguję te szacunki, wypytując, w jakiej dzielnicy mieszkają, gdzie pracują, patrzę na ich ubrania, zegarek. Bardzo łatwo oceniam ich zdolność finansową. Księża gotowi są płacić więcej niż zwykli klienci.

Przerywam młodemu eskortowi, pytając, jak księża, których pensja wynosi zwykle około tysiąca euro miesięcznie, mogą finansować te przyjemności.

– Allora... Księża to osoby, które nie mają wyboru. Mają wyłącznie nas. To wrażliwa kategoria, mężczyźni, którzy nie mogą znaleźć innych chłopców, więc każemy im więcej płacić. Powiedzmy, że trochę jak w wypadku niepełnosprawnych.

Po krótkiej pauzie Mangiacapra podejmuje wątek, jak zawsze zaczynając od przeciągłego „Allora…”:

– Większość księży dobrze płaci, rzadko się targują. Wyobrażam sobie, że oszczędzają na innych przyjemnościach, ale nigdy na seksie. Ksiądz nie ma rodziny, nie musi płacić czynszu.

Neapolitański żigolak potwierdza to, czego dowiedziałem się od wielu prostytutek, z którymi rozmawiałem w Rzymie – że w życiu księży seks ma wyjątkowe znaczenie. Wydaje się, że homoseksualizm to decydujący aspekt ich istnienia, że opanował ich życie w stopniu znacznie wyższym niż w przypadku większości homoseksualistów. Nie znają normalnej miłości.

Młody mężczyzna zdradza mi część swoich „marketingowych” sekretów:

– Kluczem jest zdobycie lojalności klienta. Jeśli ksiądz jest obiecujący, dobrze płaci, trzeba go skłonić do powrotu. W tym celu musimy zrobić wszystko, żeby nie wracał do rzeczywistości – musi pozostać w krainie fantazji. Nigdy nie mówię o sobie jako o „prostytutce”, to zabija fantazmat. Nigdy nie nazywam go „klientem”, zawsze „moim przyjacielem”. Do klienta zwracam się

po imieniu i bardzo uważam, żeby się nie pomylić! Muszę mu przecież pokazać, że jest dla mnie kimś wyjątkowym. Klienci lubią i chcą być zapamiętani, nie chcą zaś, żebyśmy mieli innych klientów! Dlatego stworzyłem w telefonie komórkowym specjalny katalog. Notuję wszystkie informacje: imię, jakie mi podał, wiek, pozycje, jakie lubi, miejsca, w których byliśmy razem, to, co istotnego o sobie mi powiedział, itp. Prowadzę bardzo staranne zapiski. I oczywiście zapisuję też maksymalną cenę, którą zgodził się zapłacić, by następnym razem prosić o tyle samo lub trochę więcej.

Mangiacapra pokazuje mi swoje „dossier”, a nawet podaje nazwiska i imiona dziesiątek księży, z którymi – jak mówi – miał intymne relacje. Oczywiście nie jestem w stanie zweryfikować tych informacji.

W 2018 roku ujawni publicznie sekrety życia seksualnego trzydziestu czterech księży w dokumencie liczącym tysiąc dwieście stron, zawierającym nazwiska tych księży, ich zdjęcia, nagrania audio i print screeny rozmów z nimi przez WhatsAppa czy Telegram. Stało się to przyczyną skandalu, we Włoszech opublikowano dziesiątki artykułów na ten temat, powstało wiele programów telewizyjnych.

Miałem okazję zapoznać się tym dokumentem zatytułowanym *Preti gay*, w którym możemy zobaczyć wielu księży odprawiających mszę w sutannie, a potem nago wyprawiających swawole przed internetową kamerą. Pokazywane naprzemiennie zdjęcia z kazań i zdjęcia erotyczne robią niewyobrażalne wrażenie. Całe dossier Mangiacapra udostępnił – co ma ironiczny wydźwięk – arcybiskupowi Neapolu, „uniwersalnemu” kardynałowi Crescenzio Sepemu. Ten bliski współpracownik kardynała Sodana – podobnie jak on człowiek stadny, należący do różnorodnych grup i sitw – czym prędzej przekazał to do Watykanu. Później monsinior Sepe potajemnie spotkał się z Mangiacaprą, by – jak mówi ten ostatni –

o wszystko wypytać.

– Sypiając z bogatymi, żonatymi prawnikami, ze znanymi lekarzami lub wszystkimi tymi prowadzącymi podwójne życie księżmi, zdałem sobie sprawę, że nie są szczęśliwi. Szczęścia nie dają pieniądze, nie daje go kapłaństwo. Wszyscy ci klienci nie mają tyle szczęścia i wolności, ile mam ja. Są w pułapce swojego pożądania, są niewiarygodnie nieszczęśliwi.

Po chwili zastanowienia młody człowiek dodaje, jakby dystansując się do tego, co właśnie powiedział:

– Trudność tej pracy nie wynika z jej seksualnego charakteru. Nie chodzi o to, że ma się stosunki z kimś, kogo się nie lubi, kto jest dla nas brzydki. Problem polega na tym, że uprawiasz seks w chwili, gdy nie masz na to ochoty.

W Neapolu zapadła noc, muszę wracać pociągiem do Rzymu. Francesco Mangiacapra się uśmiecha, widać cieszy się z naszego spotkania. Pozostaniemy w kontakcie, a nawet napiszę krótki wstęp do opowieści o jego doświadczeniach eskorta, które później opublikuje. Ta nieduża książeczka zapewni Mangiacaprze chwilę chwały, będzie zapraszany do popularnych włoskich programów telewizyjnych. Ale to tylko słowa.

Na odchodnym młody człowiek nagle postanawia coś jeszcze mi powiedzieć.

– Nikogo nie osądzam. Nie osądzam tych księży. Rozumiem ich wybory i ich sytuację. Myślę tylko, że to smutne. Ja jestem przezroczysty. Nie mam podwójnego życia. Żyję w pełnym świetle, bez hipokryzji. O moich klientach nie można tego powiedzieć. Uważam, że to dla nich smutne. Jestem ateistą, lecz nie antyklerykałem. Nikogo nie osądzam. Ale to, co robię, jest lepsze niż to, co robią księża, prawda? To jest moralnie lepsze?

RENÉ BUONOCORE to pracownik socjalny, z pochodzenia

Wenezuelczyk, mieszkający i pracujący w Rzymie, który towarzyszył mi podczas wywiadu z Mangiacaprą w Neapolu, był także moim przewodnikiem w czasie nocnych rzymskich wypraw na pikiety – miejsca spotkań homoseksualistów. Zna pięć języków, brał udział w projekcie „Io Faccio l'attivo" (Jestem aktywny) zorganizowanym w Rzymie przez Lotną Grupę Wsparcia dla Pracowników Seksualnych. W tym środowisku używa się określenia MSM (Men who have Sex with Men) – mężczyźni, którzy utrzymują relacje z innymi mężczyznami, nie uważając się za homoseksualistów. Według Buonocore'a i innych źródeł „zamknięci w szafie" księża zazwyczaj wybierają imigrantów i anonimowość parków, a nie komercyjne placówki.

W Rzymie odwiedzają często okolice Villa Borghese, ulice otaczające Villa Medici i parki wokół Koloseum i Capitol Square. Tam wraz z moim przewodnikiem oglądam mężczyzn krążących samochodami wokół Narodowej Galerii Sztuki Współczesnej lub spacerujących z niepewną miną nad brzegiem jeziora Tempio di Esculapio. Tę samą faunę znajdujemy również na pięknych zygzakowatych uliczkach wokół Villa Giulia. Zadziwia mnie nocny spokój tego miejsca – cisza, godziny, które snują się leniwie i nagle przyspieszają, spotkanie, przejeżdżający samochód, chłopiec, który podbiega do auta, by odjechać z nieznajomym… Czasami zdarza się przemoc.

Jeśli przejdziemy cały park, kierując się na wschód, dotrzemy do innego lubianego przez MSM zakątka – Villa Medici. Tutejsza scena nocna to Viale del Galoppaoio, ulica wijąca się jak pukle Tadzia ze *Śmierci w Wenecji*. To bardzo znane miejsce spotkań, poszukujący zwykle krążą tam samochodami.

Na tych ulicach między Villa Borghese i Villa Medici doszło swego czasu do skandalu. Spotykało się tu, nierzadko w swobodnych

strojach, kilku księży z pobliskiej parafii przy kościele Świętej Teresy z Ávili. Romanse mogłyby trwać w nieskończoność, gdyby pewien mężczyzna, bezdomny, nie rozpoznał w księdzu odprawiającym mszę swojego klienta. Sprawa nabrała rozmachu, gdy parafianie w kolejnych kilku księżach rozpoznali bywalców podejrzanego parku. Po skandalu prasowym i petycji wystosowanej do stolicy apostolskiej przez stu wiernych wszyscy ci księża oraz kryjący ich przełożeni zostali przeniesieni do innych parafii – w pobliżu innych parków.

Ogród naprzeciw Koloseum, zwany Colle Oppio, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku także był miejscem plenerowego „cruisingu" (od niedawna jest ogrodzony i zamykany), podobnie jak park Via di Monte Caprino za słynnym placem na Kapitolu zaprojektowanym przez Michała Anioła. Według policyjnych źródeł wylegitymowano tam jednego z asystentów papieża Jana Pawła II. Ważnego holenderskiego prałata, bardzo cenionego za czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI, także zatrzymano w małym parku Koloseum w towarzystwie chłopca. Sprawy te wyciekły do prasy, lecz bez nazwisk, i szybko zostały zatuszowane. (Potwierdziłem tożsamość bohaterów tych wydarzeń).

Jeden z najbardziej wpływowych biskupów za pontyfikatu Jana Pawła II, później kardynał, Francuz, też znany był z podrywania chłopców w parkach wokół Campidoglio. Lecz że był człowiekiem ostrożnym i nie chciał zwracać na siebie uwagi, nie zgodził się, by jego służbowy samochód miał dyplomatyczne tablice rejestracyjne Watykanu. Nigdy nic nie wiadomo!

I w końcu jednym z cenionych przez księży plenerowych miejsc spotkań jest sam plac Świętego Piotra. Przecież Watykan to jedyne prawdziwe „gejowskie miasteczko", „gaybourhood" Rzymu.

– Pamiętam, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX

wieku mieszkańcy Watykanu „szli na podryw” między kolumnami Berniniego w świętym Piotrze. Kardynałowie wychodzili na spacer w nadziei na spotkanie jakiegoś ragazzo – wyjaśnia literaturoznawca Francesco Gnerre.

W bliższych nam czasach amerykański kardynał bawił cały Watykan swoimi sportowymi wyczynami – ubrany w szorty regularnie uprawiał jogging między kolumnami. Do dziś niektórzy prałaci i monsiniorzy mają zwyczaj wychodzić na spacery o zmierzchu, w twórczej ascezie, w tym stanie, gdy „bierzesz sobie na kolana piękno”[40], co może stać się pretekstem do spotkań – niespodziewanych i prowadzących daleko.

ZJAWISKO NIEZNANE OPINII PUBLICZNEJ, choć powszechne, czyli płatne relacje homoseksualne, w które angażują się włoscy księża, to cały rozbudowany system. Stanowi jedną z dwóch opcji oferowanych duchownym będącym czynnymi homoseksualistami – drugą jest szukanie partnera seksualnego w samym Kościele.

– Różne osoby w Watykanie są już „spalone” – mówi Don Julius, spowiednik z bazyliki Świętego Piotra, z którym spotkałem się kilka razy w „parlatorio”. (Na prośbę księdza zmieniłem jego nazwisko).

Siedząc na zielonej aksamitnej sofie, opowiada:

– Często uważa się, że aby mówić swobodnie o kurii, trzeba wyjść za watykańskie mury. Wiele osób myśli, że lepiej się wtedy ukryć. A tak naprawdę najprościej jest zrobić to tutaj, w samym sercu Watykanu!

Don Julius odkrywa przede mną burzliwe losy mieszkańców Sodomy i rozważa wybór, przed którym staje wielu kapłanów: „poderwać” kogoś wewnątrz Kościoła czy na zewnątrz.

W pierwszym przypadku wszystko zostaje „w rodzinie”. Księża interesują się swoimi kolegami – innymi księżmi lub świeżo przybyłymi z włoskiej prowincji młodymi seminarzystami.

W rzymskich pałacach biskupich i zakrystiach uwodzą się ostrożnie, świadomi tego, że są wystawieni na pokaz, jak na scenie. Rozbierają się wzrokiem. Zasadniczo jest bezpieczniej, bo duchowni w poszukiwaniu miłości spotykają niewiele osób świeckich. To fizyczne bezpieczeństwo ma jednak swoją drugą stronę – nieuniknione plotki, *ius primae noctis*, a nawet szantaż.

Zdaniem amerykańskiego watykanisty Roberta Mickensa, dobrze znającego subtelności gejowskiego życia Watykanu, większość kardynałów i biskupów, bojąc się zdemaskowania na zewnątrz, wybiera tę opcję. Trzymają się – wyjaśnia mi – zasady wyrażonej w śmiałym zdaniu „Don't fuck the flock", wyraźnie odwołującej się do biblijnych nakazów. (Zdanie ma też inne angielskie warianty: „Don't screw the sheep" czy „Don't shag the sheep" – nigdy nie sypiaj ze swoimi owieczkami, ze swoim ludem, z zabłąkanym stadem czekającym na swego pasterza).

Można by zatem mówić tutaj o stosunkach „eksterytorialnych", bo miały miejsce poza Włochami, w suwerennej stolicy apostolskiej i w watykańskich terytoriach zależnych. Tak wygląda kod „wewnętrznego" homoseksualizmu.

Homoseksualizm „zewnętrzny" jest zupełnie inny. Chodzi właśnie o to, żeby unikać szybko rodzącego plotki uwodzenia wśród duchownych. Działający w tym paradygmacie księża czynni homoseksualiści wybierają gejowskie nocne życie, parki publiczne, sauny i usługi prostytutek. Choć homoseksualizm płatnej miłości, nocnych eskapad w poszukiwaniu eskortów jest bardziej niebezpieczny, nie jest mniej popularny. Ryzyko wzrasta, lecz korzyści też są większe.

– Co wieczór księża stają przed wyborem jednej z tych dwóch opcji – podsumowuje Don Julius.

W Watykanie czy poza Watykanem – obie drogi mają swoich

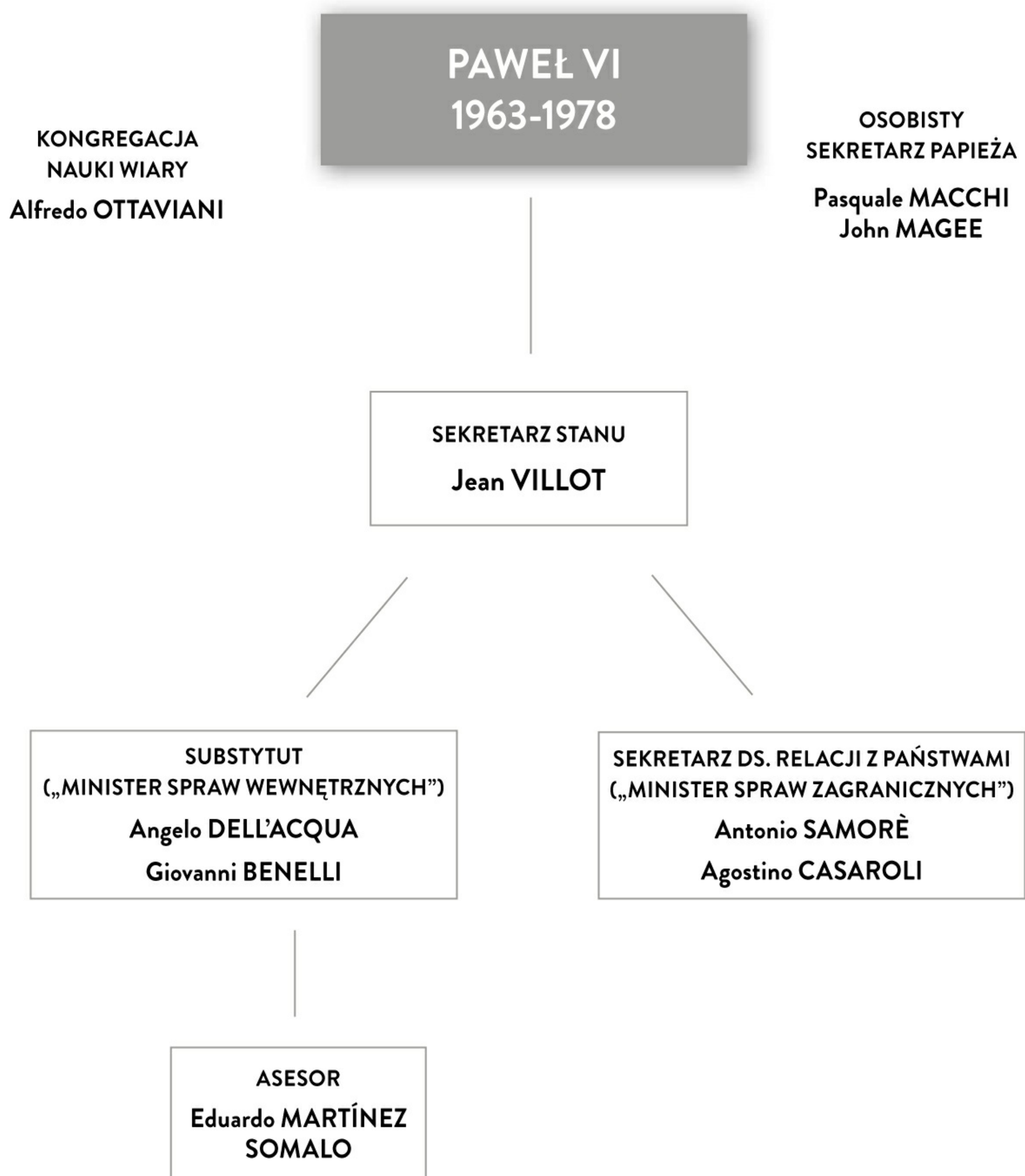
zwolenników, wyznawców i ekspertów. Obie też mają własne kody zachowania. Czasami księża przez długi czas się wahają (jeśli nie decydują się na obie opcje jednocześnie) między mrocznym, czasem brutalnym światem poszukiwania seksualnych przygód na zewnątrz, nocą w mieście – z przemocą, zagrożeniami, regułami rządzącymi pożądaniem, światem ze *Strony Swanna*, tą prawdziwą czarną wersją Sodomy – a jasnym światem uwodzenia we własnym gronie, z jego światowością, subtelnością, grami; światem *Strony Guermantes*, która jest białą, bardziej promienną i świetlistą wersją sodomii, w sutannach i piuskach. Jednak żadna z tych dróg, żadna ze „stron" wybranych pośród tej rzymskiej najgłębszej nocy nie prowadzi do spokojnego i uporządkowanego życia.

Historia Watykanu rozgrywa się zgodnie z tą fundamentalną opozycją i w tej właśnie optyce pokażę ją w następnych rozdziałach, cofając się w czasie do pontyfikatów Pawła VI, Jana Pawła II i Benedykta XVI. Napięcie między „wewnętrzną" a „zewnętrzną" Sodomą pozwala zrozumieć większość sekretów stolicy apostolskiej, albowiem sztywność doktryny, podwójne życie wielu osób, nietypowe nominacje, niezliczone intrygi i obyczajowe afery prawie zawsze wpisują się w jeden lub drugi z tych kodów.

W pewnym momencie naszej długiej rozmowy w znajdującym się zaledwie kilka metrów od mieszkania papieża Franciszka watykańskim parlatorio (gdzie często zdarzało mi się bywać) spowiednik z bazyliki Świętego Piotra rzucił:

– Witamy w Sodomie.

CZĘŚĆ DRUGA
PAWEŁ VI



PAWEŁ VI
1963-1978
KONGREGACJA
NAUKI WIARY
Alfredo OTTAVIANI
OSOBISTY
SEKRETARZ PAPIEŻA
Pasquale MACCHI
John MAGEE
SEKRETARZ STANU
Jean VILLOT
SUBSTYTUT
(„MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH")
Angelo DELL'ACQUA
Giovanni BENELLI
SEKRETARZ DS. RELACJI Z PAŃSTWAMI
(„MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH")
Antonio SAMORÈ
Agostino CASAROLI
ASESOR
Eduardo MARTÍNEZ
SOMALO

7.

Kod Maritaina

BIBLIOTEKA KARDYNAŁA PAULA POUPARDA należy do najwspanialszych w całym Watykanie – to osiemnaście regałów na jedenastu poziomach. Robione na miarę, wygięte tak, że zajmują całą długość ogromnej owalnej sali przyjęć.

– W sumie to prawie piętnaście tysięcy książek – chwali się afektowanym tonem kardynał Poupard, który podczas jednej z moich licznych wizyt wystąpił w domowych pantoflach, obłożony tomami infolio oraz swoimi rękopisami.

Francuski kardynał mieszka na najwyższym piętrze pałacu przy Piazza di San Calisto, na Zatybrzu – rzymskiej dzielnicy leżącej nieopodal stolicy apostolskiej. Pałac jest ogromny, jego mieszkanie także. Jego eminencji, który wygodnie urządził się w pałacu, usługują meksykańskie siostry zakonne.

Naprzeciw biblioteki na sztalugach ustawiono portret kardynała. Wielki obraz sygnowała rosyjska artystka Natalia Tsarkova, której pozowali również Jan Paweł II i Benedykt XVI. Kardynał Poupard zasiada majestatycznie na wysokim krześle, jedną ręką delikatnie gładzi podbródek, druga spoczywa na uczonym manuskrypcie. Na serdecznym palcu prawej dłoni lśni pierścień biskupi ozdobiony szlachetnym kamieniem w odcieniu véronèsowskiej zieleni.

– Pozowałem przez prawie dwa lata. Artystka chciała, żeby to było doskonałe, żeby cały mój świat przeniknął ten obraz. Widzi pan, są książki, jest czerwony biret. To bardzo osobiste dzieło – mówi Poupard.

Po czym dodaje:

– Byłem dużo młodszy…

Za tym Dorianem Grayem, którego model postarzał się szybciej niż portret, dostrzegam dwa inne obrazy wyeksponowane dyskretniej, bo po prostu wiszące na ścianie.

– To prace Jeana Guittona, dał mi je w prezencie – wyjaśnia Poupard.

O ile portret na sztaludze ma w sobie coś interesującego, o tyle Guittony w pobożnych błękitach to raczej popłuczyny po Chagallu.

Wdrapawszy się po zielonej drabince, kardynał sięga do wybranych z panoramicznej biblioteki pozycji. Chce mi pokazać własne książki oraz zajmujące cały regał niezliczone przedruki jego artykułów z teologicznych czasopism. Długo rozmawiamy o jego ulubionych francuskojęzycznych autorach: Jeanie Guittonie, Jeanie Daniélou, François Mauriacu. A kiedy wspominam o Jacques'u Maritainie, kardynał Poupard aż podskakuje z zadowolenia. Idzie w stronę półki, na której stoją dzieła zebrane francuskiego filozofa.

– To Paweł VI zaznajomił Pouparda z Maritainem. Był 6 grudnia 1965 roku, pamiętam to jak dziś.

Kardynał mówi teraz o sobie samym w trzeciej osobie. Na początku naszej rozmowy wyczułem w nim cień niezadowolenia, że interesuję się raczej Maritainem niż – jakże wielkiej wagi – dziełem Pouparda. A jednak podjął temat bez mrugnięcia okiem.

Długo omawialiśmy więc dzieło Maritaina i jego burzliwe niekiedy relacje z André Gide'em, Julienem Greenem, François Mauriakiem i Jeanem Cocteau. Zwróciłem uwagę, że wszyscy ci francuscy chrześcijańscy przedwojenni pisarze mieli wielki talent! I że byli homoseksualistami. Wszyscy.

Wróciliśmy przed bohomazy Jeana Guittona, w które Poupard

wpatruje się, jakby szukał rozwiązania zagadki. Mówi, że zachował prawie dwieście jego listów. Ta nieopublikowana korespondencja bez wątpienia kryje wiele sekretów. Przed obrazami Guittona pytam Pouparda o seksualność jego mentora – jak to się stało, że ten erudyta, osoba świecka, mizogin, członek Akademii Francuskiej większość życia, podobnie jak Jacques Maritain, spędził w czystości. Jako niemłody już człowiek poślubił kobietę, o której niewiele mówił, której nikt nie widywał i która niebawem uczyniła go wdowcem. Nie ożenił się ponownie.

Kardynał najpierw wydaje z siebie hamowany, jakby mefistofeliczny śmiech, waha się chwilę i mówi:

– Jean Guitton nadawał się do życia z kobietą jak ja do bycia szewcem! (przypominam, że jest w kapciach).

Po czym, znów poważny, ważąc słowa, dodaje:

– Jesteśmy bardziej skomplikowani, niż się sądzi. Za pozorem prostoty świat jest bardzo złożony.

Kardynał, zwykle opanowany i wycofany, po raz pierwszy daje upust emocjom.

– Wstrzemięźliwość to był sposób, w jaki radzili sobie Maritain i Guitton, to było ich rozwiązanie. Stara, prywatna sprawa.

Nie powie już nic więcej. Poczuł, że i tak posunął się za daleko. Wykonując woltę, której sekret zna tylko on, dorzuca cytat, który będzie często powtarzał podczas naszych spotkań:

– Jak powiedziałby mój ulubiony autor, Pascal – „to inna dziedzina”[41].

JACQUES MARITAIN JEST DOBRYM PUNKTEM WYJŚCIA do zrozumienia Watykanu i Kościoła katolickiego zarówno w czasach Pawła VI, jak i dzisiaj. Powoli odkrywałem znaczenie tego kodu, tego skomplikowanego i tajnego szyfru, prawdziwego klucza do lektury Sodomy. Kodu Maritaina.

Jacques Maritain to zmarły w 1973 roku francuski pisarz i filozof. Nie jest dziś szeroko znany, jego twórczość nie przeszła próby czasu. Mocno jednak oddziałał na europejskie życie religijne XX wieku, zwłaszcza we Francji i we Włoszech. Dla naszych rozważań stanowi podręcznikowy wręcz przykład.

Książki tego konwertyty są nadal cytowane przez papieży – Benedykta XVI i Franciszka, zaś jego związki z Janem XXIII i Pawłem VI są poświadczone i bardzo dla nas interesujące.

– Paweł VI uważał się za ucznia Maritaina – potwierdza Poupard.

Giovanni Montini, przyszły papież, od 1925 roku żarliwy czytelnik Maritaina, jedną z jego książek przetłumaczył nawet na włoski i opatrzył przedmową (*Trzej reformatorzy: Luter, Kartezjusz, Rousseau*). Jako papież Paweł VI pozostał dalej związany z francuskim filozofem i teologiem do tego wręcz stopnia, że rozważał uczynienie go „purpuratem", a więc kardynałem.

– Bardzo chciałbym raz na zawsze ukręcić głowę tej plotce. Paweł VI bardzo lubił Maritaina, lecz nigdy nie było mowy o wyniesieniu go do godności kardynalskiej – protestuje Poupard, który lubi takie uświęcone sformułowania jak „wyniesienie do godności".

Filozof kardynałem oczywiście nie został, a jednak w pewien sposób uwiódł Pawła VI. Jak wytłumaczyć ten nietypowy wpływ? Zdaniem świadków ich związek to nie był ani żaden spisek, ani osobista przyjaźń, jak w przypadku Pawła VI i Jeana Guittona. Włoski Kościół naprawdę przez długi czas był zafascynowany maritainizmem.

Warto przypomnieć, że myśl Maritaina, skupiona na kwestiach grzechu i łaski, jest wyrazem katolicyzmu wielkodusznego, może nieco naiwnego. Jacques Maritain, dając przykład szczerej i niezwykle głębokiej wiary, zrobił wrażenie na Rzymie. Ważny był też polityczny wydźwięk jego dzieła – broniąc w pofaszystowskich

Włoszech idei, że demokracja jest jedynym słusznym ustrojem politycznym, Maritain wskazywał na konieczność zerwania katolików z antysemityzmem i prawicowym ekstremizmem. W ten sposób pomagał pojednać chrześcijan z demokracją. We Włoszech zaczęła się długotrwała współpraca Watykanu z chadecją.

Były ksiądz kurii Francesco Lepore potwierdza wpływ Maritaina na Watykan:

– Dzieło Maritaina jest na tyle ważne, że wciąż studiuje się je na papieskich uniwersytetach. Nadal istnieją we Włoszech „koła maritainowskie". A prezydent Republiki Włoskiej otworzył niedawno katedrę Maritaina.

Kardynał Giovanni Battista Re, substytut w sekretariacie stanu w czasach Jana Pawła II, podczas dwóch wywiadów, jakich udzielił mi w Watykanie, opowiadał o swoim oczarowaniu Maritainem – unisono z innymi duchownymi podzielającymi jego namiętność.

– Niewiele miałem w życiu czasu na lektury. Jednak czytałem Maritaina, Daniélou, Congara, *Życie Jezusa* Mauriaca. Jako bardzo młody człowiek poznałem dzieła wszystkich tych autorów. Francuski był dla nas drugim językiem. A Maritain był punktem odniesienia.

Podobny podziw do tego autora czuje kardynał Jean-Louis Tauran, zajmujący się „sprawami zagranicznymi" w sekretariacie stanu stolicy apostolskiej za Jana Pawła II, z którym rozmawiałem w Rzymie:

– Jacques Maritain i Jean Guitton mieli wielki wpływ na Watykan. Byli bardzo związani z Pawłem VI. Nawet za pontyfikatu Jana Pawła II często cytowano Maritaina.

Wpływowy zagraniczny dyplomata przy stolicy apostolskiej traktuje te wyznania z dystansem:

– Włoscy katolicy kochają mistyczną stronę Maritaina i doceniają jego pobożność, ale w głębi duszy uważają, że jest zanadto żarliwy. Stolica apostolska zawsze bała się tego zbyt egzaltowanego wiernego!

Subdziekan kolegium kardynalskiego, Francuz Roger Etchegaray, którego odwiedziłem dwukrotnie w jego wielkim mieszkaniu na Piazza di San Calisto w Rzymie, słysząc ten kryptonim, otwiera nagle oczy:

– Maritain, dobrze go znałem.

Kardynał, który przez długi czas był „latającym" ambasadorem Jana Pawła II, milknie na chwilę, potem proponuje mi czekoladę, w końcu, wziąwszy się w garść, ciągnie dalej:

– Znać kogoś… To coś, co nie jest możliwe. Nie możemy nikogo poznać. Tylko Bóg naprawdę nas zna.

Kardynał Etchegaray mówi mi, że Maritaina weźmie ze sobą do domu na południu Francji, gdzie zamierza spędzić emeryturę – odsuwaną na później od dwudziestu lat. W poszukiwaniu straconego czasu będzie kardynałowi towarzyszyć tylko część jego książek: Maritain, ale także Julien Green, François Mauriac, Andre Gide, Henry de Montherlant i dzieła Jeana Guittona, z którym też był blisko zaprzyjaźniony. Wszyscy ci autorzy, bez wyjątku, byli homofilni lub homoseksualni.

Nagle Roger Etchegaray bierze mnie za rękę pobożnym gestem z obrazów Caravaggia:

– Wie pan, ile mam lat? – pyta kardynał.

– Tak, myślę, że wiem…

– Mam dziewięćdziesiąt cztery lata. Trudno uwierzyć, prawda? Dziewięćdziesiąt cztery lata. W tym wieku lektury, ambicje, możliwości są już nieco ograniczone.

DŁUGOTRWAŁY WPŁYW MARITAINA wynika z wartości jego refleksji teologicznej i myśli politycznej, lecz nie bez znaczenia jest też jego biografia. Jądrem tajemnicy Maritaina jest jego małżeństwo z Raïssą i łączący ich tajemniczy pakt. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym związku, bo jest on bardzo istotny w kontekście naszego

tematu. Spotkanie Jacques'a i Raïssy wiąże się przede wszystkim ze spektakularnym podwójnym przejściem na katolicyzm: wcześniej on był protestantem, ona Żydówką. Zjednoczyła ich szalona miłość, a ich małżeństwo nie było ani białe, ani konwencjonalne. Nie było to też małżeństwo mieszczańskie ani zastępcze, chociaż Maritain pragnął zapewne uciec od samotności, od tego, co czasami nazywano „smutkiem mężczyzn bez kobiet".

Z tego punktu widzenia ich związek przypominał małżeństwa pisarzy, takich jak: Verlaine, Aragon lub później Jean Guitton. Można porównać go też do słynnego, prawdopodobnie nieskonsumowanego małżeństwa André Gide'a z jego kuzynką Madeleine. „Żona Gide'a zastąpiła jego matkę jako biegun dyscypliny i duchowej cnoty, ku któremu nieustannie musiał się zwracać i bez którego drugi biegun – radości, wyzwolenia, perwersji – utraciłby wszelkie znaczenie" – pisze George Painter, biograf Gide'a. W ten sposób autor *Lochów Watykanu* równoważył wolność i przymus.

Życie Maritaina też ma dwa bieguny – jest żona Raïssa i jest drugi świat – nie perwersji, lecz przyjacielskich „skłonności". Nie uległ „złu", więc diabeł kusi go cnotą przyjaźni.

Jacques i Raïssa stworzyli parę idealną, ale przez większość życia bez seksu. Ten złudny heteroseksualizm to nie tylko wybór związany z religią, jak długo wierzono. W 1912 roku Maritainowie zdecydowali się złożyć śluby czystości, co długo było tajemnicą. Czy to ofiarowanie cielesnego pragnienia było darem dla Boga? Ceną zbawienia? Możliwe. Maritainowie mówili o „duchowym stowarzyszeniu". Mówili, że chcą pomóc sobie nawzajem w dotarciu do Boga. Być może ta niemal katarska wersja związku między płciami to także znak czasów, wybierało ją wtedy wiele osób homofilnych. Albowiem w otoczeniu Maritaina było

niewyobrażalnie dużo homoseksualistów.

Przez całe życie Maritain był człowiekiem wielkich „miłosnych przyjaźni” z najsłynniejszymi homoseksualnymi postaciami swojego stulecia. Był przyjacielem lub powiernikiem Jeana Cocteau, Juliena Greena, Maxa Jacoba, René Crevela, Maurice’a Sachsa, a także François Mauriaca, pisarza „ukrywającego się w szafie”, którego prawdziwe, nie tylko te wysublimowane, skłonności miłosne nie budzą już dziś wątpliwości.

W swoim domu w Meudon Maritain i Raïssa nieustannie i niezwykle gościnnie przyjmowali samotnych katolików, homoseksualnych intelektualistów i młodych efebów. Z tak cenioną przez swoje zniewieściałe otoczenie mądrą miną filozof rozprawiał do upadłego o grzechu homoseksualizmu i rzucał „kocham was” młodym przyjaciołom, których nazywał swoimi „chrześniakami” – on, który postanowił nie uprawiać seksu z żoną i nie miał dzieci.

Homoseksualizm to jedna z *idée fixe* Maritaina. Przyjaciel Pawła VI wracał nieustannie do tego tematu, o czym świadczy jego opublikowana niedawno korespondencja. Wprawdzie robi to w sposób zdystansowany – można by powiedzieć ratzingerowski. Maritain zamierza ratować gejów, zaprasza ich do swojego kółka w Meudon, aby chronić ich przed „złem”. Nienawiść do samego siebie? Zapewne. Lecz także troska o innych, szczera i uczciwa. Takie czasy.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać, tego żarliwego katolika wcale nie interesowali najbardziej ortodoksyjni, to znaczy najbardziej heteroseksualni, katolicy. Owszem, korespondował regularnie z jezuitą ojcem Henri de Lubakiem (przyszłym kardynałem) oraz, mniej już regularnie, z nieuchwytnym Paulem Claudelem. Jednak płynącym zawsze pod prąd pisarzem Georges’em Bernanosem był skłócony. Po tej stronie niewiele miał

przyjacielskich namiętności.

Za to jeśli chodzi o homoseksualistów, nie umknęła Maritainowi żadna wielka postać jego epoki. Miał, jak to się dziś mówi, bardzo czuły „gejdar”. Specjalizował się w przyjaźniach homofilnych pod pretekstem, że chce przywrócić wiarę i czystość kilku spośród największych „kochających inaczej” pisarzy XX wieku. I aby uchronić ich od grzechu, a może i piekła – wszak homoseksualność wciąż jeszcze śmierdziała wtedy siarką – Maritain pragnął czuwać nad nimi, „rozwiązać ich problem” – jak to ujmował. Dlatego ciągle się z nimi spotykał. Dlatego André Gide, Julien Green, Jean Cocteau, François Mauriac, Raymond Radiguet, Maurice Sachs, podobnie jak prawie wszyscy wielcy homoseksualni autorzy tamtych czasów, prowadzili z nim dialog. Przy okazji usiłował nawrócić ich i nakłonić do seksualnej abstynencji. Jak wiemy, nakłanianie do nawrócenia i wstrzemięźliwości, do wypierania „tego rodzaju skłonności” było na porządku dziennym aż do późnych lat sześćdziesiątych.

Konsekwencje tego dialogu będą dla nas bardzo istotne. Nie zrozumiemy bowiem papieży – Jana XXIII, Pawła VI i Benedykta XVI – ani większości kardynałów z kurii rzymskiej, jeśli nie rozszyfrujemy wysublimowanego, intymnego wpływu, jaki wywarł na nich maritainizm. We Włoszech, gdzie Maritain i francuska literatura, zarazem katolicka i homoseksualna, odegrały wielką rolę, wszyscy watykańscy hierarchowie dobrze o tym wiedzą.

Jeden z czołowych historyków literatury gejowskiej we Włoszech, profesor Francesco Gnerre, autor ważnych tekstów o Dantem, Leopardim, Pasolinim, podczas naszych rozmów w Rzymie wyjaśnia mi specyfikę tutejszej kultury:

– W przeciwieństwie do Francji, która miała Rimbauda i Verlaine’a, Marcela Prousta, Jeana Cocteau, Jeana Geneta i wielu innych, we Włoszech literatura homoseksualna przed rokiem 1968 nie

istniała lub prawie nie istniała. Tak naprawdę homoseksualizm pojawił się na pierwszych stronach gazet dopiero w latach siedemdziesiątych, powiedzmy wraz z Pasolinim. Do tego czasu homoseksualiści czytali Francuzów. Zresztą podobnie było z włoskimi katolikami, którzy przez długi czas czytali francuskich katolików, bardzo tu ważnych. A co najbardziej niesamowite – to byli dokładnie ci sami autorzy!

Przyjrzyjmy się sprawie dokładniej. Należy to zrobić, ponieważ tajemnica Sodomy kręci się wokół „kodu Maritaina" i „batalii", które Jacques Maritain stoczył z czterema znakomitymi francuskimi pisarzami: André Gide'em, Jeanem Cocteau, Julienem Greenem i Maurice'em Sachsem.

Z Gide'em poszło szybko. Korespondencja Maritaina z Gide'em, dziennik tego ostatniego i długie spotkanie obu mężczyzn pod koniec 1923 roku świadczą o tym, że Maritain chciał odwieść wielkiego pisarza, protestanta, od opublikowania *Corydona*, odważnego traktatu, w którym ujawnia swoją orientację i w czterech dialogach wykłada własną koncepcję homoseksualizmu. Maritain udał się do niego, by błagać w imieniu Chrystusa, aby nie publikował tej książki. Bał się, że wyznanie homoseksualizmu, którym będzie upublicznienie *Corydona,* „zgubi jego duszę". Gide naprawdę nie zamierzał tracić wolności, ulegając gderliwemu kaznodziei. Jego życiową dewizą, przedstawioną w *Pokarmach ziemskich*, było nieopieranie się dłużej pokusie.

– Nie znoszę kłamstwa – odpowiedział. – Pewnie tam mój protestantyzm szuka schronienia. Katolicy nie lubią prawdy.

Maritain wiele razy ponawiał próby zniechęcenia pisarza do publikacji książki. Daremny trud. Kilka miesięcy po ich spotkaniu André Gide, który od dawna już prywatnie przyznawał się do homoseksualizmu, wydał *Corydona* pod swoim prawdziwym

nazwiskiem. Jacques Maritain i François Mauriac byli przerażeni. Nigdy nie wybaczyli mu tego coming outu *avant la lettre*.

Druga potyczka, z Jeanem Cocteau, miała te same przyczyny. Maritain zaprzyjaźnił się z Cocteau już we wczesnych latach dwudziestych i był silniej przywiązany do tego młodego konwertyty niż do wielkiego pisarza protestanta. W domu Maritainów w Meudon Cocteau wciąż wydawał się rozsądnym, sumiennym katolikiem. Lecz gdy tylko się od nich oddalał, zaraz znajdował nowych kochanków, wśród nich młodego Raymonda Radigueta, którego w końcu przedstawił filozofowi. Co dziwne, Maritain, zamiast odrzucić tę głęboko sprzeczną z naturą homoseksualną relację, próbował raczej oswoić młodzieńca. Radiguet, cudowne dziecko literatury, autor *Diabła wcielonego*[42], który krótko po wydaniu tej książki w wieku ledwie dwudziestu lat zmarł na dur brzuszny, tak podsumował tę epokę: „Kto się nie żenił, ten się nawracał”.

Maritainowi znów się nie udało. Jean Cocteau podjął decyzję i wydał – najpierw anonimowo, a potem już pod własnym nazwiskiem – *Le Livre blanc*, książkę, w której wyznaje, że jest homoseksualistą. „To diabelski pomysł – pisał do niego Maritain. – Pierwszy raz publicznie dołączysz do sił zła. Pamiętaj o Oscarze Wildzie, o jego upadku i śmierci. Jeanie, tu chodzi o twoje zbawienie, o ratunek dla twojej duszy. Wolisz posłuchać mnie czy diabła? Jeśli mnie kochasz, nie wydawaj tej książki, powierz mi jej rękopis”. Cocteau wybrał diabła! „Potrzeba mi miłości, chcę kochać się z duszami” – odpowiedział hardo.

Le Livre blanc opublikowano. Spór między mężczyznami jeszcze się pogłębił, lecz ich związek, ta „miłosna przyjaźń”, po chwilowym załamaniu odżył – o czym świadczy ich korespondencja. Brat Jean-Miguel Garrigues, który złożył niedawno wizytę w klasztorze

Dominikanów w Tuluzie, gdzie Jacques Maritain spędził ostatnie lata życia, potwierdził, że Jean Cocteau odwiedzał filozofa aż do końca jego dni.

W trzeciej bitwie, z Julienem Greenem, Maritainowi poszło lepiej, choć ostatecznie też skończyła się jego przegraną. Przez prawie czterdzieści pięć lat prowadzili stałą korespondencję. Ich dialog, mistyczny i głęboko religijny, wznosił się na wyżyny. Jednak w samym sercu tej wymiany myśli znów była „rana”, rana homoseksualizmu. Juliena Greena nękało pożądanie wobec mężczyzn, już w młodości widział w tym zagrożenie, które oddala go od miłości Boga. Maritain szybko odgadł jego sekret, chociaż przez pierwsze dziesięciolecia ich korespondencji otwarcie o tym nie pisał. Żaden z nich nie wspomina wprost o swojej „skłonności”, lecz obaj krążą wokół tego tematu.

Maritain, sam będący konwertytą, podziwiał Juliena Greena za to, że nawrócił się w 1939 roku pod wpływem „kampanii” pewnego dominikanina, wierzącego w kapłaństwo jako rozwiązanie problemu homoseksualizmu (zakonnik także był gejem). Maritain doceniał też wstrzemięźliwość pisarza, tym bardziej wartościową, że płynącą z wiary.

Jednak z biegiem czasu Julien Green zmieniał się i przekraczał kolejne granice – najpierw odsłonił się w swoich utworach, które stały się otwarcie homoseksualne (myślę o jego wielkim dramacie *Sud*), a także zaczął otwarcie przeżywać swoje miłości, o czym zaświadczają jego dzienniki oraz kolejni kochankowie. Maritain, w odróżnieniu od Gide’a, nie zerwał stosunków z Greenem.

Cały nieocenzurowany dziennik Juliena Greena ma zostać dopiero opublikowany; z tego, co wiem, jego autor ujawnia się w nim jako czynny homoseksualista.

Czwarty pojedynek, również przegrany – co za klęska! – stoczył

z wiernym przyjacielem, mrocznym pisarzem międzywojnia Maurice'em Sachsem. Ten nawrócony na katolicyzm Żyd należał do osób najbliższych Maritainowi. Nazywał go „kochanym Jakiem". Był jednak także młodym, egzaltowanym gejem. Żarliwie się modlił, wstąpił do seminarium, ale przez swoich zgubnych szczególnych przyjaciół szybko wywołał tam skandal. Narratora jego powieści *Le Sabbat* znajomi, którym opowiada o seminarium, pytają, czy to nazwa gejowskiego nocnego klubu! Krytyk literacki Angelo Rinaldi tak opisał Maurice'a Sachsa: „Duchowny, raz w sutannie, raz w różowych slipach... jego schronieniem jest kabina sauny, gdzie spędza szczęśliwe dni na fellatio jak żarłoczny bobas". Niebawem Sachsa ze wszystkich stron otoczyły przepaście. Po 1940 roku podopieczny Jacques'a Maritaina, choć Żyd, został kolaborantem i pétainistą, potem nazistowskim kapusiem, a pod koniec wojny zginął w jakimś rowie z kulą w karku zastrzelony przez esesmana – w sumie niesamowity scenariusz.

Te cztery przegrane przez Jacques'a Maritaina bitwy odsłaniają między innymi homoseksualną obsesję filozofa. Stosunek Maritaina do kwestii gejów to moim zdaniem coś więcej niż wyznanie. Celowo używam będącego tu anachronizmem słowa „gej". Wolimy zazwyczaj dopasowywać słowa do opisywanych czasów – dlatego, kiedy to konieczne, mówię o „homofilii", „miłosnej przyjaźni" czy o „inklinacji". Czasami jednak warto nazwać rzeczy po imieniu. Zbyt długo w szkolnych podręcznikach pisano o Rimbaudzie i Verlainie jako „przyjaciołach" lub „towarzyszach", a jeszcze dzisiaj w Muzeach Watykańskich znajdujemy informacje o Antinousie jako „ulubieńcu" cesarza Hadriana, chociaż był jego kochankiem.

Tak więc w życiu Jacques'a Maritaina drugim, poza Chrystusem czy świętym Tomaszem z Akwinu, wielkim przedmiotem zainteresowania jest kwestia gejowska. Chociaż prawdopodobnie nie

był lub prawie nie był czynnym homoseksualistą, przeżywał homoseksualizm z takim samym oszalałym niepokojem jak swój katolicyzm. Oto sekret Maritaina i jedna z największych tajemnic katolickiego kapłaństwa – wybór celibatu i czystości jako wynik sublimacji lub wyparcia.

Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że Maritain, tak bardzo nienawidzący homoseksualizmu, spotykał się ze wszystkimi gejowskimi pisarzami swoich czasów? Był homofobem? Wojerystą? Albo, jak się uważa, człowiekiem zafascynowanym tym, co mu przeciwne? Moim zdaniem żadna z tych hipotez nie jest naprawdę przekonująca. Prawda może być dużo prostsza.

SPOWIEDŹ MARITAINA ZNAJDZIEMY w liście do Juliena Greena z 1927 roku. Tym razem problem pojawia się od drugiej strony – to Juliena Greena dręczy grzech homoseksualizmu, a Jacques Maritain, jak się zdaje, znajduje lek na to, co nazywa „tajemniczą chorobą".

Co proponuje Greenowi? Czystość. W obliczu „jałowej miłości" homoseksualizmu, „który zawsze pozostanie złem, głęboką odmową krzyża", Maritain broni jedynego jego zdaniem rozwiązania – „miłości do Boga ponad wszystko", czyli abstynencji. Remedium, jakie proponuje Greenowi, jakie Gide, Cocteau i Maurice Sachs już wcześniej odrzucili, on zastosował wraz z Raïssą – to sublimacja aktu seksualnego przez wiarę i czystość.

„Ewangelia nigdzie nie mówi, byśmy okaleczali nasze serca, radzi nam jednak być eunuchami dla królestwa bożego. Tak w moich oczach wygląda ta kwestia" – pisze do Juliena Greena.

Rozwiązać problem homoseksualizmu poprzez czystość, szczególną formę kastracji, by spodobać się Bogu – ta dość masochistyczna idea Maritaina miała wielką moc. W powojennym Watykanie głosiła ją większości kardynałów i biskupów. „Pozostać panem swojego cierpienia" – powiedziałby tu Aragon, kolejny genialny pisarz, który

głośno i publicznie opiewał „oczy” swojej żony Elsy, a po cichu i pokątnie uganiał się za chłopcami.

W jednym z listów do Cocteau Maritain czyni wyraźne wyznanie – jedynie miłość do Boga pozwala mu zapomnieć o ziemskich miłościach, które znał, „musi powiedzieć, choć wiele go to kosztuje, nie tylko z książek”.

„Nie tylko z książek?”. Możemy przypuszczać, że kwestia homoseksualizmu była naprawdę paląca w młodości Jacques’a Maritaina, mężczyzny zniewieściałego i wrażliwego, darzącego swoją matkę miłością wręcz karykaturalną, mężczyzny, który postanowił zniszczyć swoje prywatne zapiski, aby jego biografowie „nie zapuścili się za daleko”, nie dokopali się czasem jakiejś „starej, prywatnej historii” (jak twierdził jego biograf Jean-Luc Barré).

– Pisząc biografię Maritaina, nie chciałem użyć etykietki „homoseksualizm”, bo wszyscy sprowadziliby ją tylko do tej jednej kwestii – wyjaśnił mi Barré podczas wspólnego obiadu w Paryżu. – Jednak powinienem był to zrobić. Gdybym pisał o nim dziś, jaśniej ująłbym ten właśnie aspekt. W wypadku Maritaina prawdopodobnie możemy mówić o homoseksualizmie utajonym, a jednak zupełnie realnym.

WIELKA MŁODZIEŃCZA MIŁOŚĆ JACQUES’A MARITAINA to Ernest Psichari. Dwaj młodzi mężczyźni poznali się jeszcze jako nastolatki, w 1899 roku, w liceum Henri IV w Paryżu (Jacques miał wtedy szesnaście lat). To było uczucie od pierwszego wejrzenia. Natychmiast zrodziła się między nimi „miłosna przyjaźń” o potężnej sile. Ich wyjątkowa, nienaruszalna więź była – jak wyznawał Maritain matce – „wielkim cudem”. Ernest z kolei zwierzał się swojemu ojcu: „Nie wyobrażam już sobie życia bez przyjaźni Jacques’a, to jakbym miał żyć sam bez siebie”. Ta namiętność była

„fatalna" – pisał Maritain w innym liście.

Ich namiętny związek jest teraz dość dobrze znany. Wydana niedawno korespondencja dwóch młodych mężczyzn – sto siedemdziesiąt pięć miłosnych listów – może przyprawić o zawrót głowy: „Czuję, jak nasi dwaj nieznajomi przenikają się łagodnie, nieśmiało, powoli" – to słowa Maritaina. „Erneście, jesteś moim przyjacielem. Ty jedyny". „Twoje oczy są jak olśniewające latarnie. Twoje włosy są dziewiczym lasem pełnym szeptów i pocałunków". „Kocham cię, żyję, myślę o tobie". „W tobie, tylko w tobie, żyję". „Jesteś Apollem (...). Czy chciałbyś wyruszyć ze mną na Wschód, gdzieś daleko, do Indii? Będziemy sami na pustyni". „Kocham cię, całuję". „Twoje listy, mój miły, są dla mnie nieskończoną przyjemnością, wciąż czytam je od nowa. Jestem zakochany w każdym z twoich listów, w twoich *a*, w twoich *d*, twoich *n* i twoich *r*". Podobnie jak Rimbaud i Verlaine dwaj zakochani podpisują swoje wiersze, łącząc inicjały.

Czy to całkowite zjednoczenie z ukochaną istotą zostało skonsumowane, czy pozostało czyste? Tego nie wiemy. Zdaniem Yves'a Floucata, filozofa, tomisty, specjalisty od twórczości Maritaina i Juliena Greena, współzałożyciela Centre Jacques Maritain (którego zapytałem o to, gdy odwiedziłem go w Tuluzie), była to przyjaźń „namiętna, ale czysta". I dodaje (choć oczywiście nie istnieje żaden dowód ani na to, że doszło do zbliżenia, ani też na to, że do niego nie doszło), że „była to prawdziwa miłość między osobami tej samej płci".

Brat Jean-Miguel Garrigues z klasztoru Dominikanów w Tuluzie, gdzie Maritain dokonał żywota, widzi to tak:

– Związek Jacques'a i Ernesta był znacznie głębszy niż zwykłe koleżeństwo. Powiedziałbym, że był raczej k o c h a j ą c y niż miłosny, że jego istotą było raczej płynące z głębi serca pragnienie

uszczęśliwienia tej drugiej osoby niż emocjonalne czy cielesne pożądanie. Dla Jacques'a była to raczej „miłosna przyjaźń" niż homofilia, jeśli rozumiemy ją jako – mniej lub bardziej skuteczną – sublimację libido. Z kolei Ernest przez lata miał stosunki homoseksualne.

Fakt, że Psichari był czynnym homoseksualistą, nie budzi już dziś żadnych wątpliwości – potwierdza to wydana ostatnio biografia, publikacja jego *Carnets de route* i pojawienie się nowych świadectw. Wiemy, że w Afryce miał niezliczone romanse w stylu Gide'a, we Francji zaś do śmierci korzystał też z usług męskich prostytutek. Także korespondencja (długi czas niepublikowana) dwóch najbliższych przyjaciół Ernesta Psichariego, czyli Jacques'a Maritaina i katolickiego pisarza Henri Massisa, potwierdza jego homoseksualizm. Massis martwi się nawet, że „straszna prawda pewnego dnia wyjdzie na jaw".

Warto przypomnieć również, że André Gide nie zawahał się zdradzić orientacji Psichariego w pewnym artykule w „Nouvelle Revue française" we wrześniu 1932 roku. Bardzo tym zasmucony katolicki pisarz Paul Claudel postanowił wykorzystać pomysł, jaki zastosował już wcześniej do „obrony" Arthura Rimbauda – uznał, że nawrócenie się homoseksualisty Ernesta jest cudownym zwycięstwem Boga. „Działanie Boga w takiej duszy jest tym wspanialsze" – podsumował Claudel.

Ernest Psichari zginął w wieku trzydziestu jeden lat. Dwudziestego drugiego sierpnia 1914 roku niemiecka kula trafiła go w skroń. Jacques dowiedział się o tym kilka tygodni później. Maritain nigdy nie znalazł pocieszenia po stracie ukochanego przyjaciela, nigdy nie zdołał zapomnieć tego, który był jego wielką młodzieńczą miłością – przed Chrystusem i przed Raïssą. Wiele lat później wyruszył do Afryki w podróż jego śladami. Utrzymywał też kontakty z siostrą

Ernesta, a podczas drugiej wojny światowej chciał walczyć, aby „umrzeć jak Psichari". Przez całe życie Jacques nieustannie przywoływał ukochanego, swoją utraconą Eurydykę; po jego śmierci często mówił o „pustyni życia". Tego bólu na pewno nie znał „tylko z książek".

BY ZROZUMIEĆ W KONTEKŚCIE NASZEGO TEMATU specyficzną socjologię katolicyzmu, a zwłaszcza Watykanu, odwołajmy się do tego, co będę tutaj nazywać „kodem Maritaina". Homoseksualizm poddany sublimacji lub wyparciu często prowadzi do wyboru celibatu i czystości, a ostatnio nierzadko przybiera też formę tzw. uwewnętrznionej homofobii [występującej u osób homoseksualnych, związanej z nieakceptowaniem własnej orientacji – przyp. red.]. Większość papieży, kardynałów i biskupów, którzy mają dziś więcej niż sześćdziesiąt lat, to osoby ukształtowane właśnie w takiej atmosferze, w mentalności „kodu Maritaina".

Watykan jest nie tylko teokracją, jest również gerontokracją. Nie zdołamy pojąć Kościoła, od czasów Pawła VI do Benedykta XVI, a nawet za pontyfikatu Franciszka, nie zrozumiemy kardynałów, ich zwyczajów, ich intryg, za punkt odniesienia biorąc dzisiejszy gejowski styl życia. Aby uchwycić całą złożoność tego świata, musimy wrócić do wcześniejszych wzorców, nawet jeśli zdają się nam przestarzałe. Trzeba wrócić do czasów, gdy nie było się homoseksualistą, ale „homofilem", kiedy odróżniało się tożsamość homoseksualną od związanych z nią praktyk, kiedy częsty był biseksualizm; do sekretnego świata, w którym małżeństwa dla pozoru były regułą, a homoseksualne pary wyjątkiem. Do epoki, w której młodzi homoseksualiści z Sodomy zakaz seksu i małżeństwa z kobietami przyjmowali z radością.

Kapłaństwo było oczywistym wyborem dla mężczyzn, którzy własne skłonności mieli za sprzeczne z naturą – to fakt

niezaprzeczalny. Jednak konkretne ścieżki i style życia mogą tu być bardzo różne: mistyczna czystość, duchowe kryzysy, podwójne życie, czasami sublimacja, egzaltacja lub perwersja. Jeden element jest stały – to ogólne poczucie niepewności, świetnie oddane przez francuskich homoseksualnych pisarzy katolickich i ich „ciągłe balansowanie między chłopcami, których piękno skazuje ich na potępienie, a Bogiem, który ich rozgrzesza w swej dobroci” (jak to ujął Angelo Rinaldi).

Dlatego kontekst – te teologiczne i literackie debaty z innej epoki – jest w tym wypadku tak dla nas ważny. Ksiądz, który w 1930 roku był aseksualny, mógł w roku 1950 stać się homofilny, zaś w 1970 mógł mieć homoseksualne stosunki. Wielu duchownych pełniących obecnie funkcje kardynałów przeszło wszystkie te etapy: interioryzacji pragnienia, walki z samym sobą, homofilii, potem rezygnacji z „sublimowania” czy „przezwyciężania” homoseksualizmu. Zaczynali w końcu – najpierw ostrożnie, wkrótce zuchwale lub namiętnie, czasem wręcz w upojeniu – żyć w zgodzie z własną naturą. Oczywiście ci kardynałowie, którzy osiągnęli już dziś wiek kanoniczny, mając siedemdziesiąt pięć czy osiemdziesiąt lat, nie są już na tym polu zbyt „czynni”. Jednak ta skomplikowana tożsamość naznacza ich od środka, jest stygmatem na całe życie. A co najważniejsze, wbrew temu, co niektórym mogłoby się zdawać, ich podróż przebiegała zawsze w jednym kierunku – od wyparcia do przyjęcia wyzwania lub – jeśli chcemy użyć określeń z Proustowskiej *Sodomy i Gomory* – od odrzucenia „przeklętej rasy” do obrony „narodu wybranego”. I to jest kolejna, dziewiąta reguła Sodomy: W Watykanie osoby homofilne na ogół przechodzą przemianę od życia w czystości do homoseksualizmu, homoseksualiści zaś nigdy nie robią kroku w tył, nie wracają

do nieseksualnego upodobania do własnej płci.

Jak już zauważył teolog i psychoanalityk Eugen Drewermann, istnieje faktycznie „coś w rodzaju tajnego wspólnictwa Kościoła katolickiego i homoseksualizmu”. W Watykanie często obserwowałem tę dychotomię. Można nawet powiedzieć, że jest to jedna z panujących tam zasad: zdecydowane odrzucenie homoseksualizmu poza Kościołem i jego zadziwiająco wysoka wartość wewnątrz stolicy apostolskiej. Stąd bierze się swego rodzaju „gejowska masoneria”, wiele znacząca w Watykanie, z zewnątrz właściwie niewidzialna.

Podczas mojego śledztwa niezliczeni kardynałowie, arcybiskupi, monsiniorzy i inni księża z wielkim zapałem opowiadali mi o swoim nieomal chrystusowym uwielbieniu dla dzieł François Mauriaca, André Gide’a lub Juliena Greena. Ostrożnie, ważąc słowa, przekazywali mi klucz do zrozumienia swoich bolesnych zmagań, „kod Maritaina”. Myślę, że w ten właśnie sposób, z nieskończoną słodyczą i z gardłem ściśniętym lękiem, ujawniali mi swoją tajemnicę.

8.

Miłosna przyjaźń

W CZASIE PIERWSZEGO SPOTKANIA z arcybiskupem Jean-Louis Bruguèsem popełniłem niewybaczalny błąd. Faktem jest, że w kurii rzymskiej nietrudno pomieszać rangi i tytuły. Różnią się, zależą od dykasterii (watykańskich ministerstw), miejsca w hierarchii, zakonów, a czasem od innych kryteriów. Do jednych powinno się zwracać „eminencjo" (kardynał), do innych „ekscelencjo" (arcybiskup, biskup), do jeszcze innych „monsiniore" (więcej niż zwykły ksiądz, ale mniej niż biskup). Czasem prałat jest po prostu ojcem lub bratem, a czasami biskupem. Ale jak się zwracać do nuncjusza, który ma tytuł arcybiskupa? Nie wspominając już o „monsiniore", tytule honorowym, przynależnym prałatom, ale także zwykłym księżom?

Kiedy przygotowywałem się do wywiadu z Tarcisio Bertonem, „premierem" Benedykta XVI, jego osobisty asystent, przejmując inicjatywę, napisał w e-mailu, że byłoby uprzejmie zwracać się do kardynała „wasza eminencjo".

Dla Francuza takie słowa pachną monarchią i arystokracją – a my skróciliśmy o głowę tych, co strugali ważniaków! Prowadząc rozmowy w Watykanie, dla żartu grubo z tymi pochlebnymi tytułami przesadzałem. Faszerowałem nimi również wysyłane do stolicy apostolskiej listy, pięknie kaligrafując te nonsensowne formuły gotyckimi literami, na dole dodając pieczątkę z monogramem, numer, heraldyczny podpis. I miałem wrażenie, że im więcej użyłem pedantycznych tytułów i pieczątek z brązowego tuszu, tym bardziej pozytywny był odzew. A przecież nic nie jest mi

bardziej obce niż próżne formuły i etykieta z innych epok. Gdybym się odważył, perfumowałbym te moje listy!

W odpowiedzi dostawałem pyszne epistoły. Pełne nagłówków, grubych podpisów niebieskim atramentem i czułości („Pregiatissimo Signore Martel" – pisał Angelo Sodano), prawie zawsze napisane nienagannym francuskim, z czołobitną wręcz uprzejmością. „Życzę panu dobrej wspinaczki w kierunku Wielkanocy" – napisał biskup Battista Ricca. „W nadziei, że wkrótce powitam pana in Urbe" – to słowa biskupa Fabrice'a Riveta. „Zapewniając o moich modlitwach" – czytam w liście od arcybiskupa Rina Fisichellego. „Wznosząc za pana modlitwę w Chrystusie" – pisał kardynał Dario Castrillón Hoyos (dziś już nieżyjący). „Proszę uwierzyć w moje najlepsze uczucia w Chrystusie" – tak zakończył kardynał Robert Sarah. Kardynał Óscar Maradiaga, który po dwóch listach został moim przyjacielem, zawsze odpowiadał po hiszpańsku: „Le deseo una devota Semana Santa y una feliz Pascua de Resurrección, su amigo". Jeszcze bardziej koleżeński kardynał z Neapolu, Crescenzio Sepe, w bardzo miłym liście nazywał mnie „Gentile Signore", kończył zaś bardzo swobodnym „cordiali saluti". Biskup Fabian Pedacchio, osobisty sekretarz Franciszka, zakończył w ten sposób: „Prosząc serdecznie o modlitwę za papieża, zapewniam w imię Pana o moim oddaniu". Zachowałem dziesiątki podobnych listów.

Szczęśliwi epistolografowie w starym stylu! W 2019 roku większość kardynałów wciąż nie korzysta z e-maila, wielu nadal woli tradycyjną pocztę, niektórzy używają faksu. Czasami asystenci drukują im e-maile, a oni odpowiadają ręcznie na papierze. Takie listy natychmiast są skanowane i przesyłane do odbiorcy pocztą elektroniczną!

Większość z tych kardynałów wciąż postrzega stosunki władzy w renesansowym stylu. Zawsze chichotałem w duchu, mówiąc

do kardynała „wasza eminencjo”. Podoba mi się za to prostota papieża Franciszka, który chciał skończyć z tymi pretensjonalnymi tytułami. Czy to nie dziwne, że zwykli „minutantes” każą się nazywać „monsiniorami”? Że nieszczęśni nuncjusze „z szaf” są „ekscelencjami”? Że kardynałowie nawet w korespondencji elektronicznej chcą być „eminencjami”. Na ich miejscu chciałbym, żeby mówiono do mnie „proszę pana”. A jeszcze lepiej: Angelo, Tarcisio czy Jean-Louis!

Jako spadkobierca francuskiej laickiej tradycji postanowiłem w tej książce – o czym była już mowa – nie zawsze przestrzegać watykańskich konwenansów. Piszę „stolica apostolska”, a nie „Stolica Apostolska”, ojciec święty, papież – bez wielkich liter. Nigdy nie mówię „Jego Świątobliwość” i nie piszę „sancta sanctorum”. Słowa „eminencja” używam ironicznie. Nie poprzedzam słowem „święty” imienia Jana Pawła II, szczególnie po tym, jak wyszła na jaw podwójna gra jego otoczenia! Francuska laickość, tak źle rozumiana w Rzymie – nawet, niestety, przez Franciszka – polega na szacunku dla wszystkich religii i nienadawaniu szczególnego statusu żadnej z nich. Za to słowo „Poeta”, które w tej książce zawsze odnosi się do Rimbauda, piszę oczywiście dużą literą! Na szczęście we Francji mocniej wierzymy w poezję niż w religię.

Do monsiniora Bruguèsa zwróciłem się jak należy, „ekscelencjo”, jednak tuż potem dodałem, że jestem szczęśliwy, mogąc poznać francuskiego kardynała. Poważny błąd debiutanta! Jean-Louis Bruguès nie przerwał, pozwolił mi mówić, lecz udzielając odpowiedzi, między dwoma nieistotnymi zdaniami przemycił z obojętną i fałszywie skromną miną, jakby jego tytuł nie miał żadnego znaczenia:

– Zresztą nie jestem kardynałem. To nie jest automatyczne. Jestem tylko arcybiskupem.

W jego głosie (mówi z pięknym akcentem z południowo-

zachodniej Francji, dzięki któremu natychmiast wzbudził we mnie sympatię) można było jednak wyczuć ból.

Moją pierwszą rozmowę z Bruguèsem nagrywałem do audycji radiowej, obiecałem mu więc, że wytnę kawałek, w którym nazywam go kardynałem. Potem spotykaliśmy się wiele razy i już więcej nie popełniłem tego błędu. Dowiedziałem się, że przez jakiś czas był na „krótkiej liście" kandydatów do purpury, co oczywiste, zważywszy na jego związki z Benedyktem XVI, dla którego redagował trudne fragmenty dotyczące homoseksualizmu w *Nowym Katechizmie Kościoła katolickiego*. Jednak papież ustąpił, a jego następca, Franciszek, nigdy nie przebaczył arcybiskupowi Bruguèsowi, że jako sekretarz generalny Kongregacji do spraw Edukacji Katolickiej usiłował nie dopuścić do mianowania jego przyjaciela rektorem katolickiego uniwersytet w Buenos Aires. Kardynalski kapelusz przeszedł mu więc koło nosa. (W 2018 roku, po zakończeniu kadencji, papież nie zostawił go też na stanowisku bibliotekarza Świętego Kościoła rzymskiego i Bruguès musiał opuścić Watykan).

– Ojciec święty niczego nie zapomina. Jest bardzo pamiętliwy. Długo nie przebacza, jeśli ktoś go zdenerwował czy wszedł mu w drogę. Bruguès nie będzie kardynałem, dopóki Bergoglio jest papieżem – wyjaśnił mi inny francuski arcybiskup.

Przez długi czas Jean-Louis Bruguès kierował słynną Biblioteca Apostolica Vaticana i nie mniej słynnymi Tajnymi Archiwami Watykanu. Biblioteka ta z nabożną troską przechowuje watykańskie „kodeksy", starożytne księgi, bezcenne papirusy, inkunabuły i egzemplarz Biblii Gutenberga na welinowym papierze.

– Jesteśmy jedną z najstarszych i najbogatszych bibliotek na świecie. W sumie mamy pięćdziesiąt cztery kilometry książek drukowanych i osiemdziesiąt siedem kilometrów archiwów – wylicza

skrupulatnie Bruguès.

Kardynał Raffaele Farina, z którym kilkakrotnie rozmawiałem w Watykanie, poprzednik Bruguèsa w tajnych archiwach, dał mi do zrozumienia, że najbardziej wrażliwe akta, zwłaszcza te dotyczące nadużyć seksualnych popełnianych przez księży, przechowuje się raczej w sekretariacie stanu: „Tajne archiwa są tajne tylko z nazwy!”. (Podczas jednej z rozmów Farina poinformował mnie – tak przy okazji – że komisja mająca walczyć z pedofilią w stolicy apostolskiej „nie robi nic”).

Z kolei ojciec Urien (jego imię zostało zmienione), który długo pracował w sekretariacie stanu, gdzie przechowuje się te poufne dokumenty, stwierdził kategorycznie:

– W sekretariacie stanu znajdują się wszystkie raporty dotyczące skandali finansowych w Watykanie, afer pedofilskich, homoseksualizmu. Także wszystko to, co wiadomo o Pawle VI. Gdyby te dokumenty zostały upublicznione, wymiar sprawiedliwości mógłby zainteresować się papieżami, kardynałami i biskupami. Te archiwa to coś więcej niż mroczne oblicze Kościoła. To sam diabeł!

Podczas naszych pięciu spotkań arcybiskup Bruguès jest niezwykle ostrożny i unika trudnych tematów, choć rozmowy dotyczą głównie literatury – jest on namiętnym czytelnikiem Prousta, François Mauriaca, André Gide’a, Jeana Guittona, Henry’ego de Montherlanta, Tony’ego Duverta, Christophera Isherwooda. Zwiedził Valparaíso śladami Pierre’a Lotiego, w klasztorze Dominikanów w Tuluzie poznał Jacques’a Maritaina i długo korespondował z Julienem Greenem.

– Nowsze archiwa są zamknięte – ciągnie dalej Bruguès. – Otwiera się je stopniowo, tylko ojciec święty może zdecydować o upublicznieniu dokumentów z kolejnego okresu. Obecnie

otwieramy archiwa Piusa XII, czyli te z drugiej wojny światowej.

Na archiwa Pawła VI trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

CZY PAWEŁ VI FAKTYCZNIE MIAŁ DRUGIE, UKRYTE OBLICZE? Plotka o homoseksualizmie mężczyzny, który przez piętnaście lat, od 1963 do 1978 roku, był papieżem, wracała jak bumerang. Wielu kardynałów rozmawiało o tym ze mną bardzo swobodnie. Osoba, która miała dostęp do tajnych archiwów sekretariatu stanu, zapewnia mnie nawet, że istnieją związane z tym dokumenty. Nie są jednak dostępne i nie wiemy, co zawierają.

Aby przeniknąć tajemnicę otaczającą tego papieża w całej jej złożoności, znów musimy działać nieschematycznie. Wobec braku niezbitych dowodów trzeba przyjrzeć się starannie wszystkim poszlakom – należą do nich po pierwsze lektury Pawła VI, kwintesencja „kodu Maritaina"; po drugie przyjaźnie – z tymże Maritainem, a także z Karolem Journetem i Jeanem Daniélou; po trzecie zaś jego wyjątkowo homofilne otoczenie w Watykanie. Do tego dochodzi jeszcze Jean Guitton. W plątaninie szczególnych skłonności, „miłosnej przyjaźni" i namiętności tego wykształconego, francuskojęzycznego papieża, można dostrzec jeden stały element.

Na tym etapie czytelnik wie już wystarczająco dużo. Może jest nawet znużony tymi sączonymi po kropelce spowiedziami, tymi szyframi kryjącymi rzeczy w istocie banalne. Muszę jednak do tego wrócić, bo wszystko ma swoje znaczenie, a szczegóły te wkrótce doprowadzą nas do samego jądra niepokojącego pontyfikatu Jana Pawła II i ratzingerowskich fajerwerków. Ale po kolei...

Prawicowy francuski pisarz katolicki Jean Guitton (1901-1999) urodził się i zmarł wraz z XX wiekiem. Ten płodny autor był przyjacielem Maritaina, ale także zdeklarowanego homoseksualisty Jeana Cocteau. Jego dzieje w czasie drugiej wojny światowej nie zostały spisane, można się jednak domyślić, że był bliskim

współpracownikiem i totumfackim marszałka Pétaina. Jego prace, zarówno teologiczne, jak i filozoficzne nie miały wielkiej wartości i dziś są prawie całkowicie zapomniane. Jedyne, co się ostało, to kilka słynnych wywiadów z prezydentem François Mitterrandem i właśnie z papieżem Pawłem VI.

– We Francji Jeana Guittona nigdy nie brano zbyt poważnie. Był teologiem katolickiej burżuazji. Jak to się stało, że był tak blisko Pawła VI, pozostaje tajemnicą – komentuje redaktor naczelny „Esprit", Jean-Louis Schlegel, którego odwiedziłem w redakcji pisma.

Pewien włoski kardynał dodaje coś jeszcze, nie wiem jednak, czy mówi to naiwnie, czy też chce mi przekazać jakąś wiadomość:

– Dzieło Jeana Guittona prawie nie istnieje we Włoszech. To był kaprys Pawła VI, bardzo szczególna przyjaźń.

Podobnie widzi to kardynał Poupard, który długo był jego przyjacielem:

– Jean Guitton jest znakomitym pisarzem, ale nie myślicielem.

Mimo płycizny jego twórczości przyjaźń z papieżem Pawłem VI z pewnością opierała się na wspólnocie poglądów, zwłaszcza dotyczących moralności i moralności seksualnej. Dwa historyczne teksty pokazują ten związek. Pierwszy to słynna encyklika *Humanae vitae* ogłoszona w 1968 roku, dotycząca małżeństwa i antykoncepcji. Znana jest też pod niezbyt pochlebną nazwą „encykliki o pigułce", bo kategorycznie zakazuje jej używania – każdy stosunek seksualny musi umożliwiać poczęcie.

Drugi tekst jest nie mniej słynny – chodzi o „deklarację" *Persona humana* z 29 grudnia 1975 roku. Deklaracja potępia „zepsucie obyczajów", zaleca całkowitą czystość przed zawarciem małżeństwa (Kościół chce położyć kres wspólnemu mieszkaniu przed ślubem), surowo sankcjonuje masturbację („akt wewnętrznie i ciężko nieuporządkowany") i zakazuje homoseksualizmu. „Według

obiektywnego porządku moralnego stosunki homoseksualne są pozbawione ich niezbędnego i istotnego uporządkowania. W Piśmie Świętym są one potępione jako poważna deprawacja, a nawet są przedstawione jako zgubne następstwo odrzucenia Boga”[43].

To teksty ważne, a zarazem już w momencie powstania anachroniczne. Natychmiast spotkały się z surową krytyką społeczności naukowej, której biologiczne, medyczne i psychoanalityczne odkrycia Kościół zlekceważył. Opinia publiczna przyjęła je jeszcze gorzej. Kościół katolicki szedł brutalnie pod prąd zmian społecznych, a dystans między nim a realnym życiem wiernych nie przestał się poszerzać. Katolicy nigdy nie zrozumieją tych archaicznych zasad. Nowe pary, młodzi ludzie, powszechnie je zignorują lub wyśmieją, zaskakująca większość wierzących je odrzuci. Mówiono w tym kontekście nawet o „cichej schizmie”, której konsekwencją był spadek powołań i malejąca liczba praktykujących katolików.

– Problemem nie było samo mówienie o moralności seksualnej, większość chrześcijan oczekiwała tego i dalej oczekuje. Humanizacja seksualności – jak to nazwał Benedykt XVI – to temat, który Kościół powinien poruszać. Błędem było to, że ustawiając – jeśli mogę tak powiedzieć – poprzeczkę zbyt wysoko, odrywając się od rzeczywistości, stając się niesłyszalny, Kościół sam wykluczył się z dyskusji na temat moralności seksualnej. Twarde stanowisko w sprawie aborcji byłoby lepiej przyjęte, gdyby towarzyszyło mu na przykład elastyczne podejście do antykoncepcji. Żądając czystości od ludzi młodych, rozwodników i homoseksualistów, Kościół przestał przemawiać do własnych wyznawców – ubolewa kardynał, z którym rozmawiałem w Rzymie.

Dzięki wypowiedziom świadków i dokumentom archiwalnym wiemy, że długo dyskutowano nad zakazem pigułek, a zapewne

również nad moralnym potępieniem masturbacji, homoseksualizmu i celibatu księży. Zdaniem historyków zwolennicy twardej linii byli w mniejszości. To sam Paweł VI *ex cathedra* podjął decyzję. Zrobił to, przyłączając się do konserwatywnego skrzydła reprezentowanego przez starego kardynała Ottavianiego oraz przez nową postać, kardynała Wojtyłę, przyszłego papieża Jana Pawła II, który choć dołączył późno, odegrał decydującą rolę w tym spektakularnym utwardzaniu moralności seksualnej Kościoła. Jean Guitton, zwolennik heteroseksualnej czystości, walczył także o utrzymanie celibatu księży.

Wielu teologów i ekspertów, których spotkałem, skarży się na papieża Pawła VI, którego idee były tak mało heterodoksyjne, że „przyjął twardą linię” ze złych powodów strategicznych lub osobistych. Zwracają uwagę na to, że celibat jest wartością historycznie bronioną w Kościele przez jego homofilnych i homoseksualnych członków. Według jednego z tych teologów: „Niewielu heteroseksualnych księży pozytywnie ocenia abstynencję; to w istocie idea forsowana przez księży homoseksualnych, a przynajmniej tych, którzy mają ogromne wątpliwości dotyczące własnej seksualności”. Czy decyzja o utrzymaniu celibatu księży zdradza nam słodką tajemnicę Pawła VI? Wiele osób tak dzisiaj myśli.

Przyjęcie takiego, niezgodnego z duchem czasu priorytetu, wiele nam mówi o mentalności Watykanu. Zachęca nas także do zastanowienia się nad quasi-socjologiczną obserwacją, ważną co najmniej od średniowiecza (jeśli wierzyć historykowi Johnowi Boswellowi), będącą także dziesiątą regułą Sodomy: Homoseksualni księża i teologowie są znacznie bardziej skłonni narzucać celibat księżom niż ich heteroseksualni

współwyznawcy. Bardzo zależy im na respektowaniu ślubu czystości, choć jest wewnętrznie sprzeczny z naturą.

Najbardziej podejrzani są oczywiście najżarliwsi zwolennicy ślubu czystości. W tym miejscu dialog między Pawłem VI a Jeanem Guittonem robi się naprawdę interesujący, zaczyna się tu prawdziwy współczesny dramat.

Temat czystości wracał w twórczości przywoływanych już autorów homoseksualistów, od François Mauriaca do Juliena Greena, nie wspominając o Jacques'u Maritainie, ale u Guittona graniczy to z obłędem.

Jean Guitton, pochodzący z burżuazyjnej katolickiej rodziny, w której wszyscy „trzymali się na dystans", nigdy nie wywlekał prywatnego życia na forum publiczne – długo więc było owiane tajemnicą. Ten ascetyczny purytanin nie mówił o swoich uczuciach ani się nie zwierzał – choć był osobą świecką – z miłosnych doświadczeń. Wypytywani przeze mnie świadkowie potwierdzili, że Jeana Guittona nie bardzo interesowały kobiety. Uważał je za „rodzaj dekoratywny"[44], jak to ujmowały mizoginistyczne postaci z *Portretu Doriana Graya*.

Ożenił się jednak, choć w późnym wieku, z Marie-Louise Bonnet. W rozdziale jego autobiografii, *Un siècle, une vie*, poświęconym żonie, trudno nie dostrzec silnej mizoginii: „Szukałem anioła, który prowadziłby dom, walczył z kurzem. Anioł pojawił się w postaci Marie-Louise, nauczycielki historii sztuki i gospodarstwa domowego w liceum w Montpellier"[45]. Nie mieli dzieci i nie wiemy, czy związek w ogóle został skonsumowany. Żyli „jak brat i siostra", zgodnie z przypisywanym mu wyrażeniem, a po śmierci żony Guitton pozostał samotny.

Nie umknęło to uwadze Florence Delay, pisarki, która po śmierci

Guittona zajęła jego fotel w Akademii Francuskiej. Zgodnie z tradycją w dniu, w którym dołączała do czcigodnego grona, wygłosiła poświęconą swojemu poprzednikowi laudację. Jednak, co nieczęste, pochwały pod adresem zmarłego przeplatane były licznymi aluzjami do jego legendarnej mizoginii: „Co by pomyślał, widząc, że [jego miejsce zajmuje] kobieta, którą uznawał za byt niedoskonały!”. Jego późnego małżeństwa nie potraktowała poważnie: „Niektórych zaskakuje lub bawi to, że pan Guitton, najwyraźniej powołany do czystości mnicha, lub bardziej filozoficznie do kantowskiego celibatu, napisał esej o ludzkiej miłości – nawet jeszcze przed swoim czułym, jesiennym małżeństwem z Marie-Louise Bonnet. Napisał go, bo ludzka miłość obejmuje także tę płynącą od ucznia do mistrza i od mistrza do ucznia”. Ach! jak elegancko Delay potrafiła to ująć!

Gdyby nowa członkini Akademii była bardziej przewrotna lub ironiczna, mogłaby uczynić dyskretną aluzję do popularnej uwagi współczesnego Guittonowi seksuologa Alfreda Kinseya. Autor słynnego raportu na temat amerykańskiej seksualności pokazał po raz pierwszy w sposób naukowy, jak wysoki jest odsetek homoseksualistów w całym społeczeństwie. A skoro homoseksualizm jest tak szeroko rozpowszechniony, to przestaje być anomalią, chorobą lub perwersją. Kinsey dodawał do tego z uśmiechem, że ostały się już tylko trzy prawdziwe perwersje: wstrzemięźliwość, celibat i późne małżeństwo! A zatem Guitton byłby po trzykroć perwersyjny!

O ile Guitton nie kochał kobiet i nigdy nie mówił o płci pięknej, zupełnie dla niego niewidzialnej, o tyle wielu mężczyzn obdarzył „miłosną przyjaźnią”. Począwszy od kardynała Pouparda, z którym bardzo długo korespondował (może ponad dwieście listów, jeszcze nieopublikowanych, ujrzy kiedyś światło dzienne). Uczuciem darzył także swoich uczniów, zwłaszcza niejakiego Louisa Althussera, „tak

jasnego i pięknego, że chętnie by go uczynił swoim apostołem” (to znów śmiałe słowa Florence Delay!).

Relacja Jeana Guittona z papieżem Janem XXIII, którego znał jeszcze jako Roncallego, nuncjusza w Paryżu, również wydaje się dość nietypowa, a „miłosną przyjaźnią” mogła stanowić jej element.

Podobny charakter miała także wcześnie zadzierzgnięta więź z Giovannim Battistą Montinim, przyszłym papieżem Pawłem VI. Ich bliskość była źle rozumiana i dała pożywkę wielu plotkom. Teolog tak wpływowy jak ojciec Daniélou nie wahał się powiedzieć, że „papież [Paweł VI] postąpił nieroztropnie [dopuszczając] Guittona do soboru”. Inni kpili z ojca świętego, że „zakochał się w drugorzędnym pisarzu, bez literackiej wartości”. W Watykanie powtarzano żart – opowiada mi jeden z byłych dyrektorów Radia Watykańskiego – „Nie powinniśmy zaliczać Guittona do świeckich uczestników soboru, bo przecież nie ma dzieci…”.

Przy lekturze dość napuszonych *Dialogues avec Paul VI*, książki złożonej z autentycznych lub wyimaginowanych wywiadów Jeana Guittona z papieżem (opatrzonych wstępem kardynała Paula Pouparda), także uderza pewna dziwność rozmowy papieża z osobą świecką na temat wstrzemięźliwości oraz tego, co nazywają „naddatkiem miłości” między Jezusem i Piotrem, zawierającym w sobie „budzące lęk żądanie”.

Ten język dobrze już znamy. To język wczesnego Gide’a i późnego Mauriaca, Juliena Greena, Henri de Montherlanta, wreszcie Maritaina. Język winy i nadziei na „cywilizację miłości” (jeśli możemy odwołać się do słynnego wyrażenia Pawła VI). Język Platona, na nowo popularnego właśnie dzięki Pawłowi VI, który usunął go z indeksu ksiąg zakazanych, gdzie znalazł się w towarzystwie Montaigne’a, Machiavellego, Woltera, André Gide’a i wielu innych.

Zresztą nie przesadzajmy. Możliwe, że Jean Guitton dyskutował „w stylu Maritaina” szczerze i naiwnie, nie zdając sobie sprawy, jaką rolę odgrywają tu gejowska skłonność i sublimacja. Guitton mówił zresztą, że nic nie rozumie z homoseksualizmu. Paradoksalnie mogłoby to świadczyć o afektywnej orientacji homofilnej, w tym wypadku naprawdę nieświadomej.

Jedyną kobietą (oprócz Marie-Louise Bonnet), która pojawia się w otoczeniu Jeana Guittona, była „pani marszałkowa”, wdowa po wielkim francuskim dowódcy Jeanie Lattre de Tassigny, o którym krążyła, szczególnie pośród wojskowych, plotka, że był biseksualny (pisarz Daniel Guérin potwierdził to w książce *Homosexualité et révolution*, podobnego zdania jest Jean-Luc Barré, wydawca dzieła marszałka de Lattre de Tassigny).

Od śmierci marszałka Francji w 1952 roku do końca swojego życia – a zmarła mając lat dziewięćdziesiąt sześć w 2003 roku – „marszałkowa” prowadziła w Paryżu salon pełen homoseksualistów. Zdaniem pewnego świadka do stałych bywalców należał Jean Guitton, żartobliwy i radosny, „zawsze otoczony pięknymi osobnikami płci męskiej, uroczo zniewieściałymi”. Inny świadek potwierdza, że Guitton lubił towarzystwo „efebów i żigolaków”.

Oto osoba świecka, która żyje jak ksiądz, decyduje się nie mieć dzieci, żeni się późno, przez całe życie kultywuje intensywne przyjaźnie z mężczyznami i otacza godnymi pożądania młodzieńcami. Czy był „zahamowanym” homoseksualistą? To prawdopodobne i jak dotąd nic temu nie przeczy. Lepiej byłoby jednak znaleźć inne słowo na określenie tego rodzaj relacji. Sam Guitton proponuje nam jedno, jakkolwiek niedoskonałe: „koleżeństwo”. Posłuchajmy go tutaj, jego własnych słów, z książki *Le Christ de ma vie*, w której rozmawia z ojcem Josephem Doré, przyszłym arcybiskupem Strasburga: „Jest coś wyższego od miłości mężczyzny do kobiety, to jest koleżeństwo.

Miłość Dawida do Jonatana, Achillesa do Patroklosa. (...) Jezuita może mieć dla innego jezuity miłość koleżeńską o wiele wyższą od miłości, którą żywiłby do żony, gdyby był żonaty (...). W koleżeństwie – choć często źle się to rozumie ze względu na homoseksualizm – jest coś zupełnie wyjątkowego, niezwykłego”[46].

Wspaniała spowiedź, wszystko w lustrzanych odbiciach, odniesienie do Dawida i Jonatana wybrane celowo – przecież nie mógł nie dostrzegać homoerotycznej wymowy tego wyraźnie gejowskiego kodu (najważniejsze katolickie stowarzyszenie homoseksualistów we Francji – David et Jonathan – już wtedy istniało).

Jean Guitton, podobnie jak Jacques Maritain, starał się wymyślić język, który uchwyci męską wspólnotę, nie redukując jej do seksu. Jesteśmy w samym sercu tego, co nazywamy – bo to wyrażenie jest trwalsze niż banalne „koleżeństwo” Guittona – „miłosną przyjaźnią”.

To bardzo stara idea, lecz tak ważna dla naszego tematu, że warto poświęcić chwilę na prześledzenie jej genezy. Pojęcie „miłosnej przyjaźni” sięga korzeniami starożytnej myśli greckiej, znajdziemy je u Sokratesa i Platona, potem zostało usystematyzowane przez Arystotelesa. Poprzez Cycerona i świętego Augustyna przenika późny antyk i trwa aż do średniowiecza. Jego ducha, jeśli nie literę, odnajdujemy u świętego Aelreda z Rievaulx, mnicha cysterskiego z XII wieku, który został pierwszym „świętym LGBT” (nigdy nie ukrywał swoich miłości). Sto lat później, w czasach, gdy wciąż nie istniało przecież pojęcie „homoseksualizmu” (słowo to, jak wiadomo, wymyślono pod koniec XIX wieku), średniowiecze przyswoiło sobie koncepcję „miłosnej przyjaźni”. Tomasz z Akwinu odróżniał „miłość pożądawczą” (*amor concupiscentiae*) od „miłosnej przyjaźni” (*amor amicitiae*) – pierwsza szuka innej osoby dla swego osobistego

i samolubnego dobra; druga, przeciwnie, dba o dobro przyjaciela, którego kocha jak siebie samego. Nazwalibyśmy ją dzisiaj, choć to nie do końca właściwe określenie, „miłością platoniczną”.

Idea „miłosnej przyjaźni” została później wykorzystana do opisania relacji Szekspira i „Fair Youth” – Młodzieńca z *Sonetów*, Leonarda da Vinci i jego młodego ucznia Salai czy Michała Anioła i młodego Tommasa dei Cavalieri. Miłość? Przyjaźń? Specjaliści są dzisiaj skłonni sądzić, że w tych trzech przypadkach to był homoseksualizm. Lecz co z Montaigne’em i La Boétiem, wobec których również użyto wyrażenia „miłosnej przyjaźni”? Nie przedstawiajmy fałszywie związku, który zapewne nigdy nie był seksualny, a który słynne zdanie Montaigne’a oddaje tak dobrze, bo wznosząc się ponad racjonalne wyjaśnienia: „Bo to był on, bo to byłem ja”[47].

Słowami „miłosnej przyjaźni” określano też stosunek łączący ojca Henri Lacordaire’a, jednego z odnowicieli zakonu dominikanów we Francji, z jego „przyjacielem” Charles’em de Montalembertem. Przez długi czas Kościół uparcie trwał przy koncepcji, że łączyła ich „przyjaźń”, lecz dziś wiemy, że był to związek homoseksualny (niedawno opublikowana bezcenna korespondencja Lacordaire’a z Montalembertem jest nie tylko przykładem dialogu liberalnych francuskich katolików, pokazuje także intymny związek tych dwóch mężczyzn).

Pojęcie „miłosnej przyjaźni” obejmuje zatem nieskończenie różne sytuacje i przez całe wieki określano w ten sposób – dość nierozważnie – szerokie kontinuum stosunków, od męskiej przyjaźni do homoseksualizmu jako takiego. Zdaniem specjalistów z tej dziedziny, bardzo licznych w Watykanie, koncepcja ta powinna dotyczyć jedynie przypadków czystej, niewinnej homofilii. Nie byłoby więc to niejednoznaczne uczucie, w którym miłość miesza się z przyjaźnią, lecz autentyczna i czysta, zupełnie niewinna miłość

dwóch mężczyzn. Sukces tego pojęcia w homofilnych środowiskach katolickich w XX wieku tłumaczy się tym, że skupia się ono bardziej na cnotach umiłowanej osoby niż na cielesnym pożądaniu, starannie wypieranym; pozwala nie seksualizować uczuciowości. W końcu najbardziej konserwatywni – i najbardziej homofobiczni – kardynałowie, tacy jak Amerykanin Raymond Leo Burke, Niemiec Joachim Meisner, Włoch Carlo Caffarra lub Gwinejczyk Robert Sarah, którzy sami złożyli śluby czystości, zdecydowanie nalegają, żeby homoseksualiści ograniczali się do relacji „miłosnej przyjaźni", to znaczy żyli w czystości, unikali grzechu. Koło się zamyka.

OD JACQUES'A MARITAINA DO JEANA GUITTONA świat „miłosnej przyjaźni" w ukryty sposób wpływał na Sobór Watykański II.

Jacques Maritain sam nie uczestniczył w soborze, lecz miał na niego istotny wpływ dzięki przyjaźni z Pawłem VI. Podobnie było z innymi ważnymi teologami, takimi jak Yves Congar, Charles Journet, Henri de Lubac i Jean Daniélou. Przypadek tego ostatniego jest najbardziej pouczający: francuski jezuita, ceniony teolog został wezwany jako ekspert na Sobór Watykański II przez Jana XXIII, potem Paweł VI uczynił go kardynałem. Daniélou był przyjacielem Jeana Guittona (wspólnie wydali książkę) i dzięki niemu został członkiem Akademii Francuskiej. Raczej postępowy, należał do bliskich przyjaciół Pawła VI.

Wiele mówiło się o jego nagłej i niezwykłej śmierci 20 maja 1974 roku w ramionach „Mimi" Santoni, prostytutki z ulicy Dulong w Paryżu. Przyczyną zgonu był prawdopodobnie zawał serca podczas orgazmu. Oczywiście jezuici, chcąc uniknąć skandalu, wszystkiemu zaprzeczyli i zaproponowali własną wersję faktów, natychmiast przedstawioną w „Le Figaro". Otóż kardynał chciał wspomóc finansowo prostytutkę i odszedł „w apostolskiej *epéktasis*,

na spotkanie Boga żywego”.

Tę samą wersję przedstawia mi włoski kardynał Giovanni Battista Re, „minister spraw wewnętrznych” Jana Pawła II:

– Jean Daniélou, czytamy dużo jego tekstów. Bardzo go kochaliśmy. Jego śmierć? Myślę, że próbował ocalić duszę prostytutki, to wszystko. Zapewne chciał, by się nawróciła. Moim zdaniem umarł, spełniając swoje posłannictwo.

Kardynał Paul Poupard, przyjaciel Daniélou (wspólnie napisali książkę), także zapewnia mnie, podnosząc ręce ku niebu, że kardynał był osobą wielkoduszną, pokornego serca, że był dobry jak chleb. Poszedł tam wtedy, by odkupić grzechy prostytutki. Może nawet próbował wydostać tę nieszczęsną dziewczynę ze szponów nierządu. Co za rycerska postać!

Wyjaśnienia te stały się wówczas przedmiotem drwin (gdy na miejsce przybyła karetka, Daniélou był całkowicie rozebrany), jednak dla nas ważne jest co innego. O ile Daniélou był osobą heteroseksualną (czyli nie należał do Sodomy), o tyle jego brat był homoseksualistą. Alain był znanym hinduistą. Był także przyjacielem François Mauriaca i choreografa Maurice’a Béjarta. Znany od dawna fakt, że był homoseksualistą, potwierdziła jeszcze jego autobiografia oraz *Carnets spirituels* jego brata Jeana. Wiemy też, że Alain żył przez długi czas ze szwajcarskim fotografem Raymondem Burnierem.

Braci Daniélou łączyła ciekawa relacja. Mam powody twierdzić, że Jean popierał życiowy wybór Alaina, że wspierał go jako homoseksualistę. Troszczył się o jego duszę i chciał wziąć na siebie jego „grzechy”.

Kardynał Jean Daniélou posunął się zresztą jeszcze dalej. Od 1943 roku co miesiąc odprawiał mszę dla homoseksualistów. To dobrze potwierdzony fakt (można o nim przeczytać w autobiografii Alaina i w szczegółowej biografii poświęconej braciom). Te msze, w których

uczestniczył również sławny specjalista od islamu Louis Massignon, chrześcijanin i także homoseksualista, były, jak się zdaje, odprawiane przez wiele lat.

Kluczową kwestią jest więc nie tyle śmierć Jeana Daniélou w ramionach prostytutki, ile to, że ważny kardynał, słynny teolog bliski papieżowi, regularnie odprawiał msze w intencji „zbawienia” homoseksualistów.

Czy Paweł VI o tym wiedział? Jest to możliwe, lecz nie jest pewne. Tak czy inaczej, jego w dużej części homofilne czy progejowskie otoczenie stanowi część historii jego pontyfikatu – kwintesencję „kodu Maritaina”.

„KAŻDY, KTO PATRZY na tę sekwencję obrazów, zastanawia się, jaki mają z nami związek te pełne życia postaci...”. Z okazji pięćsetnej rocznicy urodzin Michała Anioła 26 lutego 1976 roku w bazylice Świętego Piotra w Rzymie papież Paweł VI złożył włoskiemu rzeźbiarzowi zdumiewający „progejowski” hołd. Ojciec święty w wielkim stylu opiewał „niezrównanego artystę”, stojąc pod zaprojektowaną przez niego majestatyczną kopułą, niedaleko wzniosłej *Piety*, którą ten „młody, nawet nie dwudziestopięcioletni mężczyzna”, z największą „czułością” wydobył z zimnego marmuru.

Dwa kroki dalej znajduje się Kaplica Sykstyńska ze swoim sklepieniem, z freskami przedstawiającymi tłum męskich postaci. Paweł VI wychwalał anioły, lecz nie ignudi – tych potężnych, obnażonych efebów emanujących bezczelnym fizycznym urokiem pominął milczeniem. Papież wspominał także o „świecie Sybilli” i „pontyfików”, ani słowa jednak o nagim Chrystusie Michała Anioła, o świętych w stroju Adama ani o „problemie nagości” w *Sądzie Ostatecznym*. Te rozmyślne przemilczenia na nowo ocenzurowały różowe ciała, które jeden z jego pruderyjnych poprzedników wykastrował, zakrywając ich nagie genitalia.

Paweł VI, zaskoczony własną śmiałością, zapalił się – splątane ciała i gra mięśni wzruszyły go do łez. „Co za spojrzenie!" – zachwycał się papież. Chodziło o „młodego siłacza, którym jest Dawid" (całkowicie nagi i pięknie ukształtowany) oraz o ostatnią *Pietę* (jedno z dzieł *non finito*), zwaną Rondanini, „pełną łez". Paweł VI był do głębi poruszony pracami tego „wizjonera sekretnego piękna", w których „estetyczna rozkosz" dorównuje „helleńskiej doskonałości". I nagle ojciec święty zaczął czytać jeden z sonetów Michała Anioła!

Faktycznie, „jaki mają z nami związek te pełne życia postaci"? Chyba nigdy, w całych dziejach Watykanu, w tym świętym miejscu tak odważnie homoseksualny artysta nie dostał tak „dziewczęcej" pochwały.

– Paweł VI sam, własną ręką pisał swoje wystąpienia. Zachowaliśmy wszystkie rękopisy – mówi Micol Forti – energiczna, wykształcona kobieta, jedna z dyrektorek Muzeów Watykańskich.

Namiętność Pawła VI do kultury stanowiła w tamtej epoce element politycznej strategii. We Włoszech kultura przechodziła z pozycji prawicowych na lewicowe, wśród artystów praktyki religijne stawały się coraz rzadsze. Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych XX wieku, po całych wiekach panowania katolików nad kulturą, władania kodami i sieciami sztuki, ich hegemonia się skończyła. Jednak Paweł VI wierzył, że nie jest za późno, że Kościół odzyska swoją pozycję, jeśli tylko będzie umiał uwodzić muzy.

Świadkowie potwierdzili, że artystyczne zainteresowania Pawła VI były szczere i oparte na osobistych skłonnościach.

– Paweł VI był uzależniony od Michała Anioła – mówi mi biskup, który pracował z ojcem świętym.

W 1964 roku papież ogłosił plan stworzenia dużej kolekcji sztuki nowoczesnej. Rozpoczął wielką, życiową bitwę o kulturę,

o odzyskanie artystów.

– Na początek Paweł VI przeprosił za to, że Kościół nie zajmował się sztuką współczesną. Następnie poprosił artystów i intelektualistów z całego świata, aby pomogli mu stworzyć nową kolekcję dla Muzeów Watykańskich – ciągnie Micol Forti.

Kardynałowie i biskupi, z którymi rozmawiałem, wysunęli kilka hipotez tłumaczących namiętność Pawła VI do sztuki. Od jednego z nich wiem, że decydujący wpływ na papieża miał esej Jacques'a Maritaina *Art et scolastique*, zarys filozofii sztuki, która pozostawia artystom całkowitą wolność.

Inny znawca życia kulturalnego Watykanu za pontyfikatu Pawła VI zwraca uwagę na rolę osobistego asystenta papieża, włoskiego księdza Pasquale Macchiego, zapalonego wielbiciela i znawcy sztuki, zaprzyjaźnionego z artystami, człowieka otwarcie homofilnego.

– Dzięki Pasquale Macchiemu Paweł VI zgromadził intelektualistów i próbował sprowadzić artystów z powrotem do Watykanu. Obaj widzieli przepaść, jaka powstała między Kościołem a światem sztuki. A Macchi był jednym z architektów nowych kolekcji – wyjaśnia mi ksiądz zasiadający w papieskiej radzie do spraw kultury.

Wiele razy odwiedzałem skrzydło Muzeów Watykańskich ze sztuką nowoczesną. Choć w żaden sposób nie dorównuje starym kolekcjom – to przecież niemożliwe – trzeba przyznać, że kuratorzy dokonali przenikliwych wyborów. Szczególnie dwaj artyści wydają się mało ortodoksyjni – biseksualny malarz Salvador Dali z pięknym *Ukrzyżowaniem,* z żołnierskimi i masochistycznymi konotacjami, a przede wszystkim Francis Bacon, artysta niekryjący swojego homoseksualizmu!

PLOTKA O HOMOSEKSUALIZMIE Pawła VI pojawiła się dawno temu. We Włoszech powraca nieustannie, wciąż natykamy się na nią

w artykułach, a w Wikipedii w haśle na temat papieża wymieniono nawet nazwisko jednego z jego rzekomych kochanków. Podczas moich licznych wizyt w Rzymie potwierdzali ją kardynałowie, biskupi i dziesiątki pracujących w Watykanie monsiniorów. Niektórzy zaś ją dementowali.

– Mogę potwierdzić, że jest taka plotka. I mogę dowieść, że jest prawdziwa. Od wyboru Montiniego [Pawła VI] w 1963 roku pojawiały się doniesienia na temat jego obyczajów – zdradza mi kardynał Poupard, który należał do współpracowników papieża.

Co innego mówi kardynał Battista Re:

– Pracowałem z papieżem Pawłem VI przez siedem lat. Był wielkim papieżem i wszystkie pogłoski, które do mnie dotarły, są fałszywe.

Pawłowi VI przypisuje się związek z Paolo Carlinim, włoskim aktorem teatralnym i telewizyjnym, młodszym od niego o dwadzieścia pięć lat. Znali się z czasów, gdy Giovanni Montini był arcybiskupem Mediolanu.

Dużo się we Włoszech o tym związku mówiło, jednak niektóre przywoływane fakty wydają się anachroniczne lub błędne. Paweł VI podobno miał wybrać swoje papieskie imię w hołdzie dla Paolo, czemu przeczą liczne źródła dające inne, bardziej wiarygodne wyjaśnienia. Mówi się też, że Paolo Carlini zmarł na atak serca „ze smutku, dwa dni po śmierci Pawła VI". Tymczasem, choć był już chory, umarł znacznie później. Krąży też plotka, że Montini i Carlini mieli wspólne mieszkanie w pobliżu pałacu arcybiskupa, czego nie potwierdzają żadne wiarygodne policyjne źródła. Poza tym często wspomniane akta policji dotyczące relacji Montiniego z Carlinim nigdy nie zostały upublicznione i nic nie świadczy o tym, że w ogóle istnieją.

Francuski pisarz Roger Peyrefitte, podobno poinformowany lepiej

niż ktokolwiek, postanowił zdradzić sekret Pawła VI w serii wywiadów – najpierw w „Gay Sunshine Press", potem we francuskim piśmie „Lui". Dwudziestego szóstego kwietnia 1976 roku tłumaczenie artykułu z „Lui" ukazało się we Włoszech w tygodniku „Tempo". W tych artykułach, a później w swoich książkach Peyrefitte zapewniał, że „Paweł VI był homoseksualistą" i że ma na to „dowód". Zdradzanie orientacji stało się jego specjalnością, pisarz miał już za sobą wyoutowanie François Mauriaca w maju 1964 w piśmie „Arts" (w tym wypadku fakty się zgadzały), a także króla Baudouina, księcia Edynburga i szacha Iranu. W końcu okazało się, że jego źródła nie były wiarygodne, padł ofiarą dziennikarskiej mistyfikacji.

Jako młody dziennikarz miałem okazję porozmawiać z Rogerem Peyrefitte'em, na krótko przed jego śmiercią, na temat pogłosek o homoseksualizmie Pawła VI. Stary pisarz wdał się w dywagacje i nie wydawał się tak naprawdę wiele wiedzieć. Raczej podniecał go zapach skandalu. W każdym razie nigdy nie dał żadnego dowodu na prawdziwość swojej „sensacji". Wydaje się, że chciał po prostu zaatakować Pawła VI po wrogiej homoseksualistom deklaracji *Persona humana*. W każdym razie ten marny i kąśliwy pisarz, związany ze skrajną prawicą, pod koniec życia został specjalistą od fałszywych informacji, od antygejowskich, a nawet antysemickich plotek. Krytyk Angelo Rinaldi tak skomentował jego *Propos secrets*: „Roger Peyrefitte, który wczoraj wyliczał Żydów i masonów – praca bardzo użyteczna, gdyby doszło do ich wydalania z kraju – dziś w swojej książce porywającej jak raport policji dołączył do brygady obrońców moralności".

Ciekawe oczywiście, jaka była publiczna reakcja Pawła VI. Zdaniem kilku moich rozmówców (zwłaszcza kardynałów, którzy z nim pracowali) artykuły na temat rzekomego homoseksualizmu mocno

dotknęły ojca świętego. Brał to bardzo poważnie i podejmował wiele politycznych działań, by powstrzymać plotki. Osobiście prosił o pomoc przewodniczącego włoskiej krajowej rady, którym był wówczas Aldo Moro, jeden z jego bliskich przyjaciół i także wielbiciel Maritaina. Co zrobił Moro? Tego nie wiemy. Przywódca polityczny kilka miesięcy później został porwany przez Czerwone Brygady. Paweł VI w publicznych wystąpieniach prosił o łaskę dla niego i próbował zebrać pieniądze na okup, którego żądali porywacze. Lecz Aldo Moro został zamordowany, co pogrążyło Pawła VI w rozpaczy.

Papież decyduje się ostatecznie zdementować pogłoskę rozpowszechnioną przez Rogera Peyrefitte'a: wypowiada się na ten temat publicznie 4 kwietnia 1976 roku. Odnalazłem jego wystąpienie w biurze prasowym Watykanu. Oto oficjalne oświadczenie Pawła VI: „Najukochańsi bracia i siostry! Wiemy, że nasz kardynał wikariusz, a potem włoska konferencja biskupów wezwali was do modlitwy za naszą skromną osobę, która wbrew prawdzie stała się obiektem drwiny i strasznych, obelżywych insynuacji ze strony pewnej gazety. Dziękujemy wam za ten dowód szczerej wiary. (...) Dziękujemy, dziękujemy z całego serca (…). Ponadto, ponieważ ten i inne epizody wywołane zostały przez niedawne oświadczenie Kongregacji Nauki Wiary dotyczące niektórych kwestii etyki seksualnej (…) usilnie zachęcamy was, aby ten dokument był przez was gorliwie przestrzegany i przez to wzmocnił w was ducha czystości i miłości, przeciwstawiającego się rozwiązłemu hedonizmowi tak rozpowszechnionemu w obyczajach współczesnego świata".

Poważny komunikacyjny błąd! Pogłoska rozpowszechniona przez jednego reakcyjnego, mało wiarygodnego pisarza dotarła zaledwie do kilku antyklerykalnych środowisk gejowskich. Za to publiczne dementi Pawła VI w uroczystej oprawie modlitwy na Anioł Pański

w Niedzielę Palmową przyczynia się do rozpowszechnienia jej po całym świecie. Treść dementi powtarzają setki artykułów, zwłaszcza w prasie włoskiej, co oczywiście sprzyja mnożeniu wątpliwości. Coś, co było tylko plotką, staje się wątpliwością, może nawet problemem. Kuria dostaje nauczkę: już wie, że lepiej ignorować pogłoski o homoseksualizmie papieży czy kardynałów, niż upowszechniać je, zaprzeczając!

Później pojawiły się inne oświadczenia powtarzające tę „obelżywą" plotkę: najpierw mało znanego włoskiego poety Biagia Arixiego, przyjaciela Carliniego, który tuż przed śmiercią miał mu wyznać prawdę o swoim związku z papieżem. Franco Bellegrandi, szambelan papieski i mistrz ceremonii Jana XXIII i Pawła VI, także poruszył ten temat w swej niezbyt wiarygodnej książce *Nichitaroncalli: inne życie papieża*.

Były członek gwardii szwajcarskiej również podawał informacje mające ten sam wydźwięk. Ujawniło się także kilku byłych kochanków Pawła VI, prawdziwych lub samozwańczych; często bezskutecznie, w każdym razie mało przekonująco. Natomiast świadectwa kardynałów i kilku poważnych biografów stanowczo dementują twierdzenie o homoseksualizmie papieża.

Jednak co najciekawsze, hipoteza homoseksualizmu Pawła VI i jego związku z Paolo Carlinim była poważnie rozpatrywana podczas jego procesu beatyfikacyjnego. Według słów moich dwóch informatorów duchowni, którzy przygotowywali ten „proces", badali dossier z niezwykłą skrupulatnością. Skoro była dyskusja, skoro było dossier, znaczy to przynajmniej tyle, że pojawiła się też wątpliwość. Sprawa możliwego homoseksualizmu Pawła VI została nawet bez ogródek przedstawiona w opracowanych przez ojca Antonia Marrazza dokumentach przedłożonych papieżowi Benedyktowi XVI. Według godnego zaufania źródła, znającego z pierwszej ręki obszerne

dossier zgromadzone przez Marrazza, problem ten pojawia się w wielu dokumentach. Według tego samego źródła Marrazzo po długiej i dogłębnej analizie świadectw oraz ich weryfikacji stwierdził, że Paweł VI prawdopodobnie nie był homoseksualistą. Jego opinię przyjął ostatecznie papież Benedykt XVI, który po osobistym dokładnym zapoznaniu się z dossier postanowił beatyfikować Pawła VI i uznać jego „cnoty heroiczne", kładąc na razie kres sporowi.

POZOSTAJE JESZCZE OSTATNIA TAJEMNICA dotycząca Pawła VI: homoseksualiści i mężczyźni o skłonnościach homoseksualnych w jego otoczeniu. Świadomie bowiem lub nie papież, który surowo zakazywał tej formy seksualności, gromadzi wokół siebie wielu praktykujących ją mężczyzn.

Jak wiadomo, to przypadek osobistego sekretarza Pawła VI Pasquala Macchiego, który pracował z nim przez dwadzieścia trzy lata, najpierw w archidiecezji mediolańskiej, a potem w Rzymie. Oprócz roli, jaką odegrał w gromadzeniu kolekcji sztuki współczesnej w Muzeach Watykańskich, był on przyjacielem Jeana Guittona i w imieniu papieża utrzymywał liczne kontakty z twórcami i intelektualistami swojej epoki. Jego skłonności homoseksualne potwierdza ponad dziesięciu świadków. Podobnie ma się sprawa z księdzem i przyszłym irlandzkim biskupem Johnem Magee, również jednym z asystentów i zaufanych Pawła VI. Jego homoseksualizm potwierdzają dokumenty sądowe z procesu w sprawie skandalu z Cloyne [biskupowi Magee zarzucono tuszowanie przypadków molestowania nieletnich – przyp. red.].

Inna bliska Pawłowi VI osoba, Loris Francesco Capovilla, był sekretarzem osobistym jego poprzednika, Jana XXIII, i jedną z kluczowych postaci Soboru Watykańskiego II (w 2014 roku papież Franciszek mianował go kardynałem, zmarł w kanonicznym wieku

stu lat w 2016 roku). Również i on miał podobno skłonności homoseksualne.

– Monsinior Capovilla był człowiekiem bardzo dyskretnym. Pisał krótkie liściki do młodych księży, był bardzo miły. Oczarowywał w bardzo delikatny sposób. Pisał również do mnie – potwierdza w rozmowie ze mną były ksiądz Francesco Lepore. (Skłonności Capovilli potwierdzają również w nagranych rozmowach jeden z kardynałów i kilku arcybiskupów oraz hierarchów w Watykanie).

Oficjalny teolog Pawła VI, dominikanin Mario Luigi Ciappi, florentyńczyk o przewrotnym poczuciu humoru, również uchodził za „jawnie homofilnego". Pozostawał w bliskiej zażyłości ze swym „socjuszem", czyli osobistym sekretarzem. Potwierdzają to trzy zebrane przeze mnie zbieżne świadectwa księży dominikanów (Ciappi był jednym z oficjalnych teologów pięciu papieży, od 1955 do 1989 roku, a w 1977 roku Paweł VI mianował go kardynałem).

Podobnie mają się sprawy z mistrzem ceremonii papieskich Pawła VI, przyszłym kardynałem Virgilio Noè. W Watykanie długo podśmiewano się z niego, mówiąc, że choć publicznie występuje wyprostowany jak świeca, prywatnie ma pokręcone życie.

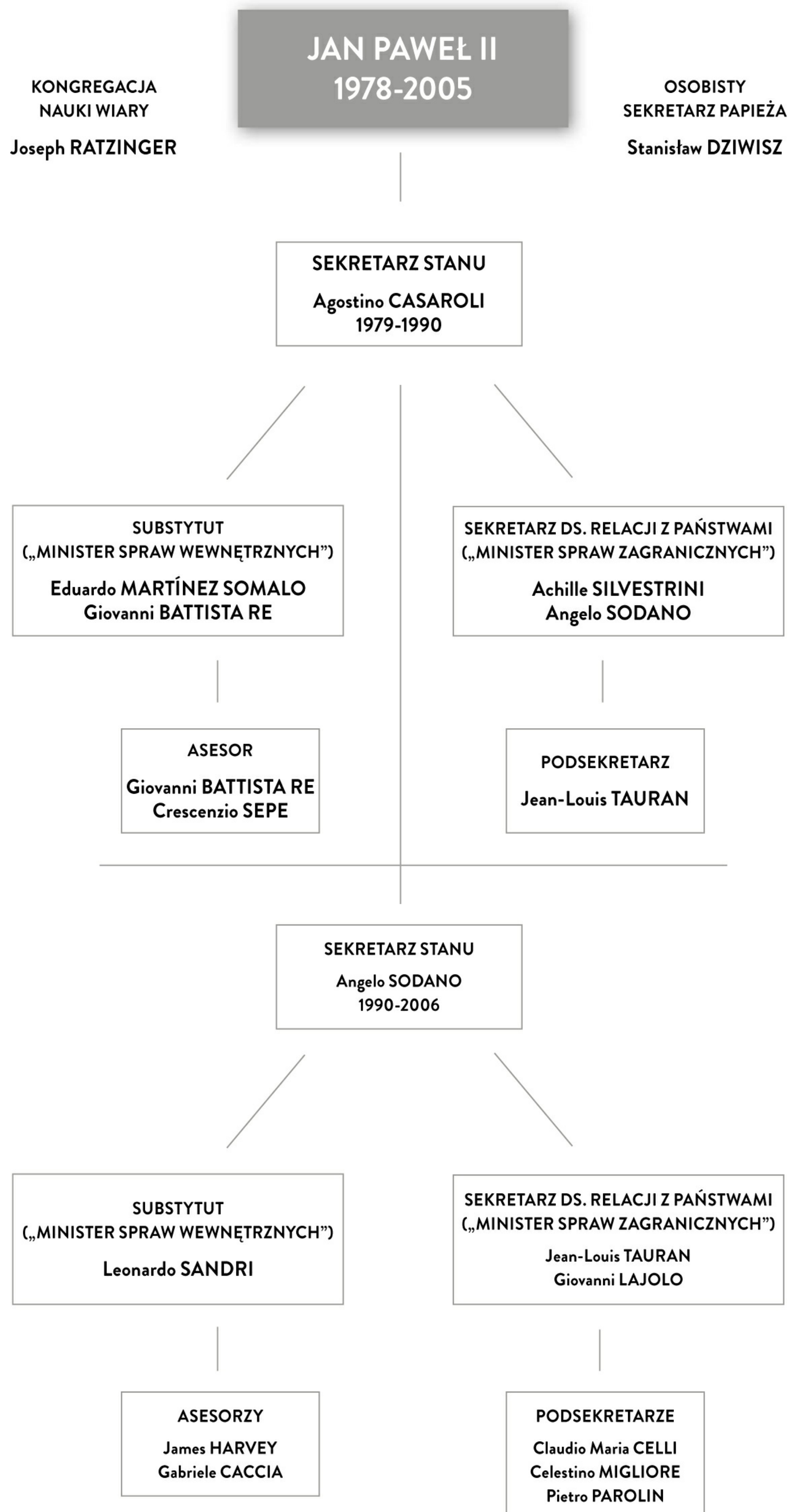
– Wszyscy wiedzieli, że Virgilio był praktykujący. Powiedzmy: nawet bardzo praktykujący – potwierdza pewien ksiądz z kurii rzymskiej.

Również szambelan papieski był znanym homoseksualistą, tak samo jak jeden z głównych tłumaczy ojca świętego, słynny arcybiskup Paul Marcinkus, do którego jeszcze wrócimy. Co do kardynałów Pawła VI, wielu z nich również „należało do parafii". Poczynając od Sebastiana Baggio, któremu papież powierzył Kongregację do spraw Biskupów, wprowadziwszy go przedtem do grona purpuratów. Wreszcie jeden z urzędników Watykanu odpowiedzialnych za gwardię szwajcarską, człowiek bliski

papieżowi jeszcze dziś mieszka ze swoim boyfriendem na przedmieściach Rzymu. Tam spotkał go jeden z moich informatorów.

Co chciał nam przekazać Paweł VI, wprowadzając do swego otoczenia księży o skłonnościach homoseksualnych, „questioning”, „closeted”, kryptogejów lub gejów praktykujących? Osąd pozostawiam czytelnikowi, który ma w rękach wszystkie klucze i wszystkie elementy układanki. W każdym razie „kodeks Maritaina”, paradygmat, który pojawił się za Pawła VI, wciąż funkcjonował w czasie pontyfikatów jego następców: Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Bardzo przenikliwie papież ustanowił „miłosną przyjaźń” regułą watykańskiego braterstwa.

CZĘŚĆ TRZECIA
JAN PAWEŁ II



JAN PAWEŁ II
1978-2005
KONGREGACJA
NAUKI WIARY
Joseph RATZINGER
OSOBISTY
SEKRETARZ PAPIEŻA
Stanisław DZIWISZ
SEKRETARZ STANU
Agostino CASAROLI
1979-1990
SUBSTYTUT
(„MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH")
Eduardo MARTÍNEZ SOMALO
Giovanni BATTISTA RE
SEKRETARZ DS. RELACJI Z PAŃSTWAMI
(„MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH")
Achille SILVESTRINI
Angelo SODANO
ASESOR
Giovanni BATTISTA RE
Crescenzio SEPE
PODSEKRETARZ
Jean-Louis TAURAN
SEKRETARZ STANU
Angelo SODANO
1990-2006
SUBSTYTUT
(„MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH")
Leonardo SANDRI
SEKRETARZ DS. RELACJI Z PAŃSTWAMI
(„MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH")
Jean-Louis TAURAN
Giovanni LAJOLO
ASESORZY
James HARVEY
Gabriele CACCIA
PODSEKRETARZE
Claudio Maria CELLI
Celestino MIGLIORE
Pietro PAROLIN

9.

Święte kolegium

EPOKA PAWŁA VI TO JESZCZE „tendencje” i „skłonności”. Wraz z Janem Pawłem II zmienia się i charakter, i zasięg omawianych spraw. W jego otoczeniu jeszcze więcej jest praktykujących gejów, a poziom korupcji wydaje się czasem wręcz niewyobrażalny. Wokół ojca świętego powstaje wielki krąg rozwiązłości.

Opowiada mi o tym jeden z księży pracujących w kurii, świadek całego pontyfikatu. Używając określenia „krąg rozwiązłości”, ów duchowny podejmuje tylko myśl wyrażoną przez Benedykta XVI i Franciszka. Obaj papieże, choć bardzo się pilnowali, żeby nie wymienić po nazwisku żadnego kardynała ani nie krytykować ich polskiego poprzednika, byli zaszokowani tym mieszanym otoczeniem Jana Pawła II.

Żadna wypowiedź Franciszka nie jest przypadkowa. Jeśli więc decyduje się na ostry atak przeciwko „powszechnej rozwiązłości” w kurii, to oczywiście zna jakieś nazwiska. Jest czerwiec 2013 roku, początek jego pontyfikatu. Papież mówi po hiszpańsku do grupy przedstawicieli latynoamerykańskich katolików. Wypowiedź dotyczy – tylko ten jeden raz – gejowskiego lobby. Jeżeli więc nowy papież wspomina o kręgu „korupcji”, to znaczy, że ma dowody – chodzi mu o konkretnych kardynałów. Myśli o Włochach, Niemcach i oczywiście o kardynałach z Ameryki Łacińskiej albo nuncjuszach, którzy tam pracowali.

Powszechnie wiadomo, że pontyfikat Jana Pawła II był pełen skandali i że kilku kardynałów z jego bliskiego kręgu było zarazem

homoseksualistami i osobami zdeprawowanymi. Jednakże zanim zacząłem zbierać materiały do tej książki, nie miałem pojęcia o poziomie hipokryzji w kurii rzymskiej za czasów Wojtyły.

Jan Paweł II jest papieżem mojej młodości i wielu moich krewnych oraz przyjaciół zawsze go poważało. W redakcji „Esprit", miesięcznika bliskiego myśli katolickiej, z którym współpracowałem, Wojtyła był na ogół uważany za jedną z kluczowych postaci końca komunizmu. Czytałem kilka książek i biografii tego olbrzyma XX wieku, pielgrzyma świata. Ale rozmawiając z kardynałami, biskupami i księżmi, którzy pracowali z nim podczas bardzo długiego pontyfikatu, odkryłem jego drugą – ponurą – twarz. Był to papież otoczony intrygantami, szumowinami, w większości nieujawnionymi gejami, publicznie często homofobami, nie mówiąc o tych, którzy chronili pedofilów.

– Paweł VI potępił homoseksualizm, ale prawdziwa wojna przeciwko gejom została wypowiedziana wraz z nastaniem Jana Pawła II. Chichot historii: większość aktorów tej kampanii wymierzonej przeciwko homoseksualistom była gejami. Decydując się na oficjalną homofobię, Jan Paweł II i jego otoczenie nie zdawali sobie sprawy, jaką pułapkę zastawiają na siebie samych. Ani z ryzyka, na jakie wystawili Kościół i tak podminowany od wewnątrz. Zaangażowali się w moralną samobójczą wojnę, którą musieli przegrać, bo polegała ona na ujawnieniu, kim byli. Upadek Benedykta XVI był tego ostateczną konsekwencją – powiedział mi pewien ksiądz z kurii, który pracował w biurze „ministra spraw zagranicznych" Jana Pawła II.

Próbując zrozumieć jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic tego pontyfikatu, wypytywałem w Rzymie wielu kardynałów. Byli wśród nich najważniejsi „ministrowie" papieża: Giovanni Battista Re, Achille Silvestrini, Leonardo Sandri, Jean-Louis Tauran, Paul Poupard,

wówczas urzędujący w samym sercu kurii rzymskiej. W Polsce złożyłem wizytę osobistemu sekretarzowi Jana Pawła II Stanisławowi Dziwiszowi. Spotkałem się także z bodaj dziesięcioma nuncjuszami, którzy prowadzili papieską dyplomację, z wieloma jego doradcami prasowymi, z mistrzami ceremonii, teologami i asystentami, członkami sekretariatu stanu w latach 1978-2005, a także z licznymi biskupami i szeregowymi duchownymi. Uzyskałem również wiele informacji i zwierzeń od kardynałów, biskupów i księży w czasie moich podróży zagranicznych, gdy zbierałem materiały w Ameryce Łacińskiej i oczywiście w Polsce. Kluczową rolę odegrały niedawno udostępnione archiwa chilijskiej dyktatury.

Teraz, gdy zaczynam tę podróż do piekieł, wciąż pozostaje dla mnie tajemnicą, ile z tego, co opowiem, dotarło do Jana Pawła II. Co wiedział o podwójnym życiu większości osób ze swojego otoczenia? Czy naiwnie ignorował, tolerował – lub uwierzytelniał – skandale finansowe i występki seksualne, bo oba te obszary, pieniędzy i ciała, funkcjonowały w czasie jego pontyfikatu jak sprzęgnięte.

Z braku odpowiedzi na tę zagadkę muszę wierzyć, że papież, szybko zapadający na zdrowiu, wkrótce niedołężny, o niczym nie wiedział i nie tuszował ekscesów, o których opowiem.

NAJWAŻNIEJSZYMI FIGURAMI pontyfikatu Jana Pawła II byli kardynałowie Agostino Casaroli i Angelo Sodano. Obaj Włosi, obaj wywodzący się ze skromnych rodzin z Piemontu, byli głównymi współpracownikami ojca świętego. Jeden po drugim obejmowali najważniejszą w Watykanie funkcję sekretarza stanu – papieskiego premiera.

Kardynał Casaroli (zmarł w 1998 roku) był mądrym i subtelnym dyplomatą. Odpowiadał za kontakty z krajami komunistycznymi

za Jana XXIII i Pawła VI. Potem stał się „silnym człowiekiem" Jana Pawła II. Uprawiał wielką dyplomację bez fajerwerków, jego domeną był dialog, kompromisy, polityka małych kroków – jeszcze dzisiaj jego metody podziwia większość dyplomatów, z którymi o nim rozmawiałem (m.in. nuncjusz François Bacqué, arcybiskup Fabrice Rivet czy inny nuncjusz, Gabriele Caccia, z którym spotkałem się w Bejrucie).

Często słyszałem w sekretariacie stanu, że ten czy inny nuncjusz „działa w duchu wielkiej dyplomacji Casarolego". Ta niezwykła postać jeszcze dziś dla wielu pozostaje punktem odniesienia. To przy okazji subtelny sposób, by zdystansować się wobec sposobu uprawiania dyplomacji przez jego następcę, Angelo Sodana, który sprawował tę funkcję od 1991 roku.

Dyplomacja Casarolego, według tytułu jego opublikowanych pośmiertnie wspomnień[48], opierała się na „cierpliwości". Casaroli, dyplomata „klasyczny" – jeśli to słowo ma w Watykanie jakikolwiek sens – to pragmatyk, który stawiał realpolitk nad moralnością, a działania długoterminowe cenił bardziej niż błyskawiczne posunięcia. Prawa człowieka są ważne, ale Kościół ma również tradycję, którą należy respektować. Ten odpowiedzialny realizm nie wyklucza ani mediacji, ani równoległej dyplomacji prowadzonej przez organizacje, takie jak Wspólnota Świętego Idziego, czy „latający ambasadorzy", jak kardynał Roger Etchegaray, który wykonywał dla Jana Pawła II tajne misje dyplomatyczne w Iraku, Chinach czy na Kubie.

Zdaniem Etchegaraya, z którym rozmawiałem, Agostino Casaroli „był wielkim intelektualistą, który dużo czytał, zwłaszcza Francuzów: Jacques'a Maritaina i jego przyjaciela Jeana Guittona (który napisał wstęp do jednej z jego książek). Co jeszcze ważniejsze, Casaroli był odważnym praktykiem, czasem podróżował incognito za żelazną

kurtynę i potrafił zbudować bardzo cenną siatkę miejscowych informatorów, aby śledzić przemiany w ZSRR i w krajach satelickich”.

Kardynał Paul Poupard, który pracował z Casarolim, mówi mi:

– To był człowiek niuansów. Swój brak zgody wyrażał słowami jasnymi i uprzejmymi. Była to kwintesencja watykańskiej dyplomacji. A przecież był Włochem! Poprzedni sekretarz stanu, Jean Villot, Francuz, skutecznie współpracował z Pawłem VI, który był Włochem. Ale kiedy papieżem został Polak, Villot doradził Janowi Pawłowi II, żeby dla równowagi dobrał sobie Włocha. Casaroli spełniał wszystkie wymogi.

Kiedy Casaroli został papieskim premierem, jego talent objawił się w całej rozciągłości, zwłaszcza jeśli chodzi o relacje z krajami komunistycznymi. Wspierał Jana Pawła II, dla którego walka z komunizmem była sprawą priorytetową. Prowadził dobrze już dziś opisane zakulisowe działania, wspierając m.in. finansowo „Solidarność” w Polsce. (Kardynałowie Giovanni Battista Re i Jean-Louis Tauran zaprzeczają w rozmowie ze mną, jakoby stolica apostolska miała bezpośrednio finansować polską opozycję).

Walka z komunizmem to osobisty priorytet Jana Pawła II. Papież sam opracowywał jej strategię i tylko bardzo nieliczna grupa współpracowników potrafiła ją rozszyfrować (przede wszystkim jego osobisty sekretarz Stanisław Dziwisz i sekretarze stanu – Casaroli, a później Sodano).

Kluczowa jest zwłaszcza rola Stanisława Dziwisza, którego musimy tu przedstawić bardziej szczegółowo. Ten polski hierarcha poznał komunizm od podszewki: był najpierw w Krakowie, a później w Rzymie najbliższym współpracownikiem Jana Pawła II. Świadkowie potwierdzają, że odegrał kluczową rolę we wszystkich tajnych misjach przeciw komunizmowi; znał wszystkie delikatne kwestie i całą kreatywną księgowość wspierającą

antykomunistyczną opozycję. Wiadomo przy tym, że relacje Dziwisza z kardynałem Ratzingerem były bardzo złe, ale ten, po wyborze na papieża, być może realizując jakąś obietnicę złożoną umierającemu Janowi Pawłowi II, mimo wszystko uczynił Dziwisza metropolitą krakowskim, a potem mianował kardynałem.

– Arcybiskup Dziwisz był niezwykłym sekretarzem osobistym. Był wiernym i oddanym sługą papieża. Stale przebywał ze świętym Janem Pawłem II, to on wszystko mu przekazywał – podsumowuje kardynał Giovanni Battista Re.

Renato Boccardo, były szef protokołu Jana Pawła II, który często towarzyszył mu w podróżach, podczas rozmowy w Spoleto, sto trzydzieści kilometrów od Rzymu, gdzie jest arcybiskupem metropolitą, również potwierdza kluczowe znaczenie Dziwisza:

– Był niezastąpiony. Bardzo aktywny podczas wszystkich papieskich podróży, a w czasie wyjazdów do Polski tym bardziej brał wszystko w swoje ręce. „Polski gang” – kardynał Grocholewski, kardynał Deskur i Dziwisz – kierował całą podróżą. Pamiętam pielgrzymkę do Polski w roku 2002, jak wszyscy przypuszczaliśmy, ostatnią podróż papieża do ojczystego kraju. Dziwisz, który był z nami, znał wszystkich. Gościnność Polaków była nadzwyczajna.

Nie mówiąc tego wyraźnie, Renato Boccardo daje do zrozumienia, że Dziwisz, długo pozostający w cieniu, pod koniec pontyfikatu objawił się jako prawdziwy pan na Watykanie.

– Dużo mówiono o tej polskiej „mafii" kardynałów – Dziwisza, Deskura, Grocholewskiego, Stefana Wyszyńskiego czy nawet prymasa Polski arcybiskupa Józefa Glempa. Mówiono nawet o gangu! Myślę jednak, że to w dużej mierze mit. Jedyną naprawdę wpływową osobą w otoczeniu Jana Pawła II był jego osobisty sekretarz – łagodził polski watykanista z którym rozmawiałem w Warszawie.

Po kardynale Dziwiszu – dziś na emeryturze w Krakowie – pozostały jednak w Rzymie opinie dość dwuznaczne. Podziwia się jego lojalność wobec papieża, ale krytykuje hipokryzję. Wychodzą na jaw jego zmienne nastroje i wyprawy z czasów, gdy lubił samotne wędrówki w okolicach Villa Medicis[49]. Po jego (przymusowym?) odsunięciu od kurii języki się rozwiązują.

Jedna z najbardziej tajemniczych postaci we współczesnej historii Watykanu (Dziwisz w trakcie blisko trzydziestu lat kariery u boku Karola Wojtyły niemal nie udzielał wywiadów) wchodzi stopniowo w krąg światła. I tak jedna z osób bliskich Casarolemu, wciąż pracująca w Watykanie, daje mi do zrozumienia, że rozliczne żywoty Dziwisza są jedną z największych tajemnic rzymskiego katolicyzmu.

– Dziwiszowi nadano przezwisko „Papież powiedział". Był sekretarzem nie do zastąpienia i każda sprawa kierowana do Jana Pawła II przechodziła przez jego ręce. Oczywiście, często stawał się „filtrem", to znaczy przekazywał papieżowi to, co chciał. Stopniowo, w miarę jak nasilała się choroba Jana Pawła II, zaczął się wypowiadać zamiast niego. W końcu nie bardzo było wiadomo, kto wydaje polecenia – papież czy Dziwisz. Tak było również z dossier o pedofilii czy o skandalach finansowych; właśnie na tym tle dochodziło do spięć z kardynałem Ratzingerem. Dziwisz był bardzo ostry. Podobno kilkakrotnie doprowadzał Ratzingera do łez.

Potwierdza te informacje jeden z księży w kurii:

– Dziwisz był na swój sposób schizofreniczny, łagodny i agresywny. Bardzo przy tym przedsiębiorczy. Jako najbliższy współpracownik ojca świętego prowadził bez przeszkód swoje interesy. Wiedział, że jest bezpieczny i poza czyimkolwiek zasięgiem.

„WDOWA". To polskie przezwisko kardynała Stanisława Dziwisza jest jednym z najczęściej powtarzanych żartów na jego temat – i nie jest to żart najszczęśliwszy. Ale w trakcie mojego śledztwa

dziennikarskiego w Warszawie i w Krakowie słyszałem to słowo tak często – wypowiadane ironicznie albo złośliwie – że trudno pominąć je milczeniem.

– Ja osobiście nie użyłbym tego określenia. Ludzie, którzy nazywają go „Wdową", powtarzają oszczerstwa. Prawdą jest natomiast, że Dziwisz mówi tylko o Janie Pawle II. To jedyna osoba, która liczy się w jego życiu. Jego jedyny cel to Jan Paweł II, jego historia i pamięć o nim. Dziś jest wykonawcą jego testamentu – wyjaśnia polski watykanista, wieloletni korespondent polskich mediów w Rzymie.

Wypytywałem dziesiątki księży, biskupów i kardynałów o drogę życiową Stanisława Dziwisza i z rozmów tych wyłania się bardzo niejednoznaczny obraz. W Warszawie, w siedzibie Konferencji Episkopatu, gdzie zostałem przyjęty, podkreśla się jego „szczególną" i „zasadniczą" rolę w otoczeniu Jana Pawła II. Takie same pochwały słyszę w siedzibie Papieskich Dzieł Misyjnych, również znajdującej się w stolicy Polski.

– Wszyscy tu jesteśmy sierotami po Wojtyle – mówi mi jeden z dziennikarzy Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI).

Inny Polak, Włodzimierz Rędzioch, dobrze zna Dziwisza. Przez trzydzieści dwa lata pracował w Rzymie w „L'Osservatore Romano". Podczas naszego spotkania maluje mi entuzjastyczny portret sekretarza Jana Pawła II. Jeśli mu wierzyć, jego wielebność eminencja Dziwisz jest jednym z najuczciwszych i najcnotliwszych ludzi naszych czasów, jego wielkie serce, jego prawość i jego pobożność są niezwykłe, bardzo bliskie świętości.

Urodził się w ubogiej rodzinie w małym polskim miasteczku. Całą swoją karierę zawdzięcza jednemu człowiekowi – Karolowi Wojtyle. To z jego rąk otrzymał święcenia w 1963 roku, on też w 1998 mianował go biskupem. Przez kilka dziesięcioleci są nierozłączni:

Dziwisz pełni funkcję osobistego sekretarza arcybiskupa krakowskiego, a potem papieża Jana Pawła II w Rzymie. Jest zawsze obok niego, jak mówią, osłania go nawet swoim ciałem w trakcie zamachu w 1981 roku. Zna wszystkie tajemnice papieża, zachował jego osobiste zapiski. Z czasów jego długiej choroby i bolesnej śmierci, uniwersalnego symbolu ludzkiego cierpienia, Dziwisz zachował jako relikwię pojemniczek z krwią ojca świętego, co wzbudziło niezliczone makabryczne komentarze.

– Kardynał Dziwisz jest postacią bardzo szanowaną w polskim Kościele. Proszę sobie uzmysłowić, był prawą ręką papieża Jana Pawła II – mówi mi podczas rozmowy w Warszawie Krzysztof Olendzki, ambasador tytularny, kierujący obecnie Instytutem Adama Mickiewicza, polską agendą rządową, bliską prawicy sprawującej władzę w Polsce.

Inni świadkowie mniej szczodrze szafują pochwałami. Mówią mi o Dziwiszu jako o „niezbyt imponującym wieśniaku” albo jako o „prostym człowieku, który stał się skomplikowaną osobowością”. Niektórzy formułują surowe opinie: „idiota”, „zły duch Jana Pawła II”. Mówiono mi, że w Krakowie trzeba było nieustannie pilnować kardynała „jak garnka z mlekiem na ogniu”, żeby nie zachował się lekkomyślnie albo nie chlapnął czegoś w wywiadzie.

– To na pewno nie jest intelektualista, ale przez lata poczynił znaczne postępy – stwierdza Adam Szostkiewicz, specjalista do spraw kościoła w tygodniku „Polityka”, który dobrze zna Dziwisza.

Aby wyjaśnić ten niezwykły związek między papieżem a jego osobistym sekretarzem, niektórzy mówią o lojalności. To ona ma wszystko tłumaczyć.

– To prawda, nie jest to wybitna osobowość; on żył przede wszystkim w cieniu Jana Pawła II – przyznaje polski dziennikarz długo pracujący w Rzymie. Od razu jednak dodaje: – Ale to sekretarz

idealny. Poznałem go, kiedy był młodym księdzem u boku Jana Pawła II w Watykanie. Godny zaufania i wierny, a to wielkie zalety. Dziwisz długo był raczej powściągliwy i dyskretny. Nie przyjmował dziennikarzy, choć ze mną często rozmawiał przez telefon, nieoficjalnie. Ostatecznie, jak na księdza z jego korzeniami, zrobił w Kościele wspaniałą karierę. Kluczem jego relacji z papieżem była lojalność.

Po śmierci Jana Pawła II Benedykt XVI odesłał Dziwisza do Krakowa i powierzył mu funkcję arcybiskupa metropolity krakowskiego. W ślad za tym wkrótce uczynił go kardynałem. Obecnie Dziwisz rezyduje w starej kamienicy przy ulicy Kanoniczej. Tam udziela mi audiencji.

– Kardynał absolutnie nie zgadza się na wywiady – mówi mi jego włoski asystent Andrea Nardotto – ale pana przyjmie.

Czekam na „Wdowę" w nasłonecznionym patio pośród oleandrów i karłowatych iglaków. W holu herb papieski z brązu, z boku pomnik Jana Pawła II w kolorze kredy. Z daleka dobiegają głosy sióstr zakonnych. Widzę przechodzących dostawców gotowych dań.

Nagle masywne drewniane drzwi biura otwierają się gwałtownie i niemal wpada na mnie surowy i sztywny Stanisław Dziwisz. Otoczony szeregowymi księżmi w koloratkach i starymi kobietami w kornetach jego eminencja zatrzymuje się wyprostowany jak świeca. Świętobliwy starzec wpatruje się we mnie uważnie, z radosną ciekawością, cały w uśmiechach. Lubi tego rodzaju nieprzewidziane sytuacje, nieoczekiwane spotkania. Asystent Nardotto przedstawia mnie jako francuskiego dziennikarza i pisarza. Bez zbędnych formalności Stanisław Dziwisz zaprasza mnie do swej jaskini lwa.

Jest to obszerne pomieszczenie z trzema drewnianymi stołami. Małe prostokątne biurko pokryte papierami; kwadratowy stół jak

do spożywania posiłków, pusty, wydaje się służyć do zebrań; drewniane biurko wyglądające jak stolik uczniowski, wokół niego wielkie fotele pokryte purpurowym aksamitem. Kardynał Dziwisz, skoncentrowany, daje mi znak, żebym usiadł.

Kardynał wypytuje mnie o „starszą córę Kościoła” (Francję), właściwie nie słuchając moich odpowiedzi. Teraz kolej na moje pytania, ale on również ich nie słucha. Rozmawiamy o francuskich intelektualistach katolickich, o Jacques’u Maritainie, Jeanie Guittonie, François Mauriacu…

– I André Froissard, i Jean Daniélou! – nalega kardynał, cytując nazwiska intelektualistów, których czytał albo przynajmniej zna ze słyszenia.

Ta litania nazwisk, przerzucanie się nimi to jak przyznanie się do tego, że nie obcuję z intelektualistą. Emerytowanego kardynała nie interesują wcale idee. Potwierdza mi to zresztą podczas wspólnego śniadania krakowska menedżerka i promotorka kultury:

– Dziwisz jest tu bardzo dobrze znany, ale nie uważa się go za wielkiego intelektualistę. Jego znaczenie wynika przede wszystkim z tego, że był blisko Jana Pawła II. On przechowuje jego notatki, jego tajemnice i nawet jego krew! To okropne…

Na ścianach biura Dziwisza widzę trzy obrazy przedstawiające Jana Pawła II i piękny portret jego samego w purpurze kardynalskiej. Na jednym ze stołów leży piuska. Zegar, którego nieruchome wahadło przestało odmierzać czas. Intryguje mnie szalona wesołość kardynała.

– Jest pan bardzo sympatyczny – mówi jowialnie i prostodusznie po chwili milczenia. On sam, człowiek z południa Polski, z gór, też jest bardzo miły.

Kardynał Dziwisz przeprasza, że nie może dłużej ze mną rozmawiać. Musi teraz przyjąć przedstawiciela zakonu maltańskiego,

drobnego, pomarszczonego staruszka, który już czeka w przedpokoju. „Ale nuda!” – zdaje się mówić. Proponuje mi jednak spotkanie nazajutrz.

Robimy sobie selfie. Dziwisz uroczy, nie spieszy się, kobiecym gestem, nie rezygnując bynajmniej ze swej dominacji, bierze mnie za ramię, aby unieruchomić obiektyw. Tak szczegółowo studiowałem tę postać, że teraz, w chwili konfrontacji, czuję, że coś idzie nie tak. Jestem nim zachwycony!

W Krakowie styl życia kardynała wywołuje niemałe zdumienie. Słyszę o jego szczodrości, o składanych wielokrotnie dobroczynnych datkach. Nasz człowiek, z coraz większym brzuszkiem i mieszczańskimi nawykami, uwielbia dobre jedzenie i miłe niespodzianki – to ludzka rzecz. Wieczorem po naszym pierwszym spotkaniu widzę go, jak je kolację w Fiorentinie, ekskluzywnej restauracji, w której spędza prawie trzy godziny. Jej menedżerka, Iga, powie mi później: „Jesteśmy jedną z najlepszych restauracji w mieście. Kardynał Dziwisz jest przyjacielem właściciela”.

Skąd ma środki na to wszystko? Skąd pochodzi jego majątek? Jak to możliwe, że przy swojej księżowskiej emeryturze może prowadzić tak światowe życie? To jedna z zagadek tej książki.

Inna tajemnica to bezwarunkowe poparcie, jakiego Stanisław Dziwisz udzielał najbardziej ponurym postaciom Kościoła, w czasie gdy był osobistym sekretarzem Jana Pawła II.

Nazwisko Stanisława Dziwisza powtarza się w dziesiątkach książek i artykułów o nadużyciach seksualnych kleru – nie dlatego, że oskarża się go o takie czyny, ale dlatego, że podejrzewa się go o chronienie zdeprawowanych księży z wyżyn Watykanu. Potwierdzono jego związki z Meksykaninem Marcialem Macielem, Chilijczykiem Fernando Karadimą, Kolumbijczykiem Alfonso Lópezem Trujillą i Amerykanami Bernardem Lawem i Theodore’em McCarrickiem.

Jego nazwisko pojawia się również przy okazji kilku skandali seksualnych w Polsce, przede wszystkim słynnej afery Juliusza Paetza. Dziwisz znał również osobiście księdza Józefa Wesołowskiego, który święcenia przyjął w Krakowie. Arcybiskup Wesołowski, mianowany nuncjuszem apostolskim w Republice Dominikańskiej, znalazł się w centrum wielkiego skandalu: chodziło o wykorzystywanie nieletnich i wymuszanie aktów seksualnych. Papież Franciszek nakazał żandarmerii watykańskiej zatrzymać go w Rzymie. Zmarł, nie doczekawszy ostatecznego wyroku w swojej sprawie.

Co dokładnie wiedział Stanisław Dziwisz o tych wszystkich przypadkach? Czy przekazał papieżowi Janowi Pawłowi II stosowne informacje, czy też zapoznał się z nimi i zatrzymał dla siebie? Czy wraz z kardynałem Angelo Sodanem tuszował rozmaite afery?

Niektórzy duchowni katoliccy indagowani przeze mnie w Polsce uważają, że Dziwisz nie mógł mieć związku z żadnym z tych skandali, bo o niczym nie wiedział. Inni twierdzą coś wręcz przeciwnego, że „powinien siedzieć w więzieniu” za współudział. Oprócz osób głoszących tak diametralnie różne opinie są też ci, którzy twierdzą bez żadnego dowodu, że Dziwisz mógł być kontrolowany przez tajne służby polskie, bułgarskie albo wschodnioniemieckie z powodu swej „podatności”. Ale kiedy spotykam się w Warszawie ze znanym polskim watykanistą, otrzymuję wiarygodne wyjaśnienie. Sugeruje on mianowicie, że jeśli Jan Paweł II i Dziwisz popełnili błąd w ocenie niektórych księży podejrzewanych lub oskarżanych o wykorzystywanie seksualne, było to nieumyślne.

– Proszę nie zapominać o kontekście: przed rokiem 1989 polskie tajne służby rozpowszechniały pogłoski o homoseksualizmie i pedofilii kleru, chcąc zdyskredytować przeciwników reżimu. Jan Paweł II i jego asystent Dziwisz, przyzwyczajeni do szantaży

i manipulacji politycznych, nigdy nie chcieli uwierzyć w którąkolwiek z tych plotek. Reprezentowali mentalność oblężonej twierdzy: oto wrogowie Kościoła próbują skompromitować duchownych. Trzeba więc za wszelką cenę okazać im solidarność.

Adam Szostkiewicz z tygodnika „Polityka” jest tego samego zdania. Z jedną małą różnicą:

– Jan Paweł II miał swój cel i konkretny program polityczny wobec Polski i wobec komunizmu. Nigdy nie zszedł z wyznaczonej drogi. Za to niespecjalnie troszczył się o swoje otoczenie i niewiele więcej o moralność tych, którzy go wspierali.

Możliwe, że organy sprawiedliwości, które teraz w dziesiątkach krajów prowadzą śledztwa w sprawie nadużyć seksualnych w Kościele, wyjaśnią kiedyś tajemnice pontyfikatu Jana Pawła II. Na razie Stanisław Dziwisz nie był niepokojony przez te instytucje, nigdy nie był obiektem dochodzeń ani skarg, a emeryturę w Krakowie spędza bardzo aktywnie. Jeśli jednak któregoś dnia miałby być uznany za winnego, zaciemniłoby to obraz rządów polskiego papieża.

DZIEŃ PÓŹNIEJ ZNÓW JESTEM na ulicy Kanoniczej, a kardynał Dziwisz po raz drugi przyjmuje mnie na nieformalnej rozmowie. Jest mniej ostrożny, bardziej spontaniczny niż jego przyjaciele kardynałowie Sodano, Sandri czy Re. Przyniosłem mu małą białą książkę. Z zadowoleniem otwiera prezent.

– To pana książka? – pyta życzliwie, przypomniawszy sobie, że jestem dziennikarzem i pisarzem.

– Nie, to prezent, mała biała książka, którą bardzo lubię – mówię.

Patrzy na mnie troszkę zdziwiony, troszkę rozbawiony tym, że jakiś cudzoziemiec przyjeżdża z Paryża, żeby mu ofiarować książkę!

Kardynał prosi mnie o dedykację na prezencie i pożycza mi obsadkę w rozmiarze XXL. Na ten czas znika w holu i słyszę, jak

otwiera szuflady czy szafy. Wraca z czterema podarkami dla mnie: zdjęciem, piękną książką i dwoma różańcami: jeden z czarnych paciorków, drugi z białych. Na etui w kolorze grynszpanu widnieje herb z jego biskupim zawołaniem: Sursum Corda (W górę serca). W pociągu powrotnym do Warszawy podaruję jeden z tych różańców pasażerowi na wózku inwalidzkim. Ów mężczyzna, praktykujący katolik, cierpi na chorobę Parkinsona. Powie mi, że studiował na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, wie, kim jest Dziwisz, i szanuje go.

Dostaję też zdjęcie przedstawiające papieża Jana Pawła II, który trzyma na rękach jakieś zwierzę.

– To jagniątko – mówi Dziwisz, sam łagodny jak baranek.

Swoim pięknym piórem czarnym atramentem kardynał wpisuje teraz wytwornym, książęcym charakterem pisma dedykację na ofiarowanym mi albumie.

– Frédéric, jest pan pisarzem, jak pisze pan swoje imię po francusku? – pyta.

– Frédéric, jak Frédéric Chopin.

Podaje mi prezent, a ja dziękuję, choć książka jest okropna, bezużyteczna i bez wartości.

– Jest pan bardzo sympatyczny jak na dziennikarza. Naprawdę sympatyczny – podkreśla Dziwisz.

Ponieważ „kolegowanie” z kobietami jest zabronione, podejrzewam, że w Krakowie czuje nudę, zmęczenie, bo przecież żył w światłach reflektorów, był drugi przy sterze, kiedy jego papież „kierował losami świata”. W Rzymie znał wszystkich seminarzystów i imię każdego gwardzisty. W Krakowie stary człowiek w swych liturgicznych szatach, owdowiały, młody emeryt ewidentnie mnie sonduje.

– Nie, Frédéric, nie nudzę się tutaj. Wolę Kraków od Rzymu –

zwierza mi się.

Nie jesteśmy już sami. Wszedł jakiś biskup, kłania się do ziemi i zwraca do Dziwisza z największą referencją: „Eminencjo”.

Uświadamiam kardynałowi, ironicznemu i trochę zawstydzonemu, że nie użyłem wobec niego tytułu „eminencja” – a on wybucha śmiechem, biorąc mnie za rękę, jak gdyby w coś mnie wtajemniczał, jakby chciał powiedzieć, że to nic takiego, że tytuły do niczego nie służą, że w ogóle mu na tym nie zależy.

ABY ZROZUMIEĆ PONTYFIKAT JANA PAWŁA II, trzeba wyjść od koncentrycznych kręgów otaczających papieża. Pierwszy pierścień to jego najbliżsi współpracownicy, wśród nich Stanisław Dziwisz jest najważniejszym ogniwem. Sekretarz stanu, Agostino Casaroli, nie należy do tego kręgu. Jego relacje z papieżem w rzeczywistości nie wyglądały dobrze. Bardzo szybko stały się napięte, czasem gwałtowne, a Casaroli, który nie lubił konfliktów, według kilku zgodnych świadectw wielokrotnie chciał się podać do dymisji. Te napięcia nie wyciekały na zewnątrz, sytuacja wyglądała na stabilną, ponieważ Casaroli podporządkowywał się wymaganiom papieża. Jako wytrawny dyplomata grał, jak mu kazano, nawet jeśli nie podobała mu się melodia. Jednak prywatnie jego stosunki z papieżem były coraz gorsze. Różnili się i co do sedna problemów, i co do decyzji personalnych.

Dzielił ich przede wszystkim problem komunizmu. Kardynał Casaroli był człowiekiem zimnej wojny i bynajmniej nie przewidywał upadku komunizmu, choć sobie go życzył. Potwierdzi to w swoich wywiadach papież Benedykt XVI: „Było oczywiste, że pomimo jego dobrych intencji, polityka Casarolego była zdecydowaną porażką… Stało się jasne, że zamiast próbować ugłaskać [reżim komunistyczny] z pomocą kompromisów, trzeba mu było stawić opór. To był właśnie punkt widzenia Jana Pawła II i ja

go popierałem”. W tym punkcie Benedykt jest pewien, że historia przyznała rację polskiemu papieżowi, uważanemu dziś za jednego z głównych sprawców upadku komunizmu.

Kolejnym powodem do napięć między ojcem świętym a jego premierem był dobór współpracowników. Być może dramatem życia Casarolego była – jak usłyszałem od kilku osób – jego sukcesja. W każdym razie stary i potężny kardynał, skazany na emeryturę po osiągnięciu w grudniu 1990 roku bariery wieku (choć papież mógł go jeszcze zatrzymać), pragnie, by jego miejsce zajął Achille Silvestrini, jego dotychczasowy zastępca. Więź między tymi dwoma mężczyznami jest magnetyczna i sięga daleko w przeszłość. Często pracowali w duecie: Silvestrini był osobistym sekretarzem Casarolego, nim został jego zastępcą; napisze też po jego śmierci przedmowę do jego wspomnień. Prasa włoska sięgnie po dokumenty sądowe, by opisać ich domniemany układ: obaj hierarchowie mieli brać udział w aferach łapówkarskich. Jednak nigdy nie zostało to udowodnione.

Widziałem się z monsiniorem Achille Silvestrinim w jego prywatnym apartamencie w Watykanie, w pobliżu Piazza del Forno. Wymieniliśmy kilka zdań, kilka spojrzeń, ludzie z jego otoczenia nalegali, żebyśmy zrobili sobie selfie, ale na to, by wykorzystać jego świadectwo, był już zbyt chory i stary – miał dziewięćdziesiąt pięć lat.

Zyskałem natomiast wiedzę o ich zażyłości i kiedy pytam kardynałów i biskupów o ten szczególny związek, wywołuję na ogół „porozumiewawcze uśmiechy”. Niewielu prałatów wykłada karty na stół, niewielu jest takich, którzy mówią wprost. Odpowiedzi są metaforyczne, czasem poetyckie, ale doskonale rozumiem, że za tymi uśmiechami kryją się tajemnice, których nikt nie chce ujawnić. Duchowni uciekają się wobec tego do bardzo aluzyjnych

sformułowań. Czy należą „do parafii”? Czy żyją „w dziwnym związku”?

Ktoś może uznać, że moje hipotezy są dość śmiałe, tymczasem, prawdę mówiąc, są niewystarczająco odważne. Po prostu wolę czasem pisać w trybie warunkowym to, o czym wiem, że należy napisać w twierdzącym. A oto, co mogę powiedzieć w tej chwili z większą nieco zuchwałością.

Wbrew niezliczonym plotkom Casaroli raczej nie był kochankiem Silvestriniego. Posłuchajmy byłego księdza Francesco Leporego, asystenta wielu kardynałów, który po raz pierwszy mówi publicznie o tym, co wie na temat rzekomego związku Casaroli – Silvestrini:

– Po pierwsze, Casaroli był homoseksualistą i wszyscy w Watykanie o tym wiedzieli. Kochał mężczyzn, nie małoletnich, ale młodych i pełnoletnich. To pewne, że Silvestrini był jednym z jego protegowanych. Na pewno jednak nigdy nie byli kochankami, bo Casaroli wolał młodszych chłopców (ponad dziesięciu księży potwierdza mi skłonności Casarolego, niektórzy nawet zaświadczyli, że mieli z nim intymne kontakty).

Ojciec Frederico Lombardi, były rzecznik trzech ostatnich papieży, nie chce nawet rozmawiać o hipotezie homoseksualizmu Casarolego, kiedy pytam go o to podczas jednej z pięciu naszych rozmów:

– Wszystkie oskarżenia o homoseksualizm są trochę przesadzone – mówi. – Pewnie, że są w Kościele homoseksualiści, to oczywiste. Są nawet tacy, u których homoseksualizm jest bardziej oczywisty niż u innych. Nie zgadzam się jednak na odczytywanie rzeczy w ten sposób i na przekonanie, że homoseksualizmem można cokolwiek wyjaśnić.

Pewne jest, że obaj partnerzy w tym dziwnym związku, Casaroli i Silvestrini, zawsze sobie pomagali, dzieląc przyjaźnie i wrogości. Nigdy nie ufali Angelo Sodanowi, nowemu „ministrowi spraw

zagranicznych" Jana Pawła II, który od powrotu z Chile w 1989 roku czatował na miejsce Casarolego.

Czy to intrygant, który chciał zająć miejsce obiecane Silvestriniemu? Ale Jan Paweł II mianował Silvestriniego prefektem Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej i uczynił go kardynałem, co było ewidentną oznaką poparcia.

– Spotkałem Silvestriniego kilka dni przed tą pamiętną datą. Już zachowywał się tak, jakby był sekretarzem stanu – zauważa słoweński kardynał Franc Rodé podczas jednej z rozmów w jego biurze w Watykanie.

Rodé pochodzi z bloku komunistycznego i analizując sylwetki Silvestriniego i Sodano, uważa decyzję Jana Pawła II za racjonalny wybór polityczny.

– Byłem w Słowenii i tak jak Jan Paweł II miałem przeczucie, że komunizm kona. Można powiedzieć, że Casaroli reprezentował watykańskie lewe skrzydło. Niektórzy uważają nawet, że Casaroli to była linia miękka, a Silvestrini – linia miękka linii miękkiej. Jan Paweł II wybrał zaś kogoś z prawicy. Sodano był człowiekiem prawym, człowiekiem mądrości i wierności.

Wszyscy rozumieli, że Jan Paweł II się wahał, a to, co miało być tylko formalnością, ciągnęło się w nieskończoność. Ale papież uspokajał Casarolego, zapewniając go, że ponieważ sam nie jest obeznany z rzymskimi machinacjami i niezbyt zainteresowany sprawami półwyspu, chce mieć Włocha, żeby mu pomagał.

Casaroli nie okrył się hańbą, broniąc swego protegowanego. Potwierdza to kilku bezpośrednich świadków jego kampanii. Mówią o niej jak o szekspirowskiej epopei, jak o bitwie pod Azincourt, zwycięskiej dla Henryka V; inni zaś – bardziej profrancuscy – wolą ją przedstawiać jako kampanie napoleońskie zaczynające się pod Austerlitz, a zakończone klęską pod Waterloo. Jeszcze inni, bez

wątpienia bliżsi rzeczywistości, pamiętają podstępną kampanię, w której wszystkie ciosy były dozwolone, nie wspominając o ranieniu miłości własnej. Wreszcie jeden z księży cytuje Platońskiego *Fajdrosa* i jego pochwałę par wojowników idących do walki razem – dlatego najdzielniejszych i niezwyciężonych, aż do śmierci.

– Mówienie o tym, że Casaroli „chciał” Silvestriniego, wcale nie odpowiada rzeczywistości – precyzuje kardynał Paul Poupard. – Casaroli miał swoje preferencje, wiedział jednak, że wybór należy do papieża. Co nie przeszkodziło mu popierać Silvestriniego, używając do tego całej swej energii.

Mimo nieustępliwych nacisków Casarolego Jan Paweł II odrzuca w końcu Silvestriniego na rzecz Angelo Sodana. I jak to w okrutnej teokracji Watykanu bywa, gdzie – jak w Dolinie Krzemowej „the winner takes all” – Casaroli wkrótce poświęca życie pomocy młodym przestępcom w jednym z więzień w Rzymie. Silvestrini natomiast, urażony i przygnębiony, dołączy do liberalnej opozycji wobec Sodana i Ratzingera (zwanej grupą z Sankt Gallen) i zajmie się szkołą dla sierot w dzielnicy Cornelia w Rzymie, dokąd udałem się, żeby porozmawiać z jego współpracownikami, a przede wszystkim z arcybiskupem Claudio Marią Cellim.

Dwaj mężczyźni z Watykanu, którzy odwiedzali Casarolego w ostatnich latach jego życia, opowiadali mi o tych wizytach. Są to świadectwa z pierwszej ręki. Były papieski „premier” nie ukrywał przed nimi ani swego upodobania do chłopców, ani gorzkich uczuć w stosunku do Jana Pawła II, ani krytyki wobec Sodana. Świadkowie ci przytoczyli mi jego wypowiedzi i żale, ale byli też zaskoczeni, kiedy podczas wizyty w prywatnym watykańskim apartamencie zobaczyli wiszące na ścianach zdjęcia nagich mężczyzn.

– Można powiedzieć, że były to fotografie artystyczne, ale

oczywiście nie jestem naiwny – zwierza mi się jeden z przyjaciół Casarolego.

Pewien arcybiskup z kurii opowiadał mi też, że Casaroli miał w tym apartamencie wizerunek świętego Sebastiana.

– Słyszało się sporo żartów na temat tego obrazu i ktoś nawet poradził byłemu sekretarzowi stanu, żeby schował go w swojej sypialni.

Tu arcybiskup, obawiając się, że posunął się za daleko, dodaje dla zmniejszenia napięcia:

– Bo trzeba wiedzieć, że Casaroli był estetą…

Według pewnego godnego zaufania watykańskiego źródła dyplomatycznego zamiłowania artystyczne Casarolego i jego męskie kontakty zostały wykorzystane przeciwko niemu przez zwolenników kandydatury Angelo Sodana. Kandydatura Silvestriniego została storpedowana, kiedy opowiedziano papieżowi, że był on dwukrotnie kontrolowany przez policję w okolicach Valle Giulia w Rzymie, gdzie znajduje się kilka muzeów sztuki nowoczesnej.

– Ta nieuzasadniona plotka, ta drobna obmowa była pocałunkiem Judasza – komentuje pewien znawca sprawy.

Inni indagowani kardynałowie i watykaniści uważają, że przeciwnie: ostrość tego starcia i tej gry plotek nie była powodem wyeliminowania Silvestriniego. Jedna z tych osób zapewnia mnie nawet:

– Dla Jana Pawła II nie był to problem osoby; o tym wyborze trzeba myśleć w kategoriach politycznych. Jan Paweł II zdecydował o odsunięciu Casarolego już w chwili upadku muru berlińskiego. To było niemal automatyczne. I oczywiście papież nie zamierzał pozwolić na kontynuację jego linii politycznej, co nastąpiłoby, gdyby jego miejsce zajął Silvestrini. W rzeczywistości Silvestrini od początku nie miał najmniejszych szans.

ANGELO SODANO jest ulepiony z zupełnie innej gliny niż Casaroli. To „czarny charakter” pontyfikatu Jana Pawła II – i „czarny charakter” tej książki. Nauczymy się go rozszyfrowywać. Dyplomata jak Casaroli, człowiek o stalowym spojrzeniu, małomówny jak rzadko który z kardynałów, protektor dużej liczby księży pedofilów, opisywany jest przez wszystkich, którzy go znają, jako makiaweliczna postać, dla której cel zawsze uświęca środki. Jest eminencją „czarną”, nie tylko „szarą”, w całej nieprzejrzystej czerni tego słowa.

Jego kampania, aby zostać premierem Jana Pawła II, była skuteczna. Antykomunizm Sodana zwyciężył umiarkowanie Casarolego i – rykoszetem – Silvestriniego. Upadek muru berlińskiego, który miał miejsce kilka miesięcy wcześniej, bez wątpienia przekonał papieża, że podejście „hard” (linia Sodano) było skuteczniejsze niż „soft” (Casaroli – Silvestrini).

Do różnicy ideologii trzeba też dodać różnicę osobowości.

Od czasu podróży do Chile, gdzie Sodano był nuncjuszem, papież uważał go za człowieka silnego, nawet jeśli nuncjusz miał wygląd bardzo zniewieściały.

– Tak jak Jan Paweł II jest wielki. Wysoki, gruby, góra, można by powiedzieć. Ma wielki autorytet. Poza tym – i to jest jego siła – jest bardzo lojalny i zdyscyplinowany. To dokładne przeciwieństwo Casarolego – opowiada mi Francesco Lepore.

Federico Lombardi, który w tamtym czasie kierował Radiem Watykańskim, a potem został rzecznikiem Jana Pawła II i Benedykta XVI, uzupełnia charakterystykę tej postaci:

– Angelo Sodano był skuteczny. To bardzo systematyczny umysł. Doskonały organizator. Oczywiście, nie ma w sobie zbyt wiele kreatywności, niczym nie zaskakuje, ale kogoś takiego papież poszukiwał.

Wydaje się, że osobisty sekretarz Jana Pawła II, Stanisław Dziwisz, odegrał jakąś rolę w tej nominacji. Oto, co mówi pewna wpływowa w Watykanie osoba świecka:

– Casaroli był bardzo potężnym sekretarzem stanu. Potrafił powiedzieć papieżowi „nie”. Dziwisz zaś chciał na tym stanowisku kogoś nieszkodliwego, dobrego urzędnika, potrafiącego wykonywać swoją robotę, ale mówiącego „tak”. A wszyscy ci, którzy jak ja żyli w Watykanie w czasie pontyfikatu Jana Pawła II, wiedzą doskonale, że to Dziwisz decydował.

Grupa, którą tworzą wokół papieża, nie jest nieszkodliwa. Cóż za dziwny z nich duet! Te dwie osoby długo nas będą w tej książce zajmować.

Angelo Sodano mieszka dziś w penthousie, w niesłychanym przepychu, na ostatnim piętrze miejsca zwanego „kolegium etiopskim”, w samym sercu Watykanu. Zamknięty w afrykańskiej wieży z kości słoniowej wraz ze wszystkimi tajemnicami i wspomnieniami swych najpiękniejszych miłości. Jeśli ogrody Edenu naprawdę kiedyś istniały, musiały przypominać ten mały raj na ziemi. Kiedy tam idę, przeszedłszy przez most, trafiam na dwa idealnie przystrzyżone trawniki, równo podcięte cyprysy, magnolie pokryte pachnącymi kwiatami. To prawdziwy ogród śródziemnomorski, z piniami, cyprysami i oczywiście oliwkami. W koronach cedrów zauważam papużki pąsogłówki, z czerwonymi łebkami i czarnymi wąsami, eleganckie i barwne, które śpiewają i bez wątpienia przyczyniają się do łagodnych przebudzeń kardynała Sodana.

Wracam pogrążony w rozmyślaniach z kolegium etiopskiego, gdy nagle zagaduje mnie afrykański biskup Musie Ghebreghiorghis. Jest franciszkaninem. Mieszka tu, ale pochodzi z małego miasteczka Emdibir leżącego sto osiemdziesiąt kilometrów od Addis Abeby.

Oprowadza po kolegium mnie oraz Antonio Martíneza Velázqueza, meksykańskiego dziennikarza i jednego z moich najważniejszych researcherów. Długo rozmawiamy o kardynale Sodanie i jego mrocznej stronie. Musie jest bardzo niezadowolony:

– To nadużycie. Sodano nie powinien tu mieszkać. To kolegium etiopskie, a więc dla Etiopczyków…

Powodem jego gniewu, a także gniewu innych etiopskich księży mieszkających w kolegium, jest to, że Angelo Sodano sprywatyzował ostatnie piętro budynku. Zdaniem Musiego Ghebreghiorghisa Sodano nigdy nie powinien był dostać zezwolenia na zamieszkanie tutaj (skrytykują tę prywatyzację również papież Benedykt XVI i kardynał Bertone).

Trzeba dodać, że penthouse został przystosowany do indywidualnych wymogów lokatora. Sodano dobrze się przygotował na dni starości – dzięki windzie nie musi wchodzić po schodach. W korytarzu zdjęcia kardynała w towarzystwie Benedykta XVI – choć wszyscy dobrze wiedzą, że byli zażartymi wrogami. Wyposażenie jest okropne, jak to często w Watykanie. Ale cóż za lokalizacja! Na ostatnim piętrze obok Sodana mieszka jeszcze tylko jeden włoski kardynał, Giovanni Lajolo. Protegowany Sodana, będący z nim w zażyłych stosunkach, był jego pierwszym zastępcą. Taki Silvestrini, któremu się powiodło.

Paskudna reputacja kardynała Sodana, jego czarna legenda, ma kilka źródeł: Włoch z północy, którego ojciec długo był deputowanym z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, wyświęcony na księdza w wieku dwudziestu trzech lat, jest człowiekiem władzy i silnej woli, który używał swej potęgi, aby budować i rujnować kariery. Jego ambicje kształtują się wcześnie. Paweł VI dostrzegł go, kiedy zajmował się Węgrami w sekretariacie stanu. W 1977 roku mianował go nuncjuszem w Chile. Za pontyfikatu Jana Pawła II był

przez czternaście lat „numerem dwa” w Watykanie; pełnił funkcję dziekana kolegium kardynalskiego; niewielu ludzi Kościoła przed nim łączyło naraz tyle funkcji. Bilans jego działań oceniany jest na ogół pozytywnie, zwłaszcza jeśli chodzi o wojny w krajach byłej Jugosławii, pierwszą wojnę w Zatoce, konflikty w Kosowie czy w Afganistanie bądź też napięcia w Ziemi Świętej, liczne w czasie jego rządów.

Porównywano czasem Sodana do Mazarina, włoskiego kardynała, który służył jednocześnie papieżowi i królom Francji, a jego nadużycia władzy, liczba wrogów i sekretnych związków są legendarne. Do tego wszelkie swoje kłamstwa usprawiedliwiał racją stanu. Podczas dziesięciolecia, kiedy Jan Paweł II, krzepki i pełen wigoru papież, zmieniał się w „papieża cierpienia” porażonego chorobą Parkinsona, niezdolnego do kierowania kurią, pozbawianego stopniowo możliwości poruszania się, a nawet mówienia – Sodano stał się prawdziwym papieżem *par intérim* [w zastępstwie – przyp. red.].

Tworzył – teoretycznie, jak powiedziałem – duet ze Stanisławem Dziwiszem, osobistym sekretarzem Jana Pawła II, a nawet trio, jeśli dodamy kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Jednakże ten pierwszy nie był jeszcze biskupem, drugi natomiast, choć niezwykle ważny, skupiał się przede wszystkim na doktrynie i na ideach. Ambicje ich rosły powoli, ale już wtedy tetrarcha Sodano rządzi niepodzielnie polityką wewnętrzną i dyplomacją watykańską.

Jego idee polityczne były wzmacniane przez osobiste animozje, dobrze już znane w Rzymie. Inaczej niż kardynał Casaroli i jego zastępca Achille Silvestrini, ludzie kompromisu, Sodano był człowiekiem surowym, skrytym i stanowczym. To porywczy twardziel, jak mówią, który stokrotnie oddawał ciosy, jakie na niego spadały. Jego metoda to milczenie i wściekłość. Jego ideologicznym

impulsem, tym, co go pobudzało, był przede wszystkim antykomunizm. Stąd brało się jego przymierze z Janem Pawłem II zawiązane bądź potwierdzone podczas kontrowersyjnej podróży papieża do Chile w 1987 roku. Angelo Sodano był wówczas nuncjuszem w Santiago. Ale jego trudna chilijska przeszłość, której szczegółów nikt wszelako nie zna, bardzo szkodzi wizerunkowi kardynała, sekretarza stanu.

Historia Watykanu ostatniej dekady minionego wieku i pierwszej obecnego stulecia rozpoczęła się tak naprawdę dziesięć lat wcześniej w stolicy Chile. Sodano zainicjował tam swoją drogę na szczyty. Na potrzeby tej książki pojechałem tam dwukrotnie i rozmawiałem z dziesiątkami świadków. Zaczęły również „mówić" niektóre archiwa dyktatury. Jednocześnie trwają procesy wspólników generała Pinocheta. Chociaż wydawałoby się, że nie zachowały się dokumenty z archiwów DINA [Narodowa Agencja Wywiadu, słynna z okrucieństwa i skrytobójstw tajna służba czasów dyktatury w Chile, jej archiwa zostały prawdopodobnie zniszczone – przyp. red.], ostatnio pod naciskiem międzynarodowym zostały odtajnione ważne archiwa amerykańskie Departamentu Stanu i CIA. Kopie tych oryginalnych dokumentów Stany Zjednoczone przekazały rządowi chilijskiemu i obecnie są dostępne w Museo de la Memoria y los derechos humanos [Muzeum Pamięci i Praw Człowieka – przyp. red.] w Santiago. Przewertowałem tysiące stron niepublikowanych dokumentów na potrzeby rozdziałów poświęconych Angelo Sodanowi. Wiele spraw nieznanych jeszcze kilka lat temu zaczyna teraz wychodzić na światło dzienne, tak jak prawda o ludziach, którzy na rozkaz Pinocheta mieli zniknąć na zawsze.

„W TYCH CZASACH CZŁOWIEK DOBRA DOTYKA CZŁOWIEKA ZŁA". Ta myśl Chateaubrianda dobrze pasuje do Sodana.

Jestem więc w Santiago de Chile i to właśnie tutaj staję się, wcale

tego nie planowałem, swego rodzaju biografem Angelo Sodana. Chciałbym bardzo, żeby kardynał i jego biograf mogli się spotkać, jednak mimo przyjaznej wymiany korespondencji do spotkania nie doszło. Szkoda. Tym większą mam świadomość mojej odpowiedzialności. Wiem, że od tej pory życiorys sekretarza stanu będzie być może – niestety – kojarzony z tym, co pojawi się na następnych stronach.

Ecce homo. Angelo Sodano był przedstawicielem Watykanu w Chile od marca 1978 do maja 1988 roku. Przybywa do Santiago wkrótce po zamachu stanu Augusto Pinocheta. Zna już ten kraj, mieszkał tu od 1966 do 1968 roku jako sekretarz nuncjatury. Dla Watykanu Chile to kraj niezwykle istotny, relacje z chilijskim dyktatorem uznawane są za „szczególnie delikatne".

Sodano nawiązuje z Pinochetem relację, którą wielu moich rozmówców nie waha się nazwać „głęboką przyjaźnią". A nawet „przyjaźnią niezwykłą".

– Angelo Sodano bardzo się troszczył o prawa człowieka. Zrobiliśmy maksimum tego, co można było zrobić. Proszę nie zapominać, że w budynkach naszej nuncjatury w Santiago przebywało do trzydziestu uchodźców politycznych – podkreśla arcybiskup François Bacqué, który był zastępcą Sodana w Chile.

Kilka razy miałem możliwość jeść kolację i rozmawiać w cztery oczy z tym emerytowanym dyplomatą. Na szczęście Bacqué jest tak rozmowny jak Sodano skryty, tak dobroduszny i pogodny jak były sekretarz stanu milczący i gburowaty. Jeden pragnie być lubiany, drugi znienawidzony. W odróżnieniu od Bacqué Sodano zawsze swoje mądrości i bon moty głosił małej grupce zaufanych, enigmatycznych nuncjuszy i nieprzeniknionych kardynałów. A jednak ci dwaj hierarchowie o tak odmiennych naturach, nuncjusz sukcesu i nuncjusz porażki, są do siebie podobni. Dobrana kompania.

Większość świadków i ekspertów, z którymi rozmawiałem w Santiago de Chile, nie podziela pozytywnej oceny przedstawionej przez François Bacqué, zresztą nieco naciąganej. Ich zdaniem przeszłość Sodana była w rzeczywistości „jeszcze czarniejsza niż jego sutanna".

Bo też proszę rzucić okiem na jego styl życia! Według świadectwa Osvalda Rivery, bliskiego doradcy Pinocheta, którego udało nam się spotkać w Santiago de Chile, Angelo Sodano żył w luksusie:

– Pewnego dnia dostałem od nuncjusza zaproszenie na kolację. Przyjąłem je. Po przyjściu zorientowałem się, że jestem jedynym gościem. Zasiedliśmy przy bardzo eleganckim stole ze srebrnymi nakryciami. Powiedziałem sobie: „Ten ksiądz chce mi pokazać, co to jest władza, władza absolutna, i uświadomić, że jestem zwykłym nędzarzem". Bo nie tylko było to luksusowe miejsce, ale też popis ostentacji.

Wielu innych świadków przypomina sobie styl życia, niebywały jak na księdza, nawet nuncjusza. Sodano ewidentnie nie uważał umiarkowania za cnotę.

– To był książę. Widywałem go bardzo często; żył w luksusie. Samochodem poruszał się z eskortą policyjną i z kogutem na dachu, co było dziwne w wypadku nuncjusza. Brał udział we wszystkich uroczystościach inauguracyjnych i wymagał rezerwacji miejsca w pierwszym rzędzie. Był przeciwieństwem Kościoła, bo inaczej niż chilijski Kościół bardzo wspierał Pinocheta – mówi mi pisarz Pablo Simonetti.

Znany naukowiec Ernesto Ottone przez długi czas był jednym z przywódców chilijskiej partii komunistycznej. Znał dobrze Sodana. Teraz opowiada:

– W Chile Sodano absolutnie nie robił wrażenia osoby duchownej. Kochał dobre jedzenie i władzę. Zaskoczyła mnie jego mizoginia

kontrastująca z tym, że sam był bardzo zniewieściały. Jego sposób podawania ręki był niesłychany: nie ściskał dłoni, wykonywał coś w rodzaju kobiecego muśnięcia, tak jak kurtyzana w XIX wieku, która na chwilę przed omdleniem prosiła o podsunięcie jej pod nos soli trzeźwiących!

Zdumieni świadkowie widzą także, jak Sodano kłania się nisko, gdy spotyka się z dyktatorem. Bardziej sympatyczny jest wobec podwładnych. „Poklepywał ich po plecach” – mówi jeden ze świadków. Ale rzeczywiście, kobiety są wielkimi nieobecnymi w życiu nuncjusza, faktycznie potwornego mizogina. Czasami występuje sam, czasami przybywa z całym areopagiem męskich postaci, oddanych mu ciałem i duszą.

Z biegiem czasu ujawnia się jego zły charakter.

Jedna z osób, które pracowały z Sodanem w nuncjaturze, potwierdza te zmiany:

– Najpierw Sodano dawał się poznać jako człowiek ostrożny i zdystansowany. Przybył do Chile pełen watykańskich idei na temat dyktatury: patrzył na Pinocheta raczej krytycznie i chciał bronić praw człowieka. Powoli jednak, poznawszy rzeczywistość i dyktatora, stawał się bardziej pragmatyczny. Zaczął wchodzić w układy z reżimem.

Emerytowany nuncjusz François Bacqué, który pracował w nuncjaturze chilijskiej razem z Sodanem, ma takie same wspomnienia:

– Najpierw nie chciał się kompromitować u boku Pinocheta. Pamiętam dzień, gdy miał stać obok niego przy okazji jakiejś ceremonii wojskowej. Nuncjusz był tradycyjnie obecny na takiej uroczystości, ale Sodano nie chciał tam iść z obawy, że skompromituje Kościół.

Odtajnione archiwa dyplomatyczne rzeczywiście potwierdzają,

że między Sodanem a Pinochetem były jakieś napięcia, szczególnie w pierwszych latach jego urzędowania, a zwłaszcza w roku 1984, kiedy czterech lewicowych ekstremistów przedostało się do nuncjatury apostolskiej i poprosiło o azyl polityczny. Więcej jest jednak dokumentów potwierdzających niezachwiane wsparcie Sodana dla Pinocheta: nuncjusz przymknie nawet oko, kiedy rząd aresztuje księży oskarżonych o działalność wywrotową.

W istocie Sodano zostaje wbrew sobie aniołem stróżem Pinocheta. Zaczyna minimalizować jego zbrodnie, przejmując podejście swojego poprzednika w Santiago de Chile, który w 1973 roku jasno i wyraźnie odrzucił informację o zbrodniach dyktatury, traktując ją jako „propagandę komunistyczną" (według dokumentów amerykańskich misji dyplomatycznych ujawnionych przez Wikileaks). Próbuje także bagatelizować systematyczne stosowanie tortur, powszechnych i brutalnych, i stara się podtrzymywać stosunki dyplomatyczne między stolicą apostolską a Chile nawet po tym, jak kilka krajów – w tym Włochy – je zerwało.

Według licznych zebranych przeze mnie zeznań świadków (w tym księdza Christiana Prechta, jednego z najbliższych współpracowników biskupa Santiago Raúla Silvy Henríqueza) Sodano przyczynił się do nominacji biskupów neutralnych wobec Pinocheta bądź sprzyjających mu, dyskwalifikując księży przeciwnych reżimowi. W roku 1983 sprytnie manipuluje, aby usunąć Henríqueza, kardynała o umiarkowanych poglądach, który jednak krytykował przemoc dyktatury i był blisko z prezydentem Salvadorem Allende. Sodano pomógł wprowadzić na jego miejsce Juana Francisco Fresno Larraína, znanego sojusznika Pinocheta i zdaniem wszystkich świadków „zupełnie nijakiego biskupa". Dziś jest on podejrzewany o chronienie kilku księży pedofilów.

– Kardynał Fresno miał jedną pasję: ciastka z pomarańczą – mówi

mi w Santiago dziennikarka Mónica González.

Wydaje się jednak, że kardynał Fresno był postacią bardziej dwuznaczną: ten przekonany antykomunista podobno prywatnie ostro krytykował Pinocheta, a dyktator, który najpierw go cenił, wkrótce zaczął traktować jako „wroga reżimu”. Pinochet miał się skarżyć do Angelo Sodana na Fresno, grożąc „zmianą religii”. Sodano podobno ostro nacisnął na Fresno, by stłumić jego krytykę (według znanych mi telegramów i odtajnionych zapisków CIA).

Z biegiem czasu Sodano staje się twardszy. Działa z większą premedytacją, jest bardziej nieugięty. Milczy w sprawie aresztowania i morderstwa czterech księży bliskich teologii wyzwolenia, co wyjaśnia, dlaczego od tej pory jest krytykowany przez postępowych katolików chilijskich (chodzi o ruch También Somos Iglesia, który oskarżył go o współpracę z dyktaturą). Przywołał również do porządku wielu duchownych, którzy uczestniczyli w pokojowych akcjach przeciwko Pinochetowi. Kościół Sodana jest Kościołem siły, zmobilizowanym przeciwko postępowym księżom, księżom robotnikom, przeciwko słabym – a nie Kościołem, który chroni i broni.

Wreszcie z niezwykłą zręcznością polityczną, która będzie jego codziennością u boku Jana Pawła II, nuncjusz zablokował konferencję episkopatu chilijskiego, wprowadzając do niej przynajmniej czterech biskupów bliskich Opus Dei. Dzięki temu mógł ją kontrolować i ograniczyć wewnętrzne dyskusje (większość tych ultrakonserwatywnych biskupów w czasach seminaryjnych uczęszczała do parafii księdza Fernanda Karadimy, jak wkrótce zobaczymy, głównej postaci tej historii).

Jeszcze później z Rzymu, kiedy zostaje sekretarzem stanu Jana Pawła II, Angelo Sodano wciąż będzie pociągał za sznurki w Chile i chronił dyktatora. W roku 1988 doprowadzi do mianowania

na arcybiskupa Santiago Francisco Javiera Errázuriza, a potem przyczyni się do jego nominacji na kardynała. Nieważne, że Errázuriz również tuszował afery kilku księży pedofilów i że wzbudza ironiczne uśmiechy w Santiago de Chile z powodu wystawnego trybu życia – Sodano broni go wbrew wszystkim i przeciw wszystkim.

Dziennikarz i pisarz Óscar Contardo, który właśnie opublikował książkę o księdzu pedofilu, protegowanym kardynała Francisco Javiera Errázuriza, nie waha się skrytykować tego, który sprzyjał jego nominacji:

– Angelo Sodano stoi za nominacjami większości tych opętanych księży tu, w Chile. Nuncjusz nie przybył do Santiago tylko z powodu swojej wiary.

Jeden z dziennikarzy, z którym rozmawiałem w Santiago, a który dużo pisał o zbrodniach dyktatury, powiedział mi jeszcze ostrzej:

– Nazwijmy rzeczy po imieniu: w Chile Angelo Sodano zachowywał się jak faszysta i był przyjacielem dyktatora faszysty. Tak to naprawdę wygląda.

W Watykanie kilka osób nie waha się w prywatnej rozmowie porównać Sodana do księdza Pietro Tacchi Venturiego. Ten włoski reakcyjny jezuita był pośrednikiem między papieżem Piusem XI a Mussolinim, a wiadomo z odkryć historyków, że miał na sumieniu sporo win: był antysemitą, zwolennikiem faszyzmu, a ponadto wielkim amatorem „przygód seksualnych” (z chłopcami).

W KWIETNIU 1987 ROKU Angelo Sodano organizuje wizytę papieża Jana Pawła II w Chile, ściśle współpracując z osobistym sekretarzem papieża Stanisławem Dziwiszem, który przyleci razem z papieżem. Zdaniem dwóch świadków, którzy brali udział w przygotowaniach, spotkania przygotowujące tę ryzykowną wizytę były „bardzo napięte” i stanowiły okazję do ostrych starć między „dwoma obozami” – postępowego antypinochetowskiego

i konserwatywnego propinochetowskiego. Co niezwykle ciekawe, w ich skład wchodzili „głównie księża homoseksualni”.

Chilijskim biskupem, który koordynował przygotowania do wizyty, był konserwatysta Francisco Cox. Odegra później pewną rolę w Papieskiej Radzie do spraw Rodziny, gdzie da się poznać jako wielki homofob. W końcu ujawniona zostanie sprawa molestowania seksualnego, jakiego dopuszczał się wobec młodych mężczyzn w Chile.

Inny duchowny pracujący przy tej pielgrzymce, ksiądz Christián Precht, jest współpracownikiem postępowego kardynała z Santiago, reprezentuje lewicę episkopatu chilijskiego. Podczas jednej z rozmów Precht opisuje mi dokładnie spotkania, w których uczestniczył trzy- lub czterokrotnie nuncjusz Angelo Sodano. Stwierdza „on the record”: „Sodano w niektórych sprawach zachowywał się jak przedstawiciel rządu i Pinocheta, a nie Jana Pawła II”. (W roku 2011, a potem w 2018 Precht również był oskarżony o molestowanie seksualne chłopców i został suspendowany, a potem przeniesiony do stanu świeckiego).

Wizyta Jana Pawła II w Chile pozwala dyktatorowi uzyskać niespodziewaną międzynarodową legitymizację w momencie, gdy jego zbrodnie zaczynają wychodzić na światło dzienne, a międzynarodowe zaufanie szybko spada. Sodano i Dziwisz podają dyktatorowi na srebrnej tacy certyfikat moralności.

– W tym czasie nawet Stany Zjednoczone odsunęły się od Pinocheta, a przecież wcześniej go wspierały. Już tylko Watykan sprzyjał jego dyktaturze! Z wyjątkiem Sodana nikt nie chciał sankcjonować jego polityki! – mówi mi Alejandra Matus, chilijska dziennikarka śledcza i badaczka epoki dyktatury, z którą spotykam się w Starbucksie na uniwersytecie w Santiago.

Podczas papieskiej podróży Sodano przystaje – a według innych

wersji sam organizuje – na bardzo symboliczne wspólne pojawienie się papieża i generała Pinocheta na balkonie pałacu prezydenckiego La Moneda: zdjęcie obu uśmiechniętych sylwetek będzie krytykowane na całym świecie. Szczególnie przez chilijską opozycję demokratyczną i część chilijskiego Kościoła katolickiego.

Piero Marini, „mistrz ceremonii" Jana Pawła II, uczestniczył w tej podróży. Podczas dwu spotkań w Rzymie w obecności mojego współpracownika Danielego tak opisuje to wydarzenie:

– Wszystko było przygotowane bardzo dokładnie, ale Pinochet nagle sam z siebie zaprosił papieża i zaprowadził na balkon La Monedy. To nie było przewidziane w protokole spotkania. Papież został w to wmieszany wbrew swojej woli.

Następnego dnia podczas mszy, na którą przybyło około miliona osób, miały miejsce starcia z szarżującą policją. Rannych zostało około sześciuset osób. Według wielu świadków i dokumentów z kilku śledztw zajścia zostały sprowokowane przez tajne służby Pinocheta. Sodano opublikował oświadczenie, w którym oskarżał o organizację zajść opozycję demokratyczną. Jego zdaniem policjanci byli ofiarami…

Wizyta Jana Pawła II to jedno z najlepszych zagrań politycznych Pinocheta, a więc i Angelo Sodana. Dyktator nie szczędzi pochwał nuncjuszowi, dla którego kilka miesięcy później wydaje niezwykle uroczysty obiad z okazji dziesięciu lat jego obecności w Santiago. Spotkałem się ze świadkiem, który uczestniczył w tym posiłku i poświadcza „niezwykłe", „nieopisane" i „anormalne" porozumienie między nuncjuszem a dyktatorem (potwierdzają to również odtajnione dokumenty amerykańskiego Departamentu Stanu).

Kilka tygodni później, kiedy zbliża się trudne dla Pinocheta referendum (przegra je i będzie zmuszony oddać władzę), Sodano zostaje odwołany do Rzymu. Jan Paweł II mianuje go „ministrem

spraw zagranicznych” Watykanu. W roku 1990 zostaje papieskim „premierem”.

Miesiąc miodowy z Pinochetem wcale się jednak nie skończył. Od czasów Monteskiusza wiadomo przecież, że „człowiek, który posiada władzę, skłonny jest jej nadużyć; posuwa się tak daleko, aż napotka granice”[50]. Niczym nieograniczony, teraz w stolicy apostolskiej, bardziej niż kiedykolwiek zuchwały i radykalny, mniej niż kiedykolwiek człowiek Kościoła, Sodano wciąż czuwa nad swoim przyjacielem dyktatorem i wciąż go wspiera, nawet po upadku. W roku 1993 nalega, aby papież Jan Paweł II przesłał Pinochetowi życzenia „boskich łask” z okazji jego złotego wesela. A kiedy generał w 1998 roku trafia do szpitala w Wielkiej Brytanii i zostaje aresztowany, bo wystawiono międzynarodowy nakaz jego aresztowania, Sodano wciąż stoi na warcie: Watykan oburza się, wspiera dyktatora i publicznie sprzeciwia się jego ekstradycji do Hiszpanii.

PO RAZ PIERWSZY SPOTKAŁEM Santiago Schulera w restauracji El Toro, której jest właścicielem. Ta gejowska restauracja, ważne miejsce dla chilijskiego nocnego życia, znajduje się w dzielnicy Bellavista w Santiago. Polubiliśmy się z Schulerem, spotkałem się z nim jeszcze kilkakrotnie, również w roku 2017, podczas mojego drugiego pobytu, kiedy przeprowadziłem z nim wywiad w obecności mojego chilijskiego researchera Andrèsa Herrery.

Santiago Schuler jest dość specyficznym przypadkiem. To gej o poglądach propinochetowskich. Wciąż darzy dyktatora wielkim podziwem.

– Kiedy wchodzę do domu, zawsze widzę dwa portrety Pinocheta – mówi bez cienia wstydu.

Siedemdziesięciojednoletni właściciel El Toro opowiada mi o swoim życiu, przedziwnej mieszaninie katolicyzmu, faszyzmu

i homoseksualizmu. Urodził się w rodzinie francuskich producentów wina. Ojciec był z pochodzenia Szwajcarem. Santiago Schuler dorastał w wierze chrześcijańskiej, w atmosferze bliskiej Opus Dei. Ożenił się, jest ojcem dziewięciorga dzieci. Długo ukrywał swoją orientację, jego coming out nastąpił dopiero po końcu dyktatury, gdy miał więcej niż sześćdziesiąt lat. Od tego momentu próbuje nadrobić stracony czas. Jego gejowska restauracja El Toro, maleńka wewnątrz, ale dużo obszerniejsza, jeśli dołączy się spory osłonięty od ulicy taras, jest sercem gejowskiego życia w Santiago. Cóż za paradoks! Symbolicznym dla Chile miejscem LGBT kieruje były katolik fundamentalista, dawny osobisty przyjaciel Pinocheta!

– Za czasów Pinocheta homoseksualiści nie byli specjalnie niepokojeni, choć reżim był dość maczystowski – przekonuje Santiago Schuler.

Zdaniem Schulera, a także innych źródeł, żona Pinocheta była praktykującą katoliczką i zarazem osobą przyjazną gejom. Pinochetowie mieli wokół siebie prawdziwy dwór homoseksualnych katolików. Prezydencka para lubiła się pokazywać z niektórymi ważnymi postaciami spośród miejscowych gejów podczas rozmaitych przyjęć i oficjalnych obiadów, tak samo jak lubiła się pokazywać w towarzystwie Angelo Sodana.

Historycy i gejowscy aktywiści, z którymi rozmawiałem w Santiago de Chile, nie do końca podzielają tę opinię. Wielu zaprzecza, jakoby dyktatura chilijska była w stosunku do homoseksualistów tolerancyjna. Wszyscy przyznają jednak, że w niektórych aspektach byli przez reżim tolerowani.

– Powiedziałbym, że problem gejów za Pinocheta po prostu nie istniał – wyjaśnia pisarz i aktywista Pablo Simonetti. – To prawda, że w dokumentach ujawnionych po upadku dyktatury nie ma informacji o osobach straconych lub torturowanych ze względu

na ich obyczaje. Sodomia była jednak uznawana za zbrodnię aż do końca lat dziewięćdziesiątych; nic też nie robiono dla walki z AIDS.

Rzeczywiście, pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych XX wieku, za czasów dyktatury Pinocheta, istniał nawet „gejowski krąg" w prywatnych klubach, dyskotekach, barach, w których „idee polityczne zostawały na ogół w szatni". Niektóre bary jednak zamknięto, niektóre kluby zaczęły być infiltrowane przez policję. Były też przypadki prześladowań, morderstw; homoseksualiści byli też w czasach reżimu torturowani, ale zdaniem Óscara Contarda, Pablo Simonettiego i innych znawców tematu dyktatura nie prześladowała homoseksualistów jako takich (podobnie jak reżim Castro na Kubie czy poprzedni socjalistyczny rząd Allende, który również nie był zbyt gay-friendly).

Charakterystyczne natomiast, wręcz zdumiewające jest istnienie prawdziwego „gejowskiego dworu" w otoczeniu Pinocheta. Nikt go nigdy szczegółowo nie opisał, muszę więc to zrobić tutaj, bo jest on kluczowym elementem tej książki.

W TRAKCIE INNEJ KOLACJI, gdy Santiago Schuler częstuje mnie czerwonym winem, którego jest w Chile wyłącznym sprzedawcą, pytam go o „homoseksualny dwór" Pinocheta. Przywołujemy całą serię nazwisk i za każdym razem Schuler podnosi telefon i rozmawiając ze swoimi przyjaciółmi pozostającymi kiedyś w bliskich kontaktach z Pinochetem, odtwarza gejowskie albo przyjazne gejom otoczenie dyktatora. Stale powtarzają się nazwiska sześciu osób. Wszystkie te osoby są bezpośrednio związane z nuncjuszem apostolskim Angelo Sodanem.

Najsłynniejszą z tych osób jest Fernando Karadima. To katolicki ksiądz, który w latach osiemdziesiątych kieruje parafią El Bosque w śródmieściu Santiago. Udałem się tam. Kościół parafialny znajduje

się w eleganckiej dzielnicy Las Condes, zaledwie kilkaset metrów od nuncjatury. Angelo Sodano był więc sąsiadem Karadimy, chodził do niego w odwiedziny pieszo.

Był to zarazem kościół, do którego uczęszczali ochroniarze Pinocheta. Dyktator miał dobre relacje z Karadimą. Chronił go przez długi czas, mimo powtarzających się od lat osiemdziesiątych pogłosek o popełnianych przez niego nadużyciach seksualnych. Według kilku źródeł parafia Karadimy, tak jak nuncjatura Sodana, była infiltrowana przez służby bezpieczeństwa. Homoseksualizm chilijskiego księdza był więc już wtedy znany wszystkim oficjalnym osobistościom, tak samo jak jego wybryki seksualne.

– Pinocheta fascynowały informacje o homoseksualistach, które przekazywali mu jego przyjaciele, informatorzy i agenci. Interesował się przede wszystkim gejami wśród hierarchów katolickich – mówi mi Schuler.

Kiedy pytam o to Ernesta Ottone, byłego przywódcę chilijskiej partii komunistycznej, długo przebywającego na wygnaniu poza krajem, przedstawia mi interesującą analizę:

– Pinochet był na początku źle widziany przez Kościół. Musiał znaleźć jakichś księży pinochetystów, proboszczów, ale też biskupów. Ta kampania rekrutacyjna, to formowanie grupy sojuszników dyktatury było właśnie zadaniem kościoła Karadimy. Sodano bronił tej strategii, a ponieważ nuncjusz był znanym antykomunistą i do tego osobą niezwykle próżną, urok władzy zrobił swoje. Należał do twardej prawicy. Moim zdaniem Sodano był po prostu pinochetystą.

Inny lewicowy przywódca, Marco Enríquez-Ominami, kilkakrotny kandydat w wyborach prezydenckich w Chile, również potwierdza skłonności Sodana do pinochetyzmu.

Nuncjusz apostolski staje się więc zaufanym powiernikiem

Karadimy do tego stopnia, że jedno z pomieszczeń przeznaczonych dla niego w El Bosque nazwano „la sala del nuncio” (salon nuncjusza). Tam poznaje wielu seminarzystów i młodych księży, których przedstawia mu osobiście Karadima. Chilijczyk staje się więc pośrednikiem, Włoch jest mu wdzięczny za ten rodzaj uprzejmości. Ci młodzi ludzie krążą wokół Kościoła i Unii Kapłańskiej. Do Unii należy pięciu biskupów i dziesiątki bardzo konserwatywnych księży. Ale organizacja jest bez reszty oddana Karadimie – podobnie jak Legioniści Chrystusa będą oddani księdzu Marcialowi Macielowi.

– To był rodzaj sekty, Karadima był jej szefem – komentuje adwokat Juan Pablo Hermosilla. – Ani Opus Dei, ani Legioniści Chrystusa nie byli jeszcze w Chile dobrze ulokowani, grupa Karadimy w pewnym stopniu przecierała im szlaki.

Za pośrednictwem tej księżowskiej sieci i dzięki swym osobistym kontaktom wśród homoseksualistów Karadima ma dokładne informacje o chilijskim klerze.

– Karadima pracował ręka w rękę z Sodanem – dodaje Hermosilla.

Swoim gościom dawał do zrozumienia, że ma niemałe wpływy. Utrzymuje, że jako nuncjusz ma wysokie notowania w Rzymie i jest chroniony bezpośrednio przez Jana Pawła II, co wydaje się wielką przesadą.

– Pozował na świętego i zresztą seminarzyści nazywali go „el santo, el santito”. Mawiał, że będzie po śmierci kanonizowany – dodaje Hermosilla.

Mónica González, znana chilijska dziennikarka śledcza, potwierdza:

– Karadima chciał wiedzieć wszystko o życiu prywatnym księży, słuchał plotek i pogłosek. Interesował się księżmi postępowymi i wytrwale sprawdzał, czy byli gejami. Wszystkie te informacje przekazywał nuncjuszowi, aby zablokować karierę tych z lewicy.

Możliwe, że te informacje mogły być przekazywane przez Sodana

jego faszystowskim przyjaciołom albo przez Karadimę bezpośrednio Pinochetowi i doprowadziły do aresztowania postępowych księży. Kilku świadków wspomina tajne narady Sodana z Sergió Rillónem, sługusem Pinocheta, i wymianę informacji między nimi. Sodano, który ma posłuch u Karadimy i pyszni się swoją wielką wiedzą, mógłby zatem dzielić się swoimi tajemnicami z chilijskim dyktatorem.

Wielu oficerów armii, agentów tajnej policji Pinocheta i kilku jego osobistych doradców, jak Rodrigo Serrano Bombal, były oficer, albo Osvaldo Rivera, jego człowiek od kultury, to również bywalcy kościoła Karadimy. Ministrowie i generałowie Pinocheta jako dobrzy katolicy tam chodzą na msze.

Można nawet powiedzieć, że El Bosque staje się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych parafią dyktatury i istotnym miejscem dla chilijskich faszystów. Jest ich tak wielu, mają tak wiele zbrodni i występków do odpokutowania, że można się zastanawiać, jakim cudem mogą przystępować do komunii i mieć nadzieję na czyściec! Chyba że ksiądz Fernando Karadima z błogosławieństwem nuncjusza obiecuje im od razu raj.

Według wszystkich świadectw Angelo Sodano jest postacią wciąż obecną w El Bosque. Stale pokazuje się w towarzystwie Karadimy, czasem odprawia z nim mszę. Wysłannik Jana Pawła II, faszysta w życiu kościelnym i zarazem piękność nocy, podczas niektórych ceremonii pokazuje się nawet u boku Pinocheta. Poza tym obraca się w profaszystowskim i wściekle antykomunistycznym środowisku dyktatora. Kontaktuje się bezpośrednio z Sergió Rillónem, szarą eminencją Pinocheta, który zajmuje się osobiście sprawami religijnymi, a także z Francisco Javierem Cuadrą, szatańskim specjalnym doradcą dyktatora, potem jednym z jego ministrów, a w końcu ambasadorem w Watykanie (odtajnione archiwa CIA

potwierdzają te informacje, tak samo jak Osvaldo Rivera, inny bliski doradca Pinocheta, z którym też rozmawialiśmy).

Sodano wydaje się dobrze czuć w tym faszystowskim środowisku. Ochrona Pinocheta traktuje go jak jednego ze swoich, bo jest arcybiskupem, osobą godną zaufania, choć nieprzeniknioną. Ponieważ ma kontakt z Janem Pawłem II i uchodzi za przyszłego kardynała, staje się cennym pionkiem w grze. On z kolei, dumny, że wzbudza takie zainteresowanie, podwaja swoje starania. Roosevelt mawiał, że nie można nigdy lekceważyć człowieka, który sam siebie przecenia! Próżny jak mało który nuncjusz przyszły „dziekan kardynałów" ma dumę i ego w rozmiarze XXL.

Ambitny Sodano lawiruje więc między swymi wieloma tożsamościami, unikając splatania tych sieci i pozostawiania śladów. Starannie odgradza od siebie różne życia, tak że utrudnia to rozszyfrowanie detali jego pobytu w Chile. Jest więc karykaturą tego, co po angielsku nazywa się „control freak", obsesjonatem kontroli. To człowiek pełen rezerwy, nawet nieodgadniony. Zarówno w Chile, jak i później, w Rzymie, Sodano jest bardzo ostrożny, dyskretny, tajemniczy – z wyjątkiem chwil, kiedy taki nie jest. Tak się dzieje w przypadku jego wyjątkowej „falliczno-morskiej" relacji z niejakim Rodrigo Serrano Bombalem.

A cóż to za nazwisko, ten Bombal! Cóż za rodowód! Jakie CV! Jest to zarazem jedna z osób odpowiedzialnych za El Bosque, oficer rezerwy marynarki, agent tajnych służb Pinocheta i kryptogej (jego przynależność do DINA – Dirección de Inteligencia Nacional – została poświadczona aktem jego nominacji, do którego dotarła dziennikarka Mónica González. Potwierdzone zostało też zatrudnienie go w policji, a także, dzięki zeznaniom pod przysięgą podczas procesów przeciwko dyktaturze, homoseksualizm).

SKĄD POCHODZĄ te wszystkie widomości i czy są one godne

zaufania? Otóż wszystkie te informacje są dostępne w dokumentach i w zapisach przesłuchań świadków w „sprawie Karadimy".

W wielu donosach, przynajmniej od roku 1984, pojawiały się oskarżenia o wykorzystywanie seksualne pod adresem Fernando Karadimy. Angelo Sodano, w czasach, kiedy się z nim spotykał, nie mógł o tym nie wiedzieć.

– Fernando Karadima wybierał młodych chłopców, którzy mieli problemy rodzinne, i bardzo silnie wiązał ich ze swoją parafią. Stopniowo separował ich i oddzielał od rodzin, aby w końcu móc ich wykorzystywać. Ten system był jednak dość ryzykowny, bo chłopcy na ogół należeli do rodzin z chilijskiej elity – opowiada mi Juan Pablo Hermosilla, adwokat wielu ofiar.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych postępki księdza stale budzą oburzenie, ale gejowskie otoczenie Pinocheta i chilijski episkopat osłaniają Karadimę i wyciszają wszelkie afery. Watykan, gdzie w międzyczasie Angelo Sodano został sekretarzem stanu, również kryje Karadimę. Domaga się nawet od chilijskiego Kościoła, żeby go nie potępiał (wersja oficjalna głosi, że Watykan miał się dowiedzieć o „aferze Karadimy" dopiero w 2010 roku, kiedy Sodano nie był już sekretarzem stanu. Kardynał Santiago de Chile Francisco Javier Errázuriz miał opóźnić przekazanie dossier do stolicy apostolskiej, zatrzymując je przy sobie i nie reagując przez siedem lat – co powinno dziś zaniepokoić wymiar sprawiedliwości).

Powody, jakie pchnęły Sodana (a także kardynałów Errázuriza oraz Bertonego, który zastąpił Sodana w funkcji sekretarza stanu w 2006 roku) do krycia tego księdza pedofila, są wciąż niewyjaśnione. Wszystko każe przypuszczać, że nie chodziło o ochronę tylko jednego księdza oskarżonego o wykorzystywanie seksualne, ale o cały system. Kościół i dyktatura Pinocheta były w niego wmieszane, mogłyby więc dużo stracić, gdyby ksiądz Karadima zaczął mówić.

W imię systemu Sodano będzie też wciąż bronił księży oskarżonych o wykorzystywanie seksualne – żeby chronić instytucję, osłaniać przyjaciół, a być może także zabezpieczać siebie.

Według czternastu świadków na procesie i około pięćdziesięciu zarejestrowanych skarg pierwsze przypadki molestowania seksualnego miały miejsce pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku i powtarzały się do 2010 roku. Przez pięćdziesiąt lat Karadima wykorzystał dziesiątki chłopców w wieku od 12 do 17 lat, na ogół białych i blondynów.

Dopiero po końcu dyktatury, w 2004 roku, wszczęto przeciwko niemu formalne dochodzenie. Trzeba było jednak czekać aż do roku 2011, aby cztery szczegółowo udokumentowane skargi uznano za możliwe do przyjęcia (choć przedawnione). Wtedy też, gdy Benedykt XVI odsunął kardynała Sodana, Watykan nakazał wszczęcie procesu kanonicznego. Ojciec Karadima został uznany za winnego molestowania seksualnego nieletnich i ukarany, ale do stanu świeckiego został przeniesiony dopiero we wrześniu 2018 roku przez papieża Franciszka. Według moich informacji przeszło osiemdziesięcioletni Karadima wciąż mieszka w Chile, w odosobnionym i utrzymywanym w tajemnicy miejscu.

Od roku 2010 Kościół chilijski jest z powodu tej afery poważnie „skompromitowany” i „zdyskredytowany” – jak to nazywa Pablo Simonetti. Liczba wiernych gwałtownie się zmniejszyła, a wskaźnik zaufania do katolicyzmu spadł z pięćdziesięciu do dwudziestu dwóch procent.

Wizyta papieża Franciszka w 2018 roku rozdrapała rany: Franciszek wydawał się najpierw chronić pewnego bliskiego Karadimie księdza oskarżonego o molestowanie seksualne. Bez wątpienia trzeba widzieć w tym błędzie nie tyle – niestety – pomyłkę, ile desperacką próbę ratowania całego układu Karadimy i jego wspólników z kardynałami

Sodano, Ezzatim i Errázurizem włącznie. Po dokładnym przeanalizowaniu sprawy papież ostatecznie w opublikowanym liście przeprosił za to, że popełnił „poważne błędy w ocenie i [w moim] postrzeganiu sytuacji, szczególnie z powodu braku prawdziwych i wyważonych informacji". Papież wyraźnie wskazuje w ten sposób tych, którzy źle go informowali: w opinii prasy chilijskiej może tu chodzić o nuncjusza Ivo Scapolę albo o kardynałów Ricardo Ezzatiego lub Francesco Javiera Errázuriza – wszyscy trzej pozostawali w bliskich kontaktach z Angelo Sodanem. W konsekwencji wszyscy chilijscy biskupi złożyli rezygnację i sprawa nabrała wymiaru międzynarodowego. Kilku kardynałów, w tym Errázuriz i Ezzati, zostało już oskarżonych przez chilijski wymiar sprawiedliwości. Pojawią się na pewno kolejne świadectwa.

(W tym rozdziale wykorzystuję dokumenty procesowe i zeznania ofiar, w tym Juana Carlosa Cruza, z którym rozmawiałem, a także dokumenty przekazane przez głównego prawnika ofiar, Juana Pabla Hermosillę, który pomagał mi w śledztwie. Ksiądz Samuel Fernández, który wyraził skruchę, również zdecydował się mówić).

PODCZAS LAT SPĘDZONYCH W CHILE Angelo Sodano spotykał się więc często z „gejowską mafią" Pinocheta i odwiedzał kościół parafialny El Bosque. Co dokładnie wiedział? Jakie były jego motywy?

Trzeba w tym miejscu sprecyzować, że w żadnym momencie – ani podczas procesu Karadimy, ani w prasie, ani podczas dziesiątek rozmów, które przeprowadziłem w Santiago – Sodano nie był podejrzany o to, że osobiście uczestniczył w seksualnym molestowaniu nieletnich w El Bosque. Potwierdza to zdecydowanie Juan Pablo Hermosilla:

– Przeprowadziliśmy dogłębne śledztwo dotyczące relacji Karadimy i nuncjusza Sodana. Dotyczyło osobistego uczestnictwa

Sodana w aktach molestowania seksualnego dokonywanych przez Karadimę. Nie znaleźliśmy żadnego dowodu ani świadectwa, które potwierdzałyby, że uczestniczył w tych występkach. Nigdy od nikogo nie słyszałem, żeby Sodano był obecny, podczas gdy Karadima popełniał te czyny. Myślę więc, że to nie miało miejsca. Gdyby było inaczej, po tylu latach dowiedzielibyśmy się o tym na pewno.

Ale adwokat ofiar dodaje:

– Zważywszy jednak na ogrom występków seksualnych Karadimy, ich częstotliwość i krążące od dawna pogłoski, a także fakt, że większość ofiar lub świadków to księża, jest prawie niemożliwe, żeby Sodano mógł nie wiedzieć, co się działo w El Bosque.

Pozostaje jeszcze jedna tajemnica: bliskie kontakty nuncjusza z otoczeniem Pinocheta. Te bezpośrednie relacje, te powiązania, to światowe życie z prawdziwą gejowską mafią są co najmniej dziwne, kiedy zna się stanowisko Kościoła katolickiego lat osiemdziesiątych w sprawie homoseksualizmu.

Z powodu tego wspólnictwa „wbrew naturze” z Pinochetem nuncjusz (jak wspomina kilka osób, z którymi rozmawiałem) zyskał nawet prześmiewcze przezwisko „Pinochetka”. Obrońcy Angelo Sodana – wśród nich nuncjusz François Bacqué – starają się uświadomić mi, że dyplomacie z Watykanu w okresie dyktatury trudno było działać jak dysydent. Spotkania z otoczeniem Pinocheta były koniecznością, a przeciwstawienie się mogłoby doprowadzić do końca stosunków dyplomatycznych z Watykanem, odesłania nuncjusza i być może do aresztowań księży. Nie jest to argument nieprawdopodobny.

Również kardynałowie, z którymi rozmawiałem w Rzymie, wskazują, że pobyt Sodana w Santiago od 1978 roku był rzeczywistym sukcesem dyplomatycznym. Zdaniem kardynałów

Sodano miał odegrać decydującą rolę w mediacjach między Chile a Argentyną w czasie trwającego między tymi dwoma katolickimi krajami konfliktu dotyczącego granicy na dalekim południu, w pobliżu Ziemi Ognistej.

Według innych godnych zaufania źródeł Sodano był początkowo przeciwny mediacji Watykanu. Rozmowy prowadził więc najpierw przez kardynała Raúla Silvę Henríqueza i włoskiego nuncjusza Antonio Samorè, w pośpiechu wysłanego przez papieża na miejsce jako mediatora w tym konflikcie.

Te same osoby podkreślają, że Jan Paweł II nie odmówił sobie krytyki Pinocheta publicznie, i to w stanowczym tonie. Podczas swej podróży w 1987 roku dał szansę chilijskim dysydentom na krytykowanie reżimu, cenzury, tortur i politycznych mordów. Ta podróż miała trwały wpływ na chilijską drogę ku demokracji po 1990 roku.

– Jan Paweł II stosował demokratyczny nacisk na Pinocheta, i to się opłaciło. Rok po wizycie papieża narodowe referendum otworzyło drogę do demokratycznych przemian – potwierdza Luis Larrain, prezes ważnego stowarzyszenia LGBT w Chile, którego ojciec był jednym z ministrów dyktatora.

Pozostaje jeszcze wyjaśnić dziwną rolę policji politycznej Pinocheta odegraną wobec nuncjusza Sodana.

– Trzeba sobie uświadomić, że w latach osiemdziesiątych Pinochet uważał stosunki dyplomatyczne z Watykanem za niezwykle istotne. To oczywiste, że Sodano był publicznie honorowany przez parę prezydencką, a prywatnie „rozpracowywany” przez chilijskie tajne służby. Jeszcze bardziej zdumiewające są jego dziwne relacje, serdeczne kontakty, jakie miał z agentami i doradcami dyktatora, również tymi najwyższymi rangą – mówi mi pewien chilijski dziennikarz, autor wielu tekstów o zbrodniach dyktatury.

Sodana rozpracowują też przynajmniej cztery urzędowe figury z otoczenia Pinocheta. Przede wszystkim kapitan Sergió Rillón, bliski doradca dyktatora i jego „łącznikowy” do spraw religii i Kościoła (dysponował nawet własnym biurem na „piano nobile” w pałacu prezydenckim).

– To człowiek skrajnej prawicy, jeden z zauszników Pinocheta. Reprezentował twarde skrzydło – mówi mi Alejandra Matus, dziennikarka z Santiago.

Sergió Rillón jest żonaty, ale w Santiago krążą plotki o jego obyczajach.

– Rillón był najbliższym z bliskich współpracowników Pinocheta. A także najbliższym z bliskich Sodana – opowiada mi Santiago Schuler.

Inny oficer prowadzący, Osvaldo Rivera, światowiec, samozwańczy „ekspert do spraw kultury” Pinocheta, również miał dostęp do reprezentacyjnego piętra La Monedy.

– Rivera pozował na „kulturowego cara” reżimu, ale głównie w imieniu Pinocheta cenzurował telewizję. Wszyscy wiedzieli, że obracał się jednocześnie w środowisku skrajnej prawicy i gejowskim – komentuje Pablo Simonetti.

Pytany dziś o tamte czasy Osvaldo Rivera doskonale sobie przypomina Angelo Sodana. Dla niego to wręcz niewyczerpany temat. Rozwodzi się o życiu nuncjusza w Chile i dostarcza nam o nim wielu informacji. W swoich wspomnieniach widzi go „pijącego whisky w otoczeniu bogatych i lubieżnych przyjaciół”, a potem wracającego do siebie pod czyjąś opieką, bo był „mocno pijany”.

Rodrigo Serrano Bombal, noszący przezwisko „la Puri” (ironiczny i zniewieściały, skrót od słowa „purytanka”), był kolejnym agentem DINA, tajnej policji Pinocheta, i – jak już wspomniałem – bardzo bliskim przyjacielem Sodana.

I wreszcie Sodano pozostawał w bliskich relacjach z Francisco Javierem Cuadrą, człowiekiem do wszystkiego Pinocheta, jego rzecznikiem, przyszłym ministrem i ambasadorem w Watykanie. On również, choć to rozwiedziony ojciec ośmiorga dzieci, jest bohaterem powieści z kluczem, której tematem jest jego skomplikowane życie osobiste.

Oprócz tych ludzi Pinocheta, z którymi spotykał się Sodano, na wspomnienie zasługują jeszcze dwie inne podejrzane postaci, również krążące wokół dyktatora i należące do tej samej „mafii". Pierwszy to ekstrawagancki, choć nieujawniony homoseksualista Arancibia Clavel. Należał do bliskiego kręgu dyktatora i armii. Planował i wykonywał operacje fizycznej eliminacji politycznych przeciwników dyktatury. Za swoje zbrodnie został skazany, a po opuszczeniu więzienia zamordowany przez „taxi boya" (męską prostytutkę). Drugi, Jaime Guzman, to jeden z teoretyków reżimu Pinocheta, surowy ultrakatolik i profesor prawa, według archiwów tajnych służb chilijskich homoseksualista. Został zamordowany w 1981 roku przez skrajną lewicę. Obaj znali Sodana, jeśli słowo „znać" ma tutaj sens.

Ta homoseksualna siatka Pinocheta nigdy nie została opisana, zatem dla wielu Chilijczyków będzie to rewelacja. Badacze i dziennikarze prowadzą teraz śledztwa dotyczące tej sieci niezwykłych powiązań i prowadzonych przez nią prawdopodobnie operacji finansowych między Pinochetem a Watykanem (specjalne fundusze na tajnych rachunkach bankowych, które dyktator posiadał w Riggs Bank, mogły służyć – choć nie ma tu pewności – m.in. dofinansowywaniu podziemnych wydawnictw w Polsce). W najbliższych latach można się więc spodziewać kolejnych rewelacji.

We wszystkich opisanych przypadkach polityczno-seksualne

konszachty nadają sens słynnej opinii przypisywanej Oscarowi Wilde'owi, a powtórzonej w *House of Cards*: „Everything in the world is about sex; except sex. Sex is about power”[51].

POZOSTAJE NAM JESZCZE ZROZUMIEĆ, dlaczego nuncjusz apostolski Angelo Sodano tak dobrze się czuł w tym homoseksualnym środowisku. Dlaczego obracał się w tej grupie właśnie wtedy, gdy Jan Paweł II uznał homoseksualizm za obrzydliwy grzech i zło?

Możemy przedstawić trzy hipotezy. Pierwsza zakłada, że Angelo Sodano był szpiegowany i manipulowany przez tajne służby chilijskie, a nuncjatura infiltrowana. On sam nie był świadomy tego faktu. Przyczyną była jego naiwność, brak doświadczenia lub nieodpowiednie znajomości. Druga hipoteza głosi, że Angelo Sodano mógł się znaleźć w bardzo niewygodnej sytuacji. Na przykład będąc homoseksualistą, mógł być zmuszony (by chronić własną tajemnicę) do podjęcia ryzykownej gry z reżimem. To oczywiste, że policja polityczna Pinocheta znała wszystkie szczegóły jego życia zawodowego i prywatnego, niezależnie od tego, jakie były. Może więc go szantażowała? Wreszcie trzecia hipoteza każe myśleć, że Angelo Sodano, ten wielki manipulator, podzielający idee polityczne doradców Pinocheta i ich obyczaje, z własnej woli obracał się w środowisku, które było mu zwyczajnie bliskie.

10.

Legioniści Chrystusa

MARCIAL MACIEL jest bez wątpienia najbardziej demoniczną postacią, jaką w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat stworzył i wypielęgnował Kościół katolicki. Dysponujący olbrzymią fortuną i stojący na czele prawdziwego przedsiębiorstwa przemocy seksualnej przez kilka dziesięcioleci był pod ochroną Jana Pawła II, Stanisława Dziwisza i kardynała sekretarza stanu Angelo Sodana.

Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałem w Meksyku, w Hiszpanii i w Rzymie, surowo oceniają wsparcie, jakie Marcial Maciel otrzymywał z Watykanu. Z jednym wyjątkiem: kardynał Giovanni Battista Re, „minister spraw wewnętrznych" papieża z Polski. Podczas jednej z naszych rozmów w swoim prywatnym apartamencie w Watykanie powiedział mi:

– Jan Paweł II pierwszy raz spotkał Marciala Maciela podczas swojej podróży do Meksyku w 1979 roku. Była to zresztą pierwsza zagraniczna podróż nowego papieża, tuż po elekcji. Jan Paweł II oceniał go pozytywnie. Legioniści Chrystusa byli bardzo skuteczną organizacją, rekrutowali wielu nowych seminarzystów. Prawda jednak jest taka, że o pedofilii nie wiedzieliśmy. Jakieś wątpliwości, jakieś plotki zaczęły się dopiero pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II.

Kardynał Jean-Louis Tauran, „minister spraw zagranicznych" Jana Pawła II, również powtarza mi podczas naszych czterech rozmów w jego biurze na via Della Conciliazione:

– Nie wiedzieliśmy o Marcialu Macielu. Nic nie wiedzieliśmy.

To zupełnie skrajny przypadek. To po prostu niewyobrażalne, na poziomie schizofrenii.

MARCIAL MACIEL DEGOLLADO urodził się w 1920 roku w Cotija de la Paz w stanie Michoacán na zachodzie Meksyku. Wyświęcony na księdza przez swojego wuja w 1944 roku zakłada Legion Chrystusa, organizację katolicką, której celami są edukacja i działalność charytatywna.

Ta nietypowe odgałęzienie Kościoła meksykańskiego jest początkowo źle przyjmowana zarówno w Meksyku, jak i w Watykanie. Powodem jest jego niemal sekciarski charakter. Mimo to w ciągu kilku lat, dzięki swojej niezwykłej energii i już wtedy nieprzejrzystemu finansowaniu, Marcial Maciel zarządza w Meksyku niezliczonymi szkołami, uniwersytetami i organizacjami charytatywnymi. W roku 1959 powołuje do życia Regnum Christi, świeckie odgałęzienie Legionistów Chrystusa. Kilkoro dziennikarzy (Włoszka Franca Giansoldati, Meksykanka Carmen Aristegui i dwóch Amerykanów, Jason Berry i Gerald Renner) udokumentowało drogę na szczyt i spektakularny upadek Marciala Maciela. Przytaczam tu ogólne założenia ich pracy, wykorzystuję też dziesiątki rozmów, jakie przeprowadziłem podczas moich czterech podróży do Meksyku.

Stojąc na czele „armii” Chrystusa, w której lojalność wobec papieża jest mantrą, a oddanie dla jego osoby przechodzi w fanatyzm, ksiądz Maciel rekrutuje tysiące seminarzystów i zbiera ogromne pieniądze. To uczyniło z jego systemu katolicki model gromadzenia funduszy, a jego działalność stała się wzorem nowej ewangelizacji zgodnej z marzeniami Pawła VI i przede wszystkim Jana Pawła II, który nie przejmuje się tym, że ta dobroczynność jest przeklęta.

Warto tu przywołać fragment Ewangelii św. Łukasza, który przywołuje postać opętanego przez demona, a pytany przez Chrystusa o jego imię, odpowiedział: „Legion”. Czy Marcial Maciel

myślał o tym zdaniu, tworząc swoją szatańską armię?

W każdym razie ten meksykański ksiądz odnosi niebywały sukces. Jego siłą jest bezwzględna i fanatyczna organizacja, w której seminarzyści składają śluby czystości, a także ubóstwa (powierzając wszystkie swoje dobra i mienie – włącznie z pieniędzmi otrzymanymi jako prezent gwiazdkowy – Legionistom Chrystusa). Maciel dorzuca im również zobowiązanie sprzeczne z prawem kanonicznym: „ślub milczenia". Absolutnie zakazuje krytykowania zwierzchników, a zwłaszcza ojca Maciela, do którego seminarzyści mają się zwracać „nuestro padre". Tak więc zanim jeszcze Legioniści stają się machiną molestowania seksualnego, są już przedsiębiorstwem molestowania moralnego.

Posłuszeństwo wobec ojca Maciela przybiera formę niewyobrażalnego sadomasochizmu, przewyższającego nawet wykorzystywanie seksualne. Wszyscy gotowi są dać się pokroić, byle zyskać miłość ojca, bez względu na cenę.

Aby kontrolować tych młodych, krótko ostrzyżonych nowicjuszy chodzących dwójkami, latem w szortach, zimą w dwurzędowych płaszczach ze stójką, guru wprowadza przerażający system nadzoru wewnętrznego. Czytana jest ich korespondencja, połączenia telefoniczne spisywane, przyjaźnie weryfikowane. Najlepsi i przede wszystkim najpiękniejsi, dobrze zbudowani dołączają do ochrony Marciala Maciela, który uwielbia otaczać się młodymi seminarzystami. Uroda jest ich atutem, rysy ludności tubylczej – utrudnieniem. Grający na jakimś pięknym instrumencie może liczyć na wielki plus, chorowitość – jak u młodego wiejskiego proboszcza z książki Bernanosa – to wielka wada.

Oczywiście cechy fizyczne przeważają nad intelektem. Jak to doskonale podsumowuje James Alison, angielski ksiądz, który długo mieszkał w Meksyku, a z którym rozmawiam w Madrycie: –

Legionista Chrystusa to taki człowiek Opus Dei, który nie czyta książek.

PODWÓJNE ŻYCIE szefa Legionistów zostało ujawnione – wbrew twierdzeniom Watykanu – już wcześniej. Jeszcze w latach czterdziestych XX wieku Marcial Maciel był dwukrotnie odwoływany przez zwierzchników z seminarium. Powodem były podejrzane zachowania seksualne. Pierwsze akty molestowania seksualnego z jego strony zaczęły się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku i już wtedy były oficjalnie sygnalizowane meksykańskim biskupom i kardynałom. Informacje o chorobliwej toksykomanii Marciala Maciela, uzależnieniu, które towarzyszyło jego wyskokom homoseksualnym, również były przesyłane do Rzymu. W roku 1956 Marcial Maciel został suspendowany przez Watykan. Polecił to kardynał Valerio Valeri. Czy może istnieć bardziej przekonujący dowód, że sprawa znana była już w tamtym czasie?

A jednak, co zdarzyło się kilkakrotnie w karierze tego genialnego oszusta, Marcialowi Macielowi udaje się uzyskać przebaczenie. Pod koniec 1958 roku jego dossier zostaje wyczyszczone przez kardynała Clemente Micarę. W roku 1965 papież Paweł VI uznaje nawet oficjalnie Legionistów Chrystusa, wydając dekret, który wiąże ich bezpośrednio ze stolicą apostolską. W 1983 roku Jan Paweł II ostatecznie zatwierdził konstytucję sekty Marciala Maciela, mimo że jej artykuły poważnie naruszały prawo kanoniczne.

Trzeba wspomnieć, że w międzyczasie Legioniści Chrystusa stali się niesamowitą machiną wojenną zdobywającą wszędzie pochwały i wyrazy uznania – choć jednocześnie coraz więcej jest pogłosek i podejrzeń co do ich założyciela. Marcial Maciel stoi teraz na czele imperium, które pod koniec jego kariery obejmie piętnaście uniwersytetów, pięćdziesiąt seminariów i instytutów studiów

podyplomowych, sto siedemdziesiąt siedem liceów, trzydzieści cztery szkoły dla dzieci niepełnosprawnych, sto dwadzieścia pięć domów zakonnych, dwieście ośrodków edukacyjnych i tysiąc dwieście kaplic, nie mówiąc o organizacjach charytatywnych. Wszędzie powiewa sztandar Legionistów, wszędzie wiszą ich proporce.

Uniewinniony i ponownie uznany przez Pawła VI i Jana Pawła II ojciec Marcial Maciel ze zdwojoną energią rozwija swój ruch – i ze zdwojoną perwersją zaspokaja swoje pragnienia drapieżcy w sutannie. Z jednej strony „le comprachico” (to hiszpańskie żargonowe określenie osoby, która handluje uprowadzonymi dziećmi) nawiązuje uprzywilejowane stosunki z takimi milionerami jak Carlos Slim, król meksykańskiej telekomunikacji (udziela mu ślubu i czyni jednym z dobroczyńców Legionistów). Ocenia się, że Marcial Maciel poprzez swoje holdingi i fundacje zgromadził fortunę, w skład której wchodzi około dwunastu nieruchomości w Meksyku, Hiszpanii i w Rzymie, a także gotówka na tajnych kontach, szacowana na kilkaset milionów dolarów (według „New York Timesa”). Pieniądze to oczywiście jeden z kluczowych elementów systemu Maciela.

Z drugiej strony, korzystając z informacji ze spowiedzi i kart z informacjami o wielu młodych seminarzystach, szantażuje tych, u których stwierdzono zachowania homoseksualne. Wykorzystuje ich całkiem bezkarnie. Ogółem bestia Maciel mógł wykorzystać seksualnie dziesiątki dzieci i niezliczonych seminarzystów: dziś lista ofiar obejmuje ponad dwieście nazwisk.

Jego styl życia jest zupełnie niezwykły jak na ówczesne czasy – i jak na księdza. Ksiądz, który publicznie głosi absolutną skromność i umiarkowanie w każdej sytuacji, prywatnie żyje w strzeżonym apartamencie, podróżuje i przemieszkuje w luksusowych hotelach, jeździ nieprawdopodobnie drogimi samochodami sportowymi,

posługuje się fałszywą tożsamością, utrzymuje dwie kobiety, z którymi ma przynajmniej sześcioro dzieci, i nie waha się wykorzystywać seksualnie swych własnych synów, z których dwóch wniosło oskarżenia przeciwko niemu.

W Rzymie, dokąd podróżuje często w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, za Pawła VI przyjmowany jest jako pokorny sługa Kościoła, a w epoce jego „bliskiego przyjaciela” Jana Pawła II jako gwiazda.

Trzeba czekać do roku 1997, żeby na biurko papieża trafiła nowa skarga, wiarygodna i dobrze udokumentowana. Pochodzi ona od siedmiu księży, dawnych seminarzystów Legionistów, twierdzących, że byli wykorzystywani seksualnie przez Maciela. Przysięgają oni na Ewangelię, wspierają ich znani naukowcy. Ale list ten nie miał żadnych następstw. Czy sekretarz stanu Angelo Sodano i osobisty sekretarz papieża Stanisław Dziwisz przekazali go papieżowi? Tego nie wiadomo.

Nic dziwnego, Angelo Sodano zawsze z zasady bronił – jak to już pokazano – księży podejrzewanych o molestowanie seksualne. Jego zdaniem – jak gdyby powtarzał słynny napis ze stanzy Rafaela, które oglądałem w pałacu watykańskim – „Dei Non Hominum Est Episcopos Iudicare” (Do Boga, nie ludzi, należy sądzenie biskupów).

Kardynał poszedł jednak dużo dalej. Posunął się do tego, że publicznie ogłosił, iż oskarżenia o pedofilię są „plotkami”. Później inny kardynał, odważny i progejowski arcybiskup Wiednia Christoph Schönborn, zarzuci mu imiennie i bardzo ostro to, że tuszował występki jego poprzednika, kardynała Hansa Hermanna Groëra. Homoseksualista Groër został zmuszony do dymisji po głośnym skandalu w Austrii.

– Zasadą kardynała Sodana było nigdy nie opuszczać w potrzebie żadnego księdza, nawet oskarżanego o najgorsze. Zawsze tak

postępował. Myślę, że chodziło mu o to, żeby uniknąć podziału w Kościele, żeby nigdy nie dawać argumentów wrogom Kościoła. Patrząc z perspektywy, można powiedzieć, że to był błąd, ale kardynał Sodano to człowiek urodzony w latach dwudziestych minionego wieku, w innej epoce. W przypadku Marciala Maciela był to naprawdę poważny błąd – wyjaśnia mi pewien emerytowany arcybiskup, który dobrze zna kardynała.

Tymczasem sekretarz stanu Angelo Sodano nie ogranicza się do funkcji jednego z adwokatów Marciala Maciela przed ojcem świętym: był też i jako nuncjusz, i potem jako szef dyplomacji watykańskiej jednym z głównych „propagatorów" Legionistów Chrystusa w Ameryce Łacińskiej. Organizacja ta nie istniała w Chile przed przybyciem Sodana, to on nawiązał kontakt z Marcialem Macielem i ułatwił zaszczepienie jego ruchu w tym kraju, potem w Argentynie, a być może później w Kolumbii.

Sol Preto, wykładowczyni uniwersytecka w Argentynie, specjalistka od spraw katolicyzmu, z którą rozmawiam w Buenos Aires, próbuje dowieść racjonalności działań kardynała:

– Główną motywacją Sodana było dążenie do osłabienia starych zakonów, takich jak jezuici, dominikanie, benedyktyni czy franciszkanie, którym nie ufał lub podejrzewał ich, że lewicują. Wolał ruchy świeckie albo zgromadzenia konserwatywne, takie jak: Opus Dei, Komunia i Wyzwolenie, Zgromadzenie Wcielonego Słowa czy Legioniści Chrystusa. Jego zdaniem Kościół był w stanie wojny i potrzebni mu byli żołnierze, a nie tylko zakonnicy!

Wkrótce do Kongregacji Doktryny Wiary, którą kieruje podówczas kardynał Ratzinger, napływają nowe, szczegółowo udokumentowane oskarżenia o pedofilię. W ostatnich latach wieku XX i w pierwszych wieku XXI nadchodzą informacje o wielu gwałtach; z czasem także okazuje się, że nie są to pojedyncze akty, ale prawdziwy system zła.

W 1997 roku istnieje już kompletne dossier i teraz tylko w rękach Watykanu jest możliwość położenia kresu działaniom złoczyńcy. W roku 2003 prywatny sekretarz Marciala Maciela sam informuje Watykan o zbrodniczych poczynaniach swojego szefa. Osobiście przyjeżdża do Rzymu i przekazuje dowody Janowi Pawłowi II, Stanisławowi Dziwiszowi i Angelo Sodanowi. Nie reagują (to fakt poświadczony notatką do papieża Benedykta XVI ujawnioną przez dziennikarza Gianluigiego Nuzziego).

Te nowe doniesienia przekazane do Watykanu po raz kolejny nie wywołują skutków. Nie ma na nie żadnej odpowiedzi. Kardynał Ratzinger nie wszczyna żadnej procedury. Zdaniem Federico Lombardiego, byłego rzecznika Benedykta XVI, kardynał miał wielokrotnie sygnalizować papieżowi Janowi Pawłowi II zbrodnie Marciala Maciela, proponując usunięcie go z wszelkich funkcji i przeniesienie do stanu świeckiego, ale spotykał się ze sprzeciwem ze strony Angelo Sodana albo Stanisława Dziwisza.

Wydaje się jednak, że kardynał Ratzinger na tyle poważnie potraktował tę sprawę, że decyduje się ją drążyć. Mimo koncyliacyjnego stanowiska Jana Pawła II powraca do dossier Marciala Maciela i zbiera dowody przeciwko niemu. Jest jednak zbyt ostrożny; ruszy naprzód dopiero, kiedy wszystkie światła zapalą się na zielono. Ale kiedy wraca z tą sprawą do Jana Pawła II, może jedynie stwierdzić, że przed nim wciąż czerwone światło. Papież nie życzy sobie, żeby jego „przyjaciel” Marcial Maciel był niepokojony.

Żeby mieć pojęcie o panującej wówczas atmosferze, warto przypomnieć, że nawet zastępca Ratzingera, Tarcisio Bertone, późniejszy sekretarz stanu Benedykta XVI, jeszcze w 2003 roku podpisuje nazwiskiem przedmowę do książki Marciala Maciela *Ma vie, c’est le Christ* (Jesús Colina, hiszpański dziennikarz, który z nim rozmawiał, opowie później, że Bertone twierdził, iż został

wprowadzony w błąd). Ponadto w tym okresie „L'Osservatore Romano" publikuje panegiryk na cześć Maciela – tekst, który kpi sobie z prawdy.

W tym samym czasie słoweński kardynał Franc Rodé również gromadzi głosy poparcia dla założyciela Legionistów i składa hołd „ojcu Macielowi działającemu w służbie Chrystusa" (kiedy rozmawiam o tym z kardynałem Rodé, zapewnia mnie, że „nie wiedział", i daje mi do zrozumienia, że Maciel był powiązany z sekretarzem papieża Stanisławem Dziwiszem: „Kiedy Dziwisz został kardynałem, w tym samym czasie co ja, Legioniści zorganizowali niesamowitą fetę dla niego, ale nie dla mnie" – opowiada). Co do kardynała Marca Ouelleta, dziś prefekta Kongregacji do spraw Biskupów, to usprawiedliwia się on tym, że Maciel był zakonnikiem, a więc nie podlegał tej kongregacji. Zauważa, że Maciel nigdy nie został biskupem ani kardynałem, co ma być dowodem, że mu nie ufano…

A co powiedzieć o ostatnim publicznie okazanym dowodzie poparcia Jana Pawła II dla Maciela, jeszcze w listopadzie 2004 roku? Z okazji sześćdziesiątej rocznicy wyświęcenia na księdza papież podczas pięknej ceremonii żegna się z Macielem. Zdjęcia obu mężczyzn w czułym uścisku, a papież jest już wtedy bliski śmierci, obiegają świat. W Meksyku są na pierwszych stronach wielu gazet, wzbudzając niedowierzanie i niepokój.

Trzeba będzie czekać na śmierć Jana Pawła II w 2005 roku, by dossier Maciela ponownie zbadał Benedykt XVI, nowy papież. Wydaje on zgodę na otwarcie archiwów Watykanu, aby wszcząć śledztwo, i zwalnia Legionistów ze „ślubu milczenia", żeby mogli o wszystkim opowiedzieć.

– Historia doceni, że Benedykt XVI pierwszy ujawnił przypadki wykorzystywania seksualnego i podjął decyzję w sprawie Marciala

Maciela wkrótce po objęciu tronu Piotrowego – mówi mi Federico Lombardi, były rzecznik Benedykta XVI, a teraz prezes zarządu fundacji Ratzingera.

W 2005 roku Marcial Maciel został odsunięty od wszelkich funkcji kapłańskich przez Benedykta XVI, który nakazał mu również wycofanie się z życia publicznego. Maciel dostaje zakaz wypowiadania się i zostaje dożywotnio suspendowany.

Jednakże pod osłoną oficjalnych sankcji Benedykt XVI raz jeszcze oszczędził księdza. Rzecz jasna, Maciel nie będzie mógł sprawować sakramentów do końca swych dni. Kara ta jest jednak stosunkowo łagodna, mniejsza od tych, które ten sam Joseph Ratzinger nałożył na takich wielkich teologów jak Leonardo Boff czy Eugen Drewermann, których zbrodnią było tylko to, że bronili swoich postępowych idei. Kościół nie wydał Marciala Maciela organom sprawiedliwości, nie został on ekskomunikowany, aresztowany ani uwięziony. Z powodu jego „zaawansowanego wieku i słabego zdrowia” zrezygnowano nawet z procesu kanonicznego.

Został wezwany do „życia w modlitwie i skrusze”, ale w latach 2005-2007 podróżuje od jednego domu do drugiego, z Meksyku do Rzymu, i korzysta ze swoich nieograniczonych zasobów finansowych. Wyprowadza się po prostu do Stanów Zjednoczonych, chcąc uniknąć ewentualnego procesu i nadając nowe znaczenie słynnemu zdaniu: „Biedny Meksyk, tak daleko od Boga i tak blisko Stanów Zjednoczonych”. Chory na raka trzustki wycofuje się nareszcie do okazałej rezydencji na Florydzie, gdzie umiera w luksusie w 2008 roku.

Tymczasem trzeba czekać jeszcze rok, by Benedykt XVI zarządził śledztwo we wszystkich organizacjach związanych z Legionistami Chrystusa i z ich świeckim odgałęzieniem Regnum Christi. Misją tą obarczono pięciu biskupów na pięciu kontynentach. Rezultat tego

śledztwa, przekazany poufnie papieżowi w 2010 roku, musiał być tak krytyczny, że Watykan wydaje wreszcie komunikat o „obiektywnie niemoralnych" i „prawdziwie zbrodniczych" poczynaniach Marciala Maciela.

Rzym jednakże – umyślnie lub nie – osądza wybiórczo. Oskarżając jedną parszywą owcę, oszczędza pośrednio jej towarzyszy, poczynając od ojców Luisa Garzy Mediny i Álvaro Corcuery, zastępców Maciela. W roku 2017 śledztwo Paradise Papers ujawnia, że Medina i Corcuera znaleźli się w gronie mniej więcej dwudziestu księży Legionistów, których nazwiska pojawiły się w raporcie dla Benedykta XVI. Obydwaj korzystali z tajnych funduszy. Okaże się również, że w afery związane z molestowaniem seksualnym zamieszanych jest trzydziestu pięciu innych księży Legionistów Chrystusa. Potrzeba będzie jeszcze kilku lat, zanim papież Benedykt XVI weźmie Legionistów pod nadzór Watykanu i wyznaczy ich tymczasowego administratora (kardynała Velasio De Paolisa). W tej chwili dochodzenie zostało już zamknięte, a Legioniści wrócili do normalnego życia, zdejmując tylko niezliczone portrety guru ze ścian szkół, zakazując jego książek – wymazując po prostu wszystkie ślady jego obecności, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Wybuchły jednak kolejne afery. Óscar Turrión, rektor Międzynarodowego Papieskiego Kolegium Legionistów w Rzymie, zwanego Maria Mater Ecclesiae, gdzie przebywa około stu seminarzystów z całego świata, przyznał, że żyje potajemnie z kobietą i ma z nią dwoje dzieci. Musiał podać się do dymisji.

W Meksyku, a także w Hiszpanii i w Rzymie krążą jeszcze pogłoski na temat świeckiej gałęzi Legionistów, Regnum Christi i jej uniwersytetu Ateneo Pontificio Regina Apostolorum, w którym miało dochodzić do różnego rodzaju nadużyć. Meksykański dziennikarz Emiliano Ruiz Parra, specjalizujący się w sprawach

kościelnych, wyznaje z gniewem, kiedy rozmawiam z nim w Meksyku:

– Ani Benedykt XVI, ani Franciszek nie przedsięwzięli wszystkich możliwych środków, aby zwalczyć to zjawisko. Problem pozostał, Watykan znów nie kontroluje Legionistów i złe obyczaje powracają.

KARDYNAŁ JUAN SANDOVAL ÍÑIGUEZ mieszka w luksusowej rezydencji w Tlaquepaque, mieście satelickim Guadalajary w Meksyku. Tam, na Calle Morelos, składam mu wizytę razem z Eliezerem, tutejszym pracownikiem naukowym, który jest moim przewodnikiem. To dzięki niemu udało mi się zdobyć numer telefonu kardynała. Kardynał Íñiguez bez problemu zgodził się na spotkanie jeszcze tego samego dnia w jego apartamencie.

Rezydencja emerytowanego arcybiskupa to mały, luksusowy raj w tropikach chroniony przez dwóch uzbrojonych meksykańskich policjantów. Za murem i wysoką bramą odkrywam posiadłość kardynała: trzy ogromne kolorowe domy połączone prywatną kaplicą i garażami, w których stoi kilka fordów z napędem cztery na cztery. Dostrzegam cztery psy, sześć papug i jedną małpkę uistiti. Arcybiskup Guadalajary niedawno przeszedł na emeryturę, ale chyba wciąż jest tak samo zapracowany.

– Kościół w Meksyku był bogaty, teraz jednak jest biedny. Proszę sobie tylko wyobrazić: w kraju liczącym 120 milionów mieszkańców mamy już tylko siedemnaście tysięcy księży. Doznaliśmy prześladowań! – podkreśla hierarcha.

Juan Sandoval Íñiguez jest jednym z najbardziej antygejowskich kardynałów w Meksyku. Gdy mówi o homoseksualistach, używa często określenia „maricón” (co jest w języku hiszpańskim obelgą, tak jak po francusku „pédé” czy po polsku „pedał”). Również wtedy, gdy radykalnie wypowiada się przeciwko stosowaniu prezerwatyw. Posunął się nawet do tego, że celebrował msze przeciwko

„satanizmowi” wśród homoseksualistów, a przede wszystkim był inspiratorem ruchu sprzeciwiającego się małżeństwom gejów w Meksyku. Występował w tej sprawie przeciwko rządowi meksykańskiemu, organizował demonstracje. Legioniści Chrystusa, z którymi jest blisko powiązany, często stawiali się na nich licznymi grupami. Podczas mojego pobytu w Meksyku mogłem zresztą zobaczyć wielką demonstrację „Marcha por la familia” przeciwko projektowi ustawy sankcjonującej małżeństwa jednopłciowe.

– Społeczeństwo obywatelskie mobilizuje się spontanicznie – komentuje kardynał. – Ja osobiście nie angażuję się w te sprawy, ale to chyba oczywiste, że to Biblia stanowi prawo naturalne.

Ten miłośnik ptaków jest prawdziwym uwodzicielem. Przez kilka godzin rozmawia ze mną po francusku. Czasem bierze mnie delikatnie za rękę, by wzmocnić swoją argumentację, albo zwraca się serdecznie do Eliezera, by spytać o jego opinię lub dowiedzie się czegoś o jego życiu.

Od razu zaskakuje mnie coś bardzo dziwnego: ten wrogi gejom arcybiskup ma obsesję na punkcie kwestii gejowskiej. Właściwie mówi o tej sprawie prawie cały czas. I w pośredni sposób krytykuje papieża Franciszka. Zarzuca mu wysyłanie przychylnych sygnałów w stronę gejów i od niechcenia rzuca mi jak na pożarcie nazwiska kilku biskupów i kardynałów z papieskiego otoczenia, którzy – zdaniem kardynała – wykazują „skłonności”.

– Wie pan, kiedy Franciszek wypowiada zdanie: „Kimże jestem, żeby osądzać?”, nie broni homoseksualistów. On osłania jednego ze swoich współpracowników, a to coś zupełnie innego! To prasa wszystko zmanipulowała!

Proszę kardynała, by pozwolił mi obejrzeć jego bibliotekę. Od razu wstaje, spieszy, by pokazać mi swoje skarby. To ksiądz z pretensjami literackimi: sam napisał kilka książek, których nie omieszka wskazać

mi palcem.

Cóż za niespodzianka! Juan Sandoval Íñiguez ma całe półki poświęcone kwestii gejowskiej. Widzę książki o grzechu homoseksualizmu, problemie lesbijskim i terapiach naprawczych. Cała biblioteka traktatów pro- i antygejowskich, jak gdyby autodafe, które kardynał głosi wszem wobec, tylko w jego domu nie mogło się dokonać. Chyba że kardynał rozkochał się w książkach, które chciał palić na stosach?

Nagle mój wzrok pada na ustawionych starannie na widoku kilka egzemplarzy osławionej *Liber Gomorrhianus* w jej angielskiej wersji – *The Book of Gomorrah* [W polskiej wersji: Mury Sodomy. Księga Gomory i walka z sodomią wśród kleru – przyp. red.].

– To wielka księga pochodząca ze średniowiecza i proszę spojrzeć, napisałem przedmowę do nowego tłumaczenia – mówi z dumą kardynał.

Przedziwna to księga. Esej z 1051 roku napisany przez Piotra Damianiego, włoskiego benedyktyna, doradcę papieży, który później został świętym. W tym długaśnym dziele, skierowanym do papieża Leona IX, zakonnik opisuje tendencje homoseksualne – bardzo jego zdaniem rozpowszechnione – wśród ówczesnego duchowieństwa. Piętnuje złe obyczaje księży, którzy spowiadają się wzajemnie, aby ukryć swoje skłonności, i sygnalizuje nawet taką postawę u kilku współczesnych mu wysoko postawionych rzymskich hierarchów. Papież zdezawuował te doniesienia świętego Piotra Damianiego i nie podjął żadnych postulowanych przez niego działań. Skonfiskował nawet tę beczkę prochu, jak napisał John Boswell[52], który zajmował się m.in. recepcją dzieła Damianiego. Wszystko dlatego, że ówczesne kolegium kardynalskie należało do niezwykle intensywnie praktykujących! Znaczenie historyczne książki pozostaje jednak duże, bo właśnie od tej broszury z XI wieku zagłada Sodomy będzie

interpretowana już nie jako skutek braku gościnności, jak każe to rozumieć Biblia, ale jako konsekwencja grzechu sodomii. Homoseksualizm staje się odrażający!

Rozmawiamy teraz z kardynałem Juanem Sandovalem Íñiguezem o różnych metodach mających „odzwyczaić”, „odwrócić” homoseksualistów, a także pedofilów, których cały czas łączy z tymi pierwszymi, jak gdyby byli równi w grzechu. Wspominam o specjalistycznej klinice przeznaczonej dla „nieuleczalnych” pedofilów. Kardynał wybija jednak tę piłkę na aut i nie rozwodzi się nad tematem.

Tymczasem wiem, że taka klinika istnieje. Nazywana jest Casa Alberione, została ufundowana w 1989 roku z inicjatywy i przy wsparciu kardynała w jego własnej parafii Tlaquepaque. Cudzoziemscy księża pedofile, „odsyłani z jednego kraju do drugiego jak odpady nuklearne” – według słów pewnego znawcy tematu – byli leczeni w tej klinice „rehabilitacyjnej”. To przy okazji pozwalało utrzymać ich w stanie duchownym, a jednocześnie nie oddawać w ręce sprawiedliwości. W pierwszych latach tego wieku, kiedy papież Benedykt XVI nakazał, aby pedofile nie byli już chronieni przez Kościół, Casa Alberione straciła rację bytu. Po śledztwie meksykańskiego dziennika „El Informador” kardynał Juan Sandoval Íñiguez potwierdził istnienie tej instytucji, która przyjęła Legionistów Chrystusa, ale stwierdził, że „od 2001 roku nie ma tam już księży pedofilów”.

„HOLA!” – zawołał ktoś do mnie, kiedy spacerowaliśmy z kardynałem po ogrodzie. Odwracam się zaskoczony, ale nie przestraszony aż tak jak Robinson Cruzoe, kiedy po raz pierwszy na swojej wyspie usłyszał wołającą go papugę. To rzeczywiście śliczna ara zaczęła ze mną rozmowę. Czy powierzy mi jakiś sekret?

Przechadzamy się wśród pawi i kogutów. Kardynał wydaje się

uszczęśliwiony i nigdzie się nie spieszy. Jest niewiarygodnie miły dla mnie i Eliezera, mojego meksykańskiego wywiadowcy.

Teraz bawi się z nami również pies Oso (Niedźwiedź). Nagle całą czwórką zaczynamy grać w piłkę: kardynał, pies Oso, Eliezer i ja, a wszystko pod rozbawionymi spojrzeniami pięciu zakonnic, które pracując na pełny etat, dbają o dom, czystość odzieży i kuchnię kardynała.

Pytam Juana Sandovala Íñigueza:

– Nie czuje się ksiądz tutaj trochę samotny?

Moje pytanie wydaje się go bawić. Opisuje mi swoje bogate życie wśród ludzi. Ja przytaczam mu słowa Jana Jakuba Rousseau, który ślubowanie celibatu uznawał za sprzeczne z naturą.

– Myśli pan, że mniej są samotni żonaci pastorzy lub imamowie? – kardynał odpowiada pytaniem na pytanie.

– No, ale widzi pan – dodaje, wskazując na zakonnice – nie jestem tutaj sam.

Ujmuje mnie mocno za rękę i dodaje po długiej chwili milczenia:

– A poza tym, jest tu też pewien ksiądz, pewien młody ksiądz, który dołącza do mnie każdego popołudnia.

A kiedy wyrażam zdziwienie, że nie widzę go tutaj, chociaż jest już późne popołudnie, kardynał dodaje z pewną prostodusznością:

– Dziś kończy o dziesiątej wieczorem.

OCHRONA I PROTEKCJA, którymi cieszył się Marcial Maciel w Meksyku i Rzymie, są dziś dość dobrze opisane. Kilka ofiar księdza pedofila podejrzewa kardynała Juana Sandovala Íñigueza, że nie ujawnił przestępstw Maciala. Oprócz Legionistów Chrystusa miał on w rezydencji Casa Alberione umieścić „na reedukację” niektórych księży oskarżonych o molestowanie seksualne (kardynał dementuje tę informację, twierdząc, że nie ponosi żadnej winy ani nie jest za to odpowiedzialny).

Adresatem podobnie krytycznych głosów jest arcybiskup Meksyku kardynał Norberto Rivera. Równie obsesyjnie antygejowski jak Sandoval Íñiguez wypowiadał się wielokrotnie na ten temat, oświadczając nawet, że „odbyt nie może służyć jako otwór seksualny”. Z innej słynnej sentencji arcybiskupa można się dowiedzieć, że istotnie w Meksyku było wielu księży gejów, ale że „Bóg już im przebaczył”. Nie tak dawno temu posunął się on do stwierdzenia, że „istnieje większa szansa, że dziecko zostanie zgwałcone przez ojca, jeśli jest to ojciec homoseksualista”.

Dziennikarze specjalizujący się w opisywaniu meksykańskich realiów uważają, że Norberto Rivera, który był jednym ze stronników i obrońców Marciala Maciela, do końca nie wierzył w jego zbrodnie i odmawiał kierowania do Watykanu niektórych skarg.

Z tych wszystkich powodów, a także dlatego, że publicznie nazwał skarżących mitomanami, kardynał miasta Meksyk jest dziś obiektem krytyki i oskarżeń o współudział albo milczenie na temat znanych mu przypadków wykorzystywania seksualnego. Prasa pisze o tym regularnie i dziesiątki tysięcy Meksykanów podpisało już petycję, aby nie dopuścić do uczestniczenia kardynała w konklawe. Kardynał figuruje również na poczesnym miejscu listy „dirty dozen”, dwunastu kardynałów podejrzewanych o krycie księży pedofilów, opublikowaną przez amerykańskie stowarzyszenie ofiar wykorzystywania seksualnego w Kościele katolickim (SNAP – znana organizacja pozarządowa, której metody są jednak często krytykowane).

Sandoval Íñiguez i Rivera otrzymali kapelusze kardynalskie z rąk Jana Pawła II niewątpliwie po rekomendacji Angelo Sodana lub Stanisława Dziwisza. Ci dwaj byli wielkimi przeciwnikami teologii wyzwolenia i małżeństw homoseksualnych. Papież Franciszek, który

ostro skrytykował kardynała Riverę za jego homofobię i zwrócił się uroczyście do Kościoła meksykańskiego o odrzucenie wrogości wobec gejów, zakończył sprawę Rivery, odsyłając go na emeryturę w roku 2017, natychmiast po osiągnięciu przez niego przewidzianego prawem wieku. Ta dyskretna decyzja jest – zdaniem pewnego księdza, z którym rozmawiałem w Meksyku – „boską sankcją z natychmiastowym skutkiem tymczasowym".

– Wiemy, że znacząca liczba kardynałów lub biskupów, którzy popierali Marciala Maciela, lub tych, którzy teraz organizują manifestacje przeciwko nam i przeciwko małżeństwo homoseksualnym, to homoseksualiści. Niewiarygodne, ale prawie wszyscy są homoseksualistami! – minister kultury Rafael Tovar y de Teresa niemal wykrzykuje te słowa podczas naszej rozmowy w jego biurze w Meksyku.

Słynny minister dodaje, w obecności Marceli González Durán, mojej meksykańskiej wydawczyni: – Kler w Meksyku to geje, hierarchia to geje, kardynałowie to geje. Nieprawdopodobne!

Kiedy wyjawiam mu temat mojej książki, minister potwierdza również, że meksykański rząd dysponuje dokładnymi informacjami o homofobicznych biskupach gejach – i przytacza mi kilka spośród kilkudziesięciu nazwisk. Dodaje również, że następnego dnia powie o moim śledztwie prezydentowi Republiki Enrique'owi Peñia Nieto i ministrowi spraw wewnętrznych, żebym mógł od nich uzyskać dodatkowe informacje. Będę jeszcze kilkakrotnie rozmawiał z ministrem Tovar y de Teresa.

Rozmawiałem również z Marcelem Ebrardem, byłym merem miasta Meksyk, który był spiritus movens legalizacji małżeństw jednopłciowych i dobrze poznał katolickich przeciwników tego projektu ustawy. Informacji dostarczą mi także jeszcze inne osoby, na przykład miliarder Carlos Slim Jr, intelektualista Enrique Krauze,

jeden z wpływowych doradców prezydenta Enrique'a Peñia Nieto, i kilku dyrektorów Televisy, głównego kanału telewizyjnego, czy też José Castañeda, były minister spraw zagranicznych. Podczas moich czterech pobytów w Meksyku w ośmiu różnych miastach zyskałem poparcie i informacje od blisko dziesięciu pisarzy i działaczy gejowskich, zwłaszcza od Guillermo Osorna, Antonio Martíneza Velázqueza i Felipe Restrepa. Moi researcherzy meksykańscy, Luis Chumacero i w Guadalajarze Eliezer Ojeda, również przyczynili się do wzbogacenia tej opowieści.

HOMOSEKSUALNE ŻYCIE meksykańskiego kleru jest zjawiskiem dobrze znanym i już dobrze udokumentowanym. Ocenia się, że więcej niż dwie trzecie meksykańskich kardynałów, arcybiskupów i biskupów „praktykuje". Ważna organizacja homoseksualna, FON, podała do publicznej wiadomości trzydzieści osiem nazwisk hierarchów katolickich o homoseksualnej orientacji. Proporcje te są mniej znaczące wśród zwykłych prałatów i biskupów. Za to według raportu przekazanego oficjalnie do Watykanu przez arcybiskupa Bartolomé Carrasca Briseña siedemdziesiąt procent księży w diecezjach stanów Oaxaca, Hidalgo i Chiapas, w większości zamieszkanych przez ludność rdzenną, jest ponoć potajemnie żonatych albo żyjących w konkubinacie z kobietą. Podsumowując, meksykański kler jest według raportów aktywnie heteroseksualny na wsi, a w miastach praktykuje homoseksualizm!

Potwierdza te tendencje wielu dziennikarzy specjalizujących się w problemach Kościoła katolickiego. Taka jest opinia Emiliano Ruiza Parry, autora kilku książek na ten temat i byłego dziennikarza zajmującego się kwestiami religii w dzienniku „Reforma":

– Powiedziałbym, że w Meksyku minimum pięćdziesiąt procent księży to geje, chociaż oceniając bardziej realistycznie, to siedemdziesiąt pięć procent. Seminaria są homoseksualne,

a meksykańska hierarchia katolicka jest spektakularnie gejowska.

Ruiz Parra dodaje, że bycie gejem w Kościele nie jest w Meksyku problemem: to nawet swoisty rytuał przejścia, środek awansu i klasyczny, oparty na władzy związek między nowicjuszem a jego mistrzem.

– Wewnątrz Kościoła tolerancja jest ogromna, dopóki ktoś nie zaczyna ujawniać swojej orientacji na zewnątrz. Oczywiście, żeby strzec tajemnicy, trzeba publicznie atakować gejów i odgrywać homofoba. To jest klucz do sprawy. Albo przebiegłość.

Ponieważ Emiliano Ruiz Parra prowadził śledztwo na temat Legionistów Chrystusa i Marciala Maciela, jest szczególnie krytyczny wobec Watykanu, zarówno dawnego, jak i dzisiejszego. Ale także wobec wieloaspektowego wsparcia, jakim Maciel cieszył się w Meksyku. Jak wielu innych mówi o dowodach finansowych, korupcji, łapówkach, a także o nowym dowodzie wyjaśniającym „krycie" Marciela, czyli o homoseksualizmie części wspierających go osób.

– Gdyby Marcial Maciel zaczął mówić, cały meksykański Kościół by runął.

JEDNYM Z PIERWSZYCH wielkich dzieł dobroczynnych Marciala Maciela, tym, które wypromowało jego karierę i kazało zapomnieć o jego pierwszych nikczemnościach, była budowa w Rzymie kościoła Matki Boskiej z Guadalupe. Jest to zminiaturyzowana replika słynnej bazyliki pod tym samym wezwaniem stojącej w Meksyku, jednej z największych świątyń chrześcijańskich, przyjmująca corocznie miliony pielgrzymów.

W obu przypadkach chodzi o miejsca otoczone szczególnym kultem, których szczególną atmosferę tworzą rozgrywające się w nich archaiczne, niemal sekciarskie rytuały. Kiedy zwiedzam meksykańską bazylikę, zaskakuje mnie widok tłumu klęczących dewotek. Francuz,

którym przecież jestem, znający katolicyzm swego kraju w formie raczej bardziej intelektualnej – przez *Myśli* Pascala, mowy pośmiertne Bossueta czy *Geniusz chrześcijaństwa* Chateaubrianda – z trudem może zrozumieć tę ludową, żarliwą religijność.

– Nie da się zrozumieć meksykańskiego katolicyzmu bez Matki Boskiej z Guadalupe. Jej miłość, jej wspólnota duchowa z innymi matkami promieniują na cały świat – wyjaśnia mi arcybiskup Monroy.

Ten były rektor bazyliki w Meksyku oprowadza mnie po całym kompleksie, w którym poza dwoma kościołami znajdują się również klasztory, muzea, ogromne sklepy z pamiątkami, a który koniec końców jawi mi się jako wielka atrakcja turystyczna. Arcybiskup Monroy pokazuje mi również liczne obrazy przedstawiające go we wszystkich momentach jego życia kapłańskiego (w tym wspaniały portret wykonany przez Rafaela Rodrigueza, geja, z którym również rozmawiałem w Santiago de Querétaro na północnym zachodzie Meksyku).

Według kilku dziennikarzy Notre-Dame-de-Guadalupe miała być miejscem świeckich afer, a z powodu zachowania księży z bazyliki była siedzibą swego rodzaju „bractwa gejowskiego" – w Meksyku i w Rzymie.

Oficjalna włoska siedziba Legionistów Chrystusa znajdująca się na via Aurelia, na zachód od Watykanu, istnieje od początku lat pięćdziesiątych XX wieku. Sfinansował ją młody Maciel dzięki niezwykle skutecznej zbiórce funduszy prowadzonej w Meksyku, Hiszpanii i w Rzymie. Kościół i parafia zostały założone w 1955 roku. Ich konsekracja dokonana przez włoskiego kardynała Clemente Micarę odbyła się pod koniec 1958 roku. W tym samym czasie podczas interregnum dzielącym pontyfikaty Piusa XII i Jana XXIII pierwsze dossier dotyczące narkomanii i homoseksualizmu Marciala

Maciela zniknęło z Watykanu.

Żeby móc zrozumieć fenomen Maciela w cieniu czystości Matki Boskiej z Guadalupe, trzeba rozszyfrować jego protektorów i cały system, który zarówno w Meksyku, jak i w Rzymie dopuścił do zaistnienia tego olbrzymiego skandalu. Kilka pokoleń meksykańskich biskupów i kardynałów oraz nieprzeliczona ilość kardynałów kurii rzymskiej przymykało oczy lub świadomie wspierało jednego z największych pedofilów XX wieku.

CO MOŻNA POWIEDZIEĆ o fenomenie Marciala Maciela? Czy chodzi o perwersyjnego mitomana, anormalnego i szalonego? Czy jest on produktem systemu? Postać przypadkowa i odosobniona – czy oznaka zbiorowego zboczenia? Albo, mówiąc inaczej, czy jest to historia jednego człowieka, jak się twierdzi, aby wybielić instytucję, czy produkt pewnego stylu rządzenia, który stał się możliwy z powodu klerykalizmu, ślubów czystości, utajonego, endemicznego homoseksualizmu w łonie Kościoła, kultury kłamstwa i zmowy milczenia? Zarówno w wypadku sprawy księdza Karadimy w Chile, jak i rozlicznych afer w wielu innych krajach Ameryki Łacińskiej wyjaśnienia – zdaniem wypowiadających się świadków – trzeba szukać wśród tych pięciu czynników. Muszę jednak dołączyć do nich jeszcze szósty.

Przede wszystkim zaślepienie sukcesem. Olśniewający wyczyn Legionistów Chrystusa długo fascynował Watykan, bo nigdzie indziej na świecie rekrutacja seminarzystów nie miała takiego zasięgu, powołania kapłańskie nie były tak entuzjastyczne, a napływ pieniędzy tak nadzwyczajny. Od pierwszej wizyty Jana Pawła II w Meksyku w roku 1979 Marcial Maciel wykazywał wielki zmysł organizacyjny, zdolność zajmowania się najmniejszymi szczegółami, dysponował armią asystentów, sam pozostając przy tym skromny i dyskretny. Jan Paweł II był dosłownie zachwycony. Powróci tu

jeszcze cztery razy, za każdym razem pozostając coraz bardziej pod wrażeniem umiejętności swego „drogiego przyjaciela” Maciela.

Drugi czynnik to bliskość ideologiczna między Janem Pawłem II i Legionistami Chrystusa, organizacją skrajnie prawicową i agresywnie antykomunistyczną. Ultrakonserwatywny Marcial Maciel był główną postacią walki z reżimami marksistowskimi i z teologią wyzwolenia, najpierw w Meksyku, potem w Ameryce Łacińskiej i w Hiszpanii. Obsesyjnie, nawet paranoicznie antykomunistyczny Maciel wyprzedzał oczekiwania papieża, który znalazł w nim rzecznika jego twardej linii przeciwko komunizmowi. W ten sposób, dorzucając psychologię do ideologii, ojciec Maciel potrafił inteligentnie podbechtać ambicję Jana Pawła II, papieża mistyka, którego kilku świadków prywatnie opisuje jako mizogina i człowieka próżnego.

Trzecim czynnikiem, związanym z poprzednim, jest to, że Jan Paweł II potrzebuje pieniędzy na swoją misję ideologiczną: antykomunizm, głównie w Polsce. Wydaje się teraz pewne, mimo zaprzeczeń stolicy apostolskiej, że Marcial Maciel wypłacił sporo pieniędzy, żeby finansować antymarksistowskie wydawnictwa w Ameryce Łacińskiej i być może pośrednio solidarnościową opozycję w Polsce. Zdaniem jednego z ministrów i pewnego ważnego dyplomaty, z którymi rozmawiałem w Meksyku, przelewy finansowe na jej rzecz mogły być dokonywane w ramach operacji „kościelnych”. Dziennikarze i historycy w Warszawie i Krakowie potwierdzają, że istniały kontakty finansowe między Watykanem a Polską.

– To pewne, że pieniądz płynął. Przez kanały takie jak związki, kościoły – potwierdza polski watykanista, który przez długi czas był korespondentem polskich mediów w Rzymie.

Jednak podczas tej samej rozmowy w Warszawie dementuje on

wszelkie bezpośrednie zaangażowanie Watykanu:

– Dużo mówiono o tym, że Bank Watykanu albo bank Ambrosiano były w to wmieszane. Moim zdaniem tak nie było.

Również Zbigniew Nosowski, dziennikarz, redaktor naczelny katolickiego kwartalnika „Więź” w Warszawie, jest sceptyczny, jeśli chodzi o przekazywanie funduszy z Rzymu do Polski:

– Nie wydaje mi się, żeby pieniądze mogły w ten sposób krążyć między Watykanem a „Solidarnością”.

Niezależnie od tych zasadniczych stwierdzeń inne źródła próbują raczej dowodzić czegoś wręcz przeciwnego. Sam Lech Wałęsa, były przewodniczący „Solidarności”, a później prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, przyznał, że jego związek otrzymał pieniądze od Watykanu. Różne gazety i książki również sygnalizowały rozmaite przepływy finansowe: ich źródłem mieli być Legioniści Chrystusa Marciala Maciela, a celem „Solidarność” w Polsce. W Ameryce Łacińskiej niektórzy uważają nawet, choć bez większej pewności, że również chilijski dyktator Augusto Pinochet mógł brać udział w niektórych operacjach (dzięki zręcznym posunięciom nuncjusza Angelo Sodana). Podobnie jak kolumbijscy handlarze narkotyków (za pośrednictwem kardynała Alfonso Lópeza Trujilla). Na tym etapie wszystkie te hipotezy są prawdopodobne, ale nie są potwierdzone. „Dirty money for good causes”? – zastanawia się dobry znawca problemu: chociaż ich źródła mogły być niezbyt przejrzyste, to jednak cel pozostaje szlachetny.

– Wiemy od bezpośrednich świadków, że arcybiskup Stanisław Dziwisz, osobisty sekretarz papieża Jana Pawła II, przekazywał w Watykanie koperty z banknotami niektórym przyjezdnym z Polski, świeckim lub duchownym. W tym okresie, w latach osiemdziesiątych, związek zawodowy „Solidarność” był zdelegalizowany. Dziwisz pytał więc przybyłych z kraju: „Jak można

wam pomóc?”. Często problemem był brak pieniędzy. Wówczas asystent papieża wychodził na chwilę do sąsiedniego pokoju i wracał z kopertą – opowiada Adam Szostkiewicz podczas naszej rozmowy w Warszawie (Szostkiewicz, wpływowy dziennikarz tygodnika „Polityka”, od dawna opisuje polski katolicyzm; sam był członkiem „Solidarności” i na pół roku został internowany przez komunistyczną juntę wojskową).

Zdaniem Szostkiewicza istniały też inne drogi, którymi płynęły artykuły do Polski produkty pierwszej potrzeby: lekarstwa, żywność, a być może również walizki z pieniędzmi. Były to głównie drogi „kościelne”: pomoc przewożona przez księży lub przez konwoje humanitarne jeżdżące z Niemiec Zachodnich.

– Duchowni cieszyli się nieco większą swobodą podróżowania niż inni obywatele; polska milicja tolerowała ich bardziej, a rewizje były pobieżne. Mieli też łatwiejszy dostęp do wiz – dodaje Szostkiewicz. W niedawno opublikowanej książce *Il caso Marcinkus* włoski dziennikarz Fabio Marchese Ragona dowodzi, wykorzystując niepublikowane zeznania i dokumenty włoskiego wymiaru sprawiedliwości, że Watykan miał przekazać „Solidarności” „ponad miliard dolarów”[53]. Amerykański arcybiskup Paul Marcinkus i Stanisław Dziwisz byli podobno głównymi protagonistami w tych skomplikowanych operacjach finansowych. Drugi sekretarz papieża, polski ksiądz Mieczysław Mokrzycki, znany jako ojciec Mietek, dziś arcybiskup na Ukrainie, też odegrał w tym pewną rolę, podobnie jak polski ksiądz jezuita Kazimierz Przydatek – obaj bliscy przyjaciele Dziwisza.

A więc walizki brudnych pieniędzy dla antykomunistycznej opozycji w „darze” od Jana Pawła II. Można uważać, że to metoda dość dyskusyjna, ale upadek reżimu komunistycznego w Polsce, a zaraz potem upadek muru berlińskiego i imperium sowieckiego

mogą dać jakąś wsteczną legitymizację temu szczególnemu użyciu „świętego pieniądza”.

Wreszcie – i jest to czwarty czynnik – są łapówki, i tego właśnie słowa należy w tym miejscu użyć. Marcial Maciel regularnie „przemawiał do kieszeni” kardynałów i prałatów bliskich Janowi Pawłowi II. Ten psychopata nagradzał swoich rzymskich protektorów, wzbogacając ich w sposób niewyobrażalny. Ofiarowywał im luksusowe samochody, wspaniałe podróże, rozdawał koperty pełne banknotów po to, żeby uzyskać wpływy, zdobyć poparcie dla swojej sekty Legionistów i tuszować własne zbrodnie. Te fakty są dziś potwierdzone, ale żaden z kardynałów, którzy dawali się korumpować, nie był niepokojony, nie mówiąc już o ekskomunikowaniu za symonię, a więc kupczenie kościelnymi tytułami i przywilejami. Niewielu zresztą odmówiło wzięcia brudnych pieniędzy i, jak się zdaje, był wśród nich kardynał Ratzinger. Podobno kiedy otrzymał w Meksyku kopertę z pieniędzmi, odesłał ją do nadawcy. Również kardynał Bergoglio zawsze był zdeklarowanym wrogiem Marciala Maciela; oskarżał go już wcześniej, tym bardziej że Maciel nienawidził nie tylko czerwonych księży głoszących teologię wyzwolenia, ale również jezuitów.

Nie wspominając o aspektach moralnych, innym – piątym – czynnikiem mogącym wyjaśnić milczenie Kościoła jest ryzyko finansowe, jakie ponosił Watykan. Nawet uznając fakty, Kościół nie chce za nie płacić. W Stanach Zjednoczonych zasądzone odszkodowania dla ofiar wykorzystywania seksualnego to już dziesiątki milionów dolarów. A przyznanie się Watykanu do winy oznaczałoby również poniesienie odpowiedzialności finansowej. Argument kosztów odszkodowań jest głównym punktem we wszystkich sprawach o wykorzystywanie seksualne.

I wreszcie – ale to już rzecz nie do opisania – wśród przejawów poparcia, jakie Maciel otrzymywał w Meksyku, Hiszpanii czy Watykanie, jest coś, co nazwałbym powściągliwie „klerykalizmem z szafy”. Jest to szósty czynnik pozwalający wyjaśnić niewyjaśnialne, bez wątpienia najbardziej bolesny, najpoważniejszy, być może klucz do zrozumienia wszystkiego.

Wielu kardynałów meksykańskich, południowoamerykańskich, hiszpańskich, polskich czy włoskich w otoczeniu Jana Pawła II prowadziło podwójne życie. Oczywiście nie byli to pedofile, nie popełniali przestępstw związanych z wykorzystywaniem seksualnym. Byli natomiast w większości homoseksualni i całe ich życie oparte było na podwójnej grze. Wielu z owych kardynałów regularnie korzystało z usług męskich prostytutek i innych sposobów zaspokojenia swoich skłonności. Pewne jest, że Marcial Maciel, mroczna dusza, zdecydowanie przekroczył granice tego, co jest akceptowalne albo legalne, w Watykanie każdy się z tym zgadza. Jednak ujawnienie jego sposobu myślenia kazałoby się zastanowić nad własnym życiem. A to oznaczałoby narażenie się na ewentualne ujawnienie własnej homoseksualności.

Tak więc raz jeszcze kluczem może być właśnie to: utrzymywanie tajemnicy potrzebnej do ochrony homoseksualności księży, biskupów i kardynałów w Meksyku i w Rzymie, a szczególnie wielu kluczowych postaci z najbliższego otoczenia papieża. To ogromne nadużywanie własnej pozycji przez kler pozwoliło pedofilowi Macielowi działać w ukryciu, całkowicie swobodnie i do tego być skutecznie chronionym.

Z powodu mylenia pedofilii z homoseksualnością – co, jak się wydaje, robiło wielu kardynałów – różnice się zacierają. A jeśli wszystko jest pomieszane: wykorzystywanie seksualne i grzech, pedofilia, homoseksualizm i prostytucja, a zbrodnię wyróżnia tylko

jej zakres, a nie natura, kogo należy karać? Oto zagubieni księża: gdzie jest szczyt? Gdzie jest dno? Dobro? Zło? Natura? Kultura? Inni? Ja? Czy można ekskomunikować Marciala Maciela za jego zbrodnie seksualne, jeśli jest się trochę takim jak on, jeśli żyje się w kłamstwie seksualnym i samemu jest się „wewnętrznie zaburzonym”? Ujawnienie tych występków to przy okazji zbędne eksponowanie samego siebie. A również – kto wie – podjęcie ryzyka, że się będzie wytykanym palcem. I to jest właśnie sedno tajemnicy Maciela i wszystkich pedofilów, którzy w Watykanie i wśród katolickiego kleru znaleźli schronienie i wciąż mają za sobą całą armię popierających ich hierarchów, niezliczone wymówki i nieskończone milczenie.

11.

Krąg rozpusty

W WATYKANIE NAZYWA SIĘ GO PLATINETTE i wszyscy podziwiają jego brawurę! – mówi mi Francesco Lepore. To przezwisko pochodzi od słynnej drag queen z włoskiej telewizji lubującej się w platynowoblond perukach.

Bawią mnie te pseudonimy, którymi obdarza się we własnym gronie wielu kardynałów lub biskupów. Nic nie zmyślam, zadowalam się przywołaniem tego, co ujawniło mi wielu księży z kurii. Złośliwość w łonie Kościoła jest bowiem okrutniejsza niż poza nim.

Pewien wpływowy dyplomata mówi mi o innym kardynale, który ma przezwisko La Mongolfiera. Skąd się ono wzięło? Podobno miał „imponujący wygląd, dużo pustki i mały udźwig" – wyjaśnia mój informator, kładąc nacisk na zarozumiałość i wyniosłość tej osoby, „takie konfetti, które uważa się za mongolfierę".

Kardynałowie Platinette i La Mongolfiera mieli swą godzinę sławy w epoce Jana Pawła II, obydwaj pozostawali z nim zresztą w bliskich kontaktach. Stanowią część tego, co można by nazwać pierwszym „kręgiem rozpusty" wokół ojca świętego. Istnieją też inne kręgi wyuzdania skupiające praktykujących homoseksualistów, stojących jednak niżej w hierarchii. Wśród osób pozostających w bliskich kontaktach z Janem Pawłem II heteroseksualni hierarchowie są rzadkością, a jeszcze większą rzadkością jest wierność ślubowi czystości.

Tu przed dalszymi rozważaniami potrzebne jest jeszcze wyjaśnienie

dotyczące ułomności kardynalskich, które ujawnię. Kim jestem, by osądzać? Raz jeszcze próbuję nie być sędzią, bowiem nie tyle zależy mi na „wyoutowaniu” żyjących księży, ile na opisaniu systemu. Dlatego nazwiska tych dwóch hierarchów pozostają ukryte. W moich oczach ci kardynałowie, ci biskupi, ci księża mają oczywiste prawo, aby mieć kochanków i pogłębiać swoje skłonności, nabyte lub wrodzone. Dla mnie, niebędącego katolikiem, obojętne jest, czy złamią śluby czystości, czy znajdą się w moralnym konflikcie z regułami swojego Kościoła. Jeśli zaś chodzi o prostytucję tak częstą w tej grupie, to we Włoszech jest ona legalna i wydaje się, że nieźle tolerowana przez prawo kanoniczne stosowane w eksterytorialnej stolicy apostolskiej. Można kwestionować jedynie ich niezgłębioną hipokryzję; tylko taki jest cel tej książki, potwierdzającej, że nieomylność papieża przeradza się w bezkarność, jeśli dotyka obyczajów jego otoczenia.

W mojej książce chciałbym rozszyfrować ten równoległy świat i dokonać jego przeglądu w czasach Jana Pawła II. Do La Mongolfiery i Platinette jeszcze wrócę, muszę jednak zacząć od postaci Paula Marcinkusa, człowieka od finansów, tajnych misji i jednego z tych, którzy zarządzali Państwem Watykańskim w imieniu ojca świętego.

Mieszanka dyplomaty, ochroniarza, anglojęzycznego tłumacza, gracza w golfa, kuriera tajnych funduszy, spryciarza. Kiedy Karol Wojtyła zostaje Janem Pawłem II, amerykański arcybiskup Marcinkus ma już w Watykanie swoją długą historię. Marcinkus był jednym z tłumaczy Jana XXIII, potem bliskim człowiekiem Pawła VI (którego życie miał chronić podczas zamachu), zajmował też wiele stanowisk w nuncjaturach apostolskich. Potem zaczął spektakularną drogę na watykańskie szczyty.

Z jakichś tajemniczych powodów Marcinkus już od początków

pontyfikatu staje się jednym z faworytów Jana Pawła II. Według wielu źródeł papież czuł szczere przywiązanie do tej kontrowersyjnej postaci. Marcinkus wkrótce staje więc na czele słynnego Banku Watykańskiego, który pod jego kierownictwem zostaje wplątany w niezliczone intrygi finansowe i kilka spektakularnych skandali. Włoskie organy sprawiedliwości oskarżały prałata o korupcję, ale on cały czas cieszył się immunitetem dyplomatycznym Watykanu. Podejrzewa się go nawet o podżeganie do zabójstw, w tym papieża Jana Pawła I, zmarłego w tajemniczych okolicznościach po zaledwie miesiącu pontyfikatu. Jednak pogłoski te nigdy nie zostały potwierdzone.

Homoseksualność Marcinkusa jest natomiast potwierdzona zupełnie wystarczająco. Około dziesięciu prałatów z kurii, którzy bywali u Amerykanina, potwierdza, że był zapalonym łowcą przygód.

– Marcinkus był homoseksualistą, miał słabość do członków gwardii szwajcarskiej. Pożyczał im często swój samochód, peugeota 504, szary metalik o pięknych obiciach ze skóry. Pamiętam, że kiedyś spotykał się z pewnym gwardzistą i trwało to jakiś czas – potwierdza jedno z moich źródeł, osoba świecka pozostająca w bliskich stosunkach z arcybiskupem, wtedy i dziś pracująca w Watykanie.

Znany jest również związek Marcinkusa z pewnym szwajcarskim księdzem, który potwierdził to mojemu informatorowi. I nawet wtedy, kiedy był w areszcie domowym w Watykanie (z powodu oskarżeń ze strony włoskiego wymiaru sprawiedliwości), wciąż bezwstydnie podrywał. Potem na emeryturze wyjechał do Stanów Zjednoczonych, zabierając ze sobą swoje tajemnice. Zmarł w 2006 roku w Sun City, w luksusowym domu dla emerytów w Arizonie (kiedy dwukrotnie w obecności Danielego rozmawiam z Piero Marinim, który był „mistrzem ceremonii” papieża Jana Pawła II, ten

z naiwnością kładzie nacisk na „ogromną bliskość” Marcinkusa z „pracownikami”). (Również Pierre Blanchard, osoba świecka, przez wiele lat sekretarz APSA – Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej – świetnie znający watykańskie powiązania, przekazał mi kilka cennych informacji).

Oprócz kontrowersyjnego Marcinkusa w otoczeniu Jana Pawła II, wśród sekretarzy i urzędników, są jeszcze inni czynni homoseksualiści. Przede wszystkim irlandzki ksiądz John Magee, który był jednym z osobistych sekretarzy Pawła VI, potem krótko sekretarzem osobistym Jana Pawła I i pozostał przy Janie Pawle II. Gdy został biskupem diecezji Cloyne w Irlandii, uwikłał się w afery dotyczące molestowania seksualnego, które wstrząsnęły krajem. Z zeznań świadków wynikało, że zabiegał o względy chłopców i czynił im awanse, całował ich, co zostało upublicznione i w trakcie procesu dodane do akt sprawy. Biskup Magee został w końcu zmuszony do dymisji przez Benedykta XVI.

Inny pomocnik papieża, aktywnie praktykujący homoseksualista, to ksiądz, który na zmianę defrauduje pieniądze i bałamuci chłopców (pełnoletnich, o ile mi wiadomo). On też pali się do szwajcarskich gwardzistów i seminarzystów, które to ekstrawagancje dzieli z jednym z organizatorów podróży papieskich.

Doświadczył tego pewien młody seminarzysta z Bolonii; podczas kilku rozmów opowiada mi ze szczegółami o swojej niemiłej przygodzie. W czasie wizyty papieża w tym mieście we wrześniu 1997 roku dwóch z asystujących mu hierarchów odpowiedzialnych za jego podróże nalega na spotkanie z seminarzystami. Natychmiast namierzają w tej grupie młodego chłopca, pięknego blondyna, który wówczas ma 24 lata.

– Po prostu dokonali przeglądu i nagle wskazali na mnie. Powiedzieli: „Ty!”. Chcieli, żebym z nimi poszedł, i nie dawali mi już

spokoju. Chcieli mnie widzieć cały czas. To była bardzo natarczywa technika podrywu – wyjaśnia mi były seminarzysta (który wciąż, chociaż rozmawiam z nim ponad dwadzieścia lat po tamtych wydarzeniach, jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną).

Podczas wizyty Jana Pawła II najbliższi współpracownicy papieża lansują seminarzystę i na wszystkie sposoby rozpieszczają. Przedstawiają go papieżowi i trzykrotnie zapraszają na podium, żeby stał blisko niego.

– Zrozumiałem, że byli tutaj na łowach. Podrywali młodych ludzi, mnie, nawet bez żadnych środków ostrożności, czynili awanse. Pod koniec pobytu zaprosili, żebym ich odwiedził w Rzymie i zamieszkał u nich. Powiedzieli, że pokazaliby mi biuro papieża. Dobrze wiedziałem, czego po mnie oczekiwali. Nie odpowiedziałem na ich awanse. Przepuściłem taką szansę! Gdyby nie to – dodaje były seminarzysta – może dziś byłbym biskupem!

ZUCHWAŁOŚĆ NIE ZNA GRANIC. Dwaj wierni współpracownicy ojca świętego – arcybiskup, który jest jego doradcą, i bardzo ważny nuncjusz – również przeżywają swoją seksualność w oburzający sposób, sposób przekraczający możliwość pojmowania. Podobnie wygląda przypadek pewnego kolumbijskiego kardynała, którego jeszcze nie znamy, ale spotkamy go już wkrótce: ten „szatański doktor" na polecenie Jana Pawła II zajmuje się koordynowaniem watykańskiej polityki względem rodziny, a wieczorami oddaje się z oszałamiającą regularnością męskiej prostytucji.

W najbliższym otoczeniu papieża jest też niezwykłe trio biskupów – działają oni w grupie. Ale w tym miejscu muszę coś wtrącić. Jest to kolejny krąg rozwiązłości wokół papieża. W porównaniu z kardynałami i dostojnymi prałatami, o których już mówiłem, ci homoseksualni awanturnicy jego świątobliwości są zdecydowanie przeciętni, działają na zdecydowanie mniejszą skalę.

Pierwszy to arcybiskup, którego przedstawia się zawsze jako anioła w ludzkiej postaci i którego uroda wywołała wiele plotek. Kiedy spotykam go dziś, blisko trzydzieści lat później, stwierdzam, że wciąż jest pięknym mężczyzną. W latach pontyfikatu Jana Pawła II pozostawał w bliskim otoczeniu kardynała Sodana, ale papież też ogromnie go lubił. Jego skłonności potwierdziło mi wiele źródeł. Podobno został wydalony z dyplomacji watykańskiej, „kiedy zaskoczono go w łóżku z czarnoskórym mężczyzną" (wyjaśnia mi pewien ksiądz z sekretariatu stanu, który też spał kilka razy z opisywaną osobą).

Drugi biskup z bliskiego otoczenia Jana Pawła II odgrywa zasadniczą rolę w przygotowywaniu ceremonii papieskich. Pojawia się zresztą na zdjęciach u boku ojca świętego. Znany jest ze swych praktyk SM, powiada się, że ubrany w skórę odwiedzał gejowski klub Sfinx w Rzymie, teraz zamknięty. Słynne stało się w Watykanie powiedzenie na jego temat: „Lace by day; leather by night" (dzień w koronkach, noc w skórach).

Co do trzeciego biskupa uwodziciela, to opisuje się go jako szczególnie zdeprawowanego – kolekcjonuje afery finansowe i kolekcjonuje chłopców. Włoska prasa już dawno go namierzyła.

Ci trzej biskupi tworzą więc to, co można by nazwać drugim „kręgiem rozwiązłości" wokół Jana Pawła II. Nie zasiadają w lożach honorowych, są to raczej postaci z drugiego planu. Papież Franciszek, który zna tych kochasiów od dawna, zdecydował się oddalić ich z Watykanu, pozbawić purpury. Wszyscy są dziś „schowani w szafie" – dwudrzwiowej w pewnym sensie.

Tych trzech wtajemniczonych pełniło naprzemiennie funkcje rajfurów, lokajów, majordomów, szambelanów, mistrza ceremonii, mistrza ceremonii liturgicznych, kanonika czy wreszcie szefa protokołu Jana Pawła II. Chętni do pomocy, kiedy jest taka potrzeba,

czasem oddają „usługi” najbardziej widocznym kardynałom, a przez resztę czasu uprawiają rozpustę na własne konto. (Ktoś z otoczenia kardynała Angelo Becciu, „ministra spraw wewnętrznych” papieża Franciszka, potwierdzi mi podczas serii nagranych rozmów nazwiska niektórych z tych biskupów i fakt ich aktywnej homoseksualności).

Razem z Danielem, moim głównym włoskim researcherem, długo rozmawiałem z dwoma z owych trzech muszkieterów. Pierwszy z nich pozostał wierny swojemu wizerunkowi dżentelmena i wielkiego księcia. Z obawy, że przypadkiem sam się wyoutuje, cały czas się pilnował, choć jego homoseksualność nie pozostawia niemal żadnych wątpliwości. Drugi, którego spotkaliśmy kilkakrotnie w jednym z watykańskich pałaców w strefie „eksterytorialnej”, niesłychanie nas zdumiał. W olbrzymim budynku, w którym mieszka również kilku kardynałów, hierarcha ten przyjął nas z szeroko otwartymi oczyma, jak gdybyśmy byli Tadziami ze *Śmierci w Wenecji*. Brzydki jak noc uwodził Danielego od pierwszej chwili, a mnie prawił najrozmaitsze komplementy (choć widział mnie po raz pierwszy). Dał nam kilka kontaktów, obiecaliśmy sobie następne spotkanie (które zresztą nastąpiło). Niektóre drzwi się przed nami otwarły, umożliwiając nam natychmiastowe spotkanie ze służbami protokołu papieskiego i w Banku Watykańskim, gdzie najwyraźniej trio ma swoją filię. Daniele nie czuł się zbyt pewnie, zwłaszcza kiedy zostawiłem go na chwilę i wyszedłem do łazienki.

– Bałem się, że będę molestowany! – powiedział ze śmiechem, kiedy już wyszliśmy.

W GRONIE bliskich współpracowników Jana Pawła II postawa wobec seksualności i uwodzenia nie jest jednolita. O ile niektórzy kardynałowie i biskupi sporo ryzykują, o tyle inni zachowują szczególną ostrożność. Pewien francuski arcybiskup, potem kardynał, był – według słów jego byłego asystenta – w stałym związku

z pastorem anglikańskim, potem z włoskim księdzem; inny włoski kardynał żyje ze swym partnerem, którego mi przedstawił jako „brata zmarłej siostry", ale w Watykanie wszyscy – poczynając od gwardzistów, którzy mi o tym mówili – wiedzieli, jaka była natura ich związku. Trzeci, Amerykanin William Baum, którego obyczaje zostały ujawnione, żył również w Rzymie ze swym słynnym kochankiem, który był jednym z jego asystentów.

Kolejny kardynał z kręgu frankofońskiego, z którym spotykałem się kilkakrotnie, również z bliskiego otoczenia Jana Pawła II, znany jest z powodu szczególnego nałogu: jego technika polega na zapraszaniu seminarzystów albo studentów Papieskiej Akademii na obiad, a potem pod pretekstem zmęczenia na wspólną sjestę. Kardynał kładł się na łóżku bez uprzedzenia i bez słowa; miał nadzieję, że młody nowicjusz do niego dołączy. Czekał cierpliwie spragniony wzajemności, nieruchomy niczym pająk w środku utkanej sieci.

Jeszcze inny kardynał Jana Pawła II znany był z tego, że lubił podrywać poza Watykanem, zwłaszcza w parkach wokół Kapitolu i – jak już wspominałem – nie zgadzał się na rejestrację swojego samochodu na dyplomatycznych numerach watykańskich. W ten sposób miał więcej swobody (co potwierdzają świadectwa z pierwszej ręki dwóch księży, którzy z nim pracowali).

Jeszcze inny kardynał, zajmujący eksponowane stanowisko „ministra" Jana Pawła II, został bezwzględnie odesłany do kraju po skandalu z młodym gwardzistą, w którym dużą rolę odegrały pieniądze. Potem został oskarżony o tuszowanie molestowania seksualnego.

Inni wpływowi księża z otoczenia Jana Pawła II mieli skłonności homoseksualne, ale byli bardziej dyskretni. Dominikanin Mario Luigi Ciappi, jeden z jego osobistych teologów, po bratersku dzielił życie

ze swym asystentem („socius”). Jeden ze spowiedników papieża także był ostrożnym homofilem (według informacji jednego z dawnych asystentów Ciappiego).

POWRÓĆMY JEDNAK do pierwszego „kręgu rozpusty”, którego jądro stanowili kardynałowie La Montgolfiera i Platinette, a wokół grawitowały inne gwiazdy. Przy tych wielkich diwach następne kręgi i inni poboczni kardynałowie prezentują się nadzwyczaj blado.

O ich „garsonadach” opowiadali mi ich asystenci, współpracownicy, a także współbracia w kardynalstwie. Rozmawiałem nawet z Platinette w stolicy apostolskiej i mogę poświadczyć jego brawurę: chwycił mnie za rękę, po czym długo i zdecydowanie ściskał przedramię, nie puszczając ani na chwilę. Nie posunął się jednak dalej.

Wejdźmy zatem do tego równoległego świata, gdzie występek zostaje wynagrodzony proporcjonalnie do wybryku. Czy to nie dla tego rodzaju praktyk Anglicy mają śliczne powiedzenie: „They lived in squares and loved in triangles” [gra słów: żyją przy placach (w kwadratach) i kochają w trójkątach – przyp. red.]? W każdym razie kardynałowie La Montgolfiera i Platinette, do których dołączył wkrótce pewien biskup – jego pseudonim miłosiernie pominę – są trójką stałych klientów rzymskich męskich prostytutek, z którymi zabawiają się w czworokąt.

Czy La Montgolfiera i Platinette dużo ryzykują, prowadząc tak rozwiązłe życie? Można by tak myśleć. Tymczasem jako kardynałów chroni ich immunitet dyplomatyczny, a poza tym jako przyjaciele papieża i jego ministrowie cieszą się szczególnymi względami na najwyższych szczeblach Watykanu. Zresztą, któż może ich wydać? To czasy, gdy afery seksualne jeszcze nie zapaskudziły Watykanu: prasa włoska rzadko pisze na te tematy, świadkowie milczą, życie prywatne kardynałów jest wciąż nienaruszalne. Jeśli chodzi o media

społecznościowe, to one jeszcze nie istnieją, zmienią przekaz medialny dopiero po śmierci Jana Pawła II. Gdyby istniały już wtedy, kompromitujące filmiki, wyraźne zdjęcia byłyby prawdopodobnie publikowane na Twitterze, Instagramie, Facebooku czy YouTubie. W tamtym czasie wystarczał jednak dobry kamuflaż.

Aby uniknąć plotek, La Montgolfiera i Platinette stosują jednak pewne środki ostrożności: wymyślają skomplikowany system wyszukiwania męskich prostytutek przez potrójny filtr. Oni sami zgłaszają swoje potrzeby do „dżentelmena Jego Świątobliwości", mężczyzny świeckiego, żonatego, prawdopodobnie heteroseksualnego, który w przeciwieństwie do swych zleceniodawców miał inne priorytety niż homoseksualizm. Macza palce w wielu wątpliwych pakietach finansowych, a to, czego potrzebuje w zamian za oddawane usługi, to przede wszystkim solidne poparcie na szczycie kurii i wizytówki.

Za znaczną rekompensatę „dżentelmen Jego Świątobliwości" kontaktuje się z innym pośrednikiem o pseudonimie Negretto, śpiewakiem z Nigerii, przez lata członkiem chóru watykańskiego, który z czasem stworzył wielką siatkę seminarzystów gejów, escort boyów i męskich zagranicznych prostytutek. To prawdziwy system rosyjskich babuszek znajdujących się jedna w drugiej, bo Negretto kontaktuje się z trzecim pośrednikiem, który służy mu jako przekaźnik i naganiacz. Werbuje się zewsząd, na przykład imigrantów, którzy potrzebują zezwolenia na pobyt: „dżentelmen Jego Świątobliwości" obiecuje interweniować w sprawie papierów, jeśli okażą „zrozumienie" (wykorzystuję tu informacje pochodzące z protokołów spisanych z podsłuchów telefonicznych założonych przez włoską policję, a dołączonych do akt procesu, który toczył się w wyniku tej afery).

„Dżentelmeński" system działał przez kilka lat pontyfikatu Jana

Pawła II i na początku pontyfikatu Benedykta XVI. Zaopatrywał nie tylko kardynałów La Montgolfierę i Platinette oraz ich przyjaciela biskupa, ale też jeszcze jednego hierarchę (którego nazwiska nie udało mi się poznać).

Ostatnie etapy całej tej akcji miały się rozgrywać poza Watykanem w kilku rezydencjach, w tym w willi z basenem, w luksusowych apartamentach w centrum Rzymu, a według dwóch świadków także w rezydencji papieża w Castel Gandolfo. Zwiedzam ją z pewnym arcybiskupem z Watykanu. Rezydencja wciąż pozostaje własnością stolicy apostolskiej, a nie Włoch, i karabinierzy nie mają tam wstępu (co mi potwierdzili). Z dala od wszelkich spojrzeń pewien hierarcha miał tu ponoć pod pretekstem przeganiania psów trenować w sprincie swoich ulubieńców.

Według kilku źródeł newralgicznym punktem w działaniu tej siatki luksusowych escort boyów jest sposób płacenia. Kardynałowie nie tylko korzystają z męskiej prostytucji, żeby zaspokoić swoje libido; nie tylko są homoseksualistami w życiu prywatnym, podczas gdy publicznie obnoszą się z ostrą homofobią, ale urządzają się w ten sposób, żeby nie płacić swoim żigolakom z własnych środków! Na wynagrodzenia dla pośredników i dla luksusowych escort boyów – różnych w różnych momentach – czerpią bowiem z kasy watykańskiej. I to niemało (do dwóch tysięcy euro za wieczór, według informacji zebranych przez włoską policję podczas badania tej sprawy). Niektórzy duchowni z Watykanu dysponujący ogromną wiedzą o tej sprawie znaleźli nawet ironiczne przezwisko dla tych prałacich kutw: „ATM-Priests" („księża bankomaty").

Włoski wymiar sprawiedliwości położył wreszcie kres tej spółdzielni usług erotycznych, choć doszło do tego w sposób przypadkowy – z powodu zatrzymania kilku uczestników tego procederu wmieszanych w poważne afery korupcyjne. Zatrzymano

również dwóch pośredników, zidentyfikowanych dzięki podsłuchom telefonicznym, które włoska policja założyła na linii „dżentelmena Jego Świątobliwości”. Siatka została więc rozbita, włoska policja poznała jej zasięg, ale nie mogła posunąć się dalej ani oskarżyć głównych zleceniodawców, kardynałów La Montgolfiera i Platinette, bowiem korzystali z watykańskiego immunitetu.

W Rzymie rozmawiałem z podpułkownikiem karabinierów dobrze znającym tę sprawę. Oto jego wypowiedź:

– Wydaje się, że ci kardynałowie zostali zidentyfikowani, ale nie mogli być przesłuchani ze względu na ich immunitet dyplomatyczny. Taki immunitet mają wszyscy kardynałowie. Jeśli są wmieszani w jakiś skandal, są natychmiast osłaniani. Chronią się za murami Watykanu. Nie można też przeszukiwać ich bagaży, nawet jeśli istnieje na przykład podejrzenie przewozu narkotyków.

Podpułkownik karabinierów mówi dalej:

– Teoretycznie żandarmeria watykańska, która nie podlega włoskim władzom, mogłaby przesłuchać kardynałów i ich ścigać, ale do tego trzeba jeszcze zlecenia ze stolicy apostolskiej. Tymczasem w tej aferze zleceniodawcy sami byli powiązani z osobami na najwyższym watykańskim szczeblu…

Pominę szczegółowe opisy wyczynów tych kardynałów, według policyjnych podsłuchów były one naprawdę nowatorskie. W rozmowach z pośrednikami używają szyfru. Mówią o escort boyach jako o „dokumentach” i o „sytuacjach”. Pośrednicy posłusznie proponują odpowiednie kandydatury, zmienia się jedynie wzrost i waga. Oto fragmenty rozmów (z akt sprawy):

– Więcej nie ma potrzeby mówić. Ma dwa metry wzrostu, odpowiednią wagę i 33 lata.

– Mam sytuację w Neapolu… Nie wiem, jak to powiedzieć, ale naprawdę tej okazji nie można pominąć… 32 lata, metr

dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, jest piękny.

– Mam sytuację kubańską…

– Przyjechałem z Niemiec z pewnym Niemcem.

– Mam dwóch czarnoskórych.

– X ma chorwackiego przyjaciela, który chciałby się spotkać, jeśli to możliwe.

– Mam futbolistę.

– Mam jednego z Abruzji...

Zdarza się, że w tych rozmowach można usłyszeć i o Chrystusie, i o viagrze, co jest dobrym podsumowaniem całej sprawy.

Po długotrwałym procesie i kilku odwołaniach nasz „dżentelmen" został skazany za korupcję, chór watykański rozwiązano, a Negretto mieszka obecnie w pewnej kościelnej rezydencji poza granicami Włoch, gdzie – jak się wydaje – w zamian za milczenie otrzymuje pewne wsparcie finansowe. Jeśli chodzi o innych pośredników, których tożsamość jest mi znana, nie udało mi się odnaleźć ich śladów. Kardynałowie zaś nie tylko nie byli nigdy skazani ani nawet niepokojeni, ale ich prawdziwe nazwiska nigdy nie pojawiły się w aktach procesu ani w prasie.

Gdyby nawet papież Jan Paweł II dowiedział się o tym, i tak nie mógłby oddzielić ziarna od plew. Bez wątpienia dlatego, że taki zabieg odtruwania dotyczyłby zbyt wielu osób. Papież Benedykt XVI znał te dokumenty i zrobił wszystko, żeby odsunąć głównych aktorów, najpierw z powodzeniem, a potem, jak zobaczymy, działania te doprowadziły ostatecznie do jego przegranej. Franciszek, również dobrze poinformowany, ukarał jednego z zamieszanych w sprawę biskupów wbrew obietnicy poczynionej przez byłego sekretarza stanu, nie mianując go kardynałem. Platinette na razie zachowuje swoje stanowisko. Szef siatki i zwycięzca tej bitwy, La Montgolfiera, przeszedł na kardynalską pięciogwiazdkową

emeryturę: żyje wciąż w luksusie, mówi się, że z kochankiem. Oczywiście owi duchowni są dziś w opozycji wobec papieża Franciszka, ostro krytykują jego wypowiedzi przychylne homoseksualistom i wzywają do ściślejszego przestrzegania cnoty czystości – oni, którzy w tak niewielkim stopniu ją praktykowali.

AFERA ta mogłaby się znaleźć w rubryce „rozmaitości", gdyby nie była powtarzalnym schematem zachowań w kurii rzymskiej. To nie są pojedyncze przypadki, to jest system. Owi duchowni uważają się za nienaruszalnych i wykorzystują swój immunitet dyplomatyczny. Jeśli jednak znamy dziś ich zdrożności, to dlatego, że zaczęli mówić świadkowie. Nawet jeśli próbowano ich zmusić do milczenia.

Trzeba tu zrobić dłuższą dygresję na temat pewnej niesłychanej historii mającej bezpośredni związek ze sprawą męskich prostytutek w Watykanie. Cóż to za historia! Prawdziwa „intryga geniusza", jak powiedziałby Poeta! Sprawa została ujawniona, a dotyczy „zaufanego duchownego", szefa biura w sekretariacie stanu Cesare Burgazziego (ponieważ Burgazzi nie chciał odpowiedzieć na moje pytania, na potrzeby tej opowieści korzystam ze szczegółowych relacji dwóch jego kolegów księży, z informacji dostarczonych przez policję i z protokołów procesów, do których doprowadziła ta afera).

Pewnej majowej nocy w 2006 roku prałat Burgazzi został zaskoczony przez policję w swoim samochodzie przy Valle Giulia, w pobliżu Villa Borghese, w dobrze znanym w Rzymie miejscu podrywu dla homoseksualistów. Jego samochód, ford focus, był w okolicy widziany kilkakrotnie. W trakcie próby rutynowej kontroli policjanci mieli w aucie stojącym ze zgaszonymi światłami zauważyć sylwetki, które poruszały się na rozłożonych fotelach. Próbowali zatrzymać nieszczęsnego duchownego za zakłócanie porządku lub molestowanie, ale on spanikował i uciekł. Trwający dwadzieścia minut pościg po ulicach Rzymu skończył się – jak w prawdziwym

filmie hollywoodzkim – solidnym karambolem. Uszkodzone zostały dwa wozy policyjne, trzech policjantów – rannych. „Nie macie pojęcia, kim ja jestem! Nie wiecie, z kim macie do czynienia!” – wrzeszczał podczas aresztowania Burgazzi z okiem podbitym po zbyt ostrej zabawie w samochodziki.

Sprawa jest w gruncie rzeczy banalna i tak częsta w Watykanie, że na pozór nie powinna wzbudzać zainteresowania. W archiwach policyjnych odnotowano wiele historii, których bohaterami są księża, prałaci, nawet kardynałowie. Tu rzecz jest jednak bardziej skomplikowana. Według policjantów, którzy twierdzą, że okazali legitymacje służbowe, w samochodzie monsiniora Burgazziego znaleziono prezerwatywy i strój duchownego – zatrzymany ksiądz był bowiem w cywilu. Policja przejęła również telefon prałata i zidentyfikowała połączenie do „brazylijskiego transseksualisty noszącego przezwisko Wellington”.

Cesare Burgazzi utrzymywał przez cały czas, że policjanci byli w cywilu i w nieoznakowanych pojazdach. Twierdzi, że był absolutnie przekonany, że ktoś chciał go obrabować i że nawet kilkakrotnie wybierał w telefonie numery alarmowe. Zaprzecza, jakoby kontaktował się z transseksualistą Wellingtonem i jakoby miał w samochodzie prezerwatywy. Twierdzi, że oświadczenia policjantów w kilku punktach są fałszywe i że ich rany były lżejsze, niż twierdzili (co zostanie w apelacji potwierdzone przez sąd). Burgazzi przysięga wreszcie, że uważał to za próbę napadu i po prostu usiłował uciec.

Teza o policjantach przebranych za rozbójników, albo odwrotnie, wydaje się co najmniej wytworem fantazji. Duchowny powtarzał ją jednak tak często, a policja tak długo nie potrafiła udowodnić, że wyglądało to zupełnie inaczej, że proces trwał dłużej, niż przewidywano. W pierwszej instancji Burgazzi zostaje zwolniony

ze względu na niejasności w oświadczeniach policji. Tak samo jak oskarżyciele składa jednak apelację po to, by zostać całkowicie oczyszczonym, policjanci zaś po to, by go skazać. I tak właśnie się dzieje: w procesie apelacyjnym organy sprawiedliwości przyznają rację policji i uznają prałata za winnego. On jednak wnosi skargę kasacyjną i po ośmiu latach od wydarzeń sprawa kończy się jego uniewinnieniem.

O ile wyrok sądu jest jasny, o tyle okoliczności sprawy są dość mgliste. Istnieje między innymi hipoteza, która zakłada, że Burgazzi wpadł w zasadzkę. Według tego założenia, wysuniętego przez kilka osób dobrze znających całą sytuację, ważne jest to, że Burgazzi jest człowiekiem ostrożnym i dobrze poinformowanym. W ramach pełnienia swych obowiązków w Watykanie miał podobno odkryć skandaliczne praktyki finansowe i podwójne homoseksualne życie kilku kardynałów z najbliższego otoczenia papieża Jana Pawła II, mocno podejrzane kombinacje i malwersacje Banku Watykańskiego, równoległe rachunki i siatkę prostytucji. Przezorny i – jak mówią – nieprzekupny, zapalczywy Burgazzi zrobił podobno fotokopie wszystkich dokumentów i złożył je w sejfie, do którego kod zna tylko jego adwokat. Niedługo później zdobył się ten jeden raz na odwagę i poprosił o osobiste spotkanie z najpotężniejszym z owych kardynałów, któremu miał powiedzieć o części swoich odkryć i oczekiwać wyjaśnienia. Nie znamy treści tej rozmowy, wiemy natomiast, że Burgazzi nie przekazał dokumentów prasie – co jest dowodem jego wierności Kościołowi i niechęci do wywołania skandalu.

Czy pogróżka rzucona przez Burgazziego miała jakiś związek z niesłychaną sprawą z Villa Borghese? Czy to możliwe, żeby potężny kardynał zamieszany w sprawę mógł się przestraszyć i starał się zneutralizować duchownego? Czy zastawił pułapkę na Burgazziego,

żeby go skompromitować i zmusić do milczenia przy wsparciu placówek bliskich włoskiej policji, a może nawet prawdziwych policjantów (jeden z szefów policji pozostawał w bliskich kontaktach z rzeczonym kardynałem)? Czy ktoś miał zamiar skompromitować go do tego stopnia, żeby jego ewentualne rewelacje straciły wszelką wiarygodność? Wszystkie te pytania bez wątpienia długo jeszcze pozostaną bez odpowiedzi.

Wiadomo jednak, że papież Benedykt XVI nalegał, by Burgazzi wrócił na swoje stanowisko w sekretariacie stanu. Podobno nawet spotkał się z nim podczas jednej z mszy i powiedział: „Wiem o wszystkim, proszę pracować dalej" (jest to świadectwo z pierwszej ręki, od kogoś, komu sam Burgazzi to opowiedział).

To nieoczekiwane osobiste poparcie papieża pokazuje, że afera wywołała w Watykanie pewne zamieszanie i daje to jakieś podstawy dla hipotezy o prowokacji. Można się bowiem zastanawiać nad niezbornymi zeznaniami policjantów i nad wątpliwymi dowodami, które wymiar sprawiedliwości ostatecznie odrzucił. Czy zostały sfabrykowane? W jakim celu? Dla jakiego ewentualnego zleceniodawcy? Czy to możliwe, że Cesare Burgazzi stał się ofiarą knowań zorganizowanych przez jednego z jego współbraci, aby zmusić go do milczenia albo szantażować? Wydział karny włoskiego sądu kasacyjnego, uniewinniając go ostatecznie i zaprzeczając wersji policjantów, uwiarygodnił tę hipotezę.

AFERY FINANSOWE I OBYCZAJOWE w Watykanie, często ściśle ze sobą powiązane, są więc w Sodomie kluczowe. Kardynał Raffaele Farina, jeden z najlepszych znawców owych skandali (przewodniczył na prośbę Franciszka komisji reform Banku Watykańskiego), pierwszy naprowadził mnie na ślad tych powiązań. Podczas dwóch długich rozmów, które odbyliśmy w jego mieszkaniu w Watykanie w obecności mojego włoskiego researchera Danielego, Farina mówił

o tych nieprawdopodobnych konszachtach. Kardynał oczywiście nie podał żadnych nazwisk, ale wiedzieliśmy, on i ja, do kogo robił aluzję, podkreślając, że w Watykanie uwielbienie dla chłopców idzie w parze z uwielbieniem dla złotego cielca.

Wyjaśnienia naszkicowane przez Farinę, a potwierdzone przez kilku innych kardynałów, biskupów i ekspertów watykańskich są ilustracją socjologicznych reguł Sodomy. Bardzo liczną obecność homoseksualistów w łonie kurii rzymskiej można wyjaśnić przede wszystkim faktem, że wielu z nich tkwi również w samym centrum intryg finansowych. Do tego trzeba dodać, że utrzymywanie relacji erotycznych w środowisku tak zamkniętym i kontrolowanym, otoczonym przez szwajcarskich gwardzistów, żandarmerię i ludzkie gadanie wymaga niezwykłej ostrożności. Prowadzi to do czterech rozwiązań: pierwsze to monogamia, i ci, którzy ją pielęgnują, wiodą dużo spokojniejsze życie. Za to życie homoseksualistów, którzy nie są w stałym związku, jest bardziej skomplikowane. Możliwe są dla nich trzy opcje: podróże, aby zyskać swobodę seksualną (jest to najlepsze wyjście, wybierane często przez nuncjuszy i urzędników sekretariatu stanu), odwiedzanie wyspecjalizowanych komercyjnych barów albo korzystanie z zewnętrznych usług męskich prostytutek. W każdym z tych trzech przypadków potrzebne są pieniądze, tymczasem wynagrodzenie księży oscyluje wokół 1000-1500 euro miesięcznie, często z wliczonym w to służbowym mieszkaniem i wyżywieniem, co zdecydowanie nie wystarcza na zaspokojenie wszelkich skomplikowanych pragnień. Księża i biskupi watykańscy są ubodzy, mówi się o nich, że to „nędzarze, którzy żyją jak książęta”.

Podwójne życie homoseksualisty w Watykanie pociąga więc za sobą bardzo ścisłą kontrolę własnego życia prywatnego, otaczanie go szczelną zasłoną tajemnicy, ale też potrzebę pieniędzy – stąd więc przymus kamuflażu i kłamstwa. To wyjaśnia niebezpieczne związki

między pieniędzmi i seksem, narastanie afer finansowych i intryg homoseksualnych, a także kręgów rozpusty, jakie rozrosły się za czasów Jana Pawła II w mieście, które stało się synonimem korupcji.

12.

Szwajcarscy gwardziści

NATHANAËL musiał się w Watykanie zmierzyć z dwoma problemami: z dziewczętami i z homoseksualistami, z niedostępnością tych pierwszych i wszechobecnością drugich.

Tego gwardzistę spotkałem w Watykanie przez przypadek. Byłem trochę zagubiony w labiryncie schodów i to on wskazał mi prawidłowy kierunek. Nie był nieśmiały, zaczęliśmy rozmawiać.

Najpierw myślałem, że Nathanaël to jeden z pracowników kontraktowych wzywanych do Watykanu, gdy zachodzi potrzeba naprawy czegoś. Niebieski kombinezon roboczy, który nosił tego dnia, nadał mu wygląd zwykłego włoskiego robotnika. Dlatego też zdziwiłem się bardzo, widząc go kilka dni później w uniformie zwanym galowym: czerwonym, żółtym i niebieskim. Nathanaël był gwardzistą szwajcarskim! Gwardzista szwajcarski ze skrzynką na narzędzia!

Natknąłem się na Nathanaëla jakiś czas później, gdy byłem kolejny raz w Rzymie. Wtedy grzecznie, ale stanowczo odmówił spotkania. Dowiedziałem się potem, że chodziło o przepisy narzucone gwardzistom. Z powodów, które tutaj przemilczę, zgodził się jednak ze mną porozmawiać i spotykaliśmy się w kawiarni Makasar znajdującej się kilka minut drogi pieszo od koszar gwardii szwajcarskiej. Jej położenie z dala od miejsc uczęszczanych przez duchownych i przez turystów gwarantowało dyskrecję, czyli to, na czym nam obu zależało.

Wysoki, z pociągłą twarzą, atrakcyjny, Nathanaël jest

zdecydowanie bardzo otwarty. Już na pierwszym spotkaniu powiedział mi, jak ma na imię (tutaj zmienione), i podał numer telefonu. Jego nazwisko poznałem później, i to przez przypadek, kiedy wstukiwałem jego dane do smartfona. Numer komórki od razu sparował się z jego profilem w Google+. Nathanaëla nie ma jednak ani na Instagramie, ani na Facebooku, nie ma jego zdjęć w wyszukiwarce obrazów Google – wszystko zgodnie z bardzo dokładnymi zaleceniami Watykanu, który narzuca gwardii szwajcarskiej skrajną dyskrecję.

– Żadnego selfie, żadnych profilów na portalach społecznościowych – potwierdza Nathanaël. Od kiedy został gwardzistą, udało mu się spać „tylko z dziesięcioma dziewczynami” – mówi. Zresztą wszystkie dotyczące go zasady są surowe.

– Trzeba być w koszarach przed północą i absolutnie nie można spędzić nocy poza nimi. Nie wolno nam również mieć dziewczyny, małżeństwa mogą zawierać tylko oficerowie wyższych stopni. Mamy absolutny zakaz przyprowadzania dziewcząt do koszar. Odradza się nam też spotykanie się z nimi w mieście i nawet w związku z tym popiera czasem donosicielstwo.

Ta pruderyjna obsesja starych tetryków z Watykanu irytuje Nathanaëla, który uważa, że sprawy najważniejsze, dotyczące suwerennych funkcji gwardii nie są brane pod uwagę. Na przykład bezpieczeństwo papieża pozostawia – jego zdaniem – wiele do życzenia. Opowiadam mu, że często wchodziłem do Watykanu przez bramę zwaną Arco delle Campane – najbardziej niezwykłą ze wszystkich, pod zegarem, po lewej od bazyliki Świętego Piotra – nie musząc pokazywać żadnego dowodu tożsamości ani bagażu do przeszukania, bo przychodził po mnie jakiś kardynał albo zwykły ksiądz, który mieszka po drugiej stronie. Powiedziałem mu nawet, że kiedy pomieszkiwałem w Watykanie, miałem własny klucz

pozwalający na wejście bez żadnej kontroli. Gwardzista był zdumiony moją opowieścią.

Podczas bodaj dwunastu poufnych spotkań w kawiarni Makasar Nathanaël wyjawia, co naprawdę denerwuje go w Watykanie: ciągłe podrywanie – czasami agresywne – przez niektórych kardynałów.

– Jeśli którykolwiek z nich mnie dotknie, dostanie w mordę, a ja składam dymisję – oświadcza, nie przebierając w słowach.

Nathanaël nie jest gejem ani nawet nie jest przyjazny gejom; opowiada mi o swoim buncie spowodowanym próbami podrywu ze strony wielu kardynałów i biskupów (podaje mi nazwiska). Jest w szoku po tym, co odkrył w Watykanie: podwójne życie, podryw, a nawet nękanie.

– Zraziło mnie bardzo to, co zobaczyłem. Wciąż nie mogę dojść do siebie. I pomyśleć, że przysięgałem „poświęcić życie" dla papieża, gdyby była taka potrzeba!

Ale czyż robak nie siedział w tym zepsutym owocu od samego początku? Gwardia szwajcarska została utworzona przez papieża Juliusza II w 1506 roku, a jego biseksualność została dobrze poświadczona. Co zaś do munduru najmniejszej armii świata, to renesansowy kubrak, tęczowy sztandar i dwurożny morion halabardzisty ozdobiony czaplimi piórami miał zostać według legendy zaprojektowany przez Michała Anioła.

Pewien podpułkownik karabinierów w Rzymie potwierdza mi, że szwajcarscy gwardziści zobowiązani są do ścisłego przestrzegania tajemnicy zawodowej:

– Nieprawdopodobna zmowa milczenia. Uczy się ich kłamać dla papieża, dla racji stanu. Liczne są przypadki nękania albo molestowania seksualnego, ale zostają wyciszone, i to zawsze gwardzista jest uznawany za pośrednio winnego tego, co się zdarzyło. Daje się im dobitnie do zrozumienia, że jeśli zaczną mówić,

nie będą mogli znaleźć pracy. Jeśli natomiast zachowają się poprawnie, pomaga się im w ponownym zatrudnieniu, kiedy już wrócą do cywila w Szwajcarii. Ich przyszła kariera zależy od ich milczenia.

W TRAKCIE MOJEGO ŚLEDZTWA rozmawiałem z jedenastoma gwardzistami. Oprócz Nathanaëla, z którym spotykałem się w Rzymie regularnie, większość moich kontaktów została nawiązana podczas wojskowej pielgrzymki do Lourdes albo w Szwajcarii. Z byłymi gwardzistami spotykałem się podczas więcej niż dziesięciu pobytów w Zurychu, Bazylei, Saint Gall, Lucernie, Genewie i Lozannie. Każdy z nich to źródło godne zaufania, na potrzeby tej książki dostarczające informacji z pierwszej ręki o obyczajach kurii i o podwójnym życiu wielu kardynałów, którzy oczywiście z nimi flirtowali.

W piwiarni Versailles poznałem Alexisa (jego imię zostało zmienione). Co roku z okazji wielkiej pielgrzymki tysiące policjantów, żandarmów i żołnierzy sił zbrojnych z całego świata, praktykujących katolików, spotyka się w Lourdes, francuskim mieście w Pirenejach. Tradycyjnie uczestniczy w pielgrzymce grupa gwardzistów szwajcarskich, a Alexis był z nimi w roku, kiedy ja się tam wybrałem.

– Wreszcie przybyła gwardia szwajcarska – woła głośno Thierry, właściciel piwiarni, zachwycony wejściem barwnie ubranych żołnierzy przyciągających klientów i przyczyniających się do wzrostu obrotów.

Pielgrzymka wojskowych do Lourdes to festiwal mundurów – khaki i bardziej kolorowych. Przybyli wojskowi reprezentują dziesiątki krajów, występują w najróżniejszych strojach; widać więc kapelusze z kolorowymi piórami, błyszczące, naostrzone szable, pompony, mężczyzn w kiltach i najrozmaitsze orkiestry. Są tu żarliwe modlitwy i zapamiętałe picie, szczególnie na Vieux Pont. Widzę tam

setki zalanych katolickich żołnierzy, którzy śpiewają, tańczą i podrywają. Kobiet jest niewiele, homoseksualiści się nie ujawniają. To prawdziwa popijawa dla ochrzczonych!

W tym wielkim pijaństwie gwardziści szwajcarscy są jednak atrakcją pierwszoplanową, tak jak uprzedzał mnie podpułkownik karabinierów, który ułatwił mi starania o uczestniczenie w pielgrzymce do Lourdes.

– Zobaczy pan – powiedział mi – z dala od Rzymu gwardziści pozwalają sobie na trochę więcej. Presja jest słabsza niż w Watykanie, oficerowie trochę odpuszczają kontrolę, alkohol ułatwia kontakty. Zaczynają mówić!

I rzeczywiście, Alexis przestał na chwilę trzymać gardę.

– W Lourdes nie nosimy cały czas munduru galowego – mówi mi młody człowiek, który właśnie wszedł do Brasserie Versailles. – Wczoraj wieczorem byliśmy w cywilu, tylko pod krawatem. Popsułoby to wizerunek, gdyby ktoś w czerwono-żółto-niebieskim uniformie był trochę podchmielony!

Alexis nie jest bardziej przyjazny gejom niż Nathanaël. Stanowczo zaprzecza stereotypowi, według którego w papieskiej gwardii szwajcarskiej miałby służyć duży odsetek homoseksualistów. Podejrzewa, że czterech czy pięciu jego kolegów „prawdopodobnie może być gejami", i oczywiście zna pogłoski o homoseksualności jednej z osób odpowiedzialnych za gwardię szwajcarską za czasów papieża Pawła VI. Człowiek ten mieszka dziś ze swym partnerem na przedmieściach Rzymu. Alexis wie również, podobnie jak inni, że kilku kardynałów i biskupów było na językach wszystkich, bo jako partnerów mieli kogoś z gwardii. I oczywiście zna historię potrójnego morderstwa w 1998 roku w obrębie Watykanu, kiedy to młody kapral gwardii Cédric Tornay miał „w chwili szaleństwa" zamordować swojego dowódcę i jego żonę.

– To jest wersja oficjalna, ale nikt spośród gwardzistów w nią nie wierzy – mówi mi Alexis. – Samobójstwo Cédrica upozorowano! On został zamordowany, tak jak jego dowódca i żona dowódcy, a potem zainscenizowano makabryczną scenę skłaniającą do uwierzenia w tezę o samobójstwie po podwójnym morderstwie (nie będę już tu wracał do tej dramatycznej sprawy, na jej temat wylano morze atramentu i krążą o niej najbardziej fantastyczne hipotezy. W związku z tematem tej książki wystarczy przypomnieć jedną z nich, rozpowszechnianą, choć niekoniecznie przekonującą – chyba że związek dowódcy i podwładnego, rzeczywisty lub hipotetyczny, mógł zostać wykorzystany do zamaskowania innego motywu zbrodni. W każdym razie zagadka wciąż pozostaje nierozwiązana i gdyby papież Franciszek pragnął sprawiedliwego zakończenia tej sprawy, nakazałby ponowne przestudiowanie całego dossier).

Tak jak Nathanaëla Alexisa uwodziły dziesiątki kardynałów i biskupów, co doprowadziło go do zamiaru dymisji z gwardii.

– Nękanie jest tak uporczywe, że myślałem o natychmiastowym powrocie do domu. Wielu z nas jest zirytowanych tymi na ogół niezbyt dyskretnymi zabiegami kardynałów i biskupów.

Alexis opowiada mi, że pewien kardynał regularnie wzywał jednego z kolegów w środku nocy, mówiąc, że potrzebuje go w swoim pokoju. Prasa ujawniała podobne incydenty: od zwykłych, niewielkich podarunków pozostawianych wraz z wizytówką na łóżku któregoś z gwardzistów aż do bardziej konkretnych prób zbliżenia, które można już zakwalifikować jako nękanie albo napaść na tle seksualnym.

– Długo to trwało, zanim zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w Watykanie otoczeni wielkimi frustratami, którzy traktują gwardzistów jak świeży towar. Narzucają nam celibat i zakazują małżeństwa, bo chcą nas zachować dla siebie. Tak właśnie jest. Są

nieprawdopodobnymi, perwersyjnymi mizoginami. Chcieliby najbardziej, żebyśmy byli jak oni: ukrytymi gejami!

Według Alexisa, Nathanaëla i co najmniej jeszcze trzech innych gwardzistów, z którymi rozmawiałem, wewnętrzne zasady dotyczące homoseksualności są dość szczegółowe, choć podczas szkolenia nie mówi się o nich wprost. Gwardzistów zachęca się, by dawali dowody „niezwykłej pomocności" wobec kardynałów, biskupów i „wszystkich duchownych". Od tych, których uważa się za zwykłych szeregowców, wymaga się, aby byli usłużni w najwyższym stopniu. Nigdy nie mogą krytykować eminencji lub ekscelencji ani odmawiać im czegokolwiek. Przecież kardynał to apostoł Chrystusa na ziemi!

Mimo wszystko ta uprzejmość musi mieć granice zgodne z niepisaną zasadą gwardii. Jeśli jakiś kardynał daje swój numer telefonu młodemu żołnierzowi albo zaprasza go na kawę, gwardzista powinien grzecznie podziękować i powiedzieć, że nie ma czasu. Jeśli kardynał nalega, powinien za każdym razem otrzymywać taką samą odpowiedź, a jeśli pod wpływem zastraszenia gwardzista zgodził się na spotkanie, powinien je anulować pod jakimkolwiek pretekstem służbowym. W razie zaistnienia przypadku oczywistego nękania, gwardziści powinni powiedzieć o tym swoim przełożonym, ale w żadnym przypadku nie odpowiadać, nie krytykować ani nie donosić na duchownych. Sprawy takie niemal zawsze pozostają bez ciągu dalszego.

Alexis, tak jak inni gwardziści, potwierdza, że w Watykanie jest bardzo dużo homoseksualistów. Używa mocnych słów: „dominacja", „wszechobecność", „supremacja". Tak wysoki odsetek gejów głęboko wstrząsnął większością gwardzistów, z którymi rozmawiałem. Nathanaël twierdzi, że kiedy tylko zakończy służbę i będzie oficjalnie „wolny", nigdy więcej jego noga tu nie postanie – „chyba że na wycieczce z żoną". Inny gwardzista, z którym rozmawiałem

w Bazylei, potwierdza, że na temat homoseksualizmu kardynałów i innych hierarchów rozmawia się w koszarach chyba najczęściej, a zasłyszane od kolegów historie wzbogaca jeszcze tymi, których się było bezpośrednim świadkiem.

Z Alexisem, tak samo jak z Nathanaëlem i innymi gwardzistami, rozmawiamy o konkretnych nazwiskach, a lista kardynałów i arcybiskupów, którzy się do nich umizgiwali, zyskuje kolejne potwierdzenia i staje się tak długa jak cappa magna kardynała Burke'a. Świadectwa gwardzistów zaskakują mnie, bo chociaż jestem dobrze zorientowany, liczba przytoczonych nazwisk jest jeszcze większa, niż przypuszczałem.

Dlaczego zgodzili się rozmawiać ze mną tak swobodnie, że aż sami dziwią się własnej odwadze? Nie z zazdrości ani z pychy, jak wielu kardynałów i biskupów; nie żeby pomóc sprawie, jak większość moich gejowskich kontaktów w obrębie Watykanu. Robili to z powodu własnego rozczarowania, jak ludzie, którzy stracili złudzenia.

Alexis powierza mi teraz inny sekret. O ile podoficerowie, którzy – jak już wspominałem – mogą zawierać związki małżeńskie, rzadko są homoseksualistami, o tyle inaczej jest ze spowiednikami, kapelanami i księżmi w otoczeniu gwardzistów.

– Zaleca się nam, żebyśmy chodzili do przeznaczonej dla nas kaplicy i spowiadali się przynajmniej raz na tydzień. A ja nigdzie indziej nie widziałem tylu homoseksualistów, co wśród kapelanów gwardii szwajcarskiej – ujawnia Alexis.

Podaje mi nazwiska dwóch kapelanów i spowiedników, jego zdaniem homoseksualistów (informacje te potwierdza inny gwardzista z niemieckojęzycznej części Szwajcarii i pewien ksiądz z kurii). Poznaję również nazwisko jednego z wojskowych kapelanów, zmarłego na AIDS (szwajcarski dziennikarz Michael

Meier ujawnił ten fakt w artykule w „Tages-Anzeiger” i upublicznił nazwisko).

W TRAKCIE WIELU MOICH POBYTÓW w Szwajcarii, dokąd jeżdżę co miesiąc od kilku lat, spotkałem się z wieloma adwokatami i działaczami zajmującymi się sprawami dyskryminacyjnymi w kilku stowarzyszeniach broniących praw człowieka (na przykład SOS Rassismus und Diskriminierung Schweiz). Sygnalizowali mi przypadki dyskryminacji, które dotyczą członków gwardii szwajcarskiej, poczynając od procesu rekrutacji, a kończąc na kodeksie zachowań w obrębie Watykanu.

Na przykład według jednego ze szwajcarskich adwokatów statut stowarzyszenia rekrutującego przyszłych gwardzistów w szwajcarskich kantonach jest niejasny: czy jest to struktura oparta na prawie szwajcarskim, włoskim czy może na prawie kanonicznym stolicy apostolskiej? Watykan wykorzystuje tę dwuznaczność, aby móc wybierać najkorzystniejsze dla siebie rozwiązania. Otóż, skoro proces rekrutacji obywateli szwajcarskich ma miejsce w Szwajcarii, powinien być zgodny z tamtejszym prawem pracy, co stosuje się również do obcych przedsiębiorstw działających w tym kraju. Zasady rekrutacji do gwardii są jednak dyskryminujące: kobiety są wykluczone (choć mogą wstępować do armii szwajcarskiej); młody człowiek żonaty albo pozostający w związku nie może aplikować, przyjmowani są jedynie kawalerowie; reputacja kandydata musi być „nienaganna”, musi on też cechować się „dobrymi obyczajami” (które to sformułowanie ma w domyśle wykluczać gejów, a także osoby transseksualne). Również migranci, tak przecież drodzy papieżowi Franciszkowi, są z rekrutacji wykluczeni. No i wreszcie jest bardzo mało albo wręcz nie ma wśród gwardzistów osób niepełnosprawnych ani kolorowych, czarnoskórych czy pochodzenia azjatyckiego, co pozwala przypuszczać, że ich kandydatury nie są

rozpatrywane.

Zdaniem adwokatów, z którymi rozmawiałem, już sam zakaz aplikowania, jeśli pozostaje się w związku, to w Szwajcarii dyskryminacja, nie mówiąc o tym, że jest on sprzeczny z zasadami Kościoła, który podobno ma zachęcać do małżeństw i zakazywać wszelkich pozamałżeńskich kontaktów seksualnych.

Wykorzystałem pośrednictwo owego adwokata, żeby po niemiecku zadać pytanie dowódcom gwardzistów o te sądowe anomalie. Ich odpowiedzi są znaczące. Odrzucają zarzut dyskryminacji, ponieważ mamy do czynienia ze strukturą wojskową, która musi uwzględniać pewne reguły (zasady antydyskryminacyjne są sprzeczne nawet ze swoistym kodeksem armii szwajcarskiej opisującym tak szczegółowe kwestie jak wiek i warunki fizyczne rekrutów). Jeśli chodzi o homoseksualność, to dali nam do zrozumienia na piśmie, że „bycie gejem nie jest problemem podczas rekrutacji, pod warunkiem że nie jest się gejem »zbyt jawnym«, zbyt widocznym i zbyt kobiecym”. A jednak zasady głoszone podczas szkolenia gwardzistów i ich kodeks postępowania („Regolamento della Guardia Svizzera Pontificia”, który zdobyłem, a którego ostatnie wydanie z przedmową kardynała Sodana pochodzi z 2006 roku), zawiera również pewne nieprawidłowości dotyczące dyskryminacji, prawa pracy i milczenia w razie nękania bądź molestowania seksualnego.

Są to anomalie nie tylko prawne, zawierające sformułowania sprzeczne z prawem szwajcarskim, włoskim lub europejskim, ale także moralne i teologiczne, mówiące wiele o osobliwościach tego państwa zdecydowanie odbiegającego od dzisiejszych norm.

13.

Krucjata przeciwko gejom

W TYM SAMYM CZASIE, kiedy papież Jan Paweł II chroni Marciala Maciela, a część jego otoczenia podrywa żołnierzy gwardii szwajcarskiej i oddaje się rozpuście, Watykan zaczyna swą wielką bitwę z homoseksualistami.

Nie ma w tej wojnie niczego nowego. Antysodomicki fanatyzm istnieje od średniowiecza, co nie zahamowało podejrzeń o homoseksualne skłonności wobec wielu papieży; nawet Piusa XII i Jana XXIII. Regułą jest więc daleko posunięta tolerancja wewnętrzna w połączeniu z ostrą krytyką na zewnątrz. Kościół był zawsze bardziej homofobiczny w swych wypowiedziach niż w praktykach swego kleru.

Tymczasem ten publiczny dyskurs katolicyzmu usztywnia się jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych. Kościół został zaskoczony przez rewolucję obyczajową, której ani nie przewidział, ani nie rozumiał. Paweł VI, który wcześniej nie wypowiadał się konkretnie na ten temat, zareagował w 1975 roku słynną deklaracją *Persona humana* wpisującą się w dynamikę encykliki *Humanae vitae*: celibat księży jest tu potwierdzany, czystość wychwalana, przedmałżeńskie stosunki płciowe zakazane, a homoseksualizm kategorycznie odrzucony.

Pontyfikat Jana Pawła II (1978-2005) w dużej mierze jest kontynuacją tego programu doktrynalnego. Zaostrza się jednak język papieskich wypowiedzi, staje się on coraz bardziej homofobiczny, a otoczenie Jana Pawła II angażuje się w nową krucjatę przeciwko

gejom (dowodzą tą krucjatą Angelo Sodano, Stanisław Dziwisz, Joseph Ratzinger, Leonardo Sandri, Alfonso López Trujillo).

Rok po wyborze papież wpływa na usztywnienie debaty. W przemówieniu z 5 października 1979 roku w Chicago do wszystkich biskupów amerykańskich zachęca ich do potępienia postępków „przeciw naturze": „Jako pasterze pełni współczucia rację mieliście, mówiąc: »Aktywność homoseksualna, w odróżnieniu od skłonności homoseksualnej, jest moralnie zła«. Dzięki klarowności tej prawdy daliście dowód tego, czym jest prawdziwa miłość Chrystusa; nie zdradziliście tych, którzy z powodu homoseksualizmu stają wobec trudnych moralnie problemów, co stałoby się, gdybyście w imię zrozumienia, litości albo jakiejkolwiek innej przyczyny dali fałszywe nadzieje naszym braciom i naszym siostrom" (trzeba zwrócić uwagę na sformułowanie „albo jakiejkolwiek innej przyczyny", co mogłoby stanowić aluzję do dobrze znanych obyczajów amerykańskiego kleru).

Dlaczego Jan Paweł II postanawia zaprezentować się – i to tak szybko – jako jeden z najbardziej homofobicznych papieży w historii Kościoła? Zdaniem mieszkającego w Rzymie amerykańskiego watykanisty Roberta Carla Mickensa kluczową rolę mogły tu odgrywać dwa czynniki:

– Jest to papież, który nigdy nie zaznał demokracji, decydował więc o wszystkim sam, wykorzystując swą genialną intuicję i archaiczne uprzedzenia polskiego katolika, w tym te dotyczące homoseksualizmu. No i jego modus operandi, linia postępowania, podczas całego pontyfikatu jest jednolite: on myśli, że Kościół podzielony to Kościół słaby. Aby bronić tej jedności, narzucił absolutną niezmienność, a reszty dokonała teoria o nieomylności papieża.

O słabości kultury demokratycznej Jana Pawła II mówili czasem

zarówno w Krakowie, jak i w Rzymie ci, którzy go znali; mówili też o jego mizoginii i homofobii. Tymczasem papież toleruje bez uwag wszechobecność homoseksualistów w swoim otoczeniu. Jest ich tak wielu, czynnych, wśród jego ministrów i sekretarzy, że nie może nie wiedzieć o ich stylu życia. Dlaczego więc utrzymuje tę schizofrenię? Czemu pozwala na umacnianie się takiego systemu hipokryzji? Skąd to publiczne nieprzejednanie i prywatna tolerancja? Dlaczego? Dlaczego?

Krucjata, z jaką Jan Paweł II wyruszy przeciwko gejom, przeciwko prezerwatywom i niedługo potem przeciwko związkom partnerskim, wpisuje się więc w nowy kontekst. Zatem żeby ją opisać, trzeba wniknąć do wnętrza watykańskiej machiny, bo tylko to pozwoli zrozumieć jej gwałtowność, jej głębokie pobudki psychologiczne – nienawiść do siebie będącą potężnym, utajonym motorem działania – i wreszcie jej porażkę. Bo jest to wojna, którą Jan Paweł II przegra.

Opowiem ją na podstawie doświadczeń byłego księdza Krzysztofa Charamsy, małego trybika w machinie propagandy, który swoim coming outem odsłonił nam ciemną stronę tej historii. Potem zainteresuję się pewnym kardynałem z kurii, Alfonso Lópezem Trujillem, który był jedną z najważniejszych figur w tej dziwnej grze, a którego trasę w Kolumbii, w Ameryce Łacińskiej, a potem we Włoszech prześledziłem bardzo dokładnie.

NAZWISKO KRZYSZTOFA CHARAMSY zobaczyłem po raz pierwszy w e-mailu od niego. Skontaktował się ze mną, kiedy pracował jeszcze dla Kongregacji Nauki Wiary. Polskiemu księdzu spodobała się – jak mi napisał – moja książka *Global gay* i prosił mnie o pomoc w nagłośnieniu swojego przygotowywanego właśnie coming outu. Prosił przy tym o zachowanie tajemnicy. Nie wiedziałem wtedy, czy chodzi o wpływowego duchownego, jak się przedstawiał, czy o szarlatana. Poprosiłem więc mojego włoskiego

przyjaciela, Pasquale Quarantę, dziennikarza w „La Repubblica”, żeby sprawdził jego biografię.

Kiedy tożsamość Charamsy została potwierdzona, wymieniłem z nim kilka e-maili, zaproponowałem mu nazwiska kilku dziennikarzy i w październiku 2015 roku, tuż przed synodem poświęconym rodzinie, coming out Krzysztofa Charamsy został szeroko upubliczniony i znalazł się w nagłówkach gazet wielu krajów świata.

Spotkałem Krzysztofa Charamsę kilka miesięcy później w Barcelonie, dokąd wyjechał po zdymisjonowaniu w Watykanie. Został aktywistą queer i bojownikiem o niepodległość Katalonii. Zrobił na mnie dość dobre wrażenie. Jedliśmy kolację we trzech, razem z Eduardem, jego chłopakiem, i czułem i w nim, i w spojrzeniu, jakim obdarzał go Eduard, pewną dumę. Trochę tak, jak gdyby Krzysztof przeprowadził całkiem sam swoją małą rewolucję, taką One-Man Stonewall.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co on zrobił? Z jego odwagi? Wszystko to mógł zrobić z miłości. Z miłości do mężczyzny, którego kocha – powiedział do mnie Pasquale Quaranta.

W następnym roku spotkaliśmy się w Paryżu i w czasie tych spotkań Charamsa opowiedział mi swoją historię, którą potem miał przedstawić w książce[54]. W tym, co mówił i pisał, były ksiądz zawsze zachowywał pewną rezerwę, być może z pewnej obawy, a może celowo nie pokazując całej prawdy. Gdyby jednak kiedyś naprawdę zabrał głos, jego świadectwo miałoby kapitalne znaczenie, bo Charamsa tkwił w samym sercu homofobicznej wojennej machiny Watykanu.

Kongregacja Nauki Wiary długo była nazywana świętym oficjum jako kontynuacja niesławnej pamięci inkwizycji i jej osławionego „Indeksu ksiąg zakazanych”. To watykańskie „ministerstwo” dziś

kontynuuje – jak wskazuje jego nazwa – ustalanie doktryny i określanie granic dobra i zła. Za czasów Jana Pawła II tą strategiczną Kongregacją, drugą w kolejności protokolarnej po sekretariacie stanu, kierował kardynał Joseph Ratzinger. To on opracowywał i ogłosił przeważającą część tekstów przeciwko homoseksualizmowi i on badał większość dokumentów dotyczących wykorzystywania seksualnego w Kościele.

Krzysztof Charamsa pracował tam jako doradca i drugi sekretarz Międzynarodowej Komisji Teologicznej. Uzupełniam jego opowieść relacjami czterech innych świadków z Watykanu: innego doradcy, członka komisji, eksperta i kardynała, członka rady tej Kongregacji. Poza tym ja sam, dzięki uprzejmości kilku duchownych, miałem możliwość spędzenia wielu nocy w watykańskich apartamentach w pobliżu placu Świętej Marty, kilka metrów od pałacu świętego oficjum, gdzie regularnie widywałem urzędników tej współczesnej inkwizycji.

Kongregacja Nauki Wiary skupia około czterdziestu etatowych pracowników, zwanych „ufficiali", „scrittori" albo „ordinanze", na ogół bardzo ortodoksyjnych księży, wiernych i godnych zaufania (Charamsa mówi o nich jako „funkcjonariuszach inkwizycji"). W większości świetnie wykształceni, często z tytułami z teologii, prawa kanonicznego albo filozofii. Wspomaga ich około trzydziestu zewnętrznych doradców. W założeniu każdy „punkt doktryny" jest badany przez urzędników, omawiany przez ekspertów i doradców, a potem przekazywany radzie kardynałów, która go zatwierdza. To pozornie horyzontalne podejście, baza do dyskusji, faktycznie skrywa wertykalizację: tylko jeden człowiek upoważniony jest do interpretowana tekstów i do „wskazywania" prawdy. Bo prefekt Kongregacji (Joseph Ratzinger za Jana Pawła II, William Levada, a potem Gerhard Ludwig Müller za Benedykta XVI – obaj

podporządkowani Ratzingerowi) ma decydujący głos w sprawie każdego dokumentu: proponuje jego brzmienie, ulepsza i zatwierdza, a potem przedstawia papieżowi podczas poufnych rozmów. Ostatnie słowo ma ojciec święty. Jest to jasne – i oczywiste od czasów Nietzschego – że moralność jest zawsze narzędziem dominacji. Jest to również obszar sprzyjający hipokryzji. Pośród dwudziestu kardynałów, których nazwiska figurują w schemacie organizacyjnym Kongregacji Nauki Wiary, jest prawdopodobnie około tuzina praktykujących homoseksualistów. Pięciu co najmniej żyje ze swoimi boyfriendami. Trzech regularnie korzysta z usług męskich prostytutek. (Arcybiskup Viganò w swoim *Świadectwie* krytykuje lub outuje siedmiu spośród nich).

Kongregacja jest więc interesującym przypadkiem klinicznym i samym ośrodkiem watykańskiej hipokryzji. Sam Charamsa pisze, że duchowni z Kongregacji, sami będąc w dużej części homoseksualni, narzucają nienawiść do homoseksualistów – a więc nienawiść do samych siebie – w akcie desperackiego masochizmu.

Zdaniem Krzysztofa Charamsy, a także innych świadków z Watykanu, problem homoseksualizmu staje się za rządów Ratzingera prawdziwie chorobliwą obsesją. Wciąż czyta się i powtarza te kilka linijek ze Starego Testamentu poświęconych Sodomie; ponownie interpretuje się związek Dawida i Jonatana, tak samo jak zdanie Pawła w Nowym Testamencie, w którym mówi o cierpieniu spowodowanym przez „cierń w ciele" (Paweł miał podobno w ten sposób sugerować swoją homoseksualność). I nagle, kiedy dopada trwoga z powodu tego wyizolowania, kiedy przychodzi zrozumienie, że katolicyzm pustoszy i rujnuje życie, że nie ma ucieczki, być może zaczyna się w skrytości płakać.

Ci homofobiczni erudyci z Kongregacji Nauki Wiary mają swój własny kod SWAG – Secretely We Are Gay. Kiedy owi księża

rozmawiają między sobą w niezwykłym żargonie apostoła Jana, „ucznia, którego Jezus miłuje”, tego Jana „kochanego bardziej niż innych”, tego, na którego „Jezus, spojrzawszy [...], umiłował go”, doskonale wiedzą, co chcą powiedzieć; a kiedy przywołują uzdrowienie przez Jezusa młodego sługi setnika, „szczególnie przez niego cenionego” według dobrze udokumentowanych aluzji do Ewangelii według św. Łukasza, w ich oczach znaczenie tych wypowiedzi nie pozostawia wątpliwości. Wiedzą, że należą do narodu przeklętego – i do narodu wybranego.

Podczas naszych spotkań w Barcelonie i w Paryżu Charamsa opisał mi dokładnie ten tajemny świat, to kłamstwo tak zakorzenione w sercach, hipokryzję wyniesioną do rangi zasady, język demagogii, pranie mózgu. A mówił mi to wszystko w tonie spowiedzi, jak gdyby rozwiązywał intrygę *Imienia róży*, gdzie mnisi umizgują się do siebie, świadczą sobie wzajemnie wszelkie względy aż do dnia, kiedy młody mnich, owładnięty wyrzutami sumienia, rzuca się z wieży.

Mówił że, czytał i pracował cały czas. Nie robił nic innego. Był dobrym teologiem. Dlatego właśnie szefowie Kongregacji byli tak zaskoczeni jego coming outem. Oczekiwali tego od wszystkich, tylko nie od Charamsy.

Ortodoksyjny Charamsa długo był bezdyskusyjnie posłuszny rozkazom. Przyczynił się nawet do napisania niezwykle ostrych tekstów przeciwko „obiektywnie nieumiarkowanemu” homoseksualizmowi. Za czasów Jana Pawła II i kardynała Ratzingera pojawia się takich tekstów cała masa. Homofobia panoszy się do znudzenia w dziesiątkach deklaracji, listów, instrukcji, rozważań, obserwacji, homilii i encyklik do tego stopnia, że trudno byłoby stworzyć tutaj listę tych dokumentów. Watykan stara się nie dopuszczać do tego, żeby homoseksualiści wstępowali do seminariów

(nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób ogranicza sobie liczbę powołań), legitymizuje ich wykluczenie z wojska (i to w tym samym czasie, gdy Stany Zjednoczone decydują się zawiesić politykę „Don't ask, don't tell"); nosi się z zamiarem teologicznego uzasadnienia dyskryminacji, jakiej mogą w swojej pracy doznawać homoseksualiści – i oczywiście potępia związki i małżeństwa jednopłciowe.

Ósmego lipca 2000 roku odbywa się w Rzymie World Gay Pride, a już nazajutrz, podczas tradycyjnej modlitwy Anioł Pański, Jan Paweł II zabiera głos, oskarżając „wiadome manifestacje" i dając wyraz swojemu „rozgoryczeniu z powodu afrontu wobec wielkiego jubileuszu roku 2000". Wiernych na placu jest jednak stosunkowo niewielu w porównaniu z 200 tysiącami osób przyjaznych gejom uczestniczących w paradzie na ulicach Rzymu.

„Kościół zawsze określi to, co jest dobre, i to, co jest złe. Nikt nie może odeń wymagać, aby uznał za słuszne to, co według prawa naturalnego i prawa ewangelicznego jest niesłuszne" – stwierdza przy okazji tej parady gejów kardynał Angelo Sodano, który robił wszystko, żeby zakazać manifestacji LGBT. Trzeba również odnotować ataki kardynała Jeana-Louisa Taurana, który potępia tę manifestację „w trakcie roku świętego", i biskupa pomocniczego Rzymu Rino Fisichelli, którego dewiza biskupia brzmi: „Wybrałem drogę prawdy", a który nie znajduje wystarczająco ostrych słów, by skrytykować World Gay Pride! Zresztą w Watykanie powtarzano sobie dowcip wyjaśniający te trzy tak wojownicze postawy: kardynałowie byli wściekli na tę paradę, bo organizatorzy nie zgodzili się na rydwan dla nich.

Krzysztof Charamsa jest dziś atakowany i przez kurię, i przez włoskich działaczy gejowskich – za zbyt głośny coming out i za to, że nastąpił on zbyt późno. Po błyskawicznym przejściu

od uwewnętrznionej homofobii do roli drama queen prałat przeszkadza. W Kongregacji Nauki Wiary dano mi do zrozumienia, że jego dymisja miałaby być powiązana z faktem, iż nie otrzymał spodziewanego awansu. Jego homoseksualność została podobno wykryta – jak dowiaduję się z oficjalnego źródła – ponieważ od kilku lat mieszkał ze swoim partnerem. Pewien prałat z kurii, dobry znawca tej sprawy i sam homoseksualista, precyzuje:

– Charamsa był w samym sercu watykańskiej homofobicznej machiny. Prowadził podwójne życie: publicznie atakował gejów, a prywatnie żył ze swoim kochankiem. Od dawna przystosował się do tego systemu i nagle potępił go, w przeddzień synodu, stawiając liberalne skrzydło kurii w trudnym położeniu. Bardzo problematyczne jest to, że mógł przecież, tak jak ja i inni, stanąć po stronie postępowców, takich jak kardynałowie Walter Kasper albo bardzo progejowski Christoph Schönborn. Zamiast tego atakował ich przez lata. Dla mnie Charamsa to postać tajemnicza. (Te ostre słowa, typowe dla kontrkampanii prowadzonej przez Watykan, w niczym nie są sprzeczne z opowieścią Krzysztofa Charamsy, który przyznał, że „marzył, żeby zostać inkwizytorem" i uczestniczyć w prawdziwej „służbie").

Z drugiej strony – Charamsy wcale nie broniła włoska społeczność gejowska, krytykująca jego *pinkwashing*, co potwierdza inny aktywista:

– Jego wywiady i jego książka nie przyniosły żadnego wyjaśnienia. Mówił tam tylko o sobie, cały czas o sobie. To wyznanie nie ma żadnego znaczenia: coming out w 2015 roku to o pięćdziesiąt lat za późno! To, co nas by interesowało, to to, żeby opisał system od środka, żeby napisał wszystko, jak Sołżenicyn.

Bez wątpienia to surowa opinia, nawet jeśli Charamsa z pewnością nie był Sołżenicynem gejowskiego Watykanu, czego niektórzy mogli

się po nim spodziewać.

KRUCJATĘ PRZECIWKO GEJOM prowadzi za czasów Jana Pawła II przede wszystkim duchowny znacznie bardziej wpływowy niż ksiądz Charamsa. Jest kardynałem, jednym z najbliższych Jana Pawła II. Nazywa się Alfonso López Trujillo. Pełni funkcję przewodniczącego Papieskiej Rady do spraw Rodziny.

Zaczynamy teraz rozdział mówiący o jednej z najbardziej ponurych współczesnych historii Watykanu. Muszę poświęcić mu sporo miejsca, bo to przypadek absolutnie wyjątkowy.

Kim jest Alfonso López Trujillo? Bestia urodziła się w 1935 roku w Villahermosie w departamencie Tolima w Kolumbii. W wieku dwudziestu pięciu lat został wyświęcony na księdza w Bogocie, a dziesięć lat później mianowano go biskupem pomocniczym tego miasta. Potem przenosi się do Medellín, gdzie w wieku czterdziestu trzech lat zostaje arcybiskupem. Klasyczna droga dla dobrze urodzonego księdza, któremu nigdy nie brakowało pieniędzy.

Alfonso López Trujillo w dużej mierze zawdzięcza swą niezwykłą karierę papieżowi Pawłowi VI, który zauważył go wcześniej, bo podczas swej oficjalnej wizyty w Kolumbii w sierpniu 1968 roku, a w jeszcze większej mierze – Janowi Pawłowi II, który od samego początku swego pontyfikatu uczynił zeń swego zaufanego człowieka w Ameryce Łacińskiej. Przyczyna tej wielkiej przyjaźni jest prosta i taka sama jak przyjaźni, jaką polski papież żywi w tym samym czasie do nuncjusza Angelo Sodana lub ojca Marciala Maciela: antykomunizm.

Alvaro Léon, dziś na emeryturze, długo był benedyktyńskim zakonnikiem. Wcześniej, jako młody seminarzysta, pełnił funkcję ceremoniarza Alfonso Lópeza Trujilla w Medellín. Tutaj właśnie w towarzystwie mojego głównego kolumbijskiego researchera, Emmanuela Neisy, spotykam się z tym starszym mężczyzną,

o pięknej, zmęczonej twarzy. Alvaro Léon chce występować w mojej książce pod prawdziwym nazwiskiem, „bo tyle lat czekałem, żeby móc to powiedzieć – mówi mi – że chcę teraz zrobić to do końca, z odwagą i precyzją”.

Jemy razem obiad w restauracji w pobliżu katedry i Alvaro Léon, nie spiesząc się, opowiada mi o swoim życiu u boku arcybiskupa, starannie wyważając momenty suspensu. Spędzimy ten dzień razem aż do wieczora, błądząc po ulicach miasta i wstępując do kawiarni.

– López Trujillo nie pochodzi stąd. On tylko studiował w Medellín i tu poczuł powołanie, dość późno zresztą. Najpierw studiował psychologię, ukończywszy ją, wstąpił do tutejszego seminarium. Młody López Trujillo, dążący do kapłaństwa, został wysłany do Rzymu, aby doskonalić swoją znajomość filozofii i teologii. Dzięki doktoratowi i dobrej znajomości marksizmu będzie mógł walczyć na równych warunkach z teologami lewicy i zwalczać ich prawe – a może nawet skrajnie prawe – skrzydło, o czym świadczy kilka jego książek.

Po powrocie do Bogoty zostaje wyświęcony na księdza. Jest rok 1960. Przez dziesięć lat pełni swą posługę w cieniu, zgodnie z ortodoksją, ale nie bez kilku incydentów.

– Bardzo wcześnie zaczynają o nim krążyć różne pogłoski. Kiedy w 1971 roku zostaje biskupem pomocniczym Bogoty, grupa osób świeckich i księży publikuje nawet petycję ujawniająca jego ekstremizm i demonstruje przed katedrą przeciwko tej nominacji! I właśnie od tego momentu López Trujillo stał się kompletnym paranoikiem – opowiada Alvaro Léon.

Zdaniem wszystkich świadków, z którymi rozmawiałem w Kolumbii, nieoczekiwane przyspieszenie kariery Lópeza Trujilla dokonuje się w Radzie Biskupów Ameryki Łacińskiej (CELAM), która organizuje regularne spotkania wszystkich hiszpańskojęzycznych

biskupów. Spotkania te mają określić wytyczne dla Kościoła katolickiego w Ameryce Południowej.

Jedna z tych konferencji ma miejsce w 1968 roku w Medellín (pierwsza odbyła się w Rio de Janeiro w 1955 roku). Kiedy w Europie i Stanach Zjednoczonych trwają rozruchy i protesty studenckie, w Kościele katolickim trwa wielkie poruszenie po Soborze Watykańskim II. Papież Paweł VI zatrzymuje się w Kolumbii, aby otworzyć konferencję CELAM.

Ta wielka msza okazuje się, jak wiadomo, decydująca. Tu się zaczyna prąd postępowy, który wkrótce przez peruwiańskiego księdza Gustavo Gutiérreza zostanie nazwany teologią wyzwolenia. W Ameryce Łacińskiej następuje zwrot, znaczna część Kościoła zaczyna zwracać uwagę na „preferencyjne traktowanie ubogich". Wielu biskupów opowiada się za „wyzwoleniem ludów uciskanych", a także oskarża skrajnie prawicowe dyktatury militarne. Wkrótce pewna mniejszość skręca w stronę goszyzmu, z księżmi guevarystami i castrystami, a także tymi, którzy – jak kolumbijski ksiądz Camilo Torres Restrepo i hiszpański Manuel Pérez – łączą czyny ze słowami i z bronią w ręku dołączają do guerrilleros.

Zdaniem Wenezuelczyka Rafaela Lucianiego, specjalisty od teologii wyzwolenia, członka CELAM i profesora teologii w Boston College, „López Trujillo tak naprawdę wypłynął w reakcji na konferencję biskupów w Medellín". Podczas kilku spotkań i wspólnych obiadów Luciani przekazuje mi wiele informacji o CELAM i o roli, jaką w nim odegrał przyszły kardynał.

Konferencja w Medellín, której debaty i deklaracje López Trujillo śledził z bliska jako zwykły ksiądz, była dla niego punktem zwrotnym. Rozumie, że do Kościoła latynoamerykańskiego właśnie dotarła zimna wojna. Odczytać ją można na dwa sposoby, a jemu wystarczy podążyć za swym instynktem, by wybrać obóz.

Wkrótce młody biskup dołącza do organów administracyjnych CELAM i zaczyna stosować wewnętrzny lobbing na rzecz opcji prawicowej. Walczy też, jeszcze dyskretnie, z teologią wyzwolenia i jej opcją zwrócenia się ku biedocie. Jego projekt jest następujący: doprowadzić do tego, by CELAM powrócił do konserwatywnej wersji katolicyzmu. Pozostanie na stanowisku przez siedem lat. Czy już wtedy miał powiązania z Rzymem i prowadził krecią robotę? To pewne, bo został członkiem CELAM dzięki poparciu Watykanu, a zwłaszcza wpływowego włoskiego kardynała Sebastiano Baggia, byłego nuncjusza w Brazylii, który objął kierownictwo Kongregacji do spraw Biskupów. Jednak Kolumbijczyk zostanie głównym narzędziem Jana Pawła II do działań przeciwko teologii wyzwolenia dopiero w 1979 roku, po konferencji w Puebla w Meksyku.

– Doskonale pamiętam, że podczas konferencji w Puebla López Trujillo był osobą bardzo wpływową i bardzo silną. Teologia wyzwolenia była w pewnym sensie konsekwencją Soboru Watykańskiego II, lat sześćdziesiątych, ale też Maja ‘68 we Francji [śmieje się]. Tylko czasem była zbyt upolityczniona i odeszła od prawdziwej misji Kościoła – wyjaśnia mi brazylijski kardynał Odilo Scherer podczas jednej z rozmów w São Paulo.

Wtedy, w Puebla, López Trujillo – już arcybiskup – przechodzi do bezpośredniego działania. „Przygotujcie bombowce” – pisze do jednego z kolegów jeszcze przed konferencją. Organizuje ją bardzo precyzyjnie, podróżując – jak mówią – trzydzieści dziewięć razy między Bogotą a Rzymem. Dba też o to, żeby teolog tej rangi co Gustavo Gutiérrez nie miał wstępu do sali obrad, pod pretekstem, że nie jest biskupem…

Konferencję CELAM w Meksyku otwiera wystąpienie przybyłego specjalnie na nią Jana Pawła II. López Trujillo ma już gotowy plan batalii: zamierza przejąć władzę w obozie postępowców i skierować

organizację na prawo. Cały czas gotowy do walki „jak bokser przed wejściem na ring” – by użyć jego własnego określenia – jest przygotowany do tego, by zmierzyć się z księżmi „goszystowskimi”. Potwierdza mi to podczas jednej z rozmów w Rio de Janeiro znany brazylijski dominikanin Frei Betto:

– W tamtym czasie większość biskupów miała poglądy konserwatywne. López Trujillo nie był jednak tylko konserwatystą, to była postać ze skrajnej prawicy. Stał otwarcie po stronie wielkiego kapitału i wykorzystywania ubogich; bronił kapitalizmu bardziej niż doktryny Kościoła. Bywał cyniczny. Podczas konferencji CELAM w Puebla posunął się nawet do spoliczkowania pewnego kardynała!

Alvaro Léon, były współpracownik Lópeza Trujilla, kontynuuje:

– Wynik konferencji w Puebla nie był dla Lópeza Trujilla jednoznaczny. Udało mu się przejąć władzę i doprowadzić do tego, że został wybrany na przewodniczącego CELAM, ale nie pozbył się teologii wyzwolenia, która wciąż fascynowała znaczą część biskupów.

Mając w ręku władzę, Alfonso López Trujillo może jednak udoskonalić swoją strategię polityczną i użyć bardziej niekonwencjonalnych metod, aby umocnić wpływy. Kieruje CELAM żelazną ręką od 1979 do 1983 roku, a Rzym docenia jego waleczność. Tym bardziej że bój prowadzi – jak w przypadku Marciala Maciela – ktoś „miejscowy”. Żeby prowadzić wojnę z komunizmem w Ameryce Łacińskiej, nie trzeba wysyłać jako „spadochroniarzy” włoskich kardynałów czy nuncjuszy apostolskich; żeby wykonać tę robotę, wystarczy zrekrutować dobrych, uległych Latinos.

A Alfonso López Trujillo jest tak oddany, tak pełen zapału, że robotę pielenia chwastów wykonuje z niezwykłą gorliwością w Medellín, w Bogocie i wkrótce w całej Ameryce Łacińskiej. W jego ironicznym portrecie w „The Economist” autor pisze o jego czerwonej

kardynalskiej piusce jako odwróconym na lewą stronę berecie Che Guevary!

Nowy papież Jan Paweł II i jego ultrakonserwatywne kardynalskie otoczenie nadzorujące teraz swego wojownika Lópeza Trujilla uczyni priorytetem doprowadzenie do bezwarunkowej kapitulacji ruchu teologii wyzwolenia. Taka jest też linia działania administracji amerykańskiej. W raporcie komisji Rockefellera przygotowanym na życzenie prezydenta Nixona uznano, że już od 1969 roku teologia wyzwolenia była bardziej niebezpieczna niż komunizm; w latach osiemdziesiątych, za prezydentury Reagana, CIA i Departament Stanu wciąż monitorowały wywrotowe idee czerwonych latynoskich księży.

W latach 1980-1990 papież mianuje w Ameryce Łacińskiej imponującą liczbę biskupów z prawicy, a nawet ze skrajnej prawicy.

– Większość biskupów mianowanych za pontyfikatu Jana Pawła II w Ameryce Łacińskiej była bliska Opus Dei – potwierdza Rafael Luciani, wykładowca akademicki, członek CELAM.

Równolegle kardynał Joseph Ratzinger, który stanął na czele Kongregacji Nauki Wiary, walczy z teologią wyzwolenia na poziomie teorii. Oskarża ją o wykorzystywanie „koncepcji marksistowskich" i dla kilku propagujących ją duchownych ustanawia surowe kary (López Trujillo należy do komitetu redakcyjnego dwóch dokumentów przeciwko teologii wyzwolenia opublikowanych przez Ratzingera w 1984 i 1986 roku).

W ciągu niecałych dziesięciu lat większość biskupów z CELAM odbiła w prawo. Skrzydło teologii wyzwolenia staje się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku mniejszościowe i trzeba będzie czekać na piątą konferencję CELAM, która odbędzie się w 2007 roku w Aparecida w Brazylii, aby pojawił się prąd umiarkowany, reprezentowany przez niejakiego Jorge Bergoglia, kardynała

z Argentyny. Prąd przeciwny Lópezowi Trujillowi.

PEWNEGO PAŹDZIERNIKOWEGO WIECZORU 2017 ROKU jestem w Bogocie z byłym seminarzystą Morgainem, który długo spotykał się i pracował z Lópezem Trujillem w Medellín. Jest to człowiek godny zaufania, jego świadectwo jest nie do obalenia. Wciąż pracuje dla kolumbijskiego episkopatu, co utrudnia mu publiczne wypowiedzi (jego imię zostało zmienione). Kiedy jednak uspokajam go, że jego nazwisko nie pojawi się w książce, zaczyna przytaczać mi szeptem różne pogłoski, a potem głośno mówi o skandalach. On też od tak dawna przechowuje w pamięci tajne informacje, że z ulgą w trakcie długiej kolacji, w której uczestniczy również mój kolumbijski researcher Emmanuel Neisa, wyrzuca je z siebie, opatrując niezliczonymi szczegółami.

– W owym czasie pracowałem z arcybiskupem Trujillem w Medellín. Mieszkał w przepychu, przemieszczał się jak książę albo raczej jak prawdziwa „seńora". Kiedy przyjeżdżał jednym z tych swoich luksusowych samochodów na wizytę pasterską, życzył sobie, żeby mu rozkładano czerwony dywan. Potem wysiadał z samochodu: najpierw wysuwał nogę, a właściwie stopę, stawiał ją na dywanie jak gdyby był angielską królową! Wszyscy musieliśmy całować jego pierścienie, a on żądał wszędzie wokół siebie kadzidła. Dla nas to wszystko to było niezwykle szokujące: luksus, show, kadzidło, dywan…

Ten styl życia z innej epoki łączył się z prawdziwym polowaniem na postępowców. Zdaniem Morgaina, którego opowieść została poświadczona przez innych księży, Alfonso López Trujillo podczas tych koturnowych tournée namierzał księży bliskich teologii wyzwolenia. Zadziwiająca sprawa: niektórzy z nich znikali albo czasem byli mordowani przez brygady paramilitarne niedługo po wizycie arcybiskupa.

W latach osiemdziesiątych Medellín w istocie staje się światową stolicą zbrodni. Handlarze narkotyków, przede wszystkim słynny kartel Pablo Escobara – ocenia się, że ma on pod kontrolą mniej więcej osiemdziesiąt procent rynku kokainy przemycanej do Stanów Zjednoczonych – sieją terror. W sytuacji prawdziwego wybuchu przemocy – wojna narkotykowa, rozprzestrzenienie się guerrilli, starcia między rywalizującymi gangami – rząd kolumbijski wprowadza stan wyjątkowy. Jest jednak bezsilny: tylko w roku 1991 w Medellín ma miejsce ponad sześć tysięcy zabójstw.

Jako opór przeciwko tej piekielnej spirali zła w mieście powstają grupy paramilitarne. Teoretycznie dla obrony ludności, choć nie zawsze da się stwierdzić, czy grupy te – czasem programowo, często prywatnie – działają na rzecz rządu, kartelu czy też na własny rachunek. Ci osławieni „paramilitares" również będą siać terror w mieście. Potem, by zdobyć niezbędne fundusze, zajmą się handlem narkotykami. Z kolei Pablo Escobar tworzy Departamento de Orden Ciudadano (DOC) – swoją własną milicję paramilitarną. W ostatecznym rozrachunku granice między handlarzami narkotyków, guerrilleros, wojskiem i organizacjami paramilitarnymi całkiem się zacierają, wciągając Medellín i całą Kolumbię w prawdziwą wojnę domową.

W tym właśnie kontekście trzeba umieścić Lópeza Trujilla. Zdaniem dziennikarzy badających sprawę arcybiskupa Medellín (szczególnie Hernando Salazara Palacia w książce *La Guerra secreta del cardenal López Trujillo* albo Gustavo Salazara Pinedy w pracy *El Confidente de la Mafia se Confiesa*) i zbierania materiałów w różnych częściach kraju na potrzeby tej książki przez Emmanuela Neisę hierarcha był powiązany z pewnymi grupami paramilitarnymi bliskimi handlarzom narkotyków. Był podobno w dużej mierze finansowany przez te grupy – być może przez Pablo Escobara, który afiszował się

jako praktykujący katolik. Miał też regularnie informować paramilitares o goszystowskich działaczach w kościołach Medellín. Adwokat Gustavo Salazar Pineda twierdzi, że López Trujillo otrzymywał całe walizki banknotów od Pablo Escobara, ale sam zainteresowany zaprzeczał, jakoby miał się spotykać z Escobarem (wiadomo ze szczegółowego śledztwa Jona Lee Andersona dla „New Yorkera", że Pablo Escobar miał zwyczaj nagradzać księży, którzy go popierali, a którzy odjeżdżali potem z walizami pełnymi pieniędzy).

W tamtym okresie paramilitarni prześladowali księży postępowców z niezwykłą zaciekłością. Uważali bowiem – częściowo słusznie – że księża ci byli sprzymierzeńcami trzech głównych grup partyzanckich w Kolumbii (FARC, ELN i M-19).

– López Trujillo spotykał się z członkami grup paramilitarnych – potwierdza również Alvaro Léon (który jako ceremoniarz towarzyszył arcybiskupowi). Wskazywał im księży, którzy prowadzili rozmaite akcje społeczne w barrios – slumsach – i w biednych dzielnicach. Paramilitarni namierzali ich i czasem później wracali, by ich mordować. Księża ci niekiedy musieli opuścić te okolice albo kraj (ta pozornie nieprawdopodobna opowieść została potwierdzona w zeznaniach zebranych przez dziennikarzy Hernando Salazara Palacia i Gustavo Salazara Pinedę i upublicznionych w ich książkach).

Jednym z miejsc, w których wiarołomny López Trujillo miał zadenuncjować kilku lewicowych księży, jest parafia Santo Domingo Savio w Santo Domingo, jednej z najniebezpieczniejszych dzielnic Medellín. Kiedy odwiedzam ten kościół z Alvaro Léonem i Emmanuelem Neisą, uzyskujemy dokładne informacje o dziejących się tam aktach przemocy. Misjonarze, którzy pracowali z ubogimi, byli mordowani, a jeden z księży z tego samego nurtu teologicznego, Carlos Caldéron, był prześladowany przez Lópeza Trujilla i paramilitarnych, aż wreszcie musiał uciekać z kraju i wyjechał

do Afryki.

– Zajmowałem się podróżami Lópeza Trujilla tutaj, w Santo Domingo. Na ogół przyjeżdżał w eskorcie trzech albo czterech samochodów, wszędzie ochroniarze i paramilitarni. Jego otoczenie było naprawdę imponujące! Wszyscy doskonale ubrani. Kiedy wysiadał ze swego luksusowego samochodu, w kościołach musiały bić dzwony i oczywiście musiał być rozwinięty czerwony dywan. Ludzie musieli całować jego dłoń. Musiała być też muzyka, chór, ale najpierw trzeba było podciąć dzieciakom włosy, żeby ślicznie wyglądały, no i nie mogło być czarnoskórych. To podczas tych wizyt namierzano księży postępowców i donoszono paramilitarnym – potwierdza mi Alvaro Léon na schodach przed kościołem parafialnym Santo Domingo Savio.

Oskarżenia te arcybiskup Angelo Acerbi, nuncjusz apostolski w Bogocie w latach 1979-1990, zbywa machnięciem ręki. Rozmawiam z nim w Domu Świętej Marty w Watykanie, gdzie mieszka na emeryturze:

– López Trujillo był wielkim kardynałem. Mogę pana zapewnić, że w Medellín nigdy nie był w zmowie z paramilitares ani z partyzantami. Wie pan, że partyzanci byli dla niego dużym zagrożeniem? Nigdy nie był zatrzymany ani aresztowany. To był bardzo odważny człowiek.

Dziś uważa się, że López Trujillo jest bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialny za śmierć biskupów i dziesiątki księży wyeliminowanych za postępowe poglądy.

– Trzeba spisać historię tych ofiar, bo legitymizacja procesu pokojowego wymaga wyjaśnienia sprawy do końca – mówi mi podczas kilku spotkań w Bogocie José Antequera, rzecznik stowarzyszenia ofiar Hijos e Hijas (jego ojciec został zamordowany).

Trzeba też powiedzieć, jak nieprawdopodobne bogactwa

arcybiskup zgromadził w owym czasie. Według wielu świadectw nadużywał swojej funkcji, rekwirując wszystkie cenne przedmioty będące w posiadaniu wizytowanych kościołów: biżuterię, srebrne kielichy, obrazy przejmował na własny użytek.

– Konfiskował wartościowe przedmioty z kościołów i odsprzedawał je albo ofiarowywał kardynałom lub biskupom z kurii rzymskiej, żeby zapewnić sobie ich życzliwość. Jeden z proboszczów wykonał potem dokładną inwentaryzację wszystkich tych skradzionych przedmiotów – opowiada Alvaro Léon.

W ostatnich latach opublikowano w Kolumbii zeznania dawnych skruszonych członków gangów albo ich adwokatów potwierdzające istnienie związków kardynała i karteli narkotykowych z bojówkami paramilitarnymi. Pogłoski te krążyły już wcześniej, a według materiałów zebranych przez znanych reporterów kolumbijskich kardynał mógł przyjmować pieniądze od niektórych handlarzy narkotyków, co mogłoby wyjaśnić nie tylko jego osobisty majątek, ale też tryb życia i kolekcję luksusowych samochodów.

– A potem pewnego pięknego dnia López Trujillo zniknął – opowiada Morgain. – Po prostu się ulotnił. Wyjechał i nigdy już jego noga nie postała w Kolumbii.

W RZYMIE ZACZYNA SIĘ nowe życie arcybiskupa z Medellín. Po tym, jak skutecznie wspierał kolumbijską skrajną prawicę, będzie teraz uosobieniem twardej konserwatywnej linii Jana Pawła II w kwestii obyczajów i rodziny.

Jest kardynałem od 1983 roku, a ostatecznie wyjeżdża z Kolumbii do Watykanu w 1990 roku, kiedy zostaje mianowany przewodniczącym Papieskiej rady do spraw Rodziny. To nowe „ministerstwo” utworzone przez papieża wkrótce po wyborze staje się jednym z priorytetów pontyfikatu.

Od tej chwili i w związku z coraz większym zaufaniem ze strony

papieża Jana Pawła II – a także trzech protektorów i bliskich przyjaciół: Angelo Sodana, Stanisława Dziwisza i Josepha Ratzingera – pycha Lópeza Trujilla, już i tak przekraczająca wszelkie normy, wymyka się spod kontroli. On sam uważa się już niemal za jakąś starotestamentową postać, z jej gniewem, klątwami, wściekłością. I wciąż prowadzi styl życia niewyobrażalny dla księdza, a nawet i kardynała. Krąży coraz więcej pogłosek, a niektórzy księża rozpowszechniają ciekawe historie na jego temat.

Stojąc na czele „ministerstwa” rodziny, z którego czyni „centrum dowodzenia”, López Trujillo z wielką energią potępia aborcję, broni małżeństwa i oskarża homoseksualność. Nieprawdopodobny mizogin, zdaniem wszystkich świadków wymyśla także wojnę z teorią gender. Według wielu informatorów „pracoholik”, zabiera głos na niezliczonych forach na całym świecie, potępiając seks przed ślubem i prawa gejów. Wyróżnia się przy tym niezwykłą przesadą w wypowiedziach i ostrym językiem skierowanym przeciwko „naukowcom aborcjonistom”, których oskarża o zbrodnie dokonywane w skalowanych probówkach, i nikczemnym lekarzom w białych fartuchach namawiającym do używania prezerwatyw, a nie wzywającym do przedmałżeńskiej abstynencji.

Światowa plaga, AIDS, zostaje nową obsesją Lópeza Trujilla i jego zaślepienie rozwija się bezkarnie. „Prezerwatywy nie są rozwiązaniem” – powtarza w Afryce pełen kardynalskiego autorytetu. Przecież one tylko zachęcałyby do „rozwiązłości seksualnej”, podczas gdy wiadomo, że jedyny odpór tej pandemii dają czystość i małżeństwo.

Wszędzie, gdzie tylko kardynał się pojawia – w Afryce, w Azji i oczywiście w Ameryce Łacińskiej – zaklina wszystkie rządy i agencje ONZ, aby nie ustępowały przed kłamstwami, i ponawia wezwania, by nie używać prezerwatyw. W wywiadzie dla BBC

w pierwszych latach XXI wieku mówi, że prezerwatywy są pełne mikrootworów, przez które wirus HIV przedostaje się z łatwością, ponieważ „jest 450 razy mniejszy od plemnika”! Gdyby problem AIDS nie był tak poważny, można by zacytować tutaj słynną uwagę pewnego francuskiego ministra: „Kardynał nie ma pojęcia, do czego służy prezerwatywa, wkłada ją więc na środkowy palec”.

W roku 1995 López Trujillo zostaje autorem *Lexique des termes ambigus sur la famille*, z którego chce wyrzucić takie zwroty jak: „bezpieczny seks”, „teoria gender” czy „planowanie rodziny”. Wymyśla natomiast kilka własnych wyrażeń: „kolonializm antykoncepcyjny” czy bardzo znaczący „panseksualizm”.

Jego antygejowska obsesja przekraczająca średnią normę watykańską, i tak już szokująco wysoką, szybko wzbudza podejrzenia. Nawet wewnątrz Watykanu ta krucjata budzi zdziwienie; co kardynał skrywa za tą bitwą, tak skrajną i tak osobistą? Skąd u niego ten manicheizm? Dlaczego tak bardzo dąży do prowokacji i do zwrócenia na siebie uwagi?

W Watykanie niektórzy zaczynają pokpiwać sobie z jego wyskoków i obdarzają tego „niespełnionego” pięknym przezwiskiem „Coitus Interruptus” [stosunek przerywany – przyp. red.]. Poza Watykanem jest czarnym charakterem i obiektem drwin; kiedy tylko zabiera gdzieś głos, witają go działacze przebrani za wielkie prezerwatywy albo ubrani w doskonale widoczne i wymowne w treści T-shirty (różowy trójkąt na czarnym tle) i gotują mu niezapomniane przyjęcie. On zaś potępia tych bluźnierczych sodomitów, którzy przeszkadzają mu się swobodnie wypowiadać, a oni tego Lota, który chce krzyżować gejów.

Historia surowo osądzi Alfonso Lópeza Trujilla. W Rzymie jednak Jan Paweł II i Benedykt XVI podają tego heroicznego wojownika za przykład, a kardynałowie sekretarze stanu Angelo Sodano

i Tarcisio Bertone składają mu hołdy niemal karykaturalne.

Po śmierci papieża uważa się go za jednego z papabile. Podobno Jan Paweł II pod koniec życia, w 2005 roku, umieścił go na liście swych potencjalnych następców, co jednak nie zostało udowodnione. Ale to, że ten plugawiec, hipokryta, używający klątwy i złorzeczeń przeciwko wielkiej liczbie katolików z lewicy i jeszcze większej przeciwko rozwiedzionym małżeństwom i „sprzecznym z naturą" obyczajom, znajduje nagle miejsce do głoszenia swych opinii, odzew, a może i znajduje zwolenników między pontyfikatami Jana Pawła II a Benedykta XVI, jest zatrutym podarkiem losu.

Alfonso López Trujillo w Rzymie jest postacią złożoną, dla wielu enigmatyczną.

– Trujillo był przeciw marksizmowi i teologii wyzwolenia, to go pobudzało – potwierdza mi kardynał Giovanni Battista Re, były „minister spraw wewnętrznych" Jana Pawła II, podczas jednego z naszych spotkań w jego watykańskim apartamencie.

Arcybiskup Vincenzo Paglia, który był następcą Trujilla w Papieskiej Radzie do spraw Rodziny, wypowiada się z większą rezerwą. Podczas jednej z rozmów w Watykanie Paglia wyważonymi słowami daje mi do zrozumienia, że tamta sztywna linia dotycząca rodziny nie byłaby na miejscu za pontyfikatu Franciszka:

– Dialektyka między progresywizmem a konserwatyzmem w kwestiach społecznych to nie jest już temat na dzisiaj. Musimy być radykalnie misjonarscy. Wydaje mi się, że nie powinniśmy już być autoreferencyjni. Mówienie o rodzinie nie oznacza ustalania reguł, przeciwnie, oznacza to pomoc rodzinom (podczas tej rozmowy Paglia, z którego żyłki artystycznej często sobie pokpiwano, pokazuje mi swoją instalację przedstawiającą matkę Teresę w wersji popartowej: święta z Kalkuty z niebieskiego plastiku, może z lateksu, a kiedy Paglia podłącza ją do kontaktu, rozświetla się nagle i zaczyna migać

jaskrawym światem, niebieskim jak lapis lazuli…).

Według kilku źródeł wpływy Lópeza Trujilla w Rzymie mogły pośrednio wynikać z jego majątku. Podobno drogo „kupił” wielu kardynałów i innych duchownych, działał więc podobnie jak Meksykanin Marcial Maciel.

– López Trujillo był człowiekiem układów i pieniędzy. Był gwałtowny, choleryczny, twardy. To jeden z tych, którzy „stworzyli” Benedykta XVI; na jego wybór wydawał ogromne sumy, nie licząc się z kosztami, prowadził bardzo dobrze zorganizowaną i doskonale finansowaną kampanię – potwierdza watykanista Robert Carl Mickens.

HISTORIA TA nie byłaby kompletna bez „happy endu”. A żeby przedstawić teraz prawdziwą apoteozę, powrócę do Medellín, do dzielnicy, w której swoją siedzibę ma arcybiskupstwo. Alvaro Léon, były ceremoniarz Lópeza Trujilla, oprowadza mnie i Emmanuela Neisę po uliczkach wokół katedry. Owa centralna dzielnica Medellín nosi nazwę Villa Nueva.

Przedziwne to zresztą miejsce, gdzie między parkiem Bolivara a Carrera 50, na wysokości ulic zwanych Calle 55, 56 i 57 znajdują się dziesiątki stłoczonych sklepików, w których sprzedaje się przedmioty kultu katolickiego albo stroje kapłańskie; a także barów gejowskich prezentujących w witrynach postaci kolorowych transseksualistów na szpilkach. Dwa światy – niebiański i pogański – kiczowate krucyfiksy i tanie sauny, księża i męskie prostytutki mieszają się w radosnym, trochę świątecznym nastroju tak typowym dla Kolumbii. Zaczepia mnie śmiało jakaś transseksualistka przypominająca rzeźbę Fernando Botera. Inni transwestyci i męskie prostytutki kręcące się wokół to postaci delikatniejsze, bardziej kruche, dalekie od folklorystycznych, pretensjonalnych, w typie bohaterów Felliniego. To symbole nędzy i wyzysku.

Trochę dalej zwiedzamy Medellín Diversa Como Vos!, centrum LGBT ufundowane przez księży i seminarzystów. Przyjmuje nas Gloria Londoño, jedna z pracownic centrum:

– Znajdujemy się w strategicznym punkcie, ponieważ całe gejowskie życie w Medellín toczy się tutaj, wokół katedry. Męskie prostytutki, transseksualiści, transwestyci to grupy bardzo wrażliwe, pomagamy im, informując o ich prawach. Rozdajemy też prezerwatywy – objaśnia Londoño.

Opuszczając centrum, na Calle 57 mijamy pewnego księdza w towarzystwie jego boyfrienda i Alvaro Léon, który ich rozpoznał, wskazuje mi ich dyskretnie. Zwiedzamy dalej tę katolicko-gejowską dzielnicę, kiedy nagle zatrzymujemy się przed pięknym budynkiem na ulicy Boliwijskiej, zwanej również Calle 55. Alvaro Léon wskazuje palcem piętro i apartament:

– To tutaj działo się to wszystko. López Trujillo miał tu intymny apartament, do którego sprowadzał seminarzystów, młodych mężczyzn i męskie prostytutki.

Homoseksualizm Alfonso Lópeza Trujilla to tajemnica poliszynela, o której opowiadało mi dziesiątki świadków, a potwierdziło kilku kardynałów. Jego „panseksualizm" – by powtórzyć słowo z jednej z przedmów do jego słownika – słynny jest w Medellín, w Bogocie, w Madrycie tak samo jak w Rzymie.

Ten człowiek był ekspertem w rozdziale teorii od praktyki, ducha od ciała, był absolutnym mistrzem hipokryzji – fakt powszechnie znany w Kolumbii. Jedna z osób pozostająca w bliskich kontaktach z kardynałem, Gustavo Álvarez Gardeazábal, posunęła się nawet do napisania powieści z kluczem, *La misa ha terminado* (Nabożeństwo skończone), w której ujawnia podwójne życie Lópeza Trujilla będącego – pod pseudonimem – głównym bohaterem tej książki. Jeśli chodzi o wielu aktywistów gejów, z którymi

rozmawiałem podczas moich czterech podróży do Kolumbii – zwłaszcza tych ze stowarzyszenia Colombia Diversa, do którego należy wielu adwokatów – to zebrali oni sporo zeznań, którymi się ze mną podzielili.

Wenezuelski naukowiec Rafael Luciani opowiada, że chorobliwa homoseksualność Alfonso Lópeza Trujilla jest już „dobrze rozpoznana przez latynoamerykańskie instytucje kościelne i przez niektórych urzędników CELAM". Podobno kilku księży przygotowuje książkę i o podwójnym życiu kardynała Lópeza Trujilla, i o stosowaniu przez niego przemocy seksualnej. Z kolei seminarzysta Morgain, który był jednym z asystentów Lópeza Trujilla, podaje mi nazwiska kilku jego naganiaczy i kochanków zmuszanych bardzo często do zaspokajania żądz arcybiskupa, aby nie zaprzepaścić swojej kariery.

– Najpierw zupełnie nie wiedziałem, czego ode mnie chce – opowiada Morgain podczas naszego obiadu w Bogocie. – Byłem całkiem niewinny i jego techniki podrywu mi kompletnie nic nie mówiły. Potem powoli zrozumiałem jego grę. Odwiedzał różne parafie, seminaria, wspólnoty religijne i namierzał chłopców, a potem podejmował wobec nich bardzo zdecydowane działania. Uważał siebie za godnego pożądania! Zmuszał seminarzystów do ulegania jego zalotom. Jego specjalnością byli chłopcy z nowicjatu. Najdelikatniejsi, najmłodsi, najbardziej podatni. Ale sypiał właściwie ze wszystkimi. Korzystał także często z męskich prostytutek.

Morgain daje mi do zrozumienia, że López Trujillo zablokował jego święcenia, bo nie zgodził się iść z arcybiskupem do łóżka.

López Trujillo był jednym z tych ludzi, którzy szukają władzy, żeby mieć seks, i seksu – żeby mieć władzę. Alvaro Léon, jego dawny ceremoniarz, sam zrozumiał to dopiero po jakimś czasie:

– Księża mówili mi z porozumiewawczym uśmiechem: „Jesteś

w typie arcybiskupa”, a ja nie rozumiałem, co insynuowali. López Trujillo tłumaczył młodym seminarzystom, że powinni być posłuszni biskupom. Dokładnie się golić, doskonale ubierać, żeby „zrobić mu przyjemność”. Pełno w tym było dwuznaczności, ale na początku tego nie rozumiałem. Zajmowałem się jego przejazdami i często życzył sobie, żebym mu w tych podróżach towarzyszył. W jakiś sposób wykorzystywał mnie, żeby nawiązać kontakt z innymi seminarzystami. Jego celem byli młodzi chłopcy, biali, przeważnie jasnoocy i jasnowłosi. Żadnych Latynosów w typie tubylczym, na przykład meksykańskim – i przede wszystkim żadnych czarnoskórych! Nienawidził ich.

System Lópeza Trujilla działał doskonale. Alvaro Léon kontynuuje:

– Przez większość czasu arcybiskup miał „naganiaczy”, takich jak M., R., L. i nawet jednego biskupa o przezwisku „Kwoka”, księży, którzy znajdowali dla niego chłopców, podrywali ich dla niego na ulicy i przyprowadzali do tajnego apartamentu. To nie działo się od przypadku do przypadku, to była prawdziwa organizacja.

Dysponuję nazwiskami i informacjami o stanowiskach tych księży „naganiaczy” i są one potwierdzone przez przynajmniej jedno dodatkowe źródło. Mój kolumbijski researcher, Emmanuel Neisa, rozmawiał z każdym z nich.

Drugą stroną tego nieokiełznanego stylu życia, tego „gorącego podrywu” była – jak opowiadają świadkowie – stosowana przez Lópeza Trujilla przemoc wobec seminarzystów, słowna i fizyczna.

– Znieważał ich, poniżał – dodaje Alvaro Léon.

Wszyscy świadkowie potwierdzają, że kardynał nie przeżywał swej homoseksualności łagodnie, jak większość jego współbraci w Rzymie. Dla niego to była perwersja zakorzeniona w grzechu, którą egzorcyzmował przez fizyczną przemoc. Czy był to jego sposób – błędny – na uwolnienie się od wszystkich „histerycznych

węzłów”[55]? Arcybiskup korzystał też taśmowo z męskich prostytutek; jego skłonność do płacenia za ciało była w Medellín powszechnie znana.

– López Trujillo bił męskie prostytutki, tak wyglądał jego stosunek do seksualności. Płacił im, ale w zamian musieli akceptować bicie. Ciosy były zawsze na końcu, nie w trakcie aktu. Kończył swój seks biciem, z czystego sadyzmu – zapewnia Alvaro Léon.

Na tym stopniu perwersji pożądanie w połączeniu z agresją ma w sobie coś dziwnego. Ten rozpasany seks, ten sadyzm wobec męskich prostytutek nie są powszechnymi zjawiskami. López Trujillo nie ma żadnego względu dla ciała, które wynajmuje. Jest nawet znany z tego, że źle opłaca swoich żigolaków i twardo, z nieprzeniknionym wzrokiem negocjuje najniższą cenę usługi. Jeśli w tej książce jest jakaś postać prawdziwie żałosna, to jest nią López Trujillo.

Zboczenia tej „ciemnej duszy” nie zatrzymały się oczywiście na granicy kolumbijskiej. System odrodził się w Rzymie (gdzie według pewnego świadka kardynał podrywał na dworcu Roma Termini), a wkrótce potem na całym świecie, gdzie kontynuował błyskotliwą karierę głosiciela teorii antygejowskich i bogatego amatora żigolaków.

Podróżując bez przerwy na rachunek kurii rzymskiej jako główny propagandzista krucjaty przeciw prezerwatywom, López Trujillo korzysta z tych wyjazdów w imieniu stolicy apostolskiej, żeby wyszukiwać sobie chłopców (według informacji przynajmniej dwóch nuncjuszy). Kardynał odwiedził podobno ponad sto krajów; miał też kilka ulubionych w Azji, dokąd często wyjeżdżał, zwłaszcza kiedy odkrył seksualne uroki Bangkoku i Manili. Podczas tych niezliczonych podróży, gdzieś na drugim końcu świata, gdzie był mniej znany niż w Kolumbii i w Rzymie, kardynał perypatetyk

ulatniał się regularnie z seminariów i mszy, aby zajmować się swoimi kontaktami towarzyskimi z „taxis boys" i „money boys".

RZYM, MIASTO OTWARTE, nie wyrzekł słowa. Dlaczego? To charakterystyczne, raz jeszcze jakiś żywot naznaczony narcystyczną perwersją chce uchodzić za wzór świątobliwości. Tak jak potwór Marcial Maciel López Trujillo zafałszuje swoją egzystencję w sposób niewyobrażalny – o czym w Watykanie wiedzieli wszyscy lub prawie wszyscy.

Rozmawiając o przypadku Lópeza Trujilla z wieloma kardynałami, nigdy od żadnego z nich nie usłyszałem, że uważają go za ideał. Nikt, ogłuszony moimi informacjami, nie powiedział: „Dałbym mu rozgrzeszenie bez spowiedzi!". Wszyscy ci, których spotkałem, woleli milczeć, marszczyć brwi, krzywić się, unosić ręce do nieba albo odpowiadać mi jakimiś frazesami.

Dziś języki się rozwiązują, ale ukrywanie prawdy o tym klinicznym przypadku działało bardzo skutecznie. Kardynał Lorenzo Baldisseri, który nim stał się zaufanym człowiekiem papieża Franciszka, długo był nuncjuszem w Ameryce Łacińskiej, podczas dwóch rozmów w Rzymie podzielił się ze mną swoimi informacjami:

– Znałem Lópeza Trujilla, kiedy był wikariuszem generalnym w Kolumbii. To była bardzo kontrowersyjna postać. Miał podwójną osobowość.

Równie ostrożnie wypowiada się teolog Juan Carlos Scannone, jeden z najbliższych przyjaciół papieża Franciszka. Scannone nie jest zdziwiony, kiedy rozmawiam z nim w Argentynie i mówię o podwójnym życiu Lópeza Trujilla:

– Był intrygantem. Kardynał Bergoglio nigdy go nie lubił. Myślę nawet, że nigdy się z nim nie kontaktował (według moich informacji przyszły papież Franciszek spotkał jednak Lópeza Trujilla w CELAM).

Z kolei Claudio Maria Celli, arcybiskup, jeden z wysłanników

papieża Franciszka do Ameryki Łacińskiej, który wcześniej był jedną z osób odpowiedzialnych za środki masowego przekazu podczas pontyfikatu Benedykta XVI, dobrze znał Lópeza Trujilla. W trakcie naszego spotkania w Rzymie wypowiada wyważoną z aptekarską dokładnością opinię:

– Nie miałem szczególnego nabożeństwa do Lópeza Trujilla.

Nuncjusze też wiedzieli. A czy w związku z ich misją nie powinni pilnować tego, żeby ksiądz gej nie został biskupem, a biskup lubiący męskie prostytutki nie został mianowany kardynałem? Czy nuncjusze, którzy następowali kolejno w Bogocie od 1975 roku (Eduardo Martínez Somalo, Angelo Acerbi, Paolo Romeo, Beniamino Stella, Aldo Cavalli, Ettore Balestrero), wszyscy pozostający w bliskich kontaktach z Angelo Sodanem, mogli nie wiedzieć o tym podwójnym życiu?

Jeśli chodzi o kolumbijskiego kardynała Darío Castrillóna Hoyosa, prefekta Kongregacji Duchowieństwa, to miał on z Lópezem Trujillem zbyt wiele wspólnych tajemnic i bez wątpienia także obyczajów, żeby wyznać cokolwiek! Należał do tych, którzy stale mu pomagali, choć doskonale wiedział o jego libacjach i wyuzdaniu. Był też pewien włoski kardynał, który odegrał kluczową rolę w chronieniu Lópeza Trujilla przez Rzym. To Sebastiano Baggio. Ten dawny kapelan włoskich skautów jest specjalistą od Ameryki Łacińskiej, pracował w nuncjaturach w Salwadorze, Boliwii, Wenezueli i Kolumbii. W 1964 roku, tuż po zamachu stanu, został nuncjuszem w Brazylii. Okazał się bardziej niż wyrozumiały wobec wojskowych i dyktatury (mówią o tym świadectwa, które zebrałem w Brasílii, Rio i São Paulo; natomiast kardynał arcybiskup São Paulo Odilo Scherer wspomina go jako „wielkiego nuncjusza, który wiele zrobił dla Brazylii"). Po powrocie do Rzymu esteta i kolekcjoner dzieł sztuki Sebastiano Baggio został przez Pawła VI mianowany

kardynałem. Kilka lat później prefektem Kongregacji do spraw Biskupów i Papieskiej Komisji do spraw Ameryki Łacińskiej. Sprawował te stanowiska również za pontyfikatu Jana Pawła II, który uczynił z niego swojego specjalnego amerykańskiego wysłannika. Historyk David Yallop opisuje Baggia jako „reakcjonistę" z „ultrakonserwatywnej prawicy". Tenże Baggio, bliski Opus Dei, nadzoruje z Rzymu CELAM, a zwłaszcza walkę na konferencji w Puebla w 1979 roku, na którą udaje się wraz z papieżem. Świadkowie opisują, jak u boku Lópeza Trujilla z determinacją walczy przeciwko lewicy w Kościele i okazuje się „głęboko" i „gwałtownie" antykomunistyczny. Mianowany „szambelanem" przez Jana Pawła II Baggio będzie się cieszył w Watykanie szczególnymi uprawnieniami i chronił swego „wielkiego przyjaciela" Lópeza Trujilla, pomimo niezliczonych pogłosek o jego podwójnym życiu. Podobno on sam również był bardzo „praktykujący". Według ponad dziesięciu świadectw zebranych w Brazylii i w Rzymie Baggio znany był ze swych szczególnych przyjaźni latynoskich i dużo przedsiębiorczości wobec seminarzystów, których lubił przyjmować w szortach albo w suspensorium!

Ekstrawagancje Lópeza Trujilla były znacznie lepiej znane, niż się powszechnie sądzi. Wszyscy o nich wiedzieli. Dlaczego więc został biskupem? Dlaczego zrobiono z niego szefa CELAM? Dlaczego został mianowany kardynałem? Dlaczego stał się przewodniczącym Papieskiej Rady do spraw Rodziny? Wszystkie te pytania zadaje sobie Alvaro Léon.

Jeden z prałatów kurii, który się z nim spotykał, komentuje:

– López Trujillo był przyjacielem Jana Pawła II, protegowanym kardynała Sodana i osobistego sekretarza papieża Stanisława Dziwisza. Był również dobrze widziany przez kardynała Ratzingera, który wybrał go ponownie na funkcję przewodniczącego Papieskiej

Rady do spraw Rodziny zaraz po swojej elekcji w 2005 roku. A przecież wszyscy wiedzieli, że był homoseksualistą. Mieszkał tu, obok nas, na czwartym piętrze Palazzo San Callisto, w watykańskim apartamencie o powierzchni 900 metrów kwadratowych, miał wiele samochodów, nawet ferrari! Prowadził życie poza wszelkimi standardami (wspaniały apartament Lópeza Trujilla zajmuje dziś afrykański kardynał Peter Turkson mieszkający tam w dobrej kompanii, na tym samym piętrze co kardynałowie Poupard, Etchegaray i Stafford, którym złożyłem wizyty).

Inny dobry znawca Ameryki Łacińskiej, dziennikarz José Manuel Vidal, który kieruje jedną z najważniejszych hiszpańskojęzycznych katolickich stron internetowych, wspomina:

– López Trujillo bardzo często bywał tu, w Hiszpanii. Był przyjacielem kardynała Madrytu Rouco Vareli. Za każdym razem przyjeżdżał z jednym ze swych kochanków; pamiętam zwłaszcza pewnego pięknego Polaka, potem jakiegoś pięknego Filipińczyka. Uważano go tutaj za „papieża Ameryki Łacińskiej", więc pozwalano mu na to.

Pytam wreszcie otwarcie o kardynała Medellín Federico Lombardiego, który był rzecznikiem Jana Pawła II i Benedykta XVI. Zaskoczony tym pytaniem ma natychmiastową odpowiedź, niemal odruchową: wznosi ramiona do nieba na znak popłochu i przerażenia.

A JEDNAK UPAMIĘTNIONO DIABŁA. Po jego nagłej śmierci w kwietniu 2008 roku w następstwie „infekcji płuc" (według oficjalnego komunikatu) Watykan mnożył mowy pochwalne. Uroczystą mszę dla uczczenia pamięci tej karykatury kardynała celebrowali papież Benedykt XVI i wciąż jeszcze pozostający na urzędzie kardynał Sodano.

Mimo to po śmierci Trujilla zaczęły krążyć różne pogłoski.

Pierwsza, że miałby umrzeć na AIDS, druga zaś, że pochowano go w Rzymie, bo ponoć nie mógł być pogrzebany w Kolumbii.

– Kiedy López Trujillo zmarł, zdecydowano się pochować go tutaj, w Rzymie – potwierdza kardynał Lorenzo Baldisseri. – Nie mógł wrócić do swojego kraju, nawet martwy!

Z jakiego powodu? Według informacji, jakie zebrałem w Medellín, za jego głowę wyznaczono cenę z powodu jego bliskich kontaktów z paramilitares. To tłumaczy fakt, że trzeba było czekać do 2017 roku, czyli prawie dziesięć lat od jego śmierci, żeby papież Franciszek nakazał odesłanie ciała do Kolumbii. Czyżby ojciec święty wolał – jak to sugeruje pewien ksiądz, który był zaangażowany w przygotowanie tej pospiesznej repatriacji – żeby w razie skandalu związanego z podwójnym życiem Lópeza Trujilla jego doczesne szczątki nie znajdowały się w Rzymie? W każdym razie mogłem oglądać grób kardynała w obszernej kaplicy zachodniego skrzydła transeptu wielkiej katedry w Medellín. Kardynał spoczywa w krypcie, pod kamienną, dziewiczo białą płytą otoczoną wiecznie płonącymi świecami. Diabeł pod krzyżem.

– Na ogół wejście do kaplicy jest zabezpieczone kratą. Arcybiskup bardzo się boi aktów wandalizmu. Obawia się, że grób może zostać zdewastowany przez rodzinę którejś z ofiar Lópeza Trujilla albo przez jakiegoś żigolaka – zauważa Alvaro Léon.

Tymczasem, choć może się to wydawać dziwne, w tej samej katedrze znajdującej się przedziwnym trafem w samym sercu dzielnicy gejowskiej Medellín widzę kilku młodych i mniej młodych mężczyzn, jak wzajemnie się kokietują. Afiszują się z tym między parafianami trzymającymi Biblie i turystami zwiedzającymi katedrę. Widzę, jak się powoli przechadzają w poszukiwaniu pięknej zdobyczy albo jak siedzą pod ścianą katedry – zupełnie jak gdyby gejowska ulica przecinała ten ogromny kościół. A kiedy przechodzimy przed

nimi z Alvaro Léonem i Emmanuelem Neisą, sympatycznie puszczają do nas oko – jak gdyby był to ostatni hołd dla tego wielkiego dewianta w starym stylu, tej szalonej kropielnicy, tej diwy zmierzającego do zagłady katolicyzmu, tego szatańskiego mędrca i tego antychrysta: Jego Eminencji Alfonso Lópeza Trujilla.

NA KONIEC pozostaje jeszcze jedno pytanie, na które nie jestem w stanie odpowiedzieć, a które wydaje się dręczyć wiele osób. Czy López Trujillo, który uważał, że wszystko można kupić, nawet akty przemocy, nawet akty sadomasochistyczne, kupował również akty penetracji bez prezerwatywy?

– Oficjalnie zgon Lópeza Trujilla związany jest z cukrzycą, ale istnieją poważne i powtarzające się pogłoski, że prawdopodobnie zmarł na AIDS – mówi mi jeden ze specjalistów od Kościoła katolickiego w Ameryce Łacińskiej.

Byli seminarzyści Alvaro Léon i Morgain również słyszeli tę opinię i uważają ją za prawdopodobną. Czy antyprezerwatywny kardynał zmarł w następstwie komplikacji związanych z AIDS, na które podobno leczył się od kilku lat? Często słyszałem takie wzmianki, ale nie mogę ich ani potwierdzić, ani im zaprzeczyć. Jedno jest pewne: jego śmierć w 2008 roku nastąpiła, gdy choroba ta była już skutecznie leczona w poliklinice Gemelli, nieoficjalnym szpitalu watykańskim, a kardynał taki jak Trujillo, dysponujący wielkimi zasobami finansowymi, mógł z terapii skorzystać. Data jego śmierci nie przypada na okres epidemii. Czyżby więc posunął się do zaprzeczania własnej chorobie i nie chciał się leczyć czy też poddał się terapii zbyt późno? Jest to możliwe, ale dość mało prawdopodobne. Na tym etapie mam raczej wrażenie, że krąży fałszywa plotka wynikająca z wiedzy o prawdziwym życiu nieznającego umiaru kardynała. Nic więc obecnie nie pozwala stwierdzić, że López Trujillo był ofiarą plagi, od której mogło go

uchronić jedynie użycie prezerwatyw.

NAWET gdyby zmarł na tę chorobę, to i tak zgon kardynała Lópeza Trujilla nie byłby czymś wyjątkowym w łonie katolicyzmu rzymskiego. Według około dziesięciu świadectw zebranych w Watykanie i w konferencji episkopatu włoskiego AIDS w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku poczynił znaczne spustoszenie w stolicy apostolskiej i wśród włoskiego episkopatu – co było przez długi czas tajemnicą.

Wielu księży, monsiniorów i kardynałów zmarło w wyniku następstw zarażenia wirusem HIV. Niektórzy przyznali się do nosicielstwa albo choroby na spowiedzi (jak mi potwierdza, nie przytaczając nazwisk, jeden ze spowiedników ze Świętego Piotra). U innych księży zdiagnozowano chorobę przy dorocznym badaniu krwi obowiązkowym dla personelu watykańskiego (choć ten obowiązek nie dotyczy monsiniorów, nuncjuszy, biskupów ani kardynałów). Kontrola ta obejmuje również test na obecność HIV; według moich wiadomości kilku księży zostało oddalonych, gdy okazało się, że wynik jest pozytywny.

Ta proporcjonalnie duża liczba chorych na AIDS w łonie hierarchii katolickiej została potwierdzona przez badanie statystyczne przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych na podstawie świadectw zgonu księży katolickich. Wykazało ono, że umieralność kleru związana z tym wirusem jest czterokrotnie wyższa niż w całej populacji. Inna z kolei analiza, oparta na anonimowym badaniu sześćdziesięciu pięciu rzymskich seminarzystów na początku lat dziewięćdziesiątych, wykazała, że 38 procent spośród nich było seropozytywnych. Oczywiście, dużą liczbę tych przypadków można tłumaczyć transfuzjami krwi, narkomanią czy związkami heteroseksualnymi, ale w rzeczywistości nikt się nie da na to nabrać.

W Watykanie dominuje milczenie i negacja. Francesco Lepore,

były ksiądz w kurii, opowiada o śmierci w następstwie AIDS jednego z zakonników, członków Kongregacji do spraw Świętych. Ten człowiek, będący w bliskich stosunkach z włoskim kardynałem Giuseppe Sirim, zmarł podobno „w obliczu obojętności swych przełożonych" i został „pochowany w pełnej tajemnicy, o świcie, dla uniknięcia skandalu". Na tę samą chorobę miał umrzeć pewien kardynał z kręgów bliskich Janowi Pawłowi II. Oczywiście nigdy w jakimkolwiek nekrologu kardynała lub biskupa jako przyczyny zgonu nie podano by AIDS.

– Według mnie z wewnętrznych dyskusji wynika, że w Watykanie jest wiele osób seropozytywnych lub chorych – mówi mi inny hierarcha. – I oczywiście księża seropozytywni nie są głupcami: nie kupują leków w aptece watykańskiej. Leczą się też w innych szpitalach rzymskich.

Kilkakrotnie odwiedzałem Farmacia Vaticana, tę nieprawdopodobną instytucję znajdującą się we wschodnim skrzydle Watykanu – przerażający moloch z dziesięcioma okienkami – i faktycznie, nie można nawet sobie wyobrazić, że jakiś ksiądz mógłby szukać leków powstrzymujących rozwój wirusa HIV między butelkami dla niemowląt, smoczkami i luksusowymi perfumami.

Wraz z Danielem, moim rzymskim researcherem, kilkoma pracownikami socjalnymi i członkami włoskich stowarzyszeń zajmujących się profilaktyką AIDS (zwłaszcza Progetto Coroh i wcześniejszym programem „Io faccio l'attivo") przeprowadziliśmy więc we włoskiej stolicy śledztwo. Byliśmy kilkakrotnie w Instytucie Dermatologicznym San Gallicano (ISG), w związanej z Watykanem poliklinice Gemelli, a także w bezpłatnym i anonimowym centrum badań przesiewowych ASL Roma mieszczącym się przy via Catone, w pobliżu placu Świętego Piotra.

Profesor Massimo Giuliani z Instytutu Dermatologicznego San

Gallicano jest jednym ze specjalistów od chorób przenoszonych drogą płciową i AIDS. Wraz z Danielem spotykamy się z nim dwukrotnie.

– Ponieważ w Instytucie Dermatologicznym San Gallicano zajmowaliśmy się już od dawna chorobami przenoszonymi drogą płciową, zwłaszcza syfilisem, od zanotowania pierwszych przypadków AIDS w początkach lat osiemdziesiątych zmobilizowaliśmy się natychmiast. Staliśmy się jednym z pierwszych szpitali w Rzymie leczących ten typ pacjentów. Aż do 2007 roku Instytut mieścił się na Zatybrzu, dzielnicy niezbyt odległej od Watykanu. Dziś jesteśmy tutaj, w południowej części Rzymu.

Według kilku źródeł Instytut Dermatologiczny San Gallicano był miejscem często wybieranym przez księży cierpiących na choroby przenoszone drogą płciową. Częściej niż poliklinika Gemelli związana z Watykanem. Decydująca była większa anonimowość pacjentów.

Kiedy pojawił się HIV, San Gallicano w sposób naturalny stał się szpitalem księży, wysokich rangą duchownych i biskupów zarażonych tym wirusem.

– Przychodziło do nas wielu księży, dużo seropozytywnych seminarzystów – potwierdza profesor Massimo Giuliani. – Widzimy, że problem AIDS jest w Kościele bardzo poważny. My tutaj nikogo nie osądzamy. Jedyną istotną rzeczą jest to, że duchowni szukają u nas pomocy. Można się jednak obawiać, że sytuacja w Kościele się pogorszy, co już widzimy. Przyczyną jest zaprzeczanie faktom.

Problem negacji i odmowy u księży jest dobrze udokumentowany; częściej niż przeciętnie odmawiają przebadania, ponieważ nie czują się odpowiedzialni nawet wobec swoich partnerów. Nawet kiedy odbywają stosunki seksualne z mężczyznami bez zabezpieczeń, opierają się poddaniu testom. Obawiają się naruszenia dyskrecji.

– Naszym zdaniem – kontynuuje profesor Massimo Giuliani –

obecnie ze względu na odmowy badań i rzadkie użycie prezerwatyw ryzyko zakażenia AIDS w męskiej części wspólnoty katolickiej jest duże. W naszym środowisku uważa się, że księża są jedną z grup społecznych najbardziej narażonych na ryzyko i jedną z najtrudniejszych, jeśli chodzi o profilaktykę. Próbowaliśmy nawiązać dialog, zwłaszcza w seminariach, informować o sposobach przenoszenia i leczeniu chorób przekazywanych drogą płciową oraz o AIDS. Jest to jednak bardzo trudne. Rozmowa o AIDS byłaby de facto przyznaniem, że księża mają kontakty homoseksualne. A w Kościele oczywiście nie ma zgody na tego typu debaty.

Moje rozmowy z męskimi prostytutkami na Roma Termini (a także z Francesco Mangiacaprą w Neapolu) potwierdzają, że księża są jednymi z najbardziej nieostrożnych klientów podczas uprawiania seksu:

– Na ogół księża nie boją się chorób przenoszonych drogą płciową. Uważają się za niezagrożonych. Są tak pewni siebie, że w przeciwieństwie do innych klientów nie biorą pod uwagę ryzyka. Nie mają najmniejszego poczucia rzeczywistości. Żyją w świecie bez AIDS – wyjaśnia Francesco Mangiacapra.

ALBERTO BORGHETTI jest jednym z lekarzy internistów na oddziale chorób zakaźnych polikliniki Gemelli. Ten młody lekarz i naukowiec rozmawia ze mną i z Danielem na prośbę swojej szefowej, specjalistki od chorób zakaźnych, Simony Di Giambenedetto, która zechciała pomóc nam w naszym śledztwie.

Poliklinika Gemelli jest najbardziej katolickim spośród wszystkich katolickich szpitali na świecie – jesteśmy w miejscu najświętszym ze świętych! Kardynałowie, biskupi, mieszkańcy Watykanu i wielu rzymskich księży tu właśnie się leczy. Mają zresztą oddzielny korytarz z priorytetowym wejściem. I oczywiście jest to szpital papieży. Jan Paweł II był najsłynniejszym pacjentem polikliniki,

a kamery telewizyjne cynicznie śledziły postępy jego choroby z przygnębiającą przesadą. Rozbawiony papież nazwał podobno szpital, w którym tak często przebywał, „Watykanem III".

Zwiedzając poliklinikę i jej oddziały, spotykając się z wieloma pracującymi tu lekarzami, widzę instytucję nowoczesną, daleką od krytycznych rzymskich plotek. A jeśli chodzi o to, że szpital jest związany z Watykanem, to osoby dotknięte chorobami przenoszonymi drogą płciową lub chore na AIDS byłyby tu niemile widziane, jak mi powiedziano.

Już dzięki swemu profesjonalizmowi i dokładnej znajomości epidemii internista Alberto Borghetti osłabia te podejrzenia:

– Jesteśmy jednym z pięciu rzymskich szpitali najbardziej zaawansowanych w kwestii AIDS. Leczymy wszystkich pacjentów i jesteśmy nawet w naszej działalności naukowej związani z Katolickim Uniwersytetem Najświętszego Serca w Mediolanie, jednym z głównych włoskich ośrodków badawczych AIDS. Badamy niekorzystne skutki uboczne różnych terapii przeciwretrowirusowych, prowadzimy badania nad interakcją między lekarstwami oraz wpływem szczepionek na populację seropozytywną.

Znajduję się na oddziale chorób zakaźnych i stwierdzam – widząc plakaty i tablice informacyjne – że istotnie leczy się tu choroby przekazywane drogą płciową. Potwierdza to doktor Borghetti:

– Leczymy tutaj wszystkie choroby przenoszone drogą płciową, czy to wywołane przez bakterie, takie jak gonokoki, syfilis i chlamydia, czy przez wirusy, jak opryszczka, papillomawirus i oczywiście wywołujący zapalenie wątroby.

Zdaniem innego profesora nauk medycznych, specjalisty w leczeniu AIDS, poliklinika Gemelli była podobno krytykowana z powodu problemów z anonimowością pacjentów.

Alberto Borghetti zaprzecza tym informacjom:

– Na ogół wyniki badań związanych z wirusem AIDS znane są tylko lekarzowi prowadzącemu i nie można ich konsultować z innymi pracownikami służby zdrowia polikliniki. W Gemelli chorzy mogą również zażądać anonimizacji ich kart, co zwiększa stopień anonimowości osób seropozytywnych.

Zdaniem jednego z księży dobrze znających Gemelli te środki ostrożności mogłyby nie wystarczyć do zdobycia zaufania zarażonych pacjentów ze stanu duchownego:

– Robią wszystko, żeby zagwarantować anonimowość, ale ze względu na liczbę leczonych tu biskupów i księży łatwo się natknąć na znajomych. A obecność na „oddziale chorób zakaźnych” mówi wszystko!

Pewien dermatolog, z którym rozmawiałem w Rzymie, wyjaśnia:

– Niektórzy księża mówią nam, że zarazili się brudną strzykawką albo podczas transfuzji: udajemy, że wierzymy.

Alberto Borghetti przyznaje, że księża mogą się obawiać ujawnienia i odmawiać poddania się badaniom:

– To prawda, że czasem przyjmujemy seminarzystów lub księży z bardzo zaawansowanym AIDS. Tak jak imigranci czy homoseksualiści bez wątpienia należą oni do tej grupy osób, która nie chce robić testów ze strachu albo dlatego, że zaprzeczają faktom. Naprawdę wielka szkoda, bo opóźniona diagnoza i późne podjęcie terapii może oznaczać, że ich organizm nie odzyska już skutecznej odporności.

JAN PAWEŁ II był papieżem od 1978 do 2005 roku. O epidemii AIDS zaczęto mówić na początku jego pontyfikatu. Od 1981 roku choroba spowodowała śmierć ponad trzydziestu pięciu milionów osób. Dziś na całym świecie żyje jeszcze trzydzieści siedem milionów osób zakażonych wirusem HIV.

Prezerwatywa, którą Watykan Jana Pawła II stanowczo odrzucił,

kierując wszystkie siły i moc swej dyplomacji, aby się temu przeciwstawić, pozostaje najskuteczniejszym środkiem walki z epidemią, również w grupie małżeństw bezobjawowych (gdy jedna osoba jest seropozytywna). Co roku dzięki kondomom i leczeniu przeciwretrowirusowemu ratuje się dziesiątki milionów osób.

Od czasów encykliki *Humanae vitae* Kościół potępia jednak wszelkie środki zapobiegawcze lub chemiczne, takie jak pigułka czy prezerwatywa, które uniemożliwiają prokreację. Jednakże, jak podkreśla francuski watykanista Henri Tincq, „czy sposób, który polega na uniemożliwieniu przekazania śmierci powinien być mylony z tym, który uniemożliwia przekazanie życia?".

Kim są, oprócz Jana Pawła II, główni sprawcy odpowiedzialni za wprowadzenie w życie tej globalnej polityki absolutnego zakazu prezerwatyw w okresie światowej pandemii AIDS? Chodzi tu o grupę dwunastu mężczyzn, wiernych, oddanych, ortodoksyjnych, mizoginicznych, którym śluby czystości zakazały heteroseksualnej aktywności. Na podstawie wyników moich badań i po setkach rozmów przeprowadzonych na potrzeby tej książki mogę stwierdzić, że ogromna większość owych hierarchów to praktykujący homoseksualiści (spotkałem ośmiu z tych dwunastu, a arcybiskup Viganò wylicza w swojej *Testimonianzy* czterech). Co ci mężczyźni wiedzieli o prezerwatywach i o heteroseksualności, by stać się sędziami w tej sprawie?

Tych dwunastu, wszyscy wyniesieni do godności kardynała, to: sekretarz osobisty papieża Stanisław Dziwisz, sekretarze stanu Agostino Casaroli i Angelo Sodano, przyszły papież Joseph Ratzinger; wysocy urzędnicy sekretariatu stanu: Giovanni Battista Re, Achille Silvestrini, Leonardo Sandri, Jean-Louis Tauran, Dominique Mamberti i nuncjusze Renato Raffaele Martino i Roger Etchegaray. No i oczywiście pewien kardynał, bardzo wówczas wpływowy: Jego

Eminencja Alfonso López Trujillo.

14.
Dyplomaci papieża

– Ach, jest pan dziennikarzem?

Monsinior Ricca spogląda na mnie z niepokojem i odrobioną pożądania.

– Mam problemy z dziennikarzami – informuje Ricca, wpatrując mi się w oczy.

– On jest dziennikarzem francuskim, Francuzem – mówi z naciskiem arcybiskup François Bacqué, który właśnie nas sobie przedstawił.

– Aaa… – odzywa się Ricca z wymuszonym uśmiechem.

I słynny Battista Ricca kontynuuje:

– Moim problemem są dziennikarze włoscy. Mają pustkę we łbach! Nic! Zero inteligencji! Ale skoro pan jest Francuzem, to może jest jakaś szansa, że jest pan inny. Mam dobre przeczucie!

Moje śledztwo było już solidnie zaawansowane, zacząłem nawet pisać tę książkę, kiedy dostałem zaproszenie do zamieszkania w Domus Internationalis Paulus VI. Przedtem mieszkałem w Rzymie w mieszkaniach wynajętych za pośrednictwem Airbnb, najczęściej w okolicach Roma Termini.

Arcybiskup François Bacqué, emerytowany nuncjusz apostolski, zaproponował mi pewnego dnia, że zarezerwuje mi pokój w Domus Internationalis Paulus VI. Tak to się zaczęło. Wystarczyła jego rekomendacja, żebym mógł zamieszkać w tym świętym miejscu dyplomacji watykańskiej.

Domus Internationalis Paulus VI znajduje się pod numerem 70

przy Via della Scrofa w Rzymie. Ta oficjalna rezydencja stolicy apostolskiej jest miejscem „eksterytorialnym”, poza granicą Włoch: karabinierzy nie mogą tam wchodzić, a w przypadku kradzieży, gwałtu czy innej zbrodni może się tym zająć kiepska żandarmeria watykańska i bardzo niekompetentny wymiar sprawiedliwsi stolicy apostolskiej.

Rezydencja ta, zwana również Casa del Clero (Dom Księży) znajduje się w idealnym miejscu, między Piazza Navona a Panteonem – jednym z najpiękniejszych miejsc Rzymu: świątynią pogańską, laicką, jeśli nie republikańską, niezwykłym symbolem „państwowej religii” poświęconej wszystkim wierzeniom i wszystkim bogom, przebudowaną przez cesarza LGBT Hadriana – zanim stała się przedmiotem nieprawego „zawłaszczenia kulturowego” przez włoski katolicyzm!

Domus Internationalis Paulus VI jest niezwykle ważnym miejscem dla stolicy apostolskiej. Dlatego mieszkanie w samym sercu machiny watykańskiej to dla mnie szansa. Jestem tam uważany za przyjaciela, a nie obcego. Przede wszystkim jest to hotel przejściowy dla watykańskich dyplomatów – słynnych nuncjuszy apostolskich – kiedy przebywają w Rzymie. Czasem zamiast u Świętej Marty przemieszkują tam również cudzoziemscy kardynałowie i biskupi. W czasie swych przyjazdów do Rzymu mieszkał tam kardynał Jorge Bergoglio: są zdjęcia, które ukazują go niedługo po wyborze w białej sutannie, osobiście opłacającego rachunek hotelowy.

Nie licząc duchownych będących w Rzymie przejazdem, w Casa del Clero mieszka stale kilku emerytowanych nuncjuszy, biskupów bez przydziału albo hierarchów zajmujących eksponowane stanowiska w stolicy apostolskiej. Wielu korzysta z pełnego albo częściowego wyżywienia. W trakcie śniadań w salonie na pierwszym piętrze albo wspólnych obiadów w wielkiej sali restauracyjnej, nie

mówiąc o rozmówkach przed automatami do kawy albo w trakcie długich wieczorów przed telewizorem, poznam nuncjuszy, „minutantów" sekretariatu stanu albo sekretarza Kongregacji do spraw Biskupów. Kelnerzy w Casa del Clero – z których jeden jest playboyem godnym okładki „The Advocate" [najpopularniejsze amerykańskie pismo LGBT – przyp. red.] – muszą na siebie uważać! Wśród tylu krzyżujących się spojrzeń przekwitających nuncjuszy i innych hierarchów jest się czego obawiać! Komfort świętych pokoi w Casa del Clero jest iście spartański: jedna emerytowana żarówka rzuca surowe światło na jednoosobowe łóżko, na ogół w towarzystwie krzywo wiszącego krucyfiksu. Wąskie łóżka dla księży, które tak często widziałem w watykańskich apartamentach, w swych wymiarach są zdecydowanie konserwatywne.

W szufladzie niemodnej i koślawej szafki nocnej – Biblia (którą natychmiast zastępuję *Sezonem w piekle*). W łazience neonówka chyba jeszcze z czasów Piusa XI, emitująca blask nie większy niż kuchenka mikrofalowa. Mydło wyliczane jest na gramy (i trzeba je zwrócić). Kto to powiedział, że katolicyzm nie znosi życia?

W czasie mojego pobytu mój sąsiad z pokoju obok na czwartym piętrze był zdecydowanie wybrańcem losu. To jest zaleta stałego mieszkania tutaj. Ponieważ wciąż spotykałem tego znamienitego „minutanta" z sekretariatu stanu, któregoś dnia (był w bokserkach – czyżby wybierał się na koncert Cher?) udało mi się zerknąć do jego wielkiego narożnego apartamentu. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem zdumiewające, wielkie czerwone łoże dla dwóch osób, które mogło być niegdyś dekoracją do jakiegoś filmu Felliniego. Nigdy wyrażenie „tajemnica alkowy" nie wydało mi się bardziej pasujące do rzeczywistości. Nieopodal inny słynny pokój, ten z numerem 424, należący swego czasu do Angelo Roncallego, przyszłego papieża Jana XXIII.

Śniadanie też jest ascetyczne. Przyłączam się, żeby zrobić przyjemność księżom, którzy wytrwale mnie zapraszają. Wszystko tu jest nieprzyjazne: chleb umęczony, ale nie dopieczony, jogurt z dyskontu, kawa z ekspresu zamiast espresso, mało katolickie płatki kukurydziane. Tylko kiwi co rano dostępne w nieograniczonej ilości są soczyste, ale dlaczego kiwi? I czy trzeba je obierać jak brzoskwinie, czy dzielić na pół jak awokado? I ta kwestia była tutaj podobno dyskutowana, mówi mi François Bacqué. Zjadam cztery kiwi. Śniadania w księżej rezydencji przypominają te z domów opieki, w których uprzejmie prosi się pensjonariuszy, żeby umierali nie za wolno i zwalniali miejsca dla innych, nieco mniej zgrzybiałych – a takich nie brakuje w tym wielkim hospicjum, jakim jest Watykan.

Właśnie w salonach Domus Internationalis Paulus VI przeznaczonych na lekturę, na pierwszym piętrze, poznałem Laurenta Monsengwo Pasinyę, dostojnego kardynała kongijskiego z Kinszasy, członka rady kardynałów Franciszka, który – jak mi powiedział – lubi przed spotkaniami z papieżem mieszkać w Casa del Clero, „bo jest się tu swobodniejszym" niż w Watykanie.

Dyrektor Casa del Clero i wszystkich innych watykańskich rezydencji, monsinior Battista Ricca, też tu mieszka, a jego niedostępny – i jak się wydaje – ogromny apartament znajduje się w lewej antresoli, pod numerem 100. Ricca regularnie jada tutaj obiady, skromnie, z dwoma przyjaciółmi, jak w rodzinie, przy nieco oddalonym stole. Podczas jednego z naszych spotkań wieczorem przed telewizorem w salonie na pierwszym piętrze podarowałem mu słynną białą książkę. Okazał nieposkromioną radość i serdecznie mi podziękował.

Można tu też spotkać Fabiàno Pedacchia, osobistego sekretarza papieża Franciszka, który długo tu mieszkał i, jak powiadają, zachował pokój, by pracować w spokoju z brazylijskim biskupem

Jesusem Montanarim, sekretarzem Kongregacji do spraw Biskupów, albo z Fabio Fabenem, podsekretarzem synodu biskupów. Mieszka tu także Mauro Sobrino, prałat jego świątobliwości – wymieniliśmy się kilkoma sekretami. Jakaś tajemnicza para chłopaków, dinkies i bioqueens, którzy w kółko słuchają *Born This Way* Lady Gagi też tu mieszka, miałem z nimi kilka nocnych rozmów bogatych we wrażenia. Także pewien ksiądz baskijski ma ciekawe znajomości w tym „magicznym kręgu", według wyrażenia, jakie tu usłyszałem.

Arcybiskup François Bacqué mieszka to od czasu, kiedy zakończył swoją karierę dyplomatyczną. Ten podupadły arystokrata czeka wciąż na kardynalską purpurę. Innego Francuza, również pochodzącego z Bordeaux kardynała Jeana-Louisa Taurana, absolutnego plebejusza, Bacqué mógłby zapytać: „Jakim sposobem zostaje się kardynałem, nie będąc arystokratą? I dlaczego ja nie jestem kardynałem, skoro mam pochodzenie arystokratyczne?" (to sformułowanie przytacza mi jeden z asystentów Taurana).

Przykładów tego rodzaju można tu znaleźć na pęczki. W Casa del Clero młodzi ambitni mają wielkie nadzieje, a odsunięci emeryci pielęgnują swoje pełne goryczy ego. Z powodu tych ostatnich spadkobierców chylącego się ku upadkowi katolicyzmu Casa w przedziwny sposób łączy wschodzącą i odchodzącą duchowną arystokrację.

Trzy kaplice, na drugim i trzecim piętrze księżego domu, pozwalają odprawiać msze o dowolnej porze. Czasem odbywają się nabożeństwa dla grup gejowskich (jak potwierdza mi na piśmie jeden z księży). Pralnia pozwala nuncjuszom nie troszczyć się o swoje brudy. Wszystko jest tanie, ale trzeba płacić gotówką. Kiedy będę regulował rachunek, czytnik kart w Domus Internationalis Paulus VI „wyjątkowo" będzie miał awarię – co się powtórzy przy każdym z moich pobytów. Pewien rezydent poinformuje mnie wreszcie, że ta

machina „ma awarię od lat” – może to sposób na włączenie do obiegu gotówki?

W Casa del Clero nie ma zwyczaju nocnego markowania, jest za to obyczaj wczesnego wstawania. Kiedy pewnego dnia próbowałem wstać trochę później, z krzątaniny sprzątaczek i ich zniecierpliwienia wydedukowałem, że niemal zgrzeszyłem. Wieczorami zresztą drzwi Casa del Clero są zamykane o północy i wszyscy nuncjusze noktambulicy albo podróżujący dyplomaci z jet lagiem spotykają się w salonie czytelniczym i dyskutują do późna. Oto paradoksalna zasługa godziny policyjnej z innej epoki.

FASCYNUJE MNIE brama wjazdowa. Kojarzy mi się z Gide’em. Zresztą napisał on w *Jeżeli nie umiera ziarno,* że ten typ drzwi wejściowych wskazywał na wyskoki status społeczny i był niezbędny w każdej dobrej mieszczańskiej siedzibie. Kiedyś bowiem tego rodzaju bramy umożliwiały wjazd powozów konnych i wsiadanie do nich z poziomu mieszkania. Dziś w Casa del Clero powozów nie ma, ale za to jaka doborowa ekipa.

Na Via di San Agostino pod numerem 19 brama do Domus Internationalis Paulus VI jest dyskretnym wejściem bocznym bez nazwy. W kolorze brązowym, dwuskrzydłowa, bez podestu ani progu. W środku „furteczka” wycięta w jednym skrzydle, żeby umożliwić pieszym dyskretne wejście nocą. Krawężnik jest obniżony. Obramowanie z ociosanego białego kamienia służy jako futryna. W drewnianych odrzwiach widoczne żelazne ćwieki i zwyczajna klamka, starta po tylu przejściach dziennych i tylu nocnych odwiedzinach. O, bramo z dawnych czasów, ileż historii pamiętasz!

Obserwowałem często te podwójne odrzwia, śledząc wejścia i wyjścia, fotografowałem piękny portal. To dość głęboka brama i jest coś z podglądactwa w przypatrywaniu się temu miejskiemu portalowi jak z epoki dyliżansów. To upodobanie wyjaśnia fakt,

że sztuka fotografowania drzwi stała się tak popularnym zjawiskiem na Instagramie, hasztag #doortraits. Dalej jest przejście, krata, potem wewnętrzny dziedziniec. Wewnętrznymi schodami, z których korzystałem bardzo często, dochodzi się do windy C, a więc i do pokoi w rezydencji, bez potrzeby przechodzenia przez stróżówkę czy recepcję. Jeśli ktoś dysponuje kluczami, może wejść i wyjść, otwierając kratę i bramę po regulaminowej ciszy nocnej o północy. Co za gratka! Jak w epoce dyliżansów!

Podejrzewam, że ta brama zna wiele sekretów Watykanu. Czy kiedyś je opowie? Na szczęście z tej strony nie ma portierni. Kolejna gratka! Którejś sierpniowej niedzieli w 2018 roku widziałem pewnego duchownego z sekretariatu stanu czekającego na swojego pięknego chłoptasia w czerwonych szortach i niebieskich tenisówkach nieszczędzącego mu uścisków na ulicy i w café Friends, a potem zabierającego go do Domus Internationalis Paulus VI.

Wyobrażam sobie również, że bywają takie noce, kiedy jakiś mnich czuje pilną potrzebę uczestniczenia w porannym nabożeństwie w kościele Sant'Agostino znajdującym się dokładnie naprzeciwko bramy, że jakiś podróżujący nuncjusz odczuwa nagłą chęć spojrzenia na cudowną Madonnę pielgrzymów Caravaggia i wychodzi, nie czekając dnia. Accademia dell'Arcadia, z dumą nosząca tę nazwę, również znajduje się niemal naprzeciwko bramy, tak samo jak Biblioteca Angelica, jedna z najładniejszych w Rzymie, więc jakiś duchowny, mający nieodpartą potrzebę skonsultowania kilku inkunabułów albo przyjrzenia się zdobionym iluminacjami stronicom słynnego Codex Angelicus – w każdej chwili może to zrobić. Poza tym z Casa del Clero sąsiaduje od północnego zachodu Papieski Uniwersytet Świętego Krzyża, bardziej znany jako uniwersytet Opus Dei. Przez jakiś czas można było się tam dostać z księżej rezydencji odsłoniętą galerią, obecnie niedostępną. Teraz, jeśli trzeba się udać

na lektorat z łaciny albo wziąć udział w spotkaniu z młodym seminarzystą z Opus Dei, trzeba wychodzić nocą przez furtkę w bramie!

Casa del Clero ma też swoją osobliwość. Jest nią McDonald's znajdujący się w zachodniej części tej ogromnej budowli, na Piazza delle Cinque Lune. Watykan, jak wiadomo, jest zbyt ubogi, by móc utrzymać swoje posiadłości, musiał więc się poświęcić i zgodzić na wpuszczenie w swe progi tego symbolu śmieciowego amerykańskiego jedzenia. Ale według moich informacji monsinior Ricca podpisał umowę dzierżawy, nie mając noża na gardle.

Dużo dyskutowano o tym, że McDonald's powstaje w pobliżu Watykanu, w budynku nienależącym do stolicy apostolskiej, ale jakoś nikt się nie oburzył, że fast food tej samej sieci ma zgodę Watykanu na zainstalowanie się w jednej z jego rzymskich rezydencji.

– Po prostu przeniesiono mały ołtarzyk poświęcony świętej dziewicy, który znajdował się nad wejściem, obecnie wykorzystywanym przez klientów McDonald's, bliżej portalu Casa del Clero, na Via della Scrofa – wyjaśnia mi jeden z mieszkańców rezydencji.

Faktycznie, widzę to niebieskie, czerwone i żółte retabulum w przedsionku głównego wejścia, do którego biedna dziewica wbrew swojej woli została nonszalancko przeniesiona. Czy to McDonald's naciskał, aby oddalić świętą dziewicę od jego McNuggetsów?

Kontrast w każdym razie jest uderzający: wąskie drzwi strzeżone regułami ciszy nocnej z kapliczką z przodu oraz dwuskrzydłowa brama wjazdowa z tyłu: oto surowa prawda katolicyzmu. Papież zna Casa del Clero i wszystkie jego tajemnice, za długo tu mieszkał, żeby ich nie znać.

Dni stają się coraz ładniejsze, zaczyna się okres wakacji i jest jeszcze

ciekawiej. Domus Internationalis Paulus VI staje się niemal kurortem. Młodzi sekretarze nuncjatury, którzy gdzieś pogubili swoje koloratki, w beżowych obcisłych T-shirtach i czerwonych szortach rozmawiają przed wejściem, zanim zacznie się cisza nocna, a nuncjusze z krajów rozwijających się wymykają się tuż przed północą i zamiast siedzieć w tym schronisku YMCA, wyruszają na wieczorki DYMK (czyli Does Your Mother Know?). Wrócą nad ranem, zachrypnięci, bo za dużo i za głośno śpiewali *I Will Survive* albo *I Am What I Am,* tańcząc z palcem wskazującym lewej dłoni skierowanym ku niebu, jak Święty Jan Chrzciciel, na festiwalu Gay Village Fantàsia w dzielnicy EUR, gdzie ich widziałem.

– W moich czasach ksiądz nigdy nie włożyłby czerwonych szortów, takich jak te – zauważa zirytowany arcybiskup François Bacqué, kiedy przechodzimy obok tych modeli robiących wrażenie, że dziś wieczorem przed Casa del Clero będzie jakieś happy hour.

„PODRÓŻOWAĆ SAMEMU ZNACZY PODRÓŻOWAĆ Z DIABŁEM” – to słowa katolickiego powieściopisarza (i homoseksualisty) Juliena Greena. Mogłyby się stać jedną z zasad życia nuncjuszy apostolskich, których tajemnice powoli odkrywam. Na samym początku mojego śledztwa jeden z ambasadorów w stolicy apostolskiej uprzedzał mnie:

– Jak pan sam zobaczy, w Watykanie jest dużo gejów: 50, 60, 70 procent. Ilu dokładnie, tego nikt nie wie. Ale sam pan stwierdzi, że wśród nuncjuszy ten procent jest najwyższy! W świecie Watykanu i tak już w przeważającej części gejowskim oni są gejowscy najbardziej!

Wobec mojego zaskoczenia tym stwierdzeniem dyplomata roześmiał mi się w nos:

– Wie pan, wyrażenie „nuncjusz homoseksualista” jest swego rodzaju pleonazmem!

Trzeba spróbować zrozumieć ten paradoks: pomyślmy o dobrych sposobnościach, jakie oferuje sytuacja osoby samotnej na końcu świata. Okazje są tak piękne, kiedy jest się daleko od domu, tak liczne w Maroku i w Tunezji, tak łatwe do napotkania w Bangkoku i w Tajpej. Azja i Bliski Wschód to obszary misji, a dla nuncjuszy, będących z natury nomadami, to prawdziwa ziemia obiecana. We wszystkich tych krajach widziałem ich w działaniu, otoczonych swymi przystojniakami, wymuskanych albo podekscytowanych, odkrywających prawdziwe życie z dala od Watykanu i powtarzających wciąż: Ach, ten kulis! Ach, ten przewoźnik! Ach, ten wielbłądnik! Ach, ten ryksiarz! „Rozpaleni męską żądzą podróży" zgodnie z pięknym określeniem poety Paula Verlaine'a nuncjusze korzystają także ze swoich rezerw naturalnych: seminarzystów, tych, którzy się do seminarium przygotowują, młodych mnichów, którzy w Trzecim Świecie są jeszcze bardziej przystępni niż w Rzymie.

– Kiedy podróżuję za granicę, użyczają mi Legionistów Chrystusa – zwierza mi się inny arcybiskup (nie uważa, że jest coś złego w tym sformułowaniu, które jednak daje pewne pojęcie o stosunku arcybiskupa do Legionistów z „dawnej kolonii").

– Słowa „faktorie", „koncesje" i „kolonie" wciąż rozpalają wielu księży! – mówi mi z niebywałą szczerością pewien misjonarz, Francuz, również homoseksualista, z którym rozmawiałem kilkakrotnie w Paryżu.

W trakcie zbierania materiałów do tej książki spotkałem wielu innych księży misjonarzy w Azji, Afryce, w Maghrebie i w Ameryce Łacińskiej. W tej części książki wykorzystuję również świadectwa około dwudziestu nuncjuszy i dyplomatów, którzy opowiadali mi o zwyczajach swoich przyjaciół i współwyznawców.

W rzeczywistości bowiem jest to tajemnica poliszynela. Księża wszędzie zostawiają jakieś ślady. Właściciele gejowskich barów,

z którymi rozmawiałem na Tajwanie, w Hanoi czy w Hue, nie szczędzą pochwał dla tej klienteli, wiernej i poważanej. Kelnerzy w barach w dzielnicy Shinjuku Ni-chōme w Tokio palcem pokazywali stałych bywalców. Dziennikarze geje zajmujący się tym tematem w Bangkoku prowadzili śledztwa na temat kilku spraw „obyczajowych" lub afer z wizami, kiedy jakiś duchowny chciał zabrać do Włoch młodego Azjatę bez dokumentów. Obecność księży czy zakonników europejskich jest wszędzie poświadczona.

Dla nuncjuszy takie podróże są podstawą ich pracy zawodowej, natomiast księża z kurii na innowacyjne eksploracje seksualne z dala od Watykanu wykorzystują urlopy. Oczywiście, owi księża w Manili czy w Dżakarcie rzadko ujawniają swój status zawodowy. Nie występują tam jako duchowni.

– Ze względu na słabość charakteru w świetle obowiązujących zasad i ponieważ zbyt długo utrzymywali swe pragnienia na wodzy, za granicą po prostu „eksplodują" – mówi mi jeden z misjonarzy. – Ostatnio bardzo wysoko ceniony jest Wietnam. Komunistyczny reżim i cenzura prasy chronią duchownych w razie skandalu, gdy tymczasem w Tajlandii wszystko teraz ukazuje się na łamach prasy (jak daje mi do zrozumienia tajlandzki biskup Francis Xavier Vira Arpondratana w czasie kolejnych spotkań i przy obiadach).

– Turystyka seksualna zmienia kierunek – wyjaśnia M. Dong, właściciel dwóch gejowskich barów w Hue. – Z miejsc, gdzie wszystko dzieje się w świetle reflektorów, takich jak Tajlandia czy Manila, przenosi się tam, gdzie media są spokojniejsze, jak w Indonezji, Malezji, Kambodży, Birmie czy tu, w Wietnamie. (Nazwa jednego z barów M. Donga, który odwiedziłem w Hue, bardzo mnie bawi: Ruby, jak imię damy do towarzystwa Berlusconiego podczas słynnych bunga-bunga).

Azja nie jest jedynym kierunkiem wypraw księży, ale jednym

z najbardziej cenionych przez wszystkich wykluczonych z unormowanej seksualności; oferowana tam anonimowość i dyskrecja nie mają sobie równych. Afryka, Ameryka Południowa (na przykład Republika Dominikańska, gdzie wyszła książka opisująca siatkę księży gejów) i Europa Wschodnia mają także swych zwolenników. Nie wspominając o Stanach Zjednoczonych, kolebce wszystkich jednoosobowych Stonewalli. Widać ich opalających się na plażach któregoś z P-town, wynajmujących bungalowy na O' the Pines albo Airbnb w dzielnicach gejowskich Hell's Kitchen, Boystown czy Fort Lauderdale. Pewien francuski ksiądz powiedział mi, że zwiedziwszy skrupulatnie te dzielnice „guppies" (gays yuppies) i amerykańskie postgejowskie kwartały, czuje żal z powodu ich zbytniej „koedukacyjności" i braku „gejowskości".

Ma rację: dziś procent homoseksualistów wyższy jest w „szafach" Watykanu niż w postgejowskich dzielnicach San Francisco.

Są też tacy, którzy wolą zostać w Europie i uprawiać gejowski clubbing w Berlinie, zafundować sobie sadomasochistyczne noce w Club Church w Amsterdamie, nie przegapić „closing" na Ibizie, świętować „birthday" – który przeradza się już w „birthweek" w Barcelonie (wymienione przykłady dotyczą zawsze konkretnych nuncjuszy lub księży, których emocjonalną turystykę mi opisano).

I tak precyzuje się kolejna reguła Sodomy, już jedenasta: *Większość nuncjuszy to homoseksualiści, ale ich dyplomacja jest zasadniczo homofobiczna. Potępiają to, czym są. Co do kardynałów, biskupów czy księży, to im więcej podróżują, tym bardziej są podejrzani!*

NUNCJUSZ LA PAÏVA, o którym już wspominałem, nie odstaje od normy. To też niezły okaz! I co za postać! Arcybiskup wiecznie kogoś reprezentujący. I ewangelizujący. Jest jednym z tych, którzy

w wagonie prawie pustego pociągu albo w równie pustym autobusie siedzą obok jakiegoś efeba podróżującego samotnie, żeby spróbować sprowadzić go na drogę wiary. Gotów jest też dreptać ulicą, sam go w takiej sytuacji widziałem, podobny do osławionego nuncjusza z rzeźby Fernando Botera – duży, okrąglutki i czerwoniutki – jeśli dzięki temu można nawiązać rozmowę z jakimś seminarzystą, do którego zapałał nagłą sympatią.

Jednocześnie La Païva jest dość interesujący mimo swego obskurantyzmu. Kiedy idziemy w Rzymie do restauracji, chce, żebym włożył koszulę i marynarkę, chociaż na ulicy trzydzieści stopni. Któregoś wieczoru niemalże robi mi scenę: nie podoba mu się mój „grunge look", i to „wcale". Powinienem się ogolić na gładko! Dostaję od La Païvy burę:

– Nie rozumiem, dlaczego teraz młodzi zapuszczają sobie brody (przy czym doceniam, że La Païva mówi o mnie jak o młodzieńcu).

– Nie zapuszczam sobie brody, ekscelencjo. I nie o to chodzi, że jestem niedokładnie ogolony. To się nazywa zarost trzydniowy.

– To z lenistwa, tak?

– Ja po prostu uważam, że tak jest ładniej. Golę się co trzy albo cztery dni.

– Wolę pana bez brody.

– Ale przecież pan także miał zarost, prawda?

Myślę o portrecie Chrystusa pędzla Rembrandta (*Christuskopf*, niewielki obraz, który widziałem w Gemäldegalerie w Berlinie). To może najpiękniejszy jego wizerunek: twarz delikatna i wrażliwa, Chrystus ma długie, rozburzone włosy i długą, nierówną brodę. To taki Chrystus „grunge", niewykluczone, że mógłby nosić podarte dżinsy! Modelem dla Rembrandta do tego obrazu był jakiś anonimowy, żywy człowiek – co było nowością w ówczesnym religijnym malarstwie – bez wątpienia jakiś młody mężczyzna

ze wspólnoty żydowskiej Amsterdamu. Stąd właśnie jego łagodność i naturalność. Wzrusza mnie kruchość tego Chrystusa, tak jak poruszyła ona François Mauriaca, który tak bardzo lubił ten portret i który – jak my wszyscy – pokochał go.

NUNCJUSZE, dyplomaci i biskupi, których spotkałem w Domus Internationalis Paulus VI, to żołnierze papiescy działający na całym świecie. Od czasu wyboru Jana Pawła II ich międzynarodowa działalność była nowatorska i sprzyjająca walce o prawa człowieka, przeciwko karze śmierci, prowadząca do rozbrojenia nuklearnego, do procesu pokojowego. Franciszek niedawno uznał za priorytetowe działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego, zbliżenie między Stanami Zjednoczonymi a Kubą i porozumienie między rządem a partyzantami Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii (FARC).

– To jest dyplomacja cierpliwości. Watykan nigdy się nie poddaje, nawet jeśli inne mocarstwa odpuszczają. A kiedy wszyscy opuszczają jakiś kraj, na przykład z powodu wojny, nuncjusze pozostają pod bombami. Tak było w Iraku i ostatnio w Syrii – podkreśla Pierre Morel, były ambasador Francji w stolicy apostolskiej.

Morel wyjaśnia mi dokładnie podczas kilku spotkań w Paryżu, jak funkcjonuje dyplomacja watykańska. Opowiada szczegółowo o roli poszczególnych nuncjuszy, sekretariatu stanu, Kongregacji do spraw Kościołów Wschodnich, „czerwonego papieża” (kardynał prefekt odpowiedzialny za „ewangelizację narodów”, czyli Trzeciego Świata), „czarnego papieża” (przełożony generalny zakonu jezuitów), wreszcie „dyplomacji równoległej”. Koordynuje to wszystko sekretariat stanu, to on określa kurs. Ten aparat dyplomatyczny, skuteczny i niedoceniany za Jana Pawła II i Benedykta XVI, został oddany w służbę ultrakonserwatywnej i homofobicznej krucjaty. Można ją przedstawić, omawiając drogę dwóch symbolicznych postaci, nuncjuszy, którzy byli stałymi obserwatorami Watykanu przy

Organizacji Narodów Zjednoczonych: arcybiskupa Renato Martino, dziś kardynała, i nuncjusza Silvano Tomasiego.

KIEDY PRZYSZEDŁEM do mieszkania Renato Raffaele Martina przy Via Pfeiffer w Rzymie, dwa kroki od Watykanu, drzwi otworzył mi szeroko uśmiechnięty, dwudziesto- może trzydziestoletni Filipińczyk, uosobienie azjatyckiej urody. Bez słowa zaprowadził mnie do salonu, do którego po chwili wszedł kardynał.

Nagle stoi przede mną nie jeden Renato Martino, ale ich dziesięciu. Jestem dosłownie otoczony portretami kardynała naturalnej wielkości, malowanymi w rozmaitych ujęciach, czasem zajmującymi całą powierzchnię płótna. Nuncjusz prezentuje się na wszystkich ścianach i we wszystkich zakątkach swego apartamentu.

Rozumiem, że w wieku osiemdziesięciu sześciu lat kardynał nie posiada się z dumy z powodu swej kariery trwającej od czasu święceń biskupich udzielonych przez wielkiego Agostino Casarolego i że zna swoją wartość. Ostatecznie walczył jak piękny diabeł, żeby zahamować walkę z AIDS na pięciu kontynentach, z pewnym sukcesem zresztą, a to nie jest dane każdemu. Jednakże tyle własnych portretów naraz, tak dużych, tyle wzniesionych i wyniosłych postaci – to już zahacza o śmieszność. Ciąg dalszy harmonizuje z początkiem. Stary człowiek nie odpowiada właściwie na moje pytania, choć jak większość nuncjuszy mówi nienaganną francuszczyzną; zabiera mnie za to na obchód swojej siedziby. Mówi mi, że podczas swej długiej kariery nuncjusza odwiedził 195 krajów. Z tych podróży przywiózł ogromną liczbę różnych przedmiotów, które teraz mi pokazuje. Jesteśmy w jadalni, w prywatnej kaplicy, w nieskończenie długim korytarzu, w dziesięciu pokojach i wreszcie na wielkim tarasie z pięknym widokiem na katolicki Rzym. Ten apartament jest przynajmniej piętnaście razy większy od pokoju papieża Franciszka.

To całe muzeum, prawdziwy gabinet osobliwości, albo – powiedzmy – bigoterii. Kardynał pokazuje mi jeden po drugim ordery w liczbie trzydziestu ośmiu, dwieście medali z wygrawerowanym jego nazwiskiem, czternaście tytułów doktora honoris causa i szesnaście portretów. Widzę również ozdobione herbem chusteczki do nosa, świecidełka, poobtłukiwane miniaturki słoni, piękny kapelusz panama w stylu kolonialnym, ściany ozdobione dyplomami przyznanymi „Jego Najczcigodniejszej Eminencji” z herbem jakiegoś tam dziwnego zakonu rycerskiego (możliwe, że Świętego Januarego). I kiedy tak idziemy jeden za drugim pomiędzy tymi relikwiami i tymi fetyszami, widzę, jak filipiński paź spogląda na nas z dala ze smutkiem, skrępowaniem i apatią – musiał często oglądać taką procesję.

W tym wielkim karawanseraju, jakim jest apartament kardynała, w tej graciarni, odkrywam teraz zdjęcie na słoniu w towarzystwie pięknego efeba; tu znowu nuncjusz pozuje beztrosko z tajlandzkim towarzyszem, tam z kolei z młodymi Laotańczykami, Malezyjczykami, Filipińczykami, Singapurczykami czy Tajlandczykami – tak wielu uroczych przedstawicieli krajów, w których był internuncjuszem, pronuncjuszem lub nuncjuszem. Najwyraźniej Martino kocha Azję. I bynajmniej nie ukrywa w szafie swojego zamiłowania do słoni: zdjęcia w dużych formatach można zobaczyć w każdym zakątku apartamentu.

Według dwóch źródeł dyplomatycznych droga do nominacji Martina na kardynała przez Jana Pawła II była długa i wyboista. Czy miał jakichś wrogów? Czy brakowało mu gładkości? Zbyt kosztowne podróże albo za dużo plotek? W każdym razie musiał przeczekać kilka konsystorzy. A za każdym razem, kiedy dym dla niego nie był biały, Martino czuł się coraz bardziej rozgoryczony. Tym bardziej że długo wcześniej za ciężkie pieniądze kupił już sobie biret, piuskę, czerwoną

pelerynkę i pierścień z szafirem. Ta komedia ludzka trwała kilka lat i kapę z falistego jedwabiu przetykanego złotą nicią zdążyły ponadgryzać mole, zanim nuncjusz, w wieku prawie siedemdziesięciu jeden lat, został wreszcie obdarzony purpurą kardynalską (w swej *Testimonianzie* arcybiskup Viganò wyraźnie autuje Martina, podejrzewając go o to, że należy do „homoseksualnego trendu" w kurii, przeciwko czemu jego przyjaciele żywo zaprotestowali w specjalnie wydanym komunikacie).

W kaplicy kardynała, pośród medalionów i portretów Martina oraz innych maskotek starannie chronionych przed słońcem zasłonami z frędzlami odkrywam trójcę świętą artystów LGBT: Leonarda da Vinci, Michała Anioła i Caravaggia. Każdy z tych znanych homoseksualistów w tym najbardziej prywatnym miejscu ma prawo do jednej przyciętej reprodukcji któregoś ze swych dzieł. Rozmawiamy kilka chwil o filipińskim chłopcu do wszystkiego i Martino, który jak się wydaje, nie połapał się, do czego zmierzam, przedstawia mi idylliczny portret tego chłopca. Dodaje, że w istocie ma w służbie „dwóch Filipińczyków", których zdecydowanie woli od tradycyjnych siostrzyczek. To zrozumiałe.

Stary Testament, jak każdy wie, pełen jest postaci dużo barwniejszych, dużo zuchwalszych, a także dużo potworniejszych niż te, które zapełniają Nowy. Kardynał Renato Martino jest w pewnym sensie taką właśnie starotestamentową postacią. Dziś jeszcze jest honorowym prezesem Instytutu Dignitatis Humanae, stowarzyszenia katolików skrajnej prawicy i ultrakonserwatywnego lobby politycznego kierowanego przez Anglika Benjamina Harnwella. Jeśli jest w tej książce jakaś organizacja strukturalnie homofobiczna – to chodzi o tę właśnie, a Renato Martino jest jej przewodnikiem.

W 195 krajach, które odwiedził, w ambasadach, gdzie był nuncjuszem, a także „stałym obserwatorem" stolicy apostolskiej przy

Narodach Zjednoczonych – przez szesnaście lat (od 1986 do 2002 roku) – Renato Martino był wielkim obrońcą praw człowieka, ale też egzaltowanym wojownikiem przeciwko prawu do przerywania ciąży, jak również zagorzałym przeciwnikiem praw gejów i używania prezerwatyw. W ONZ Renato Martino był tubą Jana Pawła II – musiał głosić linię papieską. Jego margines działania był – to prawda – ograniczony, jak u wszystkich dyplomatów. Jednakże według ponad dwudziestu świadków z Nowego Jorku, Waszyngtonu i Genewy, w tym trzech byłych ambasadorów przy ONZ, Martino wypełniał swoją misję, wykazując tak głęboką antygejowską obsesję, tak wielką osobistą niechęć do homoseksualistów, że jego nienawiść stała się podejrzana.

– Pan Martino nie był normalnym dyplomatą – wyjaśnia mi pewien ambasador, który był jego odpowiednikiem w Nowym Jorku. – Nigdy nie widziałem kogoś tak bardzo dwulicowego. Jako stały obserwator stolicy apostolskiej przy ONZ miał dwa oblicza, a jego linia polityczna zdecydowanie miała dwie miary i dwie wagi. Z jednej strony miał głęboko humanistyczne podejście do praw człowieka, naturalne dla stolicy apostolskiej, zawsze bardzo umiarkowane. To był wielki obrońca sprawiedliwości, pokoju i, jak sobie przypominam, praw Palestyńczyków. A potem nagle, kiedy omawiano problem walki z AIDS, przerywania ciąży i depenalizacji związków homoseksualnych, stawał się manichejczykiem i mściwym fanatykiem, jak gdyby dotyczyło to jego osobiście. O prawach człowieka wypowiadał się trochę tak jak Szwajcaria lub Kanada, natomiast potem o kwestii gejów i AIDS mówił jak Uganda i Arabia Saudyjska! Zresztą Watykan zawarł potem przymierze z Syrią i Arabią Saudyjską w kwestii praw osób homoseksualnych; naszym zdaniem przymierze wbrew naturze. Martino to był doktor Jekyll i pan Hyde!

DRUGI DYPLOMATA WATYKAŃSKI, Silvano Tomasi, odegra

podobną rolę w Szwajcarii. O ile w Nowym Jorku znajduje się prestiżowa siedziba Narodów Zjednoczonych i Rady Bezpieczeństwa, o tyle w Genewie działa większość agend Narodów Zjednoczonych zajmujących się m.in. kwestią praw człowieka i walki z AIDS: biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Praw Człowieka, Światowa Organizacja Zdrowia, UNAIDS (Wspólny Program Narodów Zjednoczonych Zwalczania HIV i AIDS) i oczywiście Rada Praw Człowieka ONZ. We wszystkich tych organizacjach Watykan jest reprezentowany przez jednego „stałego przedstawiciela" bez prawa głosu.

Kiedy spotykam się z Silvano Tomasim w Watykanie, gdzie przyjmuje mnie podczas międzynarodowego spotkania odbywającego się w sali audiencyjnej Pawła VI, przeprasza mnie, że nie może mi poświęcić zbyt dużo czasu. Będziemy jednak rozmawiać ponad godzinę i hierarcha opuści ciąg dalszy konferencji, w której miał uczestniczyć.

– Niedawno papież Franciszek powiedział nam, zwracając się do nuncjuszy apostolskich, że nasze życie powinno być życiem „cygańskim" – mówi Tomasi po angielsku.

Tak więc Tomasi – jak wszyscy dyplomaci – przemierzył świat jako linoskoczek, nomada czy też Cygan. Był ambasadorem Watykanu w Etiopii, w Erytrei i jeszcze w Dżibuti, zanim został sekretarzem Papieskiej Rady ds. Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących.

– Uchodźcy i migranci to priorytet papieża Franciszka. On interesuje się tymi, którzy są na obrzeżach, na marginesie społeczeństwa, interesuje się uchodźcami. Chce być głosem tych, którzy nie mają głosu – mówi Tomasi. Sam nuncjusz ma potrójne obywatelstwo: Jest Włochem, urodził się na północ od Wenecji w roku 1940, jest obywatelem Państwa Watykańskiego jako nuncjusz, jest także Amerykaninem.

– Przyjechałem do Nowego Jorku w wieku osiemnastu lat. Byłem w Stanach katolickim studentem, obroniłem doktorat w New School w Nowym Jorku i długo byłem księdzem w Greenwich Village.

Mody Silvano Tomasi został wyświęcony w misji świętego Karola Boromeusza założonej pod koniec XIX wieku, której głównym celem była ewangelizacja Nowego Świata. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pełnił posługę w parafii dla włoskich emigrantów mieszkających w Nowym Jorku, Our Lady of Pompei, na rogu Bleecker Street i Szóstej Alei.

To dzielnica, którą bardzo dobrze znam, bo przez kilka lat mieszkałem na Manhattanie. Stąd w pięć minut pieszo dotrzesz do Stonewall Inn. To tu w czerwcu 1969 roku, właśnie wtedy, gdy młody Silvano Tomasi wprowadza się do tej dzielnicy, podczas pewnej nocy rozruchów rodzi się amerykański ruch homoseksualistów. To wydarzenie jest upamiętniane co roku na całym świecie jako Gay Pride. Greenwich Village staje się w latach siedemdziesiątych symbolicznym miejscem homoseksualnego wyzwolenia i to tutaj młody prałat wypełnia swą misję ewangelizacyjną wśród hipisów, transwestytów i gejowskich aktywistów, którzy szturmem zdobyli tę dzielnicę.

Podczas naszej rozmowy mówimy też o Village i o jego faunie LGBT. Złośliwy jak małpa Silvano Tomasi wypowiada się z wielką powściągliwością wzmocnioną jeszcze nie mniejszą rezerwą: nie dam się nabrać na sztuczki starego wygi!

– Widzi pan, rozmawiamy po przyjacielsku, mówię panu różne rzeczy, a potem pan zapamięta tylko słowa przeciw Kościołowi, jak wszyscy dziennikarze! – stwierdza Tomasi ze śmiechem i kontynuuje rozmowę (wywiad został autoryzowany za pośrednictwem biura prasowego Watykanu, a poza tym prałat dobrze wiedział, że jest nagrywany, bo korzystałem z doskonale widocznej nagry).

Nuncjusz Silvano Tomasi zjeździł kawał świata, a karierę swą kończy jako „stały obserwator" stolicy apostolskiej przy ONZ w Genewie. Tam właśnie od 2003 do 2016 roku będzie wprowadzał w życie dyplomację papieży Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Przez ponad dziesięć lat główny dyplomata Watykanu, a przy tym dobry znawca Greenwich Village prowadzi politykę tak samo obsesyjnie antygejowską jak w Nowym Jorku jego konfrater Renato Martino. Obaj nuncjusze działają zgodnie i z wielką energią, starając się blokować inicjatywy zmierzające do międzynarodowej depenalizacji homoseksualizmu i do używania prezerwatyw. Mnożą interwencje mające zahamować wszelkie inicjatywy Światowej Organizacji Zdrowia, Wspólnego Programu Narodów Zjednoczonych do Zwalczania HIV i AIDS (UNAIDS) czy Światowego Funduszu Walki z AIDS, jak potwierdza mi to wielu rozmówców z tych agencji Narodów Zjednoczonych, a wśród nich dyrektor generalny UNAID Michel Sidibé.

Jednocześnie w tym samym czasie obaj nuncjusze wykazują dyskrecję w sprawach wykorzystywania seksualnego przez księży. A w tych latach można już naliczyć tysiące podobnych przypadków. W sumie więc to swoista moralność o zmiennej geometrii.

– Dobry dyplomata dobrze reprezentuje własny rząd. A w tym przypadku dla Watykanu dobry nuncjusz apostolski to ten, który pozostaje wierny papieżowi i priorytetom, których broni – mówi mi wprost Tomasi, usprawiedliwiając swoje poczynania w Genewie, czyli absolutne posłuszeństwo linii narzuconej przez Jana Pawła II.

W ROKU 1989 papież po raz pierwszy wypowiada się w Watykanie o AIDS. Słuchają go lekarze i naukowcy. Wcześniej, w 1988 roku w Los Angeles, obejmował dziecko skazane na śmierć z powodu tej choroby. W orędziu bożonarodzeniowym w 1988 roku wzywał do okazywania współczucia ofiarom epidemii. Jednak

publicznie jeszcze się na temat AIDS nie wypowiadał. „To bardzo bolesne dla ludzkiej godności, a więc i moralnie zakazane – oświadcza tym razem Jan Paweł II – rozwijać zapobieganie chorobie AIDS oparte na odwoływaniu się do środków i leków, które są pogwałceniem prawdziwie humanistycznego sensu seksualności i które są środkiem uśmierzającym te głębokie cierpienia, gdy zaangażowana jest odpowiedzialność jednostki i społeczeństwa”.

Oczywiście papież nie używa słowa „prezerwatywa” (nigdy tego nie zrobi), ale ta pierwsza deklaracja wywołuje w świecie żywy oddźwięk. We wrześniu 1990 roku i w marcu 1993 papież ponawia wystąpienie na ten temat, tym razem na ziemi afrykańskiej, w Tanzanii, a potem w Ugandzie, w dwóch krajach najbardziej dotkniętych pandemią. Tam potwierdza, że „ograniczenia seksualne narzucone przez śluby czystości są jedynym pewnym i cnotliwym sposobem, by położyć kres tragicznej pladze AIDS”. Papież nie toleruje żadnego wyjątku od tej reguły, nawet w przypadku małżeństw bezobjawowych, podczas gdy w tym czasie w Ugandzie jedno na osiem było zarażone wirusem.

Te postawy będą zdecydowanie negowane nie tylko przez społeczność naukową i lekarską, ale też przez wpływowych kardynałów, takich jak Carlo Maria Martini czy Godfried Danneels (arcybiskup Paryża, Jean-Marie Lustiger, stosując niezrównaną kazuistykę, będzie bronił stanowiska Jana Pawła II, proponując wyjątki jako „mniejsze zło”).

Renato Martino w ONZ rozpoczyna szkodliwą kampanię przeciwko „bezpiecznemu seksowi” i stosowaniu prezerwatyw. Kiedy pewien komitet biskupów amerykańskich publikuje w 1987 roku dokument sugerujący, że należy informować ludność o środkach zapobiegawczych, Martino odwołuje się do wysoko postawionych osób, by zakazać publikacji tego tekstu. Potem robi wszystko, żeby

zapobieganie AIDS nie znalazło się w dokumentach lub deklaracjach ONZ. Nieco później wykorzystuje rzekomo naukowy artykuł rozpowszechniany masowo przez kardynała Lópeza Trujilla, piętnujący niebezpieczeństwa „seksu bez ryzyka" i w konkluzji ujawniający liczne przypadki przenoszenia wirusów podczas stosunków seksualnych z zabezpieczeniem. Jeszcze w 2001 roku, niedługo przed zakończeniem swojej misji, kiedy konferencja biskupów Afryki Południowej publikuje list pasterski usprawiedliwiający użycie prezerwatyw w przypadku małżeństw bezobjawowych, Martino podrywa się ostatni raz, próbując ich uciszyć.

„PREZERWATYWA ZAOSTRZA POBLEM AIDS". To zdanie jest jednym z najsłynniejszych z pontyfikatu Benedykta XVI. Często było zniekształcane, to prawda. Przypomnijmy krótko kontekst tej wypowiedzi. 17 marca 2009 roku papież jest w drodze do Jaunde w Kamerunie, podczas swej pierwszej podróży do Afryki. Zabiera głos w samolocie Alitalii w trakcie niezwykle starannie zorganizowanej konferencji prasowej. Pytanie przygotowane wcześniej zadaje mu jeden z francuskich dziennikarzy. W odpowiedzi, przyjąwszy z zadowoleniem godne pochwały działania katolików w walce z AIDS w Afryce, Benedykt XVI dodaje, że nie będzie można zwalczyć tej choroby wyłącznie dzięki pieniądzom: „Jeśli zabraknie duszy – mówi – jeśli Afrykanie sami sobie nie pomogą, nie będzie można pokonać tej plagi poprzez rozdawanie prezerwatyw, wręcz przeciwnie, niesie to ze sobą ryzyko zaostrzenia problemu".

– Jeśli spojrzy się na to uczciwie, to trzeba przyznać, że odpowiedź papieża jest w całości dość spójna. Problemem jest tylko jedno zdanie: stwierdzenie, że prezerwatywa jest „gorsza", że „zaostrza" problem. Tylko to jedno słowo, „gorsza", jest nie najlepiej dobrane – uznaje Federico Lombardi, rzecznik Benedykta XVI (Lombardi, będący

u boku papieża w samolocie, potwierdza, że pytanie o AIDS było zatwierdzone i przygotowane wcześniej).

Zdanie to natychmiast wywołuje wzburzenie na pięciu kontynentach: Benedykt XVI jest krytykowany, wykpiwany, nawet ośmieszany. Prezydenci wielu krajów, premierzy i niezliczeni lekarze o światowej sławie, często katolicy, po raz pierwszy mówią o „nieodpowiedzialnych wypowiedziach”. Wielu kardynałów mówi o tym jako o poważnej „niezręczności” albo o „błędzie”. Inni wreszcie, na przykład stowarzyszenie Act Up, oskarżają papieża, że jest po prostu „zbrodniarzem”.

– Biskupi i księża, którzy wypowiadali się przeciwko prezerwatywom, czują się teraz do tego uprawnieni wypowiedzią Benedykta XVI. Mnożą więc w swoich kościołach homilie przeciwko walce z AIDS i oczywiście niektórzy z naciskiem głoszą, że ta choroba jest karą boską za homoseksualizm – tłumaczy mi pewien ksiądz z Afryki, który jest również watykańskim dyplomatą (i którego spotykam trochę przez przypadek w kawiarni Borgo w Rzymie).

Często ci biskupi i księża katoliccy idą w tej sprawie ręka w rękę z amerykańskimi homofobami pastorami, kaznodziejami albo imamami, którzy są przeciwni prawom gejów i prezerwatywom jako sposobowi walki z AIDS.

Zdaniem afrykańskiego dyplomaty z Watykanu misją nuncjuszy pracujących na danym terenie jest nadzorowanie biskupów z Czarnego Kontynentu i ich wystąpień na temat homoseksualizmu i AIDS. Mają obowiązek sygnalizować stolicy apostolskiej najmniejsze „odchylenie”. Za czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI wystarczyło więc, żeby jakiś ksiądz popierał dystrybucję prezerwatyw albo okazał przychylność wobec homoseksualizmu, a już tracił wszelką nadzieję na biskupstwo. Znana adwokat Alice Nkom wyjaśnia mi, że w jej kraju, Kamerunie, gdzie też zbierałem

materiały, trwa „prawdziwe polowanie na homoseksualistów". Zwraca uwagę, że biskup Samuel Kleda wypowiedział się za kryminalizacją homoseksualizmu i zamierza karać chorych na AIDS. W Ugandzie, gdzie pewien aktywista gej został zamordowany, katolicki arcybiskup Cyprian Lwanga przeciwstawił się depenalizacji homoseksualizmu. W Malawi, Kenii czy Nigerii przedstawiciele Kościoła katolickiego wyróżnili się homofobicznymi wypowiedziami i sprzeciwem wobec używania prezerwatyw (co potwierdza szczegółowy raport Human Rights Watch przekazany papieżowi Franciszkowi w 2013 roku).

– Jest to polityka moralnie niesprawiedliwa, o skutkach przeciwnych do zamierzonych – potwierdza podczas rozmowy w Genewie Malijczyk Michel Sidibé, dyrektor generalny UNAIDS: – W Afryce Subsaharyjskiej wirus AIDS przenosi się głównie przez stosunki heteroseksualne. Można więc stwierdzić, mając liczby na poparcie tej tezy, że homofobiczne prawa poza tym, że są zamachem na prawa człowieka, pozostają absolutnie nieskuteczne. A im bardziej homoseksualiści się ukrywają, tym bardziej są podatni na chorobę. I tak, wzmacniając stygmatyzację, ryzykuje się zahamowanie skutecznej walki z AIDS i wzrost przypadków zakażeń w najsłabszych populacjach.

Pośród wielu afrykańskich hierarchów homofobów dwaj wyróżniają się szczególnie. W ostatnich latach dali się zauważyć z powodu wypowiedzi przeciwko użyciu prezerwatyw i przeciwko gejom: Wilfrid Napier z Południowej Afryki i Robert Sarah z Gwinei mianowani przez Jana Pawła II i Benedykta XVI w czasach, gdy bycie antygejem dawało w CV dodatkowy punkt. Obecnie zostali przez Franciszka zmarginalizowani.

WILFRID NAPIER, zanim stał się homofobem, długo bronił praw człowieka. Mówi o tym jego ścieżka kariery: obecny arcybiskup

Durbanu był aktywnym bojownikiem o demokratyzację i prawa czarnoskórych obywateli Afryki Południowej. Stojąc na czele Konferencji Episkopatu Południowoafrykańskiego, odegrał znaczącą rolę w procesie likwidacji apartheidu.

Napier negował jednak propozycje Nelsona Mandeli dotyczące depenalizacji homoseksualizmu i wprowadzenia pojęcia „orientacji seksualnej” do konstytucji kraju, a następnie ustanowienie „małżeństw jednopłciowych”.

Wiele wypowiedzi, jakie zebrałem w Johannesburgu, Soweto i Pretorii, ukazuje Napiera jako „prawdziwego homofoba” i „aktywistę zdecydowanie wojującego przeciwko prezerwatywom”. W roku 2013 arcybiskup Durbanu potępia coraz liczniejsze na świecie propozycje prawa umożliwiającego gejom zawieranie małżeństw: „To jest nowa forma niewolnictwa. A Stany Zjednoczone mówią nam, że nie dostaniemy pieniędzy, póki nie będziemy rozdawać prezerwatyw i nie zalegalizujemy homoseksualizmu” (przypomnijmy tutaj, że małżeństwa gejów były uznane w Afryce Południowej wcześniej niż w Stanach Zjednoczonych).

Te wypowiedzi wywołały żywy odzew. Anglikański arcybiskup Desmond Tutu, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, przeciwstawił się zdecydowanie Napierowi (nie przywołując jego nazwiska) i oskarżał Kościoły, które zajmują się „obsesją homoseksualizmu”, podczas gdy panuje wielka pandemia AIDS. Tutu kilkakrotnie porównał homofobię do rasizmu, posuwając się do stwierdzenia: „Gdyby Bóg był homofobem, jak to uważają niektórzy, nie modliłbym się do niego”.

Pisarz Peter Machen, dyrektor festiwalu filmowego w Durbanie, również skrytykował kardynała Napiera słowami z bardzo wyraźnym podtekstem: „Isn’t it a little hard to tell, Archbishop, (who is gay) when most of your colleagues wear dresses?” (Arcybiskupie,

czy nie jest trochę trudno stwierdzić, kto jest gejem, jeśli większość pańskich kolegów chodzi w sukienkach?).

Napier mnoży swoje antygejowskie wypowiedzi, uznając na przykład „aktywność homoseksualną" w łonie Kościoła za powód molestowania seksualnego: „Odejście od prawa Boskiego zawsze sprowadza nieszczęście". Ta obsesyjna homofobia Napiera budzi zastrzeżenia nawet w łonie Kościoła południowoafrykańskiego. Jezuici z Johannesburga skrytykowali stanowisko kardynała w prywatnych kontaktach z nuncjuszem apostolskim (według pewnego źródła z pierwszej ręki) i w milczeniu przymykają oko na rozdawanie prezerwatyw, co mogłem obserwować na miejscu.

Sędzia Edwin Cameron również pozostaje krytyczny wobec tego stanowiska. Przyjaciel Nelsona Mandeli (jego syn Makgatho zmarł na AIDS), Cameron, jest jedną z najbardziej szanowanych postaci w Afryce Południowej. Bojownik o sprawę czarnych obywateli wstąpił do Afrykańskiego Kongresu Narodowego jeszcze w czasach apartheidu, co w przypadku białych obywateli było rzadkością. Dziś jest sędzią sądu najwyższego Afryki Południowej, publicznie przyznał też, że jest seropozytywny. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie w Johannesburgu, gdzie w wyważonych słowach ocenił Wilfrida Napiera:

– Ci, którzy starają się redukować skutki tragedii AIDS w Afryce albo chronić osoby LGBTQ, napotkali na swej drodze nieprzejednanego przeciwnika w osobie kardynała Wilfrida Napiera. Gdy się go słucha, nie wiadomo, jakie uczucie przeważa: trwoga czy rozpacz. Wykorzystuje swą potężną władzę hierarchy Kościoła rzymskokatolickiego, żeby przeciwstawić się prawom kobiet, zakazać stosowania prezerwatyw i odrzucić wszelką prawną ochronę homoseksualistów. Walczył przeciwko legalizacji związków seksualnych między dwoma mężczyznami lub dwiema kobietami,

ludźmi dorosłymi i wyrażającymi na to zgodę, a także oczywiście przeciwko małżeństwom par jednopłciowych. Wbrew tej obsesji twierdził, że nie zna homoseksualistów. Tak więc jednocześnie nie widział nas, ale nas sądził! Ta ponura saga w historii naszego kraju i czarna karta Kościoła katolickiego w Afryce zakończy się, miejmy nadzieję, podczas pontyfikatu Franciszka.

Dodajmy, że kardynał Wilfrid Napier zachował dyskrecję na temat przypadków molestowania seksualnego w Kościele katolickim, co dotyczyło dziesiątek księży w Afryce Południowej. Arcybiskup Durbanu posunął się nawet do stwierdzenia podczas wywiadu w BBC, że pedofile nie powinni być „karani", ponieważ są to „ludzie chorzy, a nie kryminaliści". Po skandalu, jaki wywołały te słowa, kardynał przeprosił, twierdząc, że został źle zrozumiany. „Nie mogę być oskarżany o homofobię – próbował się tłumaczyć – ponieważ nie znam żadnego homoseksualisty".

ROBERT SARAH jest homofobem innego rodzaju. Rozmawiałem z nim nieoficjalnie po jakiejś konferencji, ale nie mogłem uzyskać zgody na oficjalny wywiad mimo ponawianych próśb. Natomiast rozmawiałem kilkakrotnie z jego współpracownikami, zwłaszcza z Nicolasem Diatem, współautorem jego książek. Udzielił mi odpowiedzi również kardynał Fernando Filoni, który w Watykanie zajmuje się sprawami afrykańskimi, i pewien ksiądz, który mieszkał z Sarahem, kiedy ten był sekretarzem Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów.

Robert Sarah nie urodził się jako katolik, on nim został. Dorastał w plemieniu Koniagi w wiosce odległej o piętnaście godzin jazdy międzymiastową „busz-taksówką" ze stolicy, Konakry. Wierzy w tamtejsze przesądy, rytuały, zabobony, a nawet czary i szamanów. Jego rodzina jest animistyczna, dom zbudowany z gliny, śpi się na ziemi. Rodzi się opowieść o przywódcy plemienia Sarah.

Myśl, żeby nawrócić się na katolicyzm, a potem zostać księdzem, zakiełkowała po spotkaniu z misjonarkami Ducha Świętego. Wstępuje do małego seminarium na Wybrzeżu Kości Słoniowej, potem zostaje wyświęcony na księdza w Konakry w 1969 roku. Właśnie wtedy pozostający przy władzy dyktator Gwinei Sékou Touré organizuje polowania na katolików. Kiedy w 1979 roku arcybiskup miasta zostaje uwięziony, Rzym mianuje na jego miejsce Saraha, który w ten sposób staje się najmłodszym biskupem na świecie. Następuje próba sił, prałat przeciwstawia się nowemu dyktatorowi, dlatego zostaje wpisany na listę osób do… otrucia. Większość świadków, z którymi rozmawiałem, podkreśla odwagę, jakiej dał dowód Sarah podczas dyktatury, a także jego inteligencję w tym układzie sił. Okazując skromność skrywającą jego ekstrawaganckie ego, biskup potrafił znaleźć się w jednocześnie reakcyjnym i gejowskim otoczeniu Jana Pawła II, którego podziwia zarówno za opór wobec komunistycznych dyktatur, jak i rygorystyczne stanowisko wobec moralności seksualnej, celibatu księży, homoseksualizmu i prezerwatyw. W roku 2001 Jan Paweł II wzywa go do siebie. Sarah opuszcza Afrykę i staje się „rzymianinem”, który w Watykanie zajmuje się sprawami Afryki.

– Dobrze znałem Roberta Saraha, kiedy przyjechał do Rzymu. To biblista. Był pokorny i nieśmiały, ale też nadskakujący i pochlebczy wobec kardynała prefekta, którym był wówczas Crescenzio Sepe. Dużo pracował. A potem się zmienił – opowiada pewien ksiądz, specjalista od Afryki, który pozostawał w bliskich kontaktach z Sarahem w Kongregacji Krzewienia Wiary.

Kilku obserwatorów dziwi się zresztą takiemu związkowi wbrew naturze pochodzących z dwóch różnych bajek Crescenzio Sepego i Roberta Saraha. Młody biskup służy bez mrugnięcia okiem kardynałowi nazywanemu „czerwonym papieżem”, mającemu

w Rzymie wielkie znajomości, który zostanie wysłany daleko od Rzymu przez papieża Benedykta XVI.

– Sarah jest wielkim mistykiem. Bez przerwy się modli, jest trochę nawiedzony – stwierdza pewien ksiądz.

Ale w karierze Roberta Saraha, zbyt pięknej, by była prawdziwa, są pewne strefy cienia. Na przykład idee skrajnie konserwatywnego arcybiskupa Lefebvre'a, ekskomunikowanego przez papieża w 1988 roku: Sarah założył szkołę misjonarek, której Marcel Lefebvre był zwierzchnikiem. Potem wylądował we Francji w środowisku fundamentalistów. Czy zbliżenie Saraha ze skrajną prawicą katolicką jest po prostu grzechem powszednim młodości, czy też jego idee zostały trwale ukształtowane w tym właśnie kręgu?

Druga strefa cienia dotyczy kompetencji liturgicznych i teologicznych kardynała, który upomina się o msze w języku łacińskim *ad orientem,* ale podobno nie osiągnął wymaganego do tego poziomu. Jest więc skrajnie elitarny (bo odprawianie mszy po łacinie, nawet jeśli używa się jej nie najlepiej, to rezygnacja z dużej liczby wiernych) i zarazem filisterski. Jego prace o Świętym Augustynie, Świętym Tomaszu z Akwinu i o reformacji są bardzo krytykowane. Co zaś do jego niedorzecznego bełkotu przeciwko filozofom oświecenia, to wskazuje on na „archaiczność jego idei stawiających przesądy wyżej od rozumu" – jak to ocenia pewien teolog, który dodaje jeszcze:

– Dlaczego wracać tylko do czasów sprzed Soboru Watykańskiego II, kiedy można wrócić do średniowiecza?!

Inny naukowiec i teolog, Francuz, który mieszka w Rzymie i opublikował wiele encyklopedycznych książek o katolicyzmie, wyjaśnia mi w trakcie naszych trzech spotkań:

– Sarah jest teologiem niskiej klasy. Jego teologia jest całkiem infantylna: „modlę się, więc wiem". Nadużywa argumentu

autorytetu. Żaden teolog z prawdziwego zdarzenia nie może go traktować poważnie.

Francuski eseista Nicolas Diat, który wspólnie z Sarahem napisał trzy książki, broni kardynała w trakcie naszych trzech wspólnych obiadów w Paryżu:

– Kardynał Sarah nie jest tradycjonalistą, jak każe się wierzyć. On jest konserwatystą. Nie można zapominać, że na początku był przywódcą plemienia. Dla mnie jest to święty wielkiej pobożności.

Święty krytykowany przez niektórych za styl nawiązywania kontaktów, za tryb życia i za afrykańskie koneksje. Jako bezwarunkowy obrońca Czarnego Kontynentu nie wypowiada się o finansowych malwersacjach niektórych afrykańskich hierarchów, choćby o Konferencji Episkopatu Mali, czy o funduszach, jakie kardynał arcybiskup Bamako lokował potajemnie w Szwajcarii (co zostało ujawnione przy okazji skandalu Swissleaks).

Trzeba do tego dodać przedziwną aferę wydawniczą odkrytą przeze mnie. Sprzedaż książek kardynała Saraha w księgarniach bynajmniej nie odpowiada opublikowany danym. To się zdarza stosunkowo często, że autor przez próżność „pompuje" nieco liczbę sprzedanych egzemplarzy, jednakże tu chodzi o liczbę „250 tysięcy egzemplarzy", jak opublikowała prasa, będącą prawie dziesięć razy większą od rzeczywistej sprzedaży w księgarniach. „Bezprecedensowy sukces" kardynała jest pewną przesadą. Sprzedaż książek kardynała Saraha we Francji utrzymuje się na całkiem przeciętnym poziomie: pod koniec 2018 roku sprzedano 9926 egzemplarzy książki *Bóg albo nic*, a *Mocy milczenia* sprzedano 16 tysięcy 325 sztuk, mimo dość ciekawej przedmowy emerytowanego papieża Benedykta XVI (według bazy danych francuskiego wydawnictwa Edistat). Na Amazonie sprzedaż równie słaba. Nawet jeśli doda się do tego dystrybucję w parafiach i seminariach, niezbyt dokładnie zliczane

w statystykach wydawnictwa, i wersję w formacie kieszonkowym (tyko 4608 egzemplarzy *Mocy milczenia*), to i tak daleko do tych głoszonych „setek tysięcy”. Z taką samą sytuacją mamy do czynienia za granicą, zwłaszcza że liczba przekładów jest mniejsza, niż odnotowali niektórzy dziennikarze.

Czym wyjaśnić tę niezgodność danych? Badając te sprawę we francuskim wydawnictwie książki Saraha, odkryłem oszustwo. Według dwóch osób, które znały przebieg skomplikowanych negocjacji, dziesiątki, a może setki tysięcy egzemplarzy tych książek wykupili hurtowo mecenasi i fundacje, a potem bezpłatnie rozdali w Afryce. Ten typ bezpośredniej sprzedaży hurtowej jest absolutnie legalny. Ponieważ przyczynia się do rozdęcia wielkości sprzedaży, wydawnictwa i autorzy to lubią: pierwszym zapewnia to źródło znaczących dochodów, bo pomija się dystrybutorów i księgarnie, autorzy zaś cieszą się jeszcze bardziej, bo otrzymują tantiemy. Być może angielska wersja książek Saraha wydawana jest na podobnych zasadach przez Ignatius Press w San Francisco, konserwatywne katolickie wydawnictwo, które zachwyciło się kampaniami Saraha przeciwko małżeństwom gejowskim.

Źródła dyplomatyczne również zgodnie potwierdzają, że egzemplarze książek Saraha były w Afryce rozdawane bezpłatnie, między innymi w Beninie. Ja sam widziałem w pewnym dyplomatycznym instytucie kulturalnym stosy książek kardynała jeszcze zapakowanych w folię.

Kto wspiera kampanię kardynała Saraha, a w tym wypadku taki sposób dystrybucji książek? Czy otrzymuje on na to wsparcie finansowe ze źródeł europejskich czy amerykańskich? Jedno jest pewne: Robert Sarah utrzymuje kontakty z ultrakonserwatywnymi stowarzyszeniami katolickimi, na przykład z Dignitatis Humanae Institute (co potwierdza mi jego dyrektor Benjamin Harnwell).

W Stanach Zjednoczonych Sarah utrzymuje kontakty z trzema fundacjami: Becket Fund of Religious Liberty, Zakon Rycerzy Kolumba i National Catholic Prayer Breakfast, dla których miał wykłady. W Europie Robert Sarah może liczyć na poparcie Rycerzy Kolumba, zwłaszcza we Francji, a także na afekt pewnej miliarderki, którą już w tej książce spotkaliśmy, księżnej Glorii von Thurn und Taxis, przebogatej niemieckiej rojalistki. Gloria TNT potwierdza to podczas wizyty w jej zamku w Ratyzbonie w Bawarii:

– Zawsze tu zapraszaliśmy księży: to jest część naszego katolickiego dziedzictwa. Przyjmuję tu wykładowców przybywających z Rzymu, uwielbiam zapraszać mówców takich jak kardynał Robert Sarah. Zaprezentował tu, w Ratyzbonie, swoją książkę, ja zaprosiłam prasę; wieczór był bardzo udany.

Na fotografiach z przyjęcia widać księżną pomiędzy Robertem Sarahem a Nicolasem Diatem, a także kardynała Gerharda Ludwiga Müllera, księdza Wilhelma Imkampa czy Georga Ratzingera, brata papieża (niemieckie tłumaczenie książki poprzedzone jest przedmową Georga Gänsweina). Krótko mówiąc: główni aktorzy tego, co nazwano „siatką ratyzbońską”.

Robert Sarah utrzymuje również kontakty ze stowarzyszeniem Marguerite Peeters, skrajnej aktywistki belgijskiej, homofobicznej i antyfeministycznej. Sarah napisał zresztą przedmowę do krótkiego pamfletu Peeters wymierzonego w teorię gender, wydanego prawie całkowicie kosztem autorki. Sarah pisze tam: „Homoseksualizm to niedorzeczność w kontekście życia małżeńskiego i rodzinnego. Domaganie się uznania go w imię praw człowieka jest co najmniej szkodliwe. Narzucanie tego to zbrodnia przeciwko ludzkości. Niedopuszczalne jest, żeby kraje zachodnie i agencje ONZ narzucały krajom niezachodnim homoseksualizm i wszystkie dewiacje moralne… Promowanie różnych »orientacji seksualnych« na terenie

Afryki, Azji, Oceanii i Ameryki Południowej to kierowanie świata w antropologiczne i moralne zboczenie, droga do dekadencji i rozkładu ludzkości!”.

Gdzie jest źródło finansowania Roberta Saraha? Nie wiemy tego. W każdym razie papież Franciszek mógłby powiedzieć, wskazując na niektórych kardynałów kurii rzymskiej: „Istnieje Bóg i istnieje Bóg mamony”.

I wreszcie ostatnia tajemnica. Otoczenie kardynała nie przestaje zaskakiwać obserwatorów: Sarah często podróżuje i pracuje z gejami. Jeden z jego współpracowników jest gejem ze skrajnej prawicy, doskonale znanym z tego, że podrywa, nie kryjąc się, czasem w obecności kardynała. Kiedy zaś Sarah był sekretarzem Kongregacji Ewangelizacji Narodów, w jednym z apartamentów budynku Kongregacji odbywały się wieczorne homoseksualne imprezy towarzyskie. Czy Sarah o tym wiedział? Nie ma na to dowodów. Watykan jednakże wciąż krytykuje ten niebywały okres, kiedy „private dancers”, „chemiczne orgie” czy „chemsex parties” były sprawą codzienną w otoczeniu „czerwonego papieża”.

– Czy Sarah mógł nie wiedzieć o rozwiązłym życiu niektórych księży z Kongregacji i o perwersyjnych wieczorkach odbywających się w budynku, gdzie mieszkał i pracował? – zastanawia się wyraźnie przygnębiony pewien ksiądz, który wówczas tam mieszkał (a z którym rozmawiam w Belgii).

Dziś znawcy kurii odnotowują również zawodową bliskość Saraha z pewnym duchownym podejrzewanym o obmacywanie seminarzystów. Prałat ten został wyszydzony przez prasę, a potem oskarżony o przynależność do siatki „dystrybucji” gejowskiej prostytutek. Zniknął ukarany przez papieża, aby potem w cudowny sposób znów pojawić się w Watykanie w ekipie Saraha (jego nazwisko figuruje jeszcze w Annuario Pontificio).

– Najbardziej antygejowski kardynał kurii rzymskiej jest otoczony homoseksualistami. Afiszuje się z nimi na portalach społecznościowych. W Rzymie albo we Francji, dokąd często podróżuje, widzi się go w towarzystwie aktywnie praktykujących gejów! – unosi się pewien francuski dziennikarz, który dobrze go zna.

Papież Franciszek również zna dobrze Saraha. O ile bowiem kardynał publicznie okazuje podziw dla papieża, o tyle prywatnie otwarcie go krytykuje. Kiedy Sarah prowadzi jakieś wykłady, jego otoczenie przedstawia go jako „jednego z najbliższych doradców papieża", aby przyciągnąć publiczność i sprzedać książki; faktycznie jednak jest to jeden z jego najbardziej zażartych wrogów. Franciszek, który nigdy nie dawał się nabrać na służalczych pochlebców i hipokrytów, często stosuje wobec niego kary, i to z perfidną srogością. Sarah od dawna już nie jest ulubieńcem Watykanu.

– Postępowanie papieża wobec Saraha jest tym, co nazwałbym techniką chińskiej tortury: nie dymisjonuje się go od razu, za to upokarza stopniowo, pozbawiając środków i odbierając współpracowników, marginalizując, dementując jego wypowiedzi i odmawiając audiencji… a potem, pewnego dnia, zrobi mu się harakiri. Technika ta była sprawdzona na Raymondzie Burke'u i Ludwigu Müllerze. Nadejdzie i kolej Saraha – mówi mi pewien ksiądz z kurii z otoczenia kardynała Filoniego.

Chińskie tortury już się zaczęły. Robert Sarah, mianowany kardynałem przez Benedykta XVI, stanął na czele potężnej papieskiej rady Cor Unum zajmującej się dobroczynnymi organizacjami katolickimi. Wykazał się tu doktrynerstwem, bardziej zajmując się ewangelizacją niż filantropią. Papież Franciszek po swej elekcji zwalnia go za wykonywanie tej charytatywnej misji ze zbyt małą dozą miłosierdzia. Kolejny etap chińskiej tortury: zamiast go odwołać, papież reorganizuje kurię i rozwiązuje ostatecznie papieską

radę Cor Unum, pozbawiając w ten sposób Saraha jego stanowiska! Nagrodą pocieszenia dla kardynała jest – według słynnej techniki promoveatur ut amoveatur (kopniak w górę) – postawienie go na czele Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Tu Sarah popełnia kolejne faux pas i okazuje się bezwarunkowym wojownikiem na rzecz obrządku łacińskiego i mszy *ad orientem:* ksiądz miałby odprawiać msze tyłem do wiernych, odwrócony w kierunku wschodnim. Papież przywołuje go do porządku: etap drugi chińskiej tortury. Etap trzeci: Franciszek odświeża ekipę, która doradza Robertowi Sarahowi i jednym posunięciem, nie zadając sobie trudu konsultacji, zabiera mu dwudziestu siedmiu z trzydziestu kardynałów, a na ich miejsce mianuje swoich ludzi. Etap czwarty: Franciszek pozbawia go współpracowników. Pozory są zachowane: Sarah zostaje, ale jest marginalizowany nawet we własnej instytucji. Zupełnie jakby schować go do szafy! Długo pozostaje w cieniu, wreszcie pokazuje się na zwołanym przez Franciszka synodzie o rodzinie. Sarah nie waha się i nazywa rozwód skandalem, a powtórne małżeństwo cudzołóstwem! W roku 2015 powtarza to samo histeryczne przemówienie, w którym potępia – jak gdyby wciąż był w swojej animistycznej wiosce – „bestie z Apokalipsy", zwierzę z siedmioma głowami i dziesięcioma rogami wysłane przez szatana do zniszczenia Kościoła. I cóż mianowicie jest tą bestią, która miałaby zagrażać Kościołowi? Przemówienie Saraha z 2015 roku jest bardzo konkretne, chodzi o „ideologię gender", związki homoseksualne i lobby gejowskie. Kardynał robi w tym miejscu jeszcze jeden krok, porównując zagrożenie LGBT do… terroryzmu islamskiego. Jego zdaniem są to dwie strony tej samej monety, „dwie bestie Apokalipsy" (cytuję za oficjalną kopią, o którą się postarałem).

Porównując homoseksualistów do Państwa Islamskiego, Sarah przekroczył punkt krytyczny.

– Mamy tu do czynienia z osobą nawiedzoną – podsumowuje z surowością pewien kardynał z bliskiego otoczenia papieża, oczywiście „off the record”.

A pewien ksiądz, który uczestniczył w synodzie, mówi mi:

– To już nie jest religia; tu mamy do czynienia z przemówieniem typowym dla skrajnej prawicy. To Lefebvre, nie ma potrzeby szukać innych źródeł. Sarah to zafrykanizowany Lefebvre.

Zadziwia ta obsesja Saraha na punkcie homoseksualizmu. To wręcz psychoza powodowana lękiem przed tą „apokalipsą”! W dziesiątkach obskuranckich wywiadów kardynał potępia homoseksualistów albo wzywa ich, żeby pozostali „czyści”. Jako dobry pan posuwa się nawet do proponowania tym mniej wstrzemięźliwym „terapii naprawczych” – często zalecanych przez księdza psychoanalityka Tony’ego Anatrellę albo przez innych szarlatanów. Miałyby one „leczyć” homoseksualistów i pozwolić im powrócić do heteroseksualności! Jeśli jakaś osoba homoseksualna nie jest w stanie zachować abstynencji, terapie naprawcze mogą jej pomóc: „W wielu przypadkach, kiedy praktykowanie aktów homoseksualnych nie jest jeszcze utrwalone, homoseksualiści mogą pozytywnie reagować na podobną terapię”.

W tej kwestii kardynał dochodzi do etapu pewnej schizofrenii. We Francji staje się jedną z wiodących postaci „la Manif pour tous” [Manifa dla wszystkich – francuska organizacja zrzeszająca przeciwników m.in. małżeństw jednopłciowych organizująca np. masowe marsze – przyp. red.], nie zwracając uwagi na to, że dużo osób potępiających „gender” to rasiści, którzy wzywają do głosowania w wyborach prezydenckich 2017 roku na skrajnie prawicową Marine Le Pen. Sarah, który broni absolutystycznej wersji rodziny, staje u boku tych, którzy chcą przyznawać dodatki rodzinne tylko Francuzom z pochodzenia i przeciwstawiają się łączeniu rodzin:

afrykańskich rodziców z ich dziećmi.

Nieostrożność czy prowokacja? Robert Sarah posuwa się do napisania przedmowy do książki niejakiego Daniela Mattsona *Why I Don't Call Myself Gay* (Dlaczego nie określam siebie jako geja). Książka ta, o tytule przyprawiającym o zawrót głowy, jest dość znacząca. Nie proponuje ona homoseksualistom ani „miłosierdzia", ani „współczucia", ale całkowitą abstynencję. „Czując się niewinny i pełny słabości", Sarah sugeruje, że bycie homoseksualistą nie jest grzechem, jeśli zachowuje się wstrzemięźliwość. Tym przekazem Sarah w zadziwiający sposób łączy się z homoseksualnymi myślicielami i pisarzami katolickimi, którzy wybrali czystość, aby nie dać się unieść popędowi.

Z tym rodzajem przekonań Sarah zbliża się, świadomie lub nie, do najbardziej karykaturalnych postaci homofilów, tych, którzy uszlachetnili lub odrzucili swą inklinację, zmieniając ją w ascetyzm lub mistycyzm. Prałat wyznaje, że dużo o tej „chorobie" czytał i że w Rzymie bierze udział w wykładach dotyczących problemu homoseksualizmu, szczególnie na papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza (jak twierdzi w przedmowie do książki *Why I Don't Call Myself Gay*): „Odczułem [słuchając tych homoseksualistów] samotność, cierpienie i nieszczęście, jakie znoszą, prowadząc życie wbrew [prawdzie] Pana – pisze. – I dopiero kiedy zdecydowali się żyć w zgodzie z nauczaniem Chrystusa, mogli znaleźć pokój i radość, jakich poszukiwali".

W RZECZYWISTOŚCI ŚWIAT ROBERTA SARAHA jest fikcją. Jego krytyka zachodniej nowoczesności przeciwstawianej afrykańskiemu ideałowi może być wiarygodna tylko dla tych, którzy nie znają Afryki.

– Afrykańska rzeczywistość ma się nijak do czysto ideologicznych wizji Saraha – mówi mi afrykański dyplomata z Watykanu, który

z nim pracował.

Złudzenie to jest oczywiste zwłaszcza w zetknięciu z trzema problemami: celibatem księży, AIDS i domniemaną homofobią Afryki. Kanadyjski ekonomista Robert Calderisi, były rzecznik Banku Światowego w Afryce, odpowiadając na moje pytanie, mówi, że większość księży żyje tam dyskretnie z kobietą, inni są na ogół homoseksualistami, którzy próbują wyjechać do Europy.

– Afrykanie chcą, żeby księża byli jak oni. Cenią, kiedy kapłan jest żonaty i ma dzieci – dodaje Calderisi.

Wszyscy nuncjusze i dyplomaci, z którymi rozmawiałem, a także wszystkie osoby, z którymi kontaktowałem się w Kamerunie, Kenii i Afryce Południowej, potwierdzają to podwójne życie księży katolickich w Afryce, niezależnie od tego, czy są oni hetero- czy homoseksualni.

– Sarah wie o tym, że znaczna liczba afrykańskich księży katolickich żyje z kobietą. Straciliby zresztą wszelką wiarygodność w swojej wiosce, gdyby nie dali dowodu swojej heteroseksualności! Z dala od Rzymu udaje im się nawet wziąć ślub w swoim kościele. Wypowiedzi Saraha o czystości i abstynencji to absolutna bajka! – mówi pewien ksiądz, specjalista od spraw Afryki, który dobrze zna kardynała.

Duchowny potwierdza mi również, że homoseksualizm jest jednym z tradycyjnych obrzędów przejścia plemion Afryki Zachodniej, zwłaszcza w Gwinei. Taka afrykańska osobliwość, której kardynał nie może nie znać.

Dziś seminaria afrykańskie są, podobnie jak włoskie w latach pięćdziesiątych XX wieku, miejscami pełnymi homoseksualistów i azylem dla gejów. Chodzi tu o pewne prawo socjologiczne albo, jeśli można tak powiedzieć, o rodzaj „selekcji naturalnej” w sensie darwinowskim: piętnując homoseksualistów w Afryce, Kościół

zmusza ich do ukrywania się. Ucieczką jest więc dla nich seminarium – zostając klerykami, a potem księżmi, nie muszą się żenić. Jeśli tylko mogą, uciekają do Europy, gdzie episkopaty włoski, francuski i hiszpański apelują do nich, by obejmowali opuszczone parafie. No i koło się zamyka.

Wypowiedzi Roberta Saraha usztywniały się w miarę, jak oddalał się od Afryki. Biskup był bardziej ortodoksyjny niż ksiądz, kardynał niż biskup. Coraz bardziej przymykał oczy na wiele sekretów Afryki, a teraz, w Rzymie, jest bardziej bezkompromisowy niż kiedykolwiek. Homoseksualiści stali się jego kozłami ofiarnymi nierozerwalnie związanymi z tym, co w jego oczach z homoseksualizmem nierozerwalnie się łączy: AIDS, teoria gender i gejowskie lobby.

Robert Sarah był jednym z kardynałów, którzy najgwałtowniej sprzeciwiali się używaniu prezerwatyw w Afryce. Odrzucił pomoc międzynarodową dla krajów rozwijających się, która rozpowszechniała tę „propagandę", sankcjonując zamiast propagatorów misji społecznej Kościoła obecność organizacji, które prowadziły m.in. dystrybucję prezerwatyw. W tym Caritas.

– W Afryce istnieje wielki rozdźwięk między ideologicznym głosem Kościoła a pracą w terenie, bardzo często pragmatyczną. Wszędzie widziałem siostry rozdające prezerwatywy – potwierdza mi kanadyjski ekonomista Robert Calderisi, były rzecznik Banku Światowego w Afryce Zachodniej.

Jeśli chodzi o homoseksualizm, Sarah popełnia jeszcze jeden historyczny błąd. Jego wzorzec to „nowy Trzeci Świat": ludzie Zachodu chcieliby – powtarza – narzucić mu swoje wartości dotyczące praw człowieka. A przyznając prawa homoseksualistom, zaprzeczyliby „afrykańskości" ludów Czarnego Kontynentu. Jak mówią jego przeciwnicy, Sarah staje więc w obronie Afryki – którą przecież dawno temu opuścił – przeciwko choremu Zachodowi. Dla

niego prawa LGBT nie mogą być prawami powszechnymi.

W rzeczywistości, jak to odkryłem w Indiach, niemal wszystkie homofobiczne zapisy obowiązujące obecnie w kodeksach karnych Azji i Afryki anglofońskiej były narzucone koloniom i protektoratom Commonwealthu przez wiktoriańską Anglię. Pierwowzorem jest artykuł 377 indyjskiego kodeksu karnego, powtarzany potem w identycznym brzmieniu i nawet z tym samym numerem w Botswanie, Gambii, Kenii, Lesotho, Malawi, Mauretanii, Nigerii, Somalii, Suazi, Sudanie, Tanzanii, Zambii… Gdzie indziej, w Afryce Północnej i Zachodniej, to samo działo się za sprawą kolonizacji francuskiej. Penalizacja homoseksualizmu nie ma więc w sobie nic afrykańskiego, jest to jeszcze jeden relikt kolonializmu. Domniemana „afrykańskość" była tak naprawdę nakazem kolonistów próbujących „ucywilizować" afrykańskich autochtonów, wpoić im „słuszną moralność" i zakazać praktyk homoseksualnych.

Biorąc pod uwagę rozmiar homofobii i historię kolonializmu, można się zorientować, do jakiego stopnia wypowiedzi kardynała Saraha są mylne. Kiedy stwierdza, że „Afryka i Azja powinny absolutnie chronić swoje kultury i wartości", albo kiedy nalega, żeby Kościół nie pozwolił sobie narzucić „zachodniej wizji rodziny", kardynał oszukuje wiernych zaślepiony swoimi przesądami i swoimi interesami. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć słowa afrykańskiego dyktatora Roberta Mugabe, prezydenta Zimbabwe, dla którego homoseksualizm jest „antyafrykańską praktyką zachodnią", albo prezydentów autokratów Kenii czy Ugandy powtarzających, że jest to „sprzeczne z tradycją afrykańską".

Tak więc, gdyby tacy kardynałowie jak Robert Sarah czy Wilfrid Napier chcieli pozostać w zgodzie ze sobą, w imię antykolonializmu i odnalezienia prawdziwej tradycji afrykańskiej powinni wzywać do depenalizacji homoseksualizmu w Afryce.

Trzeba było wyboru papieża Franciszka, aby stanowisko Kościoła dotyczące użycia prezerwatyw zostało złagodzone, a w każdym razie nieco zróżnicowane. Podczas podróży do Afryki w 2015 roku papież wyraźnie przyznał, że prezerwatywa „jest jedną ze skutecznych metod” walki z AIDS. Nie mogąc zaś krytykować braku prewencji (prezerwatywy!), położył nacisk na wielką rolę Kościoła w leczeniu chorych: tysiące szpitali, przychodni, sierocińców, a także katolicki Caritas Internationalis oferują leczenie i terapie przeciwretrowirusowe. Zanim do tego doszło, AIDS na całym świecie, a szczególnie w Afryce, spowodowało śmierć ponad trzydziestu pięciu milionów osób.

15.

Dziwne porządki

PO BATALII PRZECIWKO UŻYWANIU PREZERWATYW W AFRYCE kardynałowie i nuncjusze Jana Pawła II rozpoczęli bitwę o zakaz związków jednopłciowych. To ich nowa krucjata. Tutaj wchodzimy na jedne z najdziwniejszych stron tej książki: cała armia homofilów i homoseksualistów idzie na wojnę przeciwko gejowskim małżeństwom.

Debata rozpoczyna się w Holandii: 1 kwietnia 2001 roku weszło w życie nowe prawo o małżeństwach osób tej samej płci. W Amsterdamie wspólnota gejów świętuje, sama zdziwiona własną śmiałością. Nowy artykuł prawa ma zaskakująco proste brzmienie: „Małżeństwo może być zawarte przez dwie osoby odmiennej lub tej samej płci".

Niektórzy analitycy stolicy apostolskiej zauważyli już wcześniej zwiastuny tego wydarzenia, a nuncjusze, na przykład François Bacqué, wówczas pełniący swoją misję w Holandii, wysyłali do Rzymu niezliczone alarmujące telegramy dyplomatyczne. Mimo to spektakularna decyzja w Holandii przyjęta została w Watykanie jak drugi upadek człowieka.

Papież Jan Paweł II jest już w tym momencie wyeliminowany z gry ze względu na stan zdrowia, ale sekretariat stanu działa za dwóch. Angelo Sodano jest po prostu „skonfundowany" i „zmieszany" (według słów jednego ze świadków) i wyraźnie dzieli konfuzję i wściekłość ze swoją drużyną, zachowując jednocześnie na zewnątrz niezachwianą pogodę ducha. Nie chce zaakceptować

tego precedensowego w Europie Zachodniej stanowiska, obawia się bowiem, jak zresztą cała kuria, że holenderska decyzja to furtka, przez którą mogą się przecisnąć inne kraje.

Sodano zaleca „ministrowi spraw zagranicznych" Watykanu Francuzowi Jean-Louisowi Tauranowi zajęcie się sprawą. Wspierać ma go nuncjusz Bacqué, który był zastępcą Sodana w Chile. Wkrótce potem kieruje do Genewy biskupa, którego sam wyświęcał, Silvano Tomasiego, aby śledził debatę na poziomie międzynarodowym. Potem tę samą funkcję będzie pełnił „minister spraw zagranicznych" Benedykta XVI Dominique Mamberti.

Pisząc niniejszy fragment książki, korzystam z rozmów z czterema głównymi aktorami: Tauranem, Bacqué, Tomasim i Mambertim, a także z dziesięcioma innymi watykańskimi źródłami dyplomatycznymi. Otrzymałem też kopie dziesiątek poufnych telegramów pochodzących od dyplomatów pracujących w ONZ, a opisujących stanowisko Watykanu. Poza tym rozmawiałem z kilkoma ambasadorami innych krajów, z francuskim ministrem spraw zagranicznych Bernardem Kouchnerem, z dyrektorem UNAIDS Michelem Sidibé i z ambasadorem Jean-Maurice'em Ripertem, który kierował „core group" – grupą uderzeniową – w ONZ w Nowym Jorku.

Między „szokiem holenderskim" w roku 2001 a rokiem 2015, kiedy to „same-sex marriages" decyzją sądu najwyższego zostaną uznane w Stanach Zjednoczonych, potwierdzając trwałą porażkę stolicy apostolskiej, rozegra się bezprecedensowa batalia w niezliczonych nuncjaturach apostolskich i w episkopatach. Za czasów Pawła VI były tylko siedemdziesiąt trzy ambasady stolicy apostolskiej, pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II liczba ich wzrosła do stu siedemdziesięciu ośmiu (dziś: sto osiemdziesiąt trzy). Wszędzie jednym z priorytetów będzie mobilizacja przeciwko związkom partnerskim i małżeństwom

jednopłciowym. Tym głośniejsza, im cichsze będzie podwójne życie zmobilizowanych do tej misji hierarchów.

W Holandii François Bacqué ma mobilizować biskupów i stowarzyszenia katolickie do wyjścia na ulice i żądania wycofania się z podjętej decyzji. Nuncjusz szybko zdaje sobie jednak sprawę, że większość holenderskiego episkopatu – oprócz kardynałów opłacanych przez Rzym (w tym wielkiego homofoba „Wima" Eijka) – ma w tym względzie poglądy umiarkowane, jeśli nie liberalne. Wierni i szeregowi księża są raczej postępowi i od dawna domagają się zniesienia celibatu, komunii dla rozwodników, a nawet uznania związków jednopłciowych. Bitwa o Holandię jest z góry przegrana.

W Radzie Praw Człowieka w Genewie opór przeciwko „różowej fali" wydaje się bardziej obiecujący. Kwestia małżeństwa w ogóle nie ma szans, żeby się znaleźć w porządku obrad. A to ze względu na stanowczy opór krajów muzułmańskich i kilku krajów azjatyckich. Sodano jednak przestrzega nuncjusza Tomasiego, który właśnie przybył do Szwajcarii: trzeba ze wszystkich sił przeciwstawiać się depenalizacji homoseksualizmu, co dałoby zły przykład, a potem, na zasadzie efektu kuli śniegowej, otworzyłoby drogę do uznania małżeństw jednopłciowych.

Propozycja depenalizacji homoseksualizmu z poziomu Narodów Zjednoczonych już istniała. Brazylia, Nowa Zelandia, Norwegia i inne kraje nordyckie od roku 2003 podejmowały skromne próby w tej sprawie. Potem zmobilizowała się Holandia, jak mi tłumaczy podczas rozmowy w Amsterdamie Boris Dittrich. Deputowany, były sędzia, był liderem procesu wprowadzania praw zezwalających na małżeństwa gejów w jego kraju:

– Długo byłem działaczem i politykiem, a kiedy przyczyniłem się do zmiany prawa w Holandii, pomyślałem, że trzeba tę walkę kontynuować na poziomie międzynarodowym.

W tym czasie w Rzymie wybrano na papieża Benedykta XVI, a kardynała Sodana, wbrew jego woli, na czele kurii rzymskiej zastąpił Tarcisio Bertone. Nowy papież również uczynił swoim priorytetem, a może i sprawą osobistą, sprzeciw wobec małżeństw homoseksualnych.

Czego jednak nuncjusz Tomasi jeszcze nie pojmował, a czego kardynałowie watykańscy, zbyt zaślepieni swoimi uprzedzeniami nie doceniali, to to, że w połowie pierwszego dziesięciolecia XXI wieku przekaz się zmienia. W wielu krajach Zachodu żywiołowo rozwija się ruch progejowski, a kraje Unii Europejskiej chcą nawet naśladować model holenderski.

W Narodach Zjednoczonych układ sił zmienia się również, gdy Francja, obejmując prezydencję w Unii Europejskiej, z depenalizacji homoseksualizmu czyni swój polityczny priorytet.

Kilka krajów Ameryki Łacińskiej, w tym Argentyna i Brazylia, też przechodzi do ofensywy. Jeden z krajów afrykańskich, Gabon, a także Chorwacja i Japonia dołączają do „core group" i zaczynają walkę w Genewie i Nowym Jorku.

Po wielu miesiącach tajnych międzynarodowych negocjacji, z których Watykan był wykluczony, podjęto decyzję przedstawienia uzgodnionego tekstu na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku w grudniu 2008 roku. „Rekomendacja" nie jest wiążąca w przeciwieństwie do „rezolucji", która musi być przegłosowana większością głosów, ale i tak to wymowny symbol.

– Uważałem, że nie warto się upierać przy rezolucji, jeśli nie jest się pewnym zdobycia większości głosów – mówi były holenderski deputowany Boris Dittrich. – W przeciwnym wypadku wszystko może się skończyć oficjalną decyzją Narodów Zjednoczonych przeciwko prawom dla homoseksualistów. A wtedy bitwa na długo

byłaby przegrana.

Aby debata nie była postrzegana jako sprawa Zachodu, co spowodowałoby rozdźwięk między krajami Północy i Południa, dyplomaci z „core group" zwrócili się do Argentyny o oficjalne przedstawienie deklaracji. W ten sposób jej założenie będzie uniwersalne, z poparciem krajów wszystkich kontynentów.

Aż do 2006-2007 roku Silvano Tomasi nie brał zagrożenia na serio. Jednak w Rzymie nowy „minister spraw zagranicznych" Benedykta XVI, Francuz Dominique Mamberti, znający doskonale problematykę gejowską, dowiedział się tego i owego. Nuncjusze apostolscy są na ogół dobrze poinformowani. Informacja szybko dotarła do stolicy apostolskiej. Mamberti zaalarmował ojca świętego i kardynała Bertonego.

Papież Benedykt XVI, który, jak wiadomo, z odmowy uznania wszelkich praw homoseksualistów uczynił priorytet swego pontyfikatu, popada w rozpacz. 18 kwietnia 2008 roku, po przybyciu do siedziby Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, wykorzystuje prywatne spotkanie z sekretarzem generalnym organizacji Ban Ki-moonem, aby go surowo upomnieć. Przypomina mu – stanowczo, choć używając terminów dość łagodnych – swoją zdecydowaną wrogość wobec każdej formy akceptacji praw homoseksualistów. Ban Ki-moon wysłuchuje grzecznie płaczliwego wywodu teologa i niedługo potem z obrony praw gejów czyni jeden ze swoich priorytetów.

Wiosną 2008 roku Watykan jest już przekonany, że w ONZ zostanie przedstawiona deklaracja sprzyjająca LGBT. Reakcja stolicy apostolskiej idzie w dwóch kierunkach. Przede wszystkim Watykan wzywa swoich nuncjuszy, by interweniowali we władzach poszczególnych państw i przeszkodzili w dokonaniu się tego, co nieodwracalne. Bardzo szybko jednak Watykan odkrywa,

że wszystkie bez wyjątku kraje europejskie zagłosują za deklaracją. W tym również Polska, tak droga Janowi Pawłowi II, i Włochy Berlusconiego! Sekretarz stanu Tarcisio Bertone, który teraz bierze sprawy w swoje ręce, mobilizuje Konferencję Episkopatu Włoch. Ale na próżno będzie walczył i używał wszystkich swoich ludzi w rządzie i w parlamencie. Nie uda mu się wpłynąć na zmianę stanowiska włoskiego rządu.

Gdzie indziej Watykan bada postawę kilku „swing states” – państw niezdecydowanych, które mogłyby przychylić się do opinii Watykanu. Wszędzie jednak – tak w Australii, jak i w Japonii – rządy przygotowują się do podpisania deklaracji. Zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej prawie wszystkie kraje hiszpańsko- i portugalskojęzyczne zmierzają w tym samym kierunku. Argentyna Cristiny Kirchner potwierdza, że gotowa jest oficjalnie przedstawić deklarację na forum ONZ. Pojawiają się również pogłoski, że stojący na czele konferencji episkopatu argentyńskiego kardynał Jorge Bergoglio podobno też jest przeciwny wszelkim formom dyskryminacji…

Watykan wypracowuje wobec tego wysofistykowane, jeśli nie sofistyczne, stanowisko: „Nikt nie jest za penalizacją homoseksualności ani za jej kryminalizacją” – oświadcza stolica apostolska. Precyzuje następnie, że istniejące dokumenty dotyczące praw człowieka „wystarczą”. Tworzenie nowych byłoby ryzykowne, bo walcząc z niesprawiedliwością, tworzyłyby „nowe pola dyskryminacji”. Dyplomaci watykańscy walczą teraz ze sformułowaniami „orientacja seksualna” i „tożsamość płciowa”, które ich zdaniem nie mają wartości prawnej w świetle prawa międzynarodowego. Uznanie ich mogłoby otworzyć drogę do prawnej akceptacji poligamii, a nawet molestowania seksualnego (cytuję tutaj terminy występujące w depeszach dyplomatycznych).

– Watykan ośmielił się użyć straszaka pedofilii, żeby zapobiec

depenalizacji homoseksualizmu! Niewiarygodne. Argument naprawdę szatański, jeśli wiadomo, jaka liczba afer tego typu dotyczy księży pedofilów – podkreśla pewien francuski dyplomata, który uczestniczył w negocjacjach.

Przeciwstawiając się rozszerzeniu praw człowieka na homoseksualistów, Watykan Benedykta XVI nawiązuje do starej katolickiej nieufności wobec prawa międzynarodowego. Dla Josepha Ratzingera normy, które ustanawia jako dogmat, pochodzą od Boga, zobowiązują więc państwa do ich przestrzegania, jako że są ponad prawami ludzkimi. Ten ultramontanizm szybko jednak okazał się anachroniczny. Franciszek od samego początku pontyfikatu będzie zdecydowanie przeciwny „klerykalizmowi" i będzie się starał wprowadzić Kościół do porządku światowego, odrzucając przestarzałe poglądy Benedykta XVI.

Wobec porażki strategii ratzingeriańskiej stolica apostolska zmienia metody: ponieważ nie ma możliwości przekonania krajów „bogatych", można spróbować zmobilizować kraje „biedne". Teraz Silvano Tomasi uwija się w Genewie, chcąc zablokować inicjatywę ONZ, uczulając współbraci z krajów muzułmańskich, azjatyckich i przede wszystkim afrykańskich (które dobrze zna, ponieważ był obserwatorem przy Unii Afrykańskiej w Addis Abebie). Jego kolega, nuncjusz z Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, Celestino Migliore, który zastąpił Renato Martina, działa w ten sam sposób. Papież Benedykt w Rzymie również nie próżnuje, działając trochę rozpaczliwie we wszystkich kierunkach.

– Linia naszej dyplomacji wpisywała się w to, co nazwałbym głosem rozumu i zdrowego rozsądku. Sprzyjamy interesom ogólnoświatowym, ale nie partykularnym – mówi mi po prostu Silvano Tomasi, wyjaśniając sprzeciw Kościoła katolickiego wobec deklaracji ONZ.

I wtedy Watykan popełnia błąd, który wielu zachodnich dyplomatów uznaje za błąd historyczny. W swojej nowej krucjacie stolica apostolska pieczętuje porozumienie z kilkoma dyktaturami oraz muzułmańskimi teokracjami. W dyplomacji nazywa się to „odwróceniem przymierza”.

Watykan dołącza więc do dość niespójnej wewnętrznie i okazjonalnej koalicji, zbliżając się do Iranu, Syrii, Egiptu, Organizacji Konferencji Islamskiej (OCI), a nawet Arabii Saudyjskiej, z którą nie utrzymuje przecież stosunków dyplomatycznych! Według zgodnych oświadczeń wielu źródeł nuncjusze apostolscy rozmawiają często z przedstawicielami państw, z którymi walczą w takich sprawach, jak: kara śmierci, wolność religijna i szerzej – prawa człowieka.

18 grudnia 2008 roku zgodnie z przewidywaniami Argentyna przedstawia na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych deklarację odnoszącą się do praw człowieka, orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Inicjatywa ta uzyskuje poparcie sześćdziesięciu sześciu krajów: podpisują ją wszystkie bez wyjątku państwa Unii Europejskiej, sześć krajów afrykańskich, cztery azjatyckie, trzynaście z Ameryki Łacińskiej, Izrael, Australia i Kanada. Po raz pierwszy w historii ONZ państwa ze wszystkich kontynentów opowiedziały się przeciwko gwałceniu praw człowieka ze względu na orientację seksualną.

– To była bardzo poruszająca sesja. Przyznaję, że byłem bliski łez – zwierza mi się podczas rozmowy w Paryżu Jean-Maurice Ripert, ambasador Francji w ONZ.

Przedstawiciel Syrii zaprezentował również kontrdeklarację pięćdziesięciu dziewięciu krajów. Ów tekst koncentrował się na obronie rodziny jako „naturalnej i fundamentalnej komórki społecznej” oraz krytykował tworzenie „nowych praw” i „nowych standardów”, które zdradzają ducha ONZ. Tekst potępia zwłaszcza

wyrażenie „orientacja seksualna”. Krytykował je za to, że nie ma dla niego sankcji w prawie międzynarodowym, oraz dlatego, że jego wprowadzenie mogłoby otworzyć drogę do uprawomocnienia „wielu fatalnych następstw, w tym pedofilii”. Niemal wszystkie kraje arabskie popierają tekst kontrdeklaracji, tak samo jak trzydzieści jeden krajów afrykańskich, kilka krajów azjatyckich i oczywiście Iran. Wśród sygnatariuszy jest również Watykan Benedykta XVI.

– Watykan zjednoczył się z Iranem i Arabią Saudyjską. To było niedopuszczalne. Mógł przynajmniej wstrzymać się od głosu – krytykuje podczas rozmowy we Florencji Sergio Rovasio, przewodniczący gejowskiego stowarzyszenia Certi Diritti.

Tym bardziej że sześćdziesiąt osiem krajów „neutralnych”, takich jak Chiny, Turcja, Indie, Afryka Południowa czy Rosja, odmawia podpisania tekstu przedstawionego przez Argentynę, a także syryjskiej kontrdeklaracji. Biorąc to pod uwagę, Watykan mógł postąpić tak samo.

Kiedy pytam nuncjusza Silvano Tomasiego o stanowisko Watykanu, wyraża on żal, że ta deklaracja stała się „zaczątkiem ruchu wspólnoty międzynarodowej i Narodów Zjednoczonych wpisującego prawa gejów w kompleksowy plan praw człowieka”. Uwaga jest dość słuszna. Między 2001 rokiem, kiedy w Holandii przyjęto możliwość zawierania małżeństw homoseksualnych, a końcem pontyfikatu Benedykta XVI w 2013 roku kwestia gejowska zyskała siłę przebicia na arenie międzynarodowej.

Sekretarz stanu USA Hillary Clinton w wystąpieniu w siedzibie ONZ w Genewie w grudniu 2011 roku mówi: „Niektórzy twierdzą, że prawa gejów i prawa człowieka są odrębne i odmienne, tymczasem prawa gejów są częścią praw człowieka i stanowią z nimi jedność [gay rights are human rights, and human rights are gay rights]”.

Dyplomaci watykańscy wysłuchali w milczeniu tego przekazu, dziś powszechnie uznawanego w ministerstwach sprawiedliwości krajów zachodnich i latynoamerykańskich – albo broni się praw człowieka w całości, albo wcale.

A jednak Benedykt XVI nie odpuści aż do końca swojego pontyfikatu. Wręcz przeciwnie, angażuje się w trzecią krucjatę: walkę ze związkami partnerskimi i małżeństwami gejowskimi. Raz jeszcze papież czyni z tego kwestię zasadniczą. Czy zdaje sobie jednak sprawę, że i ta bitwa, jak poprzednia, jest z góry przegrana?

– Dla człowieka takiego jak Benedykt XVI walka z homoseksualizmem zawsze była bardzo ważna. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, że małżeństwa gejowskie mogą być w jakikolwiek sposób zalegalizowane – potwierdza mi pewien ksiądz z kurii.

W tak trudnym momencie nie ma mowy o wycofaniu się, choćby miało to nie wiem ile kosztować! Benedykt rzuca się więc na ślepo, jak pierwsi chrześcijanie gotów na pożarcie przez lwy. Niech się dzieje wola nieba!

Ta bezsensowna, przyprawiająca o zawrót głowy historia fanatycznego zaangażowania w walkę z małżeństwami jednopłciowymi jest decydującą chwilą dla Sodomy. Wprowadza na scenę całą armią księży homofilów i nieujawnionych homoseksualnych hierarchów, którzy dzień po dniu, kraj po kraju zaczną się mobilizować przeciwko armii otwarcie gejowskich aktywistów. Wojna o małżeństwa gejów była bardziej niż kiedykolwiek wojną między homoseksualistami.

Zanim zajmę się dokładniej Hiszpanią, Francją i Włochami, omówię tutaj przebieg owej wojny w Peru, Portugalii i w Kolumbii.

KRÓTKA BIAŁA BRÓDKA, gruby zegarek i brązowa zamszowa kurtka. To Carlos Bruce, postać nie do zastąpienia w ruchu LGBT Ameryki Łacińskiej. Dwukrotnie był ministrem w rządach

umiarkowanej prawicy. W latach 2014 i 2015 wielokrotnie spotkałem się z nim w Limie. Carlos opisuje mi ogólnie pozytywny obraz rozprzestrzeniania się praw gejów na kontynencie, choć w niektórych wypadkach specyfika narodowa – jak na przykład w Peru – hamuje ogólny trend. Jak mogłem stwierdzić, geje prowadzą w Limie życie aktywne, a tolerancja wobec nich rośnie. Jednak uznanie praw gejów do tworzenia związków partnerskich i zawierania małżeństw napotyka opór Kościoła katolickiego, który staje na drodze wszelkiemu postępowi. Nawet pomimo jego moralnej porażki wynikającej z niezwykle licznych przypadków pedofilii:

– Tutejszy kardynał Juan Luis Cipriani jest wściekłym homofobem. Mówi o homoseksualistach jako o „uszkodzonej podróbce towaru”, a małżeństwo gejowskie byłoby, mówiąc jego słowami, „holocaustem”. Ale kiedy jeden z biskupów został oskarżony o wykorzystywanie seksualne, Cipriani go bronił! – mówi z wyraźnym wstrętem Carlos Bruce.

Cipriani, członek Opus Dei, purpurę kardynalską otrzymał z rąk Jana Pawła II dzięki aktywnemu poparciu sekretarza stanu Angelo Sodana. Tak jak ten ostatni jest krytykowany za związki ze skrajną prawicą i niechęć do teologii wyzwolenia. Faktem jest, że niektórzy księża bliscy temu prądowi z bronią w ręku przyłączali się do maoistowskich partyzantów spod znaku Świetlistego Szlaku albo – jak ci bardziej guevarystowscy – do MRTA (Ruchu Rewolucyjnego im. Tupaca Amaru), co przeraziło konserwatywny kler. Pomijając te lokalne mutacje, kardynałowi udała się, jak wielu jego współwyznawcom, kwadratura koła: być zarazem skrajnie wrogo nastawionym do małżeństw osób tej samej płci (w Peru nie ma wciąż nawet związków partnerskich) i milczeć na temat księży pedofilów. Dodajmy, że w Peru stale powtarzają się pogłoski na temat inklinacji tego skrajnego homofoba.

Kardynał Cipriani w pierwszych latach XXI wieku nie przestaje głosić antygejowskich tyrad. Do tego stopnia, że publicznie przeciwstawia się jego słowom i wyśmiewa je nowa mer Limy Susana Villarán, skądinąd praktykująca katoliczka. Villarán jest do tego stopnia wzburzona podwójną moralnością kardynała Ciprianiego, który przeciwstawia się prawom gejów, ale milczy na temat księży pedofilów, że wchodzi z nim w ostre zwarcie. Bierze udział w gay pride i wyśmiewa przerażającego kardynała i jego rozdwojony język.

– Tutaj głównym przeciwnikiem praw gejów jest Kościół katolicki – mówi Carlos Bruce – jak zresztą wszędzie w Ameryce Łacińskiej. Myślę jednak, że homofobi zaczynają tracić grunt pod nogami. Ludzie rozumieją bardzo dobrze argument ochrony par gejowskich.

Tę opinię podziela również Alberto Servat, dziennikarz i wpływowy krytyk sztuki, z którym spotykam się w Limie:

– Powtarzające się skandale seksualne w Kościele są szokiem dla opinii publicznej. Tymczasem kardynał Cipriani sprawia wrażenie, jakby w żaden sposób nawet nie próbował ograniczyć molestowania seksualnego. Jeden z oskarżonych księży jest dziś uciekinierem w Watykanie…

Carlos Bruce proponuje konkretne rozwiązania, które byłyby ostatecznym poniżeniem Ciprianiego:

– Myślę, że trzeba, by Kościół poniósł wszystkie konsekwencje swojego moralnego upadku: musi przestać krytykować związki homoseksualne dorosłych, akceptujących je osób i uznać ich małżeństwa; potem musi przerwać milczenie na temat wykorzystywania seksualnego i całkowicie odrzucić powszechną strategię ich zinstytucjonalizowanego tuszowania i ukrywania. I przede wszystkim trzeba skończyć z celibatem księży, bo stąd się bierze cały problem.

W PORTUGALII, do której pojechałem dwukrotnie, zbierając materiały do tej książki (w 2016 i 2017 roku), dyskusja na temat małżeństw gejowskich miała odwrotny przebieg niż w Peru czy Europie. A to dlatego, że hierarchia katolicka nie postępowała zgodnie z wytycznymi Rzymu. O ile we Francji, w Hiszpanii czy we Włoszech kardynałowie przewidywali i popierali stanowisko Benedykta XVI, o tyle episkopat portugalski poszedł inną drogą. Najważniejszym kardynałem w latach 2009-2010 był tu arcybiskup Lizbony José Policarpo.

– Policarpo należał do grona umiarkowanych hierarchów. Nigdy nie pozwalał Rzymowi sobą sterować. Spokojnie wyraził swój brak akceptacji dla projektu prawa o małżeństwach gejowskich, ale nie zgodził się, żeby biskupi wyszli na ulice – wyjaśnia mi w Lizbonie dziennikarz António Marujo, specjalista od spraw religijnych, który napisał książkę razem z Policarpem.

Trzeba przyznać, że Kościół portugalski, skompromitowany przed 1974 rokiem za czasów dyktatury, teraz wobec skrajnej prawicy katolickiej trzyma się na dystans. Nawet nie próbuje mieszać się do afer politycznych i nie wychyla się podczas debat parlamentarnych. Takie informacje przekazuje mi José Manuel Pureza, wiceprzewodniczący portugalskiego parlamentu, deputowany Bloku Lewicy i praktykujący katolik, który był jednym z twórców prawa o małżeństwach jednopłciowych:

– Kardynał Policarpo, który za czasów dyktatury był raczej demokratą, w tej sprawie postawił na neutralność. Na poziomie zasad i moralności rodzinnej był przeciwko projektowi tego prawa, ale cały czas jego głos był bardzo wyważony. Kościół przyjął taką samą postawę w sprawie aborcji i adopcji przez małżeństwa jednopłciowe. (Ta analiza zgadza się z osądem trzech innych ważnych postaci politycznych popierających małżeństwa gejów, z którymi

rozmawiałem w Lizbonie: intelektualistą Francisco Louçá, Cathariną Martins, liderką Bloku Lewicy, i Aną Cathariną Mendes, rzeczniczką premiera Antonio Costy).

W czasie moich podróży do tego małego katolickiego kraju zafascynowało mnie to polityczne umiarkowanie: o problemach społecznych dyskutuje się uprzejmie, a homoseksualizm traktuje normalnie, z zachowaniem dyskrecji nawet w kościołach. Ze względu na kryzys powołań zdarza się czasem, że niektóre funkcje księży przejmują kobiety, wykonując wszelkie księżowskie obowiązki, z wyjątkiem sakramentów. Wielu księży katolickich jest żonatych, zwłaszcza nawróconych anglikańskich, którzy byli już w związkach, zanim dołączyli do Kościoła rzymskiego. Spotkałem również kilku księży i mnichów homoseksualnych, którzy żyją ze swoją wyjątkowością spokojnie, bez rozgłosu, zwłaszcza w klasztorach. Parafia świętej Izabeli w sercu Lizbony przychylnie przyjmuje wszystkie pary, bez rozróżniania płci. Frederico Lourenço, tłumacz Biblii na język portugalski, publicznie poślubił swojego partnera.

Ten łagodny liberalizm nie umknął uwadze Rzymu; nie spodobała się tam neutralność episkopatu z Lizbony w kwestiach społecznych. Ani też słaba mobilizacja przeciwko prawu o małżeństwach jednopłciowych. Rzym szykował się do wymierzenia kary, a kardynał Policarpo dostarczył pretekstu.

Z powodu pewnego wywiadu uznanego za zbyt liberalny (chodziło mianowicie o kwestię powołań kobiet) Policarpo został na polecenie papieża Benedykta XVI wezwany do Rzymu przez sekretarza stanu Tarcisio Bertonego. Tam, według zgodnych źródeł (a także szczegółowego śledztwa na ten temat przeprowadzanego przez Antónia Marujo z gazety „Público”), Bertone zmył głowę kardynałowi. Musiał teraz opublikować specjalny komunikat, w którym jeszcze powściągnął swoje już i tak bardzo powściągliwe

poglądy. Papież chciał jak najszybciej zakończyć sprawę Policarpa. W tym czasie najważniejszym człowiekiem Benedykta XVI w Portugalii jest biskup pomocniczy Lizbony i prorektor uniwersytetu katolickiego Carlos Azevedo. W 2010 roku organizował podróż papieża, której celem było wzmocnienie sprzeciwu wobec małżeństw jednopłciowych, przy okazji rosło jego znaczenie w portugalskim Kościele. Papież Benedykt ma wobec swego protegowanego dalekosiężne plany: chce go mianować kardynałem i uczynić patriarchą Lizbony w miejsce nieprzewidywalnego Policarpa. Azevedo przez długi czas był kapelanem szpitali. Nie jest ani naprawdę liberalny, ani całkiem konserwatywny. Nikt nie podważa jego intelektualnych kwalifikacji, a od kiedy papież zwrócił na niego uwagę, jego awans wydaje się niezagrożony.

– Biskup Carlos Azevedo był bardzo szanowany i bardzo poważany – podkreśla były minister Guilherme d'Oliveira Martins.

Benedykt XVI odkrył jednak kolejnego „geja w szafie"! Można nawet ironizować na temat kunsztu tego papieża, mimowolnego eksperta w sztuce otaczania się homoseksualistami, którzy zostają wyoutowani z powodu ich podwójnego życia. Pogłoski o homoseksualizmie Azevedy nasilają się, wzmacniane przez pewnego *chiera* „z szafy", który plotkuje na wszystkie strony powodowany zazdrością. Stosuje swego rodzaju kościelną „zemstę porno", której tajemnice znają pewnie wszystkie katolickie episkopaty: plotek jest tyle, że kariera Azevedy jest skończona. Ale dobre duchy i duchowni z otoczenia Ratzingera, którzy mają podobne skłonności, ewakuują biskupa Azevedo do Rzymu, żeby go wyciągnąć z sieci, w jaką mimowolnie się zaplątał. Dzięki wielkiej wyrozumiałości kardynała Gianfranco Ravasiego, wiedzącego o co chodzi, specjalnie dla Portugalczyka zostaje utowrzone stanowisko i tytuł: biskup na wygnaniu zostaje „oddelegowany"

do Papieskiej Rady do spraw Kultury w Rzymie. Wkrótce po tej udanej „kulturalnej” ewakuacji znany portugalski tygodnik „Visão” publikuje szczegółowe informacje o homoseksualizmie Azevedy w czasach, kiedy mieszkał w Porto. W ten sposób po raz pierwszy w najnowszej historii Portugalii wychodzi na jaw możliwa homoseksualność jednego z biskupów, co wystarcza do zgorszenia – i do ostatecznego bojkotu biednego prałata. Azevedę opuszczają wszyscy portugalscy przyjaciele, odrzuca go nuncjusz, a kardynał Policarpo zostawia swojemu losowi. Popierać Azevedę znaczyłoby samemu wystawić się na cel.

Ale jeśli rzeczywiście istnieje jakiś „skandal” Azevedy, to nie tam, gdzie można by się go spodziewać: nie chodzi bowiem o możliwy homoseksualizm arcybiskupa, ale o szantaż, którego padł ofiarą. Oraz o odsunięcie się od niego kilku hierarchów podzielających jego skłonności.

– Azevedo był ofiarą szantażu lub zemsty. Ale wbrew temu, co można by przypuszczać, episkopat wcale go nie bronił – potwierdza Jorge Wemans, założyciel dziennika „Público”.

W Rzymie kilkakrotnie rozmawiałem z tym portugalskim arcybiskupem. Opowiedział mi o swoim życiu, swoich błędach i swym nieszczęsnym wygnaniu. Dziś spędza czas w Papieskiej Radzie do spraw Kultury, a dwa popołudnia w tygodniu w bibliotece watykańskiej, gdzie prowadzi badania historyczne na temat Portugalczyków ważnych dla średniowiecznego Kościoła. Azevedo to człowiek powściągliwy, tolerancyjny, ekspert w dziedzinie ekumenizmu – intelektualista, a tych w Watykanie jest bardzo mało.

Pisząc te słowa, myślę o tym inteligentnym biskupie, któremu złamano karierę. Nie mógł się bronić ani złożyć skargi, bo oznaczałoby to, że trzeba wyznać jeszcze więcej. Nie mógł

przedstawić swojej sprawy włoskiemu nuncjuszowi w Lizbonie, sztywnemu estetyzującemu konserwatyście, którego hipokryzja w tej sprawie okazała się niewyobrażalna. Pełen godności Azevedo nigdy nie wypowiadał się publicznie na temat swojego dramatu, tym bardziej że – jak mi powiedział – był „przewodnikiem duchowym" tego, który go „niesprawiedliwie" oskarżył, dodając, że „chłopak był pełnoletni i nigdy nie było molestowania seksualnego". Dodał też, że nie tak dawno temu oskarżyciel uklęknął przed nim w katedrze w Porto na oczach wszystkich i prosił o wybaczenie. Czy jednak Kościół rzymski nie powinien bronić biskupa, który padł ofiarą oskarżeń? I czy ostatecznie, gdyby w Kościele papieża Franciszka istniała sprawiedliwość, to Carlos Azevedo nie powinien dziś zostać patriarchą Lizbony i kardynałem, jak uważa większość księży i dziennikarzy katolickich, z którymi rozmawiałem w Portugalii? W kraju, w którym małżeństwa gejowskie zostały ostatecznie uznane w 2019 roku.

TRZECI PRZYKŁAD bitwy o małżeństwa gejowskie: Kolumbia. Znamy już trochę ten kraj dzięki postaci kardynała Alfonso Lópeza Trujilla. W Bogocie antygejowska obsesja Kościoła katolickiego nie ustała nawet po śmierci tego kardynała homoseksualisty, a zarazem wielkiego homofoba. Spowodowało to nieoczekiwaną wpadkę, która poruszyła i postawiła w trudnej sytuacji papieża Franciszka.

Są to lata 2015-2016. Watykan jest właśnie w trakcie szeroko zakrojonej rozgrywki dyplomatycznej, której celem jest zakończenie trwającego od ponad pięćdziesięciu lat konfliktu zbrojnego między rządem a partyzantami FARC – Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii. Przez ten czas, którego inaczej niż wojną domową nazwać się nie da, siedem milionów osób musiało opuścić swe domy, a ćwierć miliona zamordowano.

Watykan wraz z Wenezuelą i Norwegią uczestniczy

w długotrwałych rokowaniach pokojowych toczących się na Kubie. Przedstawiciele FARC mieszkają w jezuickim seminarium. W negocjacjach między rządem a partyzantami uczestniczą: kardynał Ortega z Hawany, nuncjusze z Kolumbii, Wenezueli i Kuby oraz dyplomaci z sekretariatu stanu. Papież Franciszek aktywnie działa za kulisami i przyjmuje w Rzymie głównych aktorów układu pokojowego podpisanego w Cartagenie we wrześniu 2016 roku.

Tymczasem kilka dni później porozumienie zostaje odrzucone w ogólnonarodowym referendum. Okazuje się, że episkopat kolumbijski z kardynałami i biskupami na czele przyłączył się do obozu przeciwników układu pokojowego oraz byłego prezydenta Uriby, ultrakatolika i skrajnego antykomunisty, który prowadził kampanię, posługując się sloganem: „Chcemy pokoju, ale nie takiego".

Powody gniewu katolickich hierarchów nie mają jednak nic wspólnego z procesem pokojowym, który chcą obalić. Chodzi im przede wszystkim o potępienie małżeństw jednopłciowych i prawa do aborcji. Kolumbijski sąd najwyższy zalegalizował bowiem kilka miesięcy wcześniej małżeństwa jednopłciowe i prawa adopcyjne dla par homoseksualnych. Tymczasem Kościół katolicki uważa, że zwycięskie referendum wzmocniłoby obecne władze i uprawomocniłoby jego politykę. Tak więc z powodu czystego oportunizmu Kościół sabotuje referendum, broniąc swego konserwatywnego stanowiska.

Wisienka na torcie: minister edukacji Kolumbii, Gina Parody, osoba otwarcie homoseksualna, proponuje w tym samym czasie wprowadzenie do szkół polityki antydyskryminacyjnej wobec osób LGBT. Kościół kolumbijski interpretuje to oświadczenie jako próbę wprowadzenia „teorii gender" do szkół. Kościół sądzi więc, że jeśli referendum pokojowe zostanie przyjęte, to zostanie też przyjęta

pełnia praw dla homoseksualistów – tak, z grubsza biorąc, twierdzą jego przedstawiciele, wzywając do powstrzymania się od głosowania albo głosowania na „nie”.

– Kościół kolumbijski zawsze był po stronie ciemnych sił tego kraju. Tak było za czasów kardynała Alfonso Lópeza Trujilla i tak jest teraz. Małżeństwa gejowskie i teoria gender to tylko pretekst. Wzywali do głosowania „nie”, bo ani paramilitares, ani Kościół kolumbijski tak naprawdę nie chcieli pokoju. Dlatego posunęli się nawet do przeciwstawienia się papieżowi – grzmi pewien jezuita, z którym rozmawiałem w Bogocie.

Ale podwójne normy i dwulicowość ostatecznie sięgną zenitu w trzech znaczących krajach europejskich: w Hiszpanii, we Francji i Włoszech, na których teraz skupimy uwagę.

16.

Rouco

WALKA O MAŁŻEŃSTWA JEDNOPŁCIOWE nie toczy się tylko na tak odległych terytoriach jak Afryka Południowa czy Ameryka Łacińska. Nie ogranicza się do krajów północnej Europy, które często są – niewielkie to pocieszenie dla Watykanu – w większości protestanckie. Dla Rzymu bardziej niepokojący jest fakt, że pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II dyskusja dociera do samego jądra katolicyzmu: Hiszpanii, tak ważnej w historii chrześcijaństwa; Francji, „starszej córy Kościoła"; wreszcie do samych Włoch, serca papiestwa, jego pępka.

U kresu swojej misji chory Jan Paweł II przygląda się bezsilnie wahaniom opinii publicznej i dyskusji, która w Hiszpanii utoruje drogę małżeństwom osób tej samej płci. U kresu swojego pontyfikatu w 2013 roku Benedykt XVI będzie mógł tylko przyjąć do wiadomości, jeszcze bardziej bezsilny, że Francja przygotowuje się do przyjęcia praw sankcjonujących małżeństwa jednopłciowe. Włochy zaś zaakceptują związki partnerskie wkrótce po jego abdykacji. Na małżeństwa jednopłciowe we Włoszech też nadejdzie czas.

Między tymi dwiema datami związki jednopłciowe stają się w Europie coraz bardziej obecne, jeśli nie wszędzie w prawie, to w każdym razie w głowach.

„NO PASARÁN!". Przekaz, jaki nadszedł z Rzymu, jest klarowny. Kardynał Rouco odczytuje go doskonale. Natychmiast, kiedy jego

przyjaciel Angelo Sodano, sekretarz stanu Jana Pawła II, z powodu choroby ojca świętego stał się „papieżem bis", zaleca mu, żeby zastopował za wszelką cenę małżeństwa gejowskie, Rouco staje na czele „opozycji". Dla Rzymu to niezwykle ważne, żeby Hiszpania nie ustąpiła. Gdyby małżeństwa jednopłciowe zostały tu zalegalizowane, byłby to tak ważny symbol i sygnał o tak poważnych konsekwencjach, że cała Ameryka Łacińska mogłaby się wkrótce zachwiać.

„No pasarán!" nie powinno być jednak hasłem Rouco. Ten katolicki neonacjonalista był bliższy ideom dyktatora Franco niż hiszpańskim republikanom. Zrozumiał jednak otrzymany przekaz, który wkrótce zostanie powtórzony z taką samą siłą przez kardynała Bertonego, następcę Sodana.

Byłem w Hiszpanii pięciokrotnie: przed walką o małżeństwa jednopłciowe, w trakcie tej bitwy i tuż po niej. Kiedy w 2017 roku wróciłem do Madrytu i do Barcelony na moje ostatnie spotkania, trafiłem na wybory nowego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Hiszpanii. Ponad dziesięć lat minęło od czasu bitwy o małżeństwa jednopłciowe, ale rana wydawała się wciąż niezagojona. Aktorzy wciąż byli ci sami, przemoc, konserwatyzm, podwójne życie również. Zupełnie jak gdyby katolicka Hiszpania utknęła w zastoju. Stałym elementem krajobrazu był też jak zwykle pociągający za wszystkie sznurki kardynał Rouco. Po hiszpańsku mówi się: „titiritero" – ten, który manipuluje marionetkami.

Antonio María Rouco Varela urodził się na trasie pielgrzymek do Santago di Compostella: dorastał w Villalba, w Galicji, na północnym zachodzie Hiszpanii, w mieście etapowym el Camino, którego trasę wciąż pokonują setki tysięcy wiernych. Kiedy się rodził, w sierpniu 1936 roku, rozpoczynała się w Hiszpanii wojna domowa. W następnych dziesięcioleciach przeszedł drogę podobną do drogi

wielu popierających dyktaturę frankistowską księży tamtych czasów.

Nie pochodził z zamożnej rodziny. Ojciec jego zmarł wcześnie, matka chorowała. Jego kariera przebiegała w dość szczególny sposób. Edukacja w niższym seminarium duchownym była konserwatywna i ostra, wręcz „średniowieczna", jak mówi pewien ksiądz dobrze znający Rouco. Ksiądz ten dodaje jeszcze:

– W tamtych czasach w hiszpańskich szkołach katolickich opowiadano młodym chłopcom, że masturbacja jest okropnym grzechem. Rouco dorastał więc w atmosferze mitów rodem ze Starego Testamentu. Kazano wciąż wierzyć w ognie piekielne i w to, że homoseksualiści w nich spłoną!

Święcenia kapłańskie otrzymał w 1959 roku, w wieku dwudziestu trzech lat. Już wtedy hidalgo Rouco marzył, aby zostać rycerzem walczącym z niewiernymi, a na tarczy mieć purpurowy krzyż z miecza, symbol zakonu Świętego Jakuba od Miecza, który wciąż można oglądać w muzeum Prado na piersi Vélazqueza, na jednym z najpiękniejszych obrazów świata – *Panny dworskie*.

Biografowie kardynała nie opisali szczegółowo lat sześćdziesiątych, które Rouco spędził w Niemczech. Studiował tam filozofię i teologię pod okiem liberalnego jezuity Karla Rahnera. Opisuje się go jako raczej skromnego księdza, z niezbyt rozwiniętymi kompetencjami społecznymi, dość wątłego, zniewieściałego, zasępionego, poszukującego; niektórzy uważają go nawet za postępowca. Zauważają też, że był „zaciekłym mizoginem".

Po powrocie do Hiszpanii Rouco spędza siedem lat w Salamance. Za Pawła VI zostaje biskupem. W latach osiemdziesiątych zbliża się do arcybiskupa Madrytu Ángela Suquía Goicoechei, konserwatysty, którego Jan Paweł II wybrał na następcę liberała i antyfrankisty Vicente Tarancóna. Bardziej być może z wyrachowania niż z przekonania przyłącza się do nowej linii madryckiej i watykańskiej.

I to się opłaca. W wieku czterdziestu sześciu lat – tak jak marzył – został arcybiskupem Santiago de Compostela. Dziesięć lat później zostaje arcybiskupem Madrytu, a potem Jan Paweł II mianuje go kardynałem.

MAM SIĘ SPOTKAĆ z José Manuelem Vidalem w restauracji Robin Hood w Madrycie. Jej nazwa zapisana jest po angielsku, nie po hiszpańsku. Miejsce zarządzane jest przez ośrodek przy kościele San Antón ojca Angela opiekujący się bezdomnymi i „ninos de la calle", dziećmi ulicy. Vidal był księdzem przez trzynaście lat. Jada tutaj, aby wspomóc stowarzyszenie. Spotkamy się w tym miejscu kilka razy.

– W południe działa tu zwyczajna restauracja, wieczorem biedni jedzą tu za darmo. Jedzą to samo co my: my płacimy w południe, żeby oni mogli zjeść wieczorem, nie płacąc – wyjaśnia Vidal.

Żyjący ideami Soboru Watykańskiego II jezuita, który został proboszczem, José Manuel Vidal, należy również do tej wielkiej niespokojnej rzeki płynącej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, rzeki tych, którzy wyszli z Kościoła, żeby zawrzeć związek małżeński. Podziwiam Vidala za jego uczciwość w kraju, gdzie powszechne jest przekonanie, że jeden na pięciu księży żyje w konkubinacie z kobietą.

– W czasach mojej młodości, w latach pięćdziesiątych, Kościół był jedyną możliwością awansu społecznego dla chłopskiego syna, takiego jak ja – mówi.

Jako były ksiądz zna hiszpański Kościół od podszewki; rozszyfrowuje jego intrygi, rozpatruje pod każdym kątem, a z „morderczej czystości" wyciąga najtajniejsze sekrety, jak w filmie Almodóvara *Złe wychowanie*. Został dziennikarzem w „El Mundo", potem dyrektorem ważnego katolickiego portalu informacyjnego Religion Digital, opublikował biografię kardynała Antonio Marii

Rouco Vareli, której tytuł, napisany wielkimi majuskułami, jak gdyby chodziło o osobę tak znaną jak Jan Paweł II lub Franco, brzmi po prostu: *ROUCO*.

– Moja księżowska przeszłość umożliwiła mi dostęp do informacji wewnętrznych, moja obecna świeckość daje mi wolność, rzadką u hiszpańskich duchownych – podsumowuje zręcznie Vidal.

Materiały przedstawione przez José Manuela Vidala na 626 stronach dają fascynujący obraz katolickiej Hiszpanii od lat czterdziestych do współczesności: kolaboracja z faszystowską dyktaturą, walka z komunizmem, panowanie pieniądza i rozpusta, która trawi księży niczym gangrena, spustoszenia spowodowane celibatem i wykorzystywanie seksualne. Mimo to Vidal życzliwie spogląda na typ księży, do których sam należał, a którzy wciąż wierzą w Boga i kochają bliźniego swego.

Kardynał Rouco był najpotężniejszym hierarchą hiszpańskiego Kościoła katolickiego przez dwa dziesięciolecia, od nominacji na arcybiskupa Madrytu w 1994 roku aż do zleconej przez papieża Franciszka emerytury w roku 2014.

– Rouco jest człowiekiem do głębi makiawelicznym. Poświęcił swoje życie na kontrolowanie hiszpańskiego Kościoła. Otaczał go prawdziwy dwór, miał pieniądze, dużo pieniędzy, miał żołnierzy, oddziały, prawdziwą armię – opowiada Vidal, opisując tę niezwykłą karierę. Według słów jego biografa to postać *ancien regime'u.* Rouco Varela jest w Hiszpanii osobowością zdecydowanie anachroniczną. Inaczej niż jego poprzednicy, na przykład kardynał Vicente Enrique y Tarancón, który był człowiekiem Soboru Watykańskiego II i demokratycznych przemian, wydaje się, że Rouco „nie zerwał wyraźnie z frankizmem". Tak utrzymuje ojciec Pedro Miguel, jezuita, z którym rozmawiałem w Madrycie.

Według Vidala Rouco jest „psychicznie niereformowalnym

oportunistą”, który „przedkłada Rzym nad Hiszpanię”. Nie ma najmniejszych skrupułów, żeby angażować katolików do gry politycznej: zmobilizował episkopat, a wkrótce cały hiszpański Kościół, by wsparł najbardziej sekciarski margines, prawe skrzydło partii José Marii Aznara.

Fundament, na którym wspiera się władza Rouco, tworzą cztery elementy: Opus Dei, Legioniści Chrystusa, „los kikos”, czyli neokatechumenat, i wreszcie ruch Komunia i Wyzwolenie.

Opus Dei zawsze odgrywał niezwykle ważną rolę w Hiszpanii, gdzie bractwo powstało w 1928 roku. Według kilku zgodnych informatorów sam Rouco nigdy nie był członkiem Opus Dei, ale potrafił nim manipulować. Co do Legionistów Chrystusa, z racji braku wykształcenia bardziej podatnych na wszelkie sugestie, tworzyli oni swoistą gwardię przyboczną Rouco (kardynał pozostał zwolennikiem Marciala Maciela nawet po pierwszych informacjach o dokonywanych przez niego gwałtach i o pedofilii).

Trzeci filar władzy Rouco to ruch znany w Hiszpanii jako „los kikos” (a gdzie indziej pod oficjalną nazwą: Droga Neokatechumenalna). Grupuje on młodzież katolicką pragnącą powrotu do źródeł chrześcijaństwa i sprzeciwiającą się globalnej sekularyzacji. Rouco wspierał się również na ważnym konserwatywnym ruchu katolickim Komunia i Wyzwolenie powstałym we Włoszech, ale mocno osadzonym w Hiszpanii (od roku 2005 jego liderem jest Hiszpan).

– Te cztery prawicowe ruchy tworzą społeczną podbudowę władzy Rouco, są jego armią. Kiedy tylko „generał” Rouco sobie tego zażyczył, ludzie z tych organizacji wychodzili na ulice i byli w stanie zapełnić wielkie place Madrytu. To była jego metoda działania. Ujawnił ją, kiedy stanął do bitwy przeciwko małżeństwom jednopłciowym – tłumaczy Vidal.

Ale jeszcze zanim zaczęła się debata na temat tych małżeństw, Rouco dowiódł swojego talentu organizacyjnego podczas Światowych Dni Młodzieży w 1989 roku, które odbywały się w jego mieście, Santiago de Compostela. Arcybiskup uwijał się jak w ukropie, a jego skuteczność ujęła papieża Jana Pawła II, który pogratulował mu publicznie podczas swojego pierwszego wystąpienia. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat Rouco przeżywa swoją chwilę chwały i otrzymuje błogosławieństwo, na które inni czekali całe życie (Rouco ponowi tę akcję oczarowywania papieży w 2011 roku, za pontyfikatu Benedykta XVI, podczas Światowych Dni Młodzieży w Madrycie).

Z intelektualnego punktu widzenia model myślenia kardynała Rouco był odbiciem myśli Jana Pawła II. Katolicyzm jest twierdzą obleganą przez wrogów, trzeba go bronić. Ta wizja Kościoła jako oblężonej twierdzy wyjaśniałaby zdaniem kilku świadków jego rygoryzm, jego narastający autorytaryzm, mobilizację oddziałów, jaką zarządza, wyprowadzając walkę na ulice, jego zamiłowanie do siły i do kontroli.

Jeśli chodzi o kwestię homoseksualizmu, prawdziwej obsesji kardynała, to Rouco podąża za myślą polskiego papieża: homoseksualiści nie będą potępieni, jeśli wybiorą wstrzemięźliwość. A jeśli nie są do tego zdolni, trzeba im zapewnić „terapie naprawcze", aby mogli osiągnąć absolutną czystość.

Wybrany na przewodniczącego konferencji hiszpańskiego episkopatu, a potem wybierany na to stanowisko jeszcze cztery razy Rouco trzyma się tej funkcji przez dwanaście lat – nie licząc tych, kiedy wciąż pociągał za sznurki jako „titiritero", nie mając oficjalnej władzy (co zresztą trwa do dzisiaj). Zawsze w towarzystwie swojego odrobinę swawolnego sekretarza, z którym się nie rozstaje, i swojego fryzjera, o którym mówi „una bellísima persona", a który nie oddala

się od niego na długość grzebienia – widać, że arcybiskupowi woda sodowa uderzyła do głowy. Gdybyśmy tu mieli użyć jakiegoś imienia własnego w funkcji rzeczownika pospolitego, to najsłuszniejsze byłoby określenie: Rouco stał się Sodanem!

MOC ROUCO VARELEGO ma swoje źródła nie tylko w Hiszpanii, ale również w Rzymie. Z powodu ideologicznych inklinacji, ale też inklinacji jako takich, Rouco zawsze czuł zapach watykańskiej świętości. Bliski Janowi Pawłowi II i Benedyktowi XVI, którzy bronili go w każdej sytuacji, należał również do kręgu osób bardzo bliskich kardynałom Sodanowi i Bertonemu. Ponieważ władza przyciąga władzę, Rouco miał decydujący wpływ na wszelkie nominacje dotyczące hiszpańskiego Kościoła – w związku z tym zarówno księża, jak i biskupi jemu zawdzięczali swoje kariery. A ponieważ w Hiszpanii Kościół ocenia swą władzę przede wszystkim jakością stosunków między Rzymem a Madrytem, to w końcu Rouco zasłużył sobie na przydomek „wicepapieża".

– Rouco rządził dzięki rozbudzaniu strachu i handlowaniu wpływami. Zawsze mówiono o nim: „traficante de influencias" – mówi mi jeden z księży z Madrytu.

Rouco wszędzie umieszcza swoich ludzi i nadużywa władzy. Ma też swoich „hombres de placer" (jak nazywano na hiszpańskim dworze błaznów, którzy rozśmieszali króla). Syn jego siostry, Alfonso Carrasco Rouco, został biskupem, wywołując dyskusję o nepotyzmie; zaczyna się o nim mówić „kardynał bratanek", co wywołuje niemiłe skojarzenia.

Pieniądze także, i to ile! Tak jak kardynał López Trujillo, jak sekretarze stanu Angelo Sodano i Tarcisio Bertone Rouco jest na swój sposób plutokratą. To, w jaki sposób zgromadził fortunę, pozostaje tajemnicą. Ale dzięki tym pieniądzom (a być może także tym z konferencji episkopatu hiszpańskiego) może pielęgnować swoją

władzę w Rzymie.

W samej Hiszpanii arcybiskup Madrytu żyje jak udzielny książę, w „ático”, poddaszu odrestaurowanym w 2004 roku za kilka milionów euro. To luksusowy penthouse z obrazami mistrzów na najwyższym piętrze pałacu bardzo niefortunnie zwanego Palacio de San Justo. Jest to osiemnastowieczna rezydencja, wspaniała i urzekająca swym późnobarokowym stylem (zwiedzałem ten pałac, kiedy byłem z wizytą u kardynała Osorio, następcy Rouco).

– Trudno sobie wyobrazić, jakim dramatem dla hiszpańskiego episkopatu był wybór Franciszka – opowiada Vidal. – Biskupi żyli tutaj jak książęta, poza dobrem i złem. Wszystkie biskupstwa to imponujące pałace, a hiszpański Kościół dysponuje wszędzie niewyobrażalnym wprost majątkiem: w Madrycie, w Toledo, w Sewilli, w Segowii, w Granadzie, w Santiago de Compostela… A tymczasem Franciszek wymaga od nich, żeby stali się ubogimi, żeby wyprowadzili się z pałaców i wrócili do duszpasterstwa i pokory. To, co jest dla nich najtrudniejsze do przełknięcia, to nie tyle doktryna, bo w tej dziedzinie bardzo łatwo się dostosowywali. To, co im najtrudniej przełknąć, to obowiązek wyrzeczenia się luksusu, zaprzestania książęcego życia, opuszczenia pałaców i, o zgrozo!, obowiązek służenia ubogim!

O ile wybór Franciszka jest dramatem dla Kościoła hiszpańskiego, o tyle dla Rouco jest tragedią. Przyjaciel Ratzingera był zaszokowany jego abdykacją. Ten koszmar nigdy mu się nawet nie śnił. Wybór nowego papieża kardynał arcybiskup Madrytu miał podobno skwitować zauważoną przez prasę puentą godną tragedii: „Konklawe nam się wymknęło”.

Wiedział bez wątpienia, czego może się spodziewać! Już po kilku dniach papież Franciszek wysyła Rouco na emeryturę. Zaczyna od odsunięcia go od Kongregacji do spraw Biskupów, ważnego

miejsca, które pozwalało na decydowanie o nominacjach wszystkich hiszpańskich hierarchów. Zmarginalizowany w Watykanie również w Hiszpanii ma odejść z funkcji arcybiskupa Madrytu, choć bardzo się starał na niej pozostać mimo osiągniętego limitu wieku. Wówczas wściekły oskarża wszystkich, którzy go zdradzili, i domaga się bezwzględnie od nuncjusza w Hiszpanii wyboru swojego następcy spośród trzech zaproponowanych nazwisk. Ale list z Rzymu zawiera cztery nazwiska i nie ma tam żadnego proponowanego przez Rouco!

Najgorsze ma jednak dopiero nadejść – na wysokim szczeblu, w Rzymie, ustanowiona zostaje niewyobrażalna dla tego księcia Kościoła sankcja: wymaga się od niego, żeby opuścił swój madrycki penthouse. Tak jak Angelo Sodano i Tarcisio Bertone w Rzymie w podobnych okolicznościach Rouco kategorycznie odmawia i jak może, opóźnia wykonanie polecenia. Naciskany przez nuncjusza Rouco proponuje, aby jego następca zamieszkał na niższym piętrze, tuż pod nim, co jemu pozwoliłoby pozostać w pałacu. Stolica apostolska odmawia po raz kolejny: Rouco ma się wyprowadzić i zostawić swój luksusowy apartament w Palacio de San Justo nowemu arcybiskupowi Madrytu Carlosowi Osoro.

CZY KARDYNAŁ ROUCO JEST WYJĄTKIEM i skrajnym przypadkiem? Chciałoby się w to wierzyć. Jednakże ten zły duch jest raczej produktem pewnego systemu powstałego w trakcie pontyfikatu Jana Pawła II, kiedy ludzie Kościoła zostali zatruci przez władzę oraz złe nawyki i zabrakło siły mogącej zahamować ten dryf. Rouco nie różni się w tym specjalnie od Lópeza Trujilla, Angelo Sodana i innych. Oportunizm i makiawelizm, w których osiągnął mistrzostwo, były przez Rzym tolerowane, by nie powiedzieć, że do nich zachęcano. Dlaczego? Odpowiedź ma trzy aspekty: ideologiczny, finansowy i związany z homoseksualizmem. Rouco długo żył w zgodzie z Watykanem Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Bez wahania dołączył do wojny z komunizmem i z teologią wyzwolenia; przyjmuje za swoje antygejowskie idee Ratzingera, spotyka się ze Stanisławem Dziwiszem i Georgiem Gänsweinem, słynnymi sekretarzami osobistymi papieży. Rouco był w Hiszpanii najważniejszym wykonawcą ich polityki, był ich stronnikiem, ich sługą i gospodarzem w swej luksusowej posiadłości w Tortosie, na południe od Barcelony (według trzech świadectw z pierwszej ręki). Jego otoczenie jest przyjazne dla gejów, a jego przyjaźnie szczególne. Znów odnajdujemy tu wzorzec wspólny dla Włoch, Francji i wielu innych krajów świata. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku hiszpańscy homoseksualiści wybierali często seminarium dla kariery albo żeby uniknąć prześladowań. W otoczeniu Rouco jest wielu kryptogejów, którzy w Kościele znaleźli azyl.

– Za Franco, który pozornie był dyktatorem bardzo pobożnym i katolickim, homoseksualizm uznawano za przestępstwo. Były aresztowania, kary więzienia, zsyłanie homoseksualistów do obozów pracy. Kapłaństwo jawiło się zatem wielu młodym homoseksualistom jako jedyne rozwiązanie. Wielu zostało więc księżmi. To był klucz, reguła, model – wyjaśnia Vidal.

Inny ksiądz jezuita, z którym rozmawiam w Barcelonie, mówi:

– Wszyscy ci, którzy kiedyś na ulicach swojego miasteczka usłyszeli za sobą „maricón”, pedał, skończyli w seminarium.

Czy w wypadku Rouco podobnie wyglądała droga krzyżowa wiodąca od stacji do stacji na szlaku świętego Jakuba z Composteli? Droga uszlachetnionej homofilii na wzór Maritaina czy skrywanej homofobii na modłę Alfonso Lópeza Trujilla (bliskiego przyjaciela Rouco, odwiedzającego go często w Madrycie)? Tego nie wiemy.

– Długo badałem ten temat – kontynuuje Vidal. – Rouco nigdy nie interesował się dziewczętami: kobiety były dla niego niewidoczne.

Jego mizoginia była porażająca. Tak więc ślub czystości w stosunku do kobiet nie był dla niego żadnym problemem. Co do chłopców, to jest dużo rzeczy niepokojących, wielu gejów wokół niego, ale nie ma sygnałów rzeczywistych skłonności. Moja hipoteza byłaby więc taka, że Rouco był aseksualny.

TAKI JEST KONTEKST działania Rouco, który w latach 2004-2005, pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II, angażuje się w hiszpańską walkę z małżeństwami jednopłciowymi.

– Trzeba być świadomym, że dla Sodana, a potem dla Ratzingera i Bertonego propozycja prawa zezwalającego na małżeństwa gejów natychmiast stała się wielkim zagrożeniem. Obawiali się efektu kuli śniegowej w całej Ameryce Łacińskiej. Ich zdaniem trzeba ostatecznie uniemożliwić wprowadzenie tego prawa tutaj, w Hiszpanii, zanim zaraza się rozniesie wszędzie. Przeraził ich możliwy efekt domina. Z ich punktu widzenia Rouco był człowiekiem opatrznościowym. Jedynym, który zdolny był skutecznie wyeliminować projekt małżeństw gejowskich – komentuje Vidal.

Rouco ich nie zawiedzie. Kiedy w 2004 roku premier Zapatero angażuje się w sprawę małżeństw jednopłciowych, od razu na drodze staje mu Rouco Varela. Bez ostrzeżenia organizuje swój pierwszy pokaz siły. Ze swoimi „kikos", ze swoimi Legionistami Chrystusa, przy wsparciu Opus Dei kardynał gromadzi tłumy. Setki tysięcy Hiszpanów zalewa ulice Madrytu w imię hasła „la familia sí importa" – rodzina jest ważna. Wraz z tłumami – biskupi: dwudziestu hierarchów demonstruje przeciwko małżeństwom gejowskim.

Po pierwszych sukcesach Rouco czuje poparcie dla swojej strategii. Z Rzymu słychać aplauz. Manifestacje się mnożą, a opinia publiczna zaczyna mieć wątpliwości. Papież Ratzinger za pośrednictwem swojego osobistego sekretarza Georga Gänsweina przekazuje gratulacje dla Rouco. Rouco wygrał swą bitwę: rząd Zapatero jest

w impasie.

– Rouco naprawdę stał się wtedy naszą zmorą. Wyprowadził biskupów na ulice, a to było dla nas niewyobrażalne – opowiada Jesus Generelo, przewodniczący federacji organizacji LGBT, bliski lewicy.

A jednak wiosną 2005 roku sytuacja się odwraca. Czy biskupi posunęli się za daleko w swoich wystąpieniach? Przeszarżowano z napisami na transparentach niesionych podczas demonstracji? Czy ta religijna mobilizacja przypomniała czasy frankizmu, kiedy również niesiono na sztandarach hasła o rodzinie i katolickich wartościach?

– Zasadniczym błędem Rouco było wyprowadzenie na ulice biskupów. Franco też tak robił. Hiszpanie natychmiast zinterpretowali ten przekaz: powrót faszyzmu. Była to fatalna perspektywa i opinia publiczna dokonała zwrotu – komentuje José Manuel Vidal.

Po tej dziwnej kilkumiesięcznej wojnie głos mediów przechyla się w stronę prawa o małżeństwach jednopłciowych. Prasa, w tym kilka tytułów związanych z episkopatem, zaczyna krytykować manifestacje i wyśmiewać jej liderów.

Ulubionym celem ataków staje się kardynał Rouco. Jego domniemana obsesja seksualna owocuje przydomkiem – przywłaszczonym właściwie – „Rouco Siffredi” [Roco Siffredi to włoski aktor porno – przyp. red.], używanym nawet wśród księży (według oświadczenia jednego z nich). W internecie kardynał jest karykaturowany do upojenia: staje się „Rouco Clavelem”, co jest aluzją do Paco Clavela, słynnego ekstrawaganckiego piosenkarza ruchu La Movida, a przy okazji transwestyty. Modne staje się powiedzenie: „On jest Rouco Varelą w ciągu dnia, a Paco Clavelem nocą”. Kościół traci poparcie młodych w dużych miastach; odwraca się również od niego elita i klasy średnie w obawie przed etykietką

zacofańców. Wkrótce sondaże pokazują, że dwie trzecie Hiszpanów popiera propozycję prawa o małżeństwach jednopłciowych (dziś to poparcie wynosi około osiemdziesięciu procent).

Rzym, który na bieżąco śledzi rozwój sytuacji, zaczyna się niepokoić takim obrotem spraw. Zarzuca kardynałowi, że posunął się za daleko i że pozwolił rozsrożonym biskupom na mnożenie ekscesów. Nowy sekretarz stanu Tarcisio Bertone, który w trybie pilnym przybywa do Madrytu, spotyka się z Zapatero i domaga się od Rouco „uspokojenia". Niebywała sprawa: nowy silny człowiek Watykanu, bliski współpracownik papieża Benedykta XVI i sam homofob, ma powściągać Rouco!

Trzeba jednak powiedzieć, że niezależnie od głoszonych wojowniczych haseł i napisów na transparentach episkopat hiszpański jest w rzeczywistości bardziej podzielony, niż mogłoby się wydawać. Rouco traci poparcie własnego Kościoła. Jego linię kontestują nowy kardynał Caros Amigo i biskup Bilbao Ricardo Blázquez (którego Franciszek uczyni kardynałem w 2015 roku). Arcybiskup Pampeluny, Fernando Sebastián, zakonnik i dobry teolog, wcześniej autor wystąpień kardynała Tarancóna (którego Franciszek również uczyni kardynałem w 2014 roku), atakuje wprost strategię Rouco, uważając, że jest to powrót do *ancien régime'u.* Czytaj: do frankizmu.

Oczywiście, Sebastián, Amigo i Blázquez nie popierają małżeństw zapowiedzianych przez Zapatero, ale uważają, że Kościół nie powinien się mieszać w sprawy polityczne, choć może przedstawić swój etyczny punkt widzenia w debacie.

Pierwszy to Antonio Cańizares, arcybiskup Toledo i prymas Hiszpanii. Przyjaciel Rouco, a także bliski kardynała Ratzingera, do tego stopnia, że w Hiszpanii ma przezwisko „mały Ratzinger" (Benedykt XVI uczyni go kardynałem w 2006 roku). Tak jak

amerykański kardynał Burke Cańizares uwielbia stroić się w cappa magna, wielką kapę, ślubną suknię kardynałów.

– Cańizares jest bardzo niski, więc w tej długiej szacie wygląda naprawdę śmiesznie. Jak Mari Bárbola – mówi znany hiszpański dziennikarz (robiąc aluzję do karlicy przedstawionej na obrazie *Panny dworskie*; żart dość kiepski, ale słyszałem go od kilku osób).

Wiele osób wypowiada się krytycznie o Cańizaresie, niezliczone pogłoski krążą też na temat jego wysoko postawionych znajomych. Deputowani i stowarzyszenia LGBT złożyli kilka skarg na jego homofobiczne wypowiedzi i „nawoływanie do nienawiści". Z trudem przychodzi zrozumieć, czy służy sprawie chrześcijaństwa, czy zmienia jego idee w karykaturę. W każdym razie wkrótce po wyborze Franciszek postanowił oddalić go z Rzymu, gdzie był prefektem Kongregacji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, i odesłać do Hiszpanii. Cańizares głośno wzywa na odsiecz Madryt, ale Franciszek skreśla go i siłą wysyła do Walencji.

Drugi człowiek kardynała Rouco jest jeszcze bardziej karykaturalny i jeszcze bardziej radykalny. Biskup Juan Antonio Reig Plà angażuje się w walkę z małżeństwami jednopłciowymi na swój sposób, z subtelnością drag queen wkraczającej do szatni Barçy.

Reig Plà, nieposkromiony przeciwnik „ideologii gender", potępia homoseksualistów z apokaliptyczną gwałtownością. Publikuje świadectwa osób „uzdrowionych" przez „terapie naprawcze" (mówiono, że sam je przetestował, ale zaprzeczył temu). Porównuje pedofilię do homoseksualności. W ogólnokrajowej telewizji w porze wielkiej oglądalności, wywołując równie wielki skandal, posuwa się do stwierdzenia: „Os aseguro que los homosexuales encuentran el inferno" (Mogę was zapewnić, że homoseksualiści pójdą do piekła).

– Biskup Reig Plà nieświadomie stał się najlepszym sprzymierzeńcem naszej batalii o małżeństwa jednopłciowe.

Za każdym razem, kiedy wygłaszał jakieś przemówienie, przybywało nam zwolenników! – oświadcza jeden z liderów madryckiej organizacji gejowskiej.

Ta duchowa i ludzka walka głęboko podzieliła katolicki kraj w początkach XXI wieku. Granica ma podobny przebieg jak między Benedyktem XVI a Franciszkiem. Wciąż stanowi zarzewie napięć w łonie hiszpańskiego episkopatu (podczas ostatnich wyborów w konferencji episkopatu hiszpańskiego Blázquez został ponownie wybrany na przewodniczącego, a Cańizares na wiceprzewodniczącego: to sposób na zachowanie równowagi sił anty- i profranciszkowych).

POMIMO WYJĄTKOWEJ MOBILIZACJI kardynała Rouco Vareli 2 lipca 2005 roku Hiszpania staje się trzecim krajem na świecie – po Holandii i Belgii – dopuszczającym małżeństwa osób tej samej płci. 11 lipca odbywa się pierwszy ślub, a w ciągu roku pobierze się prawie pięć tysięcy homoseksualnych par. To dotkliwa porażka konserwatywnego skrzydła hiszpańskiego episkopatu.

Po tej dacie problem małżeństw gejów stał się główną linią podziału w Kościele hiszpańskim. Żeby to zrozumieć, trzeba jednak przemyśleć to wbrew logice i nie wierzyć, że biskupi geje mieliby koniecznie należeć do klanu obrońców małżeństw jednopłciowych, a hierarchowie hetero do oponentów. Jak wszędzie, jest raczej odwrotnie: często najbardziej podejrzani są ci najgłośniejsi i najbardziej antygejowscy.

W episkopacie hiszpańskim, jak wszędzie, istnieje duży procent gejów. Znawcy tematu uważają, że wśród trzynastu hiszpańskich kardynałów (czterech elektorów i dziewięciu, którzy przekroczyli już wiek osiemdziesięciu lat) większość to homofile, w co najmniej pięciu przypadkach pięciu praktykujących. Jeśli chodzi o walkę o małżeństwa jednopłciowe, to na sześciu głównych aktorów

wydarzeń przynajmniej czterech było homofilami. Jeden z hiszpańskich kardynałów żyje ze swym kochankiem, inny znany jest z tego, że bezwstydnie podrywa seminarzystów, trzeci woli nie mówić zbyt dużo złego o gejach, bo wie, „że głos by go zdradził”.

W każdym razie papież Franciszek doskonale zna hiszpański episkopat, jego urojenia, jego hipokrytów, jego kokoty i rozszyfrował skutecznie jego kody. Dlatego też po wyborze w 2013 roku robi w Hiszpanii wielkie porządki.

Trzej mianowani przez niego umiarkowani kardynałowie (Osoro, Blázquez i Omella) to dowód na przejęcie władzy. Nuncjusz apostolski Fratino Renzo, którego styl życia, partie golfa, przyjaźnie i rygoryzm szokują również Franciszka, jest na wylocie, a jego odwołanie już zaplanowane. Co do biskupa szarlatana Reiga Plà, który oczekiwał purpury, to oczekuje jej nadal.

– To początek przełomu! – rzuca José Beltrán Aragoneses, redaktor naczelny „Vida Nueva”, organu konferencji episkopatu hiszpańskiego.

Nowy arcybiskup Barcelony Juan José Omella y Omella przyjmuje mnie w swoim biurze obok katalońskiej katedry i potwierdza zmianę linii episkopatu ostrożnymi i dyplomatycznymi słowami:

– Po synodzie episkopat hiszpański zrozumiał lekcję: nie jesteśmy politykami. Nie chcemy się wdawać w życie polityczne, chociaż możemy wypowiadać nasze zdanie z punktu widzenia moralności… [Ale] myślę, że powinniśmy być wyczuleni na strapienia ludzi. Nie angażować się na planie politycznym, chyba że z poszanowaniem. Właśnie z poszanowaniem, nie w wojującej atmosferze, nie na stopie wojennej; [przeciwnie] potrzeba nam postawy otwartości, dialogu, nie osądzania, o czym przypomniał Franciszek [swoim „kimże jestem, żeby osądzać?”]. Musimy pomóc lepiej budować nasze społeczeństwo, rozwiązywać problemy i zawsze mieć na względzie najuboższych.

Wypowiedź ta jest bardzo zręczna. Precyzyjna. Czas Rouco przeminął. Omella, były misjonarz w Zairze, jest nowym silnym człowiekiem hiszpańskiego katolicyzmu. Ten, który odmówił wyjścia na ulicę, żeby sprzeciwić się małżeństwom homoseksualnym, został przez Franciszka mianowany kardynałem. Zasiądzie w Kongregacji do spraw Biskupów w miejsce odsuniętego konserwatysty Cańizaresa. Bezkompromisowy w sprawie wykorzystywania seksualnego (w przeciwieństwie do Rouco, który czasem je krył), niemal bez podejrzeń o podwójne życie, a przy tym bardziej tolerancyjny wobec gejów według socjologicznej zasady dobrze widocznej w tej książce.

W czasie jednej z moich podróży do Madrytu, kiedy biskupi wykłócali się podczas wyboru nowego przewodniczącego konferencji episkopatu, pewne ważne stowarzyszenie LGBT grozi opublikowaniem listy czternastu homoseksualnych biskupów. Ta zapowiedź nie wywołała żadnych reakcji; w lokalnych mediach wszyscy wiedzieli od dawna, czego się można spodziewać! I niezależnie od tego, wszyscy przewidywali, że jedna z osób, które miały się pojawić na liście, zostanie prawdopodobnie wybrana na przewodniczącego konferencji episkopatu!

Któregoś wieczoru słuchałem audycji na żywo i byłem zaskoczony, że wybór nowego przewodniczącego konferencji episkopatu jest w Hiszpanii wydarzeniem (podczas gdy we Francji nie wzbudza najmniejszego zainteresowania). Faustino Catalina Salvador, redaktor naczelny programów religijnych tej stacji, prognozuje zwycięstwo kardynała Blázqueza ze stronnictwa profranciszkowego, inni przewidują wygraną Cańizaresa z frakcji Ratzingera i Rouco.

Po emisji rozmawiam z dziennikarzami, uczestnikami dyskusji, której się przysłuchiwałem. Z zaskoczeniem słucham wypowiedzi o tym czy innym hiszpańskim kardynale, który jest „en el armario”

albo „enclosetado” (gejem „w szafie”). Wszyscy o tym wiedzą i niemal otwarcie rozmawiają o homoseksualności niektórych hierarchów. Kwestia ta pojawia się nawet jako jeden z bazowych, utajonych problemów, jedna ze stawek w wyborach nowego przewodniczącego konferencji episkopatu!

– Ludzie myślą, że człowiekiem Franciszka w Hiszpanii jest Osoro, ale nie. Człowiekiem Franciszka jest Omella y Omella – podsumowuje jeden z ważnych urzędników konferencji, również homoseksualista, z którym dyskutuję przez kilka wieczorów.

TRZYMAJĄC SIĘ MĄDRZE TROCHĘ NA UBOCZU, arcybiskup Madrytu Carlos Osoro jest wielkim przegranym w wyborach przewodniczącego konferencji. Kiedy spotykam się z nim, zdaję sobie sprawę, że ten skomplikowany człowiek pochodzący z „prawego” skrzydła, ale należący do stronnictwa Franciszka, w jakiś sposób poszukuje sam siebie. Jak wszyscy nowo przekonani do argentyńskiego papieża, który uczynił go kardynałem, chce udowodnić swoją przydatność. Potwierdzeniem tego zwrotu są odwiedziny w kościele „dla ubogich” prowadzonym przez ojca Angela w gejowskiej dzielnicy Chueca. Kiedy tam poszedłem, zobaczyłem tłum bezdomnych, szczęśliwych, że znaleźli to miejsce, gorącą kawę, wifi, chrupki dla psa i bezpłatne toalety. „Czerwony dywan dla ubogich” – powiedział towarzyszący mi ksiądz z konferencji episkopatu.

– Homoseksualiści też przychodzą do tego kościoła. To jedyny, który ich dobrze traktuje – usłyszałem.

Wcześniej kościół Świętego Antoniego był zamknięty, opuszczony, jak coraz częściej małe kościoły katolickie w Hiszpanii. Kryzys powołań do stanu kapłańskiego jest wstrząsająco głęboki, również parafian jest coraz mniej (według badań demografów mniej niż dwanaście procent Hiszpanów to dziś praktykujący katolicy),

kościoły pustoszeją, a episkopat toczą liczne afery z molestowaniem seksualnym. Katolicyzm w Hiszpanii, jednym z krajów, gdzie był najbardziej wpływowy, niebezpiecznie chyli się ku upadkowi.

– Zamiast porzucić ten pusty kościół, kardynał Osoro przekazał go ojcu Angelowi. To było zręczne posunięcie. Od tego czasu kościół odżywa. Zawsze są tu geje, księża geje, bezdomni i ubodzy z całego Madrytu. Ojciec Angel powiedział gejom i osobom transpłciowym, że są tu mile widzianie, że ten kościół jest ich domem, więc przyszli! – kontynuuje ksiądz.

Oto więc „peryferia", tak drogie papieżowi Franciszkowi, przeniesione zostały do kościoła w centrum miasta. A kościół ten stał się „la casa de todos" – domem dla wszystkich. Kardynał Osoro, odtąd przyjazny gejom, posunął się nawet do tego, że wymienił uściski dłoni z członkami Crismhom (Crismhom Comunidad Cristiana LGBT), którzy tu się spotykają (jak się dowiedziałem, msze dla gejów odprawia obecnie w Madrycie ksiądz homoseksualista). Kardynał był trochę zdenerwowany, ale wykonał to zadanie, jak potwierdziło kilku świadków.

– Wymieniliśmy kilka słów i kilka numerów telefonów – opowiada jeden z bywalców tego kościoła.

Asystent kardynała powie mi później, że jest zaniepokojony, bo „kardynał daje wszystkim swój numer; połowa mieszkańców Madrytu zna numer jego komórki!" – Osoro mnie też go podał w trakcie naszej rozmowy.

– Ojcu Angelowi zależało na tym, żeby w tym kościele odbyła się msza pogrzebowa Pedro Zerola. To było bardzo wzruszające. Cała gejowska społeczność, cała dzielnica Chueca, wszyscy przyszli tu z tęczowymi flagami – kontynuuje ksiądz z hiszpańskiej konferencji biskupów.

Zerolo, którego zdjęcia często widziałem w różnych

stowarzyszeniach LGBT w Madrycie, uważany jest za ikonę hiszpańskiego ruchu gejowskiego. Był jedną z głównych figur walki o małżeństwa jednopłciowe; poślubił swojego partnera na kilka miesięcy przed śmiercią; zmarł z powodu nowotworu.

– Jego pogrzeb był niezwykły i bardzo wzruszający. Ale tego dnia dość niezadowolony kardynał Osoro powiedział do ojca Angela, że chyba posunął się za daleko.

17.

Starsza córa Kościoła

PO HISZPANII, A PRZED WŁOCHAMI, zatrzymajmy się teraz we Francji, która w ostatnich latach również doznała wszystkich możliwych ekscesów katolicyzmu – od jego przesądów, po afery z wykorzystywaniem seksualnym. Dyplomacja watykańska poruszała tu swoimi pionkami, a Francja na przekór swojej laickości stała się wielkim terenem gry o „małżeństwa dla wszystkich".

Francja, „starsza córa Kościoła" – zatrzymajmy się na początek na tych słowach powtarzanych do upojenia przez wszystkich kardynałów oraz biskupów francuskich i odnowionych przez Jana Pawła II podczas jego pierwszej oficjalnej podróży do Francji. To absurdalne i wykpione już przez Rimbauda sformułowanie jest banalnym szablonem arcybiskupów bez pomysłu. Wymyślił je w 1841 roku dominikanin Henri-Dominique Lacordaire, który ze swym „przyjacielem" Charles'em de Montalembertem byli ukrytą parą gejów.

Kardynał Barbarin, arcybiskup Lyonu, jest właśnie „starszym synem Kościoła" i lubi przypominać swój wzniosły tytuł „prymasa Galii". Jest przy tym najbardziej dziś znanym – i najbardziej krytykowanym z francuskich hierarchów. Ma w sobie wielkość i kompromitację Kościoła. Jest symbolem jego hipokryzji.

A przecież wszystko tak dobrze się zaczęło. Philippe Barbarin długo był zwykłym księdzem, synem wojskowego, dobrym, praktykującym katolikiem w dobrej parafii, którego prosta droga była dla jego otoczenia powodem do dumy. Czytelnik Jacques'a Maritaina, Juliena

Greena i François Mauriaca, jest po prostu oczytany, ale nie jest intelektualistą. Ten ksiądz podróżnik, pasjonujący się światem arabskim (urodził się w Maroku) nie dawał dużo powodów do mówienia o nim, chyba że wypowiadał się w sprawie obrony chrześcijan ze Wschodu. I nagle w 2012 roku angażuje się w największą bitwę swego życia – tę, która skieruje na niego wszystkie światła i która go zgubi. Postanawia opowiedzieć się „z właściwych mu powodów" (cytując ironiczne wyrażenie jednego z rzeczników biskupów Francji) przeciwko małżeństwom dla wszystkich.

Otwarcie na małżeństwa dla par tej samej płci to obietnica złożona w kampanii wyborczej przez François Hollande'a. Kiedy został wybrany na prezydenta Republiki, postanawia w 2012 roku dotrzymać obietnicy i składa projekt takiego prawa.

Tej jesieni kilka różnych stowarzyszeń, często katolickich albo zbliżonych do środowisk konserwatywnych, łączy się, aby zorganizować pierwsze uliczne manifestacje. Od listopada dołączają do nich deputowani prawicy parlamentarnej i skrajna prawica. Do manifestacji dołącza niewielka część francuskiego episkopatu i kardynał Barbarin po raz pierwszy pokazuje się na ulicy – rzadki to przypadek w kraju, gdzie istnieje rozdzielność Kościoła od państwa. Jego nazwisko pomaga sprawie i oto Barbarin staje na czele pochodów.

Dlaczego tak się zmobilizował? Dlaczego ten sztywny kapryśnik podjął ryzyko pokazania się? Wiele osób rozumie postawę Kościoła w tej dyskusji, ale wśród dziesiątków francuskich biskupów i księży, z którymi rozmawiałem, nikt właściwie nie odkrył źródeł tak osobistego, tak obsesyjnego i fanatycznego zaangażowania Barbarina. Kardynał nie tylko nie zgadzał się z projektem nowego prawa, co byłoby zrozumiałe, on uczynił z tego sprawę osobistą, ryzykując

pojawienie się licznych pytań na temat motywów jego postępowania. Przeciwnicy projektu małżeństwa dla wszystkich wymyślają zręczne hasło: „Manifa dla wszystkich”. Wyrażenie to przyczynia się do zjednoczenia opozycjonistów pod tym samym sztandarem. I to działa! Na ulicach dziesiątki tysięcy, wkrótce setki tysięcy defilują z prześmiewczymi albo jadowitymi hasłami: „Chcemy seksu, nie płci!”, „Stop rodzinofobii!”, „Tata nosi spodnie”. Albo delikatniejsze: „Nie ma jajeczek w jajach”. Czasem niektóre poetyckie hasła wywołują uśmiech: „Dzieci rodzą się w kapuście, a nie w tęczy”.

Były premier François Fillon, zbliżony do katolickiej prawicy, sam dołącza do demonstracji i obiecuje, że po powrocie do władzy odwoła nowe prawo i „rozwiedzie” pary gejowskie. Kardynał Barbarin, teraz już piewca najmroczniejszego klerykalizmu, płonie nienawiścią do grzesznego prawa, które zaprzecza Biblii. Przeciwstawiając się laicyzacji i całej historii Francji od czasów rewolucji 1789 roku, neguje autorytet parlamentu, twierdząc, że Biblia stoi ponad prawem. Jakim cudem człowiek tak roztropny może popełnić taki błąd, urągając słynnym słowom Chrystusa: „Trzeba oddać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie”?

Barbarin w jednym z wywiadów radiowych mówi, że uznanie małżeństw gejowskich mogłoby wywołać chęć stworzenia „małżeństw potrójnych albo poczwórnych”, a w następstwie spowodować upadek „zakazu kazirodztwa” albo poligamii. Tą wywołującą mdłości mieszaniną Barbarin odpycha od siebie dużą część opinii publicznej, i – co jest groźniejsze dla jego walki – umiarkowanych katolików.

Papież Benedykt XVI w listopadzie 2012 roku przerywa milczenie i popiera biskupów francuskich w ich walce z małżeństwami jednopłciowymi. Wzywa ich, żeby swe poglądy wypowiadali „bez

strachu", z „siłą" i „determinacją" „podczas społecznych dyskusji o projektach prawa mogących osłabić ochronę małżeństwa mężczyzny i kobiety".

Nie da się zaprzeczyć, że ta mobilizacja okazała się sukcesem. Mówiono o „konserwatywnym Maju '68", choć tłumy na ulicach były zdecydowanie mniejsze niż podczas „marszów dumy" (francuska nazwa dorocznej paryskiej gay pride). Lewicowy rząd jest sparaliżowany i odsyła projekt do ponownego rozpatrzenia: wyrzuca się z niego „sztuczne zapłodnienie" i „macierzyństwo zastępcze", które miały zaistnieć razem z małżeństwami par jednej płci. Utrzymane jest prawo do adopcji przez pary homoseksualne. Manifa dla Wszystkich staje się wpływowym ruchem społecznym, który wkrótce stworzy polityczne odgałęzienie nazwane Sens Commun, czyli zdrowy rozsądek. Wśród liderów obu grup w przedziwny sposób ze sobą powiązanych jest kilku kontrowersyjnych liderów i to zaczyna wywoływać krytykę. Przede wszystkim to przypadek niejakiej Virginie Merle, komiczki, która długo występowała w gejowskich kabaretach. Znana tam była jako Frigide Barjot (dość wątpliwej jakości gra słów: Oziębła Barjot, co nawiązuje do aktorki Brigitte Bardot). Stała się ona rzeczniczką ruchu. Ta, która śpiewała „Fais-moi l'amour avec deux doigts parce qu'avec trois ça rentre pas" (zrób mi dobrze dwoma palcami, bo trzy nie wejdą), defiluje teraz obok byłego premiera François Fillona i kardynała Barbarina. „Jakim cudem Kościół katolicki zdecydował się stanąć pod jej różowym pióropuszem?" – pyta dziennikarz „Nouvel Observateur". Burżujka wożona jaguarem tatusia, człowieka bliskiego skrajnej prawicy, która kręciła się często w środowisku zwolenników Le Pen, jest swoją własną karykaturą. Przecież widywano ją, jak pijana tańczyła na stołach paryskiego klubu gejowskiego Le Banana Café, otoczona przez drag queens! Co więcej – pewnego wieczoru w Paryżu brała

udział w parodii ślubu pewnego gejowskiego aktywisty. W wieku lat pięćdziesięciu oświadczyła zaś, że „odrzuciła pigułki”.

Teraz z Manify dla Wszystkich chce zrobić „kato pride”. Uważa się za „rzeczniczkę Jezusa”. Jej wystąpienia są tak skrajnie antygejowskie i przede wszystkim tak absurdalne, że naprawdę nie można zrozumieć, dlaczego różni notable i eminencje ryzykują jej towarzystwo. Kardynał Barbarin z „drogą Frigide” Barjot tworzy najsławniejszą parę Manify – i jej symbol. Fakt, że ten człowiek uwięziony w swojej nieskazitelnej sutannie idzie ręka w rękę z wariatką w różowej minispódniczce z żółtą szopą na głowie, zaszokował wielu katolików. „Jestem dziewczyną pedałów” – powtarza w kółko Frigide, nie zdając sobie sprawy, że kompromituje tych, którzy stoją obok niej.

Pewien wpływowy francuski ksiądz wypowiada się szczególnie krytycznie:

– Wszyscy byliśmy zaskoczeni tą populistyczną degrengoladą Barbarina. Ten antyintelektualizm nie przypomina francuskiego katolicyzmu. My tutaj jesteśmy dziećmi Jacques’a Maritaina, Georges’a Bernanosa i Paula Claudela, a nie Frigide Barjot! Katolicyzm francuski jest wykształcony, nie nawiedzony. Istnieje oczywiście nurt dewocyjny, bardzo na prawo, ale nawet on zawsze chciał być intelektualny. A Barbarin afiszuje się z utlenioną wariatką!

– Kardynał jest dość schizofreniczny – wspomina jeden z jego byłych współpracowników, który wolał odejść, bo nie czuł się dobrze w tamtym otoczeniu.

Homofobia kardynała jest tym bardziej zaskakująca – słyszę od tej samej osoby – że powtarzają się plotki w jego otoczeniu. Niektórzy z jego współpracowników są podobno „znanymi” gejami, według określenia używanego przez policję. Są to również przypadki wielu biskupów, którzy mobilizują się nerwowo w niektórych miastach

Francji. Homoseksualizm w episkopacie francuskim jest – jak związki kazirodcze na dworze królewskim w *Grze o tron* – jednym z najlepiej strzeżonych sekretów, ale też najczęściej ujawnianych.

We Francji klerykalizm – to znaczy nadmierne wtrącanie się kleru do polityki – ma złą prasę. Łączą się z tym smutne wspomnienia: monarchia, która opierała się na „sojuszu tronu i ołtarza", restauracja, ultramontanizm, katoliccy antysemici i przeciwnicy Dreyfusa, batalia z 1905 roku o rozdział państwa od Kościoła, reżim Vichy oparty na „sojuszu miecza i kropidła".

Tymczasem animatorzy walki z prawem do małżeństw jednopłciowych pod wpływem agresywnych grupek zbliżyli się do skrajnej prawicy. Zapomniawszy, że mieszanie się Kościoła do spraw politycznych jest we Francji tradycją dość obcą, Kościół przegrywa bitwę.

Czy zerwanie z wzorcem francuskiego Kościoła katolickiego, cieszącego się pewną niezależnością od stolicy apostolskiej, było w wypadku Barbarina wynikiem manipulacji ze strony Watykanu? Możliwe. Według kilku świadectw prymas Galii miał odbierać rozkazy prosto z Rzymu, a nie z Paryża. Wśród jego rzymskich mocodawców wymienia się – oprócz przewodniczących Kongregacji do spraw Biskupów i Kongregacji Nauki Wiary – także francuskiego kardynała Dominique'a Mambertiego, wówczas „ministra spraw zagranicznych" Benedykta XVI, a dziś szefa Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, sądu najwyższego Watykanu, gdzie zostałem przez niego przyjęty. Wysoki, szczupły, elegancki. Rzadko spotykałem kardynałów tak dystyngowanych. To zdecydowanie wyróżnia go spośród grona niedbałych hierarchów. Pewien francuski eseista, pozostający z nim w bliskich kontaktach, mówi mi, że nazywają go „człowiekiem o stu sutannach", co na pewno jest przesadą. Jego troskliwość i kurtuazja nie są fałszywe ani nie była fałszywa oschłość

jego rozmowy, która kardynałowi Jean-Louisowi Tauranowi kazała powiedzieć, że Mamberti był „onieśmielający wskutek nieokreśloności”. Do tego stopnia, że podczas naszego nieco protokolarnego spotkania cały czas ma się na baczności, więc trudno mi się dowiedzieć, czy sam Mamberti albo któryś z jego współtowarzyszy naprawdę „pilotował” kardynała Barbarina z Rzymu, czy też ten ostatni, kierowany zranioną falliczną dumą, działał w pojedynkę.

PRAWO O MAŁŻEŃSTWACH DLA WSZYSTKICH zostało ostatecznie przegłosowane 17 maja 2013 roku. Tym razem nie pomogła masowa mobilizacja. Przyjęto je w zgromadzeniu narodowym bardzo dużą większością głosów. 331 deputowanych było „za”, 225 „przeciw”, a więc ponad sto głosów przewagi. Francja staje się czternastym krajem umożliwiającym zawarcie małżeństwa osobom tej samej płci. W ciągu następnych tygodni tysiące par homoseksualnych zawiera związki małżeńskie, a dziś popiera je ponad dwie trzecie Francuzów. Co więcej, sześćdziesiąt trzy procent ankietowanych uważa dziś, że małżeństwa homoseksualne z dziećmi „tworzą pełne rodziny”. Dowód na szybki konsensus – najważniejsi kandydaci prawicy w wyborach prezydenckich 2017 roku nie będą już chcieli cofnąć prawa o małżeństwach jednopłciowych. Umiarkowani katolicy przyznają nawet, że dzięki związkom tej samej płci instytucja małżeństwa, która chyliła się ku upadkowi, odzyskuje żywotność, a krzywa ślubów się wznosi!

Skrajnie karykaturalna krucjata kardynała Barbarina i okazjonalne wyskoki prawicowych ekstremistów wspomogły zmianę nastawienia opinii publicznej. Była to prawdziwa gratka dla lewicy, która nie musiała już bronić małżeństw jednopłciowych, ale mobilizowała się w imię „laickości”. Jeśli chodzi o Manifę dla Wszystkich i jej polityczne odgałęzienie Sens Commun, to porażka ich była tym

bardziej gorzka, że przegłosowane prawo nie tylko doprowadziło do narodowego konsensusu, ale też zaprowadziło większość liderów ruchu do partii Marine Le Pen. Maski opadły: po kilku latach dość naokoło prowadzonej walki nieprzejednany katolicyzm zagrał na rzecz skrajnej prawicy. Wreszcie pokazał prawdziwą twarz!

Sytuacja kardynała Barbarina również się odwróciła. Ten przeciwnik małżeństw gejowskich został wezwany przez policję Lyonu, poddany ponaddziesięciogodzinnemu przesłuchaniu i postawiony przed sądem. Dziesięć ofiar nadużyć seksualnych oskarża go o ukrywanie poważnych przypadków pedofilii i agresji seksualnej wobec nieletnich popełnionych przez jednego z księży w jego diecezji. Niedługo potem ponad sto tysięcy Francuzów podpisze petycję żądającą jego dymisji. Kardynałowi zarzuca się, że nie zgłosił poczynań księdza, lecz aż do roku 2015 pozostawił go na dotychczasowym stanowisku umożliwiającym kontakty z dziećmi. Wkrótce potem okazuje się, że nadużycia seksualne popełniali również inni księża z tej diecezji. Zaszokowana opinia publiczna dowiaduje się, że ponad dwudziestu pięciu biskupów świadomie ukrywało co najmniej trzydziestu dwóch księży oskarżonych o zbrodnie na trzystu trzydziestu dziewięciu prawdopodobnych ofiarach (według danych ujawnionych na portalu Mediapart w 2017 roku). Prawdziwy „francuski *Spotlight*".

Od tego czasu sprawa Barbarina nie schodzi z czołówek gazet. Napisano setki artykułów i opublikowano książki ujawniające praktyki „cover-up" kardynała. Prawdziwa omerta.

Zbieżność dat jest niepokojąca: kiedy kardynał Barbarin demonstrował na ulicach przeciwko małżeństwom gejów, właśnie miał zostać oskarżony o krycie pedofilów! (Obecnie kardynał Barbarin, który wciąż zaprzecza faktom, może odpowiadać za przestępstwo zagrożone karą trzech lat więzienia, a ponieważ nie

został jeszcze osądzony ani skazany – proces został przesunięty na 2019 rok – według prawa francuskiego cieszy się domniemaniem niewinności).

DWIE INNE KLUCZOWE POSTACIE francuskiego katolicyzmu i prawdziwe gwiazdy Manify dla Wszystkich są odbiciem hipokryzji katolickiego systemu. Pierwsza to słynny ksiądz i terapeuta związany z diecezją paryską, Tony Anatrella. Zawzięty przeciwnik małżeństw jednopłciowych pozostający w bliskich kontaktach z kardynałem Ratzingerem został w Watykanie „konsultantem” w papieskich radach do spraw rodziny i zdrowia. Dzięki uznaniu z Rzymu staje się niemal oficjalnym głosem Kościoła w sprawach gejów, nawet wtedy, kiedy dokonuje zwrotu w stronę fundamentalizmu.

W połowie pierwszego dziesięciolecia XXI wieku Anatrella na zlecenie konferencji biskupów francuskich ma przygotować argumentarium przeciwko małżeństwom jednopłciowym. Jego uwagi, artykuły i książki stają się coraz ostrzejsze, a on sam opowiada się w nich nie tylko przeciw małżeństwom gejowskim, ale w ogóle przeciwko homoseksualistom. Ksiądz terapeuta stara się ze wszystkich sił i we wszystkich możliwych mediach o odrzucenie „prawnego uznania homoseksualności” (zdepenalizowanej we Francji od czasów Napoleona). Namaszczony przez Manifę dla Wszystkich staje się jednym z jej teoretyków „Manifa daje kopa politykom” – cieszy się duchowny w niezliczonych wywiadach, dodając, że „małżeństwo homoseksualne jest najbardziej kretyńską decyzją od Maja ’68!”. Pełen miłosierdzia Anatrella staje się również piewcą „terapii naprawczych”, które jego zdaniem są dla homoseksualistów skutecznym rozwiązaniem.

Ksiądz psychoanalityk – choć nie należy do żadnego stowarzyszenia psychoanalitycznego – proponuje również swym pacjentom, szczególnie mężczyznom, seanse „nawrócenia” w swoim

gabinecie. Tam przyjmuje pełnych wątpliwości młodych seminarzystów i chłopców z katolickich, burżuazyjnych rodzin mających problemy z tożsamością. Doktor Anatrella dobrze się przy tym maskuje, gdy wyjaśnia, że dla naprawy zła trzeba się rozebrać i pozwolić mu się masturbować! Ów szarlatan działa przez wiele lat, zanim trzech z jego pacjentów zdecyduje się oskarżyć go o przemoc o podłożu seksualnym i zły dotyk. Skandal medialny ma wymiar międzynarodowy, zwłaszcza że Anatrella pozostawał w bliskich kontaktach z kardynałem Lustigerem w Paryżu, a w Rzymie z papieżami Janem Pawłem II i Benedyktem XVI. W przedziwny sposób nazwisko Tony'ego Anatrelli znika z oficjalnych publikacji jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. Były guru znika też nagle z Manify dla Wszystkich.

Anatrella zaprzeczył oskarżeniom. Jego proces sądowy skończył się umorzeniem sprawy z powodu przedawnienia, ale przynajmniej ustalił fakty. Anatrella został zawieszony, a kardynał Paryża wszczął procedurę kanoniczną i w lipcu 2018 roku ksiądz został ostatecznie odsunięty od wszystkich funkcji kapłańskich przez nowego arcybiskupa Paryża Michela Aupetita.

Drugi przypadek jest inny. Biskup Jean-Michel di Falco, niezwykle popularny w mediach, długo był rzecznikiem konferencji episkopatu francuskiego. W przeciwieństwie do Anatrelli był raczej wyrozumiały w kwestii homoseksualizmu. Poznałem go kiedyś, nie był homofobem; przeciwnie, wydawał mi się nawet wyjątkowo przyjaźnie nastawiony do gejów. Może nawet za bardzo!

Ustanowiony biskupem Gap olśniewający Falco stał się obiektem surowej krytyki z powodu wystawnego trybu życia i wykorzystywania znajomości. Ten hierarcha należący do śmietanki towarzyskiej zostawił podobno w swojej diecezji finansową dziurę rzędu 21 milionów euro. Co więcej, Jean-Michel di Falco został przez

pewnego mężczyznę oskarżony o wykorzystanie seksualne. Sprawa była głośna, ale nie miała ciągu dalszego z uwagi na przedawnienie i brak wystarczających dowodów (di Falco nie przyznawał się do winy, skarżący wniósł apelację). Papież Franciszek zdecydował jednak o przeniesieniu na emeryturę tego najbardziej medialnego francuskiego biskupa.

W ostatnich latach siedemdziesięciu dwóch księży francuskich zostało oskarżonych lub skazanych za przestępstwa molestowania seksualnego popełniane w ogromnej większości na chłopcach. Według danych konferencji episkopatu obecnie co roku odnotowuje się około dwustu dwudziestu tego typu przypadków.

Z powodu hipokryzji, podwójnego życia i kłamstw Kościół francuski z trudem może dziś przekonać zdechrystianizowane w dużej mierze społeczeństwo do uznania swych głęboko moralnych zasad. Seminaria świecą pustkami, księża wymierają i nie mają następców, kościoły się wyludniają, liczba ślubów kościelnych i chrztów drastycznie spadła, liczba „regularnie praktykujących” katolików jest minimalna (od dwóch do czterech procent wobec dwudziestu pięciu procent w roku 1960). Francja jest teraz jednym z najmniej wierzących krajów świata.

Jako mistrz nieprzejrzystości episkopat zbyt długo ukrywał swoją homoseksualną większość, klucz do zrozumienia mobilizacji Kościoła przeciwko małżeństwom gejowskim. Czyżby „starsza córa Kościoła” stała się jedną ze stolic Sodomy?

W STYCZNIU 2018 ROKU został mianowany nowy arcybiskup Paryża, który zamierza przywrócić siłę francuskiemu katolicyzmowi i porządek w tej chorej maszynerii. Chodzi o arcybiskupa Michela Aupetita, który długo był lekarzem, bez rodziny. Do seminarium wstąpił późno, w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Święcenia kapłańskie przyjął w wieku 44 lat, na początku kariery pracował

w kościele Świętego Pawła w dzielnicy Marais, tego, w którym w *Nędznikach* Mariusz poślubia Kozetę.

– To bardzo rozsądna decyzja papieża Franciszka – mówi mi radosnym tonem kardynał Jean-Pierre Ricard podczas obiadu w Bordeaux.

Wiele osób podziela tę pozytywną opinię.

– Aupetit nie ożenił się, zanim został księdzem. Nic nie wiadomo, żeby w jego życiu była jakaś kobieta. Wydaje się, że z własnej woli powziął ślub heteroseksualnej czystości. Po święceniach został wikarym w parafii Świętego Pawła i kapelanem gejowskiej dzielnicy Marais – opowiada pewien ksiądz z tej parafii, który dobrze go poznał.

To ksiądz wyraźnie sam praktykujący, dodaje z uśmiechem:

– Wraz z kościołem Świętego Eustachego, Saint-Paul Saint-Louis du Marais to jedna z najważniejszych i najbardziej symbolicznych parafii dla gejów we Francji!

Inny ksiądz, który długo pracował z Aupetitem w diecezji Nanterre, również mi o nim opowiada. Ksiądz ten zresztą bez ogródek przyznaje się wobec mnie do swojej homoseksualności i podrywa bezwstydnie kelnerów podczas naszych wspólnych obiadów i kolacji.

– Arcybiskup Aupetit potrafi słuchać. Inaczej niż kardynał Barbarin, który nigdy nie miał czasu dla księży ze swej diecezji. Aupetit wszystkich nas zna bardzo dobrze. To człowiek ostrożny i rozważny. Nie jest postępowcem, często używa terminów skrajnej prawicy i jest zdecydowanie przeciwny sztucznemu zapłodnieniu, wszystkiemu, co się wiąże z genetyką, i przeciwny eutanazji. Ale to człowiek dialogu. Można z nim rozmawiać aż do chwili, gdy sam sobie wyrobi własną opinię na dany temat. Potem staje się bardzo autorytarny i bardzo klerykalny, trochę tak jak wszyscy nowo nawróceni.

Choć biskup jest ceniony przez swoich współpracowników i ma dobrą opinię, to jednak mianowanie go arcybiskupem Paryża było w łonie konferencji biskupów francuskich mocno krytykowane. Oskarżano go, że jest zbyt „na prawo”, zbyt „bezwzględny” albo zbyt „zniewieściały”. Kilku hierarchów próbowało nawet przeszkodzić tej nominacji. Jeden z rzeczników konferencji zapewniał mnie nawet, że „papież Franciszek nigdy nie zatwierdzi biskupa Nanterre na arcybiskupa Paryża”. Walka o nominację Aupetita była podobno związana z jakimiś niezwykłymi intrygami osób wtajemniczonych, a dotyczącymi „kilku kaplic sprzyjających gejom” – jak potwierdziły mi dwa źródła informacji.

Zobaczymy, czy w nadchodzących latach nowy silny człowiek francuskiego Kościoła zaproponuje głęboko podzielonym i zdezorientowanym francuskim katolikom nowy kurs.

18.

Konferencja episkopatu włoskiego

KARDYNAŁ ANGELO BAGNASCO zdejmuje nagle pierścień kardynalski z serdecznego palca prawej ręki i spontanicznie mi go podaje. Precyzyjnym gestem jubilera kładzie ten pierścień we wnętrzu dłoni, a ja biorę go i kładę we wnętrzu swojej. Doceniam to. Scena ta ma miejsce pod koniec naszej rozmowy, kiedy wymieniamy opinie o strojach kardynałów i o kardynalskich pierścieniach. U biskupa nie jest to „pierścień rybaka", zarezerwowany dla papieża, ale symbol jego wyjątkowej relacji z wiernymi. Może w tej właśnie chwili bez przynależnych atrybutów i bez symbolu swojej misji biskupiej kardynał czuje się nagi?

O ile zegarek kardynała jest naprawdę luksusowy, a jego biskupi łańcuch z pektorałem ze szlachetnego kruszcu bardzo bogaty, o tyle pierścień Angelo Bagnasca jest skromniejszy, niż sobie wyobrażałem. W pierścieniach wielu kardynałów i biskupów, z którymi rozmawiałem, widziałem kamienie tak cenne i tak wyszukane kolorystycznie, jak: zielony ametyst, żółty rubin czy fioletowy szmaragd, że zastanawiałem się, czy nie są to zwykłe przezroczyste kwarce przemalowane w Marrakeszu. Widziałem pierścienie, które deformowały palce, kardynałów homofili noszących granaty, które podobno odstraszają demony, a na dłoniach ukrytych gejów pierścienie z awenturynami w główkach. I to w jakich główkach! Skoro wszyscy wiedzą, że błędem byłoby nosić pierścień na kciuku. Albo na palcu wskazującym!...

Trzeba tu powiedzieć, że wszystkie koloratki i stroje duchownych

są do siebie podobne. I nawet jeśli Maria, jedna ze sprzedawczyń w De Ritis, słynnym sklepie dla duchownych znajdującym się w pobliżu Panteonu w Rzymie, usiłuje mi wyjaśnić różnice w ich krojach i formach, dla laika takiego jak ja to niemal niedostrzegalne detale.

Skoro więc w strojach nie ma wielkiej różnicy – bo nie wszyscy kardynałowie mają odwagę Jego Eminencji Raymonda Burkego – wysocy hierarchowie kompensują sobie ten brak biżuterią. I to jaką! Prawdziwe diamentowe krople wiatru, jak napisał Poeta! Cóż za elegancja, co za styl, jaki smak w wyborze szlifu, jaki wybór kolorów. Czasem widywałem zupełnie zwyczajnych biskupów noszących rzucające się w oczy pektorały wysadzane diamentami, oplecione sylwetkami biblijnych zwierząt, które wyglądały, jakby wyskoczyły z rysunków Toma of Finland [znany rysownik, miłośnik męskiego ciała – przyp. red.]. A jakaż różnorodność spinek do mankietów, czasem tak wymownych, że prałaci, zaskoczeni własną odwagą, wahają się, czy je nosić, aby się nie zdradzić. Tymczasem pierścień Angelo Bagnasca jest piękny i prosty. Nie jest to jaśniejący prostokąt, nie jest to złoto obejmujące diament, jak jeden z tych, które nosił papież Benedykt XVI. Ta prostota zadziwia, kiedy zna się tego człowieka.

– Kardynałowie poświęcają dużo czasu na wybór pierścienia, często robią go na miarę. To bardzo ważny etap i czasem inwestycja finansowa – tłumaczy mi jeden z ekspedientów u Barbiconiego, słynnego sprzedawcy strojów kościelnych, pektorałów i pierścieni, na Via Santa Caterina da Siena w Rzymie. I dodaje jako dobry handlowiec: – Nie trzeba być księdzem, żeby kupić sobie taki pierścień!

Kiedy składałem wizytę kardynałowi Jean-Louisowi Tauranowi, oprócz zegarka od Cartiera i ekumenicznego krzyża, prezentu od jego

bardzo bliskiego przyjaciela, anglikańskiego księdza, miał on na palcu serdecznym prawej ręki niezwykły, szlachetnej urody zielono-złoty pierścień.

– Ten pierścień ma dla mnie ogromne znaczenie sentymentalne – powiedział mi kardynał Tauran. – Został zrobiony na moje zamówienie z przetopionych obrączek moich rodziców. Z tego materiału jubiler wykonał mój pierścień kardynalski.

Gdy zbierałem materiały do tej książki, odkryłem, że wielu hierarchów ma tylko jeden pierścień. Pełni skromności każą na nim wygrawerować na awersie postać Chrystusa, jakiegoś świętego czy apostoła, czasem wolą wpisać tu krucyfiks albo krzyż ich zakonu, a na rewersie można zobaczyć ich herb biskupi. U kardynała może się znaleźć jego ligatura, herb papieża, który wyniósł go do godności kardynalskiej. Inni kardynałowie mają kilka pierścieni, prawdziwy zestaw, i zmieniają je zależnie od okazji, tak jak sutanny.

Ta ekscentryczność jest zrozumiała. Biskupi, którzy noszą piękne perły, przypominają mi zawoalowane kobiety, które widziałem w Iranie, Katarze, Emiratach Arabskich czy w Arabii Saudyjskiej. Rygor islamu dotyczy nie tylko włosów, grubości i obszerności hidżabu, ale też długości rękawów bluzek lub sukien, przesuwa zatem ciężar elegancji kobiecej na zasłony, których olśniewające kolory, różnorodność i wartość tkaniny (kaszmir, czysty jedwab lub angora) są tego paradoksalną konsekwencją. Tak samo biskupi katoliccy zmuszeni do noszenia standardowego stroju, koloratek i czarnego obuwia prezentują swoje pierścienie, zegarki i spinki do mankietów, pozwalając sobie na szaleństwa wyobraźni.

KARDYNAŁ BAGNASCO, wymuskany i świetnie ostrzyżony, przyjmuje mnie w prywatnej rezydencji na Via Pio VIII, zaułku znajdującym się poza Watykanem. Z placu Świętego Piotra idę tam dobre dwadzieścia minut. Tymczasem kardynał wyznaczył mi

godzinę spotkania w sposób nieznoszący sprzeciwu, narzucił mi ją bez możliwości dyskusji – nawet włoscy ministrowie są bardziej kompromisowi i gościnni! Tymczasem ja przychodzę nieco spóźniony i lekko spocony. Kardynał zachęca mnie, żebym skorzystał z jego łazienki. I w tym momencie zanurzam się w fali zapachów.

Opowiadano mi o perfumach kardynała Bagnasca: zapachy drzewne, pachnące ambrą, szyprowe, cytrusowe – teraz rozumiem dlaczego. Czy to Égoïste Chanel, La Nuit de l'Homme Yves Saint Laurenta czy Vétiver Guerlaina?

Kiedy się zastanowić, okazuje się, że perfumy odgrywają taką samą rolę jak pierścienie. Pozwalają się wyróżnić, kiedy kościelny strój narzuca jednolitość. Ambra, fiołek, piżmo, champaka – ileż zapachów odkryłem w Watykanie! Ile olejków, esencji zapachowych! Co za „chaos woni"! A czy namaszczenie się Opium nie oznacza dyskretnej pochwały pewnego nałogu?

Angelo Bagnasco długo był najbardziej wszechmocną i najbardziej dostojną postacią włoskiego Kościoła. Bardziej niż jakikolwiek inny biskup w tym kraju był wielkim wezyrem „katolicyzmu spaghetti" (jak można by nazwać katolicyzm włoski, żeby go odróżnić od katolicyzmu stolicy apostolskiej). Budował i łamał kariery; był współkreatorem kardynałów. W roku 2003 został ordynariuszem polowym, która to funkcja wywołuje u niego dreszcze – jak mówi – bo chodzi o „bardzo dużą diecezję" i pracę nad „ewangelizacją żołnierzy w całych Włoszech, a nawet poza ich granicami, w zagranicznych misjach wojskowych". W roku 2006 zostaje arcybiskupem Genui i zastępuje Tarcisio Bertonego, kiedy ten obejmuje funkcję sekretarza stanu Benedykta XVI. Potem papież czyni go kardynałem i blisko z nim współpracuje, szczególnie gdy przez dziesięć lat, od roku 2007 do 2017, przewodzi konferencji episkopatu włoskiego, słynnej CEI. Trwa to do momentu odsunięcia

go przez papieża Franciszka.

To, że jakiś francuski dziennikarz i pisarz chce się z nim spotkać po tym wymuszonym odejściu na emeryturę, z nim, wygnańcem, banitą, na pewno leje miód na jego serce. Kardynał w przeciwieństwie do większości kardynałów nie zna ani francuskiego, ani angielskiego, ani hiszpańskiego, ani żadnego innego obcego języka, ale okazuje dużo dobrej woli, kiedy o czymś mówi, a Daniele, mój włoski researcher, tłumaczy.

Kardynał Bagnasco jest człowiekiem zajętym, z tych, którzy wrzucają do kawy kostki cukru, nie zdejmując z nich papierka, żeby było szybciej. Ci, którzy go znają, ale nie lubią, opisali mi go jako człowieka popędliwego i mściwego, „autorytarnie biernego” – jak powiedział o nim kiedyś pewien ksiądz, który dobrze go poznał w CEI, gdzie Bagnasco pokazywał na zmianę kij i marchewkę, narzucając swój punkt widzenia. W stosunku do nas był jednak miły i cierpliwy. Chociaż cały czas postukiwał nogą, coraz szybciej i szybciej. Z nudów czy może dlatego, że chciałby powiedzieć coś niemiłego o papieżu, ale się powstrzymywał?

Od chwili swojego upadku Bagnasco szuka dla siebie nowego raju. On, niegdyś cyniczny poplecznik Benedykta XVI i kardynała Bertonego, dziś zarzuca im, że stawiając na Franciszka, wydali Kościół na łaskę przypadku i niewiadomej. Dla żadnego z nich nie jest to komplement.

Oczywiście zaobrączkowany i rygorystyczny kardynał bynajmniej nie posuwa się przy nas do krytyki swoich współwyznawców ani tym bardziej papieża. Ale wyraz jego twarzy mówi sam za siebie. Kiedy więc wspominam o kardynale Walterze Kasperze i jego koncepcjach geopolitycznych, Bagnasco mi przerywa, a na jego obliczu maluje się wyraz bezbrzeżnej pogardy. Na nazwisko największego progresisty w gronie swoich przeciwników reaguje

miną, która wbrew jego woli czyni go żywym dowodem na pochodzenie rodzaju ludzkiego od małpy.

– To nie jest człowiek, który zna się na dyplomacji – odpowiada w prostych żołnierskich słowach.

A kiedy zaczynamy rozmowę o napięciach w gronie Konferencji Episkopatu Włoch i o działaniach kardynała Bertonego, który ponownie próbował przejąć nad nią kontrolę, Bagnasco odwraca się do Danielego i na swój dziwny sposób próbując wyczuć atmosferę, mówi do niego po włosku:

– *Il ragazzo è ben informato!* (Chłopak jest dobrze poinformowany).

A potem spogląda na mnie znacząco. Jego wzrok raptem się zmienia. Nasze spojrzenia się krzyżują. Przeżyłem coś takiego już kilka razy. Trwa to krótką chwilę, ledwie sekundę, ale coś się wtedy dzieje. Kardynał Bagnasco patrzy na mnie, zastanawia się, waha. I nagle dostrzegam strach. Błysk przemożnego strachu, jaki widziałem wielokrotnie w oczach moich watykańskich rozmówców, jakby znienacka została obnażona tajemnica ich duszy.

Kardynał spuszcza wzrok i wyjaśnia:

– Kardynał Bertone tak naprawdę chciał się zajmować stosunkami Kościoła z włoskim rządem, a ja po prostu robiłem swoje. Stosunki z rządem to sprawa episkopatu, nie Watykanu. (W tym punkcie zgadza się z nim kardynał Giuseppe Betori, były sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Włoch, z którym rozmawiałem we Florencji).

Po chwili przerwy kardynał, który uważał się za papabile, ale musiał pohamować swoje ambicje, krytykuje Bertonego, choć nie wprost: – Kiedy się jest w kurii, w Watykanie, nie jest się już w Konferencji Episkopatu Włoch. To koniec.

Rozmawiamy teraz o związkach jednopłciowych; wiem, że kardynał Bagnasco był ich czołowym przeciwnikiem we Włoszech. Pytam prosto z mostu, czy za papieża Franciszka

stanowisko Kościoła w tej sprawie uległo zmianie.

– Nasze stanowisko w sprawie związków partnerskich jest dziś takie samo jak dziesięć lat temu – ucina mój rozmówca.

Następnie usiłuje mnie przekonać o słuszności swojej opinii. W długiej tyradzie uzasadnia wsparcie dla dyskryminacji osób homoseksualnych przez włoski Kościół. Tak jakby Konferencja Episkopatu Włoch (CEI) była niezależna od Watykanu. Jako nie najgorszy teolog, ale przy tym mizerny filozof w rzeczowy sposób przytacza na poparcie swojej tezy cytaty z Ewangelii i *Katechizmu Kościoła katolickiego*, podpiera się też myślą filozofów: Habermasa i Johna Rawlsa (którego topornie parafrazuje). Ubóstwo jego wiedzy filozoficznej, podobnie zresztą jak większości kardynałów (wyjątek w tym gronie stanowi Kasper), naprawdę mnie poraża. Bagnasco traktuje myślicieli w sposób instrumentalny. Łatwo dostrzec, że ich teksty czytał z pobudek ideologicznych i po łebkach, ze skomplikowanego i anachronicznego rozumowania zapamiętał sobie tylko kilka argumentów. Czuję, że jeszcze chwila, a żeby uzasadnić zakaz małżeństw homoseksualnych argumentami ze świata zwierząt, zacytuje mi *O pochodzeniu gatunków*! Widziałem tę książkę na regale w jego poczekalni.

Teraz ja uciekam się do małego podstępu i odciągając kardynała na stronę, pytam go o nominacje Franciszka oraz o jego, Bagnasca, osobistą sytuację. Co sądzi o tym, że aby otrzymać kapelusz kardynalski za Benedykta XVI, należało być „antygejem”, a za Franciszka trzeba być gay-friendly?

Wielki sponsor manifestacji antygejowskich we Włoszech patrzy na mnie i uśmiecha się, zaciskając szczęki. Bagnasco – nienagannie uczesany, wypomadowany, w schludnym, dobrze skrojonym stroju duchownego i łańcuchu na szyi – wydaje się przerażony moim pytaniem, ale tego nie ujawnia. Zdradza go mowa ciała. Rozstajemy

się w miłej atmosferze i obiecujemy sobie kolejne spotkanie. Kardynał, jak zawsze w biegu, zapisuje nasze adresy e-mailowe i dwukrotnie pyta Danielego o numer telefonu.

Konferencja Episkopatu Włoch to państwo w państwie. Włosi nie mają już swoich papieży – trend ten od czasu elekcji Polaka Wojtyły potwierdziły wybory Niemca Ratzingera oraz Argentyńczyka Bergoglia – ale CEI wciąż pozostaje przedsionkiem władzy w owej anachronicznej teokracji, jaką jest Watykan. To kwestia geopolityki i światowej równowagi.

Ale może kardynałowie z CEI zostali odsunięci od władzy z powodu zbyt nieroztropnych rządów Angelo Sodana i Tarcisio Bertonego? Albo płacą dziś w ten sposób za działania swoich klanów i naznaczone przemocą porachunki, które zdeprawowały włoski katolicyzm i być może były przyczyną śmierci Jana Pawła I oraz abdykacji Benedykta XVI?

Jakkolwiek by było, CEI nie jest już wylęgarnią papieży i daje światu coraz mniej kardynałów. Możliwe, że to się kiedyś zmieni, jednak obecnie włoski episkopat wycofał się na podległy sobie półwysep. Niepocieszeni kardynałowie i biskupi pocieszają się jednak ogromem pracy, jaką mają do wykonania na swoim terenie. Tyle jest do zrobienia. A przede wszystkim trzeba walczyć z małżeństwami homoseksualnymi.

Odkąd – krótko po nastaniu Benedykta XVI – Bagnasco został wybrany na przewodniczącego CEI, związki partnerskie stały się jedną z głównych trosk włoskiego episkopatu. Na wzór Rouca w Hiszpanii i Barbarina we Francji kardynał wybiera metodę siłową: chce poruszyć tłumy i wyprowadzić je na ulice. Jest sprytniejszy niż Hiszpan i bardziej bezkompromisowy niż Francuz, ale dobrze steruje swoją łodzią.

Trzeba powiedzieć, że CEI – z jej nieruchomościami, mediami, z jej

soft power, duchową dominacją i tysiącami biskupów rezydujących nawet w najmniejszych miasteczkach – ma we Włoszech gigantyczną władzę. Oddziałuje też na decyzje polityczne, co zresztą często prowadzi do nadużyć i kupczenia wpływami.

– CEI od zawsze wtrąca się we włoską politykę. Jest bogata i wpływowa. We Włoszech ksiądz i polityk zawsze idą ramię w ramię, jak w czasach *Don Camilla*! – żartuje Pierre Morel, były ambasador Francji przy stolicy apostolskiej.

Wszyscy świadkowie, z którymi rozmawiałem – w episkopacie, we włoskim parlamencie czy w gabinecie premiera – potwierdzają ten decydujący wpływ Kościoła na włoskie życie publiczne. Był on szczególnie widoczny za Jana Pawła II, kiedy na czele Konferencji Episkopatu Włoch stał Camillo Ruini, poprzednik Bagnasca; był to dla CEI złoty wiek.

– Kardynał Ruini był głosem Jana Pawła II we Włoszech i trzymał włoski parlament w garści. To były wspaniałe lata dla CEI. Ale od czasów Bagnasca, pod rządami Benedykta XVI, ten wpływ słabł. A za Franciszka zanikł kompletnie – podsumowuje duchowny, który mieszka w Watykanie i osobiście zna obu wcześniejszych przewodniczących.

Opinię tę potwierdza arcybiskup Rino Fisichella, również pełniący niegdyś odpowiedzialną funkcję w CEI (rozmawiałem z nim dwukrotnie):

– Kardynał Ruini był prawdziwym pasterzem. Był obdarzony głęboką inteligencją i jasną wizją polityczną. Jan Paweł II miał do niego zaufanie, był głównym współpracownikiem papieża w sprawach dotyczących Włoch.

Pewien dyplomata przebywający na placówce w Rzymie, wytrawny znawca watykańskiej machiny, jest tego samego zdania:

– Na początku pontyfikatu kardynał Ruini zwrócił się do Jana

Pawła II mniej więcej takimi słowami: „Odciążę waszą świątobliwość w sprawie Włoch, ale chcę w tej kwestii całkowitej wyłączności”. Dostał, czego chciał, i wykonywał swoją robotę. I to bardzo dobrze.

OKNA JADALNI kardynała Camillo Ruiniego wychodzą na Ogrody Watykańskie. Widok spektakularny i strategiczny. Jesteśmy na ostatnim piętrze Watykańskiego Niższego Seminarium Duchownego, luksusowego penthouse’u zbudowanego na obrzeżach Watykanu:

– To dla mnie wymarzone miejsce. Nie jest się w środku Watykanu, ale i tak widać go z góry. Człowiek jest tuż obok, w bezpośredniej bliskości, ale na zewnątrz – żartuje Ruini z szyderczą miną.

Chcąc się spotkać z osiemdziesięcioośmioletnim kardynałem, wielokrotnie do niego pisałem i dzwoniłem – na próżno. Nieco zakłopotany dość nietypowym dla Kościoła brakiem odpowiedzi w końcu zostawiłem u portiera w prezencie dla emerytowanego kardynała białą książeczkę z wsuniętym do środka listem. Asystentka duchownego w końcu umówiła nas na spotkanie, dodając: „jego eminencja zgodził się [mnie] przyjąć z uwagi na [mój] piękny charakter pisma”. A więc kardynał jest estetą!

– Stałem na czele CEI przez dwadzieścia jeden lat. To prawda, że dzięki mnie oraz sprzyjającym okolicznościom Konferencja stała się ważną instytucją. Jan Paweł II mi ufał. Zawsze mi ufał. Był dla mnie jak ojciec, jak dziadek. Był przykładem siły, mądrości oraz miłości Boga – mówi Ruini nieskazitelną francuszczyzną.

Najwyraźniej zadowolony, że może porozmawiać z francuskim dziennikarzem, stary kardynał się nie śpieszy (na odchodne wręczy mi zanotowany na skrawku papieru swój numer telefonu, zachęcając mnie, bym jeszcze go odwiedził, co rzeczywiście zrobię). Opowiada

mi o swojej życiowej drodze: o tym, jak w młodości został teologiem; o swojej fascynacji Jacques'em Maritainem i francuskimi myślicielami; o tym, jak ważny był dla niego Jan Paweł II, o którego śmierci poinformował jako pierwszy w specjalnym oświadczeniu – był bowiem kardynałem wikariuszem Rzymu i do niego zgodnie z tradycją należał ten obowiązek (a dopiero później na placu św. Piotra przekazał tę wiadomość ówczesny substytut sekretariatu stanu Leonardo Sandri); o historii CEI i swoim „projekcie kulturalnym"; ale także o dekonfesjonalizacji i sekularyzacji, które znacząco osłabiły wpływy włoskiego Kościoła. Bez goryczy, ale z pewną melancholią mówi o chwalebnej przeszłości i aktualnym schyłku katolicyzmu.

– Czasy się zmieniły – dodaje ze smutkiem.

Pytam kardynała o przyczyny tak wielkich wpływów CEI oraz o jego rolę w tej kwestii:

– Sądzę, że moim darem była sztuka zarządzania. Zawsze umiałem zadecydować, obrać kierunek i działać. Na tym polegała moja siła.

Często mówiło się o pieniądzach Konferencji Episkopatu Włoch, które miały dla niej kapitalne znaczenie.

– CEI to pieniądze – potwierdza pewien wysoki urzędnik watykański.

A Ruini przyznaje bez wahania:

– Na podstawie konkordatu między włoskim rządem a Kościołem CEI otrzymuje dużo pieniędzy.

Rozmawiamy też o polityce i kardynał podkreśla swoje związki z Chrześcijańską Demokracją i jej przedstawicielami, takimi jak Romano Prodi czy Silvio Berlusconi. W ciągu kilkudziesięciu lat poznał wszystkich premierów na półwyspie!

– Włoski Kościół i polityka wzajemnie się przenikają, na tym polega problem i to jest przyczyna całej tej deprawacji – wyjaśnia mi Mélanque (imię zmienione), włoski ksiądz, który pracował w CEI.

SPOTKANIE Z MÉLANKIEM było dla mnie jednym z najbardziej interesujących podczas pisania tej książki. Ów kapłan znajdował się w samym sercu machiny CEI w epoce, gdy przewodniczył jej kardynał Camillo Ruini, a następnie kardynał Angelo Bagnasco. Miał znakomitą pozycję. Dzisiaj Mélanque jest księdzem zgorzkniałym, wręcz antyklerykałem, jedną z tych skomplikowanych, zaskakujących postaci, jakie Watykan produkuje ze zbijającą z tropu regularnością. Postanowił ze mną porozmawiać i przekazać mi szczegółową wiedzę z pierwszej ręki na temat CEI. Dlaczego? Podobnie jak niektórzy spośród pozostałych moich rozmówców z kilku powodów: przede wszystkim jawnego już własnego homoseksualizmu oraz „homofobii panującej w CEI", której, dokonawszy coming outu, nie mógł dłużej tolerować. Po drugie po to, by ujawnić hipokryzję wielu hierarchów i kardynałów CEI, których poznał jak nikt inny: oficjalnie homofobów, a prywatnie homoseksualistów. Wielu go podrywało – Mélanque zna tajne kody i wie o obowiązującym w CEI prawie pierwszej nocy. Po raz pierwszy zabiera głos, ponieważ stracił wiarę, a zapłaciwszy za swoje zwolnienie wysoką cenę – bezrobocie, utrata przyjaciół, którzy nagle się od niego odwrócili, izolacja – poczuł się zdradzony. Rozmawiałem z nim z dala od Rzymu przez ponad dziesięć godzin, trzykrotnie, z kilkumiesięcznymi przerwami – i polubiłem tego cierpiącego kapłana. Jako pierwszy wyjawił mi coś, czego nigdy bym nie podejrzewał: twierdzi, że w Konferencji Episkopatu Włoch większość stanowili geje.

– Podobnie jak wielu, a nawet większość włoskich księży wstąpiłem do seminarium, ponieważ miałem problem z seksualnością – opowiada Mélanque w trakcie wspólnego obiadu. – Nie wiedziałem, o co chodzi, a dojście do prawdy zajęło mi sporo czasu. Chodziło oczywiście o wypartą homoseksualność. Wyparcie było tak silne, że nie tylko nie byłem w stanie mówić o mojej

orientacji, ale także jej zrozumieć. I jak dla większości księży to, że nie muszę podrywać dziewczyn, że nie muszę się żenić, stanowiło dla mnie prawdziwą ulgę. Homoseksualizm był jednym z motorów mojego powołania. Celibat stanowi problem dla księdza heteroseksualnego; dla młodego geja, jakim wtedy byłem, to prawdziwy fart. Wyzwolenie.

Mélanque rzadko opowiadał o tej części swojego życia, o tej strefie cienia, i mówi mi, że ta rozmowa przynosi mu ulgę.

– Problem wyszedł na jaw mniej więcej rok po tym, jak zostałem wyświęcony na księdza. Miałem dwadzieścia pięć lat. Próbowałem o tym zapomnieć. Mówiłem sobie, że nie jestem zniewieściały, nie wyglądam na stereotypowego geja, więc nie mogę być homoseksualny. Dlatego walczyłem.

Walka okazała się stanowczo zbyt nierówna. Bolesna, niesprawiedliwa, burzliwa. Mogła go doprowadzić do samobójstwa, ale przybrała kształt nienawiści do siebie samego – klasycznego wśród katolickiego kleru schematu uwewnętrznionej homofobii. Młody ksiądz, jak większość jemu podobnych, ma dwa wyjścia: przyznać się do swojej homoseksualności i wystąpić z Kościoła (ale ma jedynie dyplom z teologii i niemal zerową wartość na rynku pracy) albo zacząć podwójne życie. Czyli, krótko mówiąc, drzwi albo szafa.

We Włoszech surowe nauczanie na temat celibatu i czystości w odniesieniu do heteroseksualistów zawsze szło w parze z dużą tolerancją dla „skłonności". Wszyscy świadkowie, z którymi rozmawiałem, potwierdzają, że homoseksualizm przez długi czas był prawdziwym rytuałem przejścia we włoskich seminariach, kościołach oraz CEI – jeśli tylko się o nim nie mówiło i ograniczało do sfery prywatnej. Stosunek seksualny z osobą tej samej płci nie obciąża świętej zasady heteroseksualnego celibatu – jeśli nie na poziomie

ducha, to przynajmniej litery. Tak więc odnoszące się do homoseksualizmu hasło „Don't ask, don't tell" obowiązywało we włoskim katolicyzmie, który stał się matrycą dla Sodomy dużo wcześniej, niż wprowadził je Bill Clinton.

Mélanque obrał ścieżkę, którą szła większość członków CEI na wysokich stanowiskach, i był kapłanem o r a z gejem. Hybrydą.

– Wielka siła Kościoła polega na tym, że on wszystkim się zajmie. Człowiek czuje się bezpieczny i chroniony, trudno jest odejść. Dlatego zostałem. Zacząłem prowadzić podwójne życie. By uniknąć plotek, zdecydowałem się na podryw na zewnątrz, nie w Kościele. Dokonałem tego wyboru przedwcześnie, większość wybiera opcję przeciwną i poszukuje partnerów wyłącznie w Kościele. Moje życie księdza geja nie było łatwe. To była walka ze sobą. Teraz, kiedy sobie przypomnę, jak ją toczyłem, w izolacji i samotności, widzę, że byłem zrozpaczony. Płakałem przed moim biskupem, który udawał, że nie rozumie, o co mi chodzi. Bałem się. Byłem przerażony. Byłem w pułapce.

I wtedy odkrył największą tajemnicę włoskiego Kościoła: homoseksualizm jest tu tak powszechny, tak wszechobecny, że zależy od niego większość karier. Jeśli człowiek dobrze sobie wybierze biskupa, jeśli podąża właściwą ścieżką, jeśli nawiązuje odpowiednie przyjaźnie, jeśli bierze udział w „grze w szafę", szybko się pnie po szczeblach hierarchii.

Mélanque podaje mi nazwiska biskupów, którzy mu „pomagali", kardynałów, którzy go bezwstydnie podrywali. Rozmawiamy o wyborach do CEI: „wojnie światów", jak mówi Mélanque, o potędze imperiów, które stworzyli wokół siebie kardynałowie Camillo Ruini i Angelo Bagnasco; o szemranej roli, jaką odgrywał w Watykanie Angelo Sodano i Tarcisio Bertone; a także o równie dziwnej funkcji nuncjusza apostolskiego we Włoszech Paolo Romeo –

bliskiego przyjaciela Sodana, przyszłego arcybiskupa Palermo i kardynała promowanego przez Benedykta XVI. Poruszamy też temat zgodnych z klanową logiką CEI nominacji kardynalskich Crescenzio Sepego z Neapolu i Agostino Valliniego z Rzymu czy Giuseppe Betoriego z Florencji.

Dla kontrastu Mélanque opowiada mi o „negatywnych” nominacjach papieża Franciszka, o wpływowych biskupach CEI, którzy nie zostali kardynałami – te „nienominacje” są w jego oczach równie wymowne. I tak w ramach kary lub pokuty wciąż nie doczekało się purpury kilka wielkich figur: biskup Wenecji Francesco Moraglia, biskup Turynu Cesare Nosiglia czy biskup Rino Fisichella. Za to Corrado Lorefice i Matteo Zuppi (we wspólnocie św. Idziego, z której się wywodzi, nazywany pieszczotliwie „Don Matteo”) zostali arcybiskupami Palermo i Bolonii; jako pracujący na rzecz ubogich, wykluczonych, prostytutek i imigrantów wpisują się oni w kierunek obrany przez Franciszka.

– Ludzie tytułują mnie „eminencjo”, a ja nie jestem kardynałem! To z przyzwyczajenia, ponieważ arcybiskupi Bolonii zawsze byli kardynałami – śmieje się Matteo Zuppi, którego odwiedzam w jego gabinecie w Bolonii.

Przychylny gejom, swobodny, serdeczny, rozmowny, przytula gości na powitanie, mówi bez uciekania się do okrągłych słówek i prowadzi regularny dialog ze stowarzyszeniami LGBT. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście jest szczery, czy też taką obrał strategię, stanowi wyraźne przeciwieństwo kardynała Carlo Caffarry, hipokryty, maniaka kontroli, skrajnego homofoba i oczywiście kryptogeja.

Mélanque jest spokojny i precyzyjny. Opowiada mi o antygejowskim nastawieniu włoskiego kardynała Salvatore De Giorgiego, którego dobrze zna; o nieznanym obliczu ruchu

Communione e Liberazione oraz słynnym „projekcie kulturalnym" CEI. Podczas naszej rozmowy wypływa temat skandalu – sprawy Boffa, o której opowiem wkrótce. Mélanque, który widział to wszystko od środka, brał udział w decydujących spotkaniach, a także w tuszowaniu afer, opisuje te zdarzenia w najdrobniejszych szczegółach, ujawniając rządzące nimi ukryte mechanizmy.

Odejście Mélanque'a z Konferencji Episkopatu Włoch odbyło się bez skandalu czy coming outu. Kapłan poczuł po prostu potrzebę zdystansowania się i odzyskania wolności.

– Pewnego dnia odszedłem. To wszystko. Przyjaciele bardzo mnie lubili, kiedy byłem księdzem, ale gdy przestałem nim być, porzucili mnie bez żalu. Nigdy się do mnie nie odezwali. Nie odebrałem od nich ani jednego telefonu.

Zwierzchnicy CEI tak naprawdę robili wszystko, by zatrzymać księdza Mélanque'a wewnątrz systemu. Wiedział tak dużo, że zgodzić się na jego odejście byłoby rzeczą zbyt ryzykowną. Składali mu propozycje nie do odrzucenia, ale kapłan twardo obstawał przy swoim i nie zmienił decyzji.

Opuszczenie Kościoła to droga, z której nie ma powrotu. Człowiek, który dokonuje takiego wyboru, pali za sobą mosty. Każde odejście jest ostateczne. Były ksiądz Mélanque zapłacił za nie niewyobrażalną cenę.

– Nie miałem już przyjaciół ani pieniędzy. Wszyscy mnie opuścili. Czy takie jest nauczanie Kościoła? Smutno mi z ich powodu. Gdybym mógł cofnąć czas, na pewno nie zostałbym księdzem.

– Dlaczego oni zostają?

– Dlaczego zostają? Bo się boją. Bo nie mają dokąd pójść. Im więcej czasu upływa, tym trudniej jest odejść. Dziś jest mi żal moich przyjaciół, którzy zostali.

– Czy jesteś jeszcze katolikiem?

– Proszę, nie zadawaj mi takiego pytania. Sposobu, w jaki potraktował mnie Kościół i wszyscy ci ludzie, nie można nazwać katolickim. Jestem taki szczęśliwy, że odszedłem i jestem wyoutowany. Wyoutowany z Kościoła, ale także zdeklarowany jako gej. Teraz oddycham. Prowadzę codzienną walkę o to, żeby na siebie zarobić, żeby żyć, żeby się pozbierać, ale jestem wolny. JESTEM WOLNY.

KONFERENCJA EPISKOPATU WŁOCH, która z socjologicznego punktu widzenia jest organizacją o gejowskiej dominancie, to przede wszystkim struktura władzy. W chorobliwy sposób hołduje stosunkom opartym na sile. Homoseksualizm odgrywa w niej centralną rolę, ponieważ jest kluczowym elementem w starciach zwalczających się frakcji, w rozwoju i upadkach poszczególnych karier, a także dlatego, że może być wykorzystany jako pretekst do szantażu – jednak podstawę strukturalnego działania CEI stanowi władza.

– Jak wszyscy księża jestem wielkim fanem Pasoliniego, a zwłaszcza filmu *Salo, czyli sto dwadzieścia dni Sodomy*, nakręconego na podstawie powieści Markiza de Sade'a. Taka właśnie jest mentalność włoskiego episkopatu: nie tylko seks, ale również instrumentalizacja władzy. Im wyżej człowiek awansuje w hierarchii, tym więcej widzi szokujących nadużyć władzy – zdradza Mélanque.

Z wyjątkiem krótkiego okresu z końca pierwszego dziesięciolecia XXI wieku, kiedy to kontrolę nad nią usiłował przejąć kardynał Bertone, sekretarz stanu Benedykta XVI, CEI zawsze zazdrośnie strzegła swojej autonomii. Chce się rządzić sama, bez pośrednictwa Watykanu, i sprawuje bezpośrednią pieczę nad stosunkami między Kościołem a środowiskami politycznymi we Włoszech. Owo „wzajemne przenikanie" – jak nazwał to zjawisko ekssiądz Mélanque – dało początek niepisanym przyzwoleniom ze strony

rządu, licznym kompromisom, silnym napięciom i całemu mnóstwu afer.

– Zawsze byliśmy bardzo autonomiczni. Kardynał Bertone próbował przejąć CEI, ale to była katastrofa. Konflikt między Bertonem i Bagnaskiem był bardzo uciążliwy. Spowodował poważne szkody. Ale Bagnasco się nie poddał – wyjaśnia mi kardynał Camillo Ruini (nie napomyka przy tym o fakcie, że za wspomnianą katastrofą stała sprawa Boffa z wątkiem gejowskim w tle).

Przez długi czas Konferencja Episkopatu Włoch sympatyzowała z włoską Chrześcijańską Demokracją, centroprawicową partią polityczną opartą na idei społecznego chrystianizmu z silnym akcentem antykomunistycznym. Jednak jako instytucja oportunistyczna zawsze utrzymywała bliskie związki z aktualną władzą. Kiedy w roku 1994 po raz pierwszy premierem został Silvio Berlusconi, spora część CEI zaczęła flirtować z jego partią Forza Italia i silniej wiązać się z prawicą.

Oczywiście oficjalnie CEI nie zniża się do „uprawiania polityki" i dystansuje się od przepychanek. Jednak, co potwierdza ponad sześćdziesiąt wywiadów przeprowadzonych w Rzymie i innych włoskich miastach, mariaż CEI z Berlusconim jest tajemnicą poliszynela. Temu przeciwnemu naturze związkowi, który trwał co najmniej od roku 1994 do 2011, za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI oraz w czasie trzech kadencji Berlusconiego, towarzyszyły liczne układy; niektóre z nich przekładały się na nominacje kardynalskie.

Arcybiskup Florencji Giuseppe Betori, który przyjmuje mnie w swojej wielkiej rezydencji na Piazza del Duomo, jako sekretarz generalny CEI pozostawał w tamtym czasie w bliskich stosunkach z kardynałem Ruinim. W trakcie nagranej za jego zgodą rozmowy przeprowadzonej w obecności mojego researchera Danielego

przemiły kardynał o twarzy rumianej jak jabłuszko ze szczegółami przedstawia mi historię Konferencji Episkopatu Włoch.

– Można powiedzieć, że CEI stworzona została wraz z nastaniem Pawła VI. Przed nim nie istniała. Jej pierwsze nieoficjalne zebranie odbyło się w roku 1952 właśnie tutaj, we Florencji, w tym gabinecie. Spotkali się na nim włoscy kardynałowie, którzy stali na czele poszczególnych diecezji. Wtedy była to jeszcze bardzo skromna organizacja.

Betori podkreśla maritainowską naturę CEI – od nazwiska filozofa Jacques'a Maritaina – którą można interpretować jako opowiedzenie się Kościoła za demokracją i jego wolę zerwania z faszyzmem Mussoliniego oraz antysemityzmem. Może też jednak chodzić o pragnienie dokonania rozdziału między sferą polityczną a religijną, wprowadzenie jakiejś formy laickości we włoskim wydaniu (co tak naprawdę nigdy nie było intencją CEI). Ale powstanie CEI można rozumieć jeszcze inaczej: jako chęć stworzenia „katolickiej masonerii" z jej umownymi kodami i sposobem doboru członków.

– Od samego początku CEI uważa, że wszystko, co dotyczy Włoch oraz stosunków z włoskim rządem, powinno przechodzić przez nią, a nie przez Watykan – dodaje kardynał z Florencji.

Będąc sekretarzem generalnym CEI, Betori mógł sprawdzić siłę włoskiego katolicyzmu. Kardynał był jednym z głównych inicjatorów manifestacji przeciwko związkom jednopłciowym w 2007 roku i zachęcił biskupów do wyprowadzenia wiernych na ulice. Aby przygotować tę antygejowską mobilizację, potrzeba było dwóch struktur. Pierwsza była raczej intelektualna, druga – bardziej polityczna. Przewodniczący CEI Camillo Ruini, jak już mówiłem, pozostający w bliskich stosunkach z Janem Pawłem II i kardynałem Sodanem, uprzedził mającą nastąpić batalię w sprawie moralności seksualnej. Kierując się niezaprzeczalnym zmysłem

politycznym, powołał do życia słynny Progetto Culturale della CEI (projekt kulturalny CEI). To ideologiczne laboratorium wytyczyło linię myślenia włoskiego episkopatu na temat rodziny, AIDS, a w niedługim czasie także związków homoseksualnych. Pracowano nad nią podczas poufnych spotkań, których liderami byli kardynał Ruini, jego sekretarz generalny Giuseppe Betori, kardynalski pisarz Dino Boffo oraz przedstawiciel laikatu Vittorio Sozzi.

– Byliśmy grupą biskupów i księży spotykającą się ze świeckimi, pisarzami, naukowcami i filozofami. Chcieliśmy przemyśleć na nowo obecność katolicyzmu we włoskiej kulturze. Mój pomysł polegał na zdobyciu elit, odzyskaniu kultury – wyjaśnia Camillo Ruini. I dodaje: – Działaliśmy wspólnie z (Giuseppe) Betorim, Fisichellą, Scolą, a także dziennikarzem Boffem.

Z Boffem wymieniałem wiadomości na Facebooku, a z Sozzim rozmawiałem przez telefon, ale obaj odmówili oficjalnych wywiadów, w przeciwieństwie do Betoriego, Fisichelli i właśnie Ruiniego. Ostatecznie moja opowieść na temat CEI powstała głównie dzięki otoczeniu Mauro Parmeggianiego, byłego osobistego sekretarza kardynała Ruiniego.

– To tam, w tym dziwnym wieczerniku, wymyślono strategię walki CEI z małżeństwami gejowskimi. Jej ojcem jest Ruini, który działał pod wpływem Boffa. Logika żywcem wzięta z myśli Gramsciego: na nowo podbić katolickie masy poprzez kulturę – mówi informator, który uczestniczył w wielu spotkaniach tej grupy.

Model tej prawdziwej „wojny kulturowej” przypomina to, co w latach osiemdziesiątych XX wieku wdrożyła amerykańska „nowa prawica” – z dodatkiem politycznego gramscizmu. Według Ruiniego Kościół, aby zagwarantować sobie wpływy, musi odtworzyć swoją „hegemonię kulturową”, opierając się na świeckim społeczeństwie z jego intelektualistami i kulturowymi punktami

odniesienia. Ów „gramscizm dla ubogich” można streścić sloganem: dzięki walce ideowej wygramy walkę polityczną. Jakież to jednak kuriozalne zapożyczenie! Fakt, że konserwatywne skrzydło Kościoła odwołuje się do marksistowskiego myśliciela i w ten sposób tworzy jego karykaturę, od początku budził pewne wątpliwości.

Arcybiskup Rino Fisichella, jedna z głównych osobistości CEI, w dwóch rozmowach ze mną potwierdza neogramscistowską naturę „projektu kulturalnego”, uważa jednak, że nie należy jej przeceniać.

Kardynał Ruini przy wsparciu Betoriego, Boffa, Parmeggianiego i Sozziego w sposób cyniczny i pełen hipokryzji wyobraża sobie więc, że prowadząc ideową batalię, Włochom można przywrócić wiarę. Mniejsza o uczciwość.

– Progetto Culturale della CEI wbrew temu, co sugerowałaby jego nazwa, nie był projektem kulturalnym, ale projektem ideologicznym. To był pomysł Ruiniego, ale nie przyniósł on żadnych rezultatów i skończył się wraz z odejściem przewodniczącego CEI – mówi mi ojciec Pasquale Iacobone, włoski ksiądz, który zajmuje dziś jedno z kluczowych stanowisk w watykańskim „ministerstwie kultury”.

Projekt nie był więc szczególnie kulturalny, nie był też intelektualny, jeśli wierzyć słowom Mélanque’a:

– Kulturalny? Intelektualny? W tym wszystkim chodziło przede wszystkim o ideologię i stołki. Przewodniczący CEI, najpierw przez trzy kadencje Ruini, a następnie przez dwie kadencje Bagnasco, decydowali, którzy księża mają zostać biskupami, a którzy biskupi kardynałami. Przekazywali swoją listę sekretarzowi stanu w Watykanie, dyskutowali o niej i sprawa załatwiona.

Drugą siłą, która odegrała swoją rolę w antygejowskiej mobilizacji, był ruch Comunione & Liberazione (CL). W odróżnieniu od CEI oraz jego „progetto culturale”, które są strukturami elitarnymi i religijnymi, CL jest organizacją świecką skupiającą kilkadziesiąt

tysięcy członków. Ten konserwatywny ruch założony w roku 1954 we Włoszech ma dziś oddziały w Hiszpanii, Ameryce Łacińskiej i wielu innych regionach. W latach 1970-1980 CL zbliża się do Chrześcijańskiej Demokracji Giulio Andreottiego, a później nawiązuje współpracę z Włoską Partią Socjalistyczną. W latach dziewięćdziesiątych, po rozwiązaniu obu tych partii, kierownictwo ruchu zaczyna wchodzić w układy z prawicą Silvio Berlusconiego – oportunistyczny wybór, który będzie drogo kosztował tę organizację i przyśpieszy jej upadek. Równolegle CL zbliża się do włoskich pracodawców i najbardziej skrajnych środowisk konserwatywnych, odcinając się od swoich korzeni oraz pierwotnych ideałów. Inicjatorem tego zaostrzenia kursu jest Angelo Scola, przyszły kardynał Mediolanu, który zostanie też jednym z organizatorów kampanii przeciwko wprowadzeniu związków jednopłciowych w 2007 roku.

Po przejęciu władzy przez lewicę nowy szef rządu Romano Prodi ogłasza swój zamiar legalizacji związków jednopłciowych w formie przypominającej związki cywilne. Aby zapewnić im włoski koloryt i nie zapożyczać amerykańskiego „civil union” ani francuskiego „pacte civil de solidarité”, włoski rząd nadaje projektowi dziwną nazwę DICO, od DIritti e doveri delle persone stabilmente COnviventi (Prawa i obowiązki osób mieszkających ze sobą na stałe).

W 2007 roku, kiedy tylko Prodi składa swoją deklarację, a włoski rząd przyjmuje projekt ustawy, CEI oraz Comunione & Liberazione zbierają siły. Najpierw włoski Kościół mobilizuje kardynał Ruini (mimo że jest przyjacielem Prodiego). Jego następca Bagnasco idzie w jego ślady. To samo robi kardynał Scola, cyniczny stronnik Berlusconiego. Berlusconi, choć nie jest tak zmienny jak włoscy kardynałowie, podziela ich homofobię. Sam przecież powiedział, że „lepiej być miłośnikiem pięknych kobiet niż gejem”. To dobra

wróżba. I pewny sojusznik.

– To prawda, Prodi jest moim przyjacielem! Ale nie w tej sprawie! Zablokowaliśmy ten projekt. Obaliłem jego rząd! Obaliłem Prodiego! Związki jednopłciowe to było moje pole bitwy – opowiada mi z entuzjazmem kardynał Camillo Ruini.

Na rząd Prodiego spada lawina artykułów, not duszpasterskich, wywiadów z duchownymi. Powstają – czasem w sposób sztuczny – rozmaite stowarzyszenia katolickie. Grupy zwolenników Berlusconiego zwierają szyki. Tak naprawdę Kościół nie potrzebuje nacisków: mobilizuje się sam, z przekonania, ale też z przyczyn wewnętrznych.

– Biskupi i kardynałowie najbardziej aktywni w kampanii przeciw DICO byli homoseksualistami. By odsunąć od siebie podejrzenia, okazywali tym większą gorliwość. To klasyka gatunku – komentuje inny ksiądz z CEI, z którym rozmawiam w Rzymie.

To oczywiście tylko częściowe wyjaśnienie. Bezprecedensową mobilizację biskupów i ich zagrywki wyjaśnia pewien nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Otóż w tym samym czasie, gdy odbywają się pierwsze dyskusje nad projektem DICO, trwa proces powoływania nowego przewodniczącego CEI. Toczy się więc zacięta rywalizacja między potencjalnymi kandydatami. O stanowisko ubiegają się kończący kadencję Ruini oraz dwaj arcybiskupi – Carlo Caffarra z Bolonii i Angelo Bagnasco z Genui.

Dochodzi do tego pewna włoska anomalia: w przeciwieństwie do konferencji episkopatów innych krajów przewodniczącego CEI tradycyjnie wyznacza papież na podstawie listy dostarczonej mu przez włoskich biskupów. Ruini został powołany przez Jana Pawła II, ale w roku 2007 karty rozdaje Benedykt XVI. To po części wyjaśnia nieprawdopodobne homofobiczne wzmożenie, którego ofiarą padnie Prodi.

Kardynał Ruini pisze w tym czasie tak zapiekły tekst przeciwko związkom homoseksualnym, że Watykan prosi go, by złagodził ton (według dwóch informatorów w strukturach CEI). Bardzo skrzętnie ukrywający swoją orientację Caffarra także gardłuje w mediach przeciwko gejom, piętnując ich lobby w parlamencie, bo przecież „deputowanego, który zgadza się na małżeństwa homoseksualne, nie można uznać za katolika" (kiedy jego szanse na przewodniczenie CEI ostatecznie przepadną, Caffarra nagle pohamuje swój radykalizm). Bagnasco, najbardziej nieprzejednany, wzmacnia naciski i staje na czele krucjaty anty-DICO, by się przypodobać Benedyktowi XVI. A ten w marcu 2007 roku pośród całej tej burzy ostatecznie powołuje genueńskiego biskupa na przewodniczącego CEI.

Na rzymskiej scenie jest jeszcze czwarty aktor; on także wyobraża sobie, że jest na krótkiej liście Benedykta XVI oraz jego sekretarza stanu Tarcisio Bertonego i w napięciu śledzi całą sprawę. Czy ktoś nakłonił Rino Fisichellę do przeprowadzenia własnej kampanii? A może włącza się do walki przez próżność? Jakkolwiek by było, słynny włoski biskup pozostający w bliskich kontaktach z Angelo Sodanem jest rektorem Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego (później zostanie ustanowiony przez Benedykta XVI przewodniczącym Akademii Życia, a następnie przewodniczącym Papieskiej Rady do spraw Nowej Ewangelizacji).

– Nie można być wierzącym, a jednocześnie żyć jak poganin. Przede wszystkim na pierwszym planie należy umieścić styl życia. Jeżeli styl życia chrześcijan nie jest spójny z wyznaniem wiary, to pojawia się problem – mówi mi, nie zacinając się ani nie rumieniąc, Rino Fisichella, kiedy w obecności Danielego rozmawiamy w jego gabinecie. (Jego słowa za jego zgodą również są nagrywane).

Aby zatem ukazać spójność swojej wiary i stylu życia, Fisichella prowadzi własną batalię. On, dawniej jeden z ideologów CEI, który

kierował należącą do niej komisją doktryny wiary, jeszcze bardziej się usztywnia. To sztywność w rozmiarze XXL, która przejawia się z całą mocą podczas manifestacji antygejowskich, na których czele duchowny postanawia stanąć.

– Przez piętnaście lat byłem kapelanem włoskiego parlamentu. Dobrze więc znałem deputowanych – oświadcza Fisichella.

Batalia prowadzona przez włoski Kościół będzie miała poważne konsekwencje polityczne. Ta oraz inne kwestie sprawiają, że w technokratycznym i politycznie wątłym rządzie Prodiego szybko dochodzi do rozłamu. Wskutek wewnętrznych waśni słabnie pozycja premiera i ostatecznie niecałe dwa lata od powstania rząd upada. W roku 2008 premierem po raz trzeci zostaje Berlusconi.

CEI wygrała bitwę. DICO jest pogrzebane. Ale czy Kościół nie posunął się za daleko? Niektórzy zadają sobie to pytanie, zwłaszcza po słynnej już homilii arcybiskupa Angelo Bagnasca – którego w nagrodę za jego zaangażowanie Benedykt XVI wyniósł do godności kardynalskiej. Otóż Bagnasco pozwala sobie na porównanie uznania związków homoseksualnych do zgody na kazirodztwo i pedofilię. Jego słowa wzbudzają oburzenie wśród świeckich oraz w szeregach włoskich polityków. Duchowny otrzymuje też śmiertelne pogróżki. Jakkolwiek genueńska policja uznaje je za niezbyt poważne, Bagnasco prosi o umięśnionego ochroniarza i go otrzymuje.

„LEWE" SKRZYDŁO WŁOSKIEGO EPISKOPATU wytrwale reprezentował w tamtym okresie kardynał Carlo Maria Martini, który przerwał milczenie, by wyrazić sprzeciw wobec linii Ruiniego, Scoli, Fisichelli i Bagnasca. Martini, były arcybiskup Mediolanu, może zostać uznany za jedną z najbardziej życzliwych gejom postaci włoskiego Kościoła. A także za jedną z osobistości najbardziej za pontyfikatu Jana Pawła II marginalizowanych. Ten urodzony

w Turynie liberalny jezuita napisał wiele książek, w których prezentuje otwartą postawę w kwestiach społecznych. Wraz z burmistrzem Rzymu udzielił słynnego wywiadu, w którym wypowiadał się przychylnie o gejach. W innych tekstach bronił idei Soboru Watykańskiego III, który miałby dogłębnie zreformować Kościół w sprawach moralności seksualnej, i wykazywał otwartość na debatę o homoseksualnych związkach partnerskich, choć do nich nie zachęcał. Bronił używania prezerwatyw w pewnych okolicznościach, co było niezgodne z dyskursem papieża Benedykta XVI, któremu wprost się sprzeciwiał. Prowadził też własną rubrykę w dzienniku „Corriere della Sera" i w swoich tekstach nie wahał się otworzyć dyskusji na temat kapłaństwa kobiet oraz święceń żonatych mężczyzn, słynnych *viri probati*.

– Włoski Kościół ma wobec Martiniego dług. Jego intuicja, sposób sprawowania posługi biskupiej, głębia wyborów, zdolność do prowadzenia dialogu ze wszystkimi i po prostu odwaga były znakiem nowoczesnego podejścia do katolicyzmu – mówi bliski papieżowi Franciszkowi Matteo Zuppi, gdy rozmawiamy w jego gabinecie w Bolonii.

Działając w Radzie Konferencji Episkopatów Europy, której przewodniczył w latach 1986-1993, Carlo Maria Martini należał też do „grupy z Sankt Gallen" – nazwa pochodzi od miasta w Szwajcarii, w którym w latach 1995-2006 odbywały się prywatne, a nawet poufne spotkania umiarkowanych kardynałów zgromadzonych wokół Niemców Waltera Kaspera i Karla Lehmanna, Włocha Achille Silvestriniego, Belga Godfrieda Danneelsa czy Brytyjczyka Cormaca Murphy'ego-O'Connora. Cel grupy był ściśle określony: zaproponowanie postępowego kandydata na następcę Jana Pawła II. Miał nim być Carlo Maria Martini we własnej osobie.

– Pomysłodawcą powstania grupy był sam Martini. Jej pierwsze

spotkanie odbyło się w Niemczech, w mojej diecezji, a wszystkie następne w Sankt Gallen – opowiada Walter Kasper, z którym spotkałem się kilkakrotnie. – Silvestrini przyjeżdżał za każdym razem, był jedną z głównych postaci. Ale wbrew temu, co sugerował kardynał Danneels, to nigdy nie była mafia. Nigdy nie rozmawialiśmy o nazwiskach. Nie podejmowaliśmy żadnych działań z myślą o konklawe. Byliśmy grupą pasterzy i przyjaciół, a nie spiskowcami.

Gdy na papieża wybrano Josepha Ratzingera, a Martini zachorował, grupa straciła rację bytu i powoli się rozpadła. Można jednak sądzić, że jej członkowie przewidzieli wybór Franciszka – jeśli to nie oni go przygotowali. Motorem działania grupy był Ivo Fürer, biskup Sankt Gallen, sprawujący również funkcję sekretarza generalnego Rady Konferencji Episkopatów Europy z siedzibą właśnie w tym mieście.

Historia tej nieformalnej grupy wykracza poza ramy tej książki, warto jednak zauważyć, że grupa ta o kwestii gejowskiej wielokrotnie dyskutowała. Osoby z bliskich kręgów Ivo Fürera, z którymi rozmawiałem w Sankt Gallen, i kardynała Danneelsa, z którymi spotkałem się w Brukseli – jako że obaj kardynałowie są dziś poważnie chorzy – potwierdziły, że chodziło „w oczywisty sposób o grupę antyratzingerowską, a dużą część jej składu stanowiły osoby homofilne".

Carlo Maria Martini, przeciwnik zachowawczej linii Jana Pawła II i represyjnej polityki Benedykta XVI – który zbojkotował nawet jego pogrzeb – aż do swojej śmierci w 2012 roku w wieku 85 lat był niezłomnym przedstawicielem Kościoła o otwartym i umiarkowanym obliczu. Ta wizja Kościoła już kilka miesięcy później znalazła najlepszego orędownika w osobie nowo wybranego papieża Franciszka. (Już podczas konklawe w roku 2005 roku stronnicy

Martiniego przekazali swoje głosy Bergogliowi, by zablokować wybór Benedykta XVI. Na próżno).

KIEDY KONFERENCJA EPISKOPATU WŁOCH DWOI SIĘ I TROI, by zablokować wprowadzenie związków jednopłciowych i zneutralizować heretyka Martiniego, toczy się inna groteskowa bitwa, której kulisy zna tylko ona. Czyżby organizacja o tak stanowczym prawicowym kursie była zakamuflowaną grupą gejowską? Do takich przypuszczeń skłania sprawa Boffa.

Dino Boffo, świecki działacz Akcji Katolickiej oraz ruchu Comunione & Liberazione, od początku lat osiemdziesiątych XX wieku był bliskim współpracownikiem kardynała Camillo Ruiniego, przyszłego przewodniczącego CEI. Jako jego powiernik, pisarz i autorytet redaguje teksty dla dziennika CEI „Avvenire", a na początku lat dziewięćdziesiątych zostaje zastępcą redaktora naczelnego. Potem – w roku 1994 – redaktorem naczelnym. Po wyborze Bagnasco na przewodniczącego CEI Boffo, jak donosi kilka źródeł, zbliża się do świeżo upieczonego kardynała.

Na potrzeby mojego śledztwa rozmawiałem z Boffem za pośrednictwem Facebooka. Od razu okazał się bardzo rozmowny i kończył swoje wiadomości niezapomnianym „ciaooooo", ale odmówił wywiadu „on the record"; za to pewien dziennikarz, z którym pracowałem w Rzymie, spotkał go w parku i udało mu się z nim porozmawiać – Boffo okazał się odrobinę nieroztropny i potwierdził wiele informacji zawartych w tym rozdziale.

W związku ze sporami politycznymi w łonie CEI oraz doniesieniami o aferach obyczajowych Silvio Berlusconiego z call girls wiosną 2009 roku Dino Boffo zaczyna atakować premiera. Działa samodzielnie czy na rozkaz? Czy wciąż jest zależny od Ruiniego, czy stał się człowiekiem nowego przewodniczącego CEI

Bagnasca, który przewodniczy też radzie nadzorczej „Avvenire”? Czy za jego pośrednictwem ktoś chce skompromitować kardynałów Ruiniego i Bagnasca, z którym jest w bliskich stosunkach? Wiadomo również, że Boffo codziennie spotyka się z sekretarzem Jana Pawła II Stanisławem Dziwiszem, z którym się przyjaźni i od którego otrzymuje polecenia. Czy został zachęcony do napisania tego artykułu przez swojego protektora?

Jakkolwiek by było, Boffo – być może z naiwności – publikuje serię artykułów, w których atakuje Berlusconiego i potępia go za jego seksigraszki. Oczywiście szarża oficjalnego dziennika włoskiego episkopatu nie pozostaje niezauważona. To wręcz wypowiedzenie Berlusconiemu wojny – w języku dyplomacji nazywamy to „odwróceniem przymierzy”.

Na odpowiedź premiera nie trzeba długo czekać. Pod koniec lata 2009 roku należący do rodziny Berlusconich dziennik „Il Giornale” zamieszcza artykuł, w którym Boffo zostaje ostro skrytykowany za to, że prawi morały Berlusconiemu, a sam został „skazany za molestowanie” i prawdopodobnie jest homoseksualistą (autor artykułu publikuje kopię jego akt sądowych).

Afera Boffa potrwa kilka lat i stanie się przedmiotem wielu procesów. W międzyczasie na rozkaz otoczenia papieża Benedykta XVI Boffo zostaje przez CEI zdjęty ze stanowiska naczelnego „Avvenire”, a następnie – po udowodnieniu, że opublikowane akta zostały sfałszowane i że dziennikarz nie był skazany za molestowanie – częściowo przywrócony do pracy przez włoski episkopat. Dino Boffo dostał odszkodowanie z tytułu bezprawnego zwolnienia i podobno do dziś pracuje dla CEI lub dla któregoś z jej wydawnictw. Ostatecznie w związku z tą sprawą wyroki skazujące dostało kilka osób – artykuł w „Il Giornale” był oszczerstwem.

Jak twierdzą osoby znające kulisy tej niesłychanej afery, wybuchła

ona w wyniku wyrównywania rachunków między homoseksualnymi frakcjami w CEI i Watykanie po sprawie Berlusconiego i w związku z szemraną rolą, jaką odegrał w nim ruch Comunione & Liberazione, który był łącznikiem między partią premiera a włoskim Kościołem. W ogniu tej bitwy znaleźli się osobisty sekretarz Jana Pawła II Stanisław Dziwisz i kardynał Camillo Ruini. Również kardynałowie Angelo Sodano i Leonardo Sandri oraz sekretarz stanu Tarcisio Bertone. Niekoniecznie jednak walczyli w jednym obozie.

– W Watykanie chcieli pozbawić Ruiniego wpływów albo przynajmniej je osłabić. Wybrano do tego celu właśnie kwestię gejowską – komentuje Mélanque, ekksiądz i były pracownik CEI.

Jak ujawnia Gianluigi Nuzzi w książce *Jego Świątobliwość*, Boffo oskarżył Tarcisio Bertonego o to, że wspierał aferę w poufnych listach do Georga Gänsweina, które dziś są już znane. Ale ponieważ książka nie porusza otwarcie kwestii homoseksualizmu, pozostaje niezrozumiała dla osób niezorientowanych w tej sprawie.

Podobno w końcu Boffo znalazł się w kleszczach wzajemnie się zwalczających makiawelicznych układów i padł ofiarą serii donosów. Informacja o jego domniemanym homoseksualizmie została ujawniona przez prasę klanu Berlusconich za pośrednictwem Watykanu – być może pracowników sekretarza stanu Tarcisio Bertonego, żandarmerii watykańskiej albo redaktora naczelnego „L'Osservatore Romano" Giovanniego Marię Viana. Wszystkie te rewelacje stanowczo zdementowała w lutym 2010 roku stolica apostolska, wydając specjalny komunikat, a CEI tym razem jej wtórowała.

Giovanni Maria Vian, z którym rozmawiałem pięciokrotnie i który udzielił mi zgody na nagrywanie – przyjaciel Bertonego i wróg zarówno Ruiniego, jak i Boffa – stanowczo zaprzeczył, jakoby to on

był wtyką w tej sprawie, ale dostarczył mi ciekawych informacji pomocnych w jej zrozumieniu. Camillo Ruini, którego pytałem o nią dwukrotnie, bronił tandemu Boffo – Dziwisz.

– W aferze Boffa chodziło o porachunki między kilkoma frakcjami gejów z CEI i Watykanu – potwierdza jeden z najlepszych znawców rzymskiego katolicyzmu, były doradca premiera w Pałacu Chigi.

Dochodzimy w ten sposób do kolejnej, dwunastej reguły Sodomy: *Za plotkami na temat homoseksualizmu któregoś kardynała czy duchownego często stoją zakamuflowani homoseksualiści, którzy w ten sposób atakują swoich liberalnych przeciwników.* To jedno z głównych narzędzi walki używanych w Watykanie przez jednych gejów przeciwko drugim.

DZIESIĘĆ LAT PO UPADKU pierwszej propozycji ustawy o związkach partnerskich, pod koniec roku 2015 roku, w parlamencie rozgrywa się druga odsłona batalii. Niektórzy wieszczą cyrk na miarę wydarzeń z roku 2007. Czasy się jednak zmieniły.

Nowy premier Matteo Renzi, który przed dziesięciu laty sprzeciwiał się projektowi do tego stopnia, że brał udział w protestach ulicznych, także zmienił zdanie. W roku 2014, na początku swojej kadencji, obiecuje nawet ustawę o związkach partnerskich. Z przekonania? Z wyrachowania? Z oportunizmu? Z pewnością ze wszystkich tych powodów jednocześnie, ale przede wszystkim po to, by zaspokoić lewe skrzydło Partii Demokratycznej oraz popierającą go większość – hybrydowy konglomerat złożony z byłych komunistów, klasycznej lewicy oraz liberałów dawnej Chrześcijańskiej Demokracji. Jeden z centroprawicowych ministrów Matteo Renziego Maurizio Lupi sympatyzuje natomiast z konserwatywnym katolickim ruchem Comunione & Liberazione.

Opis tej nowej walki opieram na rozmowach, które przeprowadziłem z licznymi włoskimi posłami i senatorami oraz z piątką spośród głównych doradców Matteo Renziego: Filippo Sensim, Benedetto Zacchirolim, Francesco Nicodemem, Robertą Maggio i Alessio De Giorgim.

Matteo Renzi traktuje sprawę związków partnerskich z należytą powagą. To drażliwy temat, który zaburza gładkie funkcjonowanie jego rządu. Projekt ustawy, którego premier nawet osobiście nie złożył, ale który gotów jest poprzeć, jeśli parlament porozumie się w sprawie jego brzmienia, może sprawić, że popierająca Renziego większość się rozpadnie.

W 2014 roku Włochy wciąż są jednym z nielicznych państw zachodnich pozbawionych ustawy chroniącej „coppie di fatto", czyli heteroseksualne i nieheteroseksualne pary żyjące ze sobą bez ślubu. Kraj jest w wyśmiewanym przez wszystkich i regularnie oskarżanym przez Europejski Trybunał Praw Człowieka ogonie Europy Zachodniej. Ustawy domaga się od parlamentu Trybunał Konstytucyjny w samych Włoszech. Matteo Renzi umieszcza ten temat w swoim „tysiącdniowym planie", obiecując tekst na wrzesień 2014 roku. A potem o swojej obietnicy zapomina.

W terenie narasta jednak presja. Burmistrz Rzymu Ignazio Marino wkrótce legalizuje szesnaście małżeństw homoseksualnych zawartych za granicą, które rejestruje w urzędzie stanu cywilnego, wzbudzając tym żywą debatę wśród parlamentarnej większości. Burmistrzowie Mediolanu, Turynu, Bolonii, Florencji, Neapolu i piętnaścioro innych idą w jego ślady. W nadziei, że uda mu się powstrzymać ten trend, Angelino Alfano, minister spraw wewnętrznych w gabinecie Renziego (członek Nowej Centroprawicy), oświadcza, że związki te są nielegalne i nie mają skutków prawnych. Z ironią stwierdza, że burmistrzowie po prostu dali tym gejowskim parom swój

autograf.

W Bolonii, do której udaję się w 2014 roku, atmosfera jest gęsta. Burmistrz tego miasta Virginio Merola właśnie odpowiedział ministrowi spraw wewnętrznych: „Io non obbedisco” (Nie będę posłuszny). A na Twitterze ogłasza: „Bolonia w czołówce obrońców praw obywatelskich!”. Wyjątkowo dobrze zorganizowana społeczność gejowska staje murem za swoim burmistrzem.

Przewodniczący stowarzyszenia Arcigay Mirko Antonio Pace, z którym spotykam się w Palermo, opowiada mi o bezprecedensowej mobilizacji w regionie Sycylia, powszechnie uznawanym za konserwatywny w sprawie obyczajów.

– W prawyborach Matteo Renzi był w sprawie praw osób LGBT najbardziej powściągliwy ze wszystkich kandydatów. Stanowczo przeciwstawiał się małżeństwom. Ale wygląda na to, że teraz, w odróżnieniu od poprzednich premierów, chciałby coś zrobić – mówi.

Na wiosnę 2015 roku, kiedy spotykam się z włoskimi aktywistami gejowskimi w Neapolu, Florencji i Rzymie, mam wrażenie, że ruch gejowski to prawdziwy kocioł, który za chwilę eksploduje. Działacze wszędzie się gromadzą, manifestują i mobilizują.

– Włochy stopniowo się zmieniają. Od momentu referendum w Irlandii coś się dzieje. Nasz kraj nie funkcjonuje w izolacji: jest zmuszany, dopingowany do zmian. Czym można usprawiedliwić to, że we Włoszech nie ma żadnej ustawy na rzecz związków homoseksualnych? Wszyscy zdają sobie sprawę, że tego nie można więcej usprawiedliwiać! Jeśli się chce zmiany, trzeba w nią wierzyć! – wyjaśnia mi Gianluca Grimaldi, dziennikarz, którego spotkałem w Neapolu w marcu 2015 roku.

Premiera martwią jeszcze sprawy terminów. Wyznaje swojej ekipie, że niepokoi go ryzyko utraty głosów katolików.

Na październik 2015 roku papież zwołał bowiem w Watykanie drugą część synodu na temat rodziny; przed tą datą nie można więc zacząć debaty na temat związków partnerskich. Zniecierpliwionych parlamentarzystów informuje, że będą musieli jeszcze zaczekać. Najbardziej niecierpliwi się główna autorka ustawy senator Monica Cirinnà.

Podczas naszej rozmowy wnikliwie podsumowuje wewnętrzne napięcia wywołane propozycją tego dokumentu:

– Wiedziałam, że to będzie trudna ustawa, która głęboko podzieli włoskich konserwatystów i postępowców. Ale linia podziału nigdy nie przebiegała między katolikami a niekatolikami. Takie myślenie oznaczałoby błąd w analizie. Sprawa skonfliktowała zarówno prawicę, jak i lewicę, ponieważ konserwatyści i postępowcy są w obu obozach.

Kościół, który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, prowadzi lobbing wśród członków parlamentu, także na lewicy. Stojący na czele Konferencji Episkopatu Włoch kardynał Bagnasco grozi też, że wyprowadzi na ulice biskupów oraz parlamentarzystów i znowu obali rząd.

– Wiedzieliśmy, że biskupi zmobilizowani przez znanego z ultrakonserwatywnych poglądów kardynała Bagnasco zamierzali użyć wszystkich kontaktów – zarówno w parlamencie, jak i poza nim – by zablokować tę ustawę – potwierdza Monica Cirinnà.

Matteo Renzi, niegdyś katolicki skaut, jest dobrze poinformowany na temat sytuacji w łonie Kościoła oraz osobistych motywacji niektórych dostojników. Półoficjalnie stosunkami z CEI i śledzeniem z bliska całej sprawy zajmuje się szef jego gabinetu Benedetto Zacchiroli, który w przeszłości był klerykiem i diakonem, a teraz pracuje w Pałacu Chigi – siedzibie prezydium włoskiej Rady Ministrów – i jest jawnym homoseksualistą. Konserwatywna

prawica wielokrotnie zresztą wytyka premierowi to, że osobą odpowiedzialną za relacje z katolikami jest gej.

Lewicowi parlamentarzyści odpowiadają ciosem na cios. Dzieje się tak na przykład w Neapolu i Bolonii. Otrzymałem dwie informacje z pierwszej ręki od osób, które brały udział w „negocjacjach”. Carlo Caffarra, arcybiskup Bolonii, którego homofobia jest wręcz legendarna, podczas „odwiedzin” w pełnej napięcia rozmowie miał zostać poinformowany, że krążą słuchy na temat jego podwójnego życia i homoseksualnego towarzystwa, więc jeśli podejmie działania przeciwko związkom partnerskim, aktywiści gejowscy mogą te pogłoski rozpowszechnić… Kardynał słucha ich w osłupieniu. W kolejnych tygodniach ten zakamuflowany gej po raz pierwszy opuszcza gardę i powściąga swój homofobiczny zapał.

Ponieważ Carlo Caffarra już nie żyje, rozmawiałem na ten temat z lokalnymi parlamentarzystami, z pewnym wysoko postawionym urzędnikiem policji, z członkami gabinetu premiera oraz z następcą Caffarry w Bolonii Matteo Zuppim.

Kolejny pakt zostaje zawarty z kardynałem Crescenzio Sepem w Neapolu. Ten były prefekt Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów znany jest z upodobania do zawoalowanej obmowy, drobnych przyjemności i koronkowych strojów. Jako człowiek Jana Pawła II wsławił się gwałtownymi atakami na Gay Pride w Neapolu – został biskupem tego miasta w 2006 roku. Gdy toczy się debata o związkach partnerskich, działacze homoseksualni nawiązują z nim kontakt i dyskretnie proszą o złagodzenie stylu wypowiedzi. Crescenzio Sepe, którego reputacja osłabła już wskutek pogłosek na temat jego zarządzania majątkiem i afer towarzyskich (o których można było się dowiedzieć z mediów i książek), tym razem okazuje się mniej zasadniczy. Wielki przeciwnik gejów z roku 2007 w 2016 przyjmuje postawę niemal progejowską. Być może z obawy przed

skandalem posuwa się wręcz do sprezentowania gejowskim aktywistom zaproszeń na spotkanie z papieżem! (Mimo licznych próśb jego eminencja Sepe nie zechciał mnie przyjąć. Moje informacje potwierdziło jednak dwóch gejowskich aktywistów, neapolitański dziennikarz i dyplomata będący na placówce w Neapolu).

Na tym etapie debaty Matteo Renzi nie zamierza porzucić swojego projektu ustawy, czym zadowoliłby biskupów, którzy, jak już mówiłem, trochę za bardzo lubią koronki, ale nie chce też sprzeciwić się Kościołowi. Pod koniec 2015 roku postanawia więc zawrzeć pakt z umiarkowanym skrzydłem CEI, w której – podobnie jak w konflikcie izraelsko-palestyńskim – są teraz „sokoły” i „gołębie”. Jeszcze wczoraj, za Jana Pawła II i Benedykta XVI, CEI była niczym breżniewowski monolit, a dziś, za Franciszka, papieża w stylu Gorbaczowa, stała się miejscem dyskusji i działania klanów. Porozumienie okazuje się możliwe.

Dialog toczy się na najwyższym szczeblu – z Nunzio Galantinem, nowym sekretarzem CEI, życzliwym i blisko związanym z Franciszkiem. Według posiadanych przeze mnie informacji nigdy nie chodziło o szantaż, choć możliwe, że duchowny spanikował na myśl o wyoutowaniu we włoskiej prasie gromadki kardynałów. Zmobilizowani i wspierani przez Pałac Chigi parlamentarzyści przedstawiają „gołębiom” z CEI prostą alternatywę, posługując się klasyczną dialektyką umiarkowanej lewicy, która aby przepchnąć swoje reformy, grozi i straszy widmem ekstremizmu. Sprawę stawiają jasno: albo zostaje obecny rząd i związki partnerskie bez prawa do adopcji, albo wkrótce nastaną gejowskie małżeństwa z możliwością adopcji i rządy skrajnej lewicy, a prawami gejów zajmą się gejowscy aktywiści i sąd najwyższy. Wybierajcie.

Oprócz tych spotkań liderów większości politycznej z CEI

odbywały się – mogę to w tym miejscu ujawnić – poufne spotkania Matteo Renziego z samym papieżem Franciszkiem, podczas których rozmówcy mieli szczerze i długo omawiać sprawę związków partnerskich. Tradycyjnie włoscy premierzy zawsze konsultowali się „ponad Tybrem" – jak głosi znane sformułowanie oznaczające, że nieformalnie pytali o zdanie Watykanu. Tym razem jednak Matteo Renzi osobiście spotyka się z papieżem, by omówić problem. Franciszek i premier widywali się w najgłębszej tajemnicy, w cztery oczy, bez doradców (co najmniej dwukrotnie, co potwierdził jeden z głównych doradców Matteo Renziego).

Nie wiadomo, jaki dokładnie był przebieg tych rozmów. Trzy rzeczy są jednak pewne: w pierwszych latach XXI wieku, jeszcze w Argentynie, papież wykazywał życzliwość wobec związków partnerskich, ale sprzeciwiał się małżeństwom homoseksualnym – wydaje się więc, że ewentualne porozumienie w tej sprawie z Matteo Renzim było możliwe. Po drugie, Franciszek nie protestował przeciwko związkom partnerskim w latach 2015-2016 i nie włącza się w debatę polityczną we Włoszech. Milczy, a jak wiadomo, milczenie jezuitów to także zajęcie stanowiska! A przede wszystkim – inaczej, niż było w roku 2007 – w 2016 Konferencja Episkopatu Włoch tak naprawdę nie podejmuje kampanii potępiającej związki partnerskie. Słyszałem, że papież miał poprosić wiernego sobie biskupa Nunzio Galantina, którego umieścił w kierownictwie CEI, o powściągliwość w tej sprawie.

Otoczenie premiera zorientowało się, że Kościół może zająć pozycję nominalistyczną – by użyć zabawnego terminu odsyłającego do tajemniczej historii z udziałem awiniońskich papieży, braci franciszkanów i ich nowicjuszy przedstawionej w *Imieniu róży* Umberto Eco.

– CEI stała się nominalistyczna. Rozumiem przez to, że była

gotowa udzielić nam milczącego przyzwolenia, pod warunkiem że będziemy się trzymać z dala od słowa „małżeństwo” i od sakramentów – wyznaje inny doradca Renziego.

Pałac Chigi z uwagą przygląda się wewnętrznej bitwie, która rozgorzała w CEI w wyniku tego porozumienia, i z rozbawieniem śledzi ostre starcia między frakcjami hetero, niehetero i homoseksualistów ukrytych w szafie! Przekazane przez Nunzio Galantina zalecenie papieża, który zdaje się sugerować przyzwolenie dla związków partnerskich, wywołuje żywą reakcję w konserwatywnym skrzydle CEI. Franciszek zaraz po swoim wyborze umieścił Galantina na stanowisku sekretarza generalnego, ale jego człowiek nie ma całej władzy. W latach 2014-2016 przewodniczącym jest wciąż kardynał Angelo Bagnasco, nawet jeśli jego dni są policzone (papież zdymisjonuje go w roku 2017).

– W 2016 roku zmobilizowaliśmy się przeciwko propozycji ustawy dokładnie tak samo jak w 2007 – powtarza z naciskiem Bagnasco podczas naszego spotkania.

Kardynał Bagnasco, zwolennik katolicyzmu walczącego, zmobilizował wszystkie swoje kontakty w prasie, parlamencie i oczywiście wśród włoskich biskupów. I tak dziennik „Avvenire”, chętnie podżegający w tej sprawie, zamieszcza liczne teksty potępiające związki partnerskie. A w lipcu 2015 roku do wszystkich członków parlamentu zostaje wysłany długi list, który ma ich „przywołać do rozsądku”. Bagnasco działa na wszystkich frontach, jak w pamiętnych chwilach roku 2007.

Duch czasów nie jest już jednak taki sam. W przeciwieństwie do „Family Day” zorganizowanego w lutym 2007, kiedy to przeciwko pierwszej propozycji ustawy o związkach partnerskich zmobilizowało się ponad 500 stowarzyszeń, analogiczna impreza w czerwcu 2015 nie wzbudza już takiego entuzjazmu.

– Tym razem to była klapa na całej linii – mówi Monica Cirinnà.

Płomień słabnie. Przeważyła linia Franciszka, decydujący okazał się argument o związkach partnerskich jako zaporze przed małżeństwami homoseksualnymi. Nie wspominając już o tym, że przeciwstawianie się papieżowi, w którego gestii jest mianowanie kardynałów i biskupów, to sabotowanie własnej przyszłości. Za Jana Pawła II i Benedykta XVI homofobia była warunkiem konsekracji; za Franciszka rygoryści prowadzący podwójne życie nie chodzą już w blasku świętości.

– Bagnasco był już u schyłku swojej kariery. Był bardzo osłabiony i nie wspierał go ani papież, ani kuria. Sam rozumiał, że jeśli będzie szalał i za bardzo się burzył przeciwko projektowi ustawy, tylko przyśpieszy swój upadek – wyjawia doradca Matteo Renziego.

– Parafie się nie zmobilizowały – stwierdza z żalem w głosie pewien konserwatywny kardynał.

Ostateczne stanowisko, jakie zajęła Konferencja Episkopatu Włoch, można streścić słowami: „przegrać bitwę, by wygrać wojnę". CEI potwierdza sprzeciw wobec projektu ustawy, ale w przeciwieństwie do roku 2007 powściąga zapał swoich żołnierzy. „Sokoły" z 2007 roku w 2016 stają się „gołębiami". Nie ustępuje jednak w kwestii adopcji. Prowadzi nawet ukryty lobbing w sprawie wycofania tego prawa dla osób homoseksualnych z projektu ustawy (prawdopodobnie taka jest również linia papieża).

W tej batalii, kolejnej już, CEI znajduje nieoczekiwanego sprzymierzeńca – Ruch Pięciu Gwiazd Beppe Grilla. Jak donoszą włoska prasa oraz moje własne źródła, ta populistyczna partia, która ma w swoim kierownictwie kilkoro nieujawnionych homoseksualistów, miała wynegocjować z Watykanem makiaweliczny pakt: wstrzymanie się jej członków podczas głosowania w sprawie adopcji w zamian za wsparcie Kościoła dla jej

kandydatki w wyborach na burmistrza Rzymu (w czerwcu 2016 roku Virginie Raggi rzeczywiście obejmuje to stanowisko). W tym celu miało się odbyć kilka spotkań – jedno w Watykanie – z udziałem trzech osób z kierownictwa Ruchu Pięciu Gwiazd oraz kardynała Becciu, papieskiego „ministra spraw wewnętrznych”, oraz arcybiskupa Fisichelli, który miał rozległe wpływy w Konferencji Episkopatu Włoch. (Wiadomość o tych spotkaniach upubliczniła „La Stampa”, a potwierdził ją mój informator w CEI; mogą one wskazywać na niejaką ambiwalencję w postawie papieża Franciszka. Arcybiskup Fisichella podczas naszej rozmowy zaprzeczył, jakoby brał udział w tego rodzaju spotkaniach).

Trwożliwość Matteo Renziego oraz poufna umowa z Ruchem Pięciu Gwiazd owocują nowym kompromisem: prawo do adopcji zostaje wycofane z projektu ustawy. Dzięki temu ważnemu porozumieniu dyskusja ucicha. Zamiast pięciu tysięcy opozycja przedstawia kilkaset poprawek i ustawa zwana od nazwiska swojej twórczyni „ustawą Cirinny” tym razem zostaje przyjęta.

– Ta ustawa naprawdę zmieniła włoskie społeczeństwo. Z okazji pierwszych zawartych związków odbywały się przyjęcia organizowane nieraz przez samych burmistrzów, którzy spraszali ludzi, by przyszli pogratulować parom. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy po przyjęciu ustawy we Włoszech zawarto ponad trzy tysiące związków partnerskich – mówi Monica Cirinnà, senatorka Partii Demokratycznej, która za sprawą swojej walki stała się jedną z ikon włoskiej społeczności gejowskiej.

PAPIEŻ FRANCISZEK przeprowadził więc w CEI gruntowne porządki. Najpierw ze swoistą jezuicką przewrotnością polecił kardynałowi Bagnascowi, aby to on rozwiązał sprawę nadużyć w zakresie finansów i władzy w łonie Konferencji Episkopatu Włoch. Ojciec święty nie chce już, by włoski Kościół był „autoreferencyjny”

(w ten zaszyfrowany sposób Franciszek mówi o „praktykujących”), oparty na lokalnych potentatach, klerykalizmie i karierowiczowskim korporacjonizmie. We wszystkich dużych włoskich miastach, gdziekolwiek się spojrzy, na czele głównych archidiecezji znajduje się sporo homofilów i zakamuflowanych gejów. W CEI jest więcej „praktykujących” niż w radzie miasta San Francisco!

Papież prosi, by Bagnasco przede wszystkim podjął radykalne kroki w sprawie nadużyć seksualnych, podczas gdy CEI z zasady zawsze odmawiała ujawniania policji i sądom podejrzanych księży. W tej sprawie jednak papież nie miał pojęcia, jaka jest rzeczywistość. Dzięki ujawnieniu wewnętrznego dokumentu z 2014 roku wiemy, że CEI pod rządami Ruiniego i Bagnasca zorganizowała prawdziwy system ochronny, zwalniając biskupów z obowiązku przekazywania posiadanych informacji sądom, a nawet odmawiając wysłuchania ofiar. W latach dziewięćdziesiątych i w pierwszej dekadzie XXI wieku we Włoszech odnotowano wiele przypadków wykorzystania seksualnego, ale CEI za każdym razem umniejszała ich wagę. (Symptomatyczny jest przypadek Alessandro Maggioliniego, byłego biskupa Como – kiedy ten zaciekły homofob i kryptogej był oskarżany o chronienie księdza pedofila, CEI udzielała mu wsparcia).

Papież najpierw zatem każe Bagnascowi wykonać brudną robotę i narzuca mu asystenta, którego ten sobie nie życzy (biskupa Nunzio Galantina), a potem wręcza kardynałowi dymisję.

– To klasyczna taktyka jezuicka. Franciszek powołuje na zastępcę Galantina, który zaczyna podejmować za swojego szefa Bagnasca wszystkie decyzje. Aż pewnego dnia zajmuje jego miejsce, zarzucając mu brak decyzyjności i bezużyteczność – wyjaśnia mi pewna francuska watykanistka, która zna stolicę apostolską na wylot. I dodaje: – Tej samej makiawelicznej techniki papież użył w przypadku kardynała Saraha, kardynała Müllera, Burke’a i Pella!

Stosunki stają się nieco napięte, kiedy Bagnasco, być może zrozumiawszy, że wpadł w pułapkę, wchodzi w spór z papieżem, który zaproponował sprzedaż włoskich kościołów, by pomóc ubogim. „To jakiś żart" – awanturuje się kardynał.

Pierwszy raz Franciszek karze go wykluczeniem z ważnego posiedzenia plenarnego Kongregacji do spraw Biskupów, która odgrywa kluczową rolę w nominacji kościelnych dostojników. Na jego miejsce wbrew wszelkim obowiązującym obyczajom powołuje człowieka numer dwa w CEI. Ponieważ kardynał w dalszym ciągu odwleka reformy, umniejsza problem nadużyć seksualnych i obmawia papieża za jego plecami, Franciszek czeka na stosowny moment. Gdy mandat Bagnasca wygasa, papież obsadza stanowisko, nie dając mu nawet szans na kandydowanie. I tak w roku 2017 przewodniczącym CEI zostaje Gualtiero Bassetti, bergogliański biskup raczej przychylny homoseksualnym związkom jednopłciowym, który trzy lata wcześniej otrzymał z rąk Franciszka kapelusz kardynalski (jako jeden z nielicznych Włochów podczas tego pontyfikatu).

Niedługo później spadają kolejne głowy. Wpływowy intrygant w CEI, należący do kurii arcybiskup Rino Fisichella, który spodziewał się nominacji kardynalskiej, znika z listy potencjalnych kandydatów. Angelo Scola, potężny kardynał, arcybiskup Mediolanu i mentor konserwatywnego ruchu Comunione & Liberazione, również zostaje przez Franciszka odesłany na emeryturę; przedstawiciel skrzydła ratzingerowskiego ponosi w ten sposób karę za swoje uwikłanie w politykę, cyniczne przymierze z Berlusconim i milczenie w sprawie nadużyć seksualnych księży.

Franciszek utrąca też prowadzony w ramach włoskiego episkopatu Progetto Culturale, strukturę tyleż homofilną, ile homofobiczną, odsuwając od obowiązków Vittorio Sozziego i marginalizując Dino

Boffa.

Linia postępowania Franciszka jest klarowna. Papież chce przywrócić normalność Konferencji Episkopatu Włoch i ograniczyć jej działanie do określonych ram. „Ostatecznie reprezentujecie jedynie Włochy” – mówi do włoskich biskupów.

Przez wiele lat w Watykanie pozbawianie urzędów odbywało się w myśl eufemistycznej reguły *promoveatur ut amoveatur*, czyli degradacji przez awans. Dostojnikowi powierzało się nową funkcję, by pozbawić go tej, z której chciało się go zdjąć. Franciszek zrezygnował z białych rękawiczek. Zwalnia bez uprzedzenia i nie dba o nowe miejsce lądowania.

– Franciszek jest naprawdę perfidnym spryciarzem. Na ordynariusza pewnego włoskiego miasta potrafił powołać biskupa, który zasłynął walką z prostytucją, w miejsce duchownego znanego z namiętności do męskich prostytutek – mówi pewien arcybiskup.

Jeden z księży z kurii, z grona najlepiej poinformowanych, dzieli się ze mną obserwacją, którą podziela wielu dostojników i bliskich współpracowników papieża:

– Myślę, że Franciszek, który choć nie jest naiwny i wiedział, czego się spodziewać, był oszołomiony rozmiarem homoseksualizacji włoskiego episkopatu. Jeśli z początku wyobrażał sobie, że zdoła oczyścić Watykan i CEI z kardynałów, biskupów i prałatów homofilów, to dziś okazuje się, że musi z nimi współpracować. Z braku heteroseksualnych kandydatów został zmuszony, by się otoczyć kardynałami, o których doskonale wie, że są gejami. Nie ma już złudzeń, że może zmienić układ sił. Chce tylko „powstrzymać” to zjawisko. To, co stara się robić, to polityka „powstrzymywania”.

Jakkolwiek by było – postęp.

19.

Klerycy

DANIELE OD KILKU MIESIĘCY prowadzi śledztwo dotyczące rzymskich seminariów i uniwersytetów. Z biegiem lat zdołaliśmy wspólnie znaleźć informatorów, którzy mogą nam pomóc w sprawie każdego z „wielkich" seminariów czy kolegiów. Mamy już kontakty w blisko dwunastu uczelniach papieskich: na Dominikańskim Uniwersytecie św. Tomasza z Akwinu (zwanym Angelicum), na Uniwersytecie Urbaniana, na Uniwersytecie Laterańskim, w PNAC (kolegium amerykańskie), na jezuickiej Gregorianie, w Kolegium Etiopskim, w Seminarium Francuskim i niemieckim Germanicum, w benedyktyńskim Instytucie Liturgicznym San Anselmo, na Uniwersytecie Świętego Krzyża (Opus Dei), a nawet w Ateneum Papieskim Regina Apostolorum prowadzonym przez Legionistów Chrystusa.

Dzięki tym kontaktom udało nam się dotrzeć do ponad pięćdziesięciu kleryków gejów w Rzymie i – drogą naczyń połączonych – kilkudziesięciu innych za granicą, a konkretnie we Francji, w Hiszpanii, Szwajcarii i Ameryce Łacińskiej. Zbierałem więc informacje u samych źródeł „problemu" homoseksualizmu w Kościele: w księżowskiej Alma Mater.

Dwóch pierwszych kleryków przedstawił mi w Rzymie Mauro Angelozzi, jeden z szefów stowarzyszenia LGBT Mario Mieli. Rozmawialiśmy całkowicie poufnie w siedzibie centrum kulturalnego prowadzonego przez stowarzyszenie. Spotkałem się z nimi ponownie i dzięki nim mogłem rozszerzyć sieć kontaktów. Pewnego wieczoru,

gdy byłem w towarzystwie Mauro, który co piątek urządza w Rzymie słynne gejowskie imprezy Muccassassina („wściekła krowa” lub dosłownie „krowa morderczyni”), przedstawił mi on jednego ze swoich kolegów również pracującego przy organizacji imprez. Kończąc prezentację, Mauro dodał: „On też jest klerykiem!”.

– ZMIENIŁEM SIĘ, PRAWDA? – zagaduje mnie kelner w Trattoria Monti, jednej z moich ulubionych restauracji w Rzymie, niedaleko kościoła Santa Maria Maggiore. – Jak pan widzi, nie jestem już taki młody! – dodaje mężczyzna, który pozował do słynnego kalendarza ze zdjęciami pięknych kleryków.

Od wielu miesięcy intrygował mnie kalendarz, który sprzedawano na ulicach Rzymu – nawet pod samymi bramami Watykanu – za 10 euro. Co roku pozuje do niego dwunastu kleryków i młodych księży. Czarno-białe zdjęcia przystojnych chłopców w koloratkach są w naturalny sposób prowokujące, a niektórzy uwiecznieni na nich modele są tak seksowni, że mogłoby się wydawać, iż Kościół ma obsadę na miarę serialu *Glee*. Podobno niektórzy kardynałowie zaopatrują się w ten kalendarz co roku, jednak osobiście nie widziałem go w żadnym z watykańskich gabinetów.

I teraz odkrywam tajemnicę. Kelner, którego mam przed sobą, rzeczywiście pozował do słynnego *Calendario Romano*. Jest gejem, to nie ulega wątpliwości. Ale nigdy nie był klerykiem!

Piękny sen się rozwiewa. Robert Mickens, watykanista, z którym jem kolację w Trattoria Monti i który prowadził już śledztwo w sprawie owego tajemniczego kalendarza, potwierdza, że w rzeczywistości ten kalendarz to szwindel. Chłopcy, którzy pozują przed obiektywem weneckiego fotografa Piero Pazziego, jakkolwiek apetyczni, nie są ani klerykami, ani młodymi księżmi, ale modelami wyselekcjonowanymi na potrzeby tego interesu przez progejowską agencję. I to działa! Od 2003 roku regularnie publikowane jest nowe

wydanie, często z tymi samymi zdjęciami. Podobno sprzedało się już 100 tysięcy egzemplarzy (tak podaje wydawca, liczba niemożliwa do sprawdzenia).

Jeden z modeli jest menedżerem gejowskiego baru. Inny to kelner, z którym właśnie rozmawiam.

– Nie, nie jestem klerykiem. I nigdy nie byłem – mówi. – Pozowałem dawno temu. Dostałem honorarium.

I – przynajmniej on – nigdy nie marzył, by zostać księdzem.

– Kościół jest dla mnie stanowczo za bardzo homofobiczny – stwierdza, wybuchając śmiechem.

Fałszywy trop. Aby szukać informacji na temat rzymskich kleryków gejów, należało pójść inną drogą.

W 2005 roku papież zatwierdza ważną instrukcję wydaną przez Kongregację do spraw Wychowania Katolickiego. Tekst zabrania wyświęcania na kapłanów kandydatów o „głęboko zakorzenionych tendencjach homoseksualnych" i w roku 2016 zostaje promulgowany przez Kongregację do spraw Duchowieństwa. Aby zostać wyświęconym na księdza, trzeba najpierw uporządkować swoje życie uczuciowe.

Kościół przypomina o obowiązku abstynencji seksualnej i zastrzega, że do kapłaństwa nie mają dostępu ci, „którzy praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tak zwaną kulturę gejowską". Dokument roztropnie czyni wyjątek dla osób przejawiających „tendencje homoseksualne, które są jedynie wyrazem *przejściowego* problemu, takiego jak na przykład niezakończony jeszcze proces dorastania". Wreszcie przypomina, że „byłoby wielce nierozważne dopuszczenie do sakramentu święceń seminarzysty, który nie osiągnął pogodnej i wolnej dojrzałości uczuciowej, wiernej czystości celibatu"[56].

Zainspirowany i zatwierdzony przez Benedykta XVI tekst z 2005 roku został zredagowany przez polskiego kardynała Zenona Grocholewskiego, prefekta Kongregacji do spraw Wychowania Katolickiego. Ten ostatni – jakby zaniepokojony własnym losem – podkreśla w liście skierowanym do biskupów na całym świecie (zdobyłem go), że zasada dotyczy jedynie przyszłych księży: „Instrukcja nie kwestionuje ważności święceń i sytuacji kapłanów już wyświęconych, którzy mają tendencje homoseksualne".

Grocholewski dobrze zna temat – nie tylko dlatego, że nosi imię biseksualnego bohatera powieści Marguerite Yourcenar *Kamień filozoficzny*. Jego współpracownicy uprzedzili go, że podważenie ważności święceń księży gejów spowodowałoby tak wielkie straty w ludziach, że Kościół prawdopodobnie by się już nie podniósł. W Rzymie nie ostałby się prawie żaden kardynał, niewielu zostałoby w kurii, a możliwe, że nie przetrwałby sam papież! Były włoski poseł i aktywista gejowski Franco Grillini często powtarzał: „Gdyby Kościół katolicki mieli za jednym zamachem opuścić wszyscy geje – czego bardzo byśmy sobie życzyli – spowodowałoby to poważne problemy operacyjne".

Polski biskup ze względu na osobisty atawizm oraz zawodową obsesję bardzo się interesował życiem seksualnym księży i biskupów w Watykanie. Według dwóch moich informatorów – w tym pewnego księdza, który z nim pracował – Grocholewski miał nawet stworzyć specjalną dokumentację opisującą skłonności kilkunastu księży i biskupów. Jeden z nich, członek stworzonego wokół Jana Pawła II słynnego kręgu korupcyjnego, w którym ramię w ramię szły ze sobą malwersacje finansowe i prostytucja na niemal przemysłową skalę, wciąż czeka na kapelusz kardynalski!

Niezależnie od precyzyjnych zaleceń kardynała Ratzingera i własnych skłonności z uwagi na dramatyczną sytuację

Grocholewski ma napisać instrukcję, która zażegna zło. Homoseksualizm w seminariach jest dosłownie „poza kontrolą”. Na całym świecie skandal goni skandal i zewsząd napływają informacje o nadużyciach. To jednak nic w porównaniu z inną, jeszcze straszniejszą rzeczywistością: dokumenty, które spływają z nuncjatur i arcybiskupstw, świadczą o prawdziwym lekceważeniu problemu homoseksualizmu. Wśród kleryków niemal normą stało się mieszkanie w parach, w placówkach katolickich odbywają się akcje pro-LGBT, a wychodzenie wieczorem do gejowskich barów jest praktyką jeśli nie codzienną, to w każdym razie spotykaną.

W roku 2005 w trakcie pisania dokumentu Grocholewski otrzymuje na przykład prośbę o pomoc ze Stanów Zjednoczonych w związku z homoseksualizacją seminariów. Niektóre z nich podobno są „niemal wyspecjalizowane w rekrutacji osób homoseksualnych, a nawet dobierają kandydatów o konkretnym profilu”. W tym samym czasie z identycznym zjawiskiem mamy do czynienia w Austrii. Tamtejsze seminarium w Sankt Pölten to jego modelowy przykład: na zdjęciach publikowanych przez prasę widać, jak rektor i wicerektor seminarium całują się z klerykami (po ujawnieniu afery seminarium zostało zamknięte).

– To był w Watykanie wielki skandal – potwierdza były ksiądz Francesco Lepore. – Te zdjęcia wywołały szok. Ale to skrajna sytuacja, w żadnym razie nie powszechne zjawisko. Zaangażowanie samego rektora w te wybryki to wedle mojej wiedzy jedyny taki przypadek. Ale faktem jest, że większość studentów seminariów stanowią geje. Klerycy przeżywają swój homoseksualizm dość swobodnie i bez większych problemów wychodzą dyskretnie do gejowskich klubów.

W związku z tą sprawą amerykański episkopat zarządza „wizytacje” w 56 seminariach. Przeprowadzenie inspekcji zostaje powierzone arcybiskupowi wojskowemu Edwinowi O’Brienowi. W dobrze

poinformowanych kręgach wybór ten wzbudza wesołość. Przyszły kardynał, dziś przebywający na wygnaniu w Rzymie, nie jest najlepszym kandydatem na detektywa w tym śledztwie, które, rzecz jasna, niczego nie wykazuje (amerykańskie stowarzyszenie SNAP zarzuciło mu lekceważenie przypadków popełniania nadużyć seksualnych przez księży, a kardynał Viganò w swoim *Świadectwie* wytyka mu przynależność do „nurtu prohomoseksualnego”).

Inny dobrze Grocholewskiemu znany symptomatyczny przypadek dotyczy seminariów w jego ojczyźnie. Arcybiskup Poznania Juliusz Paetz został oskarżony o molestowanie seksualne kleryków i musiał podać się do dymisji. Głośne też były sprawy „nieuporządkowanych zachowań” w seminariach jezuickich w Niemczech, dominikańskich we Francji, benedyktyńskich we Włoszech i Wielkiej Brytanii. W Brazylii zaś kilkuset kleryków, księży, a nawet biskupów zostało sfilmowanych w trakcie wideoczatu z pewnym top modelem; niektórzy z nich masturbowali się nawet przed kamerką (w ten sposób powstał słynny dokument Denera Giovaniniego *Amores Santos*).

Wszystkie te afery, a także wiele innych mniej nagłośnionych, wobec których Kościół okazuje się całkowicie bezradny, zmuszają Watykan do podjęcia pewnych kroków. Jednak sami kardynałowie, z którymi rozmawiałem, przyznają, że w skuteczność owych kroków nikt nie wierzył, i to przynajmniej z trzech powodów. Po pierwsze, Kościół automatycznie straciłby powołania akurat wtedy, gdy odczuwa ich wielki deficyt, bo przecież homoseksualiści od kilkudziesięciu lat stanowili niezawodną bazę kandydatów do kapłaństwa. Można wręcz przypuszczać, że kryzys powołań w Europie ma po części związek właśnie z wyzwoleniem gejów, w wyniku którego homoseksualiści nie mają już motywacji do zostawania księżmi, zwłaszcza kiedy czują się coraz bardziej

wykluczeni przez karykaturalnie homofobiczny Kościół.

Drugi powód jest taki, że klerycy geje, którzy pozostali w strukturze religijnej, są zmuszani do tego, by jeszcze bardziej się ukrywać; będą prowadzić podwójne życie, jeszcze bardziej „zakamuflowani" niż dawniej. Psychologicznym skutkiem takiego wyparcia i uwewnętrznionej homofobii w seminariach jest oczywiście poważny zamęt, który w przyszłości może prowadzić do kryzysów egzystencjalnych, samobójstw i wynaturzeń. Zamiast powstrzymać problem, okólnik Grocholewskiego tylko go pogłębia.

Trzecia przyczyna jest natury prawnej: zakazanie dostępu do seminariów na podstawie domniemanej orientacji seksualnej niektórych kandydatów do kapłaństwa już było dyskryminacją, a teraz w wielu krajach jest nielegalne. Podobną propozycję (w grudniu 2018 roku), która zresztą od razu wzbudziła krytykę, wysunął też papież Franciszek: „Homoseksualizm jest kwestią bardzo poważną, którą od początku trzeba we właściwy sposób rozeznawać z kandydatami. To rzeczywistość, której nie można negować. Homoseksualizm mnie niepokoi"[57].

Jednego z inspiratorów tego tekstu już znamy. Jest nim Tony Antarella, francuski ksiądz psychoanalityk, konsultant papieskich rad do spraw rodziny i zdrowia, związany z kardynałem Ratzingerem teoretyk o znaczących w owym czasie wpływach w Rzymie. W 2005 roku Antarella oświadcza: „Należy porzucić pomysł, który polega na wierze, że jeżeli homoseksualista dotrzymuje swojego zobowiązania do powściągliwości i żyje w czystości, nie będzie stwarzał problemów i może zostać wyświęcony na kapłana". Antarella nalega więc, by z seminariów usunięto nie tylko czynnych homoseksualistów, ale także tych, którzy wykazują „skłonności" i tendencje, choć niekoniecznie je praktykują.

Według kilku źródeł Antarella nie tylko zainspirował

Grocholewskiego do napisania tekstu, ale też brał udział w jego redakcji; kardynał wielokrotnie się z Antarellą spotykał i konsultował. Osoby z otoczenia Grocholewskiego twierdzą, że był on pod wrażeniem argumentów kapłana psychoanalityka, który wskazywał na „narcystyczne cele” księży gejów oraz ich obsesję „uwodzenia”. Papież Benedykt XVI, przekonany badaniami Antarelli w sprawie czystości, miał go poprzeć jako wzór do naśladowania i katolickiego intelektualistę, którego należy słuchać. (Jak wiadomo, w następnych latach ksiądz Antarella został oskarżony przez kilku swoich pacjentów o nadużycia seksualne i ostatecznie ukarany przez Kościół odsunięciem od wszystkich funkcji kapłańskich).

W centrum kulturalnym Mario Mieli spotykam się z klerykami Ydierem i Axelem (imiona zostały zmienione).

– W seminarium jest nas około dwudziestu. Siódemka to w sposób oczywisty geje, a sześciu innych ma, nazwijmy to, skłonności. To się mniej więcej pokrywa ze statystykami, które mówią, że geje stanowią od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent studentów seminarium. Czasem ta liczba dochodzi do siedemdziesięciu pięciu procent – mówi Axel.

Ten młody człowiek chciałby się dostać do Roty Rzymskiej, jednego z trzech trybunałów stolicy apostolskiej – to główny powód, dla którego wstąpił do seminarium. Ydier natomiast chce zostać wykładowcą. Nosi biały krzyżyk przypięty do koszuli, ma bardzo jasne włosy. Gdy to zauważam, mówi:

– To fake blond! Są farbowane, jestem szatynem. W moim seminarium również panuje bardzo homoseksualna atmosfera – ciągnie. – Ale istnieją ważne niuanse. Są studenci, którzy naprawdę praktykują homoseksualizm, inni nie praktykują albo jeszcze nie. Są homoseksualiści, którzy rzeczywiście żyją w czystości. Są i hetero, którzy praktykują homoseksualizm z braku kobiet, jakby

w zastępstwie. Są też tacy, którzy praktykują wyłącznie w tajemnicy, na zewnątrz. Bardzo specyficzny klimat.

Obaj klerycy wyrażają mniej więcej ten sam pogląd: uważają, że zasada celibatu oraz perspektywa życia w męskim gronie zachęcają chłopaków o nieokreślonych preferencjach seksualnych do wstępowania do katolickich seminariów. Znalazłszy się po raz pierwszy daleko od swojej miejscowość, bez rodziny, w ściśle męskim i mocno homoerotycznym otoczeniu, zaczynają rozumieć swoją wyjątkowość. Często nawet ci starsi w chwili przekroczenia progów seminarium są jeszcze prawiczkami. W kontakcie z innymi młodymi mężczyznami ich skłonności się budzą lub konkretyzują. Seminaria stają się więc dla przyszłych kapłanów środowiskiem sprzyjającym coming outom i rozpoczęciu praktyk seksualnych – prawdziwym rytuałem inicjacyjnym.

Drogę, którą przeszło wielu, dobrze podsumowuje historia amerykańskiego kleryka Roberta Mickensa:

– Jakie miałeś wyjście, jeśli mieszkając w amerykańskim mieście takim jak Toledo w stanie Ohio, skąd pochodzę, odkryłeś, że masz inną „wrażliwość”? Wstąpienie do seminarium było dla mnie sposobem na ułożenie się z moją homoseksualnością. Przeżywałem konflikt z samym sobą. Nie chciałem mierzyć się z tym tematem w Stanach. W 1986 roku wyjechałem do Rzymu i studiowałem w Pontifical North American College. Na trzecim roku, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, zakochałem się w pewnym chłopaku.

Mickens nie został księdzem; przez jedenaście lat pracował w Radiu Watykańskim, następnie w piśmie internetowym „The Tablet”, a dziś jest naczelnym międzynarodowego wydania „La Croix”. Mieszka w Rzymie, gdzie spotkaliśmy się kilka razy.

Inny kleryk, z którym rozmawiałem w Lizbonie, opowiada mi podobną historię. Odważył się na coming out przed rodzicami,

na co jego matka stwierdziła: „To przynajmniej będziemy mieć księdza w rodzinie” (wstąpił do seminarium).

Inny przykład: Lafcadio pochodzący z Ameryki Łacińskiej – obecnie kapłan około trzydziestki, który wykłada w jednym z rzymskich seminariów (imię zostało zmienione). Umówiliśmy się w restauracji Propaganda na spotkanie, po którym został kochankiem jednego z moich tłumaczy. Nie umiejąc dłużej ukrywać swojego homoseksualizmu, postanowił porozmawiać ze mną szczerze; w trakcie zbierania materiałów do tej książki spotkaliśmy się pięć razy. Lafcadio – tak jak wcześniej Ydier, Axel i Robert – opowiada mi o swojej drodze. Trudne dorastanie na prowincji w Ameryce Łacińskiej, bez świadomości własnej orientacji. Zdecydował się wstąpić do seminarium „z autentycznego powołania”, jak mówi, nawet jeśli oziębłość uczuciowa i bliżej nieokreślone przygnębienie mogły mieć w tej decyzji pewien udział. Stopniowo udało mu się nazwać przyczynę złego samopoczucia: homoseksualizm. A potem nastąpiło szczęśliwe zrządzenie losu – pewnego dnia w autobusie jakiś chłopak położył dłoń na jego udzie.

– Nagle ogarnął mnie paraliż. Nie wiedziałem, co robić. Kiedy tylko autobus się zatrzymał, uciekłem. Ale wieczorem ten niewiele znaczący gest mnie prześladował. Bez przerwy o tym myślałem i było to cholernie przyjemne. Miałem ochotę, żeby się powtórzyło – opowiada.

Stopniowo odkrywa i akceptuje swój homoseksualizm. Wyjeżdża do Włoch, jako że rzymskie seminaria to, jak mówi, „miejsce, do którego tradycyjnie wysyła się wrażliwych chłopców z Ameryki Łacińskiej”. W stolicy zaczyna prowadzić dobrze zorganizowane podwójne życie, nigdy nie pozwalając sobie na spędzanie nocy poza seminarium. Z biegiem czasu powierzono mu odpowiedzialne funkcje.

Ze mną jest „openly gay” i opowiada mi o swoich obsesjach oraz o intensywnych pragnieniach seksualnych. „Często jestem podniecony” – mówi. Tak wiele wieczorów spędzanych w przypadkowych łóżkach i zawsze to zobowiązanie, że na noc wróci do seminarium, przed ciszą nocną, choć jeszcze tyle można by zrobić!

Kiedy Lafcadio pogodził się ze swoją homoseksualnością, zaczął patrzeć na Kościół z innej perspektywy.

– Teraz lepiej odczytuję sygnały. Bardzo często jestem podrywany przez różnych duchownych, arcybiskupów i kardynałów w Watykanie. Wcześniej nie rozumiałem, czego ode mnie chcą. A teraz wiem! (Lafcadio został jednym z moich cennych informatorów, ponieważ jako młody i przystojny bywalec kurii rzymskiej był obiektem zalotów i powtarzających się prób flirtu ze strony wielu kardynałów, biskupów, a nawet pewnego „liturgy queen” z otoczenia papieża).

Jak wielu kleryków, z którymi rozmawiałem, Lafcadio opisuje inne zjawisko, które stało się w Kościele tak popularne, że nawet doczekało się swojej nazwy: „sollicitatio ad turpia” (podryw podczas spowiedzi). Klerycy narażają się na nie, gdy zwierzają się ze swojego homoseksualizmu spowiednikowi albo kierownikowi duchowemu.

– Część księży, u których się spowiadałem z moich wątpliwości albo pokus, podrywała mnie.

Często taki podryw kończy się niczym. Innym razem zaloty zostają przyjęte i nawiązuje się znajomość. Czasem powstają związki. Zdarza się, że podczas spowiedzi – a przecież mamy do czynienia z sakramentem – dochodzi do obmacywania, molestowania, szantażu lub przemocy seksualnej. Kiedy kleryk spowiada się ze swoich pokus czy skłonności, naraża się na ryzyko. Bywa też, że młody człowiek zostaje zadenuncjowany przez przełożonego, czego doświadczył były ksiądz Francesco Lepore na Uniwersytecie Papieskim Świętego

Krzyża:

– W trakcie spowiedzi opowiedziałem o moich konfliktach wewnętrznych pewnemu duszpasterzowi z Opus Dei. Byłem szczery i odrobinę naiwny. Nie wiedziałem, że mnie zdradzi i będzie o tym rozpowiadał.

Inni klerycy wpadli w jeszcze gorszą pułapkę: ich wyznań użyto przeciwko nim, by wyrzucić ich z seminarium, co jest niezgodne z prawem, ponieważ tajemnica spowiedzi jest absolutna i jej złamanie oznacza ekskomunikę.

– To kolejna sytuacja, w której Kościół stosuje podwójną miarę. Zgadza się na ujawnianie homoseksualistów, których wyznania zostały pozyskane na spowiedzi, ale zabrania złamania tajemnicy księżom, którzy dowiadują się o nadużyciach seksualnych, do których doszło podczas sakramentu pokuty – skarży się pewien kleryk.

Według wielu moich informatorów podryw w trakcie spowiedzi zdarza się szczególnie często podczas pierwszych miesięcy w seminarium, w trakcie roku „rozeznawania powołania", zwanego okresem propedeutycznym, a rzadziej na poziomie diakonatu. Klerycy odbywający formację w zakonach – dominikanie, franciszkanie, benedyktyni – opowiadali mi, że jako nowicjusze zostali poddani owemu „rytuałowi przejścia". Usprawiedliwienie dla owych zalotów – przyjętych bądź nie – stanowi przykład z *Księgi Hioba*: winnym jest ten, kto ulega pokusie, nie kusiciel. W ostatecznym rozrachunku w seminarium zawsze winien jest kleryk, nie zaś agresor, którym jest jego przełożony. Oznacza to kompletne odwrócenie wartości Dobra i Zła, o których Kościół wciąż przecież naucza.

ABY ZROZUMIEĆ KATOLICKI SYSTEM, którego seminaria są zaledwie przedsionkiem, trzeba odcyfrować kolejny kod Sodomy: kod przyjaźni, protekcji i protektorów. Większość kardynałów

i biskupów, z którymi rozmawiałem, mówiła mi o swoich „asystentach” czy „pomocnikach”, czytaj: „protegowanych”. Achille Silvestrini był protegowanym kardynała Agostino Casarolego; świecki dziennikarz Dino Boffo – Stanisława Dziwisza; Paolo Romeo i Giovanni Lajolo – kardynała Angelo Sodana; Gianpaolo Rizzotti – kardynała Re; Don Lech Piechota – kardynała Tarcisio Bertonego; Don Ermes Viale – kardynała Fernando Filoniego; ksiądz Graham Bell – arcybiskupa Rino Fisichelli; arcybiskup Jean-Louis Bruguès – kardynała Jeana-Louisa Taurana; nuncjusz Ettore Balestrero – kardynała Dominique’a Mambertiego, a następnie kardynała Crescenzio Sepego; ksiądz Fabrice Rivet – kardynała Giovanniego Angelo Becciu itd. Można by przytoczyć setki tego typu przykładów, w których na scenie pojawia się postać „anioła stróża”, „ulubieńca”, a czasem „grzesznego anioła”. Te „wyłączne przyjaźnie” mogą się przerodzić w relacje homoseksualne, ale najczęściej tak się nie dzieje. Najczęściej tworzą system dobrze zorganizowanych układów hierarchicznych, które mogą prowadzić do powstawania klanów, frakcji, a czasem klik. I jak w każdym żywym organizmie zdarzają się przewroty, zmiany stanowisk i zrywanie przymierzy. Czasem owe tandemy, w których obie strony „razem się nudzą”, stają się prawdziwymi przymierzami złoczyńców – oraz kluczem do zrozumienia jakiegoś skandalu finansowego lub choćby afery Vatileaks.

Schemat „protektor – protegowany”, który przypomina relacje panujące w niektórych plemionach aborygeńskich badanych przez Claude’a Lévi-Straussa, funkcjonuje na wszystkich poziomach Kościoła, od seminariów po kolegium kardynalskie, i sprawia, że w oczach profana, który nie czyta ukrytych kodów, nominacje w tej instytucji pozostają nieczytelne, a układy hierarchiczne – pogmatwane. By się zorientować w ich złożoności, potrzeba

by etnologa!

Pewien mnich benedyktyński, który w przeszłości należał do kierownictwa Uniwersytetu San'Anselmo w Rzymie, wyjaśnił mi niepisaną regułę:

– Ogólnie rzecz biorąc, w domu zakonnym można robić, co się chce, pod warunkiem że nikt tego nie odkryje. A nawet kiedy już człowiek zostanie przyłapany, przełożeni przymykają oko, zwłaszcza jeśli ich przekona, że jest gotów się poprawić. Warto wiedzieć, że na uniwersytecie papieskim, takim jak San'Anselmo, kadra nauczycielska sama jest w większości homoseksualna.

Już Rimbaud jako młody wizjoner opisywał z poziomu swoich piętnastu lat w tekście *Un coeur sous une soutane* (Serce pod sutanną) „życie intymne kleryków", ich pragnienia seksualne, które wychodziły na jaw, gdy tylko „przywdziali świętą suknię", ich serca pulsujące pod „kapotą seminarzysty", „nieroztropność" zdradzonego „wyznania", a być może także o nadużyciach ze strony ojca przełożonego, którego „oczy wyglądają spod tłuszczu". Później Poeta podsumuje problem w swoim stylu: „Byłam młoda […]. A Chrystus splamił czystość mojego westchnienia"[58].

„Konfesjonał to nie sala tortur" – powiedział papież Franciszek. Mógłby jeszcze dodać: „Nie powinien też być miejscem seksualnych nadużyć".

WIĘKSZOŚĆ KLERYKÓW pomogła mi zrozumieć coś, czego wcześniej nie pojmowałem, a co dobrze streścił pewien młody Niemiec spotkany przypadkowo na ulicach Rzymu:

– Nie nazwałbym tego podwójnym życiem. Podwójne życie to coś skrywanego, co się trzyma w tajemnicy. A mój homoseksualizm jest w seminarium sprawą znaną. Nie jest hałaśliwy, nie jest wojujący, ale jest znany. Nie wolno natomiast walczyć, obnosić się z nim. Ale dopóki człowiek zachowuje się dyskretnie, wszystko jest w porządku.

Zasada „Don’t ask, don’t tell” działa w pełni, jak wszędzie w Kościele. Praktyki homoseksualne są w seminariach tolerowane, pod warunkiem że nie są ostentacyjne. Ale biada temu, przez kogo przyjdzie zgorszenie!

– Jedyną rzeczą naprawdę potępianą jest bycie heteroseksualnym. Mieć dziewczynę, przyprowadzać dziewczynę oznacza natychmiastowe wydalenie. Czystość i celibat odnoszą się zasadniczo do związków z kobietami – dodaje niemiecki kleryk, uśmiechając się szeroko.

Swój punkt widzenia przedstawia mi też pewien były seminarzysta mieszkający w Zurychu:

– W gruncie rzeczy Kościół zawsze wolał księży gejów niż księży heteroseksualnych. Wydając antygejowskie okólniki, chce to trochę zmienić, ale rzeczywistości nie zmienia się okólnikami! Jak długo będzie obowiązywał celibat, tak długo ksiądz homo będzie w Kościele milej widziany niż ksiądz hetero. Taka jest rzeczywistość i Kościół nic na to nie może poradzić.

Klerycy, z którymi rozmawiałem, zgadzają się w jednej sprawie: heteroseksualista nie może się czuć w katolickim seminarium w pełni swobodnie z powodu – cytuję – „spojrzeń”, „wyłącznych przyjaźni”, „bromances”, „podrywu”, „wrażliwości”, „płynności seksualnej”, „czułości” i panującej „homoerotycznej atmosfery”. Heteroseksualista, który nie jest zaprawiony w boju, jest zdezorientowany.

– Wszystko jest homoerotyczne. Liturgia jest homoerotyczna, stroje są homoerotyczne, chłopcy są homoerotyczni, nie wspominając już o Michale Aniele! – zauważa były kleryk Robert Mickens.

Inny, dominikanin, używa argumentu, który słyszałem już wiele razy:

– Jezus nigdy nie wspomina o homoseksualizmie. Jeżeli to coś tak okropnego, dlaczego Jezus o tym nie mówi? – I dodaje po chwili

wahania: – Życie w seminarium przypomina trochę sytuację z *Blade Runnera*: nikt nie wie, kto jest człowiekiem, a kto replikantem. Hetero na ogół bardzo źle to znoszą. Nie zapominajmy, że wielu odchodzi! – mówi, jakby się zastanawiał nad własną przyszłością.

Do tej grupy należy dziennikarz Pasquale Quaranta. On także opowiada mi o swoim doświadczeniu życia w seminarium, które przeszło, jeśli można tak powiedzieć, z ojca na syna. Quaranta, dziś redaktor dziennika „La Repubblica”, był – obok wydawcy Carlo Feltrinellego oraz pewnego młodego włoskiego pisarza – człowiekiem, który przekonał mnie do napisania tej książki. W trakcie kilkudziesięciu kolacji i wieczornych spotkań w Rzymie, ale także podczas podróży do Perugii i Ostii, dokąd pojechaliśmy razem śladem Pasoliniego, opowiedział mi o drodze, którą przeszedł.

Pasquale, syn franciszkanina, który odszedł z Kościoła, by poślubić jego matkę, wcześnie wybrał drogę kapłaństwa. Przez osiem lat przebywał w zgromadzeniu stygmatynów, kongregacji kapłańskiej zajmującej się nauczaniem i katechizacją.

– Muszę powiedzieć, że otrzymałem dobre wykształcenie. Jestem wdzięczny rodzicom za to, że posłali mnie do seminarium. Przekazano mi tam umiłowanie *Boskiej komedii*!

Czy homoseksualność była ukrytym motywem tego powołania? Pasquale tak nie uważa. Wstąpił do niższego seminarium zbyt młodo, by mogło to mieć znaczenie. Ale może był to powód, dla którego zrezygnował z tej drogi.

Kiedy odkrył swoją orientację i powiedział o niej ojcu, silna więź porozumienia, jaka ich łączyła, w jednej chwili pękła.

– Ojciec się do mnie nie odzywał. Przestaliśmy się spotykać. Był wstrząśnięty. Na początku sądził, że to ja jestem problemem. Potem, że on. Stopniowo, po kilku latach dialogu, pogodziliśmy się. W międzyczasie zrezygnowałem z kapłaństwa, a ojciec na łożu

śmierci poprawiał szkic książki o homoseksualizmie, którą zamierzałem wydać. Napisałem ją razem z księdzem, dzięki któremu udało mi się zaakceptować samego siebie.

A czy klerycy geje, którzy wciąż jeszcze nie porzucili seminarium, są szczęśliwi i radośni? Kiedy o to pytam, posępnieją, z ich twarzy znika uśmiech, a pojawia się wyraz zwątpienia. Poza Lafcadiem z Ameryki Południowej, który mówi, że „kocha swoje życie”, młodzi mężczyźni podkreślają dyskomfort związany z wiecznym funkcjonowaniem w „szarej strefie”, trochę w ukryciu, trochę z zasznurowanymi ustami, i mówią o ryzyku, jakie podejmują, planując karierę w Kościele.

Seminarium dało wielu sposobność do coming outu, ale było też miejscem, w którym uświadomili sobie, że znajdują się w ślepej uliczce. Większość z nich walczy ze swoim homoseksualizmem, który w tym kontekście stał się przytłaczający. Jak pisał Poeta: „obciążony swoim występkiem, tym występkiem, który od wieku dojrzałości zapuścił korzenie cierpień u mojego boku i który wzbija się w niebo, chłoszcze mnie, powala, wlecze po ziemi”[59].

Wszyscy się boją, że przegrają życie, że staną się jak skamieliny wśród ludzi, którzy są do nich aż zanadto podobni. W seminarium ich świat zasnuwa się chmurami: klerycy odkrywają, jak będzie wyglądało ich kapłańskie życie pośród kłamstw i urojeń, gorzkie jansenistyczne życie – samotne, nieszczere, rozedrgane jak płomień świecy. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, cierpienie, milczenie, czułości tłumione w zarodku, „fałszywe uczucia”, a przede wszystkim „pustynie miłości”[60]. Jak okiem sięgnąć, wszędzie upływający czas, wypalająca się młodość i perspektywa przedwczesnej starości. Wszędzie „raj smutku”[61], by jeszcze raz użyć słów Poety.

Klerycy mają obsesję na punkcie podboju „nocnej stolicy” na długo przed tym, zanim zyskają do niej dostęp. W społeczności

gejowskiej mówi się o czymś takim jak „gay death”: „okres ważności” geja jest ponoć ustalony na trzydzieści lat – po przekroczeniu tej granicy kończy się łatwy podryw. Lepiej się ożenić, zanim spadnie topór. Tymczasem wielu księży, którzy wcześniej nie mogli dać upustu swoim namiętnościom, zaczyna wychodzić na miasto dopiero wtedy, gdy już ich „seksualna wartość rynkowa” spada. Stąd obsesja seminarzystów, którzy obawiają się, że będą musieli nadrabiać stracony czas po omacku, na „chem-sex” czy „spanking parties”. Czy tłamszeni w seminariach będą musieli czekać aż do trzydziestki, a potem zdobywać dojrzałość w backroomach?

Tego rodzaju dylematy, o których często mi opowiadali katoliccy księża, od czasów wyzwolenia seksualnego jeszcze się spotęgowały. Przed rokiem 1970 Kościół był schronieniem dla tych, których na zewnątrz dyskryminowano. Po nim stał się więzieniem dla tych, którzy do niego przyszli lub w nim zostali z poczuciem zamknięcia i wykluczenia, podczas gdy na zewnątrz wszyscy geje są wyzwoleni. Po raz kolejny kłania się Poeta: „Chryste, któryś z energii wiecznie nas okradał”[62].

W przeciwieństwie do tych, którzy w seminarium byli wiele lat temu i którzy opowiadali mi o chłostach, samokaraniu i znęcaniu się, Ydier, Axel czy Lafcadio nie doświadczyli aż tak skrajnych udręk, ale i oni wypłakali swoją porcję łez. Przeklinają życie i całe to niby-dobrowolne, masochistyczne cierpienie, które karmi się samym sobą. Tak bardzo chcieliby być inni, a mogą tylko powtarzać za André Gide’em: „Nie jestem podobny do innych! Nie jestem podobny do innych!”[63].

Pozostaje masturbacja. Według wszystkich moich rozmówców obsesja Kościoła na punkcie onanizmu przeżywa dziś w seminariach swoje apogeum, choć przecież księża z autopsji wiedzą, że od masturbacji się nie głuchnie. Oczywiście przesadne umiłowanie

kontroli i samoograniczeń już dzisiaj nie działa; daleko za nami są czasy, kiedy klerycy, „którzy okresowo ulegali onanizmowi”, mogli się obawiać o swoje zbawienie i byli „przekonani, że śmierdzą spalenizną” (jak to pięknie ujął krytyk literacki Angelo Rinaldi).

Masturbacja, która dawniej była w seminariach tematem tabu i o której się nie mówiło, jest dziś poważnym zagadnieniem często poruszanym przez wykładowców. Celem tej bezsensownej obsesji jest nie tylko wyrzeczenie się wszelkich czynów seksualnych, które nie są nastawione na prokreację (taka jest oficjalna przyczyna tego zakazu), ale przede wszystkim totalitarna kontrola nad pozbawioną rodziny i własnego ciała jednostką, prawdziwa depersonalizacja w służbie zbiorowości. Ta często i zawzięcie powtarzana *idée fixe* sprawia, że masturbacja staje się „szafą w szafie”, rodzajem podwójnie zakamuflowanej tożsamości homoseksualnej. Księża więc nadużywają jej z pasją, marząc o „tysiącu upieczeń”[64] wolności.

– Żeby ciągle jeszcze uczyć w seminariach, że masturbacja jest grzechem, toż to średniowiecze! A fakt, że rozmawia się o niej częściej i zwalcza bardziej niż pedofilię, wiele mówi o Kościele katolickim – zauważa Robert Mickens.

PEWNEGO DNIA, KIEDY WRACAM Z WATYKANU, w pobliżu metra Ottaviano czuję na sobie intensywne spojrzenie jakiegoś młodego człowieka. Ma na sobie T-shirt, na szyi duży drewniany krzyż i jest w towarzystwie leciwego księdza (o tym miał powiedzieć mi później); ma za sobą trudny czas i postanowił się ze mną skontaktować. Nazywa się Andrea, jest trochę spłoszony i prosi mnie o numer telefonu. Pod pachą ma podręcznik *AsSaggi biblici* wydany przez Franco Manziego – książka go zdradza i od razu wzbudza moje zainteresowanie. Nawiązuję rozmowę.

Późnym wieczorem tego samego dnia pijemy kawę w pewnym rzymskim barze i chłopak szybko wyznaje, że podał mi fałszywe imię

i że jest klerykiem. Spotkamy się jeszcze wiele razy i Andrea, podobnie jak inni przyszli księża, opowie mi o swoim świecie.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Andrea, który nie ukrywa przede mną swojego homoseksualizmu, jest wiernym zwolennikiem Benedykta XVI.

– Wolałem Benedetto. Franciszka nie lubię. Nie lubię tego papieża. Bardzo chciałbym Kościoła sprzed Soboru Watykańskiego II.

Jak godzi bycie gejem i życie w seminarium? Andrea kiwa głową; jest wyraźnie zakłopotany i żałuje swojego rozdwojenia. Lawiruje między dumą a samobiczowaniem:

– Widzisz, nie jestem szczególnie dobrym chrześcijaninem. Chociaż się staram. Ale nie daję rady. Ciało, rozumiesz. Pocieszam się, mówiąc sobie, że większość kleryków, których widuję, jest taka jak ja.

– Poszedłeś do seminarium, ponieważ jesteś gejem?

– Nie widzę tego w ten sposób. Seminarium to było z początku rozwiązanie tymczasowe. Chciałem sprawdzić, czy mój homoseksualizm jest trwały. Potem seminarium stało się rozwiązaniem kompromisowym. Moi rodzice chcą wierzyć, że nie jestem gejem, podoba im się, że jestem w seminarium. A ja mogę dzięki temu do pewnego stopnia żyć tak, jak mi się podoba. Nie jest to łatwe, ale tak jest lepiej. Jeżeli masz wątpliwości co do swojej orientacji, jeżeli nie chcesz, żeby ludzie dookoła wiedzieli, że jesteś gejem, jeżeli nie chcesz sprawiać bólu matce, to idziesz do seminarium! Jeśli chodzi o moje osobiste powody, to zdecydowanie dominuje homoseksualizm, nawet jeśli na początku nie byłem go całkiem świadomy. Tak naprawdę upewniłem się o nim dopiero po wstąpieniu do seminarium. – Andrea mówi dalej, bawiąc się w socjologa: – Myślę, że tu działa swoista zasada: ogromna większość księży odkryła, że pociągają ich chłopcy, kiedy znaleźli się w tym homoerotycznym i ściśle męskim świecie, jakim są

seminaria. Kiedy jesteś w liceum na swojej włoskiej prowincji, masz bardzo małe szanse na spotykanie się z homoseksualistami, którzy ci się podobają. To zawsze dość ryzykowne. A potem przyjeżdżasz do Rzymu, do seminarium, a tutaj sami chłopcy i prawie każdy jest homoseksualny, młody, ładny, i rozumiesz, że jesteś taki jak oni.

Podczas naszych rozmów młody kleryk ze szczegółami opisuje atmosferę panującą w seminarium. Mówi, że często korzysta z dwóch aplikacji: Grindr oraz iBreviary.com, czyli serwisu, przez który geje umawiają się na seks, oraz darmowego katolickiego brewiarza w pięciu językach na smartfony. Doskonałe streszczenie jego życia!

Dwudziestoletni Andrea miał już wielu kochanków – około pięćdziesięciu.

– Spotykam ich na Grindrze albo w seminarium.

Ponieważ z powodu tego podwójnego życia ma poczucie winy, aby zmniejszyć swoje rozczarowanie, że nie jest święty, wymyślił kilka drobnych zasad, które zapewniają mu czyste sumienie. Zwierza mi się, że nie pozwala sobie na seks podczas pierwszego spotkania za pośrednictwem Grindra. Zawsze czeka przynajmniej do trzeciego!

– To moja metoda, taki, powiedzmy, rys ratzingerowski – żartuje.

Nalegam, by poznać powody, dla których postanowił wytrwać w zamiarze zostania księdzem. Młody prowokator się waha. Nie bardzo wie. Zastanawia się i po chwili rzuca:

– Bóg jeden raczy wiedzieć.

WEDŁUG LICZNYCH INFORMATORÓW, z którymi rozmawiałem na uniwersytetach papieskich w Rzymie, w wyniku upowszechnienia się internetu i smartfonów styl prowadzenia podwójnego życia w ostatnich latach znacząco się zmienił. Wielu spośród tych, którzy dawniej wymykali się ciemną nocą w poszukiwaniu przypadkowych spotkań w rzymskich klubach, takich jak: Diabolo 23, K-Men's Gay, Bunker czy Vicious Club, dziś spokojnie uprawia podryw bez

wychodzenia z pokoju. Dzięki takim aplikacjom jak Grindr, Tinder czy Hornet oraz portalom randkowym w rodzaju GayRomeo (obecnie PlanetRomeo), Scruff (dla mężczyzn w dojrzalszym wieku i miśków), Daddyhunt (dla tych, którzy lubią „tatuśków”) czy też Recon (dla fetyszystów i mężczyzn hiperseksualnych) już nie muszą się przemieszczać ani narażać na zbyt duże ryzyko.

Dzięki magii internetu we współpracy z moimi researcherami udało mi się zresztą odkryć orientację homoseksualną wielu kleryków, księży czy biskupów z kurii. Kiedy spotykaliśmy się z nimi w Watykanie, często z grzeczności lub po przyjacielsku podawali nam swój adres e-mail czy numer komórki. Kiedy bez złych zamiarów dodawaliśmy później te informacje do naszej listy kontaktów na koncie Gmail czy w smartfonach, automatycznie pojawiały się rozmaite profile i przypisane do nich imiona w serwisach WhatsApp, Google+, LinkedIn czy Facebook. Często były to pseudonimy. Wystarczyło wpisać te ksywki, a niczym pod wpływem działania Ducha Świętego naszym oczom ukazywało się drugie życie, jakie ci klerycy, księża czy biskupi – owszem, dyskretni, ale nie dość *geeky* – prowadzą na portalach randkowych. (Oczywiście mam tu na myśli około dziesięciu konkretnych przypadków, zwłaszcza kilku dostojników, których już spotkaliśmy w tej książce).

Wielu spędza obecnie wieczory na GayRomeo, Tinderze, Scruffie czy portalu Venerabilis – przede wszystkim jednak na Grindrze. Osobiście nigdy nie lubiłem tej odczłowieczającej i powtarzalnej aplikacji, ale rozumiem jej logikę: dzięki geolokalizacji w czasie realnym wskazuje wszystkich gejów dostępnych w pobliżu. Istne diabelstwo!

Wielu kapłanów twierdzi, że Grindr cieszy się w seminariach i we wspólnotach księży bardzo dużym powodzeniem. Wybuchło nawet kilka afer (na przykład w irlandzkim seminarium), w których

Kościół pogrążyło właśnie korzystanie z tej aplikacji. Często księża mimowolnie nawzajem na siebie trafiają, gdy usługa geolokalizacji namierza geja, który znajduje się kilka metrów obok. Wraz z moimi ludźmi zdołaliśmy ustalić, że na terenie Watykanu Grindr jest aktywny każdego wieczoru.

Wystarczyły nam dwa małe smartfony umieszczone po dwóch stronach katolickiego państewka, by z minimalnym marginesem błędu ustalić lokalizację gejów. W trakcie eksperymentu, który wykonaliśmy dwukrotnie, urządzeń połączonych z aplikacją nie było w Watykanie dużo. Jak jednak twierdzi kilku moich informatorów, aktywność mieszkańców Watykanu na Grindrze bywa czasami o wiele bardziej intensywna.

Portal Venerabilis zasługiwałby na osobną opowieść. Został stworzony w 2007 roku jako platforma online w całości adresowana do księży o „wrażliwości homoseksualnej", którzy mogli na niej zamieszczać ogłoszenia i kontaktować się przez czat. Jako miejsce rozmów i wsparcia prowadził do powstania grup dyskusyjnych w realu; w pewnym momencie spotykały się one nawet w kafejce słynnej biblioteki Feltrinelli na Largo di Torre Argentina w osobnych segmentach godzinnych dla różnych uniwersytetów papieskich! Jednym z administratorów portalu był ksiądz Tommaso Stenico, blisko związany z Tarcisio Bertonem – w kurii znany jako homofob, ale poza Watykanem praktykujący gej (po dokonaniu coming outu na antenie jednego z kanałów włoskiej telewizji został odsunięty od funkcji pełnionych w Watykanie). Zgodnie z dość naturalną koleją rzeczy portal zmienił się jednak w miejsce wewnątrzkościelnego podrywu i po ujawnieniu tego faktu przez konserwatywną katolicką prasę został uśpiony. Znaleźliśmy jego ślady w archiwach internetu oraz w głębokiej sieci, ale nie jest już dostępny ani indeksowany przez wyszukiwarki.

Na Facebooku, który z uwagi na różnorodność użytkowników również jest powszechnie wykorzystywany do podrywu, łatwo znaleźć księży i kleryków gejów. W ten sposób namierzamy kilku dostojników, którzy są obiektem naszych obserwacji w Rzymie: większość z nich słabo zna zasady prywatności portalu społecznościowego i pozostawia listę swoich znajomych widoczną dla innych. Wystarczy więc wejść na ich profil z konta któregoś rzymskiego geja mającego liczne kontakty w homoseksualnej społeczności tego miasta, by na podstawie wspólnych znajomych z niemal stuprocentową pewnością stwierdzić, czy dany ksiądz jest czy nie jest gejem. Nawet jeśli oś czasu nie zawiera żadnych gejowskich treści, Facebook zdradza gejów prawie automatycznie.

Podobne śledztwo można przeprowadzić zupełnie legalnie na Twitterze, Instagramie, Google+ czy LinkedInie, łącząc je z Facebookiem. Dzięki profesjonalnym narzędziom, takim jak Brandwatch, KB Crawl czy Maltego, można przeanalizować wszystkie działania „społecznościowe" danego księdza, jego znajomych, zamieszczone, polubione czy podane dalej posty (czasem z wykorzystaniem różnych tożsamości). Miałem okazję korzystać z takiego superwydajnego oprogramowania, które na podstawie publicznych informacji, jakie dana osoba zostawia w sieci, pozwala na tworzenie grafów i wykresów wszystkich jej interakcji na portalach społecznościowych. Wynik robi wrażenie, ponieważ z tysięcy danych, które ona sama, nawet o tym nie pamiętając, udostępniła na portalach, wyłania się jej kompletny profil: jeśli użytkownik jest gejem, informacja o tym obarczona jest niewielkim marginesem błędu. Aby nie wpaść w tryby takiego narzędzia, trzeba ściśle rozdzielić poszczególne części swojego życia poprzez korzystanie z osobnych kont w sieciach społecznościowych i bezwzględne unikanie dzielenia się ze znajomymi jakimikolwiek osobistymi

informacjami, a to jest prawie niemożliwe.

Smartfony i internet zmieniają więc życie kleryków i księży – na lepsze i na gorsze. W trakcie mojego śledztwa dziennikarskiego sam często korzystałem z tych nowych cyfrowych narzędzi, wynajmując mieszkania przez Airbnb, używając Wawe czy jeżdżąc Uberem, kontaktując się z księżmi za pośrednictwem LinkedIna czy Facebooka, przechowując ważne dokumenty czy nagrania w aplikacjach Pocket, Wunderlist bądź Voice Record i prowadząc prywatne rozmowy z wieloma informatorami przez Skype'a, Signal, WhatsAppa czy Telegram. Współczesny pisarz to prawdziwy „digital writer".

NIE PRÓBUJĘ W TEJ KSIĄŻCE powiedzieć, że życie kleryków i księży ogranicza się do homoseksualizmu, orgii, masturbacji czy pornografii online. Istnieją oczywiście duchowni, których można nazwać „ascetami" – nie interesują się seksem i ze spokojem żyją w celibacie. Jednak wszyscy moi informatorzy są zgodni co do tego, że kapłani wierni ślubowi czystości stanowią mniejszość.

Tak naprawdę rewelacje na temat homoseksualizmu księży i podwójnego życia Watykanu dopiero zaczynają wypływać. W dobie rozpowszechnienia smartfonów, którymi wszystko można sfilmować i nagrać, w dobie sieci społecznościowych, dzięki którym wiadomo o nas wszystko, będzie coraz trudniej strzec tajemnic Watykanu. Na całym świecie odważni dziennikarze prowadzą śledztwa dotyczące powszechnej hipokryzji kleru, a świadkowie zaczynają mówić. Część kardynałów, z którymi rozmawiałem, uważa, że „to nie są najważniejsze kwestie", że „zrobiono już w tych sprawach bardzo dużo" oraz że „seksualne kontrowersje są już za nami". Chcieliby zamknąć ten rozdział.

Jestem wręcz przeciwnego zdania. Myślę, że zaledwie muśnięto temat. Oraz że wszystko, o czym opowiadam w tej książce, to

zaledwie pierwsza strona historii, która właśnie się pisze. Domyślam się nawet, że dostrzegam jedynie drobny ułamek tej rzeczywistości. Odkrywanie, obnażanie, opisywanie tajemniczego i prawie jeszcze niezbadanego świata Sodomy dopiero się zaczyna.

CZĘŚĆ CZWARTA
BENEDYKT

BENEDYKT XVI
2005-2013

KONGREGACJA
NAUKI WIARY
William LEVADA

OSOBISTY
SEKRETARZ PAPIEŻA
Georg GÄNSWEIN

SEKRETARZ STANU
Tarcisio BERTONE

SUBSTYTUT
(„MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH")
Fernando FILONI

SEKRETARZ DS. RELACJI Z PAŃSTWAMI
(„MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH")
Dominique MAMBERTI

ASESOR
Gabriele CACCIA
Peter WELLS

PODSEKRETARZ
DO SPRAW RELACJI Z PAŃSTWAMI
Ettore BALESTRERO

20.

Passivo e bianco

W SIEDZIBIE FUNDACJI RATZINGERA w Rzymie wojna jest zakończona. Teraz osąd wyda już tylko historia – i Bóg w swoim miłosierdziu. Na ścianach liczne zdjęcia i obrazy przedstawiające Benedykta XVI. Na jednych jeszcze jako kardynała, na innych już jako papieża emeryta.

Frapuje mnie wielki, wyeksponowany portret umieszczony między tymi dwiema podobiznami: biskup Rzymu – jeszcze na urzędzie – z wielką pompą zasiada na wysokim papieskim krześle w kolorach czerwieni i złota, uśmiechnięty, majestatyczny, w białych, haftowanych złotem szatach. Wysoka topazowożółta mitra jeszcze go powiększa, czyni „larger than life". Na drewnianych podłokietnikach fotela wyrzeźbiono kędzierzawe aniołki, fauny, psyche czy kupidyny. Rumiana twarz papieża góruje *ex cathedra* w tęczy barw i przepychu koronek. Benedykt XVI panuje jak król. U szczytu chwały.

Przyglądając się z bliska temu ponadczasowemu portretowi, zauważam podobieństwa między Benedyktem XVI a papieżem Innocentym X pędzla Velásqueza. Innocenty również siedzi na tronie – w pełni swego majestatu, w płowej szacie i falbanach, w czerwonej czapce na głowie, z lśniącym pierścieniem (wspaniały *Portret papieża Innocentego X* znajduje się w galerii pałacu Doria Pamphilj w Rzymie). Jeśli się jednak przyjrzeć dokładniej, rzuca się w oczy jego zmieniony wygląd, i oto widzę twarz ojca świętego tak jak przedstawił ją Francis Bacon na obrazie *Studium II portretu papieża Innocentego X wg Velásqueza* – jedna z jego wersji wystawiana jest

w Muzeach Watykańskich.

Kubistyczna twarz Innocentego jest całkowicie zdeformowana: przypomina maskę, nos jest skrzywiony, prawie zamazany, wzrok przeszywający. Czy ojciec święty się złości, czy może ukrywa jakąś tajemnicę? Czy mamy przed sobą zepsutego narcyza, czy wcielenie najwyższej czystości? Czy rozdziera go pożądanie, czy rozmyśla o straconej młodości? Płacze? Dlaczego płacze? Jak zauważył filozof Gilles Deleuze, Francis Bacon zręcznie przemilczał przyczyny niepokoju papieża, pozbawiając nas tym samym racjonalnego wyjaśnienia. Na wielkim portrecie, którego nikt nie ogląda, w pustej siedzibie fundacji, której nikt już nie odwiedza, jak na obrazach Velásqueza i Bacona odmalowano – choć z mniejszym talentem – tajemnicę Ratzingera. Biskup rzymski w jego niewypowiedzianej prostocie i nieodgadnionej złożoności.

Benedykt jest pierwszym współczesnym papieżem, który ustąpił ze stanowiska. Podobno z powodów zdrowotnych; z pewnością zdrowie było jednym z powodów abdykacji, jedną z czternastu stacji długiej drogi krzyżowej, jaką był jego krótki pontyfikat. Wbrew temu, co sugerowano, Benedykt XVI nie padł ofiarą gejowskiego lobby. A jednak dziewięć spośród czternastu momentów owej via dolorosa, które przypieczętowały jego los i przyśpieszyły upadek, ma związek z homoseksualizmem.

SIEDZIBA FUNDACJI RATZINGERA opustoszała. Ilekroć udawałem się do tych nierzeczywistych biur, oficjalnych watykańskich gabinetów przy Via della Concilliazione w Rzymie, by spotkać się z Federico Lombardim, mój rozmówca był sam. Żadnego sekretarza, żadnego asystenta, żywej duszy. Podchmielony pulchny strażnik przy wejściu nawet się nie przygląda odwiedzającym – jest ich tak niewielu.

Dzwonię. Drzwi otwiera Federico Lombardi we własnej osobie.

Lojalny, punktualny, o łagodnym głosie i zawsze dostępny – Lombardi jest zagadką. Był jednym z najbliższych współpracowników trzech papieży, w pamięci dziennikarzy zapisał się zaś przede wszystkim jako rzecznik prasowy Benedykta XVI w trakcie jego długiej drogi krzyżowej. Jaki jest? Przemawiał tak często, ale nic o nim nie wiemy.

Z jednej strony to wielkiej pokory jezuita, powszechnie podziwiany i lubiany. Jego surowe życie wypełnione jest lekturą, naznaczone swoistym oderwaniem, jego samowyrzeczenie kontrastuje ze stylem bycia części papieskiego otoczenia, któremu służył. Ludzie z tamtego środowiska żyli ponad stan, pławiąc się w luksusie, zamieszani w pranie brudnych pieniędzy i skandale obyczajowe. On ślubował, że będzie żył skromniej, niż pozwalałyby na to jego środki. Także dziś na spotkanie ze mną przychodzi pieszo z siedziby kurii generalnej jezuitów na Borgo, gdzie mieszka w spartańsko urządzonym pokoju. Z pewnością jest jednym z tych w Watykanie, którzy rzeczywiście przestrzegają trzech ślubów życia zakonnego (ubóstwa, czystości i posłuszeństwa), do których, jak wszyscy członkowie jego zgromadzenia, dodał czwarty ślub – szczególnego posłuszeństwa papieżowi.

Z drugiej strony ojciec Federico należy do mieszkańców krainy Papimanii, jak Rabelais uroczo nazywa księży, którzy darzą papieża świątobliwym uwielbieniem. Loyola uczynił z posłuszeństwa wobec papieża wartość absolutną, umieszczając je wysoko ponad prawdą. „Będę wierzył, że białe jest czarne, jeśli tak uzna Kościół” – oto sentencja streszczająca postawę Lombardiego oraz wszystkich młodych jezuitów. Lombardi, który pod rządami Ratzingera stał się daltonistą, często mylił czarny dym z białym. Do tego stopnia, że dziennikarze zarzucali mu pustosłowie: rzecznik zaprzeczał prawdzie albo relatywizował skandale pedofilskie, które jak tsunami

zwalały się na pontyfikat. Zyskał nawet przezwisko „Pravda”. Jak mówił Pascal, który nie lubił jezuitów: „Można, zapewne, mówić rzeczy fałszywe, uważając je za prawdę; ale cechą kłamcy jest to, że kłamie z intencją”[65].

W trakcie pięciu długich spotkań ten ujmujący kapłan spokojnie odpowiadał na moje pytania i z taktem korygował moje wnioski:

– Nie uważam, aby między prawdą a posłuszeństwem papieżowi istniała sprzeczność. Oczywiście, moim obowiązkiem jako jezuity jest pozytywne interpretowanie słów ojca świętego. Zdarzało mi się, że spełniałem ten obowiązek z pasją. Ale zawsze mówiłem to, co myślałem.

Taka interpretacja faktów bynajmniej nie przekonuje amerykańskiego watykanisty Roberta Carla Mickensa, który ostro ją krytykuje:

– Kościół katolicki to organizacja, która z całą pewnością najwięcej wypowiada się na temat prawdy. Słowo „prawda” nie schodzi z jego ust, Kościół nieustannie nim szermuje. A jednocześnie jest instytucją, która najwięcej kłamie. Rzecznik Jana Pawła II Joaquín Navarro-Valls i rzecznik Benedykta XVI Federico Lombardi nigdy nie mówili prawdy. To proste: oni bez przerwy kłamali.

Za Benedykta XVI, którego pontyfikat był niemal nieprzerwanym pasmem niezręczności, błędów, skandali, afer i kontrowersji, żołnierz Lombardi często bywał na froncie. Zmuszony do niezliczonych pokrętnych działań dyplomatycznych, do bronienia spraw, których nie da się obronić, stary ksiądz zaczyna wreszcie zasłużoną emeryturę.

FEDERICO LOMBARDI przybył do Watykanu przed ponad dwudziestu pięciu laty, za czasów Jana Pawła II, by objąć kierownictwo w Radiu Watykańskim, stanowisko tradycyjnie powierzane jezuitom. Jednak, jak twierdzą jego przyjaciele i dawni

współpracownicy, Lombardi nigdy nie był wyznawcą twardego kursu ani Jana Pawła II, ani Benedykta XVI. Jego wrażliwość jest raczej lewicowa, zbliżona do włoskiego katolicyzmu społecznego. Dlatego Lombardi zawsze był obsadzany jakby w niewłaściwej roli: służył papieżom zupełnie nieodpowiadającym mu światopoglądowo, aż wreszcie podziękował mu zakonny współbrat Franciszek, którego poglądy jezuita podzielał i który – gdyby wszystko dobrze się potoczyło – powinien być „jego" papieżem.

– Moim priorytetem zawsze było służenie aktualnie panującemu papieżowi. Jezuita wspiera papieską linię i się z nią identyfikuje. W dodatku, ponieważ studiowałem w Niemczech, żywiłem głęboki podziw dla teologii Ratzingera – mówi.

Pnąc się po stopniach kariery stolicy apostolskiej, tak jak inni zaliczają kolejne nuncjatury, Lombardi za pontyfikatu Jana Pawła II otrzymuje awans: zostaje powołany na dyrektora Radia Watykańskiego i Watykańskiego Ośrodka Telewizyjnego, a następnie, krótko po wyborze Benedykta XVI, na rzecznika papieża i szefa biura prasowego Watykanu (oficjalnego organu stolicy apostolskiej do spraw kontaktów z mediami i akredytowanymi dziennikarzami).

Na tym stanowisku zastępuje Joaquína Navarro-Vallsa, znanego członka Opus Dei. Podobno kiedy Hiszpan był młody, wszyscy uważali go za seksownego. „Dlaczego Bóg miałby powoływać tylko brzydali?", miał odpowiedzieć Jan Paweł II, kiedy ktoś zauważył, że papież potrafi sobie dobierać otoczenie. Co ciekawe, Navarro-Valls był świeckim celibatariuszem, który nie mając takiego obowiązku, złożył ślub heteroseksualnej czystości. Podobnie uczynili kiedyś Jacques Maritain i Jean Guitton.

Zawsze bawili mnie ci świeccy celibatariusze i „numerariusze" z Watykanu, którzy wykazują niewielkie zainteresowanie płcią

piękną i boją się tylko jednego: że musieliby się ożenić! Dlaczego składają ślub czystości, którego nikt od nich nie wymaga? Jeśli nie są żonaci, wątpliwości rosną. A jeśli wiadomo, że w ich życiu nie ma kobiety, na wątpliwości nie ma miejsca. Ale Federico Lombardi jest księdzem.

Człowiek pracujący dla trzech ostatnich papieży podczas naszych spotkań porównuje rzymskich biskupów. Jest przenikliwy i prawie zawsze rzeczowy.

– Jan Paweł II był człowiekiem ludu. Franciszek to człowiek bliskości. Benedykt natomiast był człowiekiem idei. Tym, co zapamiętałem najmocniej, była klarowność jego myśli. Benedykt nie był wziętym mówcą, jak wcześniej Jan Paweł II, a obecnie Franciszek. Nie lubił też na przykład oklasków, które Wojtyła uwielbiał. Benedykt był intelektualistą, wielkim intelektualistą – mówi Lombardi.

A ZATEM INTELEKTUALISTA. Rozmawiałem z wieloma kardynałami i wszyscy oni uważają, że Jan Paweł II był człowiekiem ducha i mistykiem, Benedykt XVI zaś przede wszystkim wielkim teologiem. Niektórzy wysuwają ten argument, by następnie z zasmuconą miną dodać, że tak naprawdę nie był stworzony, by być papieżem.

– Dla mnie to największy teolog naszych czasów – wyjaśnia mi kardynał Giovanni Battista Re.

A kardynał Paul Poupard dodaje:

– Kolegowałem się z Ratzingerem przez dwadzieścia pięć lat. I, jak by to powiedzieć, rządzenie nie było jego mocną stroną.

Kiedy ustępował, sam nawiązał do ogromu swojej pracy teologicznej, ale uznał też swoją słabość w zakresie zarządzania sprawami i ludźmi.

Ratzinger intelektualistą? Bez wątpienia. Teolog zostawia po sobie

dzieło użyteczne dla Kościoła katolickiego, nawet jeśli jest ono przedmiotem sporu między tymi, którzy przeceniają go do tego stopnia, że nazywają autora kardynałem myślicielem, i tymi, którzy widząc w Ratzingerze tylko dobrego profesora, umniejszają jego znaczenie.

Odtwarzanie losów i ścieżki intelektualnej przyszłego papieża Benedykta XVI nie jest zamysłem tej książki. Dla mojego celu wystarczy, jeśli skupię się na kilku ważnych datach i punktach. Najpierw więc bawarskie dzieciństwo Ratzingera w skromnej i kochającej wiejskiej rodzinie, której codzienność stanowiły wiara, niemiecka muzyka poważna i książki. Już na zdjęciach Josepha z tamtego okresu widać tę pucołowatą buzię w kolorze świeżego różu, zniewieściały uśmiech i napięte, wręcz sztywne ciało – wszystko to zobaczymy również później, gdy poznamy go jako papieża.

Zabawne – jak twierdzi – już jako mały chłopiec lubił „bawić się w księdza" (tak jak inne dzieci bawią się lalkami). Inny obrazek: jego matka jest zaborcza i jest nieślubnym dzieckiem. Trzeci: Joseph jest synem komisarza policji, a to oznacza dominację i surowość, ale jego ojciec jest antyhitlerowcem. W późniejszym okresie Joseph Ratzinger będzie oskarżany o przynależność do hitlerowskiej młodzieżówki w Niemczech, a niektórzy nazwą go wręcz obraźliwie papieżem „Adolfem II", błogosławiącym „w imię Ojca i Syna, i Trzeciej Rzeszy".

Epizod z Hitlerjugend jest potwierdzony, zresztą papież obszernie się z niego tłumaczył. Wstępuje do młodzieżówki hitlerowskiej jako czternastolatek, podobnie jak ogromna większość młodych Niemców w połowie lat trzydziestych XX wieku, przy czym przynależność do tej organizacji niekoniecznie oznacza sympatię dla idei nazizmu. Następnie Joseph Ratzinger dezerteruje z Wehrmachtu, do którego – jak często powtarzał – został wcielony wbrew swojej woli (po wyborze Ratzingera na biskupa Rzymu w Izraelu wnikliwie

przestudiowano jego biografię i papież został oczyszczony z wszelkich podejrzeń dotyczących jego rzekomej nazistowskiej przeszłości).

Młody Ratzinger – rozmiłowany w Goethem, w łacińskich i greckich klasykach, zakochany w malarstwie Rembrandta – pisze wiersze i uczy się gry na pianinie. Bardzo wcześnie zaczyna się karmić niemiecką filozofią: Heideggerem i Nietzschem – ten typ pożywki często prowadzi do antyhumanizmu i rzeczywiście Ratzinger jest bardzo „antyoświeceniowy". Czyta też myślicieli francuskich, począwszy od Paula Claudela – z takim zacięciem, że (jak mi powiedział kardynał Poupard) uczy się francuskiego, by móc go czytać w oryginale. Lektura dzieł autora *Atłasowego trzewiczka* naznaczy go zresztą do tego stopnia, że będzie patrzył na własne nawrócenie przez pryzmat nawrócenia Claudela, pomijając fakt, iż francuski pisarz sam nawrócił się za sprawą egzaltowanego *Sezonu w piekle* napisanego przez młodego „mistyka w stanie dzikim", homoseksualistę i antyklerykała Arthura Rimbauda. Ratzinger czyta też Jacques'a Maritaina – kilka poważnych prac wykazało pokrewieństwo niektórych tez Ratzingera z myślami Maritaina: zwłaszcza odnoszących się do czystości, miłości i związku. Przyszły papież bywa jednak także naiwny i delikatny, czego dowodzą wielokrotne powroty do *Małego Księcia*.

Poza anegdotami i autobiografią – kontrolowaną do tego stopnia, że może ukrywać strefy cienia i główne sploty wydarzeń – brakuje nam informacji na temat powołania kapłańskiego młodego kleryka Ratzingera, jego najsilniejszej motywacji – nawet jeśli wybór kapłaństwa i wynikającego zeń celibatu odpowiada spekulatywnemu charakterowi przyszłego papieża. Na zdjęciu ze święceń, które odbyły się 29 czerwca 1951 roku, widać, że jest szczęśliwy i dumny, od stóp do głów ubrany w koronki. Jest raczej przystojny. Do tej pory bywa nazywany „ministrantem".

„Współpracownik Prawdy" – oto dewiza, którą Joseph Ratzinger wybiera w dniu konsekracji biskupiej, w roku 1977. Ale czy rzeczywiście kieruje nim prawda? I dlaczego został księdzem? Czy w tej sprawie należy go słuchać i mu wierzyć? Jak każdy z nas, Benedykt XVI często kłamie. Czasem trzeba mu na to pozwolić. Można przypuszczać – i tak się mówi – że na styku kapłaństwa i celibatu u młodego Ratzingera wystąpiły „pewne komplikacje".

Dojrzewanie seksualne było dla niego okresem, o którym wolałby zapomnieć, pełnym wątpliwości, nieuporządkowania, być może też pokus, okresem, który kosztował go wiele nieprzespanych nocy. Jak twierdzą jego biografowie, wydaje się, że ten chłopiec o wątłym, przyduszonym głosie – jak Mauriac – przeżywał w młodości wewnętrzny zamęt i problemy natury emocjonalnej. Czy jest jednym z owych cudownych dzieci, które zachwycają profesorów, ale nie potrafią zagadnąć dziewczyny w barze? Czy odkrył w sobie jakieś zranienie zabliźnione przez czystość, za którą się chowa? Tego nie wiemy. Nie zapominajmy, jak trudno było w okresie powojennym, na który przypadają młodzieńcze lata Ratzingera (który w 1947 skończył 20 lat), rozpoznać u siebie ewentualne „tendencje" czy „homofilię". Tytułem porównania przytoczmy słowa Piera Paolo Pasoliniego należącego do pokolenia Josepha Ratzingera, który jako młody człowiek w roku 1950 napisał w liście: „Urodziłem się, by być człowiekiem spokojnym, zrównoważonym, naturalnym: mój homoseksualizm był czymś dodatkowym, zewnętrznym, nie dotyczył mnie. Zawsze widziałem go jako wroga u swojego boku".

Homofilia jako wewnętrzny „wróg": czy to osobiste doświadczenie tego niepewnego, niespokojnego papieża, który zawsze wspominał o swojej wielkiej „słabości", o swoim fundamentalnym „niedostosowaniu" i sekretnych miłościach „o różnych wymiarach i formach", jednocześnie dodając, że nie chciałby wchodzić

w „prywatne szczegóły”. Skąd możemy się tego dowiedzieć?

Jakkolwiek by było, Joseph Ratzinger pozował na westalkę, cnotliwą dziewicę. W przeciwieństwie do Jana Pawła II czy Franciszka miał nigdy nie czuć pociągu do płci przeciwnej. W jego życiorysie nie pojawia się ani jedna wzmianka o jakiejkolwiek dziewczynie czy kobiecie. Jedynymi ważnymi kobietami były matka i siostra Maria, która została zresztą jego wieloletnią gospodynią. Liczni świadkowie potwierdzają też, że mizoginizm Ratzingera z wiekiem się pogłębiał. Warto wszakże zauważyć, że Peter Seewald w trakcie wywiadu do książki-testamentu ojca świętego zdołał odkryć jedyną sytuację, w której przyszły papież poczuł pociąg cielesny do kobiety. Owa „wielka miłość” miała poważnie zdestabilizować młodego Ratzingera i skomplikować jego decyzję o życiu w celibacie. Najwyraźniej jednak informacja wydała się Seewaldowi tak niewiarygodna, że nie znalazła się w wywiadzie rzece z papieżem emerytem; „z braku miejsca”, jak miał później powiedzieć sam Ratzinger. W końcu została ujawniona przez Seewalda w dzienniku „Die Zeit” – czyli grono odbiorców roztropnie ograniczono do czytelników niemieckich. Oto nagle w wieku dziewięćdziesięciu lat papież wymyśla sobie „aferę”. Między wierszami, całkowicie z własnej inicjatywy zdradza, że kiedyś (oczywiście przed złożeniem ślubu czystości) zakochał się w kobiecie! Serce pod sutanną! Któż w to uwierzy?

I rzeczywiście nikt nie uwierzył! Ta ostatnia spowiedź była tak niewiarygodna, że natychmiast została odczytana jako nieudana piarowska próba uciszenia szerzących się wówczas w prasie niemieckojęzycznej plotek na temat domniemanego homoseksualizmu papieża. A może ta opowieść o zaprzeczającej wszelkim oczekiwaniom miłostce to jednak wyznanie? Czy mamy do czynienia z Wergiliuszowską pasterką, która w rzeczywistości

okazuje się pasterzem? Z Albertyną, słynną postacią z *W poszukiwaniu straconego czasu*, za którą ukrywa się wąsaty szofer? Tak czy owak anegdota wyglądała na zmyśloną i tak bardzo nieautentyczną, że paradoksalnie w jej efekcie podejrzenia tylko się wzmogły. „Próba wyjaśnienia dwuznaczności przynosi jeszcze większe szkody" – lubił mawiać kardynał de Retz – myśl ta stosuje się do całego Watykanu.

Jedno natomiast jest pewne – wybór kapłaństwa w wykonaniu Josepha Ratzingera jest tylko połowiczny. Będąc księdzem, jest zarazem profesorem, jako papież jeździ na wakacje do Castel Gandolfo, gdzie spędza całe dni na pisaniu. Zawsze się wahał między życiem pasterza a karierą naukowca. Co nie przeszkadzało mu – dzięki inteligencji i niezrównanej pracowitości – szybko piąć się w górę. Ledwie wyświęcony, zaraz zostaje profesorem. Ledwie przyjął sakrę biskupią, a już otrzymuje nominację kardynalską. Jego wybór na stolicę Piotrową to po śmierci Jana Pawła II naturalna kolej rzeczy.

Jest postępowcem czy konserwatystą? Joseph Ratzinger tak bardzo jest kojarzony z prawym skrzydłem w Watykanie, że to pytanie wydaje się dziwne. Odpowiedź, dziś oczywista, w kontekście tamtej epoki jest o wiele bardziej skomplikowana. Wbrew przydomkom, jakimi go później obsypywano – „Panzerkardinal", „Boży rottweiler", „Owczarek niemiecki" – młody Ratzinger zaczynał karierę na watykańskiej lewicy jako egzegeta Soboru Watykańskiego II (w którym uczestniczył jako „peritus", czyli ekspert). Kardynałowie, którzy poznali go w tamtych czasach, oraz świadkowie, z którymi rozmawiałem w Berlinie, Monachium i Ratyzbonie, opowiadali o nim jako o postępowcu, którego poglądy były złożone i bynajmniej nie niezmienne. Ratzinger jest raczej otwarty i życzliwy: w osobach, które się z nim nie zgadzają, nie węszy od razu

luteranizmu czy ateizmu. Podczas dyskusji często okazuje wahanie, niemal nieśmiałość. „Ratzingerowie nie są szczególnie żywiołowi" – powie w którymś wywiadzie. Podobno nigdy nie narzuca swojego punktu widzenia.

Jednakże w przeciwieństwie do swojego eksprzyjaciela teologa Hansa Künga czy rodaka Waltera Kaspera Joseph Ratzinger z czasem będzie odczytywał sobór w sposób coraz bardziej restrykcyjny. On, człowiek soboru, a zatem postępowiec, staje się jego strażnikiem – tak wymagającym i ortodoksyjnym, że nie przyjmuje żadnej innej interpretacji soborowego nauczania oprócz swojej. On, który pojmował doniosłość Vaticanum Secundum i składał hołd jego nowoczesności, będzie później zapamiętale powściągał jego skutki. A to dlatego, że w międzyczasie przydarzyły się „lata sześćdziesiąte" oraz maj '68. I Joseph Ratzinger się przestraszył.

– Ratzinger to teolog, który się przestraszył. Zaczął się bać Soboru Watykańskiego II, teologii wyzwolenia, marksizmu, „lat sześćdziesiątych". Homoseksualistów – mówi profesor Arnd Bünker, wpływowy szwajcarski teolog, z którym rozmawiałem w Sankt Gallen.

Bardziej niż któregokolwiek papieża przed nim czy po nim Ratzingera wypełniają „smutne namiętności". On, z natury człowiek radosny, staje się wrogiem wszystkich „seksualnych wyzwolicieli": dręczy go lęk, że ktokolwiek gdziekolwiek mógłby doświadczać przyjemności. Swoje obsesje na punkcie „nihilistycznych dewiacji" (czytaj: „maj '68") przekuje w encykliki. Z jego fiksacji na punkcie winy powstaną bulle.

Pontyfikat Benedykta XVI, który przebiega pod znakiem ścisłej ortodoksji, w oczach jego przeciwników jawi się jako czas „reakcji". Sam Benedykt używa słowa „odnowa", które oznacza dla niego powrót do monarchii boskiego prawa, czym budzi polemiki.

– To prawda, włożył Sobór Watykański II do zamrażarki – przyznaje pewien kardynał bliski byłemu papieżowi.

Co Joseph Ratzinger myśli w tym czasie na tematy społeczne, wśród których znajduje się homoseksualizm? Zna to zagadnienie przynajmniej z lektur. Warto zauważyć, że kilku spośród katolickich autorów, których darzy czcią – Jacques Maritain, François Mauriac – ma na tym punkcie obsesję i że obsesja ta dręczyła również Paula Claudela.

Zresztą papież Benedykt XVI sam ukuł pewną formułę będącą wyrazem swoistej autocenzury, która także jest znakiem jego epoki: oświadcza, że czyta tylko autorów „godnych szacunku". Nigdy w trakcie swojej kariery nie wspomina o Rimbaudzie, Verlainie, André Gidzie czy Julienie Greenie – autorach, z którymi na pewno się spotkał i których prawdopodobnie też czytał, a jednak stali się niegodni nawet wzmianki. Mógł natomiast mówić o swoim podziwie dla François Mauriaca i Jacques'a Maritaina, pisarzy w owym czasie „godnych szacunku", ponieważ ich skłonności zostały ujawnione dopiero później.

Wreszcie, jeśli chodzi o jego upodobania kulturalne, należy dodać, że Joseph Ratzinger uczynił swoją maksymę Nietzchego: „Bez muzyki życie byłoby pomyłką". Można nawet powiedzieć, że przyszły papież sam jest „bajeczną operą": szaleje na punkcie muzyki niemieckiej, od Bacha do Beethovena, poprzez homofila Haendla. A przede wszystkim Mozarta, którego utwory wykonywał już jako mały chłopiec ze swoim bratem (Ratzinger, wspominając swoją młodość, opowiadał, że kiedy zaczynał *Kyrie*, było tak, jakby otwierało się niebo). Opery Mozarta go zachwycają, natomiast włoskie, które często ograniczają się do – jak głosi znana maksyma – wysiłków barytonu, by uniemożliwić tenorowi i sopranowi sypianie ze sobą, nudzą. Joseph Ratzinger nie ma upodobań

śródziemnomorskich, ale germańskie: subtelność *Cosí*, zawoalowana erotomania *Don Giovanniego* i oczywiście czysty androgynizm opery *Apollo i Hiacynt*. Mozart to najbardziej genderowy spośród wszystkich kompozytorów opery. Część duchownych, z którymi rozmawiałem, nazywała nawet Josepha Ratzingera „liturgy queen" lub „opera queen".

BENEDYKT XVI TO TAKŻE STYL. Stanowi kategorię samą dla siebie. *Sua cuique persona* (każdy ma swoją maskę), jak mówi łacińska maksyma.

Ekscentryczny papież od chwili wyboru staje się ulubieńcem włoskich gazet: figurą świata mody wnikliwie obserwowaną przez wszystkich mediolańskich projektantów, jak jeszcze niedawno Grace Kelly, Jacqueline Kennedy-Onassis czy Elżbieta II.

Trzeba przyznać, że Benedykt jest strojnisiem. Z początku, jak w przypadku wszystkich papieży, ubrania na miarę dostarczał mu Gammarelli, słynny „krawiec kleru" mający siedzibę dwa kroki od Panteonu. Tam w ponurym, dyskretnym i drogim sklepie można kupić mitrę, biret, pelerynkę, komżę czy zwykłą koloratkę, wszelkiego rodzaju sutanny, kapy kurialne, a także osławione czerwone skarpetki Gammarelli.

– Jako projektant kościelny obsługujemy cały kler, począwszy od seminarzystów, przez księży, biskupów, aż po kardynałów i oczywiście ojca świętego, który jest naszym najznakomitszym klientem – mówi Lorenzo Gammarelli, kierownik sklepu. I dodaje: – Ale oczywiście w przypadku papieża jeździmy do Watykanu, do jego apartamentów.

Wyczuwam jednak, że mój rozmówca wypowiada się dziwnie wymijająco. W sklepie czci się Pawła VI, Jana Pawła II i Franciszka. Imienia Benedykta XVI jakoś się nie wymawia. Jakby wzięto je w nawias.

Wszyscy pamiętają afront, jaki papież wyrządził Gammarellemu. Benedykt XVI zaczął się zaopatrywać w Euroclero, sklepie konkurencji znajdującym się w pobliżu placu Świętego Piotra. Jego szef, sławny od tego czasu Alessandro Cattaneo, zarobił dzięki niemu fortunę. Skrytykowany za ten kluczowy liturgiczny błąd papież Benedykt XVI ostentacyjnie wrócił do oficjalnego krawca, lecz wcale nie porzucił Euroclero: „Bez Gammarellego nie sposób się obejść!", przyznał. Co dwaj krawcy, to nie jeden.

Tylko dwaj? Benedykt XVI zapałał tak wielką miłością do *haute couture*, że ma do swoich usług całą czeredę projektantów, kapeluszników i producentów obuwia. Nie mija wiele czasu, a Valentino Garavani projektuje dla niego nową czerwoną kapę. Potem Renato Balestra szyje duży niebieski ornat. W marcu 2007 roku papież przybywa w odwiedziny do więzienia dla chłopców z całą pompą, ubrany w ekstrawagancką szatę w kolorze cukierkowego różu.

Pewnego słonecznego dnia osłupienie Włochów wywołuje widok papieża w ray-banach. Niedługo potem, również latem, wkłada ażurowe geoxy sygnowane przez weneckiego producenta obuwia Mario Morettiego Polegata.

Dziwny to wybór jak na tak cnotliwego papieża: niektórzy spośród tych projektantów odzieży i obuwia słyną z „wewnętrznie nieuporządkowanych" obyczajów. Skrytykowany za ray-bany namiestnik Chrystusa na ziemi sprawia sobie nieco bardziej dyskretne okulary słoneczne marki Serengeti-Bushnell; skrytykowany za casualowe geoxy wzuwa wspaniałe intensywnie czerwone mokasyny od Prady.

Na temat pantofli od Prady wylano wiele atramentu – stały się inspiracją co najmniej kilkuset artykułów. A także kilku pogłębionych śledztw dziennikarskich i reportażu autorstwa słynnej

Christiane Amanpour w CNN, które wykazały, że prawdopodobnie to jednak nie Prada jest ich producentem. Więc może diabeł ubiera się u Prady, ale papież nie!

Benedykt XVI lubi się stroić bardziej niż wszyscy jego poprzednicy. Kamerdyner, który przygotowywał jego garderobę, miał przy nim mnóstwo pracy. A także kilka powodów do strachu. Na jednym ze zdjęć Ratzinger pojawia się z miną nastolatka, który coś nabroił. Czyżby tym razem papież ukrył przed krawcem swojego nowego bzika? Bo oto widzimy go tryskającego radością w czerwonej czapce podbitej gronostajem. To oczywiście osławione „camauro”, czyli kapelusz zimowy, ale papieże od czasów Jana XXIII już go nie noszą. Tym razem prasa otwarcie naśmiewa się z Papy Ratzingera, który wygląda w tym zabawnym czepku jak Święty Mikołaj.

Alarm w stolicy apostolskiej! Incydent w Watykanie! Od Benedykta XVI zażądano wyjaśnień. Złożył je, a jego wypowiedź została nazwana spowiedzią czapki Świętego Mikołaja. Papież stwierdził, że użył jej tylko raz. Było mu zimno, a ma przecież wrażliwą głowę. Potem już jej nie nosił. Jak stwierdził, by nie prowokować zbytecznych interpretacji.

Sfrustrowany zrzędzeniem i straszeniem papież postanowił ubierać się bardziej klasycznie i wrócić do ornatów i pelerynek. Ale nie zrozumiejmy naszego strojnisia źle: bo oto postanawia wyjąć z szafy aksamitny karmazynowy mucet lamowany gronostajem (Franciszek z niego zrezygnował). Papież niczym showgirl idzie z duchem czasu i wkłada też na siebie średniowieczny ornat skrzypcowy!

I oczywiście nakrycia głowy. Zatrzymajmy się na chwilę przy tych zabawnych, których śmiałość przekracza wszelkie zrozumienie. Paradowanie w takich pierożkach czy innych dziwacznych czapkach w przypadku niepapieża byłoby narażaniem się jeśli nie na czyściec, to przynajmniej na kontrolę policji. Najsłynniejszy był

jaskrawoczerwony kowbojski kapelusz w stylu *Brokeback Mountain*. W roku 2007 popularny amerykański magazyn „Esquire” klasyfikuje papieża na pierwszym miejscu swojego rankingu osobowości, na czele kategorii „Dodatki roku”.

Dodajmy do tego stary złoty zegarek marki Junghans, iPod Nano, kaftany z frędzlami i osławione spinki do mankietów, które jak sam przyznał, były jego utrapieniem – i portret Benedykta w kapie gotowy. Nawet Fellini w przedstawionym w filmie *Rzym* pokazie mody kościelnej, na którym nie zabrakło przecież gronostajów i czerwonych skarpet, nie miał na tyle tupetu, by posunąć się aż tak daleko. Można by opisać tak wystrojonego papieża słowami słynnego sonetu Michała Anioła: *Un uomo in una donna, anzi un dio* (Mężczyzna w kobiecie, a raczej Bóg).

Najwierniejszy portret kardynała Ratzingera zawdzięczamy Oscarowi Wilde’owi. Po mistrzowsku opisał on przyszłego papieża w słynnym rozdziale *Portretu Doriana Graya*[66], w którym bohater zmienia się w zhomoseksualizowanego dandysa i zachwyca się rzymskokatolickimi szatami kapłańskimi: cześć i ofiara; cnoty kardynalne i młodzi wykwintnisie; duma „z własnej indywidualności” zawierająca „w sobie jakiś czar właściwy grzechowi”; upodobanie do perfum, biżuterii, spinek do mankietów obrębionych złotem, purpura i niemiecka muzyka. Wszystko tam jest. Wilde podsumowuje: „Mistyczne obrzędy, do których wszystkie te skarby służyły, pobudzały i podniecały jego wyobraźnię”. I dalej: „Czyżby nieszczerość była czymś strasznym? Nie sądzę. Jest tylko środkiem do zwielokrotnienia naszej indywidualności”.

Wyobrażam sobie, jak Joseph Ratzinger po przymierzeniu wszystkich tych błyskotek, koronek, wypróbowaniu zapachów i wysłuchaniu oper woła niczym modniś Dorian Gray: „Jakże życie było ongi wspaniałe!”.

I JEST JESZCZE GEORG. Relacja kardynała z Georgiem Gänsweinem była – obok tematu strojów i kapeluszy papieża – tak szeroko dyskutowana i stanowiła przedmiot tylu plotek, że należałoby tutaj podejść do niej z roztropnością, która bynajmniej nie cechowała polemistów.

Niemiecki dostojnik nie był pierwszym protegowanym kardynała. Wiemy o co najmniej dwóch młodych asystentach, z którymi już wcześniej łączyła Ratzingera szczególna przyjaźń. W obu przypadkach szalona, osmotyczna i dwuznaczna, co rodziło liczne plotki. Wspólną cechą tych mężczyzn była anielska uroda.

Pochodzący z Niemiec ksiądz Joseph Clemens zawsze był wiernym pomocnikiem kardynała Ratzingera. Urodziwy kapłan (ale o dziesięć lat starszy od Georga) miał przeżyć prawdziwą intelektualną fascynację młodym Gänsweinem, tak że zatrudnił go jako swojego asystenta. Zgodnie ze scenariuszem dobrze znanym we włoskich operach, a rzadziej w liryce niemieckiej, Gänswein – sekretarz sekretarza – nie traci czasu i szybko zajmuje miejsce Clemensa, który w międzyczasie zostaje wyświęcony na biskupa. Cała ta akcja zbliżenia się do *capo del suo capo*, czyli do szefa swojego szefa, zapisze się na trwałe w annałach Watykanu.

Dwaj bezpośredni świadkowie w Kongregacji Nauki Wiary zrelacjonowali mi przebieg tego serialu – jego sezony, odcinki i *cliffhangery*. Mówili przy tym o nieudanej „transfiliacji” – to słowo szalenie mi się spodobało.

Z uwagi na ograniczoną ilość miejsca teraz będzie spojler – od razu przejdę do ostatniego odcinka sezonu. Suspens kończy się upadkiem Clemensa – biednego i nieroztropnego w obejściu z ambitnym stażystą. Georg triumfuje! Wiem, to niemoralne, ale tak chciał scenarzysta.

W międzyczasie rozegrał się psychologiczny rozwód. Kłótnia jak

w teatrze, publiczne sceny małżeńskie, ciosy poniżej pasa w wykonaniu *drama queens*, niezdecydowanie i krok w tył papieża paranoika, który się waha, czy ostatecznie opuścić swoją „ukochaną wielką duszę", by pójść za naturalnym instynktem; próby zawstydzania i być może szantażu; Georg odmawiający przekazania Josephowi nowego numeru swojej komórki; wreszcie remake i publiczny skandal – unowocześniona wersja *Pojedynku w Corralu O.K.* via pierwszy odcinek serialu *Vatileaks*.

Ratzinger, który nie lubi konfliktów, a tym bardziej skandali (sprawa zaczęła się robić głośna we włoskiej prasie), pociesza odtrąconego syna, stosując chwyt *promoveatur ut amoveatur*. A Georg zostaje prawdziwym sekretarzem. Numerem jeden.

Zanim jednak przejdziemy do niego, muszę opowiedzieć o jeszcze jednym asystencie, który również rozgrzał wyobraźnię Benedykta XVI i otrzymał szybki awans. To Maltańczyk Alfred Xuereb. Był drugim prywatnym sekretarzem papieża, zastępcą Georga Gänsweina – nie miał jednak pokusy, by zająć miejsce kalifa. Benedykt XVI pozostał z nim w znakomitych stosunkach i kiedy opuścił swój urząd, zabrał go do Castel Gandolfo. Niedługo potem miał go oddać pod skrzydła Franciszka, u którego Alfred pozostał krótką chwilę. Nowy papież – który słyszał pogłoski o jego niegodziwości i makiawelizmie – szybko go odesłał pod pretekstem, że potrzebny mu sekretarz hiszpańskojęzyczny. Jego wybór padł na od dawna mu znanego argentyńskiego księdza Fabiána Pedacchia. Alfred Xuereb ostatecznie został zatrudniony przez kardynała George'a Pella i otrzymał zadanie czuwania nad obyczajami i finansami Banku Watykańskiego.

GEORG TO MARLBORO MAN. Gänswein ma atletyczną sylwetkę gwiazdy kina albo modela z reklamy. Do tego jest diabelnie urodziwy. Moi rozmówcy w Watykanie często porównywali go do czarujących aktorów Viscontiego. Dla jednych Georg jest jak

Tadzio ze *Śmierci w Wenecji*: przez długi czas nosił, jak on, długie, kręcone włosy; dla innych – jak Helmut Berger ze *Zmierzchu bogów*. Jeszcze inni widzą w nim Tonia z *Tonia Krögera*, być może z powodu niebieskich oczu, które potrafią zmącić umysł (a także dlatego, że Ratzinger czytał Thomasa Manna, pisarza będącego modelowym przykładem osoby o wypartych czy stłumionych skłonnościach). Krótko mówiąc, Georg jest atrakcyjny.

Poza tymi kryteriami estetycznymi – ostatecznie powierzchownymi – istnieją przynajmniej cztery powody, które wyjaśniają doskonałą komitywę, jaka zawiązała się między młodym monsiniorem a starym kardynałem. Po pierwsze, Georg jest o trzydzieści lat młodszy od Ratzingera (mniej więcej taka sama różnica wieku dzieliła Michała Anioła i Tommaso Cavalieriego) i przejawia wobec niego niezrównaną pokorę oraz czułość. Po drugie, ten młody człowiek o urzekającym spojrzeniu to Bawarczyk urodzony w Szwarcwaldzie, co przypomina Ratzingerowi jego własną młodość. Georg jest szlachetny jak rycerz z zakonu krzyżackiego i ludzki, stanowczo zbyt ludzki, niczym nieustannie poszukujący towarzysza Wagnerowski Zygfryd. Georg podobnie jak przyszły papież kocha muzykę poważną, a w dodatku gra na klarnecie (ulubiony utwór Benedykta XVI to *Kwintet klarnetowy* Mozarta).

I wreszcie czwarty klucz do tej jakże intymnej przyjaźni: Georg Gänswein to surowy konserwatysta, „trads" i antygej, który lubi władzę. Liczne artykuły podają informację, którą jednak sekretarz papieża zdementował, jakoby w Écône w Szwajcarii spotykał się z księżmi z Bractwa Świętego Piusa X założonego przez biskupa Lefebvre'a – skrajnie prawicowego dysydenta, negacjonistę, antysemitę, obrońcę mszy trydenckiej, który ostatecznie został ekskomunikowany. Inni moi rozmówcy, zwłaszcza w Hiszpanii, gdzie przeprowadziłem wiele wywiadów i gdzie Georg podczas wakacji

utrzymywał bliski kontakt z ultrakonserwatywnymi kręgami, uważają, że jest on członkiem Opus Dei; wykładał też na prowadzonym przez tę instytucję Uniwersytecie Santa Croce w Rzymie, ale jego przynależność do Dzieła nigdy nie została potwierdzona ani udowodniona. W sprawie upodobań tego ognistego mężczyzny mamy więc jasność.

W Niemczech i niemieckojęzycznej Szwajcarii, gdzie w ramach mojego śledztwa byłem ponad piętnaście razy, odwiedzając jego przyjaciół i wrogów, przeszłość Georga Gänsweina nadal jest tematem wielu plotek. Dziennikarze, z którymi spotykałem się w Berlinie, Monachium i Zurychu, wciąż przechowują obszerne materiały na temat jego domniemanych związków ze skrajnie prawicowym odłamem niemieckiego katolicyzmu. Czy to rzeczywiście taki toksyczny piękniś, za jakiego go uważają?

W każdym razie Gänswein należy do grupy o nazwie Das Regensburger Netzwerk. Jest to ruch skrajnej prawicy, wśród której mogli się obracać Joseph Ratzinger, jego brat Georg Ratzinger (który nadal mieszka w Ratyzbonie), a także kardynał Ludwig Müller. Księżna Gloria von Thurn und Taxis, niemiecka miliarderka i monarchistka, z którą rozmawiałem w jej zamku w Ratyzbonie, zdaje się od dawna wspierać tę grupę. Do owej paradoksalnej organizacji należą też niemiecki ksiądz Wilhelm Imkamp (obecnie mieszkający w pałacu księżnej Glorii TNT) czy też „luksusowy biskup” Limburga Franz-Peter Tebartz-van Elst, który przyjął mnie w Rzymie (być może dzięki wsparciu kardynała Müllera oraz biskupa Georga Gänsweina został włączony do kierowanej przez Rino Fisichellę Papieskiej Rady do spraw Nowej Ewangelizacji, mimo że ma za sobą potężną aferę finansową: „biskup Bling Bling” wydał na renowację swojej rezydencji 31 milionów euro, co spotkało się z ogromnymi kontrowersjami oraz surową karą ze strony papieża

Franciszka).

Niedaleko Bawarii – w szwajcarskim mieście Chur – znajduje się ważna gałąź „sieci ratyzbońskiej” skupiona wokół biskupa Vitusa Huondera i jego zastępcy księdza Martina Grichtinga. Zdaniem ponad pięćdziesięciu księży, dziennikarzy i znawców szwajcarskiego katolicyzmu, z którymi rozmawiałem w Zurychu, Illnau-Effretikon, Lozannie, Sankt Gallen, Bazylei i oczywiście w Chur, biskup ten lubi się otaczać homofobami ze skrajnej prawicy, jak również bardzo „praktykującymi” homofilami. To złożone i zmienne towarzystwo jest w Szwajcarii tematem wielu plotek.

Można więc powiedzieć, że Georg jest dla Josepha dobrą partią. Między nim a Ratzingeram powstaje wspaniałe porozumienie dusz. Ultrakonserwatyzm Gänsweina – wraz z jego wewnętrznymi sprzecznościami – jest podobny do poglądów starego kardynała. Dwaj single, od kiedy się spotkali, pozostają nierozłączni. Zamieszkali razem w pałacu biskupim: papież na trzecim piętrze, Georg na czwartym. Włoska prasa rozpisuje się na temat tej pary z żarliwością, jakiej nie doczekała się żadna królowa – i nazywa Georga „Bel Giorgio”.

Niełatwo jednak rozgryźć stosunek władzy, jaki łączy obu ludzi Kościoła. Niektórzy pisali, że Georg, widząc, iż papież jest słaby i coraz starszy, miał marzyć o roli Stanisława Dziwisza, słynnego osobistego sekretarza Jana Pawła II, który w miarę starzenia się papieża sprawował coraz większą władzę. Lektura tajnych dokumentów ujawnionych w aferze Vatileaks nie budzi wątpliwości w sprawie upodobania Gänsweina do władzy. Inni utrzymywali, że Benedykt XVI gra już tylko drugie skrzypce i towarzyszy swojemu asystentowi. I wysuwali niezbyt przekonującą tezę o typowej relacji odwróconej dominacji. Co Georg podsumował nieco żartobliwie, jakby chciał sobie zakpić z krążących pogłosek: „Moja rola polega

na chronieniu Jego Świątobliwości przed lawiną listów, które otrzymuje”. I dodał: „Jestem czymś w rodzaju pługa śnieżnego”. Tytuł jednego ze słynnych wywiadów z nim, który trafił na pierwszą stronę „Vanity Fair”, to słowa samego Georga: „Być przystojnym to nie grzech”.

Czy on nie przesadza? Sfrustrowany narcyz uwielbia pokazywać się u boku ojca świętego. Widać to na setkach fotografii: Don Giorgio trzyma papieża za rękę; szepce papieżowi do ucha; pomaga mu iść; wręcza mu bukiet kwiatów; delikatnie umieszcza z powrotem zerwany przez wiatr kapelusz na jego głowie. Inne zdjęcia są jeszcze bardziej zaskakujące, jak to w stylu Jacka i Jackie Kennedych, na którym Georg stoi dosłownie nad papieżem, opiekuńczym męskim gestem otula fruwającą na wietrze obszerną jaskrawoczerwoną narzutką, by go ochronić przed zimnem, a następnie czule go obejmuje, wiążąc troczki. Na tej serii zdjęć Benedykt jest cały w bieli; Georg ma na sobie czarną sutannę z osiemdziesięcioma sześcioma purpurowymi guzikami, delikatnie obrębioną fioletowym jedwabiem. Żaden z osobistych sekretarzy papieskich nie pozował w ten sposób: ani John Magee przy Pawle VI, ani Stanisław Dziwisz przy Janie Pawle II, ani Fabián Pedacchio przy Franciszku.

I jeszcze jeden detal. Być może czytelnik nie przywiąże do niego żadnej wagi i uzna to zjawisko za częste, rozpowszechnione i nic nieznaczące. Autor jednak myśli inaczej: nie jest na tyle małe, by nie mieć sensu, a zdarza się, że detale zdradzają nagle długo skrywaną prawdę. Bo jak to się mówi: diabeł tkwi w szczegółach. A oto ten szczegół: dowiedziałem się, że papież nadał Georgowi nowe imię – Ciorcio, wymawiane z silnym włoskim akcentem. Nie jest to imię używane w kurii, to czułe zdrobnienie, którym posługuje się tylko papież. Oczywiście chce w ten sposób odróżnić sekretarza od swojego

starszego brata, który również ma na imię Georg. Ale zaznacza również w ten sposób, że ich zawodowa relacja to także przyjaźń – albo „miłosna przyjaźń”.

Nie należy też lekceważyć zazdrości, jaką wzbudziła w stolicy apostolskiej obecność owego Antinousa u boku starego kardynała Ratzingera. I rzeczywiście, w pierwszej aferze Vatileaks miały wypłynąć wszystkie nazwiska wrogów Georga w kurii. Gdy rozmawia się z księżmi, spowiednikami, biskupami czy kardynałami w Watykanie, tę ledwie zawoalowaną zazdrość widać gołym okiem; o Georgu mówią: „przystojniak”, „jest na czym oko zawiesić”, „watykański George Clooney” czy też duchowny „dla paparazzich” (złośliwa gra słów: „Papa Ratzi” to przecież papież Ratzinger). Niektórzy zwracają uwagę, że na temat jego relacji z Ratzingerem w Watykanie krążyły plotki, a kiedy we włoskiej prasie pojawiły się zdjęcia Georga w stroju trekkingowym i obcisłych spodniach, „poczucie zażenowania stało się nieznośne”. Nie mówiąc już o jesienno-zimowej kolekcji odzieży męskiej z 2007 roku zaprojektowanej przez Donatellę Versace i nazwanej „clergyman”. Projektantka przyznała, że zainspirował ją „piękny George” (jej brat Gianni Versace, który był gejem, został zamordowany w Miami przez seryjnego zabójcę).

W obliczu wszystkich tych ekstrawagancji, które ojciec święty najwyraźniej tolerował, wielu kardynałów i biskupów tłumiących i ukrywających swój homoseksualizm było w szoku. Ich głęboka uraza, której podłożem była zazdrość, miała swój udział w klęsce tego pontyfikatu. Georga Gänsweina oskarżano, że omamił papieża i ukrywał swoją grę pod płaszczykiem pokory: twierdzono, że niemiecki prałat ma żelazną ambicję i wyobraża sobie siebie w roli kardynała albo nawet papabile!

Wszystkie te plotki i pogłoski, które regularnie spływały do mnie

w Watykanie, choć nigdy nie zostały udowodnione, sugerują jedno: że chodziło o więź uczuciową. Taka jest zresztą teza książki Davida Bergera, która ukazała się w Niemczech pod tytułem *Der Heilige Schein* (Święta iluzja). Berger, bezpośredni świadek, był młodym teologiem neotomistą z Bawarii, który szybko zrobił karierę w Watykanie, kiedy został członkiem Papieskiej Akademii im. Świętego Tomasza z Akwinu i współpracownikiem wielu czasopism wydawanych przez stolicę apostolską. Kardynałowie i biskupi schlebiali nieujawnionemu homoseksualiście – a czasem też go podrywali – mimo że nigdy nie był księdzem. A młody człowiek odpowiadał na ich uprzejmości.

Z dość tajemniczych powodów ten konsultant o przerośniętym ego angażuje się nagle w działalność progejowską i zostaje redaktorem naczelnym jednej z głównych gejowskich gazet w Niemczech. Nic dziwnego, że Watykan natychmiast odbiera mu mandat teologa.

W książce na podstawie własnych doświadczeń ze szczegółami opisuje homoerotyczną estetykę liturgiczną katolicyzmu i podprogowy homoseksualizm Benedykta XVI. Jako teolog gej publikujący swoje obserwacje z samego serca Watykanu szacuje liczbę homoseksualistów w Kościele na „ponad 50 procent". Mniej więcej w połowie książki idzie jeszcze dalej, przypominając o zdjęciach pornograficznych i skandalu seksualnym w Sankt Pölten w Austrii, w który miało być zamieszane otoczenie samego papieża. Niedługo później w wywiadzie dla telewizji ZDF David Berger opowiada o życiu seksualnym Benedykta XVI, powołując się na wypowiedzi teologów i księży, z którymi rozmawiał. To klasyczne wyoutowanie wywołuje głębokie zgorszenie w Niemczech, ale niemal nie przekracza granic środowisk niemieckojęzycznych (książka nie została przetłumaczona), co najprawdopodobniej spowodowane jest słabością postawionej tezy.

Kiedy rozmawiam z nim w Berlinie, David Berger szczerze odpowiada na moje pytania i bije się w piersi. Spotykamy się na obiedzie w restauracji prowadzonej przez imigrantów z Grecji, choć Berger jest powszechnie krytykowany za swoje antyimigranckie wypowiedzi.

– Pochodzę z lewicowej rodziny, takiej hipisowskiej. Przyznaję, że we wczesnej młodości miałem dużą trudność z uznaniem swojego homoseksualizmu i że czułem duże napięcie w związku z moją orientacją i perspektywą zostania księdzem. Jako dziewiętnastoletni kleryk zakochałem się w chłopaku. Minęło ponad trzydzieści lat i wciąż jesteśmy razem – wyznaje Berger.

Po przyjeździe do Rzymu naturalną koleją rzeczy wchodzi w watykańskie kręgi homoseksualne. Prowadzi podwójne życie, a kochanek regularnie go odwiedza.

– Kościół od zawsze był miejscem, w którym homoseksualiści czuli się bezpiecznie. To jest kluczowe. Dla geja Kościół jest „safe".

W swojej książce obfitującej w opisy rzymskich przygód David Berger pokazuje więc homoerotyczny Watykan. Jednak wysuwając zarzuty wobec papieża i jego sekretarza, ów świadek oskarżenia, który zmienił się w gejowskiego aktywistę, nie dostarcza żadnych dowodów. W końcu musi nawet przeprosić za to, że w wywiadzie dla ZDF posunął się za daleko.

– Wbrew temu, co się mówi, nigdy nie dyskredytowałem mojej książki. Wyraziłem jedynie żal, że w telewizji powiedziałem, iż Benedykt XVI jest gejem, choć nie miałem na to dowodów. Przeprosiłem.

Po obiedzie David Berger zaprasza mnie na kawę do swojego lokum położonego kilka budynków dalej, w samym sercu historycznej gejowskiej dzielnicy Schönenberg. Żyje w otoczeniu książek i obrazów w dużym berlińskim mieszkaniu z pięknym

klasycznym kominkiem. Kontynuujemy rozmowę na temat organizacji Regensburger Netzwerk, o której dużo pisze w swojej książce, nazywając ją „siatką Gänsweina”. Według niego biskup Georg Gänswein, kardynał Müller, ksiądz Wilhelm Imkamp oraz księżna Gloria von Thurn und Taxis należą do tej skrajnie prawicowej grupy.

Co zaskakujące, David Berger w wielu opiniach jest bliski swoim krytykom. Podobnie jak u nich jego światopogląd ewoluował w kierunku niektórych tez głoszonych przez niemiecką skrajną prawicę (AfD), co przyznaje w trakcie rozmowy, na swoje usprawiedliwienie podkreślając główne europejskie problemy, jakimi są imigracja i islam.

– David Berger bardzo stracił na wiarygodności, kiedy zbliżył się do niemieckiej skrajnej prawicy i ultranacjonalistycznej partii AfD. Stał się też obsesyjnie antymuzułmański – mówi mi były niemiecki poseł Volker Beck, z którym również rozmawiam w Berlinie.

Stwierdzenie Davida Bergera o czynnym homoseksualizmie Josepha Ratzingera i Georga jest dziś dość powszechnie dyskredytowane. Przyznajmy, że o osobistych stosunkach, jakie łączą papieża Benedykta XVI i jego sekretarza, nie wiemy nic. Nikt zresztą, nawet w Watykanie, nie był w stanie ustalić prawdy. Istnieją wyłącznie spekulacje. A to, że Georg nawet dwa razy dziennie pomaga ojcu świętemu wstać z łóżka (papież praktykuje sjestę) oraz jada z nim obiady, nie stanowi nawet zalążka dowodu.

Jeśli spojrzeć z dystansu, granice bromansu są nieostre. Przyglądając się jednak z bliska, wysuńmy najbardziej prawdopodobną hipotezę znaną z wielkiej tradycji średniowiecznej czystej i pięknej „miłosnej przyjaźni”. Owa idealizacja platonicznej miłości, marzenie o fuzji dusz przy zachowaniu fizycznej czystości dobrze koresponduje z osobowością Ratzingera. I może właśnie ta

„miłosna przyjaźń” przywraca mu energię i karmi jego pasję.

Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa – ale któż to wie? – można by pomyśleć, że Ratzinger był uczciwszy, niż przypuszczali aktywiści LGBT, którzy tak często zarzucali mu, że „siedzi w szafie”. Oznaczałoby to, że jego jedyną ambicją było narzucenie własnych cnót innym – sam wierny ślubowi czystości za cenę rozdzierającej walki wymagał od homoseksualistów, by postępowali tak jak on. Ratzinger więc „byłby człowiekiem, którego należałoby wykluczyć z gatunku ludzkiego, gdyby sam nie stosował wymagań, które narzucał innym, i gdyby im nie sprostał”[67]. Celne słowa Chateaubrianda na temat jego ukochanego ojca Rancé doskonale pasują do Ratzingera.

O ile życie intymne Josepha Ratzingera – wbrew temu, co sugerowali niektórzy – pozostaje dla nas wszystkich tajemnicą, o tyle życie Georga jest nią w znacznie mniejszym stopniu. Rozmawiałem z księżmi, z którymi mieszkał w Domu Świętej Marty, z asystentem, który z nim pracował, ze znajomymi, z którymi spotykał się w Hiszpanii, Niemczech i Szwajcarii. Wszyscy oni z tęsknotą wspominają niezwykle uprzejmego księdza „nieprzeciętnej urody”, zawsze nienagannie ubranego, „zdecydowanie czarującego”, ale czasem „dziwacznego”, „zmiennego” i „kapryśnego”. Choć nikt nie mówi o nim źle, dowiaduję się, że w młodości blondyn miał lubić dzikie noce i jak wszyscy księża spędzał wieczory w męskim towarzystwie.

Jedno jest pewne: Gänswein interesuje się podwójnym życiem kardynałów, biskupów i księży. Według kilku moich informatorów ten „control freak” miał prosić o notatki i informacje o niektórych duchownych. W Sodomie wszyscy wszystkich szpiegują – a jednym z głównych motywów intryg jest homoseksualizm.

Jasnowłosy przystojniak podróżuje też, by uciec od surowych

zasad życia w Watykanie, by odwiedzać inne parafie i szukać tam przyjaźni. Ze względu na swoją urodę woli przebywać wśród mężczyzn, niż narażać się na plotki na temat relacji z płcią piękną, które to plotki i tak są liczne, ale wygląda na to, że bezpodstawne.

„Jest bardzo otwarty", mówi mi pewien ksiądz w Szwajcarii. „Jest bardzo towarzyski", mówi ksiądz, z którym rozmawiam w Madrycie. Ma liczne kontakty „towarzyskie", mówi trzeci ksiądz w Berlinie. Dziś z uwagi na prestiżowe tytuły nie tyle on zabiega o innych, ile inni zabiegają o niego; ma przydatne znajomości, w których jego narcyzm może być tylko atutem.

Pomimo plotek i oszczerstw papież Benedykt XVI nigdy nie odsunął swojego ulubieńca. Przeciwnie, awansował go. Po skandalu Vatileaks, w który Georg był zamieszany i za który był po części odpowiedzialny, rzymski biskup potwierdził swoje zaufanie, powołując go na prefekta Domu Papieskiego (z grubsza rzecz biorąc, szefa protokołu), a co najważniejsze – uczynił arcybiskupem. Oficjalnie stało się to w uroczystość Objawienia Pańskiego 6 stycznia 2013 roku – miesiąc przed sensacyjną dymisją ojca świętego – podczas pełnej przepychu mszy, która wyznacza nieformalny koniec pontyfikatu.

„BENEDYKT XVI SIĘ ODWAŻYŁ!". Tak powiedział pewien ksiądz z kurii, który wciąż pozostaje pod wrażeniem „najpiękniejszego wydarzenia w swoim życiu". Nigdy żaden współczesny papież nie poważył się odprawić takiej mszy koronacyjnej, z takim przepychem, takim szaleństwem, dla swojego przystojnego protegowanego. W dniu konsekracji Georga Gänsweina na arcybiskupa Benedykt XVI przewodniczy jednej z najpiękniejszych uroczystości liturgicznych wszech czasów.

Opowiadało mi o niej pięć osób, które brały w niej udział, w tym dwóch kardynałów; trwającą ponad trzy godziny ceremonię można

obejrzeć na YouTubie. Udało mi się zdobyć oryginalne libretto mszy z partyturami muzycznymi – dokument ma 106 stron! Obszerne sprawozdanie z ceremonii zdali mi też oszołomieni watykaniści. A arcybiskup Piero Marini, który był ceremoniarzem papieży Jana Pawła II i Benedykta XVI, oraz Pierre Blanchard, wieloletni członek władz Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej, dwaj wytrawni znawcy niezmiennego protokołu Watykanu, wyjaśnili mi sens rytuału w najdrobniejszych szczegółach.

W bazylice Świętego Piotra pod wspaniałą kopułą Michała Anioła i pozłacanymi stiukowymi barokowymi kolumnami podtrzymującymi baldachim Berniniego papież dokonuje pasowania Georga. Obstając przy swoim *ostinato rigore* (uparty rygor – taka była dewiza Leonarda da Vinci), papież nie kryje się z tym, co robi, w przeciwieństwie do wielu kardynałów, którzy awansują swoich protegowanych. Działa publicznie. To cecha, za którą zawsze go podziwiałem.

Benedyktowi zależało na tym, by osobiście przekazać bawarskiemu eminencji Georgowi Gänsweinowi pierścień pasterski podczas ceremonii na miarę Felliniego, która na zawsze zapisze się w pamięci czterystu pięćdziesięciu posągów, pięciuset kolumn i pięćdziesięciu ołtarzy bazyliki. Najpierw procesja – powolna, olśniewająca, perfekcyjnie zgrana: papież w wielkiej topazowożółtej mitrze zdobionej złotem, stojąc w używanym we wnętrzach małym papamobilu przypominającym prawdziwy tron na kółkach, szybko przemierza prawie dwustumetrową nawę przy ostrym akompaniamencie trąbek, pięknych organów i głosów chłopców z chóru bazyliki św. Piotra, którzy trzymają się prosto jak świece. Kielichy są wysadzane kamieniami; kadzielnice dymią. W pierwszych rzędach celebry tych bezprecedensowych święceń biskupich dziesiątki kardynałów oraz setki biskupów i księży odzianych

w swoje najpiękniejsze szaty mienią się kolorami czerwieni, bieli i purpury. Wszędzie kwiaty, jak na ślubie.

Zaczyna się właściwa ceremonia. Po obu stronach papieża stoją współkonsekratorzy: sekretarz stanu Tarcisio Bertone i niepoprawny kardynał Zenon Grocholewski. Ojciec święty, promieniejąc z dumy i ukontentowania, mówi osłabionym, lecz pięknym głosem. Przed nim na przecięciu nawy i transeptu zgodnie z tradycją leżą na posadzce czterej księża, w tym Georg. Jeden z ceremoniarzy błyskawicznie poprawia nierówno ułożony ornat Georga. Papież – nieruchomy i opanowany na tronie – jest skupiony na swoim wielkim dziele, na „świętych aromatach", na swoim płomieniu. Scenie przygląda się z podziwem tłum aniołków nad jego głową; klęczące anioły Berniniego są wzruszone. To koronacja Karola Wielkiego! To Hadrian, który poruszył niebo i ziemię, pobudował miasta i mauzolea, zaangażował wszystkich rzeźbiarzy swojego cesarstwa, by oddać hołd Antinousowi! I Hadrian sprawia, że w myśl wzniosłego i wyrafinowanego protokołu na kolana przed jego ulubieńcem pada cała publika złożona z rzymskiej śmietanki, kardynałów, ambasadorów, polityków i byłych ministrów; klęczy sam włoski premier Mario Monti.

Nagle papież ujmuje w dłonie głowę Georga: emocje sięgają zenitu. Powietrze jest nieruchome. Na twarzy Georga maluje się uśmiech Giocondy. Kamery zamierają. Kardynałowie – na zdjęciach rozpoznaję Angelo Sodana, Raymonda Burke'a i Roberta Saraha – wstrzymują oddech. Pucołowate aniołki podtrzymujące kropielnice szeroko rozdziawiają buzie. „Czas jest kością wyłamaną w stawie"[68]. Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus, Benedictus – muzyka w bazylice Świętego Piotra jest piękna, dopasowana do nastroju przez kilka „liturgy queens". Papież długo (19 sekund) z ogromną delikatnością i nieskończoną ostrożnością gładzi szpakowate loki swojego

George’a Clooneya. Ale „ciało nie kłamie”, jak mawiała wielka choreografka Martha Graham, specjalistka od mowy ciała.

Papież wie, rzecz jasna, o krążących plotkach i o tym, kto jest uważany za jego kochanka. On miałby być gorszycielem? Homoseksualistą? Zwyrodnialcem? Śmieje się z tego. I pogarsza swoją sytuację. Cóż za ostentacja! Cóż za splendor! Ratzinger jest wyniosły jak Oscar Wilde, który kiedy go ostrzeżono, że spotykając się z „Bosiem”, naraża się na niebezpieczeństwo, pokazywał się z nim jeszcze więcej; albo jak Verlaine, który w odpowiedzi na naciski rodziny, by rozstał się z młodym Rimbaudem, wyjechał, by z nim zamieszkać. Zarówno Wilde, jak i Verlaine zapłacili za swoją postawę dwuletnim pobytem w więzieniu. „Ludzkie oszczerstwa/ Jakież mają znaczenie?/ Cóż, tylko nasze serca/ Wiedzą, czym jesteśmy”[69].

Pomimo kategorycznych ostrzeżeń kurii Joseph Ratzinger pozostaje wierny swojemu ulubieńcowi. Ta uroczystość zdaje się płomiennym wyznaniem. Tego dnia papież promienieje. Jego powściągliwy uśmiech jest zachwycający. On, który wypił kielich aż do dna, tego ranka nie boi się wziąć jeszcze jeden łyk. Jest piękny. Dumny. Upojony własną śmiałością; zwyciężył. Chyba nigdy nie kochałem go tak bardzo jak wtedy, gdy zobaczyłem go tak cudownie patetycznego.

Ojciec święty konsekruje Georga na arcybiskupa, ale nikt jeszcze nie wie, że podjął już najbardziej spektakularną decyzję, na jaką nie zdobył się jeszcze żaden papież: niedługo później ogłosi swoją rezygnację. Czy Georg jest wtajemniczony? Możliwe. W każdym razie ta msza koronacyjna dedykowana Ciorciowi będzie testamentem, jaki papież pozostawi historii.

Na razie jednak karnawał trwa. Msza się przedłuża, i to tak bardzo, że papież spóźnia się ponad dwadzieścia minut na modlitwę Anioł Pański i musi się tłumaczyć przed zniecierpliwionym tłumem

na placu Świętego Piotra.

– To był spektakl liturgiczny! Przedstawienie! Błąd! Liturgia nie może być przedstawieniem – oburza się podczas naszej rozmowy Piero Martini, były mistrz ceremonii Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Bardziej wyrozumiały okazuje się Vincenzo Peroni, mistrz ceremonii liturgicznych papieża Franciszka. Peroni brał udział w przygotowaniu tamtej mszy.

– Ta ceremonia była odbiciem piękna, którym promienieje boskie oblicze i boska chwała. Dla Boga nic nie jest zbyt piękne – wyjaśnia mi w trakcie prywatnej kolacji.

Na zakończenie pośród nieustających oklasków – które są rzadkim zjawiskiem – oraz blasku fleszy rozpoznaję *Kunst der Fuge* Bacha w wykonaniu orkiestry kameralnej znajdującej się na którymś z pięter bazyliki. To jeden z ulubionych utworów Josepha Ratzingera. W równym tempie, z absolutną Bachowską precyzją olbrzymi orszak rusza nawą, odgrodzony od tłumu kolorowymi gwardzistami szwajcarskimi i ubranymi na czarno ochroniarzami. *Extravaganza*! Być może nawet sama Pieta, jedna z najpiękniejszych rzeźb świata, osłupiała w swojej kaplicy na widok tej procesji.

Co równie niespotykane, po ślubie kościelnym odbył się ślub cywilny. Po mszy ponad dwustu gości zostało zaproszonych na wytworne przyjęcie w przestronnej sali audiencyjnej Pawła VI. A wieczorem zuchwały papież zorganizował już dla mniejszego grona wystawną kolację w Muzeach Watykańskich, tym razem w otoczeniu Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Caravaggia i Giovanniego Antonio Bazziego, który nosił przydomek Sodoma.

PO REZYGNACJI Benedykta XVI i wyborze na papieża Franciszka ten ostatni zatwierdził wielkiego szambelana Georga Gänsweina na jego podwójnym urzędzie. Niezwykła sytuacja, więc i niezwykły tytuł: Georg jest dziś jednocześnie osobistym sekretarzem papieża

emeryta i prefektem Domu Papieskiego urzędującego papieża.

Ów „podwójny kapelusz” ma ten plus, że pozwala na przeprowadzanie śmiałych porównań. Ilekroć pojawiałem się w Rzymie, słyszałem stwierdzenie, że Georg Gänswein pracuje „dla papieża aktywnego i papieża pasywnego”. Redakcje i stowarzyszenia natychmiast je podchwyciły i powtarzają na okrągło. Aktywiści gejowscy wciąż się nim delektują. Odszukałem je w jego oryginalnym brzmieniu, które z pewnością jest niefortunne, ale powtarzana wersja jest naprawdę złośliwą przeróbką. Podczas którejś konferencji prasowej w 2016 roku Georg, krótko porównując obu papieży, powiedział: „Po wyborze Franciszka nie mamy dwóch papieży, ale poszerzony urząd z członkiem aktywnym i członkiem kontemplatywnym [*un membro attivo e un membro contemplativo*]. Dlatego właśnie Benedykt XVI nie zrezygnował ze swojego imienia ani z białej sutanny”. Zdanie zostało wyjęte z kontekstu i po zacytowaniu w zniekształconym brzmieniu jest w nieskończoność przytaczane przez dziesiątki blogerów. Mimo że nigdy nie było mowy o „papieżu aktywnym” i „papieżu pasywnym”. No, prawie.

Georg jest pomostem, posłańcem między dwoma papieżami. Jako jeden z pierwszych został wtajemniczony przez Benedykta XVI w jego zamiar rezygnacji. Miał mu odpowiedzieć: „Nie, ojcze święty, to jest niemożliwe”. Po abdykacji papieża widziano, jak sekretarz odlatuje wraz z nim do Castel Gandolfo – śmiano się wtedy, że Benedykt XVI żywcem wstępuje do nieba. Następnie Georg przeprowadził się z emerytowanym biskupem Rzymu oraz jego dwiema kotkami do klasztoru Mater Ecclesiae, do którego wstępu strzeże wysoka krata – żadna inna rezydencja w obrębie Watykanu nie ma takich zabezpieczeń.

Słyszałem, że Franciszek docenia inteligencję Georga, który jest nie

tylko przystojniakiem, ale też tęgą głową. To człowiek o wszechstronnym wykształceniu i bardzo germańskiej kulturze, tak różnej od hiszpańskiej kultury Franciszka, że otwiera przed papieżem nowe horyzonty. W wywiadzie dla „Vanity Fair" ten, który chciałby uchodzić za szarą eminencję Benedykta XVI, wyraził życzenie, „by nie zatrzymywać się na [jego] wyglądzie zewnętrznym, ale wziąć pod uwagę również to, co znajduje się pod sutanną".

ECCE HOMO. Przyglądając się osobowości Benedykta XVI, spróbujmy się na koniec zastanowić nad hipotezą, którą częściowo zapożyczyłem z wnikliwej i śmiałej analizy Freuda dotyczącej homoseksualizmu Leonarda da Vinci. Nie jestem psychoanalitykiem, ale jak wiele osób jestem zaskoczony tym, że homoseksualizm był, jeśli można tak powiedzieć, jednym z głównych tematów życia i myśli Josepha Ratzingera. To teolog, który chyba najgruntowniej przestudiował to zagadnienie. W pewnym sensie homoseksualizm jest osią jego życia, a to czyni go bardzo interesującym.

Możemy powiedzieć za Freudem, że nie ma życia ludzkiego bez popędu seksualnego *sensu largo*, czyli libido, które nieuchronnie trwa, także po święceniach kapłańskich, w postaci zsublimowanej bądź wypartej. U Leonarda, jak mówi Freud, mamy do czynienia z homoseksualizmem przekierowanym na naukę, eksperymenty, sztukę i nieskonsumowane chłopięce piękno (jakkolwiek ostatnie badania stanowczo kwestionują stwierdzenie Freuda, gdyż wykazały, że malarz był czynnym homoseksualistą). W swoich zeszytach Leonardo da Vinci zapisał zresztą to często komentowane zdanie: „Namiętność ducha wypędza żądze[70]".

Wydaje się, że przy zachowaniu koniecznej ostrożności w przypadku Josepha Ratzingera możemy wysunąć podobną hipotezę: czy jakiś rodzaj ukrytego homoseksualizmu został zsublimowany w powołaniu i przekierowany na działalność

naukową? Czy estetyka literacka i muzyczna, zniewieściałość, odzieżowe ekstrawagancje, kult chłopięcego piękna mogą na to wskazywać? Czy chodzi tylko o „bowaryzm” polegający na przeżywaniu własnego życia przez pryzmat życia postaci literackich po to, by uniknąć konfrontacji z rzeczywistością?

Całe życie Ratzingera rozgrywa się w kontekście lektur i pisania. Czyżby musiał zbudować własną siłę na ukrytym wewnętrznym rygoryzmie? Działalność intelektualna czy estetyczna jest pochodną libido – to proces psychoseksualny dobrze znany w życiu artystycznym, literackim, a także kapłańskim. Kontynuując w duchu Freuda, możemy mówić o kompleksie Edypa zsublimowanym do „nerwicy natręctw”; czyżby chodziło o kompleks Prometeusza?

O życiu emocjonalnym Benedykta XVI wiemy niewiele, ale już to jest bardzo znamienne: jego skłonności uczuciowe wskazują na jeden i tylko jeden kierunek. Muzycy, których Joseph Ratzinger ceni; męskie postacie, którymi się zachwyca w swoich ulubionych operach; pisarze, których czyta; przyjaciele, którymi się otacza; być może jego brat, kardynałowie, których powołuje; niezliczone decyzje skierowane przeciw homoseksualistom, a także jego ostateczny upadek, który jest związany z kwestią gejowską – wszystko to pozwala wysunąć hipotezę, że homofilia to jego „oścień dla ciała”.

Nie ulega wątpliwości, że był on człowiekiem niesłychanie udręczonym i przytłoczonym grzechem, a przynajmniej poczuciem grzechu: w tym względzie jest postacią tragiczną. Liczni psychoanalitycy, psychiatrzy, postępowi księża i teolodzy oraz oczywiście aktywiści gejowscy często wysuwali hipotezę, że owo stłumienie wyjaśnia jego „uwewnętrznioną homofobię”. Dziennikarz Pasquale Quaranta proponował mi wręcz nazwanie owej uwewnętrznionej homofobii „syndromem Ratzingera”.

Rzadko się zdarza, by człowiek do tego stopnia występował

przeciwko własnej „parafii” – i ta zajadłość w końcu stała się podejrzana. Mówi się, że Benedykt XVI kazał innym płacić za własne wątpliwości. Osobiście jednak uważam tę psychologizującą tezę za kruchą, ponieważ analiza tekstów Josepha Ratzingera objawia jego najgłębszy sekret – pewien bardzo znaczący szczegół. Optowałbym więc za inną hipotezą, zgodnie z którą nie mamy do czynienia z „homoseksualistą-homofobem”, jak go często nazywano, jeśli rozumieć to określenie jako głęboką i uogólnioną awersję do homoseksualistów. Kardynał Ratzinger zawsze bowiem czynił bardzo staranne rozróżnienie – żaden duchowny nie wypowiadał się w tym względzie tak klarownie jak on – między dwiema postaciami homoseksualizmu. Pierwsza z nich, homoseksualizm praktykowany i nagłaśniany, tożsamość i kultura gejowska, to przejawy wewnętrznego nieuporządkowania. Akt homoseksualny to coś, co Ratzinger odrzuca z całą stanowczością. Słabości ciała, seks między mężczyznami to grzech. Istnieje natomiast – i wydaje mi się, że ten fakt pomijano – postać homoseksualizmu, której Ratzinger nigdy nie odrzucał, traktując ją wręcz jako niedościgniony wzór, znacznie wznioślejszy w jego oczach niż miłość cielesna między mężczyzną a kobietą. Mowa o homoseksualizmie ascetycznym, udoskonalonym przez „wyższe prawo”, o tej walce z samym sobą – energicznej, nieustannej, prawdziwie piekielnej, która ostatecznie owocuje cnotą wstrzemięźliwości. Owo zwycięstwo nad zmysłowością to ideał, do którego dąży cała osobowość i całe dzieło Ratzingera. Pisał o nim już Nietzsche, kiedy w *Zmierzchu bożyszcz* wskazywał na eunucha jako na wcielenie doskonałości według Kościoła: „Święty, którego Bóg upodobał sobie, jest idealnym rzezańcem”[71].

Można by zatem powiedzieć, że choć Ratzinger odrzuca osoby spod znaku LGBT, to jednak wykazuje większą łagodność wobec poszukujących własnej tożsamości, agnostyków seksualności

opisywanych jako „questioning” czy też Q, jak nazywają ich Amerykanie, którzy stworzyli w związku z tym nowy skrót: LGBTIQ. Krótko mówiąc, spośród godnych potępienia gejów papież byłby gotów uratować tych, którzy się opierają, którzy nie praktykują „aktów homoseksualnych” i zachowują czystość.

Ratzinger sformułował ów ideał świątobliwego wstrzemięźliwego homoseksualisty i wielokrotnie go przywoływał w swoich encyklikach, *motu proprio*, adhortacjach apostolskich, listach, książkach i wywiadach. Przywołajmy najgłębiej dopracowany ważny tekst – artykuły na ten temat zawarte w *Katechizmie Kościoła katolickiego* (1992)[72]. Wiadomo, że jego redaktorem naczelnym był kardynał Ratzinger wspierany przez swojego ucznia – zdolnego, młodego niemieckojęzycznego biskupa, którego wziął pod swoje skrzydła, Christopha Schönborna. Choć w całym przedsięwzięciu brało udział piętnastu duchownych, którzy korzystali z pracy tysiąca biskupów, nad całością czuwał Ratzinger; on też osobiście zredagował – z pomocą Schönborna oraz francuskiego biskupa Jeana-Louisa Bruguèsa – trzy kluczowe artykuły odnoszące się do homoseksualizmu (§ 2357 i następne). Ich zbiorczy tytuł – „Czystość i homoseksualizm” – od razu zapowiada kierunek.

W pierwszym z tych artykułów *Katechizm* stwierdza tylko, że „akty homoseksualizmu z samej swojej wewnętrznej natury są nieuporządkowane. Są one sprzeczne z prawem naturalnym; wykluczają z aktu płciowego dar życia. Nie wynikają z prawdziwej komplementarności uczuciowej i płciowej. W żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaaprobowane”. Po zasygnalizowaniu, że osoby, które przejawiają „głęboko osadzone skłonności homoseksualne”, są liczne, a ich sytuacja stanowi dla większości z nich „trudne doświadczenie” oraz że „powinno się traktować te osoby z szacunkiem, współczuciem i delikatnością”, *Katechizm* wykłada

podstawową naukę Ratzingera: „Osoby homoseksualne są wezwane do czystości. Dzięki cnotom panowania nad sobą, które uczą wolności wewnętrznej, niekiedy dzięki wsparciu bezinteresownej przyjaźni, przez modlitwę i łaskę sakramentalną mogą i powinny przybliżać się – stopniowo i zdecydowanie – do doskonałości chrześcijańskiej”.

Doskonałość chrześcijańska! Homoseksualiści wcale o to nie prosili! Możliwe, że prawdziwy autor tego fragmentu, Ratzinger, cudownie się tutaj odsłania, uwznioślając „wstrzemięźliwych” homoseksualistów, gdy wcześniej potępił „praktykujących” (pozostali, redaktorzy Schönborn i Bruguès, są bardziej życzliwi gejom i bardziej postępowi).

Propozycja jest więc zero-jedynkowa: odrzucenie czynnego homoseksualizmu wraz z jego praktykami oraz idealizacja czystości oraz homoseksualizmu „nieskonsumowanego”. Praktykujący zostaje potępiony, niepraktykujący – uwielbiony. Kompletnie schizofreniczne myślenie. A zarazem samo serce, kwintesencja ratzingerowskiego systemu.

Papież Benedykt XVI będzie do niej powracał z uporem maniaka. Powtórzy ją w wielu książkach i wywiadach. Mówi na przykład: „Gdy ktoś przejawia głębokie homoseksualne skłonności – do dzisiaj nie wiadomo, czy są one rzeczywiście wrodzone, czy też powstają we wczesnym dzieciństwie – gdy w każdym razie mają one nad nim władzę, stanowią dla niego wielką próbę, tak jak zresztą i inne ludzkie doświadczenia. Ale nie oznacza to, że dzięki temu homoseksualizm staje się moralnie słuszny”[73]. Gdy dziennikarz z niespotykaną dla niego śmiałością zauważa, że w Kościele jest wielu homoseksualistów, papież odpowiada: „To należy do bolączek Kościoła. A ci, których to dotyczy, muszą przynajmniej próbować nie praktykować swoich skłonności i zostać wiernymi wewnętrznej misji swojego urzędu”[74].

Ten „okiełznany” homoseksualizm nie jest niczym nowym: to raczej Platon i jego miłość platoniczna niż Sokrates i miłości sokratejskie; to Święty Augustyn, który co prawda był kochliwym heteroseksualistą, ale po ostrej walce z samym sobą osiągnął świętość w czystości; to Haendel, Chopin i być może Mozart; to Jacques Maritain i wczesny André Gide; to François Mauriac i młody Julien Green; to Rimbaud w marzeniach Claudela, który wyobrażał go sobie jako wstrzemięźliwego; to Leonardo da Vinci i Michał Anioł, którzy nie przechodzą do czynów. Innymi słowy – wszystkie pasje intelektualne i artystyczne Josepha Ratzingera.

Zaakceptować homoseksualistę, pod warunkiem że wyprze się swojej seksualności. Zakład Ratzingera jest śmiały. Któryż bohaterski mężczyzna jest zdolny do samobiczowania, które wyniesie go na takie wyżyny? Chyba tylko Ratzinger albo za cenę poświęceń jakiś replikant czy Jedi! W przypadku wszystkich innych, „normalnych”, którzy wiedzą, że taka wstrzemięźliwość jest wbrew naturze, filozofia Benedykta nieuchronnie prowadzi do podwójnego życia – by użyć słów Poety – do „kłamstwa dawnych miłości” i „kłamliwych stadeł”[75]. Projekt ratzingerowski był z gruntu skazany na porażkę i hipokryzję – zarówno w świecie, jak i w samej siedzibie papieża.

Czy nie posunął się zbyt daleko, wychwalając wstrzemięźliwość, która potępia praktykę, ale łagodniej traktuje samą ideę? Czy naiwnie nie otworzył drzwi niezliczonym przejawom hipokryzji w Kościele, który ulega postępującej homoseksualizacji? Rzeczywiście, kardynał dostrzegł pułapkę oraz granice swojej wzniosłej teorii.

W roku 1986 z pomocą amerykańskiego episkopatu, który podsunął mu odpowiednie słowa, podsumował tę sprawę w słynnym *Liście do Biskupów Kościoła katolickiego na temat duszpasterstwa osób homoseksualnych*[76] – pierwszym dokumencie w historii chrześcijaństwa poświęconym wyłącznie tej kwestii.

Przypominając, że należy rozróżnić między „predyspozycją lub skłonnością homoseksualną a czynami homoseksualnymi”, kardynał Ratzinger potwierdza, że tylko te ostatnie akty są „wewnętrznie nieuporządkowane”. Natychmiast jednak dodaje ważne zastrzeżenie: zważywszy na „nadmiernie przychylne” interpretacje, należy przypomnieć, że „szczególna skłonność osoby homoseksualnej, chociaż sama w sobie nie jest grzechem”, jest obiektywnie zła. Wyrozumiałość ma swoje granice.

Joseph Ratzinger poszedł pod prąd historii – i swojego własnego życia – chyba bardziej niż ktokolwiek z jego pokolenia. Jego absolutnie przewrotne rozumowanie miało go wkrótce doprowadzić do usprawiedliwiania dyskryminacji osób homoseksualnych, zachęt do ich zwalniania z pracy czy z wojska, usprawiedliwiania odmów ich zatrudnienia czy dostępu do mieszkań. Sankcjonując w ten sposób instytucjonalną homofobię, kardynał, a później papież, niechętnie przyzna, że jego teologiczne kompetencje nie uchroniły go od uprzedzeń.

A może tak musiało być? Nie zapominajmy bowiem, że Joseph Ratzinger urodził się w roku 1927 i że w chwili wydarzeń w klubie Stonewall (związanych z wyzwoleniem gejów) miał już czterdzieści dwa lata. Papieżem został w podeszłym wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Jego myślenie jest myśleniem człowieka, który pozostał zamknięty w homofobicznych poglądach swoich czasów.

Kończąc to śledztwo, bardziej niż wtedy, gdy je zaczynałem, odczuwam jakąś czułość wobec tego pełnego niepokoju, zamkniętego w sobie, zablokowanego człowieka, tej tragicznej postaci, o której anachronizmie nie przestaję myśleć. Ten wybitny intelektualista przemyślał wszystko poza kwestią najistotniejszą dla niego samego. Człowiek nie z tej epoki, któremu nie starczyło życia, by rozwiązać swój konflikt wewnętrzny, podczas gdy dziś dziesiątki milionów

nastolatków znacznie mniej wykształconych i inteligentnych od niego na całym świecie rozgryzają tę zagadkę w ciągu kilku miesięcy jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności.

I zastanawiam się, w jaki sposób – być może w innym miejscu i innych czasach – jakiś Michał Anioł mógłby mu pomóc w odkryciu tej zaklętej w marmurze tożsamości i obudzić „siedzącego w szafie" mężczyznę, na wzór tego Atlasa, Niewolnika, młodego czy brodatego Więźnia, którzy wyłaniają się z kamienia we florenckiej Galleria dell'Accademia. Czyż ostatecznie nie powinniśmy podejść z szacunkiem do tego człowieka, który umiłował piękno i przez całe życie prowadził walkę – co prawda złudną i na swój sposób tragiczną, niemniej jednak szczerą?

Jakakolwiek jest prawda na ten temat – prawda, której prawdopodobnie nigdy nie poznamy – wolę postawić na tę miłosierną hipotezę, wedle której Joseph Ratzinger wybrał kapłaństwo po to, by ochronić się przed samym sobą. Takie myślenie przywraca jednemu z najbardziej zaciekłych homofobów XX wieku ludzką twarz i pozwala spojrzeć na niego z czułością.

NATURAM EXPELLAS FURCA, TAMEN USQUE RECURRET, pisał Horacy (Choćbyś naturę wypędzał widłami, ona i tak powróci). Czy długo można ukrywać swoją prawdziwą naturę? W książce *Światłość świata* pada jedno z najbardziej niezwykłych, a zarazem najbardziej znamiennych dla pontyfikatu Benedykta XVI stwierdzeń (choć nieco anegdotyczne). W opublikowanym w roku 2010 wywiadzie rzece papież obszernie powraca do światowej polemiki, którą wywołały jego obskuranckie wypowiedzi na temat AIDS (podczas swojej pierwszej podróży do Afryki stwierdził, że rozdawanie prezerwatyw „zaostrza" epidemię). Zamierzając więc skorygować swoje słowa i uczynić je bardziej zrozumiałymi, papież mówi: „W pojedynczych przypadkach może być uzasadnione, że ten, kto uprawia prostytucję,

używa prezerwatywy i jest to pierwszy krok do umoralnienia, pierwsza część podjętej odpowiedzialności, aby móc rozwinąć świadomość tego, że nie wszystko jest dozwolone i że nie można robić wszystkiego, co się chce. Nie jest to jednak właściwy sposób na uporanie się ze złem choroby AIDS. Walka ta nie może się odbyć bez nadania seksualności prawdziwie ludzkiego wymiaru”[77].

To zdanie spodobałoby się Freudowi, który na pewno rozebrałby je na czynniki pierwsze równie drobiazgowo jak wspomnienie Leonarda da Vinci z dzieciństwa. Niezwykła w tej wypowiedzi nie jest opinia papieża na temat AIDS, ale powtórzone na piśmie przejęzyczenie. Nagrana i zapisana wypowiedź przeszła dwukrotną weryfikację (sprawdziłem z niemieckim oryginałem i faktycznie na stronach 146-147 figuruje wyraz *ein prostituierter,* z męskim rodzajnikiem)[78]. W Afryce, gdzie ogromna większość przypadków AIDS dotyczy osób heteroseksualnych, papież zgadza się na ustępstwo jedynie wobec „męskiej” prostytutki. O pracownicach seksualnych nawet nie wspomina. Żaden heteroseksualista w spontanicznej wypowiedzi o prostytutce nie użyje męskiego rodzajnika. Ale Benedykt XVI, poruszając temat prostytutek w Afryce, nie zważając na konsekwencje, mówi o mężczyznach! Wyjątkowo demaskujące przejęzyczenie. Nie zliczę już tych wszystkich księży, biskupów, dziennikarzy czy aktywistów gejowskich, którzy już to z zażenowaniem, już to z rozbawieniem, a czasem nawet parskając śmiechem, wspominali mi o tej pomyłce. Ten podwójny lapsus – w mowie i w piśmie – z pewnością pozostanie jednym z najbardziej uroczych przypadków dekonspiracji w całej historii katolicyzmu.

21.
Wicepapież

ZDJĘCIE JEST TAK NIEREALISTYCZNE, że wygląda jak przeróbka z Photoshopa. Kardynał sekretarz stanu Tarcisio Bertone króluje w całym swoim majestacie: siedzi na VIP-owskim krześle ustawionym na niebieskim podwyższeniu, w żółtej mitrze podbitej czerwienią. Ten potrójny zabieg – podwyższenie, tron, mitra – nadaje mu wygląd nieco przerażającego olbrzyma. Trzyma się prosto niczym cesarz w trakcie jakiegoś świętego rytuału, ale może to skutek nadmiaru wapnia w organizmie.

Po jego prawej stronie maleńki kardynał José Bergoglio – na zwykłym metalowym krześle poniżej estrady, ubrany w zwykły biały ornat. Bertone ma na nosie ciemne okulary pilotki, Bergoglio – duże okulary korekcyjne. Spod złotego ornatu Bertonego wystaje biała koronka, która przypomina mi babcine serwety. Połyskujący zegarek na jego nadgarstku został zidentyfikowany jako rolex. Napięcie między dwoma mężczyznami jest wyczuwalne: Bertone patrzy prosto przed siebie wzrokiem inkwizytora, sztywny jak mumia; Bergoglio otwiera usta, a na jego twarzy maluje się wyraz oszołomienia – być może na widok tego spiżowego Cezara.

Zdjęcie, które łatwo znaleźć w wyszukiwarce Google i na Instagramie, pochodzi z listopada 2007 roku; zostało zrobione podczas podróży sekretarza stanu do Argentyny z okazji pewnej ceremonii beatyfikacyjnej. W owym czasie Bertone był najpotężniejszą osobistością w Kościele katolickim po Benedykcie XVI; nazywano go wicepapieżem. Kilka lat później stracił pozycję,

natomiast Bergoglio został wybrany na biskupa Rzymu i przybrał imię Franciszek.

TARCISIO BERTONE urodził się w 1934 roku w Piemoncie. Podobnie więc jak jego poprzednik na stanowisku sekretarza stanu Angelo Sodano pochodzi z północnych Włoch. Podobnie jak Sodano jest w tej książce czarnym charakterem. I oczywiście w wielkim szekspirowskim teatrze, jakim zawsze była kuria rzymska, ci dwaj giganci próżności i rygoryzmu staną się „wrogami komplementarnymi”[79].

Bertone, syn górskich wieśniaków, jest salezjaninem, członkiem założonego we Włoszech katolickiego zgromadzenia, które zajmuje się głównie edukacją. Jego kariera długo rozwija się bez rozgłosu. Przez trzydzieści lat Bertone jest księdzem i nauczycielem. Ale – rzecz jasna, dyskretnie – buduje sobie sieć kontaktów, co pozwala mu w wieku pięćdziesięciu sześciu lat otrzymać nominację na arcybiskupa Vercelli w rodzinnym Piemoncie.

Jednym z jego dobrych znajomych z tamtych czasów jest kardynał Raffaele Farina, również salezjanin, który przyjmuje mnie i Danielego w swoim mieszkaniu na terenie Watykanu. Z jego okna widać znajdujące się w odległości kilkunastu metrów apartamenty papieskie oraz – nieco dalej – wspaniałe tarasy kardynałów Giovanniego Battisty Re i Bertonego. Jeszcze dalej zaś taras penthouse’u Angelo Sodana. Wszyscy ci osiemdziesięciolatkowie obserwują się nawzajem ze swoich okien, patrząc na siebie wilkiem, pełni zawiści i niechęci. Prawdziwa tarasowa wojna.

– Kiedy Bertone do nas dołączył, kierowałem uniwersytetem salezjańskim – wyjaśnia Farina. – Był moim zastępcą. Dobrze go poznałem, więc nigdy nie powołałbym go na sekretarza stanu w Watykanie. Lubił podróżować i załatwiać własne sprawy. Dużo mówi, zwłaszcza po włosku, zna też trochę francuski. Ma dużo

międzynarodowych kontaktów. Ale na Uniwersytecie Salezjańskim poniósł porażkę, a potem w Watykanie zawalił wszystko.

Farina dodaje jeszcze: – Bertone bez przerwy wymachiwał rękami. Jest Włochem z Północy, ale gestykuluje jakby był z Południa!

Mój rozmówca zna wszystkie tajemnice Watykanu. Benedykt XVI, z którym utrzymywał bliskie stosunki, uczynił go kardynałem, a Franciszek powołał na przewodniczącego ważnej komisji do spraw reform w Banku Watykańskim. Wie o wszystkim, co ma związek z finansami, korupcją i homoseksualizmem. Tematy te poruszamy podczas kilku spotkań, a mój rozmówca wykazuje przy tym zadziwiającą swobodę.

Na zakończenie jednej z rozmów Farina proponuje, że nas odwiezie. Kończymy więc dyskusję na pokładzie jego volkswagena up z tablicami watykańskiej dyplomacji; mimo osiemdziesięciu pięciu lat prowadzi go samodzielnie. Mijamy budynek, w którym mieszka Tarcisio Bertone, potem dom Angelo Sodana. Jedziemy stromymi uliczkami Watykanu wśród obsypanych kwiatami drzew wiśni, pod czujnym okiem żandarmów, którzy z doświadczenia wiedzą, że kardynał nie ma już dawnego refleksu. I rzeczywiście, kierowca ignoruje znak stop, jedzie pod prąd drogą jednokierunkową, a oni za każdym razem machają do niego i grzecznie wskazują właściwy kierunek. Zestresowani, ale cali i zdrowi po kilku chwilach docieramy do Bramy św. Anny ze wspaniałym wspomnieniem dyskusji z rozmownym – i to jeszcze jak! – kardynałem.

Czy Bertone jest frajerem? W dzisiejszym Watykanie wszyscy mi to sugerują. Naprawdę trudno znaleźć biskupa czy kardynała, który by go bronił. A przecież ci skrajni krytycy jeszcze wczoraj stawiali go na piedestale. Jakby zapomnieli o wyjątkowych cechach Bertonego. O jego wielkiej pracowitości, lojalności, zmyśle zbiorowego działania, zwłaszcza jeśli chodzi o włoski episkopat, o iście ratzingerowskim

dogmatyzmie. Jednak z powodu braku naturalnego autorytetu Bertone był, co typowe dla osób niekompetentnych, apodyktyczny. Ci, którzy znali go w Genui, opisują go jako zadufanego w sobie formalistę, który w swojej rezydencji otaczał się młodymi celibatariuszami i starymi kawalerami.

– Kazał nam czekać, jakbyśmy przyszli na audiencję u papieża – mówi były ambasador Francji w Watykanie Pierre Morel.

Pewien ksiądz, dawny student Bertonego z czasów, gdy ten wykładał prawo i uczył francuskiego, mówi mi jednak, że „to był bardzo dobry i zabawny wykładowca". Ten sam informator wspomina, że Bertone lubił cytować Claudela, Bernanosa czy Jacques'a Maritaina. Podczas korespondencyjnej wymiany kardynał potwierdza znajomość tych autorów. Przeprasza też za nieco zardzewiały francuski i dziękuje, że mógł go sobie odświeżyć dzięki otrzymanej ode mnie białej książeczce.

Zdaniem wielu Tarcisio Bertone jako numer jeden w sekretariacie stanu osiągnął szczyty swojej niekompetencji. Kardynał Giovanni Battista Re, niegdyś „minister spraw wewnętrznych" Jana Pawła II i wróg Bertonego, potwierdza to spostrzeżenie w zwięzłych słowach:

– Bertone był bardzo dobry w Kongregacji Nauki Wiary, ale nie był gotowy na stanowisko sekretarza stanu.

A spowiednik w bazylice Świętego Piotra Don Julius, który spotykał się z nim i być może go spowiadał, dodaje:

– Zarozumiały. Był złym wykładowcą prawa kanonicznego.

Spowiednicy z tej bazyliki, z których większość to co najmniej homofile, stanowią ciekawe źródło informacji w Watykanie. Mieszkają w wiekowym budynku na placu św. Marty – mają tam indywidualne cele i piękne wspólne refektarze. Często miałem umówione spotkania właśnie tam, w rozmównicy, która choć znajduje się w newralgicznym centrum stolicy apostolskiej, jest

miejscem absolutnie dyskretnym: nikt tu nie przeszkadza spowiednikowi, który słucha spowiedzi – albo ją odbywa.

Rezydujący w tym punkcie obserwacyjnym zlokalizowanym między Pałacem Sprawiedliwości a siedzibą żandarmerii watykańskiej, dwa kroki od rezydencji papieża Franciszka i naprzeciwko mieszkania Bertonego spowiednicy widzą wszystko i o wszystkim wiedzą. To zresztą tutaj został umieszczony Paolo Gabriele po aferze Vatileaks; po raz pierwszy cele te stały się więzieniem.

Spowiednicy z Bazyliki Świętego Piotra pod warunkiem zachowania anonimowości opowiadają mi o wszystkim. Wiedzą, który kardynał zamieszany jest w taką a taką aferę korupcyjną; wiedzą, kto z kim sypia; wiedzą, który przystojny asystent odwiedza swojego szefa w jego luksusowym apartamencie; wiedzą, kto woli gwardzistów szwajcarskich, a kto bardziej męskich żandarmów.

Jeden z kapłanów, nie łamiąc tajemnicy spowiedzi, przyznaje:

– Żaden skorumpowany kardynał nie powiedział nam na spowiedzi, że jest skorumpowany! Żaden kardynał homofil nie przyznał się do swoich skłonności! Opowiadają o bzdurach, szczegółach bez znaczenia. Ale my wiemy, że są skorumpowani do tego stopnia, że już nawet nie wiedzą, czym jest korupcja. Kłamią nawet na spowiedzi.

KARIERA BERTONEGO tak naprawdę nabiera rozpędu w chwili, gdy zostaje on z woli Jana Pawła II i Josepha Ratzingera numerem dwa w ważnej Kongregacji Nauki Wiary. Mamy rok 1995. Bertone ma sześćdziesiąt lat.

Dla takiego rygorysty powołanie na najbardziej doktrynalne stanowisko w całym Kościele to prawdziwe błogosławieństwo: „rygoryzm do kwadratu”, by użyć słów jednego z księży pracujących w kurii. To właśnie tam Bertone zdobywa reputację policjanta

od światopoglądu.

Ksiądz Krzysztof Charamsa, który przez długie lata pracował w Świętym Oficjum, porównuje tę instytucję do „ekspozytury KGB", „prawdziwego systemu totalitarnej opresji, który kontrolował łóżka i sypialnie". Czy Bertone wywierał psychologiczną presję na niektórych homoseksualnych biskupów? Czy zdarzało mu się poinformować tego albo innego kardynała, że ma na niego teczkę, więc niech lepiej siedzi cicho? Niektórzy świadkowie twierdzą, że tak. Charamsa zapytany o tę sprawę odpowiada wymijająco.

Jakkolwiek by było, swojemu stylowi pracy w Kongregacji Bertone zawdzięcza przezwisko „Hoover".

– To taki Hoover, tylko mniej inteligentny – mówi arcybiskup, który zdradził mi ten pseudonim.

Hoover, który przez prawie pięćdziesiąt lat kierował FBI. Tocząc nieustanną, piekielną walkę z samym sobą, gromadził tajne akta na temat prywatnego życia niezliczonych amerykańskich obywateli i polityków. Dziś wiemy, że ta zdolność do tytanicznej pracy, prawdziwie perwersyjne umiłowanie władzy i antykomunistyczna obsesja współistniały z tajemnicą. Hoover był homoseksualistą i prywatnie lubił się przebierać za kobietę. Dużą część swojego schizofrenicznego życia przeżył ze swoim głównym zastępcą Clyde'em Tolsonem, którego powołał na wicedyrektora FBI, a następnie uczynił swoim spadkobiercą.

Kopia tak bardzo różni się od wzoru, że porównanie do Hoovera sprawdza się tylko w niektórych aspektach. Jednak psychologicznie są podobni. Bertone to Hoover, któremu się nie udało.

W roku 2002 Jan Paweł II powołuje Tarcisio Bertonego na arcybiskupa Genui i pod naciskiem Josepha Ratzingera wręcza mu nominację kardynalską. Kilka miesięcy po wyborze Benedykt XVI awansuje go na sekretarza stanu w miejsce Angelo Sodana. W ten

sposób Bertone zostaje papieskim „premierem”.

Awansowany arywista ma teraz pełnię władzy. I jak Sodano, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat pontyfikatu Jana Pawła II w trakcie bardzo długiej choroby ojca świętego był prawdziwym wicepapieżem, wicepapieżem zostaje Bertone. Benedykt XVI bowiem nie jest szczególnie zainteresowany zarządzaniem bieżącymi sprawami.

Jak twierdzą liczni informatorzy, Bertone miał zorganizować system kontroli wewnętrznej oparty na zgłoszeniach, ostrzeżeniach i „monitoringu” – cały łańcuch zarządzania, który kończył się na nim. Cel: strzec tajemnic Watykanu. Dzięki temu systemowi długo utrzymałby się przy władzy, gdyby na perfekcyjnej ścieżce jego kariery nie pojawiły się dwie nieoczekiwane komplikacje: afera Vatileaks oraz jeszcze bardziej nieprzewidziana „rezygnacja” Benedykta XVI.

Bertone jest gorzej zorganizowany niż Hoover, ale potrafi tak jak on kompensować własne niedostatki, dobierając właściwych współpracowników. Dlatego zbliża się do niejakiego Domenico Gianiego, którego awansuje i stawia na czele Korpusu Żandarmerii Watykańskiej. Decyzja zapada mimo gwałtownego sprzeciwu Angelo Sodana, który ma nadzieję, że sam będzie pociągał za sznurki. Postawiony na czele setki żandarmów, inspektorów i policjantów ten były oficer włoskiej straży skarbowej staje się człowiekiem z cienia, któremu Bertone powierza wszystkie swoje tajne interesy i misje.

– Kierownictwo włoskiej policji jest bardzo krytyczne wobec żandarmerii watykańskiej. Odmawia ona współpracy z nami. Wykorzystuje argument o eksterytorialności i immunitecie dyplomatycznym, by zatuszować niektóre sprawy. Stosunki stawały się coraz bardziej napięte – potwierdza wysoko postawiony włoski policjant.

W swojej kontrowersyjnej, lecz zawierającej wiarygodne informacje (pochodzące od Georga Gänsweina i pewnego asystenta Bertonego) książce eseista Nicolas Diat sugeruje, że Domenico Giani był pod czyimś wpływem. Nie wyjaśnia jednak, czy chodzi o masonerię, lobby gejowskie czy o włoskie służby specjalne. Cytowany w książce kardynał stwierdza, że Giani „dopuścił się poważnej zdrady" oraz że jest „jednym z najcięższych przypadków infiltracji w stolicy apostolskiej". (Te insynuacje nigdy nie zostały udowodnione, rzecznik prasowy papieża Benedykta XVI stanowczo im zaprzeczył, zaś papież Franciszek potwierdził swoje zaufanie dla Gianiego).

Z pomocą Domenico Gianiego i służb administracyjnych Watykanu Bertone czuwa nad kurią. Zainstalowano setki kamer, a komunikacja jest nadzorowana. W planach jest nawet wprowadzenie szczególnie zabezpieczonego, jedynie słusznego modelu telefonu. Wśród biskupów podnosi się lament. Nie chcą być podsłuchiwani! Próba standaryzacji smartfonów się nie powiodła, ale kontrola rozmów rzeczywiście ma miejsce (potwierdził to Jean-Louis Tauran).

– Kanały komunikacji, telefony i komputery są pod ścisłym nadzorem Watykanu. Oni wiedzą o wszystkim, co się dzieje w stolicy apostolskiej, i w razie potrzeby mają dowody przeciwko tym, którzy mogliby stwarzać problemy. Zasadniczo jednak zachowują to wszystko dla siebie – potwierdza były ksiądz Francesco Lepore, który przed opuszczeniem stanu kapłańskiego był obiektem wzmożonej inwigilacji.

Dawny „minister spraw wewnętrznych" Jana Pawła II Giovanni Battista Re, z którym rozmawiam na ten temat w obecności Danielego, powątpiewa jednak, by Watykan dysponował takimi środkami nadzoru:

– Oczywiście watykański sekretariat stanu wie o wszystkim i dysponuje aktami na temat każdego. Ale nie sądzę, by Bertone był aż tak dobrze zorganizowany, żeby mieć na wszystkich kwity.

Jak w przypadku większości systemów kontroli, tak i tutaj powstały strategie obchodzenia i unikania, które stosowali pracujący w kurii duchowni. Większość z nich zaczęła korzystać z bezpiecznych aplikacji, takich jak Signal czy Telegram; zaopatrzyli się też w dodatkowe prywatne telefony, przez które mogą spokojnie obgadywać sekretarza stanu, rozmawiać o plotkach na temat współbraci i socjalizować się na Grindrze. W obrębie Watykanu, gdzie internet jest szczególnie inwigilowany, ten drugi aparat telefoniczny pozwala się przebić przez „firewall" i wejść bezpośrednio albo z komputera – dzięki internetowi z telefonu – na zakazane strony, takie jak płatne portale erotyczne czy darmowe serwisy wideo w stylu YouPorn.

Pewnego dnia w prywatnym lokum pewnego biskupa, u którego mieszkam w Watykanie, przeprowadzamy eksperyment. Próbujemy wejść na kilka stron erotycznych i trafiamy na blokadę oraz informację: „Jeśli chcesz odblokować tę stronę, zadzwoń na numer wewnętrzny 181, dawniej 83511, lub 90500". Ależ skuteczna kontrola rodzicielska!

Kilka miesięcy później powtarzam to doświadczenie, również w mieszkaniu biskupa znajdującym się w Watykanie. Tym razem na ekranie pojawia się informacja, że „dostęp do strony" został zablokowany z uwagi na „politykę bezpieczeństwa" Watykanu. Powód: „treści dla dorosłych". Mogę kliknąć na klawisz „wyślij", by poprosić o odblokowanie.

– Ważne figury w Watykanie sądzą, że wymykają się temu nadzorowi. Pozwala im się na to. Ale jeśli któregoś dnia staną się „przeszkodą", będzie można użyć tego, co o nich wiadomo, żeby

poddać je kontroli – wyjaśnia Francesco Lepore.

Pornografia, zwłaszcza gejowska, jest w Watykanie tak częstym zjawiskiem, że moi informatorzy mówią o „poważnych problemach z uzależnieniem wśród duchownych pracujących w kurii”. Niektórzy księża korzystali nawet ze stron poświęconych walce z takimi uzależnieniami – takich jak NoFap, specjalistyczny serwis, który ma swoją siedzibę w jednym z katolickich kościołów na terenie Pensylwanii.

Ten wewnętrzny nadzór przybrał na sile za czasów pontyfikatu Benedykta XVI, w miarę jak pojawiały się kolejne plotki i wybuchały skandale, z których pierwsza była afera Vatileaks. Jako że wycieki dotyczyły również Tarcisio Bertonego, jego paranoiczne zapędy jeszcze się wzmogły. Zaczął szukać mikrofonów w swoich prywatnych apartamentach, podejrzewać współpracowników, zwolnił nawet osobistego kierowcę, podejrzewając, iż jest on wtyką kardynała Sodano.

Watykańska machina zaczyna się zacinać. Odpowiedzialny za stosunki z zagranicą, ale słabo znający języki obce Bertone izoluje się od lokalnych episkopatów i mnoży błędy. Ponieważ jest mizernym dyplomatą, skupia się na tym, na czym najmniej się nie zna, czyli na stosunkach z włoskimi politykami i relacjach z rządzącymi, których miał nadzieję bezpośrednio kontrolować (potwierdzają to dwaj przewodniczący CEI, kardynałowie Camillo Ruini i Angelo Bagnasco).

Sekretarz stanu Benedykta XVI otacza się też współpracownikami bez polotu, o których krążą różne pogłoski. Taką postacią jest słynny Lech Piechota, ulubiony sekretarz Bertonego, z którym kardynała łączyła zażyła relacja na podobieństwo stosunków Ratzingera z Georgiem Gänsweinem czy Jana Pawła II ze Stanisławem Dziwiszem.

Usiłowałem przeprowadzić wywiad z Piechotą, ale nie udało mi się. Poinformowano mnie, że po zakończeniu pontyfikatu Benedykta XVI polski ksiądz został zatrudniony w Papieskiej Radzie do spraw Kultury. W trakcie jednej z moich licznych wizyt w tym urzędzie zasięgam języka na temat Piechoty i usiłuję się dowiedzieć, jakim cudem człowiek, który – jak się zdaje – nigdy nie interesował się sztuką, mógł tutaj trafić? Czyżby miał jakiś ukryty talent? A może został odsunięty na boczny tor? Próbuję to zrozumieć. Dwukrotnie więc pytam o Piechotę kierownictwo Rady. Czy tu pracuje? Otrzymuję kategoryczną odpowiedź:

– Nie wiem, o kim pan mówi. Tutaj go nie ma.

Dziwne dementi. Lech Piechota figuruje w *Annuario Pontificio* jako pracownik Papieskiej Rady do spraw Kultury obok ojca Laurenta Mazasa, księdza Pasquale Iacobonego i arcybiskupa Carlosa Azeveda. Rozmawiałem ze wszystkimi trzema. Dzwonię na centralę „ministerstwa" i rzeczywiście zostaję połączony z Piechotą. Odbywamy krótką, ale osobliwą rozmowę, ponieważ były asystent watykańskiego „premiera", człowiek, który kontaktował się codziennie z dziesiątkami kardynałów i szefów rządów z całego świata, nie mówi ani po francusku, ani po angielsku, ani po hiszpańsku.

Piechota jest zatem pracownikiem „ministerstwa kultury", ale wygląda na to, że w ogóle zapomniano o jego istnieniu. Czy ma sobie coś do zarzucenia po tym, jak nazwisko wyciekło w ramach afery Vatileaks? Czy osobisty sekretarz kardynała Bertonego wymaga ochrony? Dlaczego ksiądz Piechota tak bardzo trzyma się na uboczu? Dlaczego na polecenie Bertonego opuszcza czasem swój gabinet w siedzibie Papieskiej Rady do spraw Kultury (jak donoszą dwaj moi świadkowie)? Dlaczego można go zobaczyć w wielkim służbowym samochodzie – luksusowym audi A6 na tablicach dyplomatycznych

Watykanu, o przyciemnianych tylnych szybach? Dlaczego Piechota wciąż mieszka w budynku zajmowanym przez Kongregację Nauki Wiary, gdzie widziałem go kilkakrotnie, i dlaczego to wielkie auto zatrzymuje się na uprzywilejowanym parkingu, na którym nikomu nie wolno parkować? I dlaczego członkowie kurii, gdy ich o to pytałem, tylko się uśmiechali? Dlaczego? Dlaczego?

TRZEBA ZAUWAŻYĆ, że Tarcisio Bertone ma wielu wrogów. Wśród nich jest Angelo Sodano, który po wyborze Benedykta XVI nie wyprowadził się ze swojej rezydencji. Były sekretarz stanu czai się na górnych piętrach Kolegium Etiopskiego, które odrestaurował za ogromne pieniądze. To prawda, został odsunięty na boczny tor, jednak w dalszym ciągu jest *decano* (dziekanem) Kolegium Kardynalskiego. Tytuł ten daje mu najwyższą władzę nad wszystkimi elektorami konklawe, którzy wciąż uważają go za *pope makera*. Ponieważ Sodano bardzo długo sprawował rządy absolutne, on także ma złe nawyki: ze swojej pozłacanej szafy manipuluje ludźmi i hakami na ich temat, jakby nadal trzymał stery. Bertone zbyt późno zrozumiał, że Sodano był jednym z głównych sprawców załamania się pontyfikatu Benedykta XVI.

Na początku, jak to często bywa, jest upokorzenie. Były kardynał, sekretarz stanu Jana Pawła II robił wszystko, by pozostać członkiem dworu. W pierwszym roku swoich rządów papież Benedykt utrzymał Sodana na stanowisku. Dla zachowania pozorów, ale także dlatego, że nie miał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić! Kardynał Joseph Ratzinger nigdy nie był politykiem. Nie ma swojej bandy, zespołu, nie ma nikogo, kogo mógłby obsadzić czy awansować na to stanowisko – ma tylko osobistego sekretarza Georga. Ratzinger jednak zawsze był bardzo podejrzliwy wobec Sodana, o którym – jak wszyscy – otrzymywał szokujące informacje. Był tak oszołomiony tym, co mu opowiedziano na temat chilijskiej przeszłości kardynała,

że nie chciał dać temu wiary.

Wykorzystując osiągnięcie przez Sodana kanonicznego wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat, Benedykt XVI w końcu się go pozbywa. Oto argument, który pojawia się w jego wspomnieniach: „Liczył tyle samo lat, co ja. Skoro wybiera się starego papieża, to sekretarz stanu powinien być w pełni sił”[80].

Zesłać na emeryturę prawie osiemdziesięcioletniego kardynała; Sodano tego nie wytrzymuje. Natychmiast zaczyna wierzgać, buntować się, rzucać oszczerstwa. Przechodzi do defensywy. Kiedy uświadamia sobie, że kości zostały rzucone, domaga się, a nawet żąda od władzy wskazania swojego następcy (jego protegowanym jest Giovanni Lajolo, niegdyś pracownik APSA, który był nuncjuszem w Niemczech) – jednak bez sukcesu. Poznawszy zaś w końcu nazwisko nowego sekretarza stanu, arcybiskupa Tarcisio Bertonego, krztusi się z oburzenia: przecież on mógłby być moim sekretarzem! Bertone nie jest nawet nuncjuszem! Nie mówi po angielsku! I nie należy do czarnej arystokracji! (na korzyść Bertonego przemawia to, że może – poza włoskim – się wykazać dobrą znajomością francuskiego i hiszpańskiego, co miałem okazję sprawdzić).

Zaczyna się kampania oszczerstw, plotek i zemsty, jakiej Włochy nie znały od czasów Dantego, który w *Boskiej komedii* wyoutował Juliusza Cezara za to, że ten ukarał żołnierzy, którzy nazywali go „królową”!

Oczywiście plotki zawsze współtworzyły historię stolicy apostolskiej. To te same „wesołe soki trujące”[81], o których mówi Poeta, „choroba plotek, oszczerstw i obmowy” napiętnowana przez papieża Franciszka. Uciekanie się do insynuacji przywodzące na myśl życie homoseksualistów sprzed „wyzwolenia”. Te same aluzje, dowcipy, oszczerstwa, jakimi kardynałowie posługują się dzisiaj, by szkodzić i oczerniać – w nadziei, że zdołają w ten sposób ukryć

własne podwójne życie.

– Watykan to dwór skupiony wokół monarchy. A ponieważ w przypadku duchowieństwa, które żyje we wspólnocie, nie ma podziału na życie prywatne i publiczne, nie ma rodziny, o wszystkim wiadomo i wszystko się miesza. I tak plotki, pogłoski, oszczerstwa stają się całym systemem – wyjaśnia mi watykanistka Romilda Ferrauto, która przez wiele lat pracowała w redakcji Radia Watykańskiego.

Rabelais, sam były mnich, jasno dostrzegał tę skłonność duchownych z papieskiego dworu do obmawiania wszystkich i cudzołożenia na prawo i lewo. Jeśli zaś chodzi o outing, straszliwy oręż homofobów, to był on ceniony przez samych homoseksualistów w klubach gejowskich w latach pięćdziesiątych XX wieku; lubi go też dzisiejsza watykańska arystokracja.

Papież Franciszek, baczny obserwator kurii rzymskiej, nie pomylił się, wymieniając w swoim przemówieniu „piętnaście chorób kurii". Są to między innymi: schizofrenia egzystencjalna tych, którzy tworzą „świat równoległy, gdzie odsuwają na bok to wszystko, czego surowo nauczają innych, i zaczynają żyć drugim, ukrytym życiem, często rozwiązłym", zabijanie „z zimną krwią" dobrego imienia współbraci, „terroryzm plotkarstwa". Czy można było wyrazić to jaśniej? Związek między plotkowaniem a podwójnym życiem dostrzega najbardziej wiarygodny z możliwych świadków – sam papież.

TAK CZY INACZEJ, były sekretarz stanu Angelo Sodano organizuje zemstę na Bertonem w najdrobniejszych szczegółach: przeszkolony w pinochetowskim Chile zna się na rzeczy, wie, czym są zabójcze plotki i bezwzględne metody działania. Najpierw odmawia opuszczenia luksusowego apartamentu, w którym miał zamieszkać Bertone. Przecież nowy sekretarz stanu może się zadowolić jakimś

tymczasowym lokum, dopóki jego nowy penthouse nie zostanie odnowiony i wypacykowany.

Przeszedłszy do ruchu oporu, jadowity Sodano rozkręca koterie w łonie Kolegium Kardynalskiego i puszcza w ruch machinę oszczerstw. Bertone jest zbyt powolny i gdy wreszcie po wybuchu afery Vatileaks dostrzega prowadzoną przeciw sobie kampanię, jest już za późno. Na wcześniejszą emeryturę zesłani zostaną wraz z papieżem wszyscy jego współpracownicy!

Jednym z bliskich wspólników Sodano jest wspomniany już wcześniej argentyński arcybiskup Leonardo Sandri, który był nuncjuszem apostolskim w Wenezueli i Meksyku. Nowy papież, który ma wobec kłopotliwego Argentyńczyka takie same obiekcje jak wobec Sodano, postanawia się pozbyć również jego. Oczywiście zachowując należne pozory: w 2007 roku wręcza Sandriemu nominację kardynalską i powierza mu troskę o Kościoły wschodnie. Ale dla tego maczysty o przerośniętym ego, który nie może znieść utraty teki papieskiego „ministra spraw wewnętrznych”, to za mało. Sprzymierza się więc z opozycjonistą Sodana, stając się żołnierzykiem małej partyzantki działającej w watykańskiej Sierra Maestra.

Tego rodzaju sceny małżeńskie i rodzinne sprzeczki nigdy nie omijały stolicy apostolskiej. Wielu papieży mimo przeciwnych wiatrów zdołało się utrzymać na powierzchni tego oceanu ambicji, przewrotności i oszczerstw. Inny sekretarz stanu z pewnością umiałby doprowadzić tę barkę do właściwego portu – nawet z Benedyktem XVI na pokładzie; inny papież, gdyby zadbał o swoją kurię, umiałby z powrotem zwodować łódź – nawet z Bertonem. Ale połączenie papieża ideologa zainteresowanego wyłącznie teorią i kardynała, którego zadufanie w sobie i obsesja kontroli czynią niezdolnym do zarządzania kurią, nie mogło zadziałać. Ten duet od początku był skazany na porażkę, która szybko stała się faktem. „Mogliśmy sobie

zaufać, rozumieliśmy się nawzajem, dlatego też miał i ma moje wsparcie”[82] – miał później dobrotliwie powiedzieć o Bertonem papież emeryt.

Kontrowersje pojawiają się jedna po drugiej z oszałamiającą szybkością i gwałtownością: podczas wystąpienia w Ratyzbonie papież wywołuje międzynarodowy skandal, ponieważ z jego słów wynika, jakoby przemoc była nieodłączną cechą islamu – Benedykt XVI niweczy w ten sposób cały wysiłek Watykanu włożony w dialog międzyreligijny (przemówienie nie zostało wcześniej sprawdzone i papież ostatecznie musiał za nie przeprosić); pośpieszne i bezwarunkowe cofnięcie ekskomuniki dla lefebrystów, z których jeden jest powszechnie znanym antysemitą i rewizjonistą, naraża go na oskarżenia o wspieranie skrajnej prawicy i wzbudza ostre reakcje wśród Żydów. Te poważne wpadki i błędy w komunikacji szybko osłabiają ojca świętego, a jego dawny związek z hitlerowską młodzieżówką w sposób nieunikniony znowu staje się tematem rozmów.

Kardynał Bertone zostaje wkrótce bohaterem wielkiego skandalu lokalowego. Na podstawie informacji ujawnionych przez Vatileaks prasa wytyka mu, że podobnie jak Sodano sam przyznał sobie penthouse: apartament o powierzchni 350 metrów kwadratowych powstały w wyniku połączenia dwóch mieszkań w Pałacu Świętego Karola, z tarasem o powierzchni 300 metrów kwadratowych. Prace remontowe za 200 tysięcy euro miały zostać sfinansowane przez fundację szpitala pediatrycznego Bambino Gesù (Papież Franciszek nakazał Bertonemu zwrot tej sumy; przeciwko kardynałowi wszczęto też proces).

Choć na ten temat niewiele wiadomo, za kulisami mobilizuje się koteria gejowska, która podsyca kontrowersje i spiskuje na prawo i lewo. W intrygach uczestniczą kardynałowie i biskupi – sami

praktykujący homoseksualiści. Zaczyna się prawdziwa wojna na nerwy wycelowana w Bertonego i za jego pośrednictwem oczywiście w papieża. Tłem dla tych intryg jest tyle zapiekłych nienawiści, oszczerstw, plotek, a czasem też historii miłosnych, byłych związków i rozstań, że trudno oddzielić problemy interpersonalne od faktycznego przedmiotu sporu. (W swoim *Świadectwie* arcybiskup Viganò podejrzewa kardynała Bertonego o to, że „faworyzował promowanie homoseksualistów na odpowiedzialne stanowiska”[83]).

W tych ponurych okolicznościach do stolicy apostolskiej docierają nowe przytłaczające informacje o nadużyciach seksualnych w różnych krajach. Ta potężna fala miała powalić Watykan, który i tak był już na granicy eksplozji i który mimo upływu dziesięciu lat wciąż jeszcze nie stanął na nogi.

BERTONE, KTÓRY W HOMOFOBII NIE USTĘPUJE SODANOWI, ma własną teorię na temat pedofilii. Ujawnia ją szerokiej publiczności i prasie podczas podróży do Chile, dokąd przybywa niezwykle wzburzony w kwietniu 2010 roku ze swoim ulubionym sekretarzem. Wypowiada się wtedy oficjalnie na temat psychologicznych cech księży pedofilów. Oto słowa Bertonego, po których znowu rozgorzały światowe kontrowersje:

– Wielu psychologów i psychiatrów wykazało, że nie ma związku pomiędzy celibatem [kapłańskim] a pedofilią. Jednak wielu innych udowodniło i ostatnio mi to powiedzieli, że istnieje związek między homoseksualizmem a pedofilią. Taka jest prawda. I tutaj leży problem.

Oficjalne stwierdzenie wypowiedziane przez człowieka numer dwa w Watykanie nie przechodzi bez echa. Słowa te, niejasne i pełne hipokryzji, wywołały międzynarodowe oburzenie: setki osobistości – aktywiści LGBT, ale także europejscy ministrowie i teolodzy katoliccy

– potępiły nieodpowiedzialne słowa dostojnika. Po raz pierwszy jego wypowiedź spotkała się z zatwierdzonym przez papieża ostrożnym dementi biura prasowego Watykanu. Fakt, że Benedykt XVI rezygnuje ze swojego dystansu, by zasygnalizować, iż między nim a jego premierem istnieje źdźbło niezgody, jest znamienny. Oznacza to, że sytuacja jest poważna.

Jak to się stało, że Bertone pozwolił sobie na tak absurdalną wypowiedź? Pytałem o to wielu kardynałów i innych duchownych: usprawiedliwiali ją błędem w komunikacji lub niezręcznością. Tylko jeden udzielił mi interesującej odpowiedzi. Według tego księdza – kapłana z kurii, który pracował w Watykanie za Benedykta XVI – wypowiedź Bertonego na temat homoseksualizmu jest strategiczna, ale podobno również odzwierciedla jego myślenie. Strategiczna – ponieważ w myśl sprawdzonej techniki Bertone zamiast zakwestionować celibat, zrzucił winę na zbłąkane owce, z których i tak nie ma w Kościele żadnego pożytku. Stanowi odbicie jego myślenia, gdyż – jak twierdzi ten sam informator – pokrywa się z poglądami bliskich Bertonemu teoretyków, takich jak kardynał Alfonso López Truillo czy ksiądz psychoanalityk Tony Anatrella.

Do tego wszystkiego należy jeszcze dodać elementy związane z kontekstem tej wizyty, które odkryłem podczas pobytów w Chile. Po pierwsze, zgromadzeniem najsilniej zamieszanym w nadużycia seksualne w tym kraju są nomen omen salezjanie, macierzysta kongregacja Bertonego. Po drugie – co wzbudziło powszechne rozbawienie – na niektórych zdjęciach zrobionych w chwili, gdy Bertone publicznie piętnował homoseksualizm jako źródło pedofilii, widać w jego otoczeniu co najmniej dwóch księży powszechnie znanych jako geje. Już ze względu na ten fakt jego oświadczenie „straciło na wiarygodności”, jak się dowiedziałem z kilku źródeł.

Juan Pablo Hermosilla, jeden z głównych chilijskich prawników

zajmujących się sprawami nadużyć seksualnych w Kościele, zaangażowany w proces przeciwko księdzu pedofilowi Fernandowi Karadimie, przedstawił mi następujące, moim zdaniem słuszne wyjaśnienie relacji między homoseksualizmem a pedofilią.

– Moim zdaniem księża pedofile, aby się bronić, wykorzystują informacje na temat hierarchii katolickiej, do których mają dostęp. Stosują presję lub szantaż. Biskupi, którzy sami są czynnymi gejami, są zmuszeni do milczenia. Wyjaśnia to, dlaczego Karadima był chroniony [przez biskupów i arcybiskupów]: nie dlatego, że oni także byli pedofilami, większość zresztą nimi nie jest, ale dlatego, że nie chcieli, by na jaw wyszedł ich własny homoseksualizm. Takie jest według mnie prawdziwe źródło zinstytucjonalizowanej korupcji i praktyki tuszowania skandali w Kościele.

Pójdźmy dalej. Wiele nadużyć w Kościele, wiele przemilczeń, wiele tajemnic wyjaśnia następująca prosta zasada panująca w Sodomie: każdy ma na każdego haka. Dlaczego kardynałowie milczą? Dlaczego wszyscy przymykają oczy? Dlaczego papież Benedykt XVI, który wiedział o tylu skandalach seksualnych, niekoniecznie przekazywał informacje o nich wymiarowi sprawiedliwości? Dlaczego kardynał Bertone zrujnowany atakami Angelo Sodana nie wyjął kwitów, które miał na swojego przeciwnika? Mówienie o kimś oznacza ryzyko, że ktoś powie coś o nas. Oto wyjaśnienie omerty i rozpowszechnionego kłamstwa w Kościele. Watykan i Sodoma są jak Fight Club, a pierwsza zasada Fight Clubu polega na tym, że się o nim nie mówi. Nikt nie mówi o Fight Clubie.

HOMOFOBIA NIE PRZESZKADZA BERTONEMU w dyskretnym zakupie gejowskiej sauny w centrum miasta. Przynajmniej w ten sposób tę niewiarygodną informację przedstawiła prasa.

Aby zrozumieć całą sprawę, udaję się na miejsce, pod adres Via Aureliana 40: znajduje się tam sauna Europa Multiclub. Jeden

z najliczniej uczęszczanych przybytków gejowskich w Rzymie. To połączenie siłowni z miejscem podrywu, z saunami i hammamami. Figle są tam dozwolone i legalne, ponieważ klub jest uznawany za prywatny. Aby tam wejść, trzeba mieć, podobnie jak w większości lokali gejowskich we Włoszech, kartę członkowską – ot, koloryt lokalny. Przez długi czas dystrybutorem karty było stowarzyszenie Arcigay; dziś sprzedaje ją po 15 euro organizacja Anddos, rodzaj lobby podporządkowanego szefom gejowskich klubów.

– Karta członkowska jest obowiązkowa, jeśli chce się wejść do sauny, ponieważ prawo zabrania uprawiania seksu w miejscach publicznych. Nasz klub jest prywatny – usprawiedliwia się Mario Marco Canale, menedżer sauny Europa Multiclub i przewodniczący stowarzyszenia Anddos, który podkreśla tę podwójną rolę, witając mnie w kontrowersyjnym lokalu.

I mówi dalej, tym razem jako przewodniczący stowarzyszenia:

– Mamy prawie dwieście tysięcy członków w całych Włoszech, ponieważ karta Anddos jest wymagana w wielu barach, klubach czy saunach.

Ten system dostępu do lokali gejowskich za okazaniem karty jest wyjątkiem na skalę europejską. Początkowo w maczystowskich i antygejowskich Włoszech lat osiemdziesiątych XX wieku jego celem była ochrona tych przybytków, zyskanie wiernych klientów i zalegalizowanie seksu na miejscu. Dziś jest kontynuowany z mniej ważnych przyczyn, pod naciskiem szefów siedemdziesięciu klubów zrzeszonych w Anddos oraz być może dlatego, że pozwala stowarzyszeniu na prowadzenie kampanii przeciwko AIDS oraz otrzymywanie publicznych subwencji.

Według wielu aktywistów gejowskich, z którymi rozmawiałem, „ta karta to relikt przeszłości, który najwyższy czas znieść”. Umożliwia inwigilację homoseksualistów we Włoszech (której Anddos

kategorycznie zaprzecza) i zdaniem jednego z działaczy jest symbolem „homoseksualizmu zamkniętego w czterech ścianach i wstydliwego, traktowanego jako sprawa wyłącznie prywatna".

Pytam Marco Canalego o kontrowersje oraz liczne artykuły w prasie, które przedstawiały saunę Europa Multiclub jako miejsce, którym zarządza Watykan, a dokładniej sam kardynał Bertone.

– Musi pan wiedzieć, że w Rzymie setki budynków są własnością stolicy apostolskiej – odpowiada Canale, nie dementując wprost tej informacji.

Rzeczywiście budynek na rogu Via Aureliana i Via Carducci, w którym mieści się sauna, został kupiony przez Watykan w 2008 roku za 20 milionów euro. Kardynał Bertone, ówczesny „premier" papieża Benedykta XVI, nadzorował i zatwierdził tę transakcję. Jak wynika z posiadanych przeze mnie informacji, sauna stanowi jednak tylko część dużej nieruchomości obejmującej także około dwudziestu lokali, w których mieszkają księża – a w jednym nawet kardynał. Prasa stworzyła więc zlepek informacji, który można było opatrzyć atrakcyjnym nagłówkiem: kardynał Tarcisio Bertone kupił największą gejowską saunę we Włoszech!

Cała sprawa tchnie jednak żenującą amatorszczyzną, skoro sekretarz stanu i jego służby dali zielone światło dla tej ogromnej inwestycji, nie zauważywszy, że w nieruchomości mieści się powszechnie znana, największa gejowska sauna we Włoszech, z fasadą od strony ulicy. Cena, jaką zapłacił Watykan, wydaje się nieadekwatna: ze śledztwa przeprowadzonego przez włoski dziennik „La Repubblica" wynika, że poprzednio budynek został sprzedany za 9 milionów. Watykan miał zatem w wyniku tej transakcji zostać oszukany na 11 milionów euro!

Marco Canale jest rozbawiony całym skandalem, ale wskazuje mi jeszcze jeden ukryty wątek tej operacji:

– Do sauny Europa Multiclub przychodzi wielu księży, a nawet kardynałowie. Od razu też rozpoznajemy, kiedy odbywa się jakiś jubileusz, synod czy konklawe: w saunie jest wtedy więcej gości niż zazwyczaj. Dzięki księżom, którzy tu ściągają!

Inny z moich informatorów również twierdzi, że do gejowskiego stowarzyszenia Anddos należą liczni księża. Można to ustalić, ponieważ aby zostać jego członkiem, trzeba podać dane z dowodu tożsamości; a włoski dowód osobisty zawiera zakodowaną przez system informatyczny informację o wykonywanym zawodzie.

– Ale nie jesteśmy policją. Nikogo nie śledzimy. Po prostu mamy w naszych szeregach dużo księży, to wszystko! – kończy Canale.

INNA AFERA, która rozegrała się za Benedykta XVI i Bertonego, ale wyszła na jaw za Franciszka, dotyczy *chemsex parties*. Już wcześniej słyszałem, że tego typu imprezy odbywały się na terenie samego Watykanu – prawdziwe zbiorowe orgie, podczas których w sposób czasem niebezpieczny mieszają się seks i narkotyki („chem" oznacza w tym skrócie „chemicals": chodzi o syntetyczne narkotyki, takie jak MDMA, GHB, DOM, DOB, DiPT i niektóre będące w obiegu aptecznym).

Przez długi czas sądziłem, że to plotki, jakich wiele w Watykanie. Aż tu nagle latem 2017 roku włoska prasa doniosła, że pewien duchowny, ksiądz Luigi Capozzi, który od dziesięciu lat był jednym z najważniejszych sekretarzy kardynała Francesco Coccopalmeria, został aresztowany przez żandarmerię watykańską za organizowanie *chemsex parties* w swoim prywatnym mieszkaniu w Watykanie. (Rozmawiałem na temat tej sprawy z pewnym księdzem z kurii, który dobrze znał Capozziego, spotkałem się też z kardynałem Coccopalmerio).

Capozzi, bliski znajomy Tarcisio Bertonego, lubiany przez kardynała Ratzingera, zajmował mieszkanie znajdujące się

w budynku Świętego Oficjum, w otoczeniu apartamentów zajmowanych przez czterech kardynałów, kilku arcybiskupów i wielu innych duchownych, między innymi sekretarza kardynała Bertonego Lecha Piechotę i Josefa Clemensa, byłego sekretarza osobistego kardynała Ratzingera.

Dobrze znam ten budynek, ponieważ dziesiątki razy bywałem tam na kolacjach: ma dwoje drzwi, z których jedne wychodzą na teren Włoch, a drugie na Watykan. Lokalizacja mieszkania Capozziego była wprost idealna dla takich narkotycznych orgii. Mógł on grać na dwa fronty: włoska policja nie mogła przeszukać jego lokum ani samochodu na dyplomatycznych tablicach, jako że był rezydentem Watykanu; mógł jednak bezkarnie wychodzić na zewnątrz bez poddawania się watykańskim kontrolom ani rewizjom gwardii szwajcarskiej, bo drzwi jego rezydencji wychodziły wprost na Włochy. Na miejscu wypracowano cały rytuał: *chemsex parties* odbywały się przy przytłumionym czerwonym świetle, z konsumpcją twardych narkotyków, wódki i marihuany oraz z udziałem wysoce zdemoralizowanych gości. Prawdziwie „piekielne noce”!

Według osób, z którymi rozmawiałem, o homoseksualizmie Capozziego wiedzieli wszyscy – a więc prawdopodobnie również jego przełożeni, kardynał Coccopalmerio i Tarcisio Bertone, tym bardziej że kapłan nie wahał się odwiedzać klubów gejowskich, a latem brać udziału w wielkich imprezach LGBT w Gay Village Fantasia na południu Rzymu.

– W *chemsex parties* brali też udział inni księża i urzędnicy watykańscy – dodaje jeden z moich informatorów, duchowny, który bywał na tych imprezach.

Po tych rewelacjach ksiądz Luigi Capozzi trafił do Kliniki Piusa XI i od tamtego czasu nie dał znaku życia. (Wciąż jest uznawany za niewinnego, ponieważ jego proces o używanie i ukrywanie

środków odurzających się nie odbył).

PONTYFIKAT BENEDYKTA XVI wystartował więc z wielkim impetem i toczył się na pełnych obrotach pośród kolejnych skandali. Wojna przeciwko gejom trwa – jak za czasów Jana Pawła II. Hipokryzja jest częścią tego systemu bardziej niż kiedykolwiek: na zewnątrz nienawiść do homoseksualistów, a w środku homofilia i podwójne życie. Niekończący się cyrk.

„Najbardziej gejowski pontyfikat we współczesnej historii", jak twierdzi Krzysztof Charamsa. Kiedy rozmawiam z nim w Barcelonie, ów ksiądz, który przez długi czas pracował u boku Ratzingera, kilkakrotnie podkreśla specyfikę rządów Benedykta XVI jako „najbardziej gejowskich w historii". Don Julius, pracownik kurii, uważa, że „za Benedykta XVI trudno było być heteroseksualnym". Choć oczywiście istniały wyjątki, ukuto śmiałe określenie definiujące otoczenie papieża: „Fifty shades of gay".

Franciszek również, choć w sposób oczywiście mniej bezpośredni, piętnował paradoksy tej zdemoralizowanej społeczności. Ratzingerystom surowo wytknął „teologiczny narcyzm". Innym słowem, którego używa, mówiąc o homoseksualizmie, jest przymiotnik „autoreferencyjny". Wiemy bowiem, że za zewnętrznym rygoryzmem często kryje się podwójne życie.

– Odczuwam głęboki smutek, wspominając pontyfikat Benedykta XVI, jeden z najmroczniejszych okresów w Kościele, kiedy homofobia była stałym, rozpaczliwym sposobem na tuszowanie samego istnienia homoseksualizmu wśród nas – mówi Charamsa.

Za Benedykta XVI bowiem im wyżej w watykańskiej hierarchii, tym więcej było homoseksualistów. Wśród biskupów, których ten papież wyniósł do godności kardynalskiej, większość stanowili co najmniej homofile, a niektórzy byli zdecydowanie „praktykujący".

– W trakcie pontyfikatu Benedykta XVI biskup homoseksualny,

który sprawiał wrażenie, że żyje w czystości, miał o wiele więcej szans na zostanie kardynałem niż heteroseksualista – potwierdza pewien duchowny, wytrawny znawca myśli Ratzingera, wykładowca podczas „la chaire Benoît XVI” w Ratyzbonie.

Benedykt XVI nie rusza się z Watykanu bez któregoś spośród swoich najbliższych współpracowników. Jest wśród nich pewien duchowny zwany księdzem Jessicą: wykorzystuje on regularne odwiedziny ojca świętego w klasztorze Santa Sabina w Rzymie, siedzibie dominikanów, do wręczania młodym braciom swojej wizytówki. Ta jego *pickup line,* czyli technika podrywu, była na ustach wszystkich, gdy magazyn „Vanity Fair” opublikował reportaż na ten temat: kapłan umizgiwał się do kleryków, obiecując, że pokaże im łóżko Jana XXIII!

– Zachowywał się wobec kleryków bardzo *touchy* i bardzo zażyle – mówi ksiądz Urien, który widział go w akcji.

Także dwaj inni biskupi należący do protokołu – również „gayissimi” – okazujący Ratzingerowi wielkie przywiązanie i związani z sekretarzem stanu Bertonem uskuteczniają podryw, szlifując techniki opracowane za Jana Pawła II. (Spotkałem się z obydwoma w towarzystwie Danielego i jeden z nich zawzięcie nas kokietował).

Watykan oczywiście aż huczy od plotek, do tego stopnia, że niektórzy duchowni są tym poirytowani. Arcybiskup Angelo Mottola, który był nuncjuszem w Iranie i Czarnogórze, podczas pobytu w Rzymie miał powiedzieć do kardynała Taurana (cytuję za świadkiem, który obserwował tę scenę):

– Nie rozumiem, dlaczego ten papież [Benedykt XVI] potępia homoseksualistów, skoro sam się otacza tymi wszystkimi *ricchioni*[84].

Papież nie słucha plotek. Czasem posuwa się wręcz do skrajnej przesady. Kiedy w rzymskiej galerii Palazzo Venezia Muzeum Luwru

wystawia *Jana Chrzciciela* Leonarda da Vinci w ramach długiego tournée obrazu po jego renowacji, Benedykt XVI udaje się tam z wielką pompą: organizuje specjalną wyprawę wraz ze swoją świtą, w tym z księżmi rozglądającymi się za ładnymi chłopcami. Czy przyciąga go sam hermafrodyta o puklach w kolorze weneckiego blondu, czy też jego palec skierowany prosto w niebo? Jakkolwiek by było, renowacja dała obrazowi prawdziwe odrodzenie: zniewieściały, prowokujący młodzieniec, przez lata ukryty pod warstwą brudu, promienieje na oczach wszystkich. Odnowiony i olśniewający *Jan Chrzciciel* właśnie dokonał coming outu i papież nie chciał przegapić takiego wydarzenia. (Sądzi się, że modelem dla Jana Chrzciciela był Salai, pochodzący z ubogiej rodziny chłopiec o anielskim, androginicznym typie urody. Leonardo miał go spotkać przez przypadek w roku 1490 na ulicach Mediolanu: ten diablik o długich lokach przez wiele lat był jego kochankiem).

Innym razem, podczas audiencji generalnej w 2010 roku, papież ogląda w sali Pawła VI pokaz tańca: na scenę wychodzi czterech seksownych akrobatów, którzy na oczach zachwyconego ojca świętego nagle zrzucają z siebie podkoszulki. Z nagimi torsami, tryskając młodością i urodą, wykonują wesoły numer, który można obejrzeć na YouTubie. Poruszony ojciec święty spontanicznie wstaje z wielkiego, białego papieskiego tronu, by ich pozdrowić. Za jego plecami kardynał Bertone i Georg Gänswein klaszczą jak szaleni. Jak się później okazało, ta niewielka trupa występowała z takim samym sukcesem na Gay Pride w Barcelonie. Czy komuś z papieskiego otoczenia właśnie tam rzuciła się w oczy?

Wszystko to nie przeszkadza papieżowi w kolejnym zaostrzeniu nagonki na gejów. Świeżo po wyborze, już pod koniec 2005 roku, Benedykt XVI poprosił Kongregację Nauki Wiary, aby z uwagi na fakt, iż „kultura homoseksualna wciąż postępuje”, zredagowała

nowy tekst potępiający homoseksualizm jeszcze surowiej. Jego współpracownicy prowadzili ożywioną debatę, by ustalić, czy potrzebna jest encyklika, czy zwykły „dokument”. Tekst został napisany w wersji prawie ostatecznej i zgodnie z przyjętą zasadą krążył wśród członków Kongregacji Nauki Wiary, którzy mieli go opatrywać swoimi uwagami. Jeden z księży, który pracował jako asystent Jeana-Louisa Taurana, miał do niego dostęp i opisał mi go ze szczegółami. Jak twierdzi mój rozmówca, ton tego tekstu był bulwersująco zaciekły. Ksiądz ów czytał również dołączone do dokumentu opinie konsultantów i członków Kongregacji, w tym Taurana (na przykład biskupów i przyszłych kardynałów Alberta Vanhoye’a i Giovanniego Lajola czy biskupa Enrico dal Covola – komentarze całej trójki były bardzo homofobiczne). Mój informator zapamiętał sformułowania rodem ze średniowiecza, takie jak: „grzech przeciwko naturze”, „obrzydliwość” homoseksualistów, a także „siła międzynarodowego lobby gejowskiego”.

– Część konsultantów walczyła o mocne działanie w formie encykliki. Inni opowiadali się za dokumentem o mniejszym znaczeniu. Jeszcze inni, zważywszy na możliwe kontrproduktywne konsekwencje tego tekstu, radzili, by nie wracać do tego tematu – przypomina sobie mój rozmówca.

Ostatecznie myśl o encyklice zarzucono. Otoczenie odwiodło papieża od zamiaru, by jeszcze raz – o jeden raz za dużo? – poruszyć tę kwestię. Ale duch tekstu przetrwał.

PO NIESPEŁNA PIĘCIU LATACH PONTYFIKAT jest w fazie schyłku i watykańska machina niemal zupełnie się blokuje. Benedykt XVI kuli się w swojej lękliwości i często płacze. Wicepapieża Bertonego, który z natury jest podejrzliwy, ogarnia kompletna paranoja. Wszędzie węszy spiski, machinacje, koterie. Kartoteki się zapełniają, a żandarmeria zakłada kolejne podsłuchy.

W watykańskich ministerstwach i kongregacjach mnożą się dymisje – na własne lub cudze życzenie. W newralgicznym miejscu, jakim jest sekretariat stanu, Bertone robi porządki osobiście, tak bardzo obawia się zdrajców, czy – bardziej jeszcze – spryciarzy, których osobowość mogłaby go przyćmić. I tak jednakowe traktowanie spotyka Judaszów, Piotrów i Janów – wszyscy zostają poproszeni o opuszczenie Wieczernika.

Tarcisio Bertone usuwa z sekretariatu stanu dwóch najbardziej doświadczonych nuncjuszy: biskupa Gabriele Caccię, który zostaje zesłany do Libanu (gdzie się z nim spotkałem), i Pietro Parolina, którego wysyła do Wenezueli.

– Kiedy Caccia i Parolin odeszli, Bertone został sam. System, który i tak był głęboko dysfunkcyjny, nagle się zawalił – stwierdza amerykański watykanista Robert Carl Mickens.

Wielu zaczyna prosić papieża o audiencję bez pośrednictwa kłopotliwego sekretarza stanu. Sodano opowiada o wszystkim, co mu leży na sercu, papieżowi, a Georg Gänswein, do którego petenci zwracają się bezpośrednio, by obejść Bertonego, przyjmuje niezadowolonych nieprzerwanie ustawiających się pod jego biurem. I kiedy pontyfikat pogrąża się w agonii, czterech ważnych kardynałów – Schönborn, Scola, Bagnasco i Ruini – nagle wyskakuje z cienia, by poprosić Benedykta XVI o audiencję. Ci eksperci od watykańskich intryg, wytrawni koneserzy złych obyczajów kurii sugerują papieżowi, by natychmiast wymienił Bertonego. I – niejako przez przypadek – ich inicjatywa od razu wycieka do prasy. Papież nie chce o niczym słyszeć i ucina:

– Bertone zostaje, basta!

FAKT, ŻE HOMOSEKSUALIZM jest głównym wątkiem wielu intryg i skandali tego pontyfikatu, jest oczywisty. Jednak błędem byłoby, jak to czasem czyniono, przeciwstawianie sobie dwóch

obozów: obozu przyjaznego gejom obozowi homofobów albo obozu zakamuflowanych gejów obozowi żyjących w czystości heteroseksualistów. Pontyfikat Benedykta XVI, którego afery są po części pokłosiem działalności owych kręgów rozpusty z czasów Jana Pawła II, to okres ścierania się kilku równie homofobicznych klanów homoseksualnych. Jedni są warci drugich.

Wojna przeciwko gejom, prezerwatywom i związkom jednopłciowym także przybiera na sile. Ale podczas gdy w roku 2005, kiedy Joseph Ratzinger został papieżem, małżeństwa jednopłciowe były jeszcze zjawiskiem rzadkim, w chwili jego dymisji są już coraz bardziej powszechne i w Ameryce Łacińskiej, i w Europie. Podsumowując, można by nazwać ten przedwcześnie zakończony pontyfikat niewiarygodnym ciągiem z góry przegranych bitew. Żaden z papieży w historii współczesnej nie był tak bardzo antygejowski. I żaden z nich nie musiał się bezsilnie przyglądać takiemu rozkwitowi praw gejów i lesbijek. W niedługim czasie małżeństwo osób tej samej płci miało uznać ponad trzydzieści państw, w tym w roku 2017 jego rodzinne Niemcy. Zdecydowaną większością głosów w parlamencie zaakceptowano tam tekst, z którym Joseph Ratzinger walczył przez całe życie.

A przecież Benedykt XVI nigdy nie złożył broni. Lista jego bulli, brewe, wystąpień, listów, tekstów potępiających małżeństwa jednopłciowe nie ma końca. Nie bacząc na rozdział Kościoła od państwa, papież wszędzie włączał się w debatę publiczną, a wszystkie manifestacje przeciwko małżeństwom gejowskim były zakulisowo sterowane przez Watykan.

I za każdym razem porażka. Ale co znowu znamienne – większość aktorów tej walki to homofile, „siedzący w szafie” lub „praktykujący”. I często należący do „parafii”.

Partyzantce walczącej z ideą małżeństw jednopłciowych

przewodzi, pod patronatem papieża, ośmiu ludzi: sekretarz stanu Tarcisio Bertone wspierany przez Leonardo Sandriego pełniącego funkcję zastępcy lub „ministra spraw wewnętrznych”, Dominique’a Mambertiego, „ministra spraw zagranicznych”, oraz Williama Levadę i stojącego na czele Kongregacji Nauki Wiary Gerharda Müllera. Tę samą rolę odgrywają Giovanni Battista Re i Marc Ouellet z Kongregacji do spraw Biskupów. I oczywiście kardynał Alfonso López Trujillo, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Rodziny, który burzy się przeciwko małżeństwom gejowskim już na początku pontyfikatu.

Tym, co fascynuje w tej grupie mężczyzn, gdy się ich spotka lub z nimi rozmawia (z pięcioma spośród nich przeprowadziłem wywiady), jest ich sztuczny rygoryzm i mizoginizm. Czy prowadzą podwójne życie? Nie zawsze się to sprawdza, ale wydaje się, że Joseph Ratzinger miał jeden z najlepszych gejdarów w Watykanie.

Przywołajmy przykład kardynała Kurta Kocha, biskupa Bazylei, którego Ratzinger sprowadził do siebie w roku 2010. W tym samym czasie weteran dziennikarskiego rzemiosła Michael Meier, specjalista do spraw Kościoła w najważniejszym niemieckojęzycznym szwajcarskim dzienniku „Tages-Anzeiger”, publikuje długi reportaż oparty na zeznaniach bezpośrednich świadków i autentycznych dokumentów. Meier ujawnia istnienie wydanej przez Kocha książki, która w tajemniczy sposób zniknęła z jego dorobku, zatytułowanej *Lebensspiel der Freundschaft, Meditativer Brief an meinen Freund* (w dosłownym tłumaczeniu Gra życia, medytacyjny list do mojego przyjaciela). Książkę, której egzemplarz zdobyłem, czyta się jak prawdziwy list miłosny skierowany do pewnego młodego teologa. Meier opisuje też bezpośrednie otoczenie kardynała, ujawnia istnienie tajnego mieszkania, które Koch podobno dzieli z innym księdzem, i sugeruje, jakoby prowadził on podwójne życie.

– Wszyscy zauważyli, że Koch jest nieszczęśliwy – mówi Meier, z którym wielokrotnie się spotykam w jego mieszkaniu w Zurychu. (O ile mi wiadomo, biskup Bazylei nie zdementował tego artykułu, nie odpowiedział na niego ani nie wniósł pozwu przeciwko jego autorowi).

Czyżby Koch stał się ofiarą oszczerstw rzucanych przez własne otoczenie? Jakkolwiek by było, Ratzinger ściąga go do kurii, a mianując kardynałem i swoim „ministrem do spraw ekumenizmu", delikatnie wyprowadza go z Bazylei.

Kardynał Koch nie zechciał odpowiedzieć na moje pytania, ale w Rzymie rozmawiałem z jednym z jego zastępców, ojcem Hyacinthe'em Destivellem, który długo opowiadał mi o grupie „Schülerkreis", kręgu uczniów Ratzingera, którym Koch się opiekuje. Dyskutowaliśmy również o homoseksualizmie Piotra Czajkowskiego.

CHOROBLIWA HOMOFOBIA Benedykta XVI zaczyna oburzać życzliwe gejom środowiska we Włoszech. Jest coraz gorzej przyjmowana przez opinię publiczną (Włosi zrozumieli jej logikę!) i działacze LGBT zaczynają odpłacać pięknym za nadobne. Czasy się zmieniają i papież będzie musiał to zrozumieć, ucząc się na własnych błędach.

Popełniając karygodną strategiczną pomyłkę, jaką jest wzięcie na cel homoseksualizmu przy niemal całkowitym pominięciu pedofilii, ojciec święty przegrywa przede wszystkim na poziomie moralności. Żaden papież przed nim nie był obiektem tylu osobistych oskarżeń. Trudno sobie dziś wyobrazić te fale krytyki, które zwalały się na niego w trakcie pontyfikatu. Obdarzany przez włoskie kręgi homoseksualne niewybrednym epitetem *passivo e bianco* był regularnie oskarżany o bycie kryptogejem i ukazywany jako symbol „uwewnętrznionej homofobii". To było medialne ukrzyżowanie.

W archiwach stowarzyszeń gejowskich, w ogólnodostępnym

internecie i w głębokiej sieci znalazłem niezliczone artykuły, ulotki i zdjęcia ilustrujące tę walkę. Benedykt XVI był z całą pewnością najbardziej znienawidzonym papieżem we współczesnej historii Watykanu.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To był dosłownie nieprzerwany potok obciążających artykułów, plotek, ataków ze wszystkich stron, tekstów autorstwa nabuzowanych, agresywnych blogerów, obelżywych listów we wszystkich językach pochodzących ze wszystkich krajów. Hipokryzja, dwulicowość, nieuczciwość, podwójna gra, uwewnętrzniona homofobia, wszystko tam było, *ad nauseam* – opowiada mi ksiądz, który pracował w tamtym czasie w biurze prasowym Watykanu.

Trafiam na plakaty rozdawane w trakcie demonstracji popierających związki partnerskie i widzę takie hasła: „Joseph e Georg, Lottiamo anche per voi" (Joseph i Georg, walczymy także dla was) albo: „Il Papa è gay come Noi" (Papież jest gejem tak jak my).

W niewielkiej książce, która odniosła skromny sukces, ale zwracała uwagę śmiałością, anarchistyczny dziennikarz Angelo Quattrocchi, osobistość włoskiego undergroundu, dosłownie wyoutował Benedykta XVI. Ironiczna książeczka zatytułowana *The pope is NOT gay* zawiera liczne zdjęcia przedstawiające papieża i jego protegowanego Georga w zniewieściałych pozach. Sam tekst jest przeciętny, pełen błędów faktograficznych i nie podaje ani dowodów na swoje oskarżenia, ani nowych informacji. Ale fotografie są wymowne i prześmieszne. Ratzinger, przezywany „the Pink Pope", jest na nich odmalowany w najdrobniejszych szczegółach.

W tym samym czasie upowszechniają się przezwiska Benedykta XVI, jedne okrutniejsze od drugich: jedno z najgorszych to – obok „Passivo e bianco" – „La Maledetta" („przeklęta", gra słów oparta na skojarzeniu z „Benedetto" – błogosławiony).

Głos zaczynają też zabierać koledzy papieża ze szkolnej ławy czy studiów, na przykład Uta Ranke-Heinemann, która studiowała z nim na uniwersytecie w Monachium. Osiemdziesięcioczterolatka stwierdza, że według niej papież jest gejem. (Poza własnymi słowami nie podaje żadnych dowodów).

Na całym świecie dziesiątki stowarzyszeń LGBT, gejowskich mediów, ale też skandalizujące gazety, takie jak brytyjska *yellow press*, rozpoczynają zaciętą kampanię przeciwko Ratzingerowi. Z jakąż swadą owe brukowce potrafią za pomocą obfitości aluzji, zawoalowanych stwierdzeń, inteligentnej gry słów powiedzieć coś, wcale tego nie mówiąc!

Słynny amerykański bloger Andrew Sullivan także bierze papieża na cel, a jego artykuł okazuje się dużym sukcesem. Atak Sullivana – budzącego postrach konserwatywnego polemisty od samego początku walczącego o prawa gejów – wywołuje tym silniejszy efekt, że autor jest katolikiem. Jego zdaniem nie ulega wątpliwości, że papież jest gejem, jakkolwiek i on nie przytacza żadnych dowodów poza dziwnymi strojami Benedykta XVI i jego „bromansem" z Georgiem.

Owe ataki wymierzone są oczywiście również w Georga Gänsweina, który powszechnie opisywany jest jako „ulubiony sekretarz" Ratzingera, „rumored boyfriend" czy też „życiowy partner" ojca świętego. W Niemczech Gänswein zyskuje przezwisko oparte na wymowie jego imienia: „gay.org".

Ilustracją tej złośliwości niech będzie przykład księdza geja, który podrywając mężczyzn w rzymskich parkach, miał się podobno przedstawiać jako „Georg Gänswein, osobisty sekretarz papieża". Ta historia jest oczywiście w stu procentach zmyślona, jednak mogła się ona przysłużyć rozpowszechnianiu plotki. Jest też nawiązaniem do zachowania pisarza André Gide'a, który w Afryce Północnej

po seksie z pięknymi efebami mówił im (jak twierdzą niektórzy jego biografowie): „Pamiętaj, że przespałeś się z jednym z największych francuskich pisarzy, François Mauriakiem!”.

Czym wytłumaczyć aż taką zajadłość? Przede wszystkim antyhomoseksualną narracją Benedykta XVI, który sam, jak to się mówi, ukręcił na siebie bicz. Bo wygląda na to, że papież rzeczywiście zapomniał o zdaniu z Ewangelii według świętego Łukasza: *Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni*[85].

Eksksiądz i były pracownik kurii Francesco Lepore, do którego jednej z książek Joseph Ratzinger napisał przedmowę, wyjaśnia:

– To oczywiste, że papież o tak wyrafinowanym guście, tak bardzo zniewieściały i żyjący w takiej bliskości ze swoim sekretarzem stał się łatwym celem dla gejowskich aktywistów. Ale te ataki zawdzięcza przede wszystkim swoim niezwykle homofobicznym wypowiedziom. Dużo było mówienia, że jest ukrytym homoseksualistą, ale nikt tego nie udowodnił. Osobiście z uwagi na wiele jego cech sądzę, że jest homofilem, ale myślę też, że nigdy nie praktykował.

Inny włoski ksiądz, który pracuje w Watykanie, relatywizuje ten pogląd i w ogóle nie wierzy w homoseksualizm Ratzingera:

– Faktem jest, że są te wszystkie zdjęcia Benedykta XVI i każdy gej, który na nie spojrzy, na jego uśmiech, sposób poruszania się, maniery, może go uznać za homoseksualistę. Tego przekonania, które jest głęboko zakorzenione w ludziach, nie rozwieją wszystkie dementi świata. Poza tym to jest pułapka, bo jako ksiądz nie może on obalić tych plotek, nie wolno mu bowiem było mieć żon ani kochanek. Ksiądz nigdy nie zdoła dowieść, że jest heteroseksualny!

Dawny rzecznik prasowy Benedykta XVI, a obecnie dyrektor Fundacji Ratzingera Federico Lombardi wobec tej trwającej po dziś dzień fali krytyki pozostaje niezłomny:

– Wie pan, przeżyłem kryzys irlandzki, kryzys niemiecki, kryzys meksykański… Myślę, że historia doceni Benedykta XVI za to, że jasno określił pogląd Kościoła na kwestię pedofilii i potępił nadużycia seksualne.

POZOSTAJE JESZCZE ZAMKNĄĆ sprawę „lobby gejowskiego", która zatruła cały pontyfikat i była prawdziwą obsesją Ratzingera. Niezależnie od tego, jaka jest prawda na temat jego istnienia, faktem jest, że Benedykt XVI czuł się blokowany przez owo „lobby", a w *Ostatnich rozmowach* z dumą winszuje sobie, że je rozwiązał! Kwestia gejowskiego lobby pobrzmiewa również w słynnych słowach Franciszka: „kimże jestem, żeby go sądzić?" (oraz w pierwszym wywiadzie z jezuitą Antonio Spadarem).

Na podstawie setek wywiadów zrealizowanych na potrzeby tej książki doszedłem do wniosku, że lobby w ścisłym znaczeniu tego słowa nie istnieje. Gdyby taka swoista masoneria rzeczywiście działała, musiałaby lobbować w jakimś konkretnym celu, w tym wypadku na rzecz promocji homoseksualistów. W Watykanie nic takiego się nie dzieje, a gdyby takie lobby istniało, to nie byłoby godne tego miana, ponieważ większość homoseksualnych kardynałów i duchownych w stolicy apostolskiej zasadniczo działa przeciwko interesom gejów.

– Sądzę, że mówienie o lobby gejowskim w Watykanie jest błędem – sugeruje Francesco Lepore. – Zakładałoby to istnienie jakiejś struktury władzy, która w tajemnicy działałaby w jakimś celu. To niemożliwe i absurdalne. Rzeczywistość jest taka, że w Watykanie większość osób to homoseksualiści i większość ma jakąś władzę. Ze wstydu, strachu, ale też z uwagi na własną karierę ci kardynałowie, arcybiskupi, księża chcą chronić swoją władzę i sekretne życie. Osoby te nie mają najmniejszego zamiaru robić czegokolwiek dla homoseksualistów. Okłamują innych, a czasem też

siebie. Ale nie ma żadnego lobby.

Osobiście posłużyłbym się obrazem kłącza, który lepiej niż pojęcie „lobby” oddaje gejowskie życie Watykanu. W botanice kłącze nie jest po prostu podziemnym korzeniem, ale pędem z tak licznymi rozgałęzieniami pionowymi i poziomymi, że nie wiadomo już, czy jest on podziemny, czy naziemny ani co jest korzeniem, a co łodygą. Na płaszczyźnie społecznej kłącze (obraz zapożyczony z książki *Tysiąc plateau* filozofów Gilles’a Deleuze’a i Féliха Guattariego) jest natomiast zupełnie zdecentralizowaną siecią nieuporządkowanych relacji i powiązań, które nie mają początku ani końca. Każde odgałęzienie kłącza może się łączyć z innym, bez żadnej hierarchii ani logiki, bez jednego centrum.

Wydaje mi się, że w Watykanie – i szerzej, w Kościele katolickim – homoseksualizm z jego licznymi podziemnymi zażyłościami ma strukturę kłącza. Posiadający własną dynamikę homoseksualizm czerpiący energię z jednej strony z pożądania, a z drugiej z tajemnicy łączy między sobą setki księży i kardynałów w sposób wymykający się wszelkim hierarchiom i klasyfikacjom. Ta porozgałęziana, dynamiczna i przeobfita sieć stwarza okazję do niezliczonych, wielokierunkowych kontaktów: związki miłosne, relacje seksualne, zerwania, przyjaźnie, obustronne układy, sytuacje zależności i zawodowego awansu, nadużywanie dominującej pozycji i prawa pierwszej nocy – a wszystko to bez możliwości ustalenia ani rozszyfrowania z zewnątrz przyczyn, kierunków i powiązań. Pojedyncze odgałęzienie kłącza, pojedynczy fragment opus magnum, pojedynczy blok tego swoistego blockchainu (by się posłużyć symboliką cyfrową) często nie ma wiedzy o orientacji seksualnej innych odgałęzień: to homoseksualizm o różnych poziomach, osobne szufladki tej samej „szafy” (amerykański teolog Mark Jordan użył innego obrazu, porównując Watykan do ula z jego „honeycomb of

closets”: składałby się on z wielu małych szafek i każdy ksiądz gej siedziałby w swojej komórce do pewnego stopnia odizolowany od innych). Nie należy więc lekceważyć niejednoznaczności pojedynczych odgałęzień oraz izolacji, w jakiej się znajdują. Nagromadzenie słabych istot, których związki nie tworzą siły, to sieć, w której wszyscy są krusi, a często też nieszczęśliwi. Wyjaśniałoby to fakt, że wielu biskupów i kardynałów, z którymi rozmawiałem, nawet jeśli sami są gejami, było szczerze przestraszonych zasięgiem homoseksualizmu w stolicy apostolskiej. Tak więc „tysiąc plateau” homoseksualnych w Watykanie, owo niezwykle gęste i tajemnicze kłącze, to coś znacznie więcej niż zwykłe lobby. To prawdziwy system. Matrix Sodomy.

Czy kardynał Ratzinger zrozumiał ten system? Nie da się tego powiedzieć. Za to Franciszek, zasiadłszy na stolicy Piotrowej, z całą pewnością odkrył jego rozmiary. I nie możemy zrozumieć Vatileaks, wojny przeciwko Franciszkowi, kultury milczenia na temat tysięcy skandali spowodowanych nadużyciami seksualnymi, homofobii pleniącej się wśród kardynałów ani nawet dymisji Benedykta XVI bez uświadomienia sobie rozmiarów i głębokości kłącza.

W Watykanie nie ma zatem „gejowskiego lobby”. Jest coś znacznie więcej: potężna sieć relacji homofilnych lub homoseksualnych, wielopostaciowych, niezogniskowanych wokół żadnego centrum, zdominowanych przez tajemnice, podwójne życie i kłamstwo, tworzących kłącze. Równie dobrze można tę sieć nazwać „szafą”.

22.

Dysydenci

– OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE PRZETRWA ZIMY – szepce Radcliffe.

Kapłan wyjmuje z kieszeni monetę. Wręcza ją siedzącemu na chodniku staremu mężczyźnie, zwracając się do niego po imieniu. Ucina z nim krótką pogawędkę i wracamy do spaceru ulicami Oksfordu. Jest straszliwie zimno.

– Mam wrażenie, że on się co roku starzeje o pięć lat.

Timothy Radcliffe zna bezdomnych ze swojej dzielnicy i stara się im pomagać dostępnymi środkami. Drobny, skromny gest, banalny w swej prostocie, stał się rzadki w „autoreferencyjnym" Kościele, który ma tendencję do oddalania się od ubogich.

Dominikanin nie jest buntownikiem w ścisłym znaczeniu tego słowa: to brytyjski kapłan i światowej sławy teolog oraz jedna z wielkich osobistości Kościoła – w latach 1992-2001 był generałem dominikanów. Jest jednak przedstawicielem strony krytycznej.

Kiedy Watykan Benedykta XVI jest już w stanie oblężenia, kiedy sekretarz stanu Tarcisio Bertone traci grunt pod nogami, a w kurii rzymskiej głowę podnosi opozycja, zaczynają się pojawiać inne fronty. „Dysydenci" na całym świecie zaczynają się buntować przeciwko nieprzejednaniu i rygoryzmowi papieża. Timothy Radcliffe jest jednym z tych, którzy przeciwstawiają się konserwatywnemu kierunkowi pontyfikatu.

– Przez długi czas nie znosiłem Ratzingera, to było silniejsze ode mnie. Napisałem nawet o nim krytyczny artykuł. A potem, kiedy jako generał dominikanów przyjechałem do Rzymu i spotkałem się

z nim, mój osąd się zmienił. Był wtedy kardynałem i mogłem z nim rozmawiać w zaufaniu, ponieważ reprezentowałem jeden z większych zakonów w Kościele. I muszę powiedzieć, że z Ratzingerem można było dyskutować, nawet jeśli istniała różnica zdań. W końcu zacząłem go darzyć szacunkiem, a nawet przywiązaniem.

Po pierwszym spotkaniu w położonym w pobliżu kampusu Uniwersytetu Oksfordzkiego klasztorze Blackfriars, gdzie zakonnik mieszka, kontynuujemy rozmowę we francuskiej restauracji. Radcliffe się nie śpieszy – jest międzynarodowym wykładowcą, a jego samolot odlatuje dopiero nazajutrz rano. Rozmawiamy przez cały wieczór i zostaję u braci z Blackfriars na nocleg, żeby następnego dnia nie wracać do Londynu pierwszym pociągiem.

Kiedy w 1992 roku zakon dominikanów wybiera na swojego generała bardzo liberalnego i przyjaznego gejom Timothy'ego Radcliffe'a, Watykan jest oszołomiony. Jak mogło dojść do takiego błędu? Czy ci dominikanie oszaleli? Oburzeni kardynałowie Angelo Sodano i Giovanni Battista Re usiłują opracować odpowiednią strategię, by podważyć ten wybór. Kardynał odpowiedzialny za zakony, Belg Jean Jérôme Hamer, jest nakłaniany do zastosowania środków odwetowych.

– Hamer, sam również dominikanin, bojkotował mnie! Po moim wyborze przyjeżdżał na wizytacje tylko pod moją nieobecność! Potem porozmawialiśmy i jednak mnie zaakceptował, więc przyjeżdżał już tylko wtedy, gdy byłem na miejscu! – opowiada Radcliffe.

Trzeba przyznać, że Timothy Radcliffe to rzadki okaz w rzymskim katolicyzmie: otwarcie progejowski teolog. Zawsze bronił osób LGBT i wykonywał ważne gesty, by je włączyć do Kościoła. Oświadczył mianowicie, że homoseksualiści mogą być wierni Chrystusowi

i że relacje między mężczyznami mogą być równie „szlachetne, delikatne, czułe i wzajemne” jak relacje heteroseksualne. Wydał też książkę na temat AIDS i zajął odważne stanowisko w sprawie prezerwatyw.

– Nieważne, czy jest się gejem czy hetero: najważniejsze to kochać – mówi Radcliffe z wielką swobodą, być może pod wpływem krzepiącego Côtes du Rhône.

Rzadko spotyka się duchownych tego szczebla, którzy mówią normalnym językiem. W sprawie homoseksualizmu i homofilii w Kościele dla Radcliffe’a nie istnieje żadne tabu. Nigdy nie wojuje; mówi, jak jest. Statecznie i spokojnie.

To człowiek o bardzo szerokich horyzontach: teologicznych, co oczywiste, ale też filozoficznych, geopolitycznych i artystycznych. Potrafi napisać długi artykuł o Rembrandcie czy przeprowadzić pasjonujące porównanie między *Parkiem Jurajskim* a *Ostatnią Wieczerzą* Leonarda da Vinci!

Podczas lat spędzonych w Rzymie dominikanin zbliżył się do umiarkowanego skrzydła w Kościele i zaprzyjaźnił z wielkimi liberalnymi kardynałami Carlo Marią Martinim i Achille Silvestrinim. Opowiada mi o wspólnych przejażdżkach po stolicy niewielkim autem Silvestriniego.

Ponieważ przebywał w Watykanie pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II, kiedy to Kościół kardynałów Sodana i Ratzingera stał się ultrakonserwatywny, stanął wobec konieczności opowiedzenia się po stronie teologów dysydentów, którym często grożono. Radcliffe brał w obronę wiele ważnych figur. Wśród nich na pierwszym miejscu jest teolog wyzwolenia Gustavo Gutiérrez, który zresztą wstąpił do zakonu dominikanów.

– Kiedy człowiek wstępuje do zakonu, jest chroniony. Bo oczywiście dominikanie bronią swoich braci – mówi z prostotą

Radcliffe.

Kapłan zachowuje dyskrecję w sprawie tamtych bojów, ale wiem z innych źródeł, że Timothy Radcliffe stawał w obronie księży zagrożonych ekskomuniką, pisał listy, a w najtrudniejszych przypadkach osobiście jechał do kardynała Ratzingera, by do niego zaapelować, skłonić do zrezygnowania z kary lub jej odłożenia. W obliczu stosowanej przez kardynała „techniki Tipp-Ex", polegającej na wykreślaniu nazwisk dysydentów, których nie lubił, dominikanin wybrał rozmowę na argumenty.

Dysydent? Radcliffe jest po prostu wierzący i wymagający. Kiedy się żegnamy, mówi z naciskiem:

– Kocham mój Kościół. Tak, kocham go.

JEDNYM Z DYSYDENTÓW, których trzeba było bronić, jest James Alison. Podobnie jak Radcliffe jest Anglikiem i również kształcił się u dominikanów. To jedna z najbardziej odważnych postaci w Kościele katolickim, jakie spotkałem. Alison jest zdeklarowanym gejem. Jest też dobrym specjalistą od Ameryki Łacińskiej – wiele lat spędził w Meksyku i Brazylii. Przez długi czas przebywał też w USA, by wreszcie osiąść w Madrycie.

Jesteśmy w winiarni w gejowskiej dzielnicy Chueca. Alisonowi towarzyszy jego pies Nicolas, buldog francuski, którego zaadoptował w Brazylii. Kapłan opowiada mi o swojej życiowej drodze i zamiłowaniu do podróży. Ten „wędrowny kaznodzieja" przemierza świat z konferencjami i wykładami, nie wahając się po drodze odprawiać mszy dla środowisk LGBT. W Madrycie na przykład jestem świadkiem eucharystii dla stowarzyszenia Crismhom – liczącej ponad dwustu członków grupy gejów chrześcijan, którzy spotykają się w niewielkim lokalu w Chueca.

Alison, który przepracował wiele lat w Ameryce Łacińskiej, opowiada mi o bataliach między Josephem Ratzingerem i teologami

wyzwolenia. Kardynał przez kilkadziesiąt lat obsesyjnie prześladował peruwiańskiego teologa Gustavo Gutiérreza, który został wezwany do złożenia w Rzymie wyjaśnień przed niemieckim profesorem i upokorzony. Brazylijczyk Leonardo Boff, osobistość bardzo szanowana w Ameryce Łacińskiej, również został przez Ratzingera upokorzony i ukarany nakazem milczenia za swoje kontrowersyjne poglądy. W końcu z przyczyn natury osobistej opuścił zakon franciszkański. Lewicowy teolog, jezuita Jon Sobrino był przez lata dosłownie nękany przez Alfonsa Lópezo Trujilla i Josepha Ratzingera. Marksista Frei Betto, jeden z postępowych brazylijskich teologów, który za czasów dyktatury spędził kilka lat w więzieniu, dostał papieskie upomnienie.

Paradoks tej zakulisowej wojny polega na tym, że wybitni przedstawiciele teologii wyzwolenia – a konkretnie Gutiérrez, Boff, Sobrino, Betto – byli stuprocentowymi heteroseksualistami, gdy tymczasem kardynałowie i biskupi, którzy ich atakowali i oskarżali o „odchylenia od normy", tak w Ameryce Łacińskiej, jak i w Watykanie, w większości sami byli homofilami lub praktykującymi homoseksualistami! Wystarczy wspomnieć choćby Alfonso Lópeza Trujilla czy Sebastiano Baggia. Krótko mówiąc, świat na opak.

– Zawsze żywiłem duży szacunek dla teologii Benedykta XVI. Żałuję tylko, że Ratzinger jeszcze pogłębił intelektualne ochłodzenie wprowadzone przez Jana Pawła II. I jestem bardzo zadowolony, że papież Franciszek zrehabilitował kilku spośród tych zbyt długo marginalizowanych myślicieli – podsumowuje ostrożnie Alison.

Kardynał Walter Kasper, wybitna postać z liberalnego skrzydła kurii i jeden z pomysłodawców projektu papieża Franciszka, doprecyzowuje całą sytuację:

– Ci głosiciele teologii wyzwolenia są bardzo różni. Na przykład

Gustavo Gutiérrez szczerze się angażował na rzecz ubogich. Nie był agresywny, myślał o Kościele. Według mnie był wiarygodny. Za to Boff wykazywał dużą naiwność, chociażby wobec marksizmu, i był bardziej agresywny. Inni postanowili dołączyć do partyzantki i chwycić za broń. Tego nie mogliśmy tolerować.

Jeśli chodzi o kwestię homoseksualizmu, teologia wyzwolenia reagowała raczej powoli i była podzielona. Niewielu spośród myślicieli tego „wyzwoleńczego" nurtu, wyznawców marksistowskiej biblii zrozumiało od samego początku rolę przynależności rasowej, płci i orientacji seksualnej w wykluczeniu czy ubóstwie. Przyznaje to brazylijski dominikanin Frei Betto, jedna z czołowych postaci tego ruchu, podczas naszej rozmowy w Rio de Janeiro:

– Teologia wyzwolenia zmieniała się w zależności od kontekstu. Początkowo, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, podstawowym punktem odniesienia było dla niej odkrycie marksizmu. Także dziś marksizm jest kluczowy w analizie kapitalizmu. Jednocześnie w miarę pojawiania się nowych problemów teologia wyzwolenia się do nich adaptowała. Na przykład w sprawie ekologii Leonardo Boff jest dziś znany jako jeden z ojców ekoteologii. Mocno wpłynął na encyklikę papieża Franciszka *Laudato si!* poświęconą ekologii integralnej. Natomiast dzięki kobietom należącym do Podstawowych Wspólnot Kościelnych, a potem teolożek feministycznych, pojawiły się inne kwestie, takie jak seksualność. Niedawno sam wydałem niewielki podręcznik na temat płci i orientacji seksualnej. Dla nas nie ma tematów tabu.

Z kolei kardynał Paulo Evaristo Arns, arcybiskup São Paulo, również związany z tym nurtem, ośmielił się zachęcać do stosowania prezerwatyw i krytykować Jana Pawła II za wprowadzony przez niego zakaz dyskusji na temat celibatu. Arns uznawał go

za pozbawiony wszelkich poważnych podstaw (poleciał też do Rzymu, by bronić Boffa przed Ratzingerem). Zniewieściały i zmanierowany Arns był tak osobliwie progejowski, że niektórzy teologowie wyzwolenia z kręgu jego przyjaciół podejrzewali, że sam ma skłonności, co ich zdaniem wyjaśniałoby jego liberalizm. Jednak zdaje się, że ta hipoteza, choć słyszałem o niej wielokrotnie podczas mojego śledztwa, które prowadziłem w Rio, Brasílii i São Paulo, nie opiera się na żadnych konkretnych faktach i nigdy nie została potwierdzona. Wiadomo natomiast, że był on przeciwnikiem dyktatury w Brazylii i „odprawiał msze za ofiary władzy wojskowej" (wedle słów André Fischera, jednej z głównych postaci brazylijskiego ruchu gejowskiego; rozmawiałem z nim w São Paulo).

W każdym razie to na fali teologii wyzwolenia w późniejszym okresie (począwszy od lat dziewięćdziesiątych) pojawia się wreszcie ruch aktywnie działający na rzecz gejów. Brat James Alison był jednym z jego teoretyków. Powstawała prawdziwa „gay theology".

– Alison był jednym z tych, którzy antycypowali i wspierali to wyjście teologii wyzwolenia w stronę feminizmu, mniejszości, gejów – potwierdza Timothy Radcliffe.

W wyniku tej dość nieoczekiwanej ewolucji intelektualnej teologia wyzwolenia zaczęła postrzegać ubóstwo i wykluczenie już nie w odniesieniu do klasy społecznej czy grupy, ale w odniesieniu do jednostek. Niemiecki teolog Michael Brinkschröder, z którym rozmawiam w Monachium, podsumowuje:

– Zaczęliśmy się interesować jednostką wraz z jej pochodzeniem, rasą, płcią, orientacją seksualną. Kategorie marksistowskie stawały się coraz mniej użyteczne. Zamiast nich karmiliśmy się „french theory" (dziełami filozofów Michela Foucaulta, Gilles'a Deleuze'a, Jacques'a Derridy, René Girarda) i radykalną myślą feministyczną (Judith Butler). I w ten sposób od teologii wyzwolenia doszliśmy

do „gay theology”, a niedługo później do „queer theology”.

Teolodzy tacy jak Amerykanin Robert Goss (były jezuita i zdeklarowany gej), radykalna feministka Marcella Althaus-Reid z Argentyny, Brazylijczycy Paulo Suess i André Musskopf (luteranin) czy nawet dominikanin Carlos Mendoza-Alvarez z Meksyku przyczynili się do zdefiniowania i teoretycznego zasilenia owej „queer theology”. Można tu też wymienić Brazylijczyka Luiza Carlosa Susina, kapucyna, który – jak mi powiedział – był „organizatorem wydarzenia towarzyszącego na temat »queer theology« podczas jednej z pierwszych edycji Światowego Forum Społecznego w Porto Allegre w 2005 roku”. Ów warsztat, w trakcie którego poruszano kwestię płci, przyczynił się do popularyzacji „queer theology” w Ameryce Łacińskiej.

Dziś liczne grupy propagujące „queerowe” odczytanie Biblii sprawiają, że ten nurt wciąż żyje, jakkolwiek odnotował już tendencje schyłkowe – czy to w wyniku braku akademickiego potwierdzenia, czy też z powodu zaistnienia wewnętrznych podziałów na mniejsze kapliczki i różne podprądy LGBTIQ+; ta „dekonstrukcja trochę na sposób protestancki”, by użyć słów Michaela Brinkschrödera, jest naturalnym kierunkiem.

Nic dziwnego, że „queer theology” była za pontyfikatu Benedykta XVI gwałtownie kwestionowana przez Watykan. Niektórych księży spotkały sankcje; część teologów została pozbawiona misji kanonicznej. Angela Méndeza z jezuickiego Uniwersytetu Iberoamericana w Meksyku za wykłady na temat „queer theology” spotkała surowa kara. Jako „zdeklarowany gej, seropozytywny i żyjący ze swoim chłopakiem” – co sam potwierdza – Méndez został zwolniony wbrew prawu, które zabrania dyskryminacji w pracy. Za swoją uczciwość i nauczanie teologii LGBT zapłacił wysoką cenę. Niedawno nowy rektor, jezuita życzliwie nastawiony do gejów,

przywrócił go na stanowisko.

Kapłani tak bardzo od siebie różni jak Timothy Radcliffe, Paulo Evaristo Arns, James Alison, Carlos Mendoza-Alvarez, Angel Méndez czy Luiz Carlos Susin i wielu innych „gejowskich" teologów kierują się tą samą logiką uczciwości, autentyzmu i niezgody na hipokryzję w sprawie homoseksualizmu. Choć sami niekoniecznie są gejami, wiedzą, że procent homoseksualistów w Kościele jest bardzo wysoki.

James Alison, człowiek mocno stąpający po ziemi, który przemierzył Amerykę Łacińską wzdłuż i wszerz, stwierdził, że większość pracujących tam księży prowadzi podwójne życie.

– Na przykład w Boliwii i Peru księża przeważnie mają konkubinę. Ci, którzy żyją samotnie, często są homoseksualni. Podsumowując, powiedziałbym, że kler diecezjalny na wsiach to w przeważającej mierze praktykujący heteroseksualiści, a kler zakonny w miastach to praktykujący geje – mówi Alison.

Jeśli chodzi o wojnę przeciwko gejom prowadzoną przez Jana Pawła II, której Alison sam padł ofiarą, gdyż do dziś jest pozbawiony wszelkich oficjalnych tytułów, wielu uważa, że była ona bardzo kontrproduktywna.

– To dla Kościoła potężna strata energii – dodaje.

Ale czasy się zmieniają. Większość teologów wyzwolenia i progejowsko nastawionych księży ma dziś poprawne stosunki ze stolicą apostolską. Papież Franciszek utrzymuje dobre relacje z Gustavo Gutiérrezem i Freiem Bettem, których przyjął w Watykanie, jak również z Leonardo Boffem, który jest jednym z jego głównych doradców w sprawach ekologii. James Alison zaś, kapłan bez parafii, przeciwko któremu zastosowano niezgodne z prawem sankcje kanoniczne, niedawno odebrał telefon z Watykanu; jego rozmówca chciał się dowiedzieć, co u niego słychać. Alison wciąż nie może dojść do siebie po tej rozmowie. Nie

zgadza się na skomentowanie jej przede mną ani też na zdradzenie tożsamości tego, kto do niego dzwonił. Ale informacja o tym zdarzeniu obiegła kurię i dowiedziałem się, kim był człowiek, który dzwonił do niego przez watykańską centralę – to papież Franciszek.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, a także w pierwszym dziesięcioleciu wieku XXI Jan Paweł II i Benedykt XVI nie podnosili słuchawki. Mieli od tego swoje owczarki. Dochodzeniami zajmowały się sekretariat stanu, Kongregacja Nauki Wiary i Kongregacja do spraw Instytutów Życia Konsekrowanego. Timothy Radcliffe, James Alison i wielu innych mają tam swoje teczki. Nie brakowało w owym czasie upomnień, szykan, kar czy aktów oskarżenia.

Joseph Ratzinger był wielkim inkwizytorem przez trzydzieści lat. Jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, a następnie rzymski biskup wdrożył wymyślny system kar i przez długi czas był w tym zakresie gorliwie wspierany przez Tarcisio Bertonego. Uderzające są nie tyle gwałtowność czy ekskomuniki, które ostatecznie były rzadkie, ile przewrotność Ratzingera i jego skłonność do upokarzania aż po „męczeństwo”. Żadnych stosów, tylko akty oskarżenia! Ratzinger używa i nadużywa całej palety stopniowych szykan. A jak wielką przejawia przy tym wyobraźnię!

Jego oponenci, często homoseksualni bądź przychylni gejom, byli marginalizowani lub karani, upominani lub upokarzani, przenoszeni do stanu świeckiego, oskarżani, zmuszani do „ekspiacyjnego milczenia” czy wreszcie pozbawiani misji kanonicznej (ich teksty nie mają już żadnej wartości w oczach Kościoła). Słynny teolog Eugen Drewermann, który w książce *Kler. Psychogram ideału*[86] podłożył bombę pod ideologię Watykanu czasów Jana Pawła II, poniósł surową karę. Lista wykluczonych, ukaranych i zdegradowanych jest długa: ojciec Charles E. Curran (Amerykanin zbyt otwarcie

podchodzący do rozwodu, tabletek antykoncepcyjnych i homoseksualizmu); brat Matthew Fox (heteroseksualny dominikanin, który chciał się ożenić), amerykański kapłan Robert Nugent (przychylny gejom), belgijski jezuita Jacques Dupuis (specjalista w zakresie dialogu międzyreligijnego); brytyjska zakonnica i teolożka Lavinia Byrne (przychylna wobec kapłaństwa kobiet), brazylijska zakonnica i teolożka Ivone Gebara (uznana za zbyt liberalną w zakresie moralności seksualnej i aborcji) czy wreszcie włoski ksiądz Franco Barbero (w książce napisanej wspólnie z Pasquale Quarantą broni poglądu, według którego miłość między osobami tej samej płci nie jest sprzeczna z Ewangelią). Nie oszczędzono nawet zmarłych: dziesięć lat po śmierci indyjskiego jezuity Anthony'ego de Mello przejrzano jego pisma i ponieważ był znany z otwartości na inne religie, zwłaszcza te Dalekiego Wschodu, jak hinduizm i buddyzm, które zachęcały do przejawów czułości między duchownymi jako do „trzeciej drogi", która nie jest ani uprawianiem seksu, ani celibatem – on także został uznany za nieprawomyślnego.

Dowodem swoistego fanatyzmu Benedykta XVI było ukaranie też księży i zakonnic, którzy rozprowadzali w Afryce prezerwatywy. Nie mówiąc już o niezwykłym awansie, jakim Jan Paweł II i Ratzinger ukarali francuskiego biskupa Jacques'a Gaillota, który bronił homoseksualistów i promował prezerwatywy jako sposób na walkę z AIDS: został on mianowany biskupem *in patribus* Parthenii, stolicy biskupiej położonej na algierskiej pustyni, bez parafii ani wiernych – miasto zniknęło pod piaskami pod koniec V wieku.

Joseph Ratzinger wielokrotnie wzywa krnąbrnych duchownych, którzy całymi dniami muszą się przed nim tłumaczyć; każe im się spowiadać, raz po raz opowiadać o własnym zagubieniu, zbłądzeniu, kajać się choćby za ton swoich wypowiedzi. Przekonany, że Kościół

z definicji nie podlega krytyce, jako że sam w sobie jest wcieleniem moralności, doktryner Ratzinger często sięga po argument władzy. Krytycy opisują jego wypowiedzi jako arbitralne i nieznoszące sprzeciwu, „uzasadnione tym, że nie ma dla nich uzasadnienia” (by powtórzyć słowa Alberta Camusa[87]). Jego surowość jest tak bezpodstawna, że papież Franciszek bez żadnego trudu zmieni lub zniesie większość tych rozporządzeń.

Wszyscy, których dotknęło wykluczenie, kary, zmuszanie do milczenia, doświadczyli w swoim życiu poważnych następstw tych działań: wykorzenienie, poczucie utraty rodziny, zapaść finansowa z powodu niemożności szybkiego znalezienia pracy, poczucie porażki po zakończeniu „dobrowolnej służby” i wreszcie, a może przede wszystkim – trudna do określenia pustka, którą nazwę brakiem poczucia braterstwa.

Niezależnie od tego, czy porzucenie stanu duchownego było decyzją władz, czy samych zainteresowanych, fala odejść tylko przyśpieszyła wielki kryzys powołań – cichą i trwałą tendencję, która pogłębiła się w latach siedemdziesiątych XX wieku. Niektórzy stracili wiarę po lekturze surowej encykliki na temat moralności seksualnej *Humanae vitae* Pawła VI. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tysiące księży zrzuciły szaty duchowne, żeby się ożenić; inni opuścili Kościół za Jana Pawła II, w okresie systematycznej likwidacji zdobyczy Soboru Watykańskiego II; jeszcze inni wreszcie porzucali swoje parafie, w miarę jak kurię rzymską opanowywali prawicowi teolodzy i homofobia.

Jednocześnie dziesiątki milionów wiernych oddalają się od Kościoła z powodu jego oderwania się od rzeczywistości, jego ultrakonserwatywnych poglądów na temat małżeństwa, praw kobiet, praw homoseksualistów czy też prezerwatyw i AIDS; wielu wierzących ma poczucie zranienia po ujawnieniu przypadków

wykorzystania seksualnego i stosowanej praktyki chronienia sprawców. Wpisywanie przez Ratzingera na indeks kolejnych teologów odcina Kościół od jego intelektualistów. I wreszcie od Kościoła, który zatracił zainteresowanie sztuką, odsuwają się artyści.

– Joseph Ratzinger stworzył wokół siebie teologiczną pustynię. Wszystkim pozamykał usta. Był jedynym teologiem, który miał prawo do wypowiedzi. Nie tolerował żadnego sprzeciwu. Ratzinger jest odpowiedzialny za zduszenie swobody myślenia w teologii katolickiej na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat – podsumowuje ojciec Bento Domingues.

Dominikański teolog, który spotyka się ze mną w Lizbonie, wypowiada się z tym większą wolnością, że w wieku osiemdziesięciu czterech lat nie daje się już zastraszyć autorytaryzmom:

– Ratzinger traktował swoich oponentów z niewyobrażalnym okrucieństwem. Wytoczył nawet proces kanoniczny pewnemu teologowi, o którym wiedział, że umiera na raka – dodaje ze złością.

W TRAKCIE DZIENNIKARSKIEGO ŚLEDZTWA prowadzonego na potrzeby tej książki spotykałem na całym świecie – tak w Portugalii, jak i w Japonii, tak w USA, jak i w Hongkongu czy na misjach w Afryce i Azji – liberalnych lub progejowskich księży, którzy starają się skoncentrować uwagę Kościoła na jego „peryferiach”. Wszyscy oni byli na wojennej stopie z Josephem Ratzingerem lub jego lokalnymi konserwatywnymi przedstawicielami.

Co dziwne, jednym z miejsc, w których opozycja wobec Josepha Ratzingera była najpotężniejsza, a zarazem najtrudniejsza do uciszenia, był Środkowy Wschód. Odwiedzając osiem krajów arabskich, spotkałem chrześcijan obrządków wschodnich, a także bardzo często europejskich misjonarzy, którzy wciąż „ewangelizują”

arabski świat, zapominając czasem, że epoka kolonializmu już się skończyła.

W Rzymie „mózgiem" Watykanu odpowiedzialnym za Kościoły wschodnie jest kardynał Leonardo Sandri. Znamy już tego duchownego; osobistości tego pokroju prawie już nie uświadczymy, chyba że sięgniemy do Starego Testamentu, który jest usiany takimi osobliwymi figurami stojącymi ponad dobrem i złem, długobrodymi i pełnymi diabolicznych sprzeczności. Za ich sprawą są one znacznie bardziej interesujące niż gładkie postaci z aseptycznych evergreenów zwanych Ewangeliami.

Jak wiemy, Argentyńczyk był „ministrem spraw wewnętrznych" Jana Pawła II i po odsunięciu przez Benedykta XVI w ramach rekompensaty otrzymał stanowisko prefekta Kongregacji Kościołów Wschodnich. Kiedy odwiedzam tego papieskiego „ministra" w jego olśniewającym gabinecie przy Via della Conciliazione w Rzymie, spotykam najpierw całą osobliwą kamarylę asystentów, sekretarzy, wiceszefów, odźwiernych i kamerdynerów, którzy zajmują się mną i robią na mnie wrażenie. Niejeden z nich mógłby być towarzyszem wyprawy André Gide'a na Wschód!

Tutaj protokół traktuje się z ogromną powagą. Wreszcie rozumiem, dlaczego „antykamera" to italianizm, podobnie jak „peruka", „bankrut", „karykatura" czy „groteska". Najpierw zostaję zaprowadzony do ogromnej poczekalni, następnie odźwierny prowadzi mnie do niewielkiego przedsionka, skąd za kamerdynerem idę do pomieszczenia przypominającego buduar, gdzie urzęduje osobisty sekretarz jego eminencji, i wreszcie po cichu, może po to, by nie zbudzić bestii, zostaję wprowadzony do wielkiej jaskini lwa.

Kardynał Sandri robi wrażenie: ma szerokie czoło twardziela i powierzchowność gangstera. Przyjmuje w swoim gabinecie wbrew oficjalnej watykańskiej instrukcji, by z uwagi na poufność spotykać

się z gośćmi w prywatnych salonach. Sandri, który jest buntownikiem i nie dba o przepisy, każe mi usiąść na sofie. Jak większość kardynałów mówi nienaganną francuszczyzną i jest dla mnie ujmująco sympatyczny. Bierze mnie za rękę, by pokazać mi z okna siedzibę „Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie" – serio! – i wręcza mi powitalny podarek: złoty (lub pozłacany) medal z podobizną papieża Franciszka.

– Jest pan wierzący? – pyta Sandri (wywiad za zgodą kardynała jest nagrywany).

Odpowiadam, że po oświeceniu, Spinozie, Nietzschem i Darwinie, po Wolterze, Rousseau i Rimbaudzie stało się to trudne, zwłaszcza dla Francuza…

– Oj tak, zeświecczenie! Rozumiem! – mówi przesadnie głośno i robi pełną dezaprobaty minę, spoglądając na mnie przenikliwie.

Jak wielu duchownych w Watykanie i w całym katolickim świecie Leonardo Sandri ma słabość do Wschodu. Ten łacinnik o uśmiechu Giocondy lubi długie podróże karawaną i jasny rozdział płci.

Dzięki piastowanemu obecnie stanowisku Sandri na nowo odkrył dla siebie Wschód, o którym długo mi opowiada: jako wielki znawca Chaldejczyków, Syryjczyków czy melchitów opisuje mi bizantyjskie subtelności Kościołów wschodnich. Podaje mi adresy, które mogą mi się przydać w planowanej podróży do Libanu i Emiratów Arabskich; poleca informatorów, do których mogę się zwrócić, powołując się na niego. Sandri zna ten teren jak kieszenie własnej sutanny. Jako były dyplomata, nuncjusz jest jednym z najlepszych specjalistów Watykanu od niezliczonych subtelności Środkowego Wschodu: aladynów, wirujących derwiszy z ich Kamarem, dziewcząt z ich księżniczką Budur, nie wspominając już o Alibabie i czterdziestu rozbójnikach.

Zamiłowanie do Orientu to temat dobrze znany nam obu. To

historia krucjat i triumfującego katolicyzmu, Góry Oliwnej, Świętego Ludwika i Napoleona. Ale Wschód był też bardzo ceniony przez homoseksualnych pisarzy – Rimbaud w Adenie, Lawrence w Arabii, André Gide w Tunezji, Oscar Wilde w Maghrebie, Pierre Herbart w Afryce, Henry de Montherlant w Algierii i Maroku, Jean Genet w Palestynie, William Burroughs i Allen Ginsberg w Tangerze… Poeta nazywał wszak Wschód „pierwotną ojczyzną”[88].

– Wielu pisarzy, którzy pragnęli odbyć podróż na Wschód – to wszak klasyczny motyw literacki – było homoseksualistami. Nazwa „Sodoma” zawsze miała w sobie niesłychany ładunek symboliczny – komentuje Benny Ziffer, szef redakcji literackiej dziennika „Haaretz” podczas kolacji w Tel Awiwie.

Orient jest więc również miłością gejów! Ucieczka na Wschód to wielki i ciągle żywy mit. Pierwotna ojczyzna katolików, nowa Sodoma gejów. Ucieczka, która często okazuje się ułudą, interesem dla naiwniaków; miejscem życzliwym tylko dla seksualnych nieszczęśników.

Na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w krajach Lewantu i Maghrebu spotkałem „houmous queens”, jak się ich nazywa w Libanie: tych, którzy nie mogąc zaspokoić swoich skłonności w kurii rzymskiej, własnej diecezji czy klasztorze, udają się do krainy swoich chrześcijańskich przodków i ich kochanków. Jakże mnie zafascynowali ci kawalerowie z Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie – kawalerowie maltańscy, misjonarze filantropi ze Wschodu, którzy okazują podwójne poddaństwo Kościołowi i arabskim pięknościom. Jakże dziwni z nich pielgrzymi przerażeni islamem, ale z całą ufnością powierzający się muzułmańskim ramionom. W Maroku, Algierii i Tunezji, gdzie również ich spotkałem, księża lubiący, gdy mężczyźni gwiżdżą na nich na ulicy jak na księżniczki, w zawoalowanych słowach wspominali mi

o przyjaznych gejom miejscach, które odwiedzają, o życzliwych hotelach, o domach rozpusty. Na przykład katolicki kler w pewnym okresie spotykał się w dawnym klasztorze Benedyktynów w Toumliline (jak twierdzą dyplomaci, wysoko postawieni wojskowi i osoby związane z rodziną królewską, z którymi rozmawiałem w Maroku) położonym na uboczu w górach Atlas. Wśród miejsc o atmosferze przyjaznej gejom wymieniano także Dominikański Instytut Studiów Wschodnich w Kairze.

Owo umiłowanie Orientu sięga samego Watykanu. Jak powiedział mi pewien kapłan z kurii, spowiednik w bazylice Świętego Piotra, oglądalność arabskich filmów porno na kanale YouPorn jest tam wysoka, podobnie jak korzystanie z włoskojęzycznej wersji platformy wideo Citebeur.com oraz serwisu oferującego arabskich eskortów w Rzymie.

W LIBANIE z polecenia sympatycznego kardynała Sandriego spotykam się z nuncjuszem apostolskim Gabriele Caccią. W młodości, za Ratzingera, dyplomata był zresztą zastępcą Sandriego, czyli numerem dwa w „ministerstwie spraw wewnętrznych” Watykanu. Odsunięty przez Tarcisio Bertonego przebywa na wygnaniu w Bejrucie, gdzie go odwiedzam. Wygląda na to, że duchowny, który jest przecież jedną z głów obciętych przez Ratzingera, miewa się znakomicie. Mówi mi, że uwielbia Liban (niedawno Franciszek przeniósł go na Filipiny).

Nuncjatura znajduje się daleko od centrum Bejrutu, w Bkerke, w północnej części libańskiej stolicy. To chrześcijański bastion: Notre Dame du Liban leży dwa kroki od siedziby patriarchatu maronitów, jednej z głównych wspólnot katolickich obrządku wschodniego. To tutaj, w niewielkim domu zbudowanym poniżej nuncjatury, która podczas moich odwiedzin była w remoncie, strzeżonym przez żołnierzy libańskiej armii mieszka Caccia. Rozpościera się stąd

wspaniały widok na Bejrut i pobliską dolinę.

Jak wszyscy watykańscy dyplomaci Caccia nie może się wypowiadać bez pozwolenia z góry, więc nasza rozmowa nie jest nagrywana. Jestem jednak pod wrażeniem jego znajomości kraju i jego odwagi. Na własne ryzyko zawsze podróżuje w stroju arcybiskupa, w zauważalnym z daleka połyskującym birecie z fioletowego jedwabiu. Niedaleko toczy się wojna; tutaj nie dba się o elegancję i nie organizuje wytwornych przyjęć. Na powitanie Caccia nie wręcza mi biżuterii, ale Ewangelię według św. Łukasza przetłumaczoną na arabski.

Kościoły katolickie obrządków wschodnich są wierne Rzymowi, ale ich kapłani mogą być wyświęcani jako żonaci. Oto przejaw wewnętrznej sprzeczności Watykanu, który, choć nie bez trudu, musiał uznać ten heteroseksualizm w praktyce!

– Celibat kapłański to stosunkowo nowa decyzja. Nawet w Kościele rzymskim do XI wieku księża mieli żony. Pozostaliśmy wierni tradycji: księża często są żonaci. Ale kiedy już się zostało wyświęconym, nie można się ożenić, a biskupów zawsze wybiera się spośród celibatariuszy – wyjaśnia mi rzecznik prasowy maronickiego patriarchy biskup Samir Mazloum, z którym rozmawiam w Bejrucie.

Papieże Jan Paweł II i Benedykt XVI źle patrzyli na ów wschodni wyjątek. Uważali go za nienormalny, robili wszystko, by go ograniczyć. I tak przez długi czas sprzeciwiali się temu, żeby żonaci księża katoliccy obrządków wschodnich odprawiali msze w europejskich kościołach, choć przecież takie rozwiązanie mogłoby złagodzić kryzys powołań w Europie. Jednak precedens, jakim była sytuacja anglikanów czy luteran, którzy przeszli na katolicyzm, sprawił, że zaczęli tolerować te wyjątki, a papież Franciszek je upowszechnił. Od tego czasu wielu kapłanów katolickich posługujących w kościołach Francji, Hiszpanii czy Włoch… ma żony.

W kwestii celibatu i małżeństw księży chrześcijanie wschodni stanowią więc ukrytą opozycję wobec oficjalnych reguł Watykanu.

Maronicki ksiądz Fadi Daou, profesor teologii i przewodniczący dużej fundacji Adyan, z którym rozmawiam w Bejrucie w obecności mojego arabskiego researchera Hadiego el-Hadiego, streszcza tę sytuację w następujący sposób:

– Jesteśmy wschodnimi chrześcijanami afiliowanymi do Kościoła rzymskokatolickiego, ale niezależnymi. Odsetek żonatych księży maronickich można oszacować na pięćdziesiąt pięć procent. Naszych biskupów wybieramy w sposób wolny. W niektórych sprawach, jak celibat kapłanów, jesteśmy bardziej liberalni, a w innych, takich jak pozycja kobiet czy homoseksualizm, bardziej konserwatywni. Papież Franciszek uznał specyfikę naszych Kościołów, zezwalając żonatym księżom na posługę w Europie. (Ksiądz Pascal Gollnisch z organizacji l'Œuvre d'Orient i kardynał Louis Raphaël Sako, tak zwany patriarcha Babilonu reprezentujący Kościół katolicki obrządku chaldejskiego, z taką samą ostrożnością potwierdzili tę informację, gdy rozmawiałem z nimi w Paryżu).

Niektórzy księża, dziennikarze czy katoliccy pracownicy uniwersyteccy, których tam spotkałem, uświadomili mi, że „katolicy na Wschodzie żyją w zagrożeniu, podobnie jak homoseksualiści". Obie „mniejszości" mają nawet podobno w świecie arabskim tych samych wrogów. Jak mówi pewien libański ksiądz:

– Mapa prześladowań katolików w dziwny sposób niemal doskonale pokrywa się z mapą prześladowań homoseksualistów.

NA DALEKIM WSCHODZIE – położonym znacznie dalej niż Bliski Wschód ukochany przez Francuzów i Środkowy Wschód preferowany przez Anglików – sytuacja jest podobnie zróżnicowana. Na najdalszych „peryferiach" wierni przeżywają swój katolicyzm z większą swobodą i na swój sposób są dysydentami. Członkowie

Kościoła rzymskokatolickiego stanowią tam najczęściej zdecydowaną mniejszość – z wyjątkiem Filipin i Timoru oraz w mniejszym stopniu Korei Południowej i Wietnamu.

W stolicy apostolskiej za „ewangelizację” Azji i Afryki odpowiada kardynał Fernando Filoni. Ponieważ stoi na czele jednego z kluczowych dla przyszłości katolicyzmu „ministerstw”, nazywany bywa „czerwonym papieżem”. Filoni, blisko związany z kardynałem Sodanem, w pierwszych latach XX wieku był nuncjuszem w Iraku. Dał wtedy dowód prawdziwej odwagi, zostając na miejscu, podczas gdy większość zachodnich dyplomatów uciekła jeszcze przed militarną interwencją Amerykanów przeciwko Saddamowi Husajnowi.

Rozmawiam z nim w historycznej siedzibie Propaganda Fide, Kongregacji Ewangelizacji Narodów, w słynnym budynku projektu Berniniego przy placu Hiszpańskim w Rzymie.

– Określenie „czerwony papież” celowo wyraża kontrast w stosunku do ojca świętego, który jest „białym papieżem”, oraz „czarnego papieża”, czyli generała jezuitów – wyjaśnia Filoni doskonałą francuszczyzną.

Podczas dwudziestu podróży do dziesięciu krajów Azji miałem okazję zobaczyć – zwłaszcza w Japonii, Hongkongu, na Tajwanie, w Singapurze i Chinach – jak azjatycki katolicyzm próbuje łagodzić niektóre surowe zasady narzucone przez Rzym. Obserwując Kościoły lokalne i placówki misyjne, zauważyłem duży rozdźwięk między teorią a praktyką: sprzeczny z miejscową kulturą celibat kapłanów heteroseksualnych jest tu w większości przypadków niezbyt przestrzegany, a liczba homoseksualnych katolickich misjonarzy z Europy – znacząca.

W Chinach, gdzie rzymski katolicyzm jest nielegalny, życie prywatne księży i biskupów jest obiektem ciągłej inwigilacji

ze strony rządu, który nie waha się używać informacji o ewentualnym podwójnym życiu duchownych – często praktykujących heteroseksualistów – aby ich kontrolować lub kupować sobie ich współpracę (opieram się na bezpośrednich świadectwach zebranych w Pekinie, Szanghaju, Kantonie, Shenzen, Hongkongu i na Tajwanie). Praca miejscowych kapłanów, takich jak ksiądz Benoît Vermander, z którym się spotkałem, jest więc heroizmem, zważywszy na grożące im niebezpieczeństwa. Także zagraniczni misjonarze, zwani tutaj spadochroniarzami – ponieważ przyjeżdżają na tereny misyjne i przez długi czas żyją tam w izolacji – często muszą się wykazać odwagą.

Informator z otoczenia pewnego wpływowego biskupa z Japonii potwierdza, że japoński Kościół jest bardzo liberalny oraz że tamtejsi biskupi właśnie z tego powodu toczyli spory z Benedyktem XVI.

– Episkopat woli unikać konfliktów. Jesteśmy wierni miejscowym zasadom tolerancji, duchowej równowagi i porozumienia. Nakazy z Rzymu przyjmujemy z życzliwością; ale nadal robimy to, co uważamy za dobre dla Japonii, nie przejmując się zbytnio Watykanem – wyjaśnia mi pewien ksiądz związany z Konferencją Episkopatu Japonii.

Podczas synodu w 2014 roku japoński Kościół stworzył zresztą – jak powiedział mi ojciec Pierre Chaignon, duszpasterz przysłany do Tokio przez Towarzystwo Misji Zagranicznych w Paryżu – oficjalny piętnastostronicowy dokument, w którym ubolewa nad postanowieniami Rzymu; skrytykowano w nim „brak otwartości" i „sztuczne" normy w zakresie antykoncepcji, prezerwatyw i rozwodników.

– Jeśli o nas chodzi, wolimy Franciszka – stwierdza podczas naszej rozmowy w Tokio Noriko Hiruma, jedna z szefowych komitetu Iustitia et Pax przy Konferencji Episkopatu Japonii.

W trakcie mojego pobytu w Japonii odwiedzam katolicki kościół pro-LGBT w gejowskiej dzielnicy Shinjuku Ni-chōme. Tamtejszy ksiądz otwarcie walczy o prawo do małżeństwa dla par tej samej płci i rozdaje prezerwatywy młodzieży z *gaybourhood*.

NA „PERYFERIACH" EUROPY ZACHODNIEJ sprzeciw wobec Josepha Ratzingera był jeszcze mniej dyskretny. W Niemczech, Austrii, Holandii, Belgii, Szwajcarii, ale także w krajach skandynawskich i Irlandii – wszędzie krytykowano rygoryzm papieża. Do opozycji przeszły całe rzesze Kościoła.

– To parafia katolicka jak każda inna – mówi Monica Schmid.

Odwiedzam nowoczesny kościół o surowym wystroju w Illnau-Effretikon w Szwajcarii, gdzie wszystko wydaje się zgodne z katolicką doktryną. Poza Monicą Schmid, wielkoduszną kobietą, która jest tutaj proboszczem!

Schmid długo i z pasją opowiada mi o swoim kościele, o dostępnych sakramentach i obrzędach, tak że mam wrażenie, że jest lepsza z teologii niż większość księży. „Jej" kościół jest nowoczesny i otwarty. I ma wielu wiernych parafian (jak twierdzi Meinrad Furrer, asystent duszpasterski, który towarzyszy mi podczas wielu podróży do Szwajcarii).

W trakcie tych pobytów w Illnau-Effretikon, Zurychu, Genewie, Lozannie, Chur, Sankt Gallen, Lucernie i Bazylei zauważam, że w szwajcarskim Kościele pracuje coraz więcej kobiet i świeckich. Liczni duchowni otwarcie przyznają się do homoseksualizmu i łączą się w grupy. Niektórym, poruszającym się w szarej strefie, wolno jeszcze odprawiać mszę; inni ograniczają się do głoszenia kazań. Istnieją stowarzyszenia, takie jak Network w Zurychu, które zrzeszają katolików LGBT. Księża, których spotkałem, praktykują czasem obrzęd błogosławieństwa dla par homoseksualnych. Wszyscy oni otwarcie zbuntowali się przeciwko Benedyktowi XVI i teraz

domagają się, by wreszcie wysłuchano „Kościoła z nizin” („Kirche von Unten”).

Oczywiście Rzym, a w szczególności papież Benedykt XVI, zrobił wszystko, by przywrócić do porządku te dysydenckie parafie, domagając się od szwajcarskich biskupów ich ukarania. Ci ostatni czasem z prawdziwą żarliwością usiłowali wprowadzić antygejowskie zasady Rzymu – do czasu, aż prasa wyoutowała niektórych za prowadzenie podwójnego życia. Zarządzono więc przerwanie ognia, tak że dziś progejowscy dysydenci w Szwajcarii mają spokój.

W Niemczech sprzeciw jest jeszcze bardziej frontalny. Niemiecki episkopat został przekrzyczany przez zbuntowany lud. Niemcy początkowo przychylnie przyjęli wybór Benedykta XVI, ale szybko się na nim zawiedli. Postawa papieża wywołała falę bezprecedensowych protestów, tak że stał się on persona non grata we własnym kraju. Jego poglądy w zakresie moralności zostały uznane za reakcyjne i odrzucone przez katolików. Podczas jego pobytu w Berlinie na ulicach miasta demonstrowały stowarzyszenia rodzin, organizacje zrzeszające feministki, laikat i homoseksualistów. W tym samym czasie ponad stu deputowanych zapowiedziało bojkot jego wystąpienia w Bundestagu, a przewodniczący niemieckiego parlamentu doradzał papieżowi zmianę polityki w sprawie celibatu księży. I wreszcie prezydent Republiki Federalnej Niemiec, sam powtórnie żonaty, publicznie skrytykował poglądy moralne ojca świętego w zakresie rozwodów.

– Większość niemieckich teologów odnosi się wrogo do Ratzingera – wyjaśnia mi podczas rozmowy w Berlinie były poseł Volker Beck, który brał udział w bojkocie papieskiej wizyty.

Joseph Ratzinger stał się niesłyszalny we własnym kraju. Prawie dziewięćdziesiąt procent Niemców kwestionuje celibat księży i zakaz

wyświęcania kobiet. Ruchy zrzeszające homoseksualnych kapłanów i stowarzyszenia katolików orientacji LGBT – niektóre wspierane przez lokalny kler – tak bardzo urosły w siłę, że stały się jednym z najbardziej dynamicznych środowisk w Kościele. Kardynał Reinhard Marx, arcybiskup Monachium i przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, to jeden z nielicznych ratzingerystów otwartych na sprawy gejów. W roku 2018, ostrożnie dobierając słowa, zasugerował, że w niektórych sytuacjach księża katoliccy mogą organizować „obrzęd błogosławieństwa dla par homoseksualnych". Duchowny ten lepiej niż inni wie, że całe połacie niemieckojęzycznego katolicyzmu trwają w buncie przeciw Watykanowi oraz że większość spośród niemieckich i niemieckojęzycznych księży to geje, których najwięcej jest u niemieckich jezuitów, franciszkanów i dominikanów.

Sprawa kardynała arcybiskupa Wiednia Hansa Groëra przyczyniła się do otwarcia ludzkich umysłów: ten sztywny homofob i jednocześnie praktykujący homoseksualista prowadził podwójne życie do czasu, aż wpadł w sidła swoich starych demonów. Oskarżany przez młodych księży o molestowanie i wykorzystywanie seksualne stał się obiektem licznych pozwów. I w miarę jak lista ofiar się wydłużała – do ponad tysiąca chłopców i młodych mężczyzn z diecezji – sprawa Groëra stała się skandalem w całym niemieckojęzycznym świecie.

W trakcie procesu wyszło na jaw, jak duże poparcie miał kardynał na górze. Odważny arcybiskup Wiednia Christoph Schönborn krytycznie odniósł się do postawy papieża Jana Pawła II i jego zastępcy Angelo Sodana, którzy według niego mieli chronić zwyrodnialca.

Zatrzymajmy się na chwilę przy osobie Schönborna. Ten następca Groëra w Wiedniu to jeden z najbardziej życzliwych gejom

kardynałów w dzisiejszym Kościele. Jest zapalonym czytelnikiem książek Jacques'a Maritaina i Juliena Greena (pochowanego w Austrii), wielbicielem Wschodu i częstym bywalcem Hospicjum Austriackiego (domu pielgrzyma) w Jerozolimie, prywatnie otwartym na troski osób homoseksualnych. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku wspierał na przykład powstanie wydawanego przez diecezję dziennika „Dialog" rozprowadzanego wśród austriackich katolików w kilkutysięcznym nakładzie, na którego łamach odbywała się dyskusja na temat celibatu i dopuszczania do sakramentów osób rozwiedzionych.

– Zaczęliśmy wydawać ten dziennik pod auspicjami diecezji i dzięki jej finansowaniu przy stałym wsparciu arcybiskupa Schönborna i jego wikariusza generalnego Helmuta Schüllera. Byliśmy lojalni wobec Kościoła, ale jednocześnie otwieraliśmy coraz szerszą debatę… – wyjaśnia mi redaktor naczelny dziennika Martin Zimper, z którym spotkałem się kilka razy w Lucernie, gdzie mieszka ze swoim partnerem Peterem.

Otwarcie ma jednak swoje granice: Schönborn położył kres temu doświadczeniu, gdy homoseksualna perspektywa wzięła górę w dzienniku, co nie zmienia faktu, że odcisnął on na austriackim katolicyzmie trwałe piętno.

To także w najbliższym otoczeniu arcybiskupa Wiednia powstała w 2006 roku Pfarrer-Initiative (Inicjatywa Proboszczów), której współzałożycielem był wspomniany już ojciec Helmut Schüller. Ten wpływowy ruch starał się nadać strukturę grupom księży, którzy sprzeciwiali się kościelnym nakazom. Ten sam Schüller jest autorem podpisanego przez czterystu kapłanów i diakonów „Wezwania do nieposłuszeństwa", w którym domaga się zniesienia celibatu księży oraz uznania kapłaństwa kobiet. Równolegle austriacki katolicyzm próbuje reformować powstały na fali afery Groëra ruch

Wir sind Kirche (My jesteśmy Kościołem), który pod wezwaniem do liberalnych zmian w Kościele zebrał ponad pięćset tysięcy podpisów.

Większość tych ruchów i inicjatyw spotkała się z ostrą reprymendą ze strony Josepha Ratzingera, a następnie Benedykta XVI.

– Papież okazał się znacznie bardziej krytyczny wobec katolickich stowarzyszeń progejowskich niż wobec pedofila multirecydywisty kardynała Hansa Groëra, który nawet nie został wydalony ze stanu duchownego! – zauważa pewien niemieckojęzyczny teolog.

Z uwagi na ten kontekst Christoph Schönborn zachowuje ostrożną postawę nienagłaśnianej życzliwości wobec licznych austriackich księży gejów, do pewnego stopnia stosując zasadę „Don't ask, don't tell", która – jak twierdzi jeden z jego byłych współpracowników – pasuje do niego. Powstrzymuje się od zadawania pytań swojemu otoczeniu, obawiając się odpowiedzi, jakie mógłby otrzymać. Nadal więc włącza gejów w inicjatywy wiedeńskiej archidiecezji, mówi też głośno, że solidarność par homoseksualnych zmagających się z wirusem HIV, jakiej był świadkiem, zrobiła na nim wrażenie. „To było wzorowe. Koniec kropka" – powiedział. Podczas częstych podróży do Francji kardynał spotyka się ze swoimi przyjaznymi gejom współwyznawcami, zwłaszcza w klasztorze Dominikanów w Tuluzie, gdzie sam z nimi rozmawiałem. Schönborn złożył też pisemne gratulacje (miałem okazję je zobaczyć) pewnej austriackiej parze homoseksualistów, którzy zawarli związek cywilny. A 1 grudnia 2017 roku odprawił w Wiedniu progejowską mszę, podczas której uczcił pamięć chorych na AIDS. Oczywiście dzisiaj Schönborn jest zwolennikiem papieża Franciszka.

23.

Vatileaks

CIEKAWSKI KAMERDYNER – mniej więcej tak brzmi oficjalne wyjaśnienie afery znanej dziś pod nazwą „Vatileaks”. Tę wypracowaną przez Watykan wersję zdarzeń powtarzali najbardziej naiwni watykaniści. Nazwa „Vatileaks” powstała zresztą w najbliższym otoczeniu papieża (za jej pomysłodawcę w rozmowie ze mną podaje się Federico Lombardi). Ale rzeczywistość jest, ma się zrozumieć, bardziej złożona.

Winowajca, który oczywiście działał „w pojedynkę”, nazywa się Paolo Gabriele. Był kamerdynerem papieża (po angielsku *butler*). Ów łobuziak miał skserować setki poufnych dokumentów „wypożyczonych” z sekretariatu papieża Benedykta XVI, które ostatecznie w roku 2012 trafiły do prasy. I oczywiście wybuchła afera na wielką skalę. Na widok publiczny zostały wystawione odręcznie pisane wewnątrzwatykańskie listy do papieża, tajne notatki sporządzone osobiście przez Georga Gänsweina, a nawet kopie zaszyfrowanych depesz dyplomatycznych przekazywanych między nuncjaturami a Watykanem. Sprawca to świecki czterdziestoośmiolatek, żonaty, z trójką dzieci: przystojniak o urodzie włoskiego amanta i miłośnik spisków. Szambelan! Kamerdyner! Kozioł ofiarny!

Tak naprawdę nikt nie wierzy, że kamerdyner działał sam; ta afera to cała kampania – jeśli nie spisek – zorganizowana na wysokich szczeblach Watykanu. Jej celem jest zdestabilizowanie Tarcisio Bertonego i za jego pośrednictwem papieża Benedykta XVI.

W związku z Vatileaks został nawet oskarżony pewien informatyk, co już wskazuje na to, że *butler* miał przynajmniej jednego wspólnika. Kardynał Bertone, główna ofiara Vatileaks, mówi o „splocie żmij i kretów"; mamy zatem liczbę mnogą. To dużo jak na jednego kamerdynera!

Oficjalne wyjaśnienie zostało obalone, ale afera, która wstrząsnęła pontyfikatem Benedykta XVI i doprowadziła do jego upadku, wciąż pozostaje bardzo tajemnicza. Na wiele pytań do dziś nie ma odpowiedzi: kto stoi za zatrudnieniem Paolo Gabrielego na strategicznym stanowisku u boku papieża? Z którymi kardynałami łączyły „Paoletta" – jak go nazywają – potajemne bliskie więzy? Jaka dokładnie jest w tej aferze rola Georga Gänsweina, osobistego sekretarza papieża, który jest uznawany za kolejną „ofiarę" kamerdynera, choć ewidentnie jest również winowajcą? Dlaczego Gänswein pozostawił Paolo Gabrielemu tak wielką swobodę działania we własnym biurze, z którego wyniesiono dokumenty, i jaka była natura ich relacji? Czy Paolo sam wybrał dokumenty do skserowania, czy też początkowo odbił te, o które poprosił go Georg, a potem bez jego wiedzy wykonał jeszcze jedną kopię? Jaką rolę odegrał w tej sprawie Josef Clemens, poprzedni osobisty sekretarz Josepha Ratzingera, o którym wiadomo, że żywił zapiekłą urazę wobec Gänsweina i utrzymywał kontakt z Paolo Gabrielem? I wreszcie, dlaczego Watykan krył większość głównych aktorów tego niebotycznego spisku i całą winą obciążył kamerdynera, który wydaje się w tym kontekście idealnym kozłem ofiarnym?

Jedno jest pewne: afera Vatileaks przyczyniła się do upadku papieża Benedykta XVI i obnażyła ogromną brutalność wewnątrzwatykańskich układów. Zwłaszcza że wkrótce miał wybuchnąć kolejny skandal, nazwany – być może najcelniej jak było można – Vatileaks II.

W pierwszą odsłonę Vatileaks było uwikłanych kilku wysokich kościelnych dygnitarzy: kardynał James Harvey, który zwerbował kamerdynera i wydawał się z nim blisko związany; włoski kardynał Mauro Piacenza, który również odegrał wobec Paolo Gabrielego rolę Pigmaliona; arcybiskup Carlo Maria Viganò, który był sekretarzem generalnym Gubernatoratu Państwa Watykańskiego; arcybiskup Paolo Romeo; przyszły nuncjusz Ettore Balestrero, a nawet były sekretarz osobisty kardynała Ratzingera Josef Clemens. Wszyscy ci duchowni byli podejrzewani, zwłaszcza w prasie oraz w książkach czerpiących z doniesień Georga Gänsweina i otoczenia Bertonego, o udział w sprawie z tego czy innego tytułu. Nawet jeśli ich roli nie potwierdzono, sam fakt, iż zostali przeniesieni lub zmarginalizowani przez Benedykta XVI lub Franciszka, może sugerować, że stało się to w związku z aferą.

Sam kamerdyner podczas przeprowadzonego w błyskawicznym tempie procesu nie dość, że nie wskazał ewentualnych zleceniodawców, to jeszcze powtarzał, że działał w poczuciu obowiązku. Przyjrzyjmy się jego słowom: „Odczuwam silne przekonanie, że działałem z wyłącznej, powiedziałbym wręcz, pochodzącej z największych głębin serca miłości do Kościoła Chrystusowego i do [papieża]”. „Nie uważam się za złodzieja”, oświadczył z naciskiem Gabriele, dodając, że uważa Watykan za „królestwo hipokryzji”, a wokół tego, co się tam dzieje, panuje „omerta”. Działał więc po to, by prawda ujrzała światło dzienne oraz żeby chronić „ojca świętego, który nie jest właściwie informowany”. W wywiadzie dla kanału telewizyjnego La Sette Paolo Gabriele powiedział: „Widząc wszędzie w Kościele zło i korupcję, doszedłem […] do punktu, z którego nie ma powrotu, moje hamulce nie zadziałały. Byłem przekonany, że szok, nawet medialny, mógłby się okazać zbawienny i przywrócić Kościół na właściwe tory”. Paolo

Gabriele, który między wierszami sugeruje hipokryzję i korupcję związaną z homoseksualizmem, nigdy nie wziął na siebie pełnej odpowiedzialności za przestępstwo i zawsze odmawiał wyrażenia skruchy.

Możliwe więc, że Paolo Gabriele działał na zlecenie, choć tylko on został skazany za rabunek i dostał osiemnaście miesięcy odsiadki. Ostatecznie Benedykt XVI, który kochał kamerdynera „jak własnego syna”, ułaskawił Gabrielego. Papież, który spotkał się z nim przed ułaskawieniem, sam zasugerował, że kamerdyner mógł zostać zmanipulowany. „Nie chciałbym analizować jego osobowości. To osobliwa mieszanka tego, co mu wmówiono czy też co sam sobie wmówił. W każdym razie dotarło do niego, że nie wolno mu było tego zrobić i że dopuścił się przestępstwa”[89] – powiedział Benedykt XVI w *Ostatnich rozmowach*.

– Większość bohaterów Vatileaks I i II to homoseksualiści – potwierdza pewien arcybiskup z kurii rzymskiej. – Ten fakt wyjaśnia oba skandale, ale był on systematycznie ukrywany przez Watykan i bagatelizowany przez prasę. Nie chodzi tu o jakieś lobby, jak ktoś powiedział. Chodzi po prostu o relacje między gejami i akty zemsty, które z nich wynikły. Franciszek, który doskonale zna tę sprawę, odsunął winowajców.

DRUGA AFERA VATILEAKS zaczyna się w Madrycie. Choć wybucha za Franciszka, zaczęła się jeszcze za Ratzingera. Rolę czarnego charakteru odgrywa w niej tym razem Lucio Ángel Vallejo Balda, pod względem psychologicznym zupełnie inny niż Paolo Gabriele.

W trakcie pogłębionego śledztwa, które prowadzę w Hiszpanii, odkrywam, że ścieżka życiowa Vallejo Baldy jest tak klarowna, jak pogmatwane są jego działania. Dziennikarz José Manuel Vidal, sam były ksiądz, z którym spotkałem się kilka razy w Madrycie, opisuje

mi jego charakter:

– Historia Vallejo Baldy to opowieść o skromnym wiejskim księdzu, któremu woda sodowa uderzyła do głowy. Jest przystojny, czarujący i szybko wspina się po stopniach hiszpańskiej hierarchii. Jako związany z Opus Dei jest hołubiony przez ultrakonserwatywne kręgi. Tutaj, w Madrycie, zbliża się do kardynała Rouco Vareli, homofoba, który lubi się otaczać takimi chłopcami – przyzwoitymi, a jednocześnie zwariowanymi – jakich można spotkać w hiszpańskich środowiskach przyjaznych gejom.

Kiedy papież Benedykt XVI i kardynał Bertone zwracają się do Rouco z prośbą o wskazanie zaufanego księdza, który mógłby się zająć sprawami finansowymi, ten wysyła do nich Baldę. Kompetencje finansowe i moralność młodego kapłana są co najmniej dyskusyjne, ale dla Rouco to nieoczekiwana sposobność umieszczenia własnego piona w otoczeniu papieża. Balda jednak okaże się elementem wichrzycielskim niczym bohater *Teorematu* Pasoliniego albo postacią „chrystyczną", jak z *Idioty* Dostojewskiego – zawróci wszystkim w głowach i dosłownie wysadzi Watykan od środka.

Lucio Ángel Vallejo Balda, wyświęcony na księdza jako dwudziestosześciolatek, najpierw „small town boy", a potem *madrileño*, był mężczyzną, któremu nie sposób się oprzeć. Tak twierdzą ci, którzy znali go w tamtych czasach. Dziś, choć ma pięćdziesiąt pięć lat i wrócił na wieś, wciąż jest przystojny.

– To był prowincjusz, który nagle przybył ze swojego zaścianka. Anioł, tak jak mówi jego imię. Wdzięk wieśniaka i karierowicza w jednym. Od razu zrobił wrażenie na kardynale Rouco Vareli, tym bardziej że był związany z Opus Dei – mówi inny ksiądz, z którym rozmawiam w Madrycie.

Jednak jego awans, którego domagał się Rouco, oraz spektakularna kariera w Rzymie wspierana zwłaszcza przez hiszpańskiego kardynała

Antonio Cañizaresa budzą obiekcje w Konferencji Episkopatu Hiszpanii. Dziś, gdy języki się rozwiązują, dowiaduję się, że niektórzy hiszpańscy kardynałowie publicznie krytykowali rzymską nominację Baldy, uważając go za „drobnego przybłędę” prowadzącego „hulaszcze życie w złym stylu”.

– Szefostwo Konferencji Episkopatu Hiszpanii uznało ten wybór za nieuzasadniony i niebezpieczny dla papieża. Tutaj, w Madrycie, wybuchła nawet w związku z tym mała nagonka na Rouco – opowiada ksiądz związany z Konferencją Episkopatu Hiszpanii.

Jakkolwiek było, pochodzący z ubogiej rodziny Balda czuje się w Rzymie jak ryba w wodzie. Wygnany anioł zaczyna prowadzić *dolce vita*: luksusowe hotele, najlepsze restauracje, męskie imprezki i życie prawdziwego VIP-a. Staje się sławny.

– W Rzymie temu młodemu człowiekowi odbiło – podsumowuje poważnie pewien rzymski ksiądz, który dobrze go znał.

Nieszczególnie inteligentny, za to obdarzony ogromnym tupetem Vallejo Balda wbrew wszelkim oczekiwaniom zostaje numerem dwa w APSA, wydziale kurii zarządzającym dobrami i pieniędzmi Watykanu. Sprawując jednocześnie kontrolę nad bankiem stolicy apostolskiej, młody Hiszpan wie teraz wszystko. Bertone ufa mu tym bardziej ślepo, że za jego sprawą katolickie Włochy stają się *free for all*.

Kiedy wybucha afera Vatileaks II, prowadzący szalone życie hiszpański anioł o bezgranicznych ambicjach jest głównym podejrzanym. W książkach dwóch włoskich dziennikarzy, Gianluigiego Nuzziego i Emiliana Fittipaldiego, zostają opublikowane supertajne dokumenty finansowe z Banku Watykańskiego. Świat doznaje szoku na wieść o niezliczonych nielegalnych rachunkach bankowych, niezgodnych z prawem przelewach i braku przejrzystości w watykańskim banku. Jak już

wcześniej wspominałem, przyłapany zostaje sam Tarcisio Bertone, który wyremontował sobie luksusowy apartament w Watykanie za pieniądze fundacji szpitala pediatrycznego Bambino Gesù.

Co w Watykanie rzadkie, w aferę jest zamieszana również kobieta, Francesca Immacolata Chaouqui, trzydziestoletnia Włoszko-Egipcjanka. Czarująca, komunikatywna i związana z Opus Dei, co podoba się kurialnym konserwatystom. Dzięki znajomości metod zarządzania rodem z Ernst & Young wysadza w powietrze spokojną watykańską rutynę. Przede wszystkim zaś dzięki obfitemu biustowi i włosom à la girly girl zawraca w głowach nielicznym heteroseksualistom w kurii, tak że wkrótce robi się o niej głośno i zostaje nazwana „głębokim gardłem”. Jakimś tajemniczym sposobem konsultantka ma w Watykanie tak skuteczne wejścia, że otrzymuje stanowisko ekspertki do spraw reformy ekonomiczno-administracyjnej stolicy apostolskiej. Czyżby femme fatale i fatalny ksiądz Vallejo Balda mieli potajemny romans? Takiej wersji ślepo broni Watykan.

– Watykan wymyślił historię z romansem między Vallejo Baldą a Francescą Immacolatą Chaouqui. Celem tej narracji jest nadanie sensu aferze, która go nie ma. Chyba że w grę wchodziły inne relacje Baldy, które trzeba było ukryć – wyjaśnia pewien ksiądz z kurii.

A spowiednik z bazyliki Świętego Piotra potwierdza:

– Po zatrzymaniu Vallejo Balda został umieszczony w naszym domu, tutaj, na placu Świętej Marty, między Pałacem Sprawiedliwości a żandarmerią. Otrzymał do dyspozycji telefon, komputer i codziennie jadł z nami śniadanie. Wiem z całą pewnością, że nigdy nie był kochankiem Chaouqui.

Najprawdopodobniej afera Vatileaks II miała na celu zdestabilizowanie Franciszka, tak jak w przypadku Vatileaks I chodziło o zdetronizowanie Bertonego i Benedykta XVI. Operacja

mogła zostać przygotowana przez proratzingerowskich kardynałów z kurii przeciwnych linii politycznej nowego papieża i wprawiona w ruch przez Baldę.

Centralna rola przypada zwłaszcza jednemu z nich, rygorystycznemu kardynałowi prowadzącemu podwójne życie, który przewodniczył jednemu z watykańskich „ministerstw”. Ksiądz Don Julius, który spotykał się z nim w Watykanie, mówi o nim jako o „old-fashion, old-school gay lady” i człowieku, który żył tylko oczernianiem innych. Watykanista Robert Carl Mickens mówi zaś, że „to nasty queen”, czyli że duchowny jest po prostu wredny.

Benedykt XVI wiedział oczywiście o „sprzecznej z naturą” orientacji seksualnej kardynała i jego ekstrawagancjach, jednak jak twierdzi wielu moich rozmówców, lubił go, ponieważ przez długi czas myślał, że jego podwładny nie „praktykuje”, lecz żyje w czystości lub jest *questioning*. W przeciwieństwie do swojego poprzednika Franciszek, który nie ma najmniejszej ochoty na roztrząsanie niuansów „gayness”, ale był dobrze poinformowany o tym przypadku, wydalił go z kurii. W każdym razie kardynał Félon, homofob i ultragej, stanowi łącznik między obiema aferami Vatileaks. Bez homoseksualnego klucza sprawy te pozostają mgliste. Odczytane z jego zastosowaniem, zaczynają się rozjaśniać.

W trakcie procesu o działanie w zmowie przestępczej zostało oskarżonych pięć osób: Vallejo Balda, jego osobisty sekretarz, konsultantka Francesca Immacolata Chaouqui i dwaj dziennikarze, którzy rozpowszechnili dokumenty. Skazanego na osiemnaście miesięcy Baldę po odbyciu połowy wyroku zwolniono warunkowo i odesłano do rodzimej diecezji w północnej Hiszpanii, gdzie przebywa po dziś dzień. Watykańskie trybunały nie niepokoiły natomiast kardynałów, którzy mogli być zleceniodawcami lub wspólnikami Baldy.

Obie afery Vatileaks to dwa sezony tego samego serialu, którego tajemnica kryje się we włoskim katolicyzmie. Obie w dużej mierze łączą się z wątkiem homoseksualizmu, tak że pewien brytyjski watykanista żartobliwie mówi o nich „sprawa kamerdynera i gwardzisty", choć są tak wielowarstwowe, a splot odpowiedzialności w każdej z nich jest tak pogmatwany, że nie całkiem wiadomo, kogo dotyczą te niezbyt pochlebne określenia.

Jednej tajemnicy zupełnie nie potrafiłem wyjaśnić. Co sprawiło, że Paolo Gabriele i Lucio Ángel Vallejo Balda zwrócili się przeciw własnemu obozowi i zaczęli mówić? Jeśli wierzyć kodowi MICE, słynnemu skrótowi używanemu przez służby specjalne na całym świecie, istnieją zasadniczo cztery powody, które mogą skłonić człowieka do zwrócenia się przeciw swojej grupie: Money, Ideology, Corruption i Compromission (zwłaszcza zaś szantaż seksualny), Ego. Mając na uwadze rozmiar zdrady i poziom nielojalności, wydaje się, że różni aktorzy obu psychodram inspirowali się wszystkimi czterema elementami tego kodu naraz.

NA BIURKU KARDYNAŁA JOZEFA TOMKI leży książka autorstwa Franceski Immacolaty Chaouqui. Słowacki kardynał, który najwyraźniej właśnie ją czyta, sięga po nią i mi ją pokazuje.

Wesoły i sympatyczny starszy mężczyzna przyjmuje mnie i Danielego w swoim prywatnym mieszkaniu. Rozmawiamy o jego pracy na stanowisku „czerwonego papieża", jak nazywany jest prefekt Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów. Zahaczamy o jego lektury: Jean Daniélou, Maritain i Verlaine, o którym kardynał opowiada z pasją. Doskonale mówi po francusku. Na regale w salonie, w którym nas gości, dostrzegam piękne zdjęcie z Benedyktem XVI: papież ubrany w czerwony płaszcz z czułością trzyma kardynała Tomkę za ręce.

Ze względu na tę bliskość z Josephem Ratzingerem Tomko był

jednym z trzech kardynałów odpowiedzialnych za dochodzenie w kurii rzymskiej po aferze Vatileaks. On i dwaj jego koledzy – Hiszpan Julián Herranz i Włoch Salvatore De Giorgi – otrzymali od papieża polecenie przeprowadzenia ściśle tajnego wewnętrznego śledztwa. Powstał w jego wyniku raport zajmujący dwa trzystustronicowe tomy. To wybuchowy dokument na temat nieprawidłowości w kurii oraz skandali finansowych i homoseksualnych w Watykanie. Część komentatorów sądziła, że to właśnie ten dokument legł u podstaw dymisji papieża.

– Z Herranzem i De Giorgim wysłuchaliśmy wszystkich. Próbowaliśmy zrozumieć. Tak po bratersku. To w żadnym razie nie był proces, jak niektórzy później mówili – uściśla Tomko. I dzieli się sybilliczną obserwacją: – Nie rozumiemy kurii. Nikt jej nie rozumie.

Wszyscy trzej kardynałowie – osiemdziesięciosześciolatek, osiemdziesięciosiedmiolatek i dziewięćdziesięcioczterolatek – są konserwatystami. Zasadnicza część ich kariery jest związana z Rzymem, znają więc Watykan od podszewki. De Giorgi to jedyny Włoch, który był biskupem i arcybiskupem w kilku miastach – i jest najbardziej zatwardziały z całej trójki. Tomko, bardziej otwarty, jest misjonarzem, podróżował po całym świecie. Trzeci, Herranz, to członek Opus Dei. To on stał na czele całej misji i ją koordynował.

Kiedy odwiedzam Herranza w jego mieszkaniu niedaleko placu Świętego Piotra, kardynał pokazuje mi starą fotografię, na której młody hiszpański ksiądz pozuje u boku założyciela Opus Dei, Josemaríi Escrivy de Balaguera. Mężczyźni trzymają się za ramiona.

Herranz ma na tym zdjęciu dwadzieścia siedem lat i jest zaskakująco przystojny. Teraz, gdy ma lat osiemdziesiąt osiem, patrzy na przypominający mu bardzo odległe czasy obraz z kamienną twarzą, jakby ten młody żołnierz Opus Dei był dla niego kimś obcym. Jakież to smutne! To zdjęcie zachowało wieczną młodość.

A on tak strasznie się postarzał. Herranz przez kilka sekund milczy; być może oddaje się marzeniom o innym, odwróconym świecie, w którym postarzałoby się zdjęcie, a on byłby na zawsze młody?

Jak twierdzą niektórzy księża i sekretarze, którzy pracowali z Tomką, Herranzem i De Giorgim, kardynałowie mają dosłownie „obsesję" na punkcie homoseksualizmu. De Giorgi znany jest z tego, że stosunki władzy w kurii postrzegał przez pryzmat układów gejowskich i podobnie jak Herranza oskarża się go o częste mylenie pedofilii z homoseksualizmem.

– De Giorgi to ortodoks. Ale jest też kokietem, który lubi, gdy się o nim mówi. Jakby za życiowy cel obrał sobie rolę pozytywnego bohatera artykułów w „L'Osservatore Romano"! Ciągle nas o to nagabywał – mówi mi pewien współpracownik oficjalnego dziennika Watykanu. (Mimo ponawianych próśb De Giorgi to jedyny z trójki kardynałów, który nie chciał się ze mną spotkać. Jego odmowa była zagmatwana, pełna wrogości i pretensji. I tak bardzo homofobiczna, że stał się w moich oczach podejrzany).

Śledztwo zajęło Herranzowi, Tomce i De Giorgiemu osiem miesięcy. Przesłuchano około setki księży pracujących w Watykanie. Do raportu oficjalnie dostęp miało pięć osób (w rzeczywistości dziesięć). Zawarte w nim informacje są tak wrażliwe, że jeden z egzemplarzy trafił podobno do sejfu papieża Franciszka.

Głównym odkryciem jego autorów są rozmiary korupcji panującej w Watykanie. Dwie osoby, które czytały ten tekst, streściły mi go z grubsza, a o pewnych fragmentach opowiedziały bardziej szczegółowo. W *Ostatnich rozmowach* sam papież Benedykt XVI wspomniał o niektórych zagadnieniach poruszanych w raporcie, który jak sugeruje, miał mówić o istnieniu „homoseksualnej kliki" i „gejowskiego lobby".

– Wiadomo, że skandale homoseksualne stanowią jeden

z głównych tematów raportu trzech kardynałów – mówi anonimowo ksiądz z kurii, który pracuje dla jednego z nich.

Najbardziej uderzającym wnioskiem płynącym z tego dokumentu, prawdziwym kluczem do zrozumienia Watykanu, jest istnienie związku między aferami finansowymi a homoseksualizmem, faktu, że ukrywane praktyki gejowskie idą w parze z malwersacjami finansowymi. Ten styk seksu i pieniędzy to istotny element pozwalający zrozumieć Sodomę.

Raport ujawnia też, że pewna grupa kardynałów homoseksualistów piastujących najwyższe kurialne stanowiska chciała obalić kardynała Bertonego. Tekst wraca też do tematu kręgów rozpusty w Watykanie i próbuje wskazać siatkę, za której sprawą doszło do przecieku i afery Vatileaks I. Dokument zawiera podobno wiele nazwisk, w tym nazwiska kardynałów Jamesa Harveya, Mauro Piacenzy i Angelo Sodana. Ofiarą szantażu miało też paść kilku wysoko postawionych duchownych. Choć nie opowiedziano mi o szczegółach, dowiedziałem się, że w tekście znalazły się także nazwiska Georga Gänsweina i Georga Ratzingera, brata papieża.

Mimo deklarowanej powagi raportu jedna z osób, które miały do niego dostęp, mówi, że jego treść to „maskarada", a nawet „hipokryzja". Trzej kardynałowie, którzy uważają, że przeniknęli rzeczywistość Sodomy, tak naprawdę mieli przejść obok całego systemu, ponieważ nie zrozumieli jego rozmiarów ani kodów. Zdarza się, że namierzając spiskowców, załatwiają własne sprawy. Jak zawsze wyłapują zagubione owieczki i na podstawie zwykłych pogłosek i plotek zakładają „seksualne kartoteki", nie dbając o zasadę kontradyktoryjności, która jest przecież podstawową procedurą przed każdym wyrokiem. Dwulicowi dostojnicy występujący w roli sędziów, choć sami wcale nie są wolni od podejrzeń.

Główną konkluzją płynącą z tego raportu miało więc być ujawnienie ważnego „gejowskiego lobby” w Watykanie (według obu moich źródeł sformułowanie to wielokrotnie powtarza się w tekście). Ale trzej kardynałowie, którzy ostatecznie okazują się niezbyt kompetentni, mają problem z rozpoznaniem prawdy, której ledwie dotykają. W jednym miejscu wyolbrzymiają, w innym bagatelizują rzeczywisty problem Watykanu – to, że opiera się on w całości na wewnętrznym homoseksualnym wzorcu.

W każdym razie Benedykt XVI i Franciszek używają publicznie najmocniejszego w raporcie sformułowania „lobby gejowskie”, potwierdzając fakt, że zajmuje ono kluczową pozycję w dokumencie. Na zdjęciach wykonanych w Castel Gandolfo podczas przekazania władzy między papieżami widać na stoliku jakąś skrzynkę i zapieczętowane teczki. Wiele źródeł twierdzi, że zawierają one słynny raport.

Przerażenie Benedykta XVI po lekturze tego tajnego dokumentu jest zrozumiałe. Czy w obliczu takiej rozpusty, hipokryzji, tylu przypadków podwójnego życia, tylu poukrywanych wszędzie – nawet w samym Watykanie – homoseksualistów prysły wszystkie przekonania tego wrażliwego papieża na temat „jego” Kościoła? Tak mówiono. Słyszałem też, że czytając raport, Benedykt XVI płakał.

To dla niego zbyt wiele. Czy ta męka nigdy się nie skończy? Papież nie ma już ochoty walczyć. Decyzja została podjęta – opuści barkę Świętego Piotra. Ale to jeszcze nie koniec drogi krzyżowej Benedykta XVI. Przed „rezygnacją” czeka go jeszcze kilka stacji.

NA DŁUGO PRZED POWSTANIEM TAJNEGO RAPORTU raczkującym jeszcze pontyfikatem Benedykta XVI wstrząsnęły skandale pedofilskie, które począwszy od roku 2010, były już na porządku dziennym. I nie chodzi o odosobnione przypadki czy nieprawidłowości, jak wielokrotnie powtarzał kardynał Sodano,

by chronić Kościół, chodzi o cały system. Wciąż ten sam system, który znalazł się w świetle reflektorów.

„Booze, Boys or Broads?" – to pytanie, które zadają sobie dziennikarze z anglojęzycznych mediów z każdym kolejnym skandalem, zalewani niekończącym się potokiem informacji o wszelkiego rodzaju nadużyciach pod rządami Ratzingera: alkohol, pedofilia czy panienki (choć tak naprawdę rzadko chodziło o dziewczęta)? Za pontyfikatu Benedykta XVI ujawniono skandale z udziałem dziesiątek tysięcy kapłanów (5948 w USA, 1880 w Australii, 1670 w Niemczech, 800 w Holandii, 500 w Belgii i tak dalej…) – to największa seria w całej współczesnej historii chrześcijaństwa. Odnotowano dziesiątki, może nawet setki tysięcy ofiar (4444 w samej Australii, 3677 nieletnich w Niemczech itd.). W skandale zamieszanych było kilkudziesięciu kardynałów i setki biskupów. Episkopaty leżą w gruzach, diecezje są zrujnowane. W chwili dymisji Benedykta XVI Kościół jest pobojowiskiem. W międzyczasie system Ratzingera dosłownie się zawalił.

Szczegółowe opisywanie tysięcy afer pedofilskich nie jest celem tej książki. Jest nim natomiast zrozumienie, dlaczego Benedykt XVI, mający taką obsesję i tak wiele do powiedzenia w sprawie dozwolonych aktów homoseksualnych, okazał się bezsilny wobec wykorzystywania seksualnego nieletnich. Oczywiście bardzo szybko potępił „brudy w Kościele" i zwracając się do Pana, powiedział: „Przeraża nas brud na szacie i obliczu Twego Kościoła"[90]. Opublikował też wiele bardzo stanowczych tekstów. Jednak pośród wahań między zaprzeczeniem a szokiem, między amatorszczyzną a paniką, przy wciąż niewielkiej empatii lub jej całkowitym braku – bilans pontyfikatu w tej sprawie jest katastrofalny.

– Nadużycia seksualne w Kościele nie są tylko ciemną kartą pontyfikatu Benedykta XVI, to największa tragedia, największa

katastrofa w historii katolicyzmu od czasu reformacji – mówi pewien francuski ksiądz.

Istnieją dwa sprzeczne poglądy na tę sprawę. Pierwszy (prezentowany na przykład przez Federico Lombardiego, byłego rzecznika prasowego papieża, a także przez stolicę apostolską) – Benedykt XVI zadziałał sprawnie i był pierwszym papieżem, który potraktował kwestię nadużyć seksualnych dokonanych przez kapłanów poważnie. Lombardi, z którym spotkałem się pięć razy, przypomina mi, że papież „zlaicyzował", to znaczy przeniósł do stanu świeckiego, „ponad ośmiuset księży", którzy zostali uznani za winnych nadużyć seksualnych. Liczba ta jest niemożliwa do zweryfikowania i według innych świadków podobno mocno przesadzona, w rzeczywistości nieprzekraczająca kilkudziesięciu osób (w przedmowie do *Ostatnich rozmów*, oficjalnego wywiadu z Benedyktem XVI z roku 2016, pada liczba czterysta, czyli dwukrotnie mniejsza). Ponieważ wiadomo, że Watykan w takich sprawach systemowo kłamie, można co najmniej powątpiewać w prawdziwość podanych liczb.

A oto drugi pogląd (prezentowany najczęściej przez wymiar sprawiedliwości krajów, których dotyczą te sprawy, oraz przez prasę) – Kościół Benedykta XVI jest odpowiedzialny, a być może i winny we wszystkich tych sprawach. Wiadomo bowiem, że zgodnie z życzeniem Josepha Ratzingera wszystkie sprawy związane z nadużyciami seksualnymi od lat osiemdziesiątych XX wieku trafiały do rzymskiej Kongregacji Nauki Wiary, gdzie były rozpatrywane. A zatem Joseph Ratzinger, który był prefektem tego „ministerstwa", a następnie papieżem, jest odpowiedzialny za sprawy, które trafiały do Kongregacji w latach 1981-2013, czyli przez ponad trzydzieści lat. Z całą pewnością historycy bardzo surowo potraktują niejednoznaczności w postawie papieża i jego działaniach. Niektórzy

uważają wręcz, że właśnie z tego powodu nigdy nie zostanie kanonizowany.

Do tego wszystkiego trzeba dodać bankructwo watykańskiego wymiaru sprawiedliwości. W stolicy apostolskiej, która nie jest państwem prawa, ale prawdziwą teokracją, nie istnieje bowiem podział władz. Według wszystkich osób, z którymi rozmawiałem, łącznie z pierwszoplanowymi kardynałami, watykański wymiar sprawiedliwości jest bardzo mizerny. Prawo kanoniczne jest nieustannie naruszane, konstytucje apostolskie niekompletne, sędziowie niedoświadczeni, sądom brakuje procedur i nie są traktowane poważnie. Rozmawiałem z kardynałem Dominikiem Mambertim, prefektem Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, i kardynałem Francesco Coccopalmeriem, przewodniczącym Papieskiej Rady do spraw Tekstów Prawnych, i miałem wrażenie, że ci dwaj duchowni nie potrafiliby niezależnie orzekać w tego rodzaju sprawach.

– Wymiar sprawiedliwości w Watykanie nie istnieje. Procedury nie są klarowne, śledztwa nie są wiarygodne, poważnie brakuje środków, a ludzie są niekompetentni. Nie ma nawet więzienia! To parodia wymiaru sprawiedliwości – potwierdza pewien arcybiskup związany z Kongregacją Nauki Wiary.

Giovanni Maria Vian, wówczas redaktor naczelny „L’Osservatore Romano”, znajomy Tarcisio Bertonego i jedna z centralnych postaci systemu (odbyłem z nim pięć rozmów nagrywanych za jego zgodą), przyznaje, że powstrzymuje się od publikacji w oficjalnym dzienniku Watykanu sprawozdań z przesłuchań i procesów, ponieważ groziłoby to zdyskredytowaniem całej instytucji…

O tym, że watykański wymiar sprawiedliwości to parodia, mówi wielu ekspertów w zakresie prawa, w tym pewien były ambasador przy stolicy apostolskiej, z wykształcenia prawnik:

– Te afery związane z nadużyciami seksualnymi są bardzo złożone pod względem prawnym i technicznym: wymagają wielomiesięcznych śledztw, ogromnej liczby przesłuchań. Wskazuje na to choćby postępowanie przeciwko kardynałowi George'owi Pellowi, które zmobilizowało dziesiątki sędziów i prawników i pochłonęło tysiące godzin pracy. Wyobrażanie sobie, że Watykan może osądzić choćby jeden z tych przypadków, jest nonsensem. Nie jest do tego przygotowany: nie ma ani tekstów, ani procedur, ani prawników, ani sędziów, ani środków na prowadzenie śledztwa, ani prawa, by się tym zajmować. Watykan nie ma innego wyjścia, niż uznać swoją fundamentalną niekompetencję i pozwolić działać krajowemu wymiarowi sprawiedliwości.

Ten surowy osąd mogłyby złagodzić dowody poważnej pracy prowadzonej przez niektórych kardynałów czy biskupów, na przykład Charles'a Sciclunę, arcybiskupa Malty, w sprawie Marciala Maciela w Meksyku i Fernando Karadimy w Chile. Z krytyką spotkała się jednak nawet powołana przez papieża Franciszka watykańska komisja antypedofilska; mimo dobrej woli jej przewodniczącego, starego kardynała Seana O'Malleya, arcybiskupa Bostonu, troje jej członków podało się do dymisji, by zaprotestować przeciwko powolności procedur i podwójnej grze współpracujących z nią dykasterii.

Siedemdziesięcioczteroletni O'Malley jest człowiekiem z poprzedniej epoki i wydaje się niezdolny do zajmowania się tego rodzaju sprawami. Kardynał Viganò w swoim *Świadectwie* podważa jego „transparencję i wiarygodność".

Trudno też w tym kontekście nie wspomnieć o aferze, która dotyczy brata Benedykta XVI. Mieszkający w Niemczech Georg znalazł się w centrum gigantycznego skandalu związanego z przemocą fizyczną i seksualną wobec nieletnich członków chóru

ratyzbońskiej katedry, którym kierował przez trzy dekady w latach 1964-1994. Otóż od 2010 roku niemiecki wymiar sprawiedliwości oraz wewnętrzna komisja diecezjalna ujawniły ponad 547 przypadków przemocy wobec dzieci ze szkoły związanej z tym prestiżowym chórem, w tym 67 przypadków nadużyć seksualnych i gwałtów. Obecnie podejrzenia o przemoc dotyczą 48 księży i świeckich, w tym w przypadku dziewięciu z nich chodzi o przemoc seksualną. Choć Georg Ratzinger nie przyznaje się do winy, trudno uwierzyć, żeby nie był świadomy całej sytuacji. Możliwe, że papież również był o niej informowany, zresztą, jak się później okazało, Watykan potraktował tę aferę tak poważnie, że pracowano nad nią na najwyższych szczeblach Kongregacji Nauki Wiary. Kilku kardynałów z najbliższego otoczenia biskupa Rzymu miało nawet chronić starszego brata papieża, nie troszcząc się o prawdę, sprawiedliwość i los ofiar.

W licznych trwających postępowaniach sądowych prowadzonych w Niemczech padają nazwiska trzech kardynałów.

Dziś – nawet wśród księży i teologów – podnoszą się liczne głosy twierdzące, że niepowodzenie Kościoła katolickiego w sprawie skandali pedofilskich uderza przede wszystkim w zarządzanie i filozofię Josepha Ratzingera. Oto opinia jednego z moich rozmówców:

– Ten człowiek poświęcił całe życie na zwalczanie homoseksualizmu. Zrobił z niego jeden z najgorszych występków ludzkości. A jednocześnie bardzo mało mówił o pedofilii i z ogromnym opóźnieniem zdał sobie sprawę z rozmiarów tego problemu. Na płaszczyźnie teologicznej nigdy tak naprawdę nie robił różnicy między dobrowolnymi relacjami seksualnymi wśród dorosłych a wykorzystywaniem seksualnym nieletnich poniżej piętnastego roku życia.

Inny krytyczny wobec Benedykta XVI teolog, z którym

rozmawiałem w Ameryce Łacińskiej, mówi:

– Problemem Ratzingera jest jego hierarchia wartości, która od samego początku stoi na głowie. Stosował srogie sankcje wobec teologów wyzwolenia i karał kapłanów, którzy rozprowadzali prezerwatywy w Afryce, ale potrafił znaleźć usprawiedliwienie dla księży pedofilów. Uznał, że meksykański kryminalista pedofil i multirecydywista Marcial Maciel jest za stary na przeniesienie do stanu świeckiego!

Jakkolwiek by było, nieprzerwany strumień ujawnień na temat nadużyć seksualnych w Kościele to dla Benedykta XVI coś więcej niż „sezon w piekle”. Uderza on w samo serce zbudowanego przez Ratzingera systemu i jego teologii. Niezależnie od wszystkich publicznych dementi i politycznych stanowisk papież w głębi serca wie – śmiem twierdzić, że z doświadczenia – iż sedno całego problemu stanowią celibat, praktyka wstrzemięźliwości seksualnej i nieuznawanie przez księży własnej homoseksualności. Jego myśl pieczołowicie rozwijana w Watykanie przez cztery dekady legła w gruzach. A ta intelektualna klęska nie mogła się nie przyczynić do jego dymisji.

Oto jak sytuację podsumowuje pewien niemieckojęzyczny biskup:

– Cóż zostaje z myśli Ratzingera, gdyby ją tak naprawdę streścić? Powiedziałbym, że zostaje jego moralność seksualna i poglądy w sprawach celibatu kapłanów, wstrzemięźliwości, homoseksualizmu oraz małżeństw gejowskich. Oto cała jego nowatorskość i oryginalność. Tymczasem nadużycia seksualne wszystko to unicestwiły. Jego zakazy, zasady, pomysły, wszystko to już się nie broni. Dziś po jego moralności seksualnej nie zostało nic. I choć jeszcze nikt w Kościele nie ośmiela się tego otwarcie przyznać, wszyscy wiedzą, że nie uda się skończyć z nadużyciami seksualnymi popełnianymi przez księży, dopóki nie zostanie zniesiony celibat,

dopóki Kościół nie uzna homoseksualizmu, tak aby księża bez obaw mogli zgłaszać nadużycia, i dopóki nie zostaną wprowadzone święcenia kobiet. Wszystkie inne kroki są daremne. Krótko mówiąc, trzeba całkowicie obalić ratzingerowski punkt widzenia. Wszyscy o tym wiedzą. A ci, którzy twierdzą coś przeciwnego, są współwinni.

To surowy osąd, ale wiele osób w dzisiejszym Kościele myśli podobnie, nawet jeśli nie mówią o tym głośno.

W MARCU 2012 ROKU Benedykt XVI leci do Meksyku i na Kubę. Kolejne pory roku w piekle następują jedna po drugiej. Po wypełnionej doniesieniami o pedofilii zimie przychodzi naznaczona skandalami wiosna. Następna stacja drogi krzyżowej: w Hawanie Joseph Ratzinger miał się zderzyć z diabelskim światem, którego istnienia nie podejrzewał nawet w najgorszych koszmarach. Po powrocie z Kuby podjął decyzję o rezygnacji. A oto dlaczego tak się stało.

24.

Abdykacja

JESTEM NA KUBIE I PUKAM DO DRZWI JAIME ORTEGI. Otwiera mi szarmancki młody człowiek imieniem Alejandro. Wyjaśniam mu, że chciałbym porozmawiać z kardynałem. Życzliwy, sympatyczny i władający trzema językami Alejandro prosi, bym chwilę zaczekał. Zamyka drzwi i zostawia mnie samego na schodach. Dwie lub trzy minuty później drzwi znowu się otwierają i oto nagle staje przede mną Jaime Ortega y Alamino. To on, we własnej osobie – starszy mężczyzna mierzy mnie od stóp do głów przenikliwym wzrokiem jednocześnie podejrzliwym i zadziornym. Duży krzyż na jego okrągłym brzuchu wydaje się tym większy, że pulchny jegomość jest niskiego wzrostu.

Zaprasza mnie do narożnego gabinetu i przeprasza, że nie odpowiadał na moje wcześniejsze prośby.

– Mój stały sekretarz Nelson jest teraz w Hiszpanii. Robi dyplom. Odkąd wyjechał, wszystko się trochę zdezorganizowało – tłumaczy się Ortega.

Rozmawiamy o pogodzie – tym razem są ku temu powody, bo w Martynikę właśnie uderzył huragan, który za kilka godzin ma dotrzeć do Kuby. Kardynał martwi się, jak wrócę do Francji, gdyby samoloty zostały uziemione.

Jaime Ortega mówi nienagannym francuskim. Bez uprzedzenia, kubańskim zwyczajem, zaczyna się zwracać do mnie na ty. I nagle prosto z mostu, po zaledwie kilkuminutowej znajomości, patrzy na mnie i mówi:

– Jeśli chcesz, jutro wieczorem możemy zjeść razem kolację.

ABY SIĘ SPOTKAĆ Z KUBAŃSKIM KARDYNAŁEM, jednym z najsłynniejszych duchownych Ameryki Łacińskiej, musiałem się wykazać bezgraniczną cierpliwością. Pisząc tę książkę, przyjeżdżałem do Hawany pięciokrotnie i za każdym razem kardynała albo nie było w kraju, albo był niedostępny, albo nie odpowiadał na moje prośby.

W siedzibie arcybiskupstwa powiedziano mi, że nigdy nie przyjmuje dziennikarzy. W Centro Cultural Padre Félix Varela, w którym dyskretnie rezyduje, zapewniano mnie, że tu nie mieszka; jego rzecznik Orlando Márquez uprzedził mnie, że kardynał nie będzie miał czasu, by spotkać się ze mną osobiście, i udzielił odpowiedzi na moje pytania. Szczęśliwie pewnego ranka w pałacu biskupim przypadkiem trafiam na życzliwego człowieka, który pokazuje mi najsekretniejsze miejsca kubańskiego katolicyzmu, wyjawia kilka ważnych tajemnic i w końcu podaje prawdziwy adres kardynała.

– Ortega mieszka tutaj, na trzecim piętrze, ale nikt tego panu nie powie, bo kardynał życzy sobie dyskrecji – mówi mój informator.

Podobnie jak Rouco Varela w Madrycie czy Tarcisio Bertone i Angelo Sodano w Watykanie Ortega zaadaptował na swoją rezydencję dwa ostatnie piętra pięknego budynku w stylu *palacio colonial* nad brzegiem Zatoki Hawańskiej. Wspaniałe miejsce pośród egzotycznych kwiatów, palm i figowców, idealnie położone na starym mieście przy Calle Tacón, tuż za barokową katedrą i niedaleko siedziby kubańskiego episkopatu.

Budynek w stylu miejskiej hacjendy – z krużgankiem i pięknym patio – był przez wiele lat główną kwaterą jezuitów, następnie pałacem biskupim, by wreszcie stać się siedzibą Centro Cultural Padre Félix Varela. Kubański Kościół organizuje tu kursy językowe i prowadzi uczelnię, której dyplomy nie są co prawda uznawane

przez kubański rząd, za to są honorowane przez Watykan. Kilka dni z rzędu spędzam w otwartej dla badaczy bibliotece, aż wreszcie w prawym skrzydle budynku odkrywam prywatną windę, którą można się dostać na trzecie piętro. Docieram do drzwi z tabliczką „No Pase. Privato” (Nie wchodzić, teren prywatny), bez żadnej wizytówki. Wchodzę.

KIEDY W 2012 ROKU Benedykt XVI po raz pierwszy odwiedza Kubę, wie o nadużyciach seksualnych w Ameryce Łacińskiej, ale jeszcze nie zdaje sobie sprawy z ich rozmiarów. Papież, który słabo zna hiszpańskojęzyczny świat, nie wie, że pedofilia stała się tu zjawiskiem endemicznym – zwłaszcza w Meksyku, Chile, Peru, Kolumbii i Brazylii. Przede wszystkim, jak każdy, sądzi, że Kuba jest od niej wolna.

Kim była osoba, która ze szczegółami przedstawiła ojcu świętemu sytuację w kubańskim Kościele? Czy został o niej poinformowany w samolocie, czy też dopiero po wylądowaniu w Hawanie? Z dwóch niezależnych źródeł dyplomatycznych w Watykanie dowiedziałem się, że Benedykt XVI był zszokowany nagłym odkryciem rozmiarów seksualnej korupcji w lokalnym Kościele. Trzech zagranicznych dyplomatów, którzy przebywali na placówce w Hawanie, i kilku kubańskich dysydentów mieszkających na wyspie opisało mi całą sytuację ze szczegółami. Podczas licznych pobytów na Florydzie otrzymałem też cenne informacje od katolików z Małej Hawany w Miami, od protestanckiego pastora kubańskiego pochodzenia Tony’ego Ramosa, a także od dziennikarzy WPLG Local 10, jednej z głównych tamtejszych stacji telewizyjnych.

Śledztwo na temat afer seksualnych w Kościele w ogóle jest trudne, ale rozmowa o nadużyciach popełnionych przez księży na Kubie to już niemal *mission impossible*. Cała prasa jest pod kontrolą. Wszystko jest cenzurowane, internet ograniczony, powolny

i niebotycznie drogi. A jednak, co odkrywałem stopniowo, wszyscy o wszystkim wiedzą.

– Jeśli chodzi o nadużycia seksualne w Kościele, tutaj, na Kubie, dzieje się dokładnie to samo co w USA, Meksyku czy Watykanie – mówi prosto z mostu Roberto Veiga. – Czarne msze w niedziele, orgie, afery pedofilskie, prostytucja: Kościół kubański jest bardzo skompromitowany.

Veiga przez długi czas był naczelnym katolickiego dziennika „Espacio Laical”. Z tego tytułu przez dziesięć lat oficjalnie pracował bezpośrednio z kardynałem Jaime Ortegą i zna katolickie układy od środka. Później odsunął się od Kościoła i dołączył do grupy intelektualistów Cuba Posible, zdystansowanej tak wobec Kościoła, jak i wobec reżimu Castro. Spotykam się z Veigą w hotelu Plaza, towarzyszy mi mój kubański fikser Ignacio González. Długo rozmawiamy o napiętych stosunkach między Kościołem a komunistycznym reżimem braci Castro.

– W latach sześćdziesiątych przeżyliśmy tu prawdziwą wojnę domową między rządem a Kościołem – ciągnie Roberto Veiga. – Bracia Castro i Che Guevara sądzili, że episkopat jest w opozycji wobec rządu, i próbowali osłabić katolicyzm: wiele kościołów zamknięto, prywatne szkoły znacjonalizowano, księża byli nękani, kontrolowani albo deportowani. Jaime Ortega też został aresztowany, często o tym opowiadał, ale dziwnym trafem od razu wysłano go do obozów UMAP, choć był świeżo po święceniach.

Niechlubnej pamięci obozy UMAP (*Las Unidades Militares de Ayuda a la Producción*, Wojskowe Jednostki Wspierania Produkcji) były obozami reedukacji i prac przymusowych stworzonymi przez reżim Castro dla tych, którzy odmawiali odbycia obowiązkowej służby wojskowej (*el Servicio Militar Obligatorio*). Zdecydowaną większość osadzonych stanowili uchylający się od wojska, a około

dziesięciu procent – dysydenci, przeciwnicy polityczni, chłopi, którzy odmówili wywłaszczenia ze swojej ziemi, świadkowie Jehowy, homoseksualiści i księża katoliccy. Choć więc Kościół od roku 1959 wiele wycierpiał przez kubańskich rewolucjonistów, to do obozów UMAP trafiło niewielu kleryków i zwykłych księży. Chyba że jednocześnie odmawiali służby wojskowej, byli dysydentami albo homoseksualistami.

Kubański pisarz i gej Reinaldo Arenas opisał w swoich słynnych wspomnieniach, jak w latach 1964-1969 castrowski rząd otwierał te obozy, by „leczyć" homoseksualistów. Fidel Castro, pełen uprzedzeń, mający obsesję na punkcie męskości, uważał homoseksualizm za zjawisko drobnomieszczańskie, kapitalistyczne i imperialistyczne. Homoseksuelistów należało więc reedukować i skierować na właściwe tory. Arenas, który sam był internowany, szczegółowo opisuje barbarzyńskie zabiegi: „pacjentom" wyświetlano fotografie nagich mężczyzn i jednocześnie rażono ich prądem. Owa „terapia naprawcza" miała stopniowo „wyprostować" ich orientację seksualną.

Po uwolnieniu z obozu Jaime Ortega, który został wyświęcony na księdza w wieku dwudziestu ośmiu lat, zaczyna długą, dyskretną karierę w kubańskim Kościele. Przewraca tę niechlubna kartę swojej historii i chce, by o nim zapomniano. Ma zmysł organizacyjny i potrafi rozmawiać, a nade wszystko jest gotów na wiele kompromisów z reżimem, by uniknąć kolejnego uwięzienia i marginalizacji katolicyzmu na Kubie. Czy to dobra strategia?

– To była jedyna możliwość. Ortega zrozumiał, że opór nie jest rozwiązaniem i że zadziałać może tylko dialog – podkreśla Roberto Veiga.

Ksiądz Ramón Suárez Polcari, rzecznik prasowy aktualnego arcybiskupa, myśli tak samo:

– Trudne doświadczenie obozów UMAP głęboko naznaczyło kardynała Ortegę. Po wyjściu wybrał raczej dialog niż konfrontację. Kościół nie mógł już być postrzegany jako partia opozycyjna. Ten wybór był odważniejszy, niż sądzono: oznaczało to, że trzeba zostać na miejscu, nie udawać się na wygnanie, nie rezygnować z obecności Kościoła katolickiego na Kubie. W tym sensie to również była forma oporu.

Na ścianach siedziby arcybiskupiej, dużej żółto-niebieskiej rezydencji w centrum Hawany, dostrzegam duże portrety kardynała Ortegi powieszone z okazji pięćdziesięciolecia jego święceń kapłańskich. Fotografie ukazują go jako dziecko, młodego księdza, młodego biskupa i wreszcie arcybiskupa. Prawdziwy kult jednostki.

Pan Andura, świecki dyrektor Centro Cultural Padre Félix Varela, także potwierdza słuszność decyzji o współpracy z komunistycznym reżimem:

– W latach sześćdziesiątych kubański Kościół nie miał, wbrew temu, co mówiono, składów broni, ale to prawda, że był w zdeklarowanej opozycji. To był dla nas, katolików, ciemny okres. Absolutnie trzeba było nawiązać dialog. Ale to nie oznacza, że staliśmy się ramieniem rządu!

Ortega, zauważony przez nuncjusza nowego papieża Jana Pawła II, w 1979 roku zostaje mianowany biskupem Pinar del Río, a następnie w 1981 arcybiskupem Hawany. Ma czterdzieści pięć lat.

Jaime Ortega zaczyna więc misterne działania zmierzające do zbliżenia z reżimem, których celem jest odzyskanie pełnej legalności Kościoła na Kubie. W latach dziewięćdziesiątych prowadzi dyskretne rozmowy na najwyższym szczeblu. Ich efektem jest swoisty pakt o nieagresji – Kościół uznaje komunistyczną władzę, a komuniści uznają Kościół.

Od tej chwili Kościół odzyskuje coś na kształt legalności, co jest

warunkiem jego rozwoju. Nieśmiało wracają lekcje religii, episkopat wznawia wydawanie swojej prasy, która do tej pory była zakazana, następują ostrożne nominacje biskupie z zachowaniem pozorów niezależności, ale czasem dyskretnie wetowane przez władzę. Fidel Castro i Jaime Ortega odbywają z początku nieformalne, a później już oficjalne spotkania. Zaczyna się mówić o wizycie papieża. W nagrodę za zastosowanie tej skutecznej strategii i odwagę Jan Paweł II w 1994 roku przyobleka arcybiskupa Hawany w kardynalską purpurę. Duchowny zostaje jednym z najmłodszych kardynałów tamtych czasów.

– Jaime Ortega to człowiek o wielkiej inteligencji. Zawsze miał dalekosiężną wizję. Ma rzadkie wyczucie polityczne i bardzo szybko zauważył, że reżim będzie potrzebował uspokojenia stosunków z Kościołem. Wierzy w czas – dodaje Roberto Veiga.

Także ksiądz Ramón Suárez Polcari podkreśla talenty kardynała:

– Ortega to mąż Boży. A przy tym jest bardzo komunikatywny. Jest też człowiekiem idei i kultury. Utrzymuje bliskie kontakty z artystami, pisarzami, tancerzami…

Od tamtego czasu Ortega, kierując się doskonałym zmysłem dyplomatycznym, zorganizował na Kubie wizyty trzech papieży, w tym historyczną podróż Jana Pawła II w styczniu roku 1998, następnie w marcu 2012 – Benedykta XVI i dwie podróże Franciszka – w 2015 i 2016. Odegrał też ważną rolę w tajnych negocjacjach, które pozwoliły na zbliżenie między Kubą a USA (w tym celu spotkał się w Waszyngtonie z prezydentem Obamą). Brał również udział w negocjacjach pokojowych między rządem kolumbijskim i bojówkami FARC w Hawanie. Wreszcie w roku 2016 przeszedł na emeryturę.

Z brazylijskim intelektualistą Frei Bettą spotykam się w Rio de Janeiro. To autor książki opartej na rozmowach z Fidelem Castro

na temat religii. W rozmowie ze mną tak podsumowuje rolę kardynała Ortegi:

– To człowiek dialogu, który dokonał zbliżenia między Kościołem a kubańską rewolucją. Jego rola była decydująca. Bardzo go szanuję, choć zawsze miał duże obiekcje wobec teologii wyzwolenia. To on czuwał nad podróżami trzech papieży na Kubę, Franciszek był tam nawet dwukrotnie. Powiedziałbym, trochę żartem, że dziś łatwiej spotkać Franciszka w Hawanie niż w Rzymie!

Tak wspaniała kariera byłaby niemożliwa bez kompromisów z reżimem.

– Począwszy od lat osiemdziesiątych Ortega nie miał dobrych stosunków z opozycją i dysydentami. O wiele lepsze są jego relacje z rządem – mówi zgodnie z prawdą Roberto Veiga.

Ten pogląd podzielają niektórzy watykańscy dyplomaci, na przykład arcybiskup François Bacqué, który przez wiele lat pełnił funkcję nuncjusza w Ameryce Łacińskiej:

– Mówiło się, że jest trochę zbyt ugodowy wobec rządu – stwierdza.

Inni duchowni w Rzymie są jeszcze bardziej krytyczni; pewien nuncjusz zastanawia się nawet, czy Ortega „nie służył dwóm panom” – papieżowi i Fidelowi. Inny dyplomata uważa, że kubański Kościół nie jest niezależny od władzy, a ordynariusz Hawany prowadził podwójną grę – w Watykanie opowiadał jedno, a braciom Castro drugie. Być może. Wydaje się jednak, że papież Franciszek, który dobrze zna sytuację polityczną na Kubie, nie przestał darzyć Jaime Ortegi zaufaniem.

W TRAKCIE INNEJ PODRÓŻY NA KUBĘ – z Kolumbijczykiem Emmanuelem Neisą, jednym z moich researcherów w Ameryce Łacińskiej – spotkaliśmy się w Hawanie z wieloma kubańskimi dysydentami, w tym z Bertą Soler, rzeczniczką słynnych Damas de

Blanco, odważnym aktywistą Antonio Rodilesem, artystą Gorkim i pisarzem Leonardo Padurą (a także kilkoma innymi, których nie mogę tutaj wymienić z nazwiska). Moi rozmówcy prezentują różne punkty widzenia, jednak większość surowo ocenia strategię Ortegi, mimo że uznają, iż odegrał on pozytywną rolę w uwolnieniu niektórych więźniów politycznych.

– Powiedziałbym, że Ortega broni reżimu. Nigdy nie wypowiada się krytycznie w kwestii praw człowieka czy sytuacji politycznej. A kiedy do Hawany przyjechał papież Franciszek, skrytykował rząd meksykański i amerykański w sprawie imigracji, ale nie powiedział nic na temat całkowitego braku wolności prasy, stowarzyszeń i wolności światopoglądowej na Kubie – wyjaśnia mi Antonio Rodiles, z którym rozmawiam cztery razy w jego domu w Hawanie.

Berta Soler, podsumowując działalność Jaime Ortegi, jest natomiast bardziej pobłażliwa: jej mąż, Ángel Moya Acosta, opozycjonista, który również uczestniczy w naszym spotkaniu, po ośmiu latach mógł opuścić więzienie – podobnie jak setka innych dysydentów – dzięki porozumieniu, które kardynał wynegocjował między kubańskim reżimem, rządem hiszpańskim i Kościołem katolickim.

Co było nieuniknione, Ortega miał trudności z utrzymaniem równowagi między z jednej strony twardą antykomunistyczną linią Jana Pawła II i kardynała Angelo Sodana – z którym się przyjaźni – a koniecznością kompromisu z braćmi Castro z drugiej. Zwłaszcza że na początku lat osiemdziesiątych Fidel zapalił się do teologii wyzwolenia. Lider Maximo czyta Gustavo Gutiérreza i Leonardo Boffa oraz – jak już wspomniałem – wydaje z Frei Bettą rozmowy o religii. Ortega, lawirując jak prawdziwy dyplomata, w delikatny sposób równolegle obnaża z jednej strony grzechy kapitalizmu, a z drugiej – komunizmu. W miejsce czczonej przez Castro, ale

zwalczanej w całej Ameryce Łacińskiej przez Jana Pawła II teologii wyzwolenia subtelnie głosi „teologię pojednania” między Kubańczykami.

– W młodości Ortega sytuował się raczej w nurcie teologii wyzwolenia, ale później się zmienił – stwierdza podczas naszego spotkania w Miami pastor Tony Ramos, który jeszcze w Hawanie jako osiemnastolatek znał Ortegę i nawet przez chwilę uczył się z nim w seminarium. A potem dodaje sybilliczne zdanie (wyrażając przy tym życzenie, by od tej chwili wyłączyć nagrywanie): – Ortega zawsze żył w wewnętrznym konflikcie, jak wielu księży.

Z całą pewnością, co sugeruje wielu moich rozmówców w Hawanie, reżim doskonale wiedział o relacjach, spotkaniach, podróżach, życiu prywatnym i obyczajach Jaime Ortegi, jakiekolwiek by one były. Z uwagi na jego miejsce w hierarchii i częste kontakty z Watykanem oczywiste jest, że kardynał był pod obserwacją kubańskich tajniaków dwadzieścia cztery godziny na dobę. A jedną ze specjalności kubańskich służb jest kompromitowanie newralgicznych osób przy użyciu filmów nakręconych podczas seksualnych figli, czy to w ich domach, czy w hotelach.

– Kardynał Ortega to marionetka poruszana przez castrowski reżim. Jest w rękach Raúla Castro. Niech pan nie zapomina, że Kuba to najbardziej kontrolowane społeczeństwo świata – mówi Michael Putney, jeden z najbardziej szanowanych dziennikarzy na Florydzie, z którym rozmawiam w siedzibie WPLG Local 10 w północnej części Miami.

Czy, jak uważają niektórzy, Ortegę szantażowano? Czy on sam lub ktoś z jego otoczenia był do tego stopnia zagrożony, że kardynał nie miał żadnego pola manewru, by wypowiadać się krytycznie o reżimie? Jeden z najlepszych znawców kubańskiego wywiadu w anglojęzycznym świecie podczas wspólnego obiadu w Paryżu

zwraca moją uwagę na to, że kardynał Ortega i jego otoczenie byli pod bezpośrednim nadzorem Alejandro Castro Espína, syna byłego prezydenta Raúla Castro. Nieoficjalny szef wszystkich kubańskich tajnych służb miał nawet przez lata, korzystając z bardzo zaawansowanych technologicznie metod inwigilacji, zgromadzić pełną dokumentację na temat zwierzchników Kościoła katolickiego na Kubie, a zwłaszcza na temat Jaime Ortegi. Innymi słowy Ortega jest *atendido*, „chroniony" na najwyższym poziomie. Alejandro Castro Espín, tajemnicza postać, piastuje stanowisko koordynatora Rady Obrony i Bezpieczeństwa Narodowego, która skupia wszystkie kubańskie służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze: podobno to on jest oficerem łącznikowym Ortegi i zajmuje się wszystkimi kontaktami z Watykanem. Choć prawie nie ma jego zdjęć (wiemy, że podczas walk w Angoli stracił jedno oko), w ostatnich latach zapozował do jednego jedynego ujęcia w towarzystwie swojego ojca Raúla u boku papieża Franciszka.

– Reżim Castro ma bogatą historię seksualnych kompromitacji ważnych osób i przeciwników rządu. A homoseksualizm to jedno z najpotężniejszych narzędzi szantażu wobec człowieka, który nie wyszedł z „szafy", zwłaszcza jeśli jest księdzem albo biskupem – mówi mi ten sam informator.

Pasuje to do szokujących doniesień o podsłuchach i szantażach seksualnych stosowanych przez reżim w odniesieniu do osobistego ochroniarza Fidela Castro podpułkownika Juana Reinalda Sáncheza znajdujących się w jego książce *Podwójne życie Fidela Castro*, którą opublikował po wydaleniu z kraju.

Przed kilku laty kubańskimi środowiskami wstrząsnęła też telewizyjna wypowiedź byłego pułkownika Cuban Fuerzas Armadas Revolucionarias Roberta Ortegi. Przebywający na wygnaniu w USA oficer twierdził, że Jaime Ortega prowadzi podwójne życie: rzekomo

utrzymuje intymne relacje z pewnym agentem kubańskich służb specjalnych, opisanym jako „Postawny brunet wysoki na sześć stóp” (1,83 m). Według tego byłego pułkownika kubański rząd ma na Jaime Ortegę filmiki i konkretne haki. Dowody te mogą się okazać użyteczne do wywierania nacisku bądź szantażowania kardynała i dzięki nim rząd ma pewność jego całkowitego poparcia. Choć po tym wywiadzie powstało wiele artykułów prasowych, które można znaleźć w sieci, i choć kardynał Ortega osobiście nie zdementował podanych w nim informacji, nie dostarcza on żadnych konkretnych dowodów. Mimo że eksperci, z którymi rozmawiałem, uznali wypowiedź byłego pułkownika za wiarygodną, równie dobrze wojskowy mógł powtarzać plotki lub działać z chęci zemsty, która jest naturalna dla człowieka przebywającego na politycznym wygnaniu.

Jedno w każdym razie jest pewne: w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w kubańskim Kościele – tak na poziomie archidiecezji i episkopatu, jak i w diecezjach na terenie całego kraju – od skandali seksualnych aż się roiło. Często powraca w ich kontekście nazwisko księdza Carlosa Manuela Céspedesa z parafii św. Augustyna – byłego wikariusza generalnego archidiecezji Hawany, blisko związanego z Ortegą. Céspedes, choć obnosi się z tytułem monsinior, nigdy nie został wyświęcony na biskupa – być może z uwagi na podwójne życie: jego homoseksualizm i seksualne przygody są dobrze udokumentowane, jego zażyłość z kubańską policją polityczną również (jak powiedział mi pewien słynny teolog, Céspedes był znany z tego, że lubił „błogosławić penisy chłopców”).

– Tutaj, na Kubie, było wiele afer pedofilskich, dużo korupcji o podłożu seksualnym, prawdziwy moralny upadek Kościoła. Ale oczywiście prasa nigdy o tym nie pisała. Rząd o wszystkim wie, ma dowody, ale nigdy ich nie wykorzystał przeciw Kościołowi.

Przechowuje je na wszelki wypadek. To tradycyjna technika szantażu stosowana przez ten reżim – mówi Veiga.

Pogłoski na temat homoseksualizmu wielu księży i biskupów z kubańskiego episkopatu są w Hawanie tak powszechnie znane, że wszystkie osoby, z którymi rozmawiałem na wyspie, przytaczały mi je ze szczegółami i nazwiskami – ponad setka świadków, w tym główni dysydenci, zagraniczni dyplomaci, artyści, pisarze, a nawet hawańscy księża.

– Na plotki trzeba uważać. Mogą pochodzić zewsząd. Nie można bagatelizować tego, że w rządzie wciąż są wrogowie Kościoła, nawet jeśli Fidel i Raúl Castro w ostatnich latach zmienili poglądy – łagodzi pan Andura, dyrektor Centro Cultural Padre Félix Varela. I jakby zaprzeczając temu, co przed chwilą powiedział, dodaje ostrożnie: – Jakkolwiek by było, homoseksualizm już od dawna nie jest na Kubie przestępstwem. Jeśli chłopcy mają skończone szesnaście lat, czyli w świetle naszego prawa osiągnęli dojrzałość płciową, jeśli robią to z własnej woli i w grę nie wchodzą zależności finansowe lub relacja władzy, nie ma problemu.

Spotykam się również z Orlando Márquezem, redaktorem naczelnym dziennika kubańskiego episkopatu „Palabra Nueva” i rzecznikiem prasowym kardynała Ortegi, dla którego pracuje od dwudziestu lat. Przystępny, inteligentny i przyjazny, nie unika żadnego pytania. Czy należało iść na kompromis z komunistycznym reżimem?

– Gdyby kardynał Ortega nie wybrał linii dialogu, na Kubie nie byłoby biskupów, to proste.

Co sądzi na temat pogłosek o orientacji homoseksualnej kardynała Ortegi?

– To bardzo stara plotka, słyszałem ją wiele razy. Wzięła się stąd, że został wysłany do obozów UMAP. Od tego się zaczęło. Czasem

ludzie mówią mi, że ja też jestem gejem, bo jestem blisko Ortegi! – dodaje Orlando Márquez, wybuchając śmiechem.

CZY KARDYNAŁ ORTEGA BYŁ INFORMOWANY o nadużyciach seksualnych w hawańskiej archidiecezji, jak sugeruje kilku dyplomatów przebywających na placówce w Hawanie? Czy ich krył? Co się dokładnie wydarzyło wśród kubańskiej hierarchii katolickiej? Cztery świadectwa z pierwszej ręki, które zebrałem, potwierdzają informację o znacznej liczbie afer obyczajowych i o tym, że ciągnęły się one latami. Po pierwsze, wypowiedź księdza, z którym spotkałem się z polecenia pewnego zachodniego dyplomaty; po drugie, słowa szefa Mesa de Diálogo de la Juventud Cubana (organizacji pozarządowej zajmującej się prawami człowieka i młodzieżą); po trzecie, wyznania małżeństwa chrześcijańskich aktywistów; i po czwarte, świadectwo pewnego kubańskiego dysydenta. Ich prawdziwość poświadczają też dobrzy znawcy Kuby w Madrycie. W Santiago de Chile rozmawiałem z dwoma bliskimi współpracownikami Fidela Castro, którzy również dostarczyli mi cennej wiedzy (Ernesto Ottone, były szef Chilijskiej Partii Komunistycznej, i Gloria Gaitán, córka słynnego kolumbijskiego lidera, który został zamordowany). W samym Watykanie trzech dyplomatów przebywających tu na placówce potwierdza, że kubański Kościół miał poważne problemy seksualne. Dokumentacja sekretariatu stanu jest bardzo poufna, ale jest znana dyplomatom papieża Franciszka, z których dwaj – „minister spraw wewnętrznych" Giovanni Angelo Becciu i ksiądz Fabrice Rivet – przebywali na placówce w Hawanie.

Sugerowano mi również, że papież Franciszek miał poprosić kardynała Ortegę o rezygnację z funkcji arcybiskupa Hawany z uwagi na jego bierność i ukrywanie tych skandali. Nie jest to jednak pewne. Guzmán Carriquiry Lecour kierujący Papieską Komisją do spraw

Ameryki Łacińskiej powiedział mi bowiem, że Jaime Ortega w chwili przejścia na emeryturę miał prawie osiemdziesiąt lat, a papież i tak już przedłużył jego posługę sporo ponad wiek kanoniczny, jest więc sprawą normalną, że jego miejsce zajął następca.

Ksiądz Fabrice Rivet, który był numerem dwa ambasady stolicy apostolskiej w Hawanie i który uczestniczył nawet w spotkaniu Benedykta XVI z Fidelem Castro w nuncjaturze, przyjmuje mnie pięciokrotnie w sekretariacie stanu, ale nie zgadza się na nagrywanie rozmów. Na temat Ortegi nie mówi złego słowa, stwierdza jednak sybillicznie: „Jest bardzo kontrowersyjny".

Kardynałowie Pietro Parolin i Beniamino Stella – pierwszy był nuncjuszem w Caracas, a drugi na Kubie – również są dobrze poinformowani o całej sytuacji; podobnie jak Tarcisio Bertone, który był na Kubie pięć razy, a jeden z jego sekretarzy, później nuncjusz Nicolas Thévenin, był tam na placówce. Zresztą Thévenin, który oczywiście także o wszystkim wiedział, przekazał mi za pośrednictwem dziennikarza Nicolasa Diata, z którym spotkałem się na obiedzie, cenne informacje na temat Ortegi, Kuby, homoseksualizmu i komunistów. Całą sprawę zna też Georg Gänswein – Thévenin był również jego sekretarzem.

Kardynał Etchegaray – rozmawiałem z nim pięć razy w jego mieszkaniu w Rzymie – który był „lotnym" ambasadorem Jana Pawła II i zna Kubę jak własną kieszeń, wypowiada się o Ortedze bardziej przychylnie, podobnie jak kardynał Jean-Louis Tauran, były „minister spraw zagranicznych" Jana Pawła II, z którym szczegółowo omawiałem te skandale obyczajowe i który twierdzi, że to „czyste spekulacje".

Inni moi rozmówcy, zarówno w Rzymie, jak i w Hawanie, są jednak mniej powściągliwi. I często wystarczy jedno przymilne pytanie oraz obietnica, że nie będą nagrywani, by zachęcić ich

do opowieści na temat obyczajów panujących w archidiecezji.

A więc po pierwsze, wśród kubańskich księży i biskupów jest imponujący procent homoseksualistów. Prawdziwa „masoneria" chroniona przez episkopat, która przestała się mieścić „w szafie" i w związku z tym zaczęła być bardzo widoczna. Jest bardzo „praktykująca". Mam okazję wysłuchać szczegółowego opisu niedzielnej mszy wieczornej w hawańskiej katedrze, która w latach dziewięćdziesiątych XX wieku stała się cenionym w stolicy miejscem gejowskiego podrywu.

Dowiaduję się też o watykańskich księżach i biskupach, którzy regularnie bywają na Kubie w charakterze turystów seksualnych, z błogosławieństwem kubańskiej hierarchii katolickiej. Odwiedziłem specjalne imprezki i kluby, do których europejscy księża przyjeżdżają na swoje „safari". Kuba jest zatem, przynajmniej od połowy lat osiemdziesiątych, ulubionym kierunkiem tych, którzy „należą do »parafii«, a jednocześnie siedzą w »szafie«".

– Na Kubie bardziej niż gdzie indziej duchowni uważają, że prawa ustanowione przez ludzi w pewien sposób ich nie dotyczą. Sądzą, że ich wyjątkowy status ich usprawiedliwia i uprawnia do stawiania się ponad powszechnie obowiązującym prawem – mówi ostrożnie Roberto Veiga.

Dowiaduję się też o przypadkach „wewnętrznych" nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych na klerykach lub młodych księżach. Część duchownych wybiera podobno usługi młodych eskortów, którzy są wykorzystywani i bardzo słabo opłacani. Jak powiedział mi bezpośredni świadek, męskie prostytutki często zaprasza się na lubieżne imprezki, na których padają wulgarne słowa: *pinga* (kutas), *friqui friqui* (pieprzyć), *maricones* (pedały) i dochodzi do upokorzeń. W przypadku odmowy uczestnictwa w tych zmysłowych agapach eskorci są zgłaszani na policję, która

systematycznie ich zatrzymuje, a duchownych zostawia w spokoju.

Męska prostytucja to na Kubie zjawisko masowe, zwłaszcza za sprawą sieci branżowych klubów i barów. Jej miejscem są również chodniki w okolicach co modniejszych lokali, takich jak Las Vegas, Humboldt 52 (dziś już zamknięty), La Gruta czy Café Cantante. Wokół Parque Central można spotkać mnóstwo męskich prostytutek, podobnie jak na Calle 23 czy na słynnej promenadzie Malecón. W sumie to nic dziwnego, że w kraju, w którym panuje powszechna korupcja, a zabezpieczenia medialne i prawne nie istnieją, Kościół katolicki spatologizował się bardziej niż gdzie indziej.

– Kardynał Ortega wie o wszystkim, co się dzieje w diecezji, nad wszystkim ma kontrolę. Ale gdyby powiedział cokolwiek na temat nadużyć seksualnych w obrębie Kościoła popełnianych przez bliskich sobie ludzi, przez biskupów, jego kariera by się skończyła. Dlatego przymyka oko – mówi mi pewien dysydent, z którym rozmawiam w Hawanie.

Podłość, przemilczenia, omerta, skandale – i to wszystko na tak niebotyczną skalę, że współpracownicy Benedykta XVI musieli dać dowód nie lada odwagi, by przed podróżą do Hawany lub w jej trakcie przekazać papieżowi informacje na ten temat. Choć ojciec święty wiedział przecież, ile „brudu” (by użyć jego określenia) jest w Kościele, wieść o tej patologii, a zwłaszcza o jej rozmiarach w hawańskiej archidiecezji, przelała czarę goryczy. Jak powiedział mi jeden ze świadków, Benedykt XVI, słuchając tej relacji, po raz kolejny zapłakał.

Według mojego informatora, który brał udział w tej wizycie, między papieżem a Ortegą, który już wcześniej miał z nim „bardzo specyficzne relacje”, zrodziło się potężne napięcie. Tym razem Benedykt XVI nie wytrzymał. Pękł. On, niezłomny i płochliwy, przez całe życie usiłował przechytrzyć zło, oto został otoczony, dosłownie

osaczony, przez księży homoseksualistów i pedofilskie afery. Czy na tym świecie nie ma już cnotliwych duchownych?

– Podróż Benedykta XVI na Kubę to był jeden wielki chaos. Papież był jak w transie, zasmucony i głęboko wstrząśnięty tym, czego się dowiedział o skali nadużyć seksualnych w kubańskim Kościele. Nie wiem, dlaczego w takich okolicznościach kontynuował wizytę. Jedno jest pewne: zaledwie tydzień po powrocie z Kuby postanowił abdykować – stwierdza Roberto Veiga w obecności jednego z moich researcherów Nathana Marcela-Milleta.

Już w Meksyku, podczas tej samej podróży, papież był rozczarowany. Ale Kuba! Kuba też?! I nie chodzi o jakieś tam nadużycia, o incydenty. To cały system. Jak sam powiedział, Kościół jest pełen „brudów", ale tutaj odkrywa, że Kościół jest skorumpowany na każdym poziomie. Zmęczony różnicą czasu i meksykańskim etapem podróży, podczas którego upadł i lekko skaleczył się w głowę, papież odczuwa fizyczny ból. Ale na Kubie zaczyna również cierpieć psychicznie. Wszyscy świadkowie potwierdzają, że to była „okropna" podróż. A nawet „prawdziwa droga krzyżowa".

Na rajskiej wyspie papież widzi rozmiary grzechu w Kościele. „W sieci Piotra są też złe ryby" – powie później zrozpaczony. Podróż na Kubę to upadek Starego Adama.

– Tak, to podczas podróży do Meksyku i na Kubę papież Benedykt XVI zaczął rozważać rezygnację – potwierdza Federico Lombardi podczas jednego z naszych pięciu spotkań w siedzibie fundacji Ratzingera (Lombardi uczestniczył w wizycie ojca świętego w Ameryce Łacińskiej).

Dlaczego castrowski reżim szczegółowo znający wszystkie afery, w które zamieszany jest kubański episkopat, nie podejmuje żadnych działań? Pytam o to Roberta Veigę.

– To potężny środek do sprawowania kontroli nad Kościołem. Nieujawnianie afer związanych z prostytucją i pedofilią to w pewnym sensie krycie Kościoła. Ale z drugiej strony również gwarancja, że Kościół, który wciąż jest na wyspie jedną z głównych sił opozycyjnych, nigdy nie stanie przeciwko reżimowi.

Po powrocie z Kuby Benedykt XVI jest wrakiem człowieka. Coś w nim pękło. Jego „wielka dusza" jest udręczona. Wszystkie kolumny świątyni wokół niego popękały.

Kilka dni później papież postanawia abdykować (ale publicznie ogłosi swoją decyzję dopiero za pół roku). W książce *Ostatnie rozmowy*, która jest jakby jego testamentem, dwukrotnie zresztą wspomina o podróży na Kubę jako decydującym momencie. Choć mówi tam tylko o zmęczeniu fizycznym i „ciężarze", jakim jest misja papieża, informacje z różnych źródeł pozwalają się domyślać, że był zszokowany tym, czego się wtedy dowiedział na temat nadużyć seksualnych. Kuba stała się więc ostatnią stacją długiej drogi krzyżowej, jaką był pontyfikat Benedykta XVI.

– UPADEK? JAKI UPADEK? TO AKT WOLNOŚCI – mówi mi zrzędliwy kardynał Poupard, kiedy go pytam o zakończenie pontyfikatu Benedykta XVI.

Rezygnacja, abdykacja, akt wolności… Jakkolwiek by było, 11 lutego 2013 roku podczas rutynowego konsystorza Benedykt XVI podaje się do dymisji. Osiem lat wcześniej podczas mszy inaugurującej pontyfikat mówił: „Módlcie się za mnie, abym się nauczył bardziej miłować Jego [Boga] trzodę – ciebie, Kościele święty, każdego z was z osobna i wszystkich razem. Módlcie się za mnie, abym nie uciekał z obawy przed wilkami"[91]. I oto wilki właśnie wzięły nad nim górę. Po raz pierwszy we współczesnym Kościele zdarza się, żeby papież ustąpił, i po raz pierwszy od czasów Awinionu w Kościele jest dwóch papieży.

Dziś trudno nam sobie wyobrazić, jakim wstrząsem była w Watykanie ta abdykacja. Dymisja Benedykta XVI, choć przygotowywana w tajemnicy od kilku miesięcy, sprawiała wrażenie nagłej. W chwili jej ogłoszenia spokojną i beztroską kurię opanowuje atmosfera jak z *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci, jakby Chrystus właśnie znowu oświadczył: „Zaprawdę, powiadam wam: jeden z was mnie zdradzi”[92]. Przerażeni kardynałowie zaniemówili, byli jak rozbite stado, a w końcu zaczęli protestować pośród chaosu, w którym miłość mieszała się z prawdą: „Chyba nie ja, Panie?” A papież, spokojny w obliczu dokonanego wyboru, zamykając w sobie swój wewnętrzny dramat, rozluźniony po tym, jak przestał ze sobą walczyć, prawie się już nie przejmuje tą obłąkaną, podłą, perwersyjną, zakłamaną i pełną intryg kurią, w której roi się od prowadzących podwójne życie ascetów, w której wilki biorą nad nim górę; po raz pierwszy triumfuje. Jego abdykacja jest niczym błysk światła, historyczny gest, który wreszcie czyni go wielkim – i jest pierwszą, a może nawet jedyną dobrą decyzją w jego krótkim pontyfikacie.

Wydarzenie było tak niesłychane, że Kościół po dziś dzień próbuje uspokoić wszystkie wzburzone fale i wstrząsy wtórne. Odtąd nic już nie będzie takie samo: abdykując, papież „zszedł z krzyża”, jak złośliwie zasugerował Stanisław Dziwisz, osobisty sekretarz papieża Jana Pawła II. Rzymski katolicyzm osiągnął swój punkt krytyczny. Zawód papież, pontyfikat to teraz niemal umowa na czas określony; trzeba będzie pomyśleć o limicie wieku; papież na powrót staje się człowiekiem takim jak inni, a jego władza, otrzymując ramy czasowe, ulega ograniczeniu.

Wszyscy zrozumieli, że przywoływana w celu wyjaśnienia tego spektakularnego gestu choroba była tylko jednym spośród jego motywów. Federico Lombardi wywoływał uśmiech na twarzach, gdy

raz po raz zabierał głos, by podkreślić, że jedynymi powodami tej historycznej decyzji były stan zdrowia ojca świętego i jego fizyczna słabość.

To prawda, w 1991 roku Joseph Ratzinger doznał udaru mózgu, w którego wyniku, jak sam opowiadał, stopniowo tracił wzrok w lewym oku. Z uwagi na chroniczne migotanie przedsionków ma też rozrusznik serca. Nie wydaje się jednak, by w latach 2012-2013 przebył jakiś nowy kryzys zdrowotny, który uzasadniałby jego abdykację. Papież nie stał nad grobem, żyje i przekroczył już dziewięćdziesiątkę. Śpiewka o zdrowiu była zbyt często powtarzana, by mogła być prawdziwa.

– Watykan wyjaśnił dymisję papieża przyczynami zdrowotnymi – to oczywiście kłamstwo, jak często bywa – stwierdza Francesco Lepore.

Niewielu spotkanych przeze mnie dziennikarzy, teologów czy nawet członków kurii rzymskiej uważa, by powodem ustąpienia Benedykta XVI było zdrowie. Po fasadowym dementi wygłaszanym zgodnie z najlepszą stalinowską tradycją nawet kardynałowie przyznawali, że chodziło też o „inne czynniki”.

Możemy więc stwierdzić, że na koniec swojej długiej drogi krzyżowej papież Benedykt XVI dał za wygraną z wielu wymieszanych lub nakładających się na siebie powodów, wśród których centralne miejsce zajmuje homoseksualizm. Wymieniłbym następujące stacje, które składają się na jego via dolorosa: zdrowie; wiek; nieumiejętność zarządzania; porażka kardynała Bertonego w reformowaniu kurii; polemiki religijne i niekompetencja komunikacyjna; ukrywanie skandali pedofilskich; zawalenie się jego teologii celibatu i czystości kapłańskiej w wyniku nadużyć seksualnych; wizyta na Kubie; Vatileaks I i raport trzech kardynałów; metodyczne podkopywanie pontyfikatu przez kardynała Sodana;

pogłoski lub możliwe pogróżki wobec Georga Gänsweina lub brata papieża Georga Ratzingera; uwewnętrzniona homofilia albo syndrom Ratzingera; i wreszcie Mozart, jako że papież, który nie lubi hałasu, z przyjemnością wrócił do pianina i muzyki poważnej, których ogromnie mu brakowało.

Sprawę procentowego udziału poszczególnych stacji drogi krzyżowej Benedykta XVI w ostatecznym zakończeniu jego pontyfikatu zostawiam tutaj otwartą. Każdy może przytoczyć własne argumenty, zweryfikować kolejność stacji lub określić wagę którejś z nich w stosunku do innej. Tutaj mogę tylko stwierdzić, że spośród tych trzynastu stacji jego pontyfikatu co najmniej dziesięć ma bezpośredni lub pośredni związek z kwestią homoseksualizmu – który był także jego osobistym dramatem.

Epilog

„NIE LUBIĘ KOBIET. TRZEBA NA NOWO WYMYŚLIĆ MIŁOŚĆ, TO WIADOME”[93]. Te sztandarowe słowa, słynne zdania z manifestu, którym był dla młodego Poety *Sezon w piekle*, zanurzone w mieszaninie „chrystycznych” i homoseksualnych porywów, mogą posłużyć za słowa przewodnie niniejszego epilogu. Miłość wymyślona na nowo to najbardziej zaskakująca obserwacja, jakiej dokonałem, pisząc tę książkę – najpiękniejsza, a zarazem najbardziej optymistyczna – i właśnie nią chciałbym zakończyć to długie dochodzenie.

W sercu Kościoła, tego pełnego zakazów świata, księża mimo wszystko przeżywają miłosne uniesienia, a czyniąc to, przedłużają gatunek i dają przyczynek do powstania nowych patchworkowych rodzin.

To, że duża część kolegium kardynalskiego i kleru jest homoseksualna, jest wciąż najgłębiej skrywaną tajemnicą. Watykan – poza tym, że powszechnie panują w nim kłamstwo i hipokryzja – jest także areną nieoczekiwanych eksperymentów: powstają w nim nowe formy życia w związku, nawiązywane są nowe relacje uczuciowe, wymyśla się nowe sposoby życia dla gejów, podejmuje się próby tworzenia przyszłych rodzin. Dawny styl bycia homoseksualistą przechodzi do lamusa.

Na podstawie przeprowadzonego przeze mnie dziennikarskiego śledztwa rysuje się pięć głównych profili księży, do których można przyporządkować większość naszych bohaterów: „szalona dziewica”, „piekielny małżonek”, „szalona z miłości”; „Don Juan” i „La

Mongolfiera”. Wszystkie te typy spotkaliśmy na stronicach tej książki; pokochaliśmy je albo znienawidziliśmy.

„Szalona dziewica” uprawia ascezę i sublimację. W tej charakterystyce mieszczą się Jacques Maritain, François Mauriac, Jean Guitton i może też kilku ostatnich papieży. Jako „spętani” homofile wybrali religię, by nie ulec ciału, i sutannę, aby uciec przed swymi popędami. Mają naturalną skłonność do „miłosnej przyjaźni”. Można sądzić, że nigdy nie przeszli do czynu, jakkolwiek jeśli chodzi o Mauriaca, to dziś wiemy, że miał intymne relacje z mężczyznami.

„Piekielny oblubieniec” jest bardziej praktykujący. Zakamuflowany czy „poszukujący” gej jest świadomy własnej homoseksualności, ale boi się nią żyć, nieustannie oscylując między grzechem a skruchą w wielkim uczuciowym zamęcie. Czasem wyłączne przyjaźnie, które nawiązuje, doprowadzają go do czynów, które z kolei wywołują głębokie kryzysy sumienia. To typ, który nigdy nie czerpie przyjemności z życia i odczuwa wieczny niepokój – do tej grupy zalicza się wielu kardynałów, których spotkaliśmy w tej książce. W przypadku obu wyżej przedstawionych modeli homoseksualizm może być praktykowany, ale nie jest tożsamością. Księża należący do tych grup nie akceptują swojej orientacji bądź nie uważają się za homoseksualistów; przeciwnie, mają tendencję do homofobii.

Jednym z najczęściej spotykanych typów jest „szalona z miłości”: w przeciwieństwie do dwóch poprzednich kategorii tutaj mamy już do czynienia z tożsamością. Modelowym reprezentantem tej grupy jest pisarz Julien Green; należy do niej też wielu kardynałów i niezliczona liczba księży z kurii rzymskiej, których spotkałem. Duchowni ci, jeśli mogą, wybierają monogamię, którą często idealizują, wraz z profitami, jakie płyną z faktu bycia wiernym. Budują trwałe relacje, prowadząc podwójne życie, nie bez „wiecznego balansowania między chłopcami, których piękno

prowadzi ich do zguby, a Bogiem, którego dobroć uwalnia ich od winy”. To hybrydy – arcykapłani i arcygeje w jednym.

„Don Juan” to typ, który ugania się za chłopcami, „panami do towarzystwa”. Niektórzy kardynałowie i biskupi, o których pisałem, są doskonałymi przedstawicielami tej kategorii. Ci nałogowi podrywacze czerpią z życia pełnymi garściami i bez kompleksów uskuteczniają zaloty, zgodnie z zasadami sztuki odhaczając kolejne podboje; czasem schodzą przy tym z utartych ścieżek. (Nazwy „szalona dziewica”, „piekielny oblubieniec” i „szalona z miłości”[94] zaczerpnąłem od Poety, a nazwę „Don Juan” z wiersza jego kochanka pod tytułem *Don Juan pipé*).

I wreszcie model „La Mongolfiera” gustujący w perwersjach i związany z branżą usług seksualnych. Do tej grupy należy odrażający kardynał o tymże przezwisku, ale także kardynałowie Alfonso López Trujillo, Platinette i kilku innych kardynałów i biskupów z kurii.

Pomijam nielicznych kardynałów, którzy są aseksualni lub naprawdę żyją w czystości. Heteroseksualistów, którzy nawiązują relacje według przedstawionych wyżej kluczy, ale z kobietami, jest wielu, lecz nie oni są tematem tej książki; natomiast seksualni zwyrodnialcy pokroju Marciala Maciela wymykają się wszelkim obiektywnym klasyfikacjom.

Jak widać, homoseksualiści w Kościele katolickim bardzo się między sobą różnią, choć zdecydowana większość watykańskich duchownych i innych bohaterów tej książki mieści się w tej czy innej grupie. Dostrzegłem dwie prawidłowości: z jednej strony większość tych kapłanów nie przeżywa „zwykłej miłości”; ich życie seksualne może być powściągane lub przesadne, „zamknięte w szafie” albo rozpasane, a czasem jedno i drugie, ale rzadko jest zwyczajne. Z drugiej strony mamy do czynienia z pewną płynnością: kategorie

nie są tak hermetyczne, jak je przedstawiłem. Obejmują one cały wachlarz, kontinuum typów i wielu księży, którzy są *gender fluid*, na przestrzeni swego życia przepływają między jedną a drugą grupą, między dwoma światami, jakby byli w stanie zawieszenia. Istnieją też kategorie, które są w Watykanie bardzo rzadkie lub całkowicie nieobecne: prawie nie ma tu prawdziwych transseksualistów, a biseksualiści stanowią bardzo niewielki procent. W watykańskim świecie LGBT niemal więc nie spotkamy przedstawicieli B ani T, a jedynie L i nieprzeliczony tłum G.

Nie wspomniałem w tej książce o lesbianizmie, ponieważ nie mogłem przeprowadzić śledztwa w tym tajemniczym świecie, do którego dostęp uzyskałaby chyba tylko kobieta, ale na podstawie licznych wypowiedzi ośmielam się wysunąć hipotezę, że żeńskie życie zakonne Gomory zdominowane jest przez tę orientację, tak jak w życiu Sodomy przeważa perspektywa gejowska.

Choć wśród katolickiego kleru homoseksualizm jest regułą, a heteroseksualizm wyjątkiem, nie oznacza to, że homoseksualizm został zaakceptowany jako zbiorowa tożsamość. Mimo że jest „domyślną" normą, stanowi bardzo zindywidualizowaną „praktykę", do tego stopnia ukrywaną i zakamuflowaną, że nie przekłada się ani na sposób życia, ani na kulturę. Homoseksualiści w Watykanie i wśród całego kleru są niezliczeni, ale nie są wspólnotą, więc tym bardziej nie tworzą lobby. Nie są gejami w ścisłym znaczeniu tego słowa, jeśli rozumiemy je jako uznaną tożsamość przeżywaną w kontekście społecznym. Mają jednak swoje punkty odniesienia i kody – kody Sodomy.

W TRAKCIE PROWADZONEGO ŚLEDZTWA obserwowałem więc wśród przedstawicieli kleru autentyczne związki miłosne, które zależnie od okoliczności mogą przybierać formę miłości ojcowskiej, synowskiej bądź braterskiej – i te przejawy „miłosnej przyjaźni" mnie

pocieszały. Związki starych kumpli? Zatwardziałych, starych kawalerów? Rzeczywiście wielu przeżywa swój homoseksualizm, z uporem i zapamiętale go praktykuje, zgodnie z pięknym przykładem opisanym przez Paula Verlaine'a: „Oto opowieść o życiu dwóch mężczyzn/ Lepszym niż życie nieprzykładnych małżonków"[95].

To fakt: kościelne zakazy zmusiły tych księży do wymyślania niesamowitych wybiegów, jeśli chcieli zaznać pięknej miłości – trochę jak w przypadku autorów teatru klasycznego, którzy osiągali literacką doskonałość zmuszeni do przestrzegania jakże ograniczającej zasady jedności czasu, miejsca i akcji.

Miłość w obliczu zakazów niektórym się udaje – za cenę niewyobrażalnych inscenizacji. Myślę teraz o pewnym słynnym kardynale, jednym z najwyżej postawionych w stolicy apostolskiej, który mieszka z mężczyzną. Prowadzimy rozmowę na nasłonecznionym tarasie jego pięknego mieszkania, trochę się zasiedzieliśmy. I nagle przybył jego towarzysz. Może rozmowa za bardzo się przedłużyła, a może mężczyzna przyszedł za wcześnie? W każdym razie wyczułem zakłopotanie kardynała, który zerknął na zegarek i szybko zakończył rozmowę, którą nas zabawiał od kilku godzin, z lubością wsłuchując się we własny głos. Odprowadzając mnie i Danielego do drzwi swojego penthouse'u, musiał dokonać prezentacji:

– Mąż mojej zmarłej siostry – wyjąkał pokrętnie, sądząc zapewne, że będę na tyle naiwny, by mu uwierzyć.

A przecież mnie uprzedzano. W Watykanie wszyscy znają sekret tego świętego człowieka. Gwardziści szwajcarscy opowiadali mi o jego kochającym przyjacielu, a księża z sekretariatu stanu żartowali z niespotykanej jak na niego trwałości związku. Zostawiłem ich w spokoju, rozbawiony udawanym dystansem, jaki przede mną

demonstrowali, a potem wyobraziłem sobie, jak siadają do wspólnego posiłku, wyjmują z lodówki przygotowane przez kucharkę danie, oglądają w kapciach telewizję i głaszczą pieska – mieszczańska para (prawie) taka jak inne.

W podobnym innowacyjnym związku żyje inny emerytowany kardynał, który dla odmiany jest w związku ze swoim sekretarzem, co również ma sporo zalet. Kochankowie mogą spędzać razem dużo czasu, nie obawiając się podejrzeń. Mogą też podróżować i wyjeżdżać na wakacje we dwóch, ponieważ mają gotowe alibi. Nikt nie może krytykować bliskości opierającej się na stosunku pracy. Czasem, co jeszcze bardziej praktyczne, sekretarze mieszkają razem z kardynałami. Temu również nikt się nie dziwi. Gwardziści szwajcarscy wyznali mi, że muszą przymykać oko na towarzystwo kardynałów, „jakiekolwiek by ono było”. Od dawna kierują się zasadą *Don’t ask, don’t tell*, która jest w Watykanie mantrą numer jeden.

Sypianie ze swoim sekretarzem osobistym jest powszechnym modelem praktykowanym w całej historii Watykanu. To klasyka: sekretarze kochankowie są tak liczni, a tendencja tak głęboko zakorzeniona, że można by z niej uczynić nowy socjologiczny wzorzec – i trzynastą regułę Sodomy: Nie próbuj się dowiadywać, kim są partnerzy kardynałów i biskupów; porozmawiaj z ich sekretarzami, asystentami i protegowanymi, a na podstawie ich reakcji poznasz prawdę.

Czyż Nietzche nie twierdził, że na małżeństwo należy patrzeć jak na długą rozmowę? Łącząc się w pary z asystentami, księża tworzą stabilne relacje, których spoiwem jest bardziej praca niż uczucia, co może wyjaśnić ich trwałość. W grę wchodzi tu bowiem również stosunek władzy. Wielu spośród tych kardynałów zawdzięcza swoje

powodzenie seksualne zajmowanemu stanowisku: potrafią podsycać i karmić ambicję swoich wybranków.

Te „układy" pozostają jednak kruche. Zrobić z kochanka swojego asystenta to trochę tak, jak spłodzić dziecko, aby ratować małżeństwo. Co się dzieje w przypadku zerwania, zazdrości, zdrady? W porównaniu z „normalnym" związkiem cena separacji jest o wiele wyższa. Porzucenie asystenta może oznaczać wiele kłopotów: plotki, zdradę, czasem szantaż. Nie mówiąc już o „transfiliacji", by użyć terminu z życia zakonnego; asystent jednego kardynała może zacząć służyć innemu kardynałowi – takiemu transferowi często towarzyszy zazdrość, a czasem nawet przemoc. Wiele watykańskich skandali i afer tłumaczą właśnie zerwania między eminencjami a ich protegowanymi.

Jedną z odmian tego modelu uosabia pewien kardynał, który kiedyś korzystał z usług płatnych eskortów, ale obecnie się ustatkował. I wziął się na sposób: wszędzie wychodzi w towarzystwie kochanka, przedstawiając go jako osobistego ochroniarza! (Prawdziwość tej anegdoty potwierdzają dwaj kapłani, a także eksksiądz Francesco Lepore). Kardynał i jego *bodyguard*! Ekstrawagancja, która wywołuje uśmiech na wszystkich twarzach w Watykanie. Nie mówiąc o zazdrości, jaką budzi ta relacja, ponieważ rzeczony kochanek to podobno prawdziwe „ciacho".

WIELU KARDYNAŁÓW I KSIĘŻY W WATYKANIE wymyśliło własną *Amoris laetitia* – nowy sposób przeżywania męskiej miłości. Nie chodzi już o coming out, obrazoburcze wyznanie uczynione na papieskiej ziemi, ale o coming home – sprowadzanie kochanka do własnego mieszkania. Rzecz, o której wszyscy wiedzą, ale nikt nie mówi. Oto nowa odsłona miłosnego układu praktykowana przez gejów na całym świecie. Czyżby księża wyprzedzili trendy środowiska LGBT? Czyżby dali początek zjawisku, które socjologowie

nazywają płynną miłością, *liquid love*?

Pewien francuski kardynał, z którym się zaprzyjaźniłem, przez długi czas był w związku z anglikańskim księdzem; inny, arcybiskup z Włoch, ma kochanka Szkota; jeden z afrykańskich kardynałów utrzymuje relację na odległość z jezuitą z Boston College, a inny ma partnera w Long Beach w USA.

Miłość? *Bromance*? *Boyfriend*? *Significant other*? *Hookup*? *Sugar daddy*? *Friends with benefits*? *Best Friend Forever*? Wszystko jest możliwe i zakazane jednocześnie. Gąszcz nazw, w którym można się pogubić. Trudno odcyfrować dokładną naturę tych związków, w których warunki miłosnej umowy ulegają nieustannym renegocjacjom, co nie zmienia faktu, że związki te są – lub były – „praktykujące”. Logikę tę w odniesieniu do związków homoseksualnych przeanalizował już Marcel Proust. Parafrazując jego przemyślenia, przedstawię czternastą i ostatnią w tej książce regułę Sodomy: Jakikolwiek byłby gatunek amorów księdza, mylimy się zawsze, jeśli chodzi o liczbę osób, z którymi jest związany, *komentujemy bowiem fałszywie przyjaźń jako związki miłosne, a to stanowi błąd w dodawaniu*[96], prócz tego zaś trudno nam sobie wyobrazić, że przyjaźń może być związkiem miłosnym, co z kolei stanowi błąd w odejmowaniu.

INNY MODEL MIŁOŚCI spotykany wśród katolickiego kleru to „adopcja”. Znam około dziesięciu przypadków, w których kardynał, arcybiskup czy ksiądz „zaadoptował” sobie chłopaka. Było tak na przykład w przypadku pewnego francuskojęzycznego kardynała, który przygarnął nielegalnego imigranta i szczególnie go ukochał. Jakże zdziwiona była policja, kiedy prowadząc śledztwo w sprawie

tego mężczyzny, dowiedziała się, że duchowny zamierza zalegalizować jego pobyt!

Z kolei pewien hiszpański kardynał adoptował swojego *amigo*, który stał się jego przybranym synem (nie przestając być kochankiem). Inny starszy kardynał, któremu składam wizytę, mieszka ze swoim młodszym „bratem", jednak zakonnice, które mieszkają w tym samym domu, szybko się zorientowały, że chodzi o kochanka, co zdradzają, nazywając go „nowym" bratem.

Pewien znany ksiądz opowiadał mi, jak „adoptował młodego Latynosa, sierotę, który sprzedawał na ulicy swoje ciało". Zaczął jako jego klient, ale relacja „szybko stała się ojcowska, oparta na wzajemnym porozumieniu i teraz nie ma już charakteru seksualnego", mówi kapłan. Młody człowiek jest dziki i nieuchwytny, a jego opiekun mówi o nim jak o własnym synu, którym w oczach prawa rzeczywiście się stał.

– Ta relacja mnie uczłowieczyła – oświadcza mój rozmówca.

Chłopak był bardzo aspołeczny i „niepewny"; ich relacja była więc usiana pułapkami, a narkomania wcale nie była największą z nich. On także otrzymał prawo do legalnego pobytu po niezliczonych trudnościach administracyjnych, które ksiądz wspomina podczas naszych rozmów w ich wspólnym domu. Wspiera młodego przyjaciela, uczy go nowego języka i pomaga mu stawiać pierwsze kroki w zdobywaniu wykształcenia, które ułatwi mu znalezienie pracy. Chcieć ofiarować lepsze życie obcemu człowiekowi – cóż za szlachetne i szalone marzenie!

Na szczęście były pracownik seksualny, który nie ma już nic poza własną historią, zmienia się na lepsze. Zamiast coming outu ksiądz ofiaruje swojemu podopiecznemu coming of age – możliwość stania się dorosłym. Kapłan się nie śpieszy. Nie wywiera żadnej presji na przyjaciela, który robi wiele głupstw: raz nawet groził spaleniem

ich wspólnego mieszkania. Wie, że nigdy nie porzuci swojego syna, który z kochanka stał się jego przyjacielem, a uczucie, jakim go darzy, nie jest wynikiem więzów krwi, ale wybranego ojcostwa.

Ta bezinteresowna, pełna inwencji więź jest oparta na poświęceniach i prawdziwej miłości, które budzą podziw.

– Nawet mojej siostrze z początku trudno było sobie wyobrazić, że chodzi o prawdziwą relację ojcowską, ale jej córki nie miały żadnego problemu z przyjęciem nowego kuzyna – opowiada ksiądz.

Mówi też, że za sprawą kontaktu z przyjacielem dużo się nauczył i bardzo się zmienił. A kiedy opowiada o swoim towarzyszu, ma tak piękne oczy, że z ich spojrzenia odgaduję, iż ta relacja przywróciła jego życiu utracony sens.

TE POSTGEJOWSKIE PRZYJAŹNIE wymykają się wszelkim klasyfikacjom. W pewien sposób korespondują z tym, o czym pisał Michael Foucault w swoim słynnym tekście *De l'amitié comme mode de vie* (O przyjaźni jako sposobie życia). Filozof homoseksualista pyta: Jak to możliwe, żeby mężczyźni byli razem? Jak mogą razem iść przez życie, spędzać czas, jeść posiłki, dzielić jeden pokój, mieć wspólne rozrywki, smutki, dzielić się wiedzą, zwierzeniami? Czym jest dla mężczyzn takie bycie „obnażonym", poza relacjami instytucjonalnymi, rodzinnymi, zawodowymi, sytuacjami przymusowego koleżeństwa? Jakkolwiek zaskakujące może się to wydawać, księża i duchowni właśnie wymyślają te nowe formy rodziny, nowy kształt postgejowskiej miłości, nowe sposoby życia, które wyobrażał sobie filozof zmarły ponad trzydzieści lat temu na AIDS.

Księża, którzy najczęściej wcześnie wyprowadzają się od rodziców, od młodości muszą się uczyć życia w męskim gronie: tworzą sobie w ten sposób inną „rodzinę". Bez krewnych, bez bliskich – te nowe struktury solidarności stanowią nieopisany konglomerat przyjaciół,

podopiecznych, kochanków, kolegów, byłych kochanków, do których czasem dołącza czyjaś stara matka lub będąca przejazdem siostra. Miłości i przyjaźnie mieszają się ze sobą niejednokrotnie w bardzo oryginalny sposób.

Pewien ksiądz, z którym spotkałem się w mieście położonym nad Atlantykiem, opowiedział mi swoją historię. Włoscy katolicy dobrze go znają, ponieważ był anonimowym bohaterem książki *La Confessione* (wznowionej później pod tytułem *Io, prete gay*), opowieści o życiu homoseksualisty w Watykanie opublikowanej w roku 2000 przez dziennikarza Marco Politiego.

Ksiądz ten, dziś siedemdziesięcioczterolatek, zechciał zabrać głos tutaj po raz pierwszy od wydania *La Confessione*. Ujęła mnie jego prostota, wiara, życzliwość i umiłowanie życia. Kiedy mi opowiada o swoich historiach miłosnych, o mężczyznach, których kochał – a nie tylko pożądał – ani przez chwilę nie czuję, by ucierpiała na tym jego wiara. Przeciwnie, widzę, że jest wierny swoim wyborom, a w każdym razie uczciwszy niż wielu biskupów i kardynałów z Rzymu, którzy za dnia głoszą czystość, a nocą „katechizują" męskie prostytutki.

Ksiądz przeżył piękne miłości. Opowiada mi o trzech mężczyznach, którzy byli dla niego ważni. Kimś takim był zwłaszcza argentyński architekt o imieniu Rodolfo.

– Rodolfo zmienił bieg mojego życia – mówi po prostu.

Mężczyźni przez pięć lat żyli razem w Rzymie – w tym czasie ksiądz zawiesił swoją posługę kapłańską, poprosiwszy wcześniej o urlop, by nie łamać ślubu czystości, mimo że w dalszym ciągu codziennie pracował w Watykanie. Wbrew temu, co można by sądzić, ich związek nie opierał się przede wszystkim na seksie. Zasadniczym powodem ich bycia razem był intelektualny i kulturowy dialog, hojność i czułość, zgodność charakterów – wszystko to liczyło się

w równym stopniu jak wymiar fizyczny.

– Dziękuję Bogu, że dał mi spotkać Rodolfo. Przy nim nauczyłem się, co to naprawdę znaczy kochać. Nauczyłem się odpuszczać sobie wszystkie te piękne gadki, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością – przyznaje kapłan.

I dodaje, że choć utrzymywał swój długi związek w dyskrecji, to go nie ukrywał: mówił o nim spowiednikom i kierownikowi duchowemu. Wybrał rzadko spotykaną w Watykanie uczciwość i odrzucił „kłamstwa [...] miłości”[97]. Oczywiście jego kariera na tym ucierpiała, ale stał się lepszym i bardziej pewnym siebie człowiekiem.

Spacerujemy brzegiem wcinającej się w głąb lądu zatoki Atlantyku. Mój rozmówca, który poświęcił całe popołudnie, by pokazać mi miasto, w którym mieszka, nie przestaje mówić o Rodolfo, swojej wielkiej, kruchej i odległej miłości, tak że zaczynam rozumieć, iż kapłan postrzega tę relację jako swoiste przeznaczenie. Później wysyła do mnie długie listy, w których szczegółowo opisuje sprawy, o których nie zdążył mi powiedzieć, doprecyzowuje, dodaje pewne detale. Tak bardzo się obawia, że zostanie źle zrozumiany.

Po długiej chorobie Rodolfo umiera w Rzymie i kapłan wybiera się na jego pogrzeb. W samolocie przeżywa wewnętrzny zamęt, a nawet paraliż, zastanawiając się, czy będzie „musiał”, „mógł” czy „chciał” koncelebrować mszę w intencji byłego kochanka.

– Kiedy nadeszła wyznaczona godzina, kapłan, który miał odprawiać, się nie pojawił. To był znak z nieba. Ponieważ czas mijał, poproszono mnie, żebym go zastąpił. I tak krótki tekst, który naskrobałem podczas podróży na pogrzeb Rodolfo, stał się homilią.

Ksiądz przesłał mi ten tekst, ale nie przytoczę go, ponieważ jest tak osobisty i poruszający, że jego opublikowanie byłoby jakimś skalaniem tajemnic tej pięknej miłości. Mówi o długo skrywanej bliskości, która jednak została ujawniona, a nawet wykrzyczana

w obecności wszystkich zgromadzonych na mszy pogrzebowej w rzymskim kościele.

W SAMYM WATYKANIE żyły dwie legendarne homoseksualne pary, a ich wspomnienie wciąż trwa w pamięci tych, którzy je znali. Na zakończenie tej książki chciałbym opowiedzieć właśnie o nich. Obie pracowały w Radiu Watykańskim, medium, które jest *par excellence* głosem stolicy apostolskiej i papieża.

– Bernard Decottignies był dziennikarzem Radia Watykańskiego. Prawie wszyscy jego koledzy wiedzieli, że żyje z artystą malarzem Dominikiem Lomré. Obydwaj byli Belgami. Byli ze sobą niewiarygodnie blisko związani. Bernard pomagał Dominique'owi przy wszystkich wystawach, zawsze dodawał mu otuchy, wspierał go, kochał. Dominique zawsze był dla niego najważniejszy. Bernard poświęcił dla niego swoje życie – opowiada podczas naszych licznych rozmów Romilda Ferrauto, była redaktorka naczelna francuskiego programu Radia Watykańskiego.

Ojciec José Maria Pacheco, z którym spotykam się w Portugalii, wieloletni redaktor luzofońskiego programu Radia Watykańskiego i przyjaciel obu mężczyzn, potwierdza wyjątkowość ich relacji:

– Pamiętam spokój i profesjonalizm Bernarda. Jeszcze dziś uderza mnie „normalność", z jaką na co dzień traktował swoje życie zawodowe i związek miłosny z Dominikiem. Zapamiętałem Bernarda jako człowieka, który przeżywał swoją orientację homoseksualną i relację miłosną bez niepokoju i bez walki z kimkolwiek. Nie chciał ani rozgłaszać, ani ukrywać faktu, że jest gejem, po prostu dlatego, że nie miał nic do ukrycia. To było takie proste i na swój sposób takie normalne. Przeżywał swój homoseksualizm spokojnie, harmonijnie i z godnością właściwą pięknej, stabilnej miłości.

W roku 2014 Dominique zmarł, podobno na niewydolność oddechową.

– Od tamtej chwili Bernard nie był sobą. Jego życie straciło sens. Był na zwolnieniu lekarskim, potem zachorował na depresję. Któregoś dnia przyszedł się ze mną spotkać i powiedział: „Nie rozumiesz, w chwili śmierci Dominique'a moje życie się zatrzymało" – mówi Romilda Ferrauto.

– Wraz ze śmiercią Dominique'a stało się coś nieodwracalnego – potwierdza ojciec José Maria Pacheco. – Na przykład Bernard przestał się golić i jego długa broda stała się jakby znakiem jego nieszczęścia. Kiedy się z nim spotykałem, widziałem, że jest zdruzgotany, że ból pożera go od środka.

W listopadzie 2015 roku Bernard popełnił samobójstwo, znowu pogrążając Watykan w osłupieniu i smutku.

– Wszyscy byliśmy zszokowani. Ich miłość była taka silna. Bernard popełnił samobójstwo, bo bez Dominique'a nie potrafił już żyć – dodaje Ferrauto.

Amerykański dziennikarz Robert Carl Mickens, który również przez długi czas pracował w Radiu Watykańskim, przypomina sobie moment śmierci Bernarda:

– Ojciec Federico Lombardi, rzecznik papieża, zażyczył sobie osobiście odprawić mszę pogrzebową za Bernarda w kościele Santa Maria in Traspontina. Na koniec podszedł do mnie i mnie przytulił, ponieważ byłem bliskim przyjacielem Bernarda. Wszyscy, łącznie z ojcem Lombardim, wiedzieli o tej silnej, homoseksualnej miłości, jaka ich łączyła.

Romilda Ferrauto dodaje:

– Bernard, na ile tylko mógł, starał się nie ukrywać swojego homoseksualizmu. Był w tym uczciwy i odważny. Większość osób, które wiedziały, akceptowała jego orientację, w redakcji francuskiej znaliśmy też jego partnera.

W Radiu Watykańskim znana też była inna para: Henry

McConnachie i Speer Brian Ogle. Obaj pracowali w redakcji angielskiej. Kiedy umarli – ze starości – Watykan specjalnie uczcił ich pamięć.

– Henry i Speer mieszkali razem w Rzymie od lat sześćdziesiątych. Stanowili bardzo barwną parę, ale ich związek nie był tak naprawdę „jawnie gejowski”. Należeli do innego pokolenia, które ceniło sobie pewną dyskrecję. Powiedzmy, że byli dżentelmenami – mówi Robert Carl Mickens, który był bliskim przyjacielem Henry’ego.

Kardynałowi Jeanowi Louisowi Tauranowi zależało, by osobiście odprawić pogrzeb Henry’ego McConnachiego, którego znał od dawna; wiedział też o tym, że Henry był gejem.

– Prawie wszyscy wiedzieli o homoseksualizmie tych dwóch par i obie miały w Radiu Watykańskim wielu przyjaciół. Jeszcze dziś wspominamy je z ogromną czułością – podsumowuje Romilda Ferrauto.

*

ŚWIAT, KTÓRY OPISAŁEM W TEJ KSIĄŻCE, NIE JEST MÓJ. Nie jestem katolikiem. Nie jestem nawet wierzący, choć uznaję wagę katolickiej kultury w moim życiu i w historii mojego kraju, trochę jak Chateaubriand, który mówił o „geniuszu chrześcijaństwa”. Nie jestem też antyklerykałem, a moja książka nie jest wymierzona w katolicyzm – wbrew pozorom jest ona przede wszystkim i nade wszystko krytyką dość specyficznej społeczności gejowskiej, a także mojej własnej społeczności.

Dlatego uznałem, że warto, abym w epilogu wspomniał o pewnym kapłanie, który w czasach mojej młodości wywarł na mnie duży wpływ. Rzadko w moich książkach opowiadam o sobie, ale wszyscy zrozumieją, że tutaj, z uwagi na temat, jest to konieczne. Jestem czytelnikowi winien uczciwość.

Prawdę mówiąc, do trzynastego roku życia byłem chrześcijaninem. W tamtych czasach, jak to się mówi, „wszyscy byli katolikami". To było niemal banalne zjawisko kulturowe. Mój ksiądz miał na imię Louis. Mówiło się o nim po prostu „ksiądz Louis" albo częściej „ojciec Louis". Pewnego ranka przybył do naszej parafii pod Awinionem na południu Francji. Miał bardzo obfitą brodę i przypominał postać z obrazów El Greca. Skąd przyjechał? Wtedy tego nie wiedziałem. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy tego prowansalskiego miasta przyjęliśmy owego „misjonarza", zaakceptowaliśmy i pokochaliśmy. To był zwykły ksiądz – wikary, nie proboszcz, żaden prałat ani urzędnik kultu. Był młody i sympatyczny, dzięki niemu Kościół zyskiwał piękne oblicze.

Był też postacią paradoksalną. Z tego, co wiedzieliśmy, wynikało, że był arystokratą belgijskiego pochodzenia i intelektualistą, a jednak używał prostego języka ubogich ludzi. Zwracał się do nas po imieniu i palił fajkę. Traktował nas trochę jak własną rodzinę.

Nie otrzymałem katolickiego wykształcenia: poszedłem do publicznego świeckiego gimnazjum i liceum, które we Francji na szczęście trzymają się z dala od religii, i jestem za to wdzięczny moim rodzicom. Rzadko chodziliśmy na mszę, która wydawała nam się okropnie nudna. Między pierwszą a drugą komunią[98] stałem się jednym z ulubieńców księdza Louisa, może nawet jego pupilkiem, tak że moi rodzice poprosili go, żeby został świadkiem mojego bierzmowania. Być przyjacielem księdza – osobliwe i ważne doświadczenie w okresie, gdy zaczynałem już być raczej krytyczny wobec religii, myślałem jak Poeta: „Ach, jakie to niemądre, wiejski kościół podły", gdzie dzieci wsłuchują się w „gadatliwe modły"[99].

Byłem tradycyjnym katolikiem. Nigdy nie byłem „niewolnikiem swojego chrztu"[100]. Ale ojciec Louis był genialny. Byłem zbyt roztargniony, żeby móc zostać ministrantem, pamiętam nawet,

że z powodu złego zachowania zostałem wyrzucony z lekcji religii. Mój ksiądz się o to nie obrażał, wręcz przeciwnie. Uczenie dzieci w szkółce niedzielnej? Życie między zakrystią a wiejskim kiermaszem? Byłem młodym Rimbaudem szukającym nowych horyzontów, a księdza, tak jak nas, pociągały szerokie przestrzenie. Za jego zachętą dołączyłem do duszpasterstwa, które prowadził, i przez pięć czy sześć lat przeżywaliśmy tam prawdziwą przygodę. To było zwykłe „cywilne" duszpasterstwo, nie żadne harcerstwo ani skauting. Zaraził mnie pasją do podróży i nauczył wspinaczki (wspinałem się związany z nim jedną liną). Pod pretekstem rekolekcji wyjeżdżaliśmy na obozy młodzieżowe, na wycieczki rowerowe albo piesze wędrówki: w Alpy Prowansalskie, na Calanques w pobliżu Marsylii, w okolice góry Lure w Górnej Prowansji czy wreszcie w wysokie góry, gdzie spaliśmy pod namiotami albo w schroniskach, wspinaliśmy się na wysokość powyżej czterech tysięcy metrów, zdobywając Dôme de neige des Écrins. A wieczorami, przebywając z dala od rodziny, zacząłem czytać książki, które być może w celach ewangelizacyjnych polecał nam bez zbytniego nalegania nasz rozmiłowany „w niezbyt uprzejmej lekturze"[101] duszpasterz.

Dlaczego został księdzem? W tamtych czasach niewiele wiedzieliśmy o życiu Louisa „przed". Był tajemniczy. Co robił, zanim się pojawił w naszej parafii? W trakcie pisania tej książki usiłowałem odszukać jego ślad, zwracając się do jego przyjaciół. Przeprowadziłem kwerendę w diecezjalnych archiwach i udało mi się dość precyzyjnie zrekonstruować drogę, którą przeszedł od Lusambo w Zairze (w tamtych czasach było to Kongo Belgijskie), gdzie się urodził w 1941 roku, aż do Awinionu.

Przypominam sobie prozelityzm kulturalny i „katechizm rozrywek" księdza Louisa. Pod tym względem był – na co wskazuje już samo

przytoczone wyżej sformułowanie – jednocześnie postępowcem i tradycjonalistą. Był miłośnikiem literatury i sztuki, kochał śpiewy gregoriańskie i kina studyjne. Zabierał nas na filmy dotykające ważnych tematów, by później dyskutować z nami o samobójstwie, aborcji, karze śmierci, eutanazji czy pokoju na świecie (wydaje mi się, że nigdy nie poruszaliśmy kwestii homoseksualizmu). Był gotów rozmawiać o wszystkim otwarcie, bez tabu i bez uprzedzeń. Ale jako absolwent studiów teologicznych i prawniczych – Louis zwieńczył swoją edukację dyplomem z prawa kanonicznego Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie – był doskonałym dyskutantem. Był jednocześnie dziedzicem Soboru Watykańskiego II z jego nowoczesnością oraz spadkobiercą konserwatywnej wizji Kościoła, w związku z czym odczuwał tęsknotę za łaciną i uroczystymi strojami. Uwielbiał Pawła VI; Jana Pawła II już nieco mniej. Był zwolennikiem odnowionego katechizmu, który wprowadzał ferment w tradycji, ale upierał się przy nierozerwalności małżeństwa, tak że niektórym rozwiedzionym parom odmawiał komunii. Efekt był taki, że swoimi wewnętrznymi sprzecznościami i wolnością ducha zaskakiwał awiniońskich parafian.

Dla jednych był księdzem robotnikiem, więc miejscowa burżuazja oskarżała go o sympatyzowanie z komunizmem; dla innych – uwielbianym wiejskim proboszczem; dla wszystkich zaś wykształconym kapłanem, budzącym jednocześnie podziw i zazdrość, ponieważ wieśniacy zawsze są nieufni wobec miastowych, którzy czytają książki.

Zarzucano mu, że jest „wyniosły”, to znaczy inteligentny. Jego pełna ironii radość życia budziła niepokój. Jego antyburżuazyjne wychowanie, które sprawiało, że gardził pieniędzmi, próżnością i ostentacją, nie podobało się praktykującym katolikom, którzy uważali, że jak dla nich jest po prostu zbyt „duchowy”.

Z podejrzliwością patrzono na jego (zbyt liczne) podróże i nowe pomysły, z którymi wracał. Mówiło się, że ma „ambicje”, wieszczono, że któregoś dnia zostanie biskupem albo nawet kardynałem. Człowieka, który przypominał raczej Balzakowskiego Luciena de Rubempré niż Rastignaca, błędnie uważano w naszej parafii za karierowicza. Przypominam sobie też, że w przeciwieństwie do wielu księży nie był mizoginem i dobrze się czuł w towarzystwie kobiet. Czy to dlatego wkrótce zaczęto opowiadać, że ma kochankę w osobie pewnej miejscowej aktywistki społecznej? Gdy dziś rozmawiam z tą rzekomą kochanką, kobieta się śmieje. Wypominano mu też – jak coś takiego w ogóle można wypominać? – jego gościnność, która była jego ważną aktywnością, jako że udzielał schronienia ubogim, wykluczonym i cudzoziemcom czasowo przebywającym na terenie parafii. I wreszcie, o czym wtedy nie wiedziałem, przypisywano mu utrzymywanie relacji wbrew naturze z marynarzami z portu w Tulonie. Opowiadano, że gania po świecie w poszukiwaniu przygód. Śmiał się z tego wszystkiego, a swoją rzekomą teściową witał w parafii gromkim: „Dzień dobry, mamusiu!”.

Parafrazując Chateaubrianda i jego piękny portret księdza Rancé, można powiedzieć, że „ta religijna rodzina skupiona wokół [księdza Louisa] miała w sobie czułość rodziny naturalnej i coś jeszcze”.

Dla mnie dialog z Bogiem – i z ojcem Louisem – skończył się z chwilą przekroczenia progu liceum w Awinionie. Nigdy nie znienawidziłem katolicyzmu, po prostu o nim zapomniałem. Ewangelie, których tak naprawdę nigdy nie przeczytałem, zastąpili Rimbaud, Rousseau i Voltaire (przy czym w przypadku Voltaire’a nie chodziło o hasło „Écrasez l’infâme!”, ale raczej o *Kandyda*, w którym jezuici są gejami). Silniej niż w Biblię wierzę w literaturę – wydaje mi się bardziej godna zaufania, jej stronice są nieskończenie piękniejsze

i ostatecznie bardziej realistyczne.

Nadal więc wytrwale odwiedzałem w Awinionie kaplicę pokutników szarych, klasztor Karmelitów, kaplicę pokutników białych, ogród Urbana V, klasztor Celestynów, a przede wszystkim główny dziedziniec Pałacu Papieskiego, ale nie chodziło już o słuchanie chrześcijańskich nauk, lecz o oglądanie pogańskich spektakli. W XIV wieku Awinion był, jak wiadomo, stolicą chrześcijaństwa i siedzibą papiestwa – rezydowało w nim dziewięciu papieży (a ja zgodnie z awiniońską tradycją noszę jako drugie imię Klemens po trzech tutejszych papieżach, z których jeden był antypapieżem!). Jednak dla większości współczesnych Francuzów dzisiejszy Awinion jest czymś zgoła innym: stolicą świeckiego teatru. Moje ewangelie to teraz *Hamlet* i *Anioły w Ameryce* i nie boję się napisać, że *Don Juan* Moliera jest dla mnie ważniejszy niż Ewangelia według świętego Jana. Wymieniłbym całą Biblię na Szekspira, a jedna strona Rimbauda jest dla mnie więcej warta niż cała twórczość Josepha Ratzingera! Nigdy zresztą nie trzymałem w szufladzie szafki nocnej żadnej biblii, za to przechowywałem tam *Sezon w piekle* z kolekcji Plejady na biblijnym papierze. Niewiele mam książek z tej pięknej serii, ale *Oeuvres complètes* Rimbauda zawsze mam w zasięgu ręki obok łóżka na wypadek bezsenności czy koszmarów. To jest moja reguła życia.

Formacja religijna, dziś już rozmyta, zostawiła jednak po sobie pewne ślady. W Paryżu na swój sposób kultywuję prowansalską tradycję, która polega na tym, że na każdą Gwiazdkę przygotowuje się szopkę z figurkami Carbonela kupionymi na targu bożonarodzeniowym w Marsylii (a wieczorem je się słynne „trzynaście deserów"). Chodzi jednak o „kulturowe", „świeckie" Boże Narodzenie, „Boże Narodzenie na ziemi"[102], jak mówi Poeta. Przez kilka lat współpracowałem też z pismem „Esprit", a moje gusta

kinematograficzne ukształtowały się na podstawie myśli katolickiego krytyka André Bazina. Choć jako czytelnik Kanta, Nietzschego i Darwina oraz syn raczej Rousseau i Kartezjusza niż Pascala – cóż, jestem Francuzem! – nie mogę już dzisiaj być człowiekiem wierzącym ani nawet „chrześcijaninem kulturowym", szanuję kulturę chrześcijańską, czyli kulturowy „geniusz chrześcijaństwa". I bardzo mi się podoba sformułowanie, jakiego użył francuski premier, który powiedział o sobie: „Jestem protestanckim ateistą". Powiedzmy więc, że ja jestem „katolickim ateistą", ateistą o kulturze katolickiej. Albo inaczej, powiedzmy, że jestem „rimbaudzistą".

W mojej parafii pod Awinionem (którą Louis również opuścił, gdy w roku 1981 został mianowany proboszczem w innym prowansalskim mieście) katolicyzm zgasł. By zacytować Poetę, „ksiądz zabrał pewno klucz od kościoła"[103]. Do Kościoła, który nie potrafił pójść z duchem czasu: uparł się na celibat księży, który – jak dziś dobrze wiemy – jest głęboko przeciwny naturze, i zabronił dostępu do sakramentów rozwiedzionym, choć większość rodzin z mojego miasteczka to rodziny zrekonstruowane. Jak kiedyś w każdą niedzielę były tu trzy msze, a w parafii było trzech księży, tak teraz msza jest raz na trzy tygodnie, a ksiądz – zresztą pochodzący z Afryki – kursuje między parafiami na tych południowych peryferiach Awinionu, które stały się katolicką pustynią. We Francji w każdym roku umiera około ośmiuset kapłanów, a wyświęcanych jest stu. Katolicyzm powoli znika…

Dla mnie również katolicyzm stanowi zamknięty rozdział, bez urazy i pretensji, bez wrogości i antyklerykalizmu – nie mam w sobie „nienawiści do kleru", o której mówił Flaubert. Ojciec Louis również wkrótce odszedł.

Dowiedziałem się o jego śmierci, kiedy mieszkałem już w Paryżu, i odejście mojego księdza – jeszcze w młodym wieku, miał

pięćdziesiąt trzy lata – strasznie mnie zasmuciło. Chciałem go uczcić, napisałem więc krótki tekst do lokalnej wkładki dziennika „Le Provençal" (dziś „La Provence") opublikowany anonimowo pod tytułem *Śmierć ojca Ludwika*. Niedawno znalazłem ten artykuł: na jego końcu dość naiwnie przywołałem włoski film *Cinema Paradiso* i starego kinooperatora Sycylijczyka Alfreda, który uczył życia małego ministranta Toto, a ten dzięki parafialnej sali kinowej wyrwał się z miasta, wyjechał do Rzymu i został reżyserem. W ten sposób pożegnałem Louisa. Ale po ponad dwudziestu pięciu latach miałem trafić na niego ponownie.

KIEDY KOŃCZYŁEM PISAĆ TĘ KSIĄŻKĘ, ojciec Louis, którego ślad utraciłem przed wielu laty, nagle w sposób nieoczekiwany znowu wkroczył do mojego życia. Jedna z jego przyjaciółek, parafianka o postępowych poglądach, z którą pozostawałem w kontakcie, postanowiła mi opowiedzieć o jego życiu. Mieszkałem w Paryżu, daleko od Awinionu, i nic o nim nie wiedziałem; zresztą także w parafii nikt nie znał jego sekretów. Louis był homoseksualistą. Prowadził podwójne życie, co z perspektywy minionego czasu nadaje sens niektórym jego paradoksom czy niejednoznacznościom. Jak wielu księży usiłował pogodzić ze sobą wiarę i orientację seksualną. Kiedy wspominam tego nietypowego księdza, którego tak bardzo kochaliśmy, wydaje mi się, że trawił go jakiś wewnętrzny ból, jakaś udręka. Możliwe jednak, że wrażenie to jest wyłącznie efektem świeżo zdobytej wiedzy.

Dowiedziałem się też, jakie były okoliczności jego śmierci. W życiorysie Louisa, który przesłano mi z diecezji, kiedy szukałem jego śladów, napisane jest oszczędnie: „W latach 1992-1994 emerytura w domu księży emerytów w Aix-en-Provence". Z rozmów z jego przyjaciółmi dowiedziałem się jednak prawdy: Louis umarł na AIDS.

W okresie, gdy choroba ta była prawie w stu procentach

śmiertelna, na krótko – niestety! – przed wynalezieniem skutecznej terapii, Louis przebywał najpierw w Instytucie Paoli-Calmettes w Marsylii, szpitalu, który jako pierwszy zajmował się leczeniem AIDS, a następnie w klinice geriatrycznej Villeneuve w Aix-en-Provence, gdzie opiekowały się nim siostry szpitalne od Świętego Tomasza[104]. Tam właśnie odszedł, „rozpaczliwie oczekując”, jak się dowiedziałem, terapii, która nie pojawiła się na czas. Nigdy tak naprawdę nie mówił o swoim homoseksualizmie i kwestionował naturę swojej choroby. Opuściła go większość kolegów, którzy z pewnością o wszystkim wiedzieli. Okazanie solidarności mogło oznaczać opowiedzenie się po stronie księdza geja i być może groziło ściągnięciem na siebie podejrzeń. Władze diecezji wolały ukryć przyczyny jego śmierci, a większość księży, którzy wcześniej się z nim spotykali, teraz, gdy był przykuty do łóżka, omijała go szerokim łukiem. Próbował się z nimi kontaktować, ale nie otrzymywał odpowiedzi. Prawie nikt go nie odwiedzał. (Jeden z nielicznych kapłanów, którzy zostali z nim do końca, zastanawia się, czy ten dystans nie był decyzją samego Louisa. Kardynał Jean-Pierre Ricard, kiedyś wikariusz generalny archidiecezji Marsylii, a obecnie arcybiskup Bordeaux, z którym rozmawiam przy obiedzie, przypomina sobie ojca Louisa, ale mówi, że nie pamięta szczegółów jego śmierci).

– Odszedł niemal samotnie, opuszczony przez prawie wszystkich, w ogromnych cierpieniach. Nie chciał umierać. Buntował się przeciwko śmierci – mówi pewna kobieta, która towarzyszyła mu do końca życia.

Myślę dziś o cierpieniu tego samotnego człowieka odrzuconego przez Kościół – jego jedyną rodzinę – którego wyparła się diecezja, a biskup trzymał na dystans. Wszystko to działo się za pontyfikatu Jana Pawła II.

AIDS? Ksiądz chory na AIDS? „Potrzeba mi było wielkiego napięcia uwagi, żeby wyobrazić sobie, iż mam umrzeć na chorobę istotnie rzadko spotykaną u osób w moim wieku. Musiałem po prostu zmarszczyć brwi jak przy oznajmieniu trudnego zagadnienia”[105]. Pamiętamy reakcję młodego wiejskiego proboszcza – z pięknej książki Bernanosa i cudownego filmu Bressona – na wieść, że choruje na raka żołądka. I dalej: „Nic nie pomoże powtarzanie sobie, że nic się we mnie nie zmieniło od tygodnia, myśl, że wrócę do domu z... no, z tą rzeczą, budzi we mnie wstyd, wstręt”[106]. Nie wiem, czy Louis podczas swojej drogi krzyżowej miał takie myśli. Nie wiem, czy w całej swojej kruchości i strapieniu uważał i myślał tak jak ksiądz z powieści Bernanosa: „Bóg opuścił mnie”[107].

Tak naprawdę Louis nigdy nie był „wiejskim proboszczem”, jak na to wskazuje podtytuł zbioru jego homilii. Porównanie z proboszczem Bernanosa, który szuka wsparcia w łasce, jest więc nieco mylące. Louis nie miał zwykłego, skromnego życia. Był arystokratą. Przebył odwrotną drogę niż ta obierana przez wielu kościelnych dostojników pochodzących z ubogich rodzin, którzy kończą życie pośród watykańskich luksusów i rozpusty. On zaczął wśród arystokracji, a skończył jako duszpasterz prostych ludzi. I wiem, że w tym zwrocie – w obu przypadkach – pewną rolę odegrał homoseksualizm.

Jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, że Kościół pozostał obojętny na drogę krzyżową Louisa. To, że jego cierpienie na wzór Chrystusa, jego zła krew, plamy, omdlenia nie wywołały w diecezji żadnego oddźwięku, pozostaje dla mnie tajemnicą i skandalem. Aż się trzęsę, gdy o tym myślę.

Jedynie cudownie oddane zakonnice aż do śmierci Louisa latem 1994 roku otaczały go swoją anonimową miłością. Obrzędy pogrzebowe w końcu zgodził się odprawić pewien biskup. Następnie

Louis został skremowany w Manosque w departamencie Alpes-de-Haute-Provence (w tamtych czasach kosmetyka pośmiertna była w przypadku zmarłych na AIDS zakazana, a procedurą z wyboru była kremacja).

Zgodnie z jego życzeniem kilka dni później prochy zostały dyskretnie wrzucone do morza z pokładu małej łodzi, którą kupił pod koniec życia. Scenę tę opisały mi dwie spośród czterech kobiet, które wykonały ostatnią wolę Louisa. Działo się to kilka kilometrów od Marsylii, na wysokości Calanques, gdzie byłem z nim kilka razy. A mówi się, że w tym regionie, w tym cudownym „kraju", jakim jest południe Francji – nazywane u nas Midi – jedynym zdarzeniem godnym uwagi są burze.

Źródła

Niniejsza książka prezentuje wyniki śledztwa dziennikarskiego prowadzonego przez cztery lata we Włoszech i ponad trzydziestu innych krajach. Na jej potrzeby przeprowadzono w sumie 1500 rozmów z 41 kardynałami, 52 biskupami, z 45 nuncjuszami apostolskimi, sekretarzami nuncjatur bądź zagranicznymi ambasadorami, z 11 gwardzistami szwajcarskimi i ponad 200 księżmi i seminarzystami. Większość informacji zawartych w tej książce pochodzi więc z pierwszej ręki i została osobiście zebrana przez autora w terenie (żadnego z wywiadów nie przeprowadzono drogą telefoniczną ani e-mailową).

Większość spośród 41 kardynałów, z którymi się spotkałem – odbywając z nimi w sumie ponad 130 rozmów – to członkowie kurii rzymskiej. Oto ich lista: Angelo Bagnasco, Lorenzo Baldisseri, Giuseppe Betori, Darío Castrillón Hoyos †, Francesco Coccopalmerio, Stanisław Dziwisz, Roger Etchegaray, Raffaele Farina, Fernando Filoni, Julián Herranz Casado, Juan Sandoval Íñiguez, Walter Kasper, Dominique Mamberti, Renato Raffaele Martino, Laurent Monsengwo Pasinya, Gerhard Ludwig Müller, Juan José Omella y Omella, Jaime Ortega, Carlos Osoro, Marc Ouellet, George Pell, Paul Poupard, Giovanni Battista Re, Jean-Pierre Ricard, Franc Rodé, Camillo Ruini, Louis Raphaël Sako, Leonardo Sandri, Odilo Scherer, Achille Silvestrini, James Francis Stafford, Daniel Sturla, Jean-Louis Tauran †, Jozef Tomko (siedmiu kardynałów nie figuruje na tej liście i pozostają oni anonimowi, ponieważ wyraźnie zażyczyli sobie, by ich wypowiedzi były „off the record” czy też „deep background”, by użyć tej uświęconej formuły).

Na potrzeby tego śledztwa w latach 2015-2018 regularnie

przyjeżdżałem do Rzymu, gdzie spędzałem średnio tydzień w miesiącu. Wielokrotnie miałem też możliwość mieszkania na terenie Watykanu, a także w dwóch eksterytorialnych rezydencjach stolicy apostolskiej – przez długi czas gościłem w Domus Internationalis Paulus VI (Casa del Clero) i Domus Romana Sacerdotalis. Wywiady prowadziłem też w około piętnastu innych włoskich miastach; wielokrotnie jeździłem do Mediolanu, Florencji, Bolonii, Neapolu i Wenecji, byłem także w Castel Gandolfo, Cortonie, Genui, Ostii, Palermo, Perugii, Pizie, Pordenone, Spoleto, Tivoli, Trydencie, Trieście i Turynie.

Poza Państwem Watykańskim i Włochami prowadziłem śledztwo dziennikarskie w trzydziestu krajach – do niektórych jeździłem po kilka razy. Oto ich lista: Niemcy (kilka pobytów w Berlinie, Frankfurcie, Monachium i Ratyzbonie, 2015-2018); Arabia Saudyjska (Rijad, 2018); Argentyna (Buenos Aires, San Miguel, 2014, 2017); Belgia (Bruksela, Mons; kilka pobytów, 2015-2018); Boliwia (La Paz, 2015); Brazylia (Belém, Brasília, Porto Alegre, Recife, Rio de Janeiro, São Paulo, 2014, 2015, 2016, 2018); Chile (Santiago de Chile, 2014 i 2017); Kolumbia (Bogota, Cartagena, Medellín; 2014, 2015, 2017); Kuba (Hawana, 2014, 2015, 2016); Egipt (Aleksandria, Kair; 2014 i 2015); Zjednoczone Emiraty Arabskie (Dubaj, 2016); Ekwador (Quito, 2015); Hiszpania (Barcelona, Madryt; wiele pobytów, 2015-2018); Stany Zjednoczone (Boston, Chicago, Nowy Jork, Filadelfia, San Francisco, Waszyngton, 2015, 2016, 2017, 2018); Hongkong (2014, 2015), Indie (New Delhi, 2015); Izrael (Tel Awiw, Jerozolima, Morze Martwe, 2015, 2016); Japonia (Tokio, 2016); Jordania (Amman, 2016); Liban (Bejrut, Bkerke; 2015, 2017); Meksyk (Guadalajara, Mexico, Monterrey, Puebla, Veracruz, Xalapa; 2014, 2016, 2018); Palestyna (Gaza, Ramallah, 2015, 2016); Holandia (Amsterdam, Haga, Rotterdam; kilka pobytów, 2015-2018); Peru (Arequipa, Lima, 2014,

2015); Polska (Kraków, Warszawa, 2013, 2018); Portugalia (Lizbona, Porto, 2016, 2017); Wielka Brytania (Londyn, Oksford, liczne pobyty, 2015-2018); Szwajcaria (Bazylea, Chur, Genewa, Illnau-Effretikon, Lozanna, Lucerna, Sankt Gallen i Zurych, liczne pobyty, 2015-2018); Tunezja (Tunis, 2018), Urugwaj (Montevideo, 2017).

Wcześniej odbyłem podróże do około dwudziestu innych państw. Także te wyjazdy w niektórych punktach mogły dostarczyć materiałów do tego śledztwa: byłem w RPA, Algierii, Kanadzie, Kamerunie, Chinach, Korei Południowej, Danii, Ekwadorze, Indonezji, Iranie, Kenii, Rosji, na Tajwanie, w Tajlandii, Wenezueli, Wietnamie itd.

Sodoma opiera się na dokładnie sprawdzonych faktach i źródłach. Większość wywiadów – za zgodą moich rozmówców – została nagrana i odbyła się w obecności świadka w osobie researchera lub tłumacza. Zgromadziłem w sumie prawie czterysta godzin nagrań, osiemdziesiąt zeszytów notatek z rozmów i kilkaset selfie z kardynałami. Cytaty zgodnie z powszechną już praktyką dziennikarską nie zostały dwukrotnie zweryfikowane – zresztą byłoby to niepotrzebne.

Jak widać, prywatne wypowiedzi kardynałów i wysoko postawionych duchownych są nieskończenie bardziej interesujące niż ich publiczne przemówienia! Ponieważ moją intencją nie było autowanie żyjących kapłanów, zachowałem ich anonimowość. Bez niej ta książka nie mogłaby powstać, choć zasadniczo raczej unikam cytowania niepodpisanych wypowiedzi. Starałem się więc korzystać z nich jak najmniej, jednak w kilku przypadkach na prośbę moich rozmówców zgodziłem się zmienić ich tożsamość. Pseudonimy są w książce jasno zasygnalizowane – wszystkie zaczerpnąłem z twórczości André Gide'a. Pseudonimy, takie jak Platinette i La Mongolfiera, La Païva czy Jessica i Negretto, są „autentyczne", jeśli

można tak powiedzieć, używa się ich pokątnie w Watykanie. Gdyby czytelnik próbował w jakikolwiek sposób powiązać pseudonim z prawdziwym nazwiskiem czy wręcz spotkał któregoś z moich anonimowych informatorów, z pewnością nie zorientuje się, o kogo chodzi.

Śledztwa takiego jak to nie da się przeprowadzić w pojedynkę. By wszystko się udało, korzystałem z pomocy zespołu złożonego z 80 współpracowników, tłumaczy, doradców i researcherów rozsianych po całym świecie. Pragnę w tym miejscu wymienić głównych researcherów, którzy towarzyszyli mi w tej długiej przygodzie. Był to przede wszystkim włoski dziennikarz Daniele Particelli, który przez ponad cztery lata pracował u mojego boku, a w Rzymie i we Włoszech zawsze był przy mnie. Andrés Herrera zrealizował dla mnie długie dochodzenia i towarzyszył mi w pobytach w krajach hiszpańskojęzycznych. W Kolumbii nieustannie pomagał mi Emmanuel Neisa. W Paryżu moim asystentem był Meksykanin Luis Chumacero, tłumacz władający sześcioma językami. Nieustannie korzystałem też z pomocy Réné Buonocore'a, Fabrizia Sorbary oraz żołnierzy, policjantów i karabinierów ze stowarzyszenia LGBT Polis Aperta we Włoszech. W Hiszpanii pomagał mi Enrique Anarte Lazo; w Brazylii – Guilherme Altmayer, Tom Avendaño i Andrei Netto; w Chile – Pablo Simonetti; w Polsce – Mirosław Wlekły, Marcin Wójcik i Jerzy Szczęsny; w Rosji – Wasilij Klimentow; w Meksyku – Antonio Martínez Velázquez, Guillermo Osorno, Marcela Gonzáles Durán i Eliezer Ojedo Felix; w Szwajcarii – Jürg Koller, Meinrad Furrer i Martin Zimper; w Niemczech – Michael Brinkschröder, Sergey Lagodinsky i Volker Beck; w USA – Michael Denneny; w Egipcie i Dubaju – Hadi el-Hadi; w Libanie i Jordanii – Abbas Saad; w Izraelu Benny i Irit Zifferowie; w Belgii – Louis de Strycker i Bruno Selun; w Afryce Południowej – Erwin Cameron; na Kubie –

Nathan Marcel Millet i Ignacio González; w Argentynie – Julian Gorodischer i David Jacobson; w Japonii – Julia Mitsubizaya i Jonas Pulver; w Kolumbii i Wenezueli – Rafael Luciani; w Peru – Alberto Servat; w Australii – Martin Peake.

Pełna lista researcherów tej książki jest dostępna online.

W trakcie śledztwa prowadzonego na potrzeby tej książki zrealizowałem cztery audycje na temat Watykanu dla Radio Nationale France Culture, napisałem kilka artykułów dla „Slate” i zorganizowałem kolokwium na temat dyplomacji papieża Franciszka w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu. Te projekty towarzyszące wzbogaciły książkę i były okazją do owocnych spotkań.

Jestem nieskończenie wdzięczny za pracę – i szybkość działania – moim tłumaczom. Oto oni:

Matteo Schianchi (na włoski), który przetłumaczył już trzy moje książki, i Michele Zurlo (również na włoski), Maria Pons i Juan Vivanco (na hiszpański), Artur Lopes Cardoso (na portugalski), Shaun Whiteside (na angielski), Nathalie Tabury, Henriëtte Gorthuis, Alexander van Kesteren i Marga Blankestijn (na niderlandzki), a także Anastazja Dwulit, Jagna Wisz i Elżbieta Derelkowska (na polski).

Mój główny wydawca – Jean-Luc Barré (Robert Laffont/Editis) – od początku wierzył w tę książkę; był uważnym wydawcą i czujnym czytelnikiem, bez którego by ona nie powstała. Cécile Boyer-Runge wytrwale broniła tego projektu w wydawnictwie Robert Laffont. Wiele również zawdzięczam włoskiemu wydawnictwu Feltrinelli – mojemu wiernemu przyjacielowi Carlowi Feltrinellemu, który wierzył w tę książkę od 2015 roku – oraz oczywiście Gianluce Fogliemu, który koordynował jej wydanie, a także moim wydawczyniom Alessii Dimitri i Camilli Cottafavi. Robin Baird-Smith (Bloomsbury) był decydującym wydawcą tej książki dla świata

anglojęzycznego, wspierał go Jamie Birkett; moją wdzięczność niech przyjmą Blanca Rosa Roca, Carlos Ramos i Enrique Murillo, wydawcy tłumaczenia hiszpańskiego, oraz Paweł Goźliński – wydania polskiego. Dziękuję też mojej włoskiej agentce literackiej Valerii Frasca, a także mojej doradczyni na rynku hiszpańskojęzycznym Marceli González Durán oraz Benicie Edzard, doradczyni na pozostałych rynkach.

Za sprawdzenie tekstu i fact-checking dziękuję moim przyjaciołom – Stéphane'owi Foin, Andrésowi Herrerze, Emmanuelowi Paquette, Danielowi Particellemu, Marie-Laure Defretin oraz trzem księżom, jednemu arcybiskupowi i jednemu znanemu watykaniście, którzy muszą zostać anonimowi. Sophie Berlin ze względów osobistych przeczytała książkę z prawdziwym oddaniem. Dziennikarz Pasquale Quaranta przez te cztery lata nieustannie pomagał mi w Rzymie. Reinier Bullain Escobar wspierał mnie w trakcie pisania tej książki, za co jestem mu nieskończenie wdzięczny. Dziękuję również moim dwudziestu ośmiu „źródłom" wewnętrznym w kurii rzymskiej – monsiniorom, księżom, zakonnikom czy świeckim – z których żaden nie krył przede mną swojego homoseksualizmu, a którzy pracują lub mieszkają na co dzień w Watykanie. Przez cztery lata byli oni moimi regularnymi informatorami, a czasem gospodarzami – bez nich ta książka nie ujrzałaby światła dziennego. Wszyscy zrozumieją, że muszą oni pozostać anonimowi.

Wsparcie i opiekę prawną zapewnia tej książce zespół piętnastu prawników koordynowany przez Francuza mec. Williama Bourdona, adwokata autora. Oto jego członkowie: mec. Massimiliano Magistretti we Włoszech; prawnik Scott R. Wilson, Esq. W USA; mec. Felicity McMahon (cabinet 5RB) i Maya Abu-Deeb w Wielkiej Brytanii; mec. Isabel Elbal i mec. Gonzalo Boyé (Boyé-Elbal & Asociados) oraz mec. Juan Garcés w Hiszpanii; mec. Juan Pablo

Hermosilla w Chile; mec. Antonio Martínez w Meksyku; kancelaria Teixeira, Martins & Advogados w Brazylii; mec. Jürg Koller w Szwajcarii; mec. Sergey Lagodinsky w Niemczech; mec. Jacek Oleszczyk w Polsce. W sprawie wydania francuskiego doradzali mi również Valérie Robe i mec. Jean-Pierre Mignard.

Książka ta opiera się również na wielu źródłach pisanych, przypisach i obszernej bibliografii zawierającej ponad tysiąc odniesień do książek i artykułów. Ponieważ rozmiary publikacji nie pozwalają na zacytowanie ich tutaj, badacze i zainteresowani czytelnicy znajdą online ponadtrzystustronicowy darmowy dokument zawierający wszystkie źródła oraz trzy rozdziały, które nie znalazły się w książce (efekt mojej podróży do prawdziwej Sodomy w Izraelu, Palestynie i Jordanii; rozdział na temat Brazylii oraz tekst o kulturze i sztuce Watykanu). Znajdują się tam również wszystkie oryginalne cytaty i odnośniki, w tym dwadzieścia trzy fragmenty *Œuvres complètes* Rimbauda, nazywanego w tej książce „Poetą”.

Chcących dowiedzieć się więcej zapraszam na stronę www.sodoma.fr; aktualizacje będą dostępne z hasztagiem #sodoma na profilu facebookowym autora: @fredericmartel, na Instagramie: @martelfrederic oraz na Twitterze: @martelf.

Przypisy

[1] A. Rimbaud, *Iluminacje*, tłum. A. Międzyrzecki, [w:] Rimbaud, *Wiersze; Sezon w piekle; Iluminacje; Listy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993.

[2] Odniesienie do filmu Jeana Delannoya, z 1964 roku *Szczególny rodzaj przyjaźni* (*Les amitiés particulières*), opowiadającego o czułych związkach łączących chłopców z prowadzonej przez jezuitów szkoły z internatem.

[3] M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora*, tłum. T. Żeleński (Boy), Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 42.

[4] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[5] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[6] A. Rimbaud, *Les déserts de l'amour, Avertissement.*

[7] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WR/inne/ratzinger_drogakrzyzowa or_25032005.html

[8] A. Rimbaud, *L'age d'or.*

[9] A. Rimbaud, *Opowieść*, tłum. A. Międzyrzecki, [w:] *op. cit.*, s. 209.

[10] „Potępiła mnie tęcza", *Sezon w piekle*, tłum. A. Międzyrzecki, [w:] Rimbeaud, *op. cit.,* s. 187.

[11] A. Rimbaud, *Parada*, tłum. A. Międzyrzecki, [w:] *op. cit.*, s. 209.

[12] W. Szekspir, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hamlet.html

[13] A. Rimbaud, *List do Pawła Demeny'ego*, [w:] Rimbaud, *op. cit.*, s. 305.

[14] A. Rimbaud, *Parada*, tłum. A. Międzyrzecki, *op. cit.*, s. 209.

[15] Odniesienie do filmu Jeana Delannoya z 1964 roku *Szczególny rodzaj przyjaźni* (*Les amitiés particulières*).

[16] Chodzi o książkę Jeana Cocteau, *Le Livre Blanc*, wydaną po raz pierwszy w 1928 roku.

[17] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[18] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[19] https://www.pch24.pl/tylko-u-nas-pelny-tekst-listu-ksiedza-arcybiskupa-vigano-po-polsku,62424,i.html

[20] https://www.pch24.pl/tylko-u-nas-pelny-tekst-drugiego-listu-ksiedza-arcybiskupa-vigano-po-polsku, 62552,i.html

[21] *Prawda a polityka*, [w:] H. Arendt, *Między czasem minionym a przyszłym*, tłum. M. Godyń, W. Madej, Aletheia, Warszawa 2011, s. 269 i dalej.

[22] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/inne/konferencja-sdm_28072013.html

[23] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_ (wykorzystany przekład z opoki, lecz uzgodniony z wersją z książki, czyli ze zmienioną ortografią i niezaznaczonymi upustami – przyp. tłum.).

[24] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[25]

https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[26] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/homilie/swmarta_

[27] Comunidades Eclesiales de Base, kościelne wspólnoty podstawowe, posoborowa forma organizacji Kościoła katolickiego w Ameryce Łacińskiej, w której w odróżnieniu od parafii główną rolę odgrywają osoby świeckie.

[28] https://www.pch24.pl/tylko-u-nas-pelny-tekst-listu-ksiedza-arcybiskupa-vigano-po-polsku,62424,i.html

[29] https://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/aktualnosci-papieskie/art,1198,papiez-my-biskupi-musimy-to- zrozumiec.html

[30] https://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/aktualnosci-papieskie/art,3689,wypowiedz-papieza -o-prezerwatywach-i-aids.html

[31] G.T. di Lampedusa, *Lampart*, tłum. Z. Ernstowa, PIW, 1988, s. 11.

[32] W. Szekspir, *Dzieje żywota króla Henryka Piątego*, tłum. M. Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 9 i 26.

[33] https://www.pch24.pl/tylko-u-nas-pelny-tekst-listu-ksiedza-arcybiskupa-vigano-po-polsku,62424,i.html

[34] Pełny tekst wywiadu Spadara z papieżem w języku polskim (skąd wzięty jest ten cytat oraz cytaty z poprzedniego akapitu): https://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/wywiady-franciszek/art,1,serce-wielkie-i-otwarte-na-boga-calosc-wywiadu,strona,1.html.

[35] Adriano Oliva, *Amours, L'Eglise, les divorcés remariés, les couples homosexuels, Les éditions du Cerf*, 2015.

[36] https://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/dokumenty/przemowienia-papieskie/art,59,pelny-tekst-15-

chorob-wg-franciszka.html

[37] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/adhortacje/amoris_

[38] R. Dodaro (red.) *Pozostać w prawdzie Chrystusa. Małżeństwo i komunia w Kościele katolickim*, tłum. K. Markiewicz, T. Siuda, M. Wiertlewska, Wydawnictwo świętego Wojciecha, 2015.

[39] A. Rimbaud, *Bruksela*, tłum. S. Napierski, [w:] *op. cit.*, s. 145.

[40] „Pewnego wieczoru wziąłem na kolana Piękno", *Sezon w piekle*, *** (*Moje życie*), tłum. A. Międzyrzecki, [w:] Rimbaud, *op. cit.*, s. 157.

[41] Pascal, *Myśli*, tłum. T. Żeleński (Boy), PAX, Warszawa 1989, s. 433.

[42] Raymond Radiguet, *Le Diable au corps* (1923), pierwszy polski przekład z 1925 roku nosi tytuł *Diabeł wcielony*, następne, K. Dolatowskiej, *Opętanie*.

[43] http://rodzinasandomierz.eu/wp-content/uploads/2017/07/persona_humana.pdf

[44] O. Wilde, *Portret Doriana Graya*, tłum. M. Feldmanowa, Warszawa 1971.

[45] J. Guitton, *Un siècle, une vie*, Robert Lafont, Paryż 1988.

[46] J. Guitton, *Le Christ de ma vie. Dialogue avec Joseph Doré*, Desclée de Brouwer, Paryż 1987.

[47] M. de Montaigne, *Próby Księga pierwsza*, tłum. T. Żeleński (Boy), Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957, s. 283.

[48] *Il martirio della pazienza*, 2000.

[49] Stefan Napierski, *Noc piekielna*, PIW 1969, s. 149.

[50] Monteskiusz, *O duchu praw*, przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1997.

[51] Wszystko na tym świecie tyczy seksu, oprócz samego seksu.

Seks to władza.

[52] John Boswell, *Chrześcijaństwo, tolerancja społeczna i homoseksualność. Geje i lesbijki w Europie Zachodniej od początku ery chrześcijańskiej do XIV wieku*, przeł. Jerzy Krzyszpień, Kraków 2006.

[53] Fabio Marchese Ragona, *Lei è autore del libro Il caso Marcinkus. Il banchiere di Dio e la lotta di papa Francesco alle finanze maledette*, Rzym 2019.

[54] Krzysztof Charamsa, *Kamień węgielny. Mój bunt przeciwko hipokryzji Kościoła*, przeł. Aleksandra Lasota-Sirghi, Warszawa 2017.

[55] A. Rimbaud, *Pierwsza komunia*, przeł. J. Iwaszkiewicz, PIW 1969, s. 85.

[56] Cytaty z *Dar powołania do kapłaństwa. Ratio fundamentalis institutionis sacerdotalis,* „L'Osservatore Romano", 8 grudnia 2016, [za:] https://docplayer.pl/32656498-Dar-powolania-do-kaplanstwa.html

[57] Papież Franciszek, *Siła powołania. O życiu konsekrowanym i poprawie relacji w Kościele*. Przeł. Agnieszka Fijałkowska-Żydok, Poznań 2018 [za:] http://www.niedziela.pl/artykul/39479/Franciszek-w-zyciu-konsekrowanym-i

[58] A. Rimbaud, *Pierwsza komunia*, przeł. Jarosław Iwaszkiewicz, [w:] *Poezje*, PIW, Warszawa 1969, s. 85.

[59] A. Rimbaud, *Zła krew*, [w:] *Sezon w piekle. Iluminacje*, przeł. Artur Międzyrzecki, Zysk i S-ka, Warszawa 1998, s. 19.

[60] Tytuł wiersza Arthura Rimbauda w tłumaczeniu Jadwigi Dackiewicz.

[61] A. Rimbaud, *Szalona dziewica*, [w:] *Sezon w piekle, Iluminacje*, *op. cit.*, s. 31.

[62] A. Rimbaud, *Pierwsza komunia*, przeł. Jarosław Iwaszkiewicz, [w:] *Poezje, op. cit.*, s. 81.

[63] André Gide, *Si le grain ne meurt*, [w:] *Souvenirs et voyages*, Gallimard, Bibliothèque de la Pléiade, Paris 2001, s. 166.

[64] A. Rimbaud, *Modlitwa wieczorna*, przeł. Jarosław Iwaszkiewicz, [w:] *Wiersze. Sezon w piekle. Iluminacje. Listy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993, s. 57.

[65] Blaise Pascal, *Prowincjałki*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, [za:] Wikisource.org.

[66] Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya,* przeł. Maria Feldmanowa, Vesper, Czerwonak 2015. Przytoczone cytaty znajdują się na stronach 140, 151, 153-154.

[67] René Chateaubriand, *Vie de Rancé* [Życie księdza Rancé], przekład Jagna Wisz.

[68] William Szekspir, *Hamlet*, akt 1, s. 5, przeł. S. Barańczak, W drodze, Poznań 1990, s. 52.

[69] Paul Verlaine, *Conseil falot,* przekład Jagna Wisz.

[70] [Za:] Jan Kott, *Szekspir współczesny,* WL Kraków 1990, s. 280.

[71] Friedrich Nietzsche, *Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, wyd. J. Mortkowicz, Warszawa 1905-1906, s. 35.

[72] *Katechizm Kościoła katolickiego*, praca zbiorowa, Pallotinum, Poznań 1994. Cytowane fragmenty pochodzą z tego wydania.

[73] Benedykt XVI w rozmowie z Peterem Seewaldem, *Światłość świata*, przeł. Piotr Napiwodzki, Znak, Kraków, s. 157.

[74] *Ibid.*, s. 158.

[75] A. Rimbaud, *Pożegnanie* [w:] *Iluminacje. Sezon w piekle*, przeł. Artur Międzyrzecki, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 48.

[76]

https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WR/kongregacje/kdwiary/zbior/t_2

[77] *Światłość świata*, *op. cit.*, s. 130.

[78] Zanim pojawiło się oficjalne polskie tłumaczenie książki, wiele polskich portali podawało dosłowny przekład kontrowersyjnego stwierdzenia. Oto, jaki przekład podaje portal Fronda.pl: „Mogą zaistnieć uzasadnione przypadki – gdy na przykład męska prostytutka korzysta z prezerwatywy – gdy to może stanowić pierwszy krok do umoralnienia: drobny wyraz odpowiedzialności, by przywrócić świadomość tego, że nie wszystko jest dozwolone i nie można robić wszystkiego, co się chce”. Za: http://www.fronda.pl/a/co-papiez-naprawde-powiedzial-o-prezerwatywach,9353.html (przyp. tłum.).

[79] Po francusku *des ennemis complémentaires*, nawiązanie do tytułu książki Germaine Tillon (*Les ennemis complémentaires)* na temat wojny algierskiej.

[80] Benedykt XVI, Peter Seewald, *Ostatnie rozmowy*, *op. cit.*, s. 228.

[81] A. Rimbaud, *Uczta głodu*, przeł. Adam Ważyk, [w:] *Poezje, op. cit.*, s. 120.

[82] Benedykt XVI, Peter Seewald, *Ostatnie rozmowy, op. cit.*, s. 264.

[83] *Ibid.*

[84] Trudny do przetłumaczenia włoski rzeczownik, znaczeniem najbardziej zbliżony do słowa „pedzio”.

[85] Łk 6, 37.

[86] Eugen Drewermann, *Kler. Psychogram ideału*, przeł. Robert Stiller i Norbert Niewiadomski, Gdynia 2002.

[87] Albert Camus, *L’homme révolté*, przekład tłumaczki.

[88] A. Rimbaud, *Niepodobieństwo*, [w:] *Sezon w piekle.*

Iluminacje, przeł. Artur Międzyrzecki, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 42.

[89] Benedykt XVI i Peter Seewald, *Ostatnie rozmowy, op. cit.*, s. 266.

[90] Rozważania Drogi Krzyżowej w Koloseum w Wielki Piątek 2005 roku przygotowane przez kard. Josepha Ratzingera [za:] https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WR/inne/ratzinger_drogakrzyzowaor_25032005.html.

[91] https://papiez.wiara.pl/doc/371839.Homilia-Benedykta-XVI-podczas-inauguracji-pontyfikatu-Caly-tekst/4

[92] Mt 26, 21.

[93] A. Rimbaud, *Majaczenia I. Szalona Dziewica* [w:] *Sezon w piekle. Iluminacje, op. cit.*, s. 28.

[94] Franc. *folle par affection* – określenie użyte przez Rimbauda w wierszu, który nie był tłumaczony na język polski (przyp. tłum.).

[95] Paul Verlaine, *Laeti et Errabundi*, przekład własny.

[96] Marcel Proust, *Czas odnaleziony*, przeł. Julian Rogoziński, PIW, Warszawa 1960, s. 21.

[97] A. Rimbaud, *Pożegnanie* [w:] *Iluminacje. Sezon w piekle*, *op. cit.*, s. 68.

[98] *Communion sollennelle* – uroczysta komunia połączona z wyznaniem wiary, do której we Francji przystępuje się w wieku 12 lat. Praktyka ta ma na celu podtrzymanie więzi dorastających dzieci z Kościołem i katechizacją. W Polsce zwyczaj ten można spotkać w diecezji płockiej (przyp. tłum.).

[99] A. Rimbaud, *Pierwsza komunia, op. cit.*, s. 81.

[100] A. Rimbaud, *Noc piekielna*, [w:] *Sezon w piekle. Iluminacje, op. cit.,* s. 25.

[101] A. Rimbaud, *Co mówią poetom na temat kwiatów*, przeł.

Adam Ważyk, [w:] *Poezje, op. cit.*, s. 88.

[102] A. Rimbaud, *Poranek*, [w:] *Sezon w piekle. Iluminacje*, *op. cit.*, s. 46.

[103] A. Rimbaud, *Dzieciństwo*, [w:] *ibid.*, s. 53.

[104] La Congrégation des Soeurs hospitalières de Saint-Thomas de Villeneuve (przyp. tłum.).

[105] George Bernanos, *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, przeł. Wacław Rogowicz, Fronda PL, Warszawa 2011, s. 219.

[106] *Ibid.*, s. 223.

[107] *Ibid.*, s. 114.